ALEKSANDER BRÜCKNER

DZIEJE KULTURY POLSKIEJ

TOM TRZECI

CZASY NOWSZE

DO R. 1795

WYDANIE II

WARSZAWA 1939

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

DZIEJE
KULTURY POLSKIEJ

008/428/

POLITECHNIKA ŚLĄSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Gliwicach

XX

8609/43

Czyt. Ogólna II

230/57

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

CZASY SASKIE (1697—1763)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ

Tło dziejowe. — Rzeczpospolita szlachecka. — Miasta. — Chłopi. — Żydzi. — Wojsko. — Kościół. — Zakony. — Różnowiercy.

TŁO DZIEJOWE

Naród Żółkiewskiego i Zamoyskiego, Łaskiego i Skargi, Modrzewskiego i Kochanowskiego, najświetniejszą rokował przyszłość, lecz postęp jego zahamowały piętrzące się zewsząd przeszkody. Coraz dotkliwiej dawały się we znaki: niepomyślny układ sił społecznych, nieszczęsny ustrój państwowy, zgubne wpływy Wschodu, powolne zrywanie węzłów, łączących z Zachodem, jednostronność życia duchowego pod wyłączną ferulą jezuicką. Przystąpiły od r. 1648 wojny, które ubożyły kraj, wycieńczały zasoby materjalne i moralne, wyludniały i opustoszały ziemię, przytępiały energję narodową, usuwały wszelką myśl przedsiębiorczą. Pod takiemi widokami wstępowano w wiek nowy. Ocenił go Starosta w *Powrocie Posła:*

Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami!
Co to za dwory! jakie trybunały huczne!
Co za paradne sejmy! jakie wojsko juczne!
Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni!
Potem bez żadnych intryg, bez najmniejszej zdrady
Jeden poseł mógł wstrzymać sejmowe obrady,
Jeden ojczyzny całej trzymał w ręku wagę,
Powiedział: *nie pozwalam* i uciekł na Pragę.
Cóż mu kto zrobił? Jeszcze za tak przedni wniosek
Miał promocję i dostał czasem kilka wiosek.

Nie odrazu nastały te czasy «szczęśliwe», przesłonione potomności mgłą oparów winnych i kurzawą kadzideł; głośne szczękiem szabel sejmikowych, wiwatami rozpajanej szlachty, chwalbą

ludzi najmarniejszych, śpiewem różańcowym i Gorzkich Żalów; rażące nas widokiem łbów ogolonych, smakiem oleju postnego i bigosów hultajskich, nędzą miejską i uciemiężeniem chłopa, zdzierstwem i nieuctwem księży a próżniactwem mnichów, dewocją i bezmyślnością wszystkich. Pierwsze dwa dziesięciolecia, 1697—1717, podobne do Potopu, acz bez jego wstrząśnień tragicznych, zawiodły naród do rozpaczy. Klęski żywiołowe i stokroć cięższe łupiestwa wojsk saskich, szwedzkich, rosyjskich i polskich, przemarsze, kontrybucje, kwaterunki i egzekucje zrujnowały kraj doszczętu. Dopiero lata 1718—1763, gdy wróciły pokój i urodzaje, a walki o tron r. 1732 rychło ustały, złożyły się na owe błogie czasy saskie, kiedy to ukołysany do snu naród pod czujnem okiem wrogich gwarantów zażywał swobody — na swoją zgubę.

Sądy o tej epoce rozdwoiły się: przeważna część narodu, naiwna i pobożna, ludzie starego, sarmackiego autoramentu, nie mogli się jej dosyć nachwalić; w Radomiu, Barze i u Kitowicza mówiono tylko o «Auguście III, królu i panie dobrym i pobożnym, swobodnie i miło panującym» (z aktu konfederacji barskiej), o błogich jego czasach (o Auguście II milczano przezornie); życzono ich powrotu — stąd owe sympatje do dynastji wettyńskiej, bróżdżące aż do XIX wieku. Garstka dobrze myślących, po r. 1775 coraz liczniejsza i wpływowsza, potępiała zastój saski dla zgubnych skutków i strat nigdy nie powetowanych, za które on odpowiedzialny. Późniejsze pokolenia, szczególnie lat 1840—1860, zachwycały się malowniczością epoki, jej pierwotnością i tężyzną; od spółczesnego poniżenia, zwątpienia, małoduszności, odbijały jej brawura, optymizm, zawadjactwo; wybaczano winy, bo upatrywano w niej skrajnie jaskrawe objawienie właściwości narodowych. Ale to było złudzeniem: właściwości roli uwydatnia jej uprawa staranna, nie jej zachwaszczenie haniebne.

Brak uprawy i wzrost zachwaszczenia poczęły się już

w wieku poprzednim; w nowym przybrały potworne rozmiary. Obawa wszelkiej odmiany, wstręt do każdej nowości, nieruchomość, zdawanie się bierne na Opatrzność, wyrozumowana nieczynność, chęć używania błogiego stanu posiadania, pełni praw i swobód, niepamięć o jutrze, zanik myśli politycznej znamionowały te czasy nieszczęsne. «Wszelka innowacja, ile Rzeczypospolitej, *nociva*», prawił wódz konfederacji tarnogrodzkiej a ulubieniec szlachty, Leduchowski. Straszny ucisk saski, jak niegdyś szwedzki z r. 1656, wyrwał na chwilę szlachtę z odrętwienia, ale wygnawszy Sasów zatrzasła drzwi przed Europą, założyła ręce i oddała się niewzruszonemu niczem kwietyzmowi i pacyfizmowi, przekonana, że błogi jej stan wieki przetrwa, skoro go tylko sama nie naruszy. Wmawiała w siebie, że opaczne o niej mniemania zagranicy raczej z zadrości wypływały, i do wstrętu przeciw nowiźnie przybywała wzgarda «pludrów» wszelakich, poczucie wyższości swojej wolności, zadowolenie zupełne z rozstroju i nierządu, szkodliwych dla pludrów, zdrowych dla Polski. Szczycąc się idealną neutralnością, chociaż ta się kresom nieraz dotkliwie odczuć dawała, inaczej niż za podobnej neutralności podczas wojny trzydziestoletniej, ani razu nie powzięła myśli korzystania z okoliczności, aby własny byt zabezpieczyć — o rozszerzeniu jego podstaw (majaczyła się kilkakrotnie myśl o unji z Rosją) mowy już nie było.

Za ten zastój, za tę bezwzględną rezygnację odpowiadali i obaj królowie, żywe dowody zgubności elekcji. Jeden z nich zdradzał Polskę na wsze strony, wydawał ją Rosji, Prusom, Austrji, Szwedom, zasłużył więc godnie na powszechną nieufność, nawet gdy mądrze radził, albo się z pod opieki Rosji wybijał. Drugi, bez jednej własnej myśli, dbał o sprawy polskie, o ile mu drezdeńskie *dolce far niente* przerywały i pytania o synach-następcach nastręczały. Nierównie cięższa odpowiedzialność duchowieństwa, które każdą nową myśl od Polski odganiało, zapatrzonych w cele zaziemskie na ziemi na pasku wodziło

i tylko prawowierności zazdrośnie strzegło. Takaż i magnatów, nie znoszących w swej dumie spółzawodników, jedynych czynnych, ruchliwych, ale kosztem Polski i tronu zagarniających dla siebie wpływy i pożytki, sobków wzorowych. Nakoniec i szlachty, która się ze snu nie ocknęła, przestrogi mimo uszu puszczała, obojętnie obce gwałty, nawet obcych oburzające, przyjmowała, o ojczyźnie zapomniała, utożsamiając ją z stronnictwem, prawa i korzyści zagarnęła, a obowiązki i ciężary na słabych i uciśnionych zepchnęła. Tak rozwinęły się potwornie jej najmniej cenne właściwości: fanatyzm, obrzędowość, bigoterja zamiast religji; służalczość, płaszczenie się przed wyższymi (i obcymi!), a pomiatanie niższymi (i swoimi); gruby materjalizm w używaniu dobrobytu kosztem zajęć wyższych; wyładowywanie nadmiaru żywotności w zawadjactwie, na wypitki i wybitki; ciasnota widnokręgu umysłowego skutkiem nieuctwa, zarozumiałości i chełpliwości; niesforność; dzikość obyczaju a pierwotność myśli; zaślepienie ogólne.

Niezaprzeczona malowniczość i oryginalność czasów saskich, tego zamkniętego w sobie świata staroszlacheckiego, zasłaniała istotne jego tło posępne, a bynajmniej nie było okolicznością łagodzącą, że podobne zboczenia i wybryki uchodziły i gdzie indziej bezkarnie, bo *si duo faciunt idem, non est idem.* Przekupstwa, za Sasów ogólnego, nie uniewinniało, że w Europie nie było męża stanu, któregoby wróg nie kupował za marną nieraz cenę, ale co w Europie było żartem-anegdotą, stawało się w Polsce tragedją-katastrofą, bo w niej jedynej wróg kupieniem jednego posła niweczył upragnioną przez cały naród reformę i za jednym zamachem obalał cały trud ustawodawczy sejmu. Kaziło niecne prześladowanie różnowierców Austrję czy Francję, ale w Polsce mieszali się z tego tytułu obcy w jej sprawy domowe; król zniósł edykt nantejski, więc nie mogli się hugenoci nań powoływać; w Polsce nikt nie mógł znieść konfede-

racji warszawskiej 1573 r., ale daremnie powoływali ją dysydenci i wzywali obcych na pomoc.

Wszędzie indziej można było każdej chwili niezdolnego ministra czy wodza usunąć, a zdrajcę na rusztowanie wywieść; u nas był hetman, jawny zdrajca, i niedołężny minister nieusuwalny, raczej królowi grożonoby detronizacją. Zasępił się więc ponuro widnokrąg, ale nie brakło mu i rysów jaśniejszych. I tak, gdy Rosja np. zamieniając Azję na Europę, winna była zrzec się całej swojej przeszłości, Polska przeciwnie idąc do reformy wracała do świetnej przeszłości, nawiązywała przerwane czasowo związki z Europą: w Rosji chodziło o przewrót, w Polsce o nawrót. Nie brakło też nigdy poczucia zła czy niebezpieczeństwa, brakło tylko, jak i dziś jeszcze, energji przeciwdziałania; dawano się unosić prądowi zgubnemu, zamiast go zwalczać; brakło odwagi cywilnej, coby wbrew ogółowi błogie uśpienie-bezczynność przerwała; wiedziano, że źle i coraz gorzej, lecz jakiś fatalizm wschodni (nie darmoż odwrócono się od Zachodu ku Wschodowi) obezwładniał wszelkie poczynania. Już za czasów saskich wyśmiewano np. wymowę «jezuicką», czyli «szkolną, szkolarską» i nie trzeba było Konarskiego do jej zwalczania; on ją tylko napiętnował publicznie pierwszy, nie obawiając się skrzeczenia żab jezuickich, które się natychmiast odezwało (Wieruszewski i in.). Już za Sasów skarżono się, że niema literatury, że były tylko «rzeczy mnisze», że posiadamy aż nadto «psalmików», ale przestano czytać po polsku i książka francuska zastąpiła polską, zamiast iżby zerwać się samemu do pracy. Nietolerancja wyznaniowa nie leżała szlachcie we krwi, ale nikt nie śmiał przywołać duchowieństwa do porządku. Że *liberum rumpo* to zbrodnia, wiedział każdy trzeźwo myślący, ale nikt nie miał odwagi wypowiedzieć to otwarcie i zwalczać nierząd; na medalu pamiątkowym dla Konarskiego napis mógłby brzmieć nie: *supere auso,* lecz: *dicere auso.*

Znarowiła się szlachta, utraciła wszelkie poczucie odpowiedzialności za czyny i słowa. Poseł, który bezprawnie sejm zrywał, dumnie oświadczał: mam głos wolny i nikomu się z niego sprawiać nie myślę; istotnie też z trzydziestu zerwanych za Sasów sejmów dwadzieścia zerwało dwudziestu posłów. Były więc stronnictwa, frakcje i ich intrygi, fakcje, interes osobisty górował nad każdym innym, poczucie sprawiedliwości ulotniło się tak samo jak poczucie odpowiedzialności: szumne frazesy zakryły jedno i drugie. Byłyć wyjątki, taki np. Konarski; on, jeden z bardzo nielicznych, nie utożsamiał Polski z Tarłami, Potockimi, Czartoryskimi; Leszczyński dopiero w Nancy na takie wzniósł się stanowisko i Czartoryscy nie odrazu je zajęli, a najlepszym nawet przez myśl nie przechodziło, żeby szlachta nie była równoznaczną z Polską; poza nią nikt nic nie widział.

Rozwydrzeniu politycznemu odpowiadało zacofanie umysłowe, chociaż nie brakło jednostek wykształconych. Przyrodzonych właściwości: dobroci i miękkości, poczucia honoru szlacheckiego, głosu sumienia, nie wytrawiły jednak zupełnie dzikie czasy; nabytki dawnej kultury nie dały się wygładzić doszczętnie. Nawet osławiona dynastja saska miała o tyle pewne zasługi, że przez nią łączono się mimowoli z Zachodem, choćby narazie niemieckim; że z nią wpływały kulturalniejsze czynniki do kraju; że otwierała okna do Europy; że o nią okrzesywał się poniekąd sarmatyzm z najgorszych naleciałości i nawykał do jakiej takiej administracji i biurokracji. Była przecież jakaś nauka i niepiśmiennego szlachcica teraz już trudniej znaleźć, niż w wieku poprzednim. Karbów obyczajowości przestrzegała rodzina patrjarchalna, jej autorytet, tradycja, z pod której rzadko kto się wyłamywał; ona nakładała jednostajną barwę całemu społeczeństwu, braci-szlachcie, i czuł się Polak w najdalszych zakątkach wielkiego państwa jak u siebie w domu. Na prowincji, śród średniej i drobnej szlachty kwitły dawne cnoty do-

mowe, obyczajność i oszczędność, pracowitość i skromność, miłość rodzinna i wierność; poważano starszych wiekiem czy urzędem, kobietę otaczano hołdami. Zepsucie obyczajowe szerzyło się chyba u dworu i śród magnatów. Wyższy polor, nie naukowy coprawda ani myślowy, lecz towarzyski, takt i ugrzecznienie, wyróżniające szlachtę od Niemców i Rosjan, od chłopów i żydów, zachowano i przekazano nienaruszone następnemu pokoleniu; tak samo ocalało poczucie narodowości, było się z niej dumnym, ale już nie przekonywanoby cudzoziemca o uprawnieniu tej dumy. Czasy saskie utrwaliły fizjognomję moralną i teraz dopiero nastąpiła zupełna «koekwacja» Litwy z Koroną, nietylko co do porządków państwowych, ale i co do obyczajowości i zahartował się typ sarmaty. Nie brakło mądrych i dzielnych, zrywających się i do czynu, np. do konfederacji tarnogrodzkiej ale zbyt łatwo ustępowała miękkość słowiańska przed krzykaczem-warcholem, albo lisem-intrygantem, co i dziś jeszcze bywa.

Dziwnie mieni się obraz czasów saskich; nic łatwiej, jak je dla zgubnych następstw potępić, jak żałować, że gdy w Europie myśl po coraz nowe zdobycze sięgała, państwa krzepły a byt materjalny się podnosił, u nas myśl się cofała, państwo kruszyło, kraj ubożał i że chcąc się ratować, należało odrzucić spadek saski. Ależ to była tylko próba, którą naród (nie państwo) szczęśliwie przetrwał. Podstawy jego były zdrowe i silne; z anarchji saskiej — na jej widok nazywał car Piotr, zapatrzony w Zachód, Polaków «barbarzyńcami» — wybrnął naród z właściwą mu rycerskością, żywością umysłu i temperamentu, zdolnością do ofiar, poświęcenia, entuzjazmu. Mylny kierunek wychowania, zgubne zerwanie z Zachodem dały się usunąć, a wiekowa praca kulturalna zabezpieczyła samoistność narodową, nawet gdy polityczną utracono.

RZECZPOSPOLITA SZLACHECKA

Dawna szlachecka demokracja (demosem była szlachta) przeobraziła się w anarchję oligarchiczną; magnaci sami trzęśli krajem; za nimi gardłowała posłuszna im, bo zależna od nich materjalnie, szlachta i dzieje saskie okazały się dziejami kilku rodów i ich waśni, ale gdy pod Olkienikami 1700 r. Ogińscy i Pocieje zwalczali Sapiehów w imię ciemiężonej szlachty, to w czterdzieści lat później walczyli Radziwiłłowie i Tarłowie o dobra Sobieskich, a Potoccy i Czartoryscy o własny ster państwa.

W XVII wieku były trzy stany: król, senat, szlachta; w XVIII również trzy, ale król, senat, hetman i to prawiła nietylko księżna Urszula w Nieświeżu na teatrze, ale poważni statyści wielbili przodków, że postawili ołtarz (hetmana) przeciw ołtarzowi (królowi); za Orzechowskiego miał być owym ołtarzem prymas, teraz był nim istotnie hetman, jako dożywotni a nieograniczony pan wojska, jedynej siły w kraju. Wprawdzie sejm niemy ograniczył znacznie władzę hetmańską, odebrał «pióro» a zostawił «szablę», t. j. zniósł szafowanie asygnacjami, hyberną, komputem, lokacją wojsk, z czego hetman dla siebie i swoich stronników ciągnął niepomierne zyski; wykluczył go nawet z elekcji w obawie o jej wolność, której wojsko zagrażać mogło (niech granic strzeże tymczasem), ale nie tknął jego dożywotności, co wobec takich nicponiów, jak tchórz Sieniawski i Massalski lub tyran i zdrajca Pociej (groziłaż im szlachta nieraz rozsiekaniem), było tym większym błędem, im częściej się głosy o ich trzechletniem ograniczeniu odzywały. Oburzali się hetmani i ich służalcy na tę «cyrkumskrypcję», wichrzyli nią na sejmach, ale szlachta nie ustąpiła tym razem, tak się obawiała jedynej w kraju potęgi. Lecz na tym samym sejmie związała królowi i sobie ręce, przykazując, że wakanse rozdaje się po ukonstytuowaniu sejmu, t. j. po obiorze marszałka, więc Potoccy zrywali sejmy przed tym obiorem, aby król nie mógł dać buławy

koronnej Stanisławowi Poniatowskiemu i Poniatowski umarł regimentarzem, nie hetmanem.

Nie udawały się żadne fortele dla ocalenia pracy sejmowej, np. limita, t. j. odraczanie sesji sejmowej, przerywanej dla grozy rozbicia na kilka miesięcy; zakazano tego i nic nie mogło sejmów uratować. Zrywano je pod byle pretekstem.[1] Tamował je *(sisto activitatem)* poseł, że go w kalendarzyku politycznym pijarzy mylnie wydrukowali; to marszałek, to przyjaciele błagali, aby dla miłości ojczyzny «supersedował» i przywracał izbie *activitatem,* co udawało się przy drobiazgach, póki fakcja nie postanowiła zerwania. W dyskusji wtrącano coraz inną materję; wracano do już ubitej; stawiano wnioski, które śmiech homeryczny wywoływały (np. kastrację żydów); ciągłe burze uciszał marszałek z największym trudem; odbiły się one przysłowiowo nawet zagranicą. Regulaminu nie było, zato były niemądre przepisy-nawyczki, np. nie wolno było obradować przy świecach, więc nieskończoną gadaniną dopędzano mroku, aż marszałek zawieszał sesję do dnia następnego. Władzy istotnej nie miał, chyba że laską pukał, aby się uciszano; nie mógł mówcy przerywać ani zmusić go do trzymania się materji, będącej na porządku. Arbitrowie, t. j. «galerja» (słuchacze) mieszali się bezkarnie a nieraz stanowczo do obrad, zabierali miejsca posłom, obrzucali niezdarnych, nabijając im guzów i powaga sejmu ginęła.

Sobkostwo magnatów i szlachty wzrosło potwornie; nie zadowalali się magnaci chlebem «bene merentium» (dobrze zasłużonych), t. j. starostwami i królewszczyznami, lecz okpiwali skarb na wsze łady; wyrabiali sobie i stronnikom wolność od kontrybucyj, których ciężar spadał na nieprotegowanych. Szlachta nie pozwalała na nowe podatki i o to rozbijała się

[1] Od r. 1690 do r. 1760 tylko jeden sejm (r. 1726) normalnie odprawiono, za Augustów zerwano ich trzydzieści.

wszelka reforma. Przynajmniej uchwalono na sejmie niemym stały budżet, pochłaniany przez wojsko; jedno i drugie było śmiesznie małe; bogacił się tylko podskarbi tak, że o zniesławiony ten urząd nie ubiegał się magnat, nie chcący splamić rodu; całemi latami był nim przybłęda Sedlnicki, o rękach najbrudniejszych, a i Wessel nie był lepszy. Stosunki monetarne dzięki nim opłakane, groziły szlachcie ekonomiczną ruiną. Żydzi Pocieja, mincerze sascy, a na jeszcze większą skalę pruscy zalewali kraj miedzią i podłem srebrem, tak, że wartość złotego coraz spadała, a coraz nowe redukcje tej monety przyprawiły Polskę o stratę 100—200 miljonów; dukaty obce obrzynano na dwie trzecie; w kraju obiegało niemal tyle monety obcej, co własnej, a znali się na niej dobrze tylko żydzi.

W mniejszym nieładzie, niż skarbowość, było sądownictwo. Najwyższa instancja, trybunał, był jednak zawalony sprawami, bo szlachta pieniała się z zamiłowaniem przed nim o byle co. Trybunał obsadzano delegatami, nieraz młodzikami, bez wykształcenia prawniczego, zdanymi na wykręty «patronów» (adwokatów), którzy o nauce prawnej również nic nie wiedzieli, ale wszystkie kruczki zgłębiali i sprawy przeciągali, wysysając kaletę klienta; bogacili się rychło i rzucali praktykę, odstępując ją nowym pijawkom; wobec bezradności sędziów trybunalskich byli panami sytuacji i groźbą porzucenia spraw zmuszali trybunał do ustępstw. Przekupstwo sędziów było notoryczne (o patronach rozumiało się samo przez się), należało więc sobie zgóry zapewnić większość i na sejmikach deputackich obierać stronników własnych, choćby przemocą, a co najmniej zahukaniem przeciwników; wybory bywały też bardzo burzliwe; wybierano nieraz podwójnych deputatów i należało przy sprawdzaniu wyborów przed «prezydentem» utrzymać własnych kandydatów, a wyrzucić przeciwnych *per fas et nefas*. Deputaci wielkopolscy, których wybór zakwestjonowano, naszli r. 1720 trybunał zbrojną ręką! Krótkość sesji (pierwsze dni tracono na witaniach), na-

pływ procesów, wykręty patronów i palestry (t. j. młodzieży, nabierającej nauki prawnej wyłącznie przez praktykę u celniejszych patronów), przewlekały procesy latami; o kruczkach, o spychaniu spraw z regestru-wokandy opowiada Kitowicz zabawne szczegóły.

Przekupstwo było ogólne; posłów sejmowych kupowali magnaci, żydzi, Prusacy; deputatów strony, jeżeli nie miało się posłusznych posłów czy deputatów, którzy szli sami na rękę. Odżył teraz starorzymski patronat: szlachcic, chcąc być pewny życia i mienia, udawał się pod opiekę możnego; różnica zasadzała się na tem, że nasz klient mógł zmieniać patrona, przechodzić do innego obozu, skoro zwąchał, że patron traci wpływy i znaczenie, że przez niego nie można się już dorwać niczego u dworu lub w trybunale. Pamiętnik Matuszewicza daje wyborny obraz tego życia szlacheckiego, oddanego całkowicie publice, t. j. wszelakim wyborom, sejmikom, kadencjom i sesjom; on sam ciągle w drodze, przerzucał się od Czartoryskich, gdy ci z dworem ostatecznie zerwali, do Radziwiłłów i doświadczył mściwej ręki Czartoryskich, bo ci nastawili przeciw niemu liche jakieś indywiduum, które Matuszewiczom zarzuciło nieszlachectwo, t. j. skazało ich na śmierć cywilną; znalazł się pan Marcin w strasznych opałach mimo jawności oszczerstwa i wybrnął z nich z największym trudem i przehojnemi łzami, gdy prezydentem trybunału był Panie Kochanku.

Sprzedajność posła czy deputata weszła w przysłowie; na sejmie je za Jabłonowskim przytaczano: kto mówi za żydem, wziął coś, kto przeciw niemu, chce coś wziąć. Niesposób było ująć się za różnowiercami, bo natychmiast prawionoby, że to za poszeptem worków z talarami toruńskiemi czy gdańskiemi. Na sejmie 1744 r. przyszło do scen drastycznych, gdy poseł Wilczewski rzucił przed sejmujących kiesę z trzystu dukatami, któremi go agent pruski kupił, i wymienił innych kupionych; mimo tego czynu patrjotycznego zerwali Potoccy sejm, który mógł

o przyszłości rozstrzygać. To co Konarski opowiadał o zerwaniu sejmu r. 1732, było nierównie bardziej gorszące. Reformy przeprowadzano najpiękniejsze, zerwanie sejmu je unicestwiało.

Tron postradał wszelki autorytet. Augusta II obawiano się, i słusznie, bo ten siłacz w rękach, pijatyce i miłostkach był każdej chwili gotów podzielić się Polską z kimkolwiek. Syn amoralnego, przewrotnego ale sprytnego, pomysłowego, imponującego ojca, «mantelzak» Fryderyka II, codziennie przykładnie mszy słuchał, potem psy strzelał, swych błaznów bił i kopał, a coraz pytał: *Brühl, hast Du Geld?* Siadywał daremnie w izbie senackiej, czekając na upamiętanie się posłów, zresztą zdawał wszelkie rządy Brühlowi, który się pod Brylewo polskie podszywał, a Polskę znakomicie łupił. Ograniczał też król pobyt w Polsce, nieraz tylko przyjazdem do Wschowy dla rady senackiej; całych pięć lat w Warszawie przesiedział, gdy go Fryderyk II z Drezna przepędził; jedynym jego celem było zapewnić synom to Polskę, to choćby Kurlandję; żony Augusta II, zaciętej luterki, Polska ani nie oglądała; żona Augusta III była bardzo pobożna i miłosierna Rakuszanka, innych przymiotów nie posiadała, obca jak mąż polskiemu w Warszawie otoczeniu. August II sam rządził, t. j. knuł spiski na Polskę z Flemingiem, swoim marszałkiem polnym; August III zdał wszystko na Brühla, sterującego ostrożnie między stronnictwami.

Za Augusta III było ich dwa, «Familja» i «Republikanci», t. j. Czartoryscy i Potoccy. Czartoryscy, świeżo z mało znacznego rodu wyszli, wraz z parwenjuszem Poniatowskim oceniali trafnie stosunki, pragnęli reformy i gdy o własnych siłach jej przeprowadzić nie mogli, oglądali się za obcą pomocą i łączyli z Rosją; republikanci, t. j. Potoccy, mniej dbali o reformę, pragnęli przedewszystkiem niezawisłości, żeby Rzeczpospolita sama o swoich losach stanowiła, a nie, jak wybór Augusta III przeciw powszechnej woli narodowej dowiódł, zawisła zupełnie od gwarantów obcych swego nierządu; byli stanowczymi przeciwnikami

Sasów i Rosji, a łączyli się przeciw niej choćby z Prusami, najchętniej z Portą i Szwedami; brak talentów zastępowała duma rodowa; mimo to byli śród szlachty popularni, bo nienawidzili Sasów i Rosjan, a «independencję» sławili i konfederację planowali; szlachtę odpychała hardość Czartoryskich i ich konszachty rosyjskie, burzę na nich się gotującą przerwał nagły zgon Augusta III i Brühla.

Rywalizacja magnatów nie była świeżej daty; zwalczano się i dawniej zawzięcie, np. Zborowscy Zamoyszczyków, dochodziło nieraz niemal do wojny domowej, np. Ostrogskich z Tarnowskimi, ale teraz odmieniły się cele i środki. W XVI i XVII wieku ofiarowywali magnaci tron obcym krwi królewkiej, teraz sami o tronie myśleli, korzystały też z tego znakomicie Rosja i Prusy, nęcąc po kolei wszystkich magnatów widokami na tron, Lubomirskich, Sieniawskich, Potockich, którzy na ten lep lgnęli. Tak zapobiegli gwaranci, by korzystała Polska ze sposobności wybicia się z pod ich «opieki», t. j. panowania; dwudziestolecie walk Fryderyka II nastręczało niejedną; mimo słabości militarnej mogła nieraz Rzeczpospolita przeważyć szalę na niekorzyść Prus i drżał o to Fryderyk, ale obawy jego okazały się płonnemi; z apatji i letargu nawet chęć zemsty saska nie wydobyła Polski; małemi sumami (obiecywano więcej, wypłacano mniej) okupywały Prusy i własne bezpieczeństwo i rozboje bezkarne na kresach, a anarchję w kraju.

Szalona pycha, przybierająca rozmiary psychopatji u «wojewodów z bożej łaski» i udzielających audjencji z tronu, a stąd stała waśń rodowa, uniemożliwiała wszelką odmianę, niezbędną wedle ogólnego przekonania, mimo to ubijaną w samym zarodku za staraniem magnatów albo gwarantów. Władza królewska objawiała się już tylko rozdawnictwem «wakansów» i starostw; przezorni statyści, nawet Konarski, i to chcieli królowi odebrać, widząc, jaka z tego «korupcja»; o te nadania toczono zacięte walki, werbowano niemi stronników, a ściągano na siebie gniewy

POLITECHNIKA ŚLĄSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA

i urazy pominiętych; tak przeszli Czartoryscy do stanowczej opozycji, skoro im Brühl przestał sprzyjać, widząc, że się i bez nich obejdzie. Często obdarzeni wakansem czy starostwem odpłacali dworowi grubą niewdzięcznością. Hetman mógł rozstrzygać, bo miał w rękach wojsko, ale i Józef Potocki i Jan Klemens Branicki dla niedołęstwa brali się do intryg i planów, nie do czynu. Szlachta zawisła zupełnie od łaski magnatów, wysyłała synów i córki na ich dwory, lokowała sumki u nich, dosługiwała się wygodnej dzierżawy, dochrapywała do ceł i myt albo do urzędów powiatowych, hałasowała o nie na sejmikach i sejmach, szczęśliwa jeśli mogła uściskać kolana Jaśnie Wielmożnych, albo ich w brzuch całować. Obruszała się nieraz na tę zawisłość od równych sobie, wytwarzała się animozja przeciw JW. braciom, ale kończyło się na pogróżkach.

W walce magnackiej były wszelkie środki dozwolone. Zarzucić przeciwnikowi nieszlachectwo i skazać go na zawikłaną procedurę sądową; zajechać go, napaść i poranić; zwabić obietnicami dobrej pożywy: tak ułożyli Czartoryscy rozszarpanie ordynacji ostrogskiej na «łysej radzie kolbuszowskiej»; oskarżyć niepodatnego o byle co, np. Szamockiego o obrazę majestatu, że niby króla dobrotliwego tyranem nazwał; w paszkwilach, pamfletach odsądzać od czci i wiary, były najpospolitsze środki «polityki», t. j. zapewniania sobie wpływów; wszystko zaś pod pokrywką szlachetnego patrjotyzmu albo obrony zagrożonej wolności. Jej źrenicą było *liberum veto* i o nią truchlała szlachta: wolno było krytykować wszystko oprócz *liberum rumpo;* na sejmiku czy sejmie rozsiekanoby śmiałka. Nawet przekonani zwolennicy reformy zdobywali się tylko na półśrodki, np. ograniczenie do pewnych materyj; już, jak twiedził Branicki, 30% potępiało je, ale dopiero Konarski jawnie z tem wystąpił. W czterech tomach *O skutecznym rad sposobie,* wydawanych 1759 do 1763, a popieranych przez listy pochwalne wszystkich krajowych znakomitości, szczere czy udane, uporał się z tym potworem; wy-

kazał najpierw nieskuteczność wszelkich paljatyw (np. sejmu konnego), potem ogólne potępienie, dalej historję zerwania każdego sejmu, nakoniec rozwinął program samej reformy. Szlachta w krzyk, że mnich miesza się w politykę, protestowała w grodach.

Tak było z polityką wewnętrzną; zewnętrznej nie było, bo odżegnywała się szlachta od wszelkiej. Wciągnął ją bez jej wiedzy i woli August II do niecnej wojny północnej, którą Polska strasznem spustoszeniem okupiła; zalewał kraj swoimi Sasami pod wszelakiemi pretekstami, ale uporała się z nimi konfederacja tarnogrodzka r. 1718, niestety za medjacją rosyjską i car Piotr był rozjemcą i gwarantem tej konstytucji, którą traktaty warszawskie ułożyły wkońcu, a sejm niemy (jedyny sposób, aby rzecz do skutku przywieść) uchwalił. Litwa przez zdrajcę Pocieja godziłaby się i na panowanie rosyjskie, ale narazie wycofały się wkońcu i wojska rosyjskie i zażyła nakoniec Polska spokoju w neutralności bezwzględnej, t. j. wojska rosyjskie maszerowały swobodnie przez Rzeczpospolitę, zakładały w niej magazyny i leże zimowe, wybierały prowiant i konie, a tak samo wpadali Prusacy, kradnąc i ludzi, płacąc dziesiątą część wartości albo i nic, a szlachta wielkopolska nie zdobywała się nawet na silny protest; z żywiołowej nienawiści przeciwko Rosji sympatyzowała nawet z Fryderykiem II, za co ten Wielkopolskę bezkarnie łupił.

Uwagę powszechną pochłaniała nie polityka, lecz prywata i skandale, np. pojedynek i śmierć popularnego Tarły; rozdrapanie zadłużonej przez Sanguszkę ordynacji ostrogskiej między sześciu Lubomirskich i innych panów, przerwane, nie uchylone przez mianowanie komisarzy królewskich, co Czartoryskich na zawsze od Brühla oderwało (zarzucił przecież na sejmie młody Stanisław Poniatowski młodemu Brühlowi brak indygenatu, o co się do szabel porwano); spór o jurysdykcję kanclerską z powodu Rokitna; walka jezuitów z akademją o Lwów. Takie sprawy go-

rączkowały umysły i sypały się o to pamflety, wiersze, skargi, bardziej rubaszne niż dowcipne. I zacieśnił się zupełnie widnokrąg szlachecki; politykę prowadzili na własną rękę jedyni magnaci, szczególniej Potoccy, ale nie udało się im wciągnąć mocarstw obcych w plany i zamki nadpowietrzne.

Wyżłobiły czasy saskie niestarte ślady w usposobieniu narodowem. Wytworzyły nienawiść do Rosji, co uniemożliwiało zgóry wszelkie zakusy panslawizmu późniejszego. W XVI i XVII wieku Moskwy nikt nie nienawidził, zawsze nią pogardzano jako symbolem prostactwa i zdrady, nahajki i turmy, szyzmy i nieuctwa; teraz dopiero brutalne rządy Piotrowe, a dalsze generałów i pułkowników niemieckich (rodowici Moskale bywali «dyskretniejsi»), wzniecały tę nienawiść, którą Czartoryscy odpokutowali; Rosja przecież, nie Austrja, wygnała Leszczyńskiego i obległa go w wiernym Gdańsku, Rosja kazała wybrać stolnika litewskiego. Od czasów saskich datuje się dalej płaszczenie przed możnymi, owa służbistość, owo padanie do nóg, całowanie rączek i nóżek, tytułomanja Jaśnie Wielmożnych, czegośmy się do dziś nie pozbyli, a czego inne narody, nawet Rosjanie, nie znają. Od Sasów począł się brak orjentacji politycznej i łudzenie się fantastycznymi sprzymierzeńcami i planami: politykomanja najgorszej próby, godna owych nawoływań o góry olkuskie i o sumy neapolitańskie, jakiemi szlachta sejmikowa swoje lauda zawsze jeszcze zagęszczała; że sejmiki i ich lauda wszelką moc straciły, rozumiało się w oligarchji magnackiej samo przez się; mogły się tylko wykrzyczeć do woli. Pojęcie niezawisłości państwowej, «independencji», majaczyło śród Potockich jako zawziętych przeciwników Sasów, nie było go u Czartoryskich, ale i Potoccy szukali oparcia u obcych, coprawda nie u Rosji. Otrzaskano się zupełnie z wpływem postronnym, pojęcie opieki cudzej, gwarancji, uspokajało trwożliwych, a dumy narodowej nie obruszało.

Jak o ojczyźnie, zapomniano za Sasów i o myśli niepodległej; tamtę zastąpiła gwarancja, tę tradycja; tam zawiniła

szlachta, tu jezuici. Tradycją żyło się w rodzinie patrjarchalnej, w gospodarstwie prymitywnem, w polityce zaściankowej; do tradycji należał żyd faktor, chłop pańszczyźniak, łyk mieszczuch, straszak absolutyzmu i dziedziczności tronu, wolność od cła i podatku, kult świętych i Marji, bałwochwalstwo klejnotu herbowego. W tem kółku zaczarowanem obywano się bez myśli swobodnej, krytyki wolnej, rozumu politycznego.

Utrwaliła się przewaga duchowieństwa, a chleb duchowny uśmiechał się już każdej rodzinie i choć jeden z synów jego się imał i przez to dobrobyt jej zabezpieczał; dla panien nieposażnych stały cele zakonne otworem. Kraj, niegdyś twierdza wolności sumień, zawodniczył z Włochami i Hiszpanją o nietolerancję, o wiarę przesądną, o praktyki nieustanne. Wyżłobiła się jeszcze głębiej straszna kastowość, nieszlachcic nie uchodził za człowieka; szlachcic, potomek Jafetowy, odgradzał się od Chamowego, któremu imię protoplasty przywrzało (i to tylko u nas, a od nas do Rosjan to przeszło); pogarda wszelkiej pracy ręcznej i rzemiosła rozprózniaczyła do reszty szlachtę, przekonaną o różnicy fizycznej między «psią» krwią a szlachecką, o jakiemś odrębnem swojem pochodzeniu. Już zaczynała się prywatna wszechwładza żydowska; nie obchodził się szlachcic bez faktora, gardził nim, ale zażywał go do wszystkiego i jego rady i wskazówek słuchał. Nawykał dalej do strasznej samowoli, ograniczanej tylko podobną samowolą innych, liczył się tylko z mocą, nie z prawem, co pociągało za sobą najdziksze wybryki, któremi słynęli magnaci, jak ów Marcin Radziwiłł, który i harem urządzał systematycznie i na żydostwo przeszedł, aż go Hieronim Radziwiłł (sam niezgorszy kwiatek samowoli pańskiej) jako obłąkanego pod klucze wziął; albo ów Potocki, starosta kaniowski, co grzechy żywota niby jako bazyljan odpokutowywał; ów drugi Potocki, co szlachcie na podwórze wjeżdżać nie dozwalał, a z tej samej dumy utopił młodziutką synowę. Z obawy przed samowolą wypływała potrzeba opieki, protekcji

ze strony możnego, a czołobitność protegowanego; i dziś jeszcze zasłaniać się byle jaką protekcją uchodzi za najpewniejszy środek — u nas bardziej, niż gdziekolwiek indziej.

Nauczyły też te czasy, szczególniej August II, wzorujący się we wszystkiem na królu-słońcu wersalskiem, nadzwyczajnej wystawności; za jego przykładem trwonili magnaci krocie na czcze widowiska, przyjęcia, wjazdy, pogrzeby, na przepych raczej azyjski niż francuski i wyżłabiała się istna przepaść między szalonym zbytkiem wielkopańskim a istotnem ubóstwem kraju bez handlu i przemysłu, bogacącego zagranicę miljonami, jakie za swoje surowce odbierał, bo je natychmiast na przedmioty zbytku roztrwaniał.

MIASTA

Za Sasów spotykałeś tylko bogatego księdza, dumnego szlachcica, pokornego żyda, ubogiego mieszczanina, znędzionego chłopa. Chłopa uciskano już od XVI wieku, ubóstwo miejskie było świeższej daty i tem bardziej raziło; cała też literatura polityczna jednogłośnie nie o miastach, tylko o ich «mizerji» i «dezolacji» prawiła. Król Leszczyński w *Głosie wolnym* utyskiwał: «jaka w nich (miastach) budynków ruina, jaka nieludność obywatelów, jaka *indigencja* mieszczanów, jaka *incapacitas* rzemieślników, jaka *insufficencja* towarów, jaki na ostatek przy wielkim niedostatku nierząd *in politia!*» Dziesięć lat później powtarzał to samo Garczyński w *Anatomji Rzeczypospolitej Polskiej:* z miast i miasteczek «teraz tylko same zostały obaliny», a po kamienicach «jeszcze cokolwiek niewykorzenionych dyszy mieszczan». Równie jednogłośnie przyczynę tej nędzy wskazywano: nie mór, co sprzątał nieraz połowę ludności (w latach 1707—1712), nie nieprzyjaciel, co ją łupił (np. Szwedzi Lwów), nie pożary, co ją nawiedzały (np. Wilno raz po raz), lecz dziedzice, starostowie i żydzi.

W najliczniejszych, szlacheckich miasteczkach rozstrzygała samowola dziedzica; on odbierał grunta niegdyś nadane, propinację, inne pożytki, zasadzał żydów, którzy mu się chętnie opłacali, byle mogli na chrześcijanach stratę odbijać. Dla miast królewskich zagładą byli starostowie, przeznaczeni niegdyś na ich dozór; z nimi toczyły miasta ciągłe wojny w sądach asesorskich: o bicia i więzienia, o zabory gruntów i pożytków; starosty-pana w mieście nawet nie było, rządził za niego podstarości, szlachcic osiadły, a jak się opiekował miastem, świadczył o tem najlepiej stan grodu-zamku («cztery kąty i baszty kawał piąty»); żartował przecież jeszcze Stanisław August, że najpewniejszy środek zniszczenia Bastyli, powierzyć ją opiece naszych starostów. Autonomja niewiele się miastom królewskim przydała, bo musiano rajców i ławników wybierać, jakich sobie podstarości życzył; wobec tych, co starostwa kupowali lub je prawem emfiteutycznem nabywali, byli mieszczanie bezbronni.

«Co tylko który z JOświeconych albo Wielmożnych Ichmościów jeszcze nieoschły przywilej od Najj. Pana weźmie, tak zaraz jurysdykcją swoją rozpościera przez wymyślne komisarzów swych sposoby, że czasem gdy urząd miejski opponuje się przy prawach i przywilejach od kilkuset lat nadanych i aprobowanych Ichmościom starostom, to kijmi bywają zbici z tą allegorją: ja pan, ja prawo» (Garczyński). «Co tego (tej nędzy) za racja? nie insza tylko że od nikogo lud pospolity protekcji nie ma a od wszystkich krzywdę i że nigdy mieszczanin nie dojdzie sprawiedliwości z szlachcicem» (Leszczyński). «Miast ruina jest tak powszechna i znaczna, że wyjąwszy jednę Warszawę inne najprzedniejsze po większej części wierutnej łotrów jaskini przyrównane być mogą, czego dwie jawne upatruję przyczyny, obciążenie kamienic wyderkafami i odcięcie handlów mieszczanom przez żydostwo i innych partykularnych ludzi, którzy pod różnemi protekcjami przywożąc i sprowadzając z oszukaniem ceł JKM. i całej Rzeczypospolitej znaczne towary,

obywatelom miast do zarobku i wsparcia się drogi zagradzają» (Ant. Potocki w odezwie do panów obojga stanów 1744 r.).

Zniszczyli starostowie miasta przez mieszanie się w ich sprawy, boć mieli od r. 1565 dozór nad niemi, «aby się poprawowały i liczbę przed nimi czyniły»; z tego tytułu zabierali propinację i grunta. Niszczały miasta i od «jurydyk»: duchowieństwo i szlachta kupowali grunta pod miastem albo kamienice i grunta w samem mieście i te posiadały własną jurydykę, t. j. nie podlegały zarządowi miejskiemu, nie płaciły podatków miejskich, nie sądziły się przed wójtem i ławą; na jurydykach osadzano też żydów i tak otwierano im dostęp do miast. Taką jurydyką Leszczyńskich było Leszno w Warszawie, inną «na Bielinie» (ulica Marszałkowska i Królewska później) założył marszałek Bieliński, jeszcze inną St. August i t. d. Bez zniesienia jurydyk postęp był niemożliwy i już Ant. Potocki żądał, by mieszczanin tylko mieszczaninowi sprzedawał kamienicę, nikomu innemu pod nieważnością sprzedaży. Tak było w uprzywilejowanych, wolnych, królewskich miastach; w «partykularnych» mieszczanin od chłopa a miasto od wsi nazwiskiem się odróżniały, a dawnych mieszczan pędził dziedzic na pańszczyznę.

Miasta i miasteczka liczyły nieraz po kilkadziesiąt lub kilkuset mieszkańców; jedyna Warszawa (i Gdańsk) były ludniejsze. Warszawa liczyła ludności około trzydzieści tysięcy; składała się z Starego miasta, którego wcale nie zbytnią jedyną ozdobą był dosyć niepokaźny zamek, tyłem do Wisły z pięknym prospektem, ale zaniedbany strasznie; król rezydował w własnym pałacu «saskim». Opodal wąskiego, ciemnego, brudnego, opasanego murem Starego miasta rozciągało się Nowe z obszernemi, niebrukowanemi ulicami, zalewanemi błotem, tak, że jeżdżono w karetach sześciokonnych nie dla samej parady, lecz i z powodu błota; zabudowane bardzo nierównie, bo obok pałaców pańskich, a było ich kilkanaście, sterczały chaty drewniane. Przystęp do Wisły był trudny, a przez Wisłę wożono się

na promie; mostu nie było. Osobno stały Leszno i Grzybów; od zamku szło Krakowskie Przedmieście, kończące się uprawnemi polami, zawalone zresztą gruzami; za Żelazną bramą ogrodu Saskiego stało kilka domków, a na placu odbywał się targ zboża i siana; w jednym z tych domków założył Meierhofer r. 1724 pierwszy «kafenhauz» z bilardem. Uporządkowanie zawdzięczała Warszawa energicznym rządom w. marszałka kor. Franc. Bielińskiego (1742—1766), który wraz z prezydentem staromiejskim Dulfusem brukował, rozszerzał ulice i place, odnawiał albo zakładał kanały, czuwał nad bezpieczeństwem i hamował wybryki żaków i pospólstwa. Z Warszawy już wychodziły mody; towar szewców warszawskich, szczególniej trzewiki damskie, słynął, a pierwsze jej modnistki rozpinały kornety damskie, drogo (w stosunku do materji) opłacane. Już bawiono się w Warszawie na redutach od Nowego Roku do Popielca, najpierw dwa razy tygodniowo, potem codzień (z wyjątkiem piątku i soboty), i przez sześć tygodni przed adwentem. Zaprowadził je Włoch Salvador; uczęszczali zrazu tylko panowie, ale niebawem i mieszczaństwo nabrało smaku, więc pootwierali reduty i inni przedsiębiorcy. Przychodzono zawsze z maską na twarzy, bez broni, więc obcowano poufale między sobą, póki maska okrywała osobę; tańczono, grano w karty i przechadzano się swobodnie; z Warszawy przeszły reduty i do innych miast. W jedynej Warszawie nastały karety najemne, parokonne, u kilku siodlarzy. Tu były pierwsze «kafenhauzy», stąd rozeszła się po kraju tabaka proszkowa kilku Włochów (pani Syrakuzany — w ustach pospólstwa Srajkoziny, braci Fontanów i in., co porobili majątki na tej tabace). Równie popłacały meble i karety warszawskie, konkurujące z gdańskiemi. Już zjeżdżano się z prowincji na karnawał do Warszawy.

Na uboczu stały zamożne i kulturalne miasta pruskie, acz mniej ludne niż w wieku XVII, z Toruniem i Gdańskiem na czele, bogacącym się kosztem polskim, bo narzucającym dowolne

ceny produktom polskim i towarom własnym: sarkali na ten monopol posłowie, podawano projekty ustanowienia innego portu dla konkurencji, ale sejmy nie dochodziły, więc kończyło się na samych projektach. Gdańsk odwdzięczał się w tym wieku, jak i w poprzednim, wierną służbą Rzeczypospolitej; przetrwał oblężenie, bo nie wypowiedział gościny prawowitemu królowi Leszczyńskiemu, i stał i później wytrwale przy Polsce, uchylając wszelkie zamachy i pokusy z strony rosyjskiej czy pruskiej. Toruń nie zapominał rzezi toruńskiej i jego lojalność bywała mniej niezłomną; sprawa wykupienia Elbląga, który niechętnie pruską okupację znosił, zaprzątała nieraz sejmy.

PRZEMYSŁ I HANDEL

W państwie wyłącznie rolniczem, gdzie jedyni ziemianie panowali, spuszczono przemysł i handel z oka i zubożono kraj doszczętnie. Ziemianin dbał o najwygodniejsze zbywanie surowców własnych i najwygodniejsze nabywanie produktów przemysłowych, więc marzył o zniesieniu wszelkich przeszkód, młynów i jazów na rzece, którą surowce woził, a myt i ceł na komorach granicznych; zdobył też tę wolność, przynajmniej dla własnej produkcji i konsumpcji, a zniszczył handel i przemysł miejski tak, jak dochody skarbowe. Upośledzenia mieszczan dokonał, gdy zdeklasował przemysł i handel: ponieważ one nie mogą wyłącznie uczciwą chodzić drogą, zabronił ich jako niehonorowych szlachcie, która szlachectwo traciła, bawiąc się łokciem i kwartą. Konkurencji zagranicznej otworzył wrota, a to dobiło i przemysł i handel. Rzemieślnik własny zaspokajał wkońcu tylko najprymitywniejsze potrzeby, szlachta ubierała się od stóp do głowy w towar cudzoziemski, spijała obce wina, sprowadzała z zagranicy sprzęty i kosztowności; tylko wyjątkowo jakiś towar warszawski czy z Leszna nabywał wziętości.

Odmiana nie mogła wyjść od nieokrzesanego i znędzonego

mieszczaństwa; stworzyli ją panowie. Wymagając coraz większych dochodów, gdy ziemia się przy pracy pańszczyźnianej licho opłacała, a potrzeby reprezentacji i wpływów rosły, musieli pomyśleć o nowych źródłach bogactwa; nęciły przykłady zagranicznych «manufaktur»: urządzić coś podobnego u siebie, nie sprowadzać wszystkiego z zagranicy i przepłacać, zakładać fabryki w kraju — tak myśleli ci, którzy zagranicę tylokrotnie zwiedzali. Ale w kraju nie było ludzi sposobnych; należało więc przywołać obcych, zapewnić im warunki bytu znośnego i korzystać z ich wprawy i pracy. Tak pierwsi panowie założyli pierwsze fabryki za Sasów; początki były bardzo skromne, ale chodziło o przełamanie lodów. Rud żelaznych było w kraju poddostatkiem, więc na ich eksploatację zwrócono najpierw uwagę.

Już biskup krakowski Załuski sprowadził górników z Saksonji i zakładał fabryki żelazne i blachy białej i zachęcił wielu właścicieli do urządzania kuźnic; na wielką skalę czynił to kanclerz w. kor. Jan Małachowski w dobrach dziedzicznych, mianowicie w miasteczku Końskiem i okolicy; zakłady były tu oddawna, ale zupełnie zapuszczone, więc wyporządziwszy je sprowadził cztery familje ze Śląska, dostarczywszy im wszelkich potrzeb; pobliskie osady, Przysucha i Pomyków (z czterdziestu familjami niemieckiemi) również prosperowały, dostarczały broni chorągwiom pancernym i Kamieńcowi, jak i cekhauzowi warszawskiemu; Małachowski wystawiał również w innych dobrach swoich wielkie piece hutnicze; podobnie Poniatowski sukienników niemieckich w Zaleszczykach. Anna z Sanguszków Radziwiłłowa, kanclerzyna litewska, założyła pięć fabryk szkła, wyrobów glinianych i kamiennych, luster, nawet szpalerów; z fabryki w Koreliczach pochodziły gobeliny zamku nieświeskiego, uświetniające czyny przodków. W Nieświeżu istniała fabryka dywanów, a r. 1758 założył Michał Radziwiłł (ojciec Panie Kochanku) słynną fabrykę pasów, czyli «persjar-

nię» w Słucku, ugodziwszy do niej Ormianina Jana Madżarskiego z Stambułu; on miał wyuczyć chłopca doskonale tej roboty perskiej i dostawał dukata tygodniowo, a syn Leon prowadził fabrykację na 24, potem 12 warsztatach. Pasy słuckie cieszyły się wielkim rozgłosem, zawodniczyły z perskiemi i tureckiemi; ceny były najrozmaitsze, od 11 do 175 dukatów za sztukę.

Handel bogacił cudzoziemców, Niemców, szczególnie Wrocławian, Szotów, Włochów, Francuzów, którzy straty, nieraz ponoszone przez samowolę szlachecką, odbijali sowicie na innych; miejscowy kupiec narażał się na jeszcze gorszą samowolę. Kupcowi brakło przedsiębiorczości, rzemieślnikowi wprawy i nauki: obcy przybysze zastępowali te braki; w ich szkole przyuczali się miejscowi. Nie wyginęły też doszczętnie w znacznych miastach, Krakowie, Poznaniu i t. d. dawne tradycje i zasoby, ale bogate rody miejskie dobijały się próżno szacunku u szlachty, naśladując jej tryb życiowy, a narażając się na dotkliwe zniewagi. Pół miljona mieszczan nie odgrywało jeszcze najmniejszej roli.

CHŁOPI

Pozbawione praw i opieki prawnej miljony chłopów, wydane panom, starostom, dzierżawcom na łaskę i niełaskę, pędziły najsmutniejszy żywot, a nasza świadomość, że gdzie indziej, np. w północnych Niemczech, lepiej się im nie wiodło, nie usprawiedliwi ich nędzy, która ich bydłu równała i tą nazwą piętnowała. Gniotła nadmierna pańszczyzna, która nieraz chłopu dnia w tygodniu nie zostawiała wolnego (prócz niedzieli); dalej nieludzkie postępowanie: za byle opór czy powoływanie się na jakieś prawo czekały chłopa tylko baty; rozpajanie przymusowe w karczmie pańskiej upodlało go do reszty, czyniło obojętnym na los własny nawet, aż nadto rozpaczliwy. Znośniej było gdzie szlachcic na wsi siedział i dawnych porządków nie na-

ruszał, ale dzierżawcy byli okrutnemi pijawkami i uciemiężonemu pozostawała tylko ucieczka. Rekwizycje i represalje wojskowe dopełniały miary niedoli: plądrowanie komory i stodoły, uprowadzanie bydła i koni, znęcanie się nad kobietą, a nieraz mordy i pożogi towarzyszyły nieskończonym przemarszom i leżom, więc nie dziw, że chłop, gdzie i gdy mógł, zabijał Sasa. W licznych skargach na okropne czasy po r. 1700 nie brak też wzmianek, że «nad wszystkich (obcych) byli gorsi nasi», bo obcy kazali się z dymu opłacać, «ale nasi, nad zamiar, co chcieli to brali»; szczęściem były lata bardzo żyzne, a wywóz do Gdańska przerwany; r. 1702 wór zboża był po dwa złote, ale pieniądz był nader rzadki. Chłop w tym ucisku tracił «ryktrat (wizerunek) boski»; dziatwa rosła jak dziczki, a w przeraźliwych warunkach higjenicznych ginęła jej połowa; wyludniała się Polska, a pola leżały odłogiem. Około r. 1715 opadła najniżej liczba mieszkańców; nie wynosiła dwu trzecich wieku XVII; potem jednak zaczęła się stale podnosić. Dla zaludnienia i dla uprawy pól pustych sprowadzano z Niemiec «olendrów» i «bambrów»; tak kolonizowali magistrat poznański albo pan wielkopolski wsi swoje.

Rosły znowu fortuny magnackie na kresach wschodnich, a z niemi ucisk chłopów, gdy panowie po pokoju karłowickim wracali do zniszczonych za Ruiny sadyb. Jeszcze przy samym końcu XVII wieku wzniecił Palej, w pamięci ludu ruskiego lepiej niż Chmielnicki zapisany, bunt, który wojska hetmańskie i rosyjskie uśmierzyły, a mniejsze bunty zrywały się tu i ówdzie, nawet na Białej Rusi, w Mścisławskiem r. 1744. Nie słychać o podobnych w rdzennej Polsce (na Podolu i Ukrainie rozpętała się wraża moc dzierżawców i komisarzów) już dlatego, że tu jedno- albo kilkuwioskowy szlachcic przeważał, więc w własnym dobrze zrozumianym interesie zbyt się nad chłopem nie pastwił, ale i tutaj zgęszczała się zczasem nieufność albo i nienawiść stanowa. Tylko na Podgórzu i Pokuciu, na ziemi gó-

rzystej, utrzymywał się typ chłopa niezawisłego, gospodarnego, ale też skłonnego do zbójnictwa; kraj lasami odwiecznemi pokryty, bliskość granic, osobliwsze gospodarstwo na halach, brak zupełny żyda, który do gór nie docierał, utrzymywały, jak i w zdobnictwie, stroju, budowie chałup, w języku nawet, cechy charakterystyczne dawnej przeszłości. Poza tym wyjątkiem nie różnił się chłop od niewolnika, można go było sprzedać, wymieniać za psa lub konia; o zabójstwo chłopa głowa szlachcica nie bolała, wyręczał się byle okupem, złożonym na zwłokach. Tylko ze wsi królewskich (z dóbr stołowych i z starostw) mógł się chłop skrzywdzony uciekać do sądów referendarskich. Kraj pustoszał i dziczał, czwarta część jego leżała odłogiem; z gęstych lasów wychylały się nędzne wioski; siedm czy ośm miljonów chłopów było liczbą nieproporcjonalnie małą na kilkanaście tysięcy mil kwadratowych; uznawał to i ks. Łubieński w swojej geografji 1745 r.; ludność dochodziła tylko do trzeciej części ludności francuskiej na podobnym obszarze i słynęła Polska w Europie, np. u Montesquieu r. 1721, za kraj bezludny jak Turcja.

Stan rolnictwa i chłopów różnił się znacznie wedle okolicy, polepszał się w kierunku od wschodu na zachód; kto z Litwy wyjeżdżał, tego uderzały w Koronie lepszy wygląd bydła i chałup, lepszy chleb, odzież kolorowa i ozdoby jej, wreszcie buty na nogach. Najgorszy ucisk panował na Litwie, gdzie się nad ubóstwem białoruskiem pastwiono do woli, ale i w Koronie samowoli pańskiej nic nie hamowało; można było chłopa spędzać z chałup i roli. Sama pańszczyzna nie była tak straszna (istniała wszędzie w Europie), jak istotna niewola chłopa, którego pan był zarazem sędzią, i «darła szlachta chłopa żydowskiemi pazurami»; chłop nie miał pewności, a więc i poczucia własności. Byli chłopi wolni, koloniści, budnicy (idący za swoim przemysłem, wyrabiający potaż i niszczący lasy), czynszownicy, bojarowie na Rusi, komornicy (mogący swobodnie przechodzić

na inną służbę), ale oni ginęli wobec mnóstwa chłopów wsi królewskich, duchownych i szlacheckich; szlacheckie obejmowały niemal połowę ludności chłopskiej. Najlepiej stosunkowo żyło się chłopom na królewszczyznach, bo tu ich powinności i robocizny były inwentarzami określane, a lustracjami (przy zmianie dzierżawcy) stwierdzane, nie mógł ich starosta dowolnie podwyższać, a skrzywdzony chłop mógł w teorji odwołać się do sądu referendarskiego (w Koronie; do asesorji w Litwie). I w dobrach duchowieństwa były pańszczyzny mniejsze, a chaty, sprzęty i bydło stanowiły własność wolną chłopa. Najgorzej było w dobrach dziedzicznych; miał pan a raczej przywłaszczył sobie bezprawnie prawo śmierci, chociaż ponad samą groźbę powieszenia na gałęzi zdaje się nie wykraczał, ależ chłopa nieraz zaćwiczono na śmierć, a karami cielesnemi szafowano okropnie. Po odrobionych dniach pańszczyźnianych pędzono dalej na robotę za przyszłe tygodnie, aż pola i łąki pańskie obrobione zostały, a i potem zmuszano do nowej roboty za najniższą cenę; żyd panu odmierzał towar hojnie, chłopu jak chciał; chłop musiał jemu sprzedawać swoje zbiory wedle jego ceny. Ratował się ucieczką do innego pana, skąd odzyskanie go drogą prawną zbyt wiele kosztowało, albo zagranicę.

Litwa miała mało ziemi urodzajnej i mało komunikacji z morzem; województwa ruskie nie korzystały jeszcze z obfitej ziemi (dla zamkniętych przez Tatarów ujść rzek) i na stepach przeważał chów bydła; odbytu dla zboża nie było; najdogodniejsze były warunki dla Wielkiej i Małej Polski; cena ziemi w Poznańskiem była też kilkakrotnie wyższą od ceny ziemi litewskiej czy ruskiej. W warunkach wyjątkowych obniżała się nadzwyczaj produkcja zboża i wywóz jego do Gdańska; ten spadał w r. 1715 i 1737 na 3492 i 2392 łasztów, gdy normalnie dziesięć razy więcej wynosił, czasem i 50.000 przekraczał.

ŻYDZI

Tworzyli dalej państwo w państwie, o własnej religji i szkole, mowie i obyczaju, sądownictwie i podatkowaniu i czuli się najzupełniej obcymi. Nie było też traktatu politycznego, któryby nie uwzględniał kwestji żydowskiej, coraz bardziej piekącej. Rozwiązać jej ani umiano ani się do tego zabierano przy znanej opieszałości słowiańskiej, tylko Rosja sprawiła się z nią, bo wyrzucała żydów z ziem, zdobytych na Polsce, a nie wpuszczała ich do siebie, za Katarzyny II, nawet mimo najbardziej kuszących ofert bankierskich. Wszyscy pisarze polityczni znali tylko jeden sposób: wrócić do przeszłości jeszcze średniowiecznej, zabronić im wszelkiego handlu i przemysłu, ograniczyć więc do lichwy i przemysłu wyznaniowego w krawiectwie i rzeźnictwie. Poświęcano tej kwestji osobne pisemka (nie mówiąc o satyrycznych jak *Sekret żydowskich przewrotności,* Wilno 1728, i t. p.), np. taki *List pewnego statysty, zawierający w sobie niektóre przyczyny, dlaczego z obecnych żydów ledwie jeden się nawraca, i niektóre sposoby do ich nawracania, pisany dawniej w obcej mowie (?), a teraz po polsku wydał go Krakowczyk, syn rabina, Jan Krz. Lewek od błędów żydowskich nawrócony* (r. 1728; natychmiast przedrukowany przez jezuitów wileńskich); Lewek żył w największej nędzy; panowie nie troszczą się bynajmniej; wadzą przywileje żydowskie dawne i pospolitowanie się z nimi; oni trzymają służbę chrześcijańską, są wolni od żołnierskiej, a należałoby ich używać choćby do sypania szańców i t. p. Możnaby ich nawrócić, zabroniwszy im handlu a zmuszając do pracy ręcznej; oświeconych śród nich przynaglać do rozmów z duchownymi; odebrać im synagogi i t. p., ale nie czynić tego prywatnie, lecz za wdaniem się rządu; najlepiej byłoby jednak ich wygnać!

Na każdym sejmie wnosili posłowie skargi na nadzwyczajną ruchliwość ludności żydowskiej i chcieli z niej uczynić

przypisańców *(glebae adscripti);* nie przyszło do niczego, chyba że ich pogłówne powiększono. Powtórzyło się też r. 1744 to samo, co w r. 1648, tylko na mniejszą skalę; przyprowadzeni uciskiem arendarzy do rozpaczy chłopi białoruscy (w starostwie Krzyczewskiem a stąd dalej w Mścisławskiem i in.), podnieśli bunt pod wodzą Wojszczyła i in. i wyprawiali rzezie żydów, a potem i szlachty, poskromieni wkońcu przez Hieronima Radziwiłła, dumnego z tego tryumfu. Nędza zresztą doskwierała żydom samym; ich pomnażaniu nie odpowiadały granice osiadłości a upustu na wschód, do Rosji, nie było; z ich dostatkiem upadała też ich kultura; drukarnie żydowskie ustały; tylko stare przesądy utrzymywały się uparcie, np. o morderstwach rytualnych. Upadek ogólny był i tu widoczny; liczba ich rosnąca z każdym rokiem, nie dałaby się ściśle ujmywać, bo żydzi ją ukrywali; może już zbliżała się ku miljonowi.

O «narodzie żydowskim», odciętym od wszelkiej spólności (wyjątkowo i żydzi uczestniczyli w pogromie Sasów) nikt nigdy nie pomyślał, jakby usunąć te dzielące oba plemiona szranki wzgardy, przesądu, poczucia obcości, a duchowieństwo przyczyniało się tylko do ich utrwalenia. Za Zygmunta III mógł chrześcijanin wedle dawnych ustaw wnosić skargę o morderstwo rytualne i t. p. tylko wsparty świadectwem trzech nieposzlakowanych żydów i zagrożono mu karą śmierci, gdyby nie dowiódł zarzutu; dawno o tem zapomniano i dopiero r. 1758 przypomnieli to żydzi — bez skutku. Z powodu mniemanego zabójstwa w Sandomierzu 1710 r. wydał ks. Żuchowski r. 1713 obszerne dzieło: *Proces kryminalny* i t. d., gdzie z nadzwyczajną «uczonością» dowodził «niezbicie» dziesięć przyczyn, dla których żydzi krwi chrześcijańskiej potrzebują; duchowieństwo usuwało ich od arend w dobrach duchownych, ale nie z kraju, tusząc, że życie wśród chrześcijan nawróci ich od ich błędu do wiary. A skutek był np. taki, że w Żytomierzu r. 1753 oskarżono żydów o zabicie czteroletniego Studzieńskiego: przyznało

się na torturach 24 do winy mniemanej, z jedenastu darto pasy, trzynastu ocaliło życie przez przyjęcie chrześcijaństwa. I przekonał się ks. Kitowicz, że jak niema wolności bez *liberum veto*, tak niema macy bez krwi chrześcijańskiej! Symboliczne zakończenie sprawy żydowskiej stanowiłyby też dwa fakty, nietylko spółczesne, może jednak w pewnym przyczynowym związku zostające, zbrodnia wojsławska i wystąpienie Frankistów.

R. 1760 oskarżono żydów wojsławskich; trupa chłopca porzucili niby w lesie; uwięziono ich i rabina, a sąd wydał wyrok ćwiartowania, w drodze łaski ścięcia, jeśli skazani przyjmą chrześcijaństwo. Rabin udusił się w więzieniu, trupa wlókł końmi po mieście oprawca; czterech, którzy chrześcijaństwo przyjęli, ścięto. Przeciw tej zbrodni uciekli się żydzi o opiekę do papieża, przyczynili się zaś do zbrodni może i Frankiści, bo i oni w polemice z żydami-rabanitami pomawiali ich o morderstwa rytualne.

Józef Frank, jako odnawiający się król-duch plemienia (może i Słowacki później coś o tem słyszał), wznowił herezję Sabataja Cewi smyrneńskiego, o której wyżej była wzmianka. Podkład dla sabataizmu, nauki o nadeszłym Mesjaszu, był na Wschodzie i w Polsce dawno gotowy: ucisk i nędza tłumów, szczególniej po «ruinie», tęsknota do wydobycia się z biedy i pogardy, coraz nieznośniejszej, marzenia, którym się nieczynni zawsze oddawali, złudzenia i nadzieje wywoływały nastrój mistyczny, z którego sprytny szalbierz korzystał. Takim okazał się smyrneński Józef Frank (t. j. zachodowiec), który wiary odmieniał jak rękawiczki, żadnej nie mając, chyba w własną gwiazdę. Pewnością wystąpienia, mistycznemi zwrotami z Kabały, cudami i lekami zdobył nowy mesjasz krąg wiernych, którzy go do Polski popchnęli, na Podole, do Kamieńca, gdzie biskup fanatyk (Dębowski, zawzięty antysemita, wszystkich żydów z Kamieńca wyświecał) dla antytalmudysty, bo tak się Frank sam oznaczał, miał wiele wyrozumienia, tem bardziej, że

Frank wcale się nie krył z zupełnem zerwaniem z żydostwem i nadzieje przyjęcia chrześcijaństwa budził; istotnie też ochrzcił się w Warszawie, a przed nim i za nim inni Frankiści. Osobisty interes kierował wszystkimi, Frankiem, jako głową sekty, wspieranym przez składki wyznawców, rządzącym się jak pasza turecki, Frankistami, którzy się przez przyjęcie chrześcijaństwa odrazu w życiu przemysłowem i towarzyskiem nad dawnych spółwierców wybijali. Przyznawano im przecież szlachectwo, nie wedle prawa polskiego, co byłoby niemożliwe, lecz wedle artykułu statutu litewskiego, wyrwanego z swego związku i najmylniej, ale powszechnie na ich korzyść tłumaczonego; zaraz też na sejmie konwokacyjnym 1764 r. podniosła szlachta polska najsilniejszy protest przeciw tym nobilitacjom masowym. Franka samego uwięziono już poprzednio i trzymano przez lat dwanaście w Częstochowie, skąd go Bibikow uwolnił: nie przeszkadzano mu jednak w znoszeniu się i obcowaniu z adeptami. Uwolniony porzucił Polskę, udał się do Berna, a wkońcu utkwił w Offenbachu koło Frankfurtu nad Menem i tam czczony nadzwyczajnemi honorami i ofiarami, życia dokonał. Frankiści polscy, warszawscy, wytrwali w dziwnem swem położeniu, niby chrześcijanie, przynajmniej na zewnątrz, ale niechętnie przez chrześcijan, zazdroszczących im zarobków, widziani: za sejmu czteroletniego wypłynęli w polemice spółczesnej, która się przeciw nim nie bez powodzenia zwracała.

Frankistów przezywali żydzi *ciapciuchami* (taką i podobne nazwy znają spółczesne broszury o *szepszejuchach*); ochrzcili się, gdy im dano do wyboru albo chrzest albo powrót do żydostwa albo wygnanie. Na więzienie zarobił Frank, gdy podpatrzono w tyle ogrodu misjonarskiego warszawskiego, gdzie się za pierwotną protekcją królewską umieścił, że przed zasiadającym na wysokiem krześle i przepowiadającym adepci klękali i czołem bili, bo widywali jasność nad głową jego. Żona a szczególnie córka jego odgrywały rolę znaczącą, a nie brakło śród

obrządków i takich, co z wyuzdaniem płciowem graniczyły; Frank przynajmniej na paszę i obyczaje haremowe nieraz zarywał, ale nie zawsze na posłusznych trafiał. Szerszych kręgów ani w Polsce (chociaż magnaci frankistów chętnie po swoich miastach osadzali), ani na Morawach ten ruch nie zatoczył; Marcin Lubomirski, znany z rozrzutności i dumy psychopata, przeszedł na frankistę i ożenił się z jedną Frankówną.

WOJSKO

Gorzej niż z skarbem i trybunałem było z wojskiem. Powtarzali posłowie na sejmach jednozgodnie, że «opresje» Rzeczypospolitej przez obce mocarstwa, długoletnia okupacja przez Rosjan i Sasów, łupieskie wycieczki pruskie i austrjackie, wywodzące z Polski, mianowicie z Wielkopolski, ludzi i konie, tylko z niemocy Polski wypływały, że rządzili się bezkarnie obcy w jej granicach — więc «aukcja wojska» była celem obrad sejmowych, programów reformy, walki stronnictw. Rozlały się wiadra atramentu i nieskończone flukty wymowy sejmowej, ale nic nie zdziałano, już dla samej ogólnej podejrzliwości.

Szlachta gardłowała niby za «aukcją», ale obawiała się, że nowem wojskiem król i dziedziczność tronu i ucisk wolności przeprowadzi; grasowanie wojsk saskich było jeszcze w świeżej pamięci; jeszcze bardziej obawiała się niezbędnych a znacznych, nowych podatków; Fryderyk II dobrze zaś wiedział i trafnie prorokował, że szlachta niezdolna do ofiar krwi i mienia dla państwa. Wypadłoby przecież między innemi otaksować na nowo i kwartę, płaconą na wojsko z starostw niegrodowych; Józef Potocki, wielki hetman kor., płacił taką kwartę z starostwa warszawskiego rocznie 500 zł., zamiast należących się 10.000, a podobnie, choć nie w tak bajecznej mierze, było i z innemi starostwami. Ofiarność jednego czy drugiego nie porywała ogółu; przestrogi i apele do miłości ojczyzny pozostały czczą retoryką.

Król i dwór odczuwali najlepiej potrzebę aukcji, ale obawiał się król hetmana, że mu z nowem wojskiem przysporzy tylko sił do skutecznej opozycji, więc nosił się dwór z myślą, aby nowe wojsko oddać pod komendę jenerała, któryby bezpośrednio królowi podlegał, na co hetman nigdyby się nie zgodził. Tak samo było z magnatami; ich wzajemna nie już nieufność, ale nienawiść obawiała się i dworu i jego stronnictw, mogących pokusić się o opresję tych wolności, które im służyły do trzęsienia krajem; punkt finansowy i u nich rozstrzygał. Duchowieństwo było również wszelkiej aukcji przeciwne, chociaż nieraz bardzo patrjotycznie przemawiało do sumień polskich, bo w ogólnem sobkostwie i ono potępiało wszelkie podwyższenie swoich subsydjów. I na żydach byłaby się aukcja również skrupiła. Należało więc nieszkodliwą gadaniną ubić najdrażliwszą sprawę, przewlekać nią sesje, aby, zakupionym wprzód głosem, sejm i całą jego robotę rozbić; nawet jednomyślna gotowość dworu i szlachty r. 1744 uniknęła istotnej próby ogniowej wskutek zerwania sejmu, co ajent Fryderyka II słusznie jako znaczne własne zwycięstwo sławił.

Jak sejm koronny wyrodził się w parodję parlamentaryzmu, a trybunał koronny okazał się zamachem na sprawiedliwość, tak spadło i wojsko polskie na karykaturę armji nowoczesnej, liczbą i uzbrojeniem, sprawnością i taktyką. Na czele stali hetmani z olbrzymiemi pensjami, nie mający nieraz pojęcia o sztuce wojennej; «sejm niemy» r. 1717 okroił nieco ich despotyzm, nie zostawiał im wolnej ręki co do urządzania pułków i na sejmach następnych wrzały nieraz spory o przywrócenie im dawnej pełni władzy. Wojsko koronne na początku wieku było jeszcze wcale pokaźne, liczyło około 40.000 żołnierza (litewskie zupełnie w wojnie domowej rozbito), ale niebawem zwijano chorągwie; topniało już z każdym rokiem. Sejm niemy ustanowił raz na zawsze jego liczbę i organizację; miało liczyć 24.000 koni i porcyj (t. j. żołnierzy); wojsko koronne liczyło

6000 koni a 12.000 porcyj, litewskie 2300 koni i porcyj 3800; jazdę narodową stanowili usarze, pancerni (petyhorcy litewscy), lekcy (Tatarzy, Kozacy); porcje szły między dragonów i piechotę (tej było dwa razy tyle co konnicy); zaciąg polski, narodowy, dzielił się na pułki i chorągwie; zaciąg cudzoziemski na regimenty i kompanje, jego musztra i uniform pozostały na razie niemieckie. W istocie osiągano tylko połowę tej liczby; wojsko nie liczyło nad 10 do 12.000 żołnierza; przeważali stosunkowo oficerowie («dwa dragany, cztery kapitany»), o których gaży sejm cudem jakimś zapomniał, więc wypłacano ją z porcyj i zmniejszano o tyle liczbę żołnierza. Lecz i tych 12.000 nie było sprawnych do boju; szczególnie zaciąg polski, rozrzucony po całym kraju, nie znał służby, karności, wprawy; oficerowie siedzieli latami w Warszawie, a chorągiew czy kompanja stała na dalekiej Litwie. Tytuły wojskowe, pułkowników, oberszterów i t. d. zastępowały wojsko; towarzysze latami absentowali się od chorągwi, ku zadowoleniu namiestnika, który ściągał z nich wszystkich sumy na spólny stół, a te «abcugi» szły do jego kieszeni tem gęściej, im mniej było towarzyszów przy chorągwi; oberszterzy pobierali żołd pełny, ale kompanje były niepełne pomimo nakazanego nadzoru; zbytni żołd sobie zabierali. Uzbrojenie było równie kosztowne, jak niepraktyczne, szesnastowieczne, szczególniej w husarji; przy wjazdach króla, hetmanów czy innych dygnitarzy, albo przy ceremonjach kościelnych paradowała ona znakomicie, ale do boju nowoczesnego była zupełnie nieprzydatna; piechota była wobec konnicy upośledzona, gdy w Europie już stosunek przeciwny panował. Liczba więc wobec armij krociowych wszystkich sąsiadów była śmiesznie niska, uzbrojenie zupełnie przestarzałe; pocieszano się niemożliwem pospolitem ruszeniem; nawet taki mądry i patrjotyczny Andrzej Załuski, kanclerz w. kor., w wielkiej mowie z r. 1744 na nie wskazywał! Obok wojska koronnego i litewskiego, które na kpiny również miało dwu hetmanów, choć go ani

na jednego nie starczyło, były milicje ordynackie (ostrogska z twierdzą dubieńską, zamojska z twierdzą Zamościem i litewskie trzy), a obok nich nadworne magnackie. Karol Radziwiłł miał jej do 6000, a Hieronim Radziwiłł 4000 wymusztrowanych z pruska, ale dla parady, albo dla gnębienia przeciwników, lub zajazdów; nie było magnata bez milicji nadwornej; biskupi, szlachta liczyli choć po kilkunastu dragonów. Twierdze (Kamieniec np.) były w strasznem zaniedbaniu; częstochowski garnizon liczył sto dziadów; mury się kruszyły, armaty stały na spróchniałych czy zgniłych lawetach. To wojsko nie zdołało nawet kresów ustrzec przed najazdami hajdamaków;[1] «na pięćdziesiąt hajdamaków trzeba było naszych dwieście, trzysta i więcej, aby ich zwyciężyli» (Kitowicz), ale bywało i wiele gorzej. Wpadło na Polesie kijowskie r. 1749 piętnastu hajdamaków, zebrał więc Ulryk Radziwiłł kilkaset towarzyszów i wyruszył na nich, uprosiwszy w Berdyczowie łaskę u cudownego obrazu. Pokazywał mu pułkownik pole, na którem śpiących hajdamaków napadł: tylko dwu z nich strzelało, inni «w przysiudy skakali i na wieczerzę pułkownika zapraszali»; wszyscy uszli bez straty. Towarzysze uciekali, aż jednego Radziwiłł zranił, gdy perswazje nie pomagały; «*sciendum* i to, że w dzień potyczki żaden z panów towarzyszów chorągwi nadwornych nie nacierał i owszem po krzakach się kryli». Na pamiątkę takiego to zwycięstwa wystawił Ulryk «stół Radziwiłłowski» i oczekiwał od ojczyzny nagrody a wdzięczności od ziomków!

Stosunek szeregowych do oficerów nie był dobry; owi służbę pełnili ciężką, jako służący osobiści oficerów, albo zarabiający na własne utrzymanie, do czego nawet Michał Czartoryski garnizon warszawski zmuszał, oficerowie zaś zabierali sobie ich

---

[1] t. j. zbójów, wypadających na wiosnę z Siczy zaporoskiej kupami po kilkaset konnych i pieszych dla łupów i mordów, zwinnych i odważnych, bo pochwyconych śmierć na palu czekała.

lenungi. Patenty oficerskie miały więc wartość, sprzedawano je wcale wysoko, nie dziw też, że uboga szlachta, nie mogąc się w wojsku docisnąć chleba, udawała się na służbę zagraniczną, do Sasów albo Prusaków.

Funkcje wojskowe polegały głównie na egzekucji lenungów, utrzymanie bowiem wojska było terytorjalne. Województwa i powiaty opłacały same swoich żołnierzy, a wybrani z towarzyszów egzekwowali sumy; zaległości były nadzwyczajne. Magnaci wprowadzali do wojska swoje nadworne komputy i pobierali za nie pełną płacę, chociaż komputy pełne nie były; pożyczali sobie nawzajem ludzi w razie rewizji; sejm niemy zniósł i to nadużycie i odtąd nie wchodziły w szeregi regularnego wojska milicje magnackie. Wojsko saskie było europejskie, więc za jego wzorem piechota przynajmniej wyglądała po europejsku, miała broń skałkową i bagnety; zwinięto zupełnie ciężką rajtarję, która się nad dragonję wynosiła i przywileje sobie rościła, chociaż jej wartość w istocie mniejszą była niż dragonji, bo się nie nadawała do spieszenia; składała się do tego niemal z samych Niemców. Nie liczyły się mocarstwa ościenne z wojskiem polskiem.

Czem mniejsza była wartość bojowa autoramentu polskiego (zaciągu narodowego), tem większej zażywał powagi towarzysz znaku usarskiego, pancernego (petyhorskiego na Litwie), lekkiego (straży przedniej), który stawał nad oficerem autoramentu cudzoziemskiego, nawet nad generałem. Prostoduszny, szczegółowy opis ks. Kitowicza uzbrojenia i życia towarzyszy czyta się jak najdotkliwszą satyrę: statysta to imponujący w komedjach wjazdów i pogrzebów, ale nie żołnierz. Chorągwie te (oprócz lekkich) nie tworzyły wcale pułków, mimo to była w nich moc pułkowników, t. j. poruczników; rotmistrzami bywali z królem i hetmanami sami magnaci, nawet prymas i biskupi krakowski i wileński; nie mieli nic do czynienia, bo rząd należał do porucznika i chorążego, a głównie do namiestnika, jednego

z starszych towarzyszy; towarzysz stawał z pocztowym (szeregowcem), a który nie chciał sam służyć, stawiał dwóch pocztowych. Żołd był szczupły, sześćset złotych na towarzysza z pocztowym i dwa konie; wyciągał je z obywatelskich wsi deputat, obławiający się przy tem nieźle; musztry towarzysze nie odprawiali żadnej, tylko szeregowcy, i to nader łatwą. Miało się przed oczyma wojsko nowożytne, saskie, szwedzkie i in., więc raziła nieproporcjonalność polskiego, ale zaślepienie wobec tradycji było tak zupełne, że nie zwracano na to uwagi, co tem łatwiej uchodziło, skoro nic nie przerywało głębokiego pokoju, chyba jaka wyprawa na hajdamaków, na których pancerni aż łuków zażywali, przekonani, że się zwykła kula hajdamaka nie ima. Stroił się każdy jak mógł; zczasem przybrali pancerni, najpierw litewscy, za nimi koronni, stałe barwy dla kontuszów, żupanów i szarawarów, niby mundury. Autorament «cudzoziemski» (z samych rodaków złożony) nie zażywał równej powagi, ale generałami jego tytułowano się chętnie; bywało ich i trzech w jednym pułku; komenda, musztra, uniformy były niemieckie, mundur czerwony a pludry wedle pułków różnokolorowe; liczne kompanje (po trzydzieści gminnych w kawalerji, po pięćdziesięciu w piechocie); oficerami prócz generałów *en chef*, mogła być także nieszlachta; z wyjątkiem regimentów, przydanych hetmanom do boku, inne próżnowały, nie mając spełna ni ludzi, ni koni. Były reformy, ale tylko takie, że zamiast kapuz przybrano kapelusze; że pudrowano głowy i szwarcowano wąsy, na wzór saski; że dano pludry skórzane zamiast sukiennych konnym; że lederwerki i buty lepiej glansowano. Były wreszcie dwie chorągwie janczarskie z swoją piskliwą kapelą i strojem tureckim, z olbrzymiem pudłem na głowie, i trzy węgierskie (w obcisłym stroju węgierskim); ich musztra była w języku niemieckim.

Tak uległa zupełnemu rozstrojowi siła wojskowa bitnego i mężnego narodu, jedyna poręka jego niezawisłości i państwo-

wości. Nie niezgoda, jak twierdził wezyr (łatwiej nakryć czterdzieści tysięcy głów jedną czapką, niż was zgodzić), lecz prywata unieruchomiła i obezwładniła szlachtę, która już nie ufała własnej sile; wybór Leszczyńskiego 1733 r. poparł cały naród, zgoda była więc zupełna, lecz wobec braku siły własnej, obce bagnety wprowadziły Sasa. Odtąd liczyła się szlachta z niezgodą mocarstw: żadne nie dopuści, aby zaborem Polski wzmocniło się inne nadmiernie; słabość Polski staje się poręką jej całości; silnej nie zniosłyby ościenne «potencje»; Rosja jest gwarantką naszego bytu; rozbioru nie dokona wzajemna zawiść — takiemi sofizmatami łudzono się świadomie.

Po raz ostatni zerwano się z niekłamanym entuzjazmem do ofiarnego czynu w konfederacji tarnogrodzkiej, powstałej na tradycyjnej ziemi rokoszowej. Jakie były widoki i zamiary wodzów, podaje jej akt związkowy, który obowiązywał szlachtę, «pamiętając na straszliwy sąd Boski, intencje swoje szczerze tylko na obronę upadającej obracając ojczyzny i najmniejszą z serca zrzucając prywatę póty, aż do gruntownego cała ojczyzna nie przyjdzie uspokojenia» wytrwać w tym świętym związku; i szlachta słowa dotrzymała wiernie. Król wojska saskie wycofał i plany absolutyzmu i dziedzicznej korony zawiesił, zato uszedł detronizacji; szlachta, rozbiesiona łotrostwami Pocieja a podłością Sieniawskiego, obcięła, niestety nie do końca, władzę hetmańską; zwyciężył car, który uniemożliwił porywy królewskie do zrzucenia jarzma moskiewskiego i odtąd i króla i szlachtę miał w ręku, nie potrzebując przyjmować ofiarowanego mu przez Pocieja W. Księstwa Litewskiego. Po Tarnogrodzie jednak pochowała już szlachta szable — to był ostatni za Sasów wybuch jej energji, zwróconej odtąd ku wybrykom samowoli. «Bracie, czyń jako chcesz, wżdyś wolno zrodzony», ciebie nie obwinią nigdy, «choćbyś ukrzywdził, byle nie większego», prawił w wierszach wydanych pośmiertnie Michał Działyński, kasztelan brzesko-kujawski (*Szala abo głos* i t. d. 1714 r.). A z samo-

wolą łączył się drugi jej ideał: «słodkiej używać z rozkoszą spokojności» (w Akcie przystąpienia konfederacji litewskiej do koronnej r. 1764).

KOŚCIÓŁ

Za Sasów jedyny Kościół nie był bierny, lecz stale zaczepny i dokonał tego, co wiek XVII rozpoczął, przewiódł mianowicie zupełną swoją przewagę, wykreślenie różnowierstwa, ascetyczne pojmowanie życia jako przygotowania do przyszłego. Wróciło średniowiecze; znowu życie duchowieństwa gorszyło jawnem rozpasaniem; znowu zastąpiła głębsze uczucie religijne wyłączna obrzędowość znaków zewnętrznych: posty, dróżki, msze, jałmużny; najmniejsze ich zaniedbanie mściło się natychmiast; wszędzie dostrzegano palca Opatrzności. Pogląd na świat był biblijny, więc

darmo Kopernik dowcipny dowodzi,
że niebo stoi, ziemia kołem chodzi;
ta się manija w głowie wtenczas rodzi,
kiedy kto mózgu w trunku *se* podbrodzi —

śpiewał ksiądz, a «naród» ślepo wierzył.

Obrzędowość zdobyła nawet nową pozycję: koronowanie obrazów Matki Boskiej. Rytuał tej uroczystości ustalił papież Urban VIII 1631 r.; koronowano tak obrazy w Włoszech, Czechach i na Morawie, a w r. 1717 w Częstochowie: w cudowną jesień polską, 8 października, dokonał obrzędu biskup Krzysztof Szembek (korony przysłali papież i August II) przy olbrzymim udziale pielgrzymów zewsząd napływających; po tej koronacji nastąpiło najżyźniejsze dziesięciolecie saskie. Po częstochowskim koronowano obrazy r. 1718 w Trokach, a potem coraz inne; magnaci i szlachta wysadzali się na kosztowne korony, a lud pielgrzymował gorliwie; wybijano też na pamiątkę każdej podobnej uroczystości medaliki, które noszono na piersiach i z któremi kazano się grzebać.

Słynęły dalej miejsca cudowne; wyliczał je ksiądz Nawrotowski: «Częstochowa, Jarosław, Przemyśl, Leżańsk, Kraków, Studziana, Borek, Rzeszów, Podkamień z Gidlami, Stara Wieś, Łączki, Hyżne i z Tuligłowami»; w kościele hyżneńskim wisiały za jego młodości wota:

drewnianych kul i szczudeł wiele,
Na wóz by ich nie zabrał, po ścianach w kościele;
Chusty, włosy, kołtuny po ścianach wisiały,
Nogi, ręce i głowy woskowe bywały;

biskup Mielecki za swej wizytacji popalił drewniane, a woskowe na świece kościelne stopić kazał i zabronił dalszego ich zawieszania.

Wiek XVII tyle powystawiał kościołów i wyposażył klasztorów, że w XVIII-ym nie odczuwano wielkiej potrzeby nowych, przybyło chyba najwięcej pijarskich, bo właśnie u nas cieszył się ten zakon większą niż gdzie indziej popularnością. Duchowieństwo ten brak nowych fundacyj przypisywało oziębłości wiary; najdosadniej ks. Wal. Wcisłowski w swojej wierszowanej *Teologji Polskiej* z r. 1742 rzecz określił: na Rusi niema opactw, bo ją zdobyto, «gdy już były ręce poskurczane»; i dziś o nich niema mowy, «chwała Bogu, że zrobić altaryjkę śmieją; dziś samych Mendykantów (zakony żebracze) fundują, klatkę im postawiwszy, niechaj się wiktują». Dla tego braku dawnej hojności zmalała Polska; podupadły dziesięciny i wyderkafy (te dla «żydów kanalij brzydkich»); dochody potoczne zdrobniały, pan na wsi nie mieszka, chłop za pogrzeb albo wesele da najwięcej pół talara (a z tego odpada coś i dla służby kościelnej), od chrztu 6 groszy, 3 od wywodu; «dalej świeccy kapłani nic nie będą mieli».

Duchowieństwo, szczególnie wyższe, bynajmniej nie przyświecało żywotem przykładnym; byli między prymasami i biskupami politycy raczej (np. kardynał Lipski), niż duchowni; do wyjątków należał Andrzej Załuski, kanclerz w., biskup krakow-

ski, który w celi jezuickiej życie zakończył; taki biskup Szaniawski (krakowski), Brzostowski (wileński), prymas Szembek, wysilali się tylko na gromienie różnowierców. Porzucali dawny rygor w stroju, przywdziewając wraz z kanonikami suknie modnego kroju, i przy stole, nie stroniąc od obiadów mięsnych w dnie postne, wydając nawet takowe uroczyście i gorsząc tem niemało wiernych; niższe duchowieństwo mniej dawało jawnego zgorszenia.

Naród był nadzwyczaj nabożny; dewocja przenikała i szlachtę i mieszczaństwo, które na tem polu przynajmniej dochodziło do jakiegoś równouprawnienia, i lud wiejski. Objawiała się w uczęszczaniu do kościołów; mszy niedzielnej nikt nie opuszczał, a kto mógł, i codzień jej słuchał; u wielkich panów z własnemi kaplicami i kapelanami, codzień ją odprawiano; szlachcic ranne nabożeństwo sam z rodziną i służbą przebrańszą odprawiał. Do spowiedzi i komunji przystępowano co najmniej do wielkanocnej, nierównie częściej członkowie bractw wszelakich. Uroczystości kościelne obchodzono nader wystawnie, z asystencją cechów, wojska, nie mówiąc o żakach i bractwach; procesje, w kościele i poza kościołem, od jednego do drugiego, na rynku, z licznym udziałem także wielkiego państwa, z Augustem III na czele, urozmaicały bieg życia codziennego; Boże Ciało, resurekcję (z obchodzeniem poprzedniem grobów), jasełka (z podobnem obchodzeniem) święcono uroczyście, a przybywały do nich procesje bractw różańcowych; łączono się dla większego nabożeństwa w bractwa wszelakie z osobliwszemi praktykami. Najludniejsze było różańcowe, dominikańskie, bo oni mieli przywileje na nie, kwitnące po miastach i miasteczkach, dla obojej płci; schodzono się na osobne nabożeństwo, którem ksiądz-promotor kierował, odmawiając modlitwy różańcowe imienia Jezus czy N. P. Marji, odprawiając procesje (dwukrotnie do roku), a po miastach także uczty po nich dla księży i starszyzny brackiej; po różańcowych, wystawniejszych, były

bractwa szkaplerzne, bez osobnych nabożeństw, noszące szkaplerze, poszczące środy; dalej inne bractwa, św. Anny, św. Barbary i t. d. Do bractwa literackiego należeli mieszczanie, śpiewający przy mszy własnej, wotywnej, z chorałów kościelnych pieśni łacińskie. W nabożeństwach pasyjnych występowali kapnicy, ubrani w kapy z kapturami, zakrywającemi twarz, z wycięciami dla oczu; w procesji nawiedzali kościoły i tam przed i po kazaniu biczowali się do krwi, z woli własnej czy z nakazu spowiednika; w wielki piątek obchodzili kościoły, w każdym się raz biczując; oprócz zwykłego krzyża, noszonego na czele ich procesji, był drugi wielki, niesiony przez kapnika na wzór Chrystusowy, z koroną cierniową, łańcuchem, Cyreneuszem i żołnierzami. Wszelkie bractwa odprowadzały z świecami i chorągwiami zmarłych członków do grobu.

Zachowywano ściśle posty; w środę, w sobotę suszono, obserwując ją nawet ściślej niż piątek.

Osobny rodzaj nabożeństwa stanowiło tercjarstwo, t. j. przypisanie osoby świeckiej do zakonu, noszenie sukni lub paska barwy zakonnej, świadczenie jemu usług, korzystając zato z jego modłów i dobrych uczynków. Od tercjarzy, pozostających zupełnie w świecie, różnili się dewoci i nierównie liczniejsze dewotki tem, że mieszkali w klasztorze albo przy nim i świata i jego spraw się wyrzekali; nosili ubiór szary.

Nabożeństwo służyło nawet do wytrzeźwienia: Panie Kochanku nigdy mierną szklanką i powoli nie pił, ale miał szklanicę wielką, więcej niż kwartową, tę zawsze duszkiem wina pełną wypijał, a jak takich kilka szklanek wypił, tedy był pijany; upiwszy się biegał na koniu albo szedł do kaplicy: tam tedy godzin ze dwie lub więcej śpiewał godzinki, różaniec i inne pieśni nabożne, aż się zawrzeszczał i wytrzeźwił. Jeszcze bardziej służyło serwilizmowi: w Niehniewiczach była codzienna msza święta i podczas niej śpiewaliśmy godzinki o Niepokalanem Poczęciu N. P. M.; tedy gdy w pieśni «Zawitaj ranna

jutrzenko» przychodziło do tych słów: «Sprawuj senatorskie rady», tedyśmy się wszyscy kłaniali ks. wojewodzie (Panie Kochanku) — opowiada Matuszewicz.

Z nabożeństwem i dewocją kojarzyły się mimowoli, nie tępione przez duchowieństwo, przesądy, zabobony, zjawiska wszelakie, objawienia i cuda; towarzyszyły szczególniej śmierci, często ją przepowiadały; naganiano niemi strachu kornym owieczkom. Świadek spółczesny prawi: «Nie było domu magnatów lub majętnego obywatela, żeby po śmierci pana lub pani dusza nie pokazywała się to księżom, to sługom obojga płci, to zakonnikom bawiącym w tym domu i nie żądała, by sukcesorowie czynili fundusze i hojne ekspensy na nabożeństwa ku poratowaniu jej zbawienia. Częstokroć te dusze zostawiały znaki wypalonej na stole ręki i straszyły swem pokazaniem się ludzi i kobiety». Matka Karpińskiego «dobrą jakąś duszę po północy widziała biało ubraną, z cierniem po przysiece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potem przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się — cała rodzina, obudzona przez ojca, trzy godziny modliła się za zbawienie tej dobrej duszy, bo się po północy zjawiła, gdy złe duchy przed północą błądziły. Ojciec nasz słyszał, jak św. Józef z obrazu swego, który był w izbie, wymówił to słowo 'cnota'; widział w wigilję Bożego Narodzenia, także po północy, N. P. M. na niebie w żółtym robronie». Wiara w upiorów i upiorzyce szerzyła się, jak i kołtun, nagminnie:

Ledwo nie codzień przechodzące mnichy
O niczem więcej nad to nie gadają:
Jak się umarli z grobów przez wytrychy
Szatańskie mocą na świat dobywają;
Jak z niemi wojnę toczą, jak ich biją,
Jak się przed nimi w groby wchodząc kryją...
Lada dziad sędzią i egzekutorem,
Ścina umarłych rydlem i toporem.

Mówią, krew płynie po ucięciu głowy;
Ten ją pod pachą nosi, ten na dłoni;
Ów zaś koszulę ujadł do połowy;
Ten się zaszargał, który ludzi goni;
Drugich psy szarpią, kąsają po nogach,
Co zastępują podróżnym po drogach.

Jak nazwa dowodzi, początek *upierów* (spolszczono ich na *upiorów*) i *upierzyc* był ruski (to samo słowo co *wampir*, słowiańskiego na Bałkanie początku); rzecz i nazwa przed ośmnastym wiekiem u nas nieznana, bo mieliśmy już strzygi i strzygonie; tak porastało w nowe pierze, co już zdawało się zagrzebanem; podobnie w nowszych wiekach wiara w wilkoł(a)ków się wzmogła. O opętanych przez złe duchy i ich egzorcyzmach w Częstochowie i indziej, zob. II, 113. «W owe czasy mianowicie między niewiastami pełno było opinij o pokutowaniu dusz» (prawi mimochodem Kitowicz str. 332) i na nie składano wszelakie przypadki, często i gorszące, a duchem pokutującym był łotr swywolny. Palenie czarownic plamiło dalej Polskę.

ZAKONY

Wyżej wyliczyliśmy zakony i klasztory, nie poprzestając na XVII-wiecznych, wciągając i fundacje XVIII-go wieku, więc szczegółów fundacyj i t. p. nie powtarzamy. Samo życie zakonne odmian nie zaznało, ale i tu niejedno pochyliło się ku upadkowi, tak dosadnie przez Krasickiego w *Monachomachji* skreślonemu.

Prym trzymali jak dawniej jezuici i nikt im tego pierwszeństwa nie odmawiał; liczbą, majątkiem, wpływami, związkami, powagą, wiedzą żaden się inny zakon z nimi nie zrównał. Celowali nauką: jezuita winien był wszystko wiedzieć, na każde pytanie mieć odpowiedź gotową; celowali układnością, postawą, miną; celowali hojnością, karmiąc ubogich u furt swoich w obiad i wieczór; nawiedzali ubogich chorych; odprowadzali złoczyń-

ców na rusztowanie; chodzili parami, bez «socjusza» ukazywali się tylko wyjątkowi; zmrok nie zastawał ich za furtą. W dobieraniu braci zakonnej byli bardzo przezorni; nieszlachcic między nimi odznaczał się chyba rozumem, majątkiem, związkami; wstępowali do nich na stare lata wysocy dostojnicy, świeccy i duchowni (np. biskup krakowski Załuski), żadnych wyższych godności zakonnych nie dostępując. Nie posiadali jednak już owej wszechwładzy XVII-wiecznej, ani politycznej (ojciec Vota u Sobieskiego!), ani umysłowej, chociaż między poetami ich Rudnicki najwyżej może stanął, a ich Niesiecki w pracy naukowej innych przewyższał.[1]

---

[1] Nie dziw, że księża świeccy i zakonni zazdrościli jezuitom i niejedną im ubliżającą anegdotę szerzyli. Przytoczę jedną, którą mimo wszelkich pozorów autentyczności mogę sprowadzić do pierwotnego, obcego źródła. H. Kołłątaj (*Stan oświecenia w Polsce* i t. d., Poznań 1841, I, 77 i n.) opowiada o Annie z Tęczyńskich Firlejowej, wojewodzinie sandomierskiej, że się zupełnie w Tęczynie jezuitom oddala, zarząd dóbr ich braciszkom powierzyla i odosobniwszy się od świata ustaliła się przy nich w przekonaniu, że dzięki swemu nabożeństwu wizji i obcowania z świętymi dostąpi. Dwaj nowicjusze objęli w tym celu rolę św. Alojzego i św. Stanisława Kostki, biesiadowali i tańcowali z wojewodziną. Rozniosło się to po świecie i kwestarz karmelita dla zbadania prawdy wkradłszy się w zaufanie jezuitów tęczyńskich, dowiedział się niejednego i gdy raz miało się odbywać podobne święto mistyczne, przybył z kursorem konsystorjalnym; wpuszczony jak zwykle dla przenocowania wpadł w samą zabawę jako św. Piotr i zaczął kluczami okładać św. Stanisława, zato, że z jego przyczyny niebo tak długo odemknięte; tak wydało się szalbierstwo; oburzona wojewodzina oddaliła wszystkich jezuitów, a karmelitom na Czerni koło Krzeszowic klasztor zbudowała.

Ale jest to tylko anegdota starofrancuska, którą w oryginale przytaczam: «l'histoire du cordelier soy disant sainct François, qui joua si bien son personnage à l'endroit d'une povre bigotte, qu'elle luy fit place en son lict: mais avant qu'il peust mettre en exécution sa bonne volonté, la farce fut achevée autrement qu'il ne pensoit, et par ceux desquels ils ne se doutoit pas. Car S. Pierre (comme portier de Paradis) et S. Thomas (comme celuy, qui ne pouvoit croire telle chose), le vindrent cher-

Od połowy wieku wybili się pijarzy, do niedawna wcale skromni, na czoło, dzięki braciom Konarskim (i wymowie kaznodziejskiej Samuela Wysockiego); szczególniej w drugiej połowie wieku, po kasacie jezuitów, żaden im zakon w pracy naukowej, wychowawczej, obywatelskiej nie dorównał i pamięć ich pozostała najszczytniejsza. Wydawaniem *Kalendarzyka politycznego* wyprzedzili pijarzy jezuitów i Gröllа.

Gorliwością celowali misjonarze św. Wincentego à Paulo; pierwszych sprowadziła r. 1651 do Warszawy Marja Ludwika, która św. Wincentego osobiście znała; tu w parafji św. Krzyża założyli główny dom swój; Francuzi byli pierwszymi misjonarzami i do Francji wysyłano wstępujących do zakonu na próbę i naukę; kierowali seminarjami duchownemi, zakładanemi z polecenia papieża Innocentego XI przez biskupów polskich dla kleru diecezjalnego. W r. 1700 mieli już misjonarze dziewięć domów, a niebawem wzrosła ich liczba do 32, a 20 seminarjów; tworzyli jedną prowincję pod wizytatorem w głównym domu warszawskim i superjorem generalnym w Paryżu. Nie było zakątka w Polsce, dokądby misjonarze nie docierali, ucząc dzieci i lud katechizmu, spowiadając i przepowiadając słowo Boże; byli najsurowszymi spowiednikami i najżarliwszymi kaznodziejami, występując ostro przeciw wszelkim modnym nałogom, redutom, strojom nieskromnym, pojedynkom. Najsłynniejszym z pośród nich kaznodzieją był Sikorski, który w Krakowie, gdy się tłumy nabożnych w kościele nie mieściły, na wolnem polu miewał kazania.

---

cher jusques au lict et le remenèrent un peu plus rudement qu'il n'estoit venu».

Autentycznem jest jednak opowiadanie o kanclerzynie Szembekowej, która ślubowała pielgrzymkę do Grobu św.; pielgrzymkę odbyła w lasku u Babic pod Warszawą, bo prowincjał dla uniknienia kosztów i fatygi paroletniej pielgrzymki wyjednał w Rzymie odmianę tego ślubu; obliczono długość tej drogi i dopełniła jej ratami kanclerzyna, a koszty i jałmużny pielgrzymki przypadły w udziale zakonowi.

Nie odmieniły się w niczem inne zakony. Najpopularniejsi, szczególnie na Litwie, byli bernardyni, a ich kwestarze słynni byli i z trybu poufałego i z opowiadań uciesznych i z żyłki pijackiej, dotrzymując kompanji pierwszym opojom Korony i Litwy (por. anegdotę u Kitowicza z Adamem Małachowskim, krajczym kor. w Bąkowej Górze, z jego puharem *Corda fidelium* i kwestarzem bernachem z Wielkiej Woli w Opoczyńskiem, albo urządzenie «klasztoru» dla popojki u Borejki, kasztelana zawichojskiego). Ostrością reguły odznaczali się kapucyni i reformaci; kapucyni, śród których przeważali Niemcy, odprawiali kazania dwoiste, polskie i niemieckie, chociaż zakon sprowadzono do Polski 1680 r. z Włoch, a Polacy i dawniej do zakonu wstępowali.[1] Kapucyni słynęli z nauki kucharskiej i ogrodniczej; ich sztokfisz paradował na stole królowej (żony Augusta III), a ich owoce odznaczały się doborem; co z refektarza zbywało, tem karmili, jak i reformaci, żebraków u furty klasztornej. Reformaci chętnie ubóstwo zakonne uwydatniali, poznosili aparaty kosztowne, lichtarze srebrne, zastąpili je włóczkowemi i drewnianemi. Inne reguły zakonne, oprócz kamedułów i kartuzów naturalnie, pustelników raczej niż zakonników, były mniej ostre; franciszkanów np. chętnie wybierali panowie na kapelanów dworskich, a księża na wikarjuszów przy parafjach, bo i po lat kilkanaście mogli trwać na takiej «ekspozyturze». Podobnie było z dominikanami, odznaczającymi się większą nauką, a z powodu nabożeństwa różańcowego, ich monopolu, bardzo popularnymi; klasztory ich bywały zamożne, a gdy się co trzy lata na kapitułę dla wyboru przełożonych zjeżdżali, ich woźnice rząd między

[1] O jednym opowiedział Niesiecki anegdotę, urobioną na modłę przytoczonego w tomie II, 107 *dictum* o «clericus pluralis-infernalis», bo gdy Jan Modliczewski, kanonik płocki, wyliczając wszystkie swoje beneficja (a miał ich 24), nie mógł przypomnieć ostatniego, usłyszał głos z kąta: «w piekle u mnie będziesz miał 24 beneficjum», co go tak przeraziło, że zrzekł się wszystkich i został kapucynem w Niemczech.

sobą marszałkowski z instygatorem i batogami na niepilnych ustanawiali. Benedyktyni i cystersi, najstarsze zakony, najmniej się wyróżniali; benedyktyni wysyłali swoją młodzież zakonną do szkół jezuickich, aż Franc. Starzeński własne u nich zaprowadził. Do zakonów wstępowała młodzież, która próby nowicjatu często nie wytrzymywała (szczególnie u jezuitów); wstępowały rozbitki wszelakie, żołnierze, pasjonaci (szczególnie do bernardynów, u których bywał też rząd ostry), ale też pociągał widok na życie bezczynne, chleb łatwy a pewny. To samo bywało w klasztorach żeńskich, więc nie dziw, że pełno było skarg na życie po zakonach niezakonne, chociaż do takich zgorszeń, jak na przełomie wieków średnich nie dochodziło; szczególnie w zakonach żeńskich wiodło się życie przykładne; nabożeństwa odprawiano regularnie, ale życie umysłowe bardzo podupadło; nieuctwo, ospalstwo, próżniactwo rozgościło się szalenie. Jedynym zakonem polskiego początku pozostali Marjanie St. Papczyńskiego (zmarłego r. 1701), oddający się oprócz czci N. P. M., nauczaniu ludzi i modlitwom za poległych w boju czy powietrzu; za staraniem biskupa poznańskiego Wierzbowskiego uzyskali Marjanie zatwierdzenie papieskie. W ciągu XVIII wieku przybyło nieco ich domów, w Marjampolu i indziej.

RÓŻNOWIERCY

Ich położenie pogorszyło się znacznie; padli ofiarą nienawiści wyznaniowej. Główną winę ponosiło duchowieństwo, skoro od końca XVII wieku kładło szlachcie w uszy, że Bóg karze Polskę za znoszenie różnowierstwa; że stąd poszła wszelka niedola; że nie będzie lepiej, póki się go nie wypleni; zapewnieniom lojalności nie należy wierzyć, bo jakaż może być jednomyślność z tym, który w najszacowniejszem, w wierze się ode mnie różni? Duchowieństwo pismem i czynem podjudzało szlachtę, wymagało, żeby im odmawiano praw politycznych i zabraniano wykonywania nabożeństwa, t. j. budowania nowych zborów, po-

prawiania czy odnawiania dawnych, pogrzebów publicznych, własnej nauki szkolnej; żeby poddano ich zupełnie pod proboszcza, by świadczyli opłaty katolickie, brali udział w obchodach. Powoływano się przytem stale na przykład obcy: w jakiem poniżeniu katolicy w Anglji czy Prusiech, takie samo należy się protestantom u nas. Trafiali zaś duchowni tem łatwiej do przekonania, że przynajmniej w Koronie, szlachta różnowiercza zmalała do nielicznej garstki: nierównie więcej było jej na Litwie i w Prusiech. Tak przestali być w Koronie różnowiercy krwią z krwi i kością z kości naszej i szlachta nie myślała się z nimi więcej liczyć. Wzrosła wprawdzie, szczególniej w Wielkopolsce ponownie ich liczba, ale to byli obcy przybysze, koloniści. Nie miało duchowieństwo nic przeciw Niemcom katolikom, np. t. zw. Bambrom, tem więcej przeciw protestantom. A mnożyła się ich liczba i przez przybyszów saskich, w wojsku, przemyśle i handlu, którzy za dworem ściągali do Warszawy, wnosili do Polski swe obrządki i wywoływali protesty.

Rosła więc nietolerancja z każdym rokiem, a różnowiercy sami dolewali oliwy do ognia. Już w XVII wieku oburzyli społeczeństwo wiązaniem się z Szwedami, upatrując w nich dla spólnej wiary wybawców — przypłacili to wtedy arjanie wygnaniem. Teraz było znacznie gorzej, bo uciekali się różnowiercy do obcych mocarstw, do Prus, Danji, Holandji, Anglji, z prośbami o wmieszanie się do spraw polskich, o gwarancję praw dysydenckich i psuli przez to ziomkom krew ogromnie; na każdym sejmie im to wytykano. Gdy Szwedzi goniąc Sasów przed sobą, zajęli Wielkopolskę, żądał Karol XII takich ustępstw dla 'Lutrów', że tylko groźbą zrzeczenia się korony wymógł Leszczyński znaczne ich umiarkowanie. Gdy konfederacja tarnogrodzka wypędziła z kraju Sasów, lutrów i pludrów, odbiła się jej niechęć na lutrach własnych; pod pretekstem, że nie wnosi się nic nowego, że zapobiega się nadużyciom, jakie za Szwedów wtargnęły, że się wznawia dawne ustawy, usunął sejm niemy

wszelkie ich prawa, nie dopuścił do potwierdzenia konfederacji warszawskiej przez króla, zażądał zniesienia wszelkiej «innowacji». Kierowali opinją katolicką dwaj fanatycy, biskupi Szaniawski (włocławski, potem krakowski) i Brzostowski (wileński), listami pasterskiemi; Szaniawski głosił: «Niechże wiedzą (dysydenci), że my ich jesteśmy pasterzami i że winni posłuszeństwo głosowi naszemu, ponieważ w Kościół przez chrzest są wszczepieni, jego są synami, lubo nieposłusznymi i odpornymi się stali». Więc nie uznawano ślubów zawartych przed ministrem tylko; nakazywano dzieciom luterskim chodzić do szkół katolickich, dorosłym na kazania niedzielne, procesje, obchodzić święta wedle kalendarza nowego; dzieci z małżeństw mieszanych były katolickiemi; zabraniano ministrom udzielania sakramentów, przekreślano więc odrębność wyznaniową. W Inflantach wznowiono katolickie kościoły i nabożeństwa. Na Litwie wyrugował Brzostowski jednym listem pasterskim dysydentów ze wszystkich urzędów, r. 1717 zażądał bowiem, żeby nie wybierać ich na deputatów trybunalskich, a w razie wyboru nie dopuszczać do funkcji i trybunał wyrugował istotnie dla samego wyznania czterech deputatów ewangelików; w trybunale skarbowym nie dopuszczano ich do przysięgi, tak samo wyłączono ich z urzędów grodzkich i miejskich. Przed sejmem r. 1718 rozesłał Brzostowski nowy list do szlachty, aby nie wybierała dysydentów na posłów i liczne lauda sejmikowe w Litwie i Koronie domagały się tegoż, lecz jeszcze tyle szanowano prawa wyborców, że dostawali się dysydenci do sejmu, więc najbezprawniej w świecie ksiądz Ancuta z ławki widzów (!) zatamował głos posłowi wieluńskiemu, Piotrowskiemu, jako dysydentowi, a ten dał się zahukać i odniósł się do marszałka «pod laskę», t. j. pod sąd sejmowy, co zawieszało posiedzenie *(passivitas)* i mimo protestu innych posłów został wydalony z sejmu, który nadal oczyszczano z «herezji»; r. 1733 zabroniono dysydentom dygnitarstw, urzędów wszelkich i posłowania.

Biskupom, Szaniawskiemu i Brzostowskiemu, czynnym gwałtom, sekundowali w polemice literackiej ks. kanonik wileński, oficjał Ancuta, który z pomocą jezuity Sokulskiego wydał *Jus plenum religionis catholicae* 1719, dowodzące bezprawności dysydentów, i J. A. Załuski, *Dwa miecze* i t. d. 1731 r.; ten w broszurach ze znaną pedanterją swoją wyliczał wszelkie argumenty antydysydenckie.

Do biskupów i literatury dostroił się trybunał koronny, który z tytułu «regestru *arianismi*» przywłaszczył sobie sądy i o wiarę, choć te należały przed forum duchowne albo sejmowe. Każda sprawa dysydencka (np. o burzenie zborów itp.), wniesiona przed trybunał, była zgóry przegrana, a karą śmierci groził sam artykuł. Najhaniebniej splamiła się najwyższa judykatura krajowa iście potworną żarliwością w sprawie Zygmunta Unruga 1715 r. Łotr wierutny, pisarz ziemski, A. Potocki, w zamiarze łotrowskim (donosicielowi przypadała połowa konfiskowanego majątku), doniósł na sejmiku średzkim zbrodnię niesłychaną. Unrug zapisał był w notatniku, gdzie zbierał wszelkie zewsząd cytacje, zdanie, wyjęte z dziennika francuskiego (*Esprit de cours* r. 1710): *La verité salutaire n'est elle donc descendue du ciel que pour être aux habitans de notre globe une occasion perpetuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division?* (cały artykuł był treści politycznej, bynajmniej nie teologicznej!). Sejmik pochwalił gorliwość denuncjanta i zalecał mu dalsze kroki, więc rzecz poszła do Piotrkowa, a trybunał skazał Unruga na spalenie ręki, wyrwanie języka, ścięcie, czemu uszedł obwiniony tylko nagłą ucieczką zagranicę, bo w podobnych sprawach nie wlókł się proces latami; w ciągu czterdziestu godzin np. odbył się cały proces i stracenie pułkownika Köhlera za bluźnierstwo przy winie! Jedenaście lat czekał Unrug, zanim go zrehabilitowano (majątek uległ konfiskacie, Potocki dostał połowę), chociaż cały świat przeciw potwornemu wyrokowi protestował: duchowni, że świecki trybunał w nieswoję rzecz się wdał; nuncjusz

papieski (Santini); Sorbona paryska, która pod zmyślonemi nazwami proces ten trutynowała i wyrok potępiła.

Nierównie większego hałasu narobiła sprawa toruńska. W mieście luterskiem były na porządku dziennym skandale uliczne z wychowankami kolegjum jezuickiego; przebrały jednak miarę, gdy 24 lipca 1724 r. doszło do napadu i złupienia kolegjum przez motłoch. Oskarżono burmistrza i rajców, że temu nie przeszkodzili, skazano na śmierć burmistrza Rösnera i dziesięciu radnych i 7 grudnia wyrok barbarzyński ku zgrozie całego świata wykonano; odebrano lutrom gimnazjum, drukarnię, kościół P. Marji i połowa rajców miała być odtąd katolicką. Napróżno wdawał się nuncjusz Santini, odrzucono z oburzeniem to wmieszanie się obcego (niepopularnego z innych powodów) w rzecz domową; obojętne, w jakim celu August II nie zahamował wyroku; odtąd straciła Polska sympatje europejskie, napiętnowany został jej fanatyzm. Co nierównie gorsza, zjednoczyli się car Piotr, któremu sprawy wyznaniowe były najobojętniejsze (nie ujął się też jego pełnomocnik za dysydentami za sejmu niemego), i król pruski w proteście toruńskim, tworząc niebezpieczny precedens na przyszłość. Król pruski, inaczej niż Piotr, «weksy» dysydenckie pilnie śledził i coraz o nie przez swoich rezydentów się upominał; jego nadymał Daniel Ernest Jabłoński, brat czeski, superintendent zborów wielkopolskich, nieznużony w obronie swego wyznania; on wskrzesił zapomnianą już zgodę sandomierską 1570 r., jako jej dziejopis, szafował pismami polskiemi, niemieckiemi, łacińskiemi, władając dzielnie piórem, wytrawny znawca ludzi i czasów, a wierny sługa pruski.

Król zobowiązywał się przy generalnej konfirmacji praw, że będzie czuwał nad spokojem *(pacem ac tranquillitatem inter dissidentes de religione tuebor)* i nie dopuści się ani dozwoli urzędom pokrzywdzenia kogokolwiek dla wiary. To było na papierze, w rzeczywistości przynosił już wiek XVII silne ograniczenia. R. 1632 zakazano budowy nowych zborów; 1668 pozwo-

lono dysydentom-szlachcie (ale nie ich służbie!) już tylko na odprawianie domowego nabożeństwa (ale bez kazania i śpiewu), a odstępstwo od katolicyzmu karano wygnaniem! W wieku XVIII dochodziło do kurjozów. Sprowadził Stanisław Poniatowski sukienników niemieckich, lutrów, do Zaleszczyk; biskup kamieniecki, fanatyk Kamiński, nie dozwolił dla nich budowy zboru, więc dla odprawiania nabożeństwa udawali się — zagranicę, do mołdawskiego Prelipcza za dozwoleniem W. Porty. I Stanisław August nie mógł poradzić inaczej, niż tak, że mianował pastora Lachmanna audytorem wojska kor., a sługę kościelnego jego ordynansem! Jabłoński broniąc jednowierców zbierał tylko i drukował dawne ustawy i prosił o ich zachowanie; przeciw niemu to właśnie wygotował Ancuta ów skrypt jadowity, w którym różnowierców odsądzał od czci i wiary, ale zestawienia Jabłońskiego, szerzone w tłumaczeniach niemieckich i francuskich, obruszały silnie zagranicę.

Religja, wyznanie, przeważały zawsze jeszcze nad narodowością czy ojczyzną i protestanci polscy byliby w każdej chwili gotowi do zdrady kraju, t. j. do łączenia się z obcymi, dla wiary. Zapominali, że była ich drobna garstka, około 200.000 (prawda, górowali wykształceniem i zasobami), w wielkiem państwie katolickiem; żądali zaś nie tolerancji dla siebie, lecz równouprawnienia i oburzali przez to nawet zwolenników tolerancji, np. Czartoryskich. Taki posiew wydał też niepożądane owoce, co za Sasów tliło, wybuchło po nich płomieniem. August II pozornem przejściem na katolicyzm koronę uzyskał, pozostał jednak w duchu lutrem, a raczej w nic, prócz w siebie, nie wierzył, pieskom swoim zawieszał różańce; inny był stan za nader pobożnego Augusta III, ale okazał się wkońcu ciszą przed burzą.

Wiara (katolicka) i wolność (polska) były niby nierozerwalne, wolność była córką wiary; przyczynę wszego złego w Polsce upatrywał Działyński (w *Szali*, zob. wyżej), najpierw w zasadzie: «wierzże jako chcesz«; to rani śmiertelnie wiarę,

a jej córka (wolność), zwiedziona od djabła, ginie powoli, «bodaj nie wkrótce jak zarznięta zaśnie». Potępiano więc samą zasadę tolerancji jako grzeszną, a różnowiercy brakiem zgody (np. luterska Wschowa nie znosiła kalwinów w obrębie swych murów), nie nadwątlali tego przekonania. Mimo to szerzyli się dysydenci, gdyż panowie, nawet duchowni, chętnie ich do służby przyjmowali jako skromniejszych, trzeźwiejszych i pilniejszych. Chłódł też powoli zapał duchownych: po śmierci gorliwców, prymasa Szembeka, wcale nie szczególnej figury («Bale bale» przezywanego od ulubionego zwrotu), i niektórych z «plenipotentów Pana Jezusa», ustały napady na *kryple* (zbory, *Kripplein Christi)* i zadowalano się znoszeniem istniejącego stanu, który jednak dla dysydentów był bardzo przykry, boć tylko we Wschowie luterskiej i w Lesznie mogli odbywać publiczne nabożeństwa; wszędzie indziej musieli się godzić z proboszczem miejscowym, którego dochody przez to znacznie rosły. Byli i świeccy (Kitowicz wymienia dwu, Bonkowskiego i Kryskiego), którzy majątki tracili na wojnę ze zborami. Ależ wszechwładny minister (Brühl) był lutrem, przy dworze sami lutrzy, na kresach zachodnich wciskało się zewsząd luterstwo, protegowane ze względów ekonomicznych, do Warszawy spływali luterscy przemysłowcy i rękodzielnicy, więc nietolerancja wcale nie była na czasie.

Związki z zagranicą i wpływy dworu saskiego umożliwiały nawet pierwsze kroki przyszłego ruchu wolnomularskiego, który wypowiadał wojnę przesądom, nietolerancji, hasłom narodowościowym w imię wyższych celów moralnych i humanitarnych. Syn Augusta II, hr. Rutowski, założył około r. 1738 w Dreźnie lożę «Trzech Orłów Białych», a jej filje zjawiały się przelotnie w Warszawie, ale dopiero dwaj Mniszchowie wraz z wojewodą mazowieckim Andrzejem Mokronoskim i pułkownikiem Konstantym Jabłonowskim otworzyli stalsze loże czterostopniowe w Wiśniowcu 1742 r. i Dukli r. 1755, bez nazw obcych; należeli do

nich marszałek w. lit. Ignacy Ogiński, stolnik koronny August Moszyński, stolnik litewski Jerzy Wielhorski, dwaj Potoccy, St. Lubomirski, w. marszałek kor. i in. Za staraniem Mokronoskiego powstała w Warszawie w jego domu loża «Trzech Braci», później i loża «Dobrego Pasterza», a we Lwowie loża «Trzech Bogiń»; zależały one niby od Wielkiej Loży Londyńskiej, lecz rządziły się statutem francuskim. Byt ich był nader chwiejny, malały i znikały zupełnie, by znowu powstawać i powiększać się; wpływu nie wywierały, były raczej modną zabawką arystokratyczną, wyzwały jednak duchowieństwo do walki. Konsystorz warszawski rozkazał z ambon przestrzegać wiernych przed nową sektą, podejrzaną już dlatego, że się starannie ukrywa; wobec braku jawnych poszlak niesposób było pozywać winnych przed sąd konsystorski, a cóż dopiero przed trybunał, lecz nawoływania nie pozostały bez skutku; wolnomularstwo za Sasa nie przyjęło się wcale na gruncie polskim. Jeszcze słabsze były ślady deizmu i deistów: głównymi ich propagatorami byli chyba metrowie francuscy, którym arystokracja powierzała wychowanie młodzieży, albo panicze sami, przywożący z Paryża te zasady, wkońcu książki francuskie, napływające coraz obficiej do kraju. Nie istniała dla nich religja objawiona z dogmatami i misterjami wiary, które też przedrwiwali za wzorem Wolterowym; rządzili się kodeksem moralności «ludzi poczciwych».

Groza regestru arjanizmu, z którego trybunał szafował karą śmierci, osłabła też znacznie w ostatnie lata Augustowe; coraz śmielej występowało różnowierstwo, a słabła dewocja. Dawniej na popielec np. zjeżdżali wszyscy do kościołów; chorzy, nie mogąc przyjąć popielca w kościele, prosili, aby im był dany w domu; ku końcu lat Augustowych cisnęło się do popielca już tylko pospólstwo, a do domów nikt go już nie prosił; podobnie upadł zwyczaj kolędy u panów. Od połowy wieku zagęściły się i rozwody. Ale klątw kościelnych jeszcze się obawiano, jeszcze przeszkadzały do funkcji poselskiej i innej tak

jak kondemnaty świeckie; budziły wstręt do wyklętego. Władza konsystorzów powoli jednak zmalała, szczególnie gdy obywatele ziemi warszawskiej i czerskiej spory o dziesięciny przenieśli, wraz z innemi (o legaty, sumy kościelne i t. p.), przed forum świeckie, co ogólnie naśladowano.

BIBLJOGRAFJA

Świetnym przewodnikiem w dziejach obyczajowości «saskiej» — żadna inna epoka nie posiada równie zwięzłego a obfitego — jest t. zw. *Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III* ks. Jędrzeja Kitowicza (1728—1804), mieszczanina, jak nazwisko świadczy, chwalcy staroszlachetczyzny przekonanego, nieraz drukowany (ostatnio w *Bibljotece Narodowej* nr. 88), niestety jeszcze nie według przechowanego autografu, lecz wedle kopji niezupełnej (brak początku) i nieco skracanej (opuszczającej szczegóły zbyt drastyczne). Kitowicz dociera do najdrobniejszych szczegółów, np. do kroju sukien duchownych i świeckich, damskich i męskich, do koloru uniformów i t. d. — mój wykład nie wyczerpał go ani w przybliżeniu. «Czasy saskie», wedle wypisów z dzieł spółczesnych, przedstawił bardzo udatnie Józef Feldman w nr. 110 tejże *Bibljoteki.* Całokształtu tych dziejów dotąd nie posiadamy, pomijając ogólne ich zarysy w *Encyklopedji* akademickiej (1924) i w innych wydawnictwach; znakomite przyczynki dali Konopczyński, *Polska w dobie wojny siedmioletniej,* 1909—1911 i Skibiński, *Europa a Polska 1740—1745;* drobniejsze rozprawy pomijam. Należą tu i dwie monografje A. Kraushara: *Sprawa Zygmunta Unruga,* Warszawa 1890 i *Frank i Frankiści,* 2 tomy, Warszawa 1892. Z źródeł spółczesnych można wymienić: t. zw. Otwinowskiego Roczniki, sięgające właściwie tylko po r. 1718 (następne dziesięciolecie zbyte krótko); Tekę Podoskiego, to niby *Tomiciana* Augusta II; lauda sejmikowe (najpełniej są wydane lauda wiszeńskie, od 1572—1732, i lauda wiszeńskie, lwowskie, przemyskie i sanockie 1731—1772 przez A. Prochaskę); diarjusze sejmowe zawiera również teka Podoskiego, ale zbyt krótkie; Konopczyński wydał obszerne diarjusze sejmowe z r. 1746 i 1748 na podstawie kilkudziesięciu tekstów-rękopisów. Z pamiętników najcelniejsze Matuszewicza z drugiej połowy panowania Augusta III; bardzo ciekawe J. St. Jabłonowskiego (autora *Telemachidy),* lecz urywają niestety na samym początku wieku; inne, diarjusz podróży Prebendowskiego i t. d. mniej ważne.

ROZDZIAŁ DRUGI

ŻYCIE RODZINNE I TOWARZYSKIE

Oryginalność i malowniczość czasów saskich zasadzała się nie na polityce (zewnętrznej nie było, a wewnętrzną wyczerpywała waśń magnacka), ani na gorącej dewocji, grzeszącej nietolerancją i nadmiarem praktyk, ani na polu umysłowem (literatura i sztuka świeciły pustkami), lecz wyłącznie na życiu rodzinnem i towarzyskiem, takim samym anachronizmem w Europie, jak polskie wojsko lub skarb. Patrjarchalność, prostota nie bez grzeczności i układności, otwartość i porywczość, gościnność, żywot sielski, stroniący od miast i ich zgiełku, huczne biesiady, zajęcia rycerskie (świetne władanie bronią i koniem), optymizm graniczący z lekkomyślnością, trwonienie czasu i grosza, hołdy kobiecie, uszanowanie wieku i urzędu, przywiązanie do życia tradycyjnego, szumnego, bitnego, stanowiły główne cechy zasklepionego w sobie świata szlacheckiego, któremu odpowiednika chybabyś za górami śród Węgrów szukał. Szlachta była wielkiem bractwem; krewnych jeśli nie rodowych, to przynajmniej herbowych, znachodziła po całej Polsce i ceniła te węzły wysoko, uczyła się wszelkich koligacji, a niektórzy (Michał Czartoryski np.) ogarniali pamięcią tysiące rodów i nazw. Poza tem bractwem innych ludzi nie znała: na mieszczanina patrzyła z pogardą, jak i na żyda; chłop był przedmiotem wyzysku. Ale świat jej nie był już jednolitym: arystokracja wydzielała się z bractwa mniemanego samem wychowaniem i trybem życia sfrancuziałym, tytułami i orderami;[1] już magnat, kumający się szczerze

[1] Jedyny order polski «Orła Białego» ustanowił August II w chwili największego upadku swej władzy, r. 1705, dla zyskania popleczników, rozdając medale z napisem «Pro Fide (Leszczyński uchodził za fautora

z szlachtą, należał do wyjątków, stąd popularność Karola Radziwiłła, zapijającego się z swoimi «albeńczykami», a wiele później Ksawerego Branickiego, durzącego szlachtę w ten sam sposób.

Jak upływało życie szlachcica? Przy chrzcie dostawał imię świętego (dawnych narodowych, oprócz kilku potocznych, już nie używano) i przez całe życie solennie dzień patrona obchodził; znaczyły tylko imieniny, nie urodziny, obowiązujące u protestantów. Stanisław nieco ustępował; z dawnych czasów przetrwał i szczególnie w niższych warstwach szerzył się Michał;[1] o wyborze patrona rozstrzygały wszelakie okoliczności: dzień, rodzice chrzestni i t. p. Wychowanie dziecka odbywało się tak samo, jak za Opaleńskiego w r. 1650. Po początkowej nauce do-

różnowierców), Rege et Lege» panom w Tykocinie u jego boku będącym. Medal odmienił niebawem na krzyż ośmiorożny, noszony najpierw u szyi, wkońcu (1713 r.) przy wstędze błękitnej u dołu wstęgi, a na piersi gwiazda złota z krzyżem srebrnym o tym samym napisie. Liczba panów orderowych była wprzód bardzo mała; za Augusta III, gdy skarb saski był wyniszczony, rozdawał Brühl ordery za jakie 10.000 dukatów, potem spadła cena i poniżej 1000, a darmo dostawali go, kogo chciano dla dworu pozyskać lub mu się odwdzięczyć; taki orderowiec płacił tylko cenę orderu (120 dukatów, w istocie tylko około 60 wynoszącą) i napiwne łokajom królewskim, przychodzącym winszować orderu; mieli go już wszyscy senatorowie (kasztelani krzesłowi) i ministrowie. Gwiazdę noszono wszędzie, i na szlafroku (co widzimy na portrecie Jana Potockiego); przy występie publicznym wystarczała przy gwieździe mała asystencja (dwóch lokai pańskich), przy orderze wymagano całej kawalkaty dworzan, z przodu i z tyłu, a wszyscy przy szpadzie lub szabli. Stanisław August odmienił monogram *A. R.* (Augustus Rex) na imię Marji.

[1] Dziś jeszcze np. we Lwowie najwięcej imienników na św. Michała. Kult archanioła, przewodnika dusz a pogromcy djabła, był nadzwyczaj popularny; r. 1457 wybierały się rzesze dzieci polskich na wędrówkę do dalekiego opactwa francuskiego Mont Saint-Michel w Normandji, mimo zakazów i przeszkód, a dawniej tam pielgrzymowały inne, francuskie rzesze; najstarsze kościoły krakowskie, na Wawelu i na Skałce, są pod wezwaniem św. Michała (czy od mnichów iryjskich?).

mowej oddawał szlachcic syna do szkoły zakonnej. Celem wychowania szkolnego była pobożność gorąca, posłuszeństwo doskonałe, władanie łaciną świetne. Pierwsze osiągało się miesięczną spowiedzią, wszelakiemi praktykami, a górowało w sodalicji maryjnej. Sodalis Marianus, to kwiat młodzieży szkolnej, obowiązany do życia moralnego (i po opuszczeniu szkoły) i do osobliwszego nabożeństwa ku N. P. M.; przewinienia karano bardzo dotkliwą degradacją z sodalisa na tirona (rekruta), albo wykluczeniem ze szkoły. Posłuszeństwo wpajano plagami, stosowanemi nawet parę razy dziennie wobec zbyt bujnego temperamentu i szkoła zaczynała znowu zakrawać na katownię średniowieczną; dbała zaś przedewszystkiem o wytresowanie pokornych, potulnych duszyczek; o rozgarnieniu umysłowem nie było mowy, wyuczenie się trudniejszego Alwara czy łatwiejszego Piotrowskiego wymagało tylko pamięci i pilności, a przy gramatyce i lekturze, dostawały się i inne okruchy wiedzy (historji, mitologji i t. d.) do ciemnej głowy; szkoła-męczarnia budziła tylko wstręt do nauki.

Synowie arystokracji nie uczęszczali do szkół zakonnych; gdy nieco podrośli, sprowadzano dla nich z Francji, rzadziej z Niemiec, nauczycieli. Znamy licznych po imieniu, u Czartoryskich, Bielińskich i in.; niejeden z nich osiadł na stałe w kraju i przysłużył się nawet literaturze politycznej. Tak np. sprowadziła Barbara Sanguszkowa dla trzech Sanguszków szlachcica francuskiego, Cezara Pyrrhis de Varille, do swego Lubartowa (świeżo z «Lewartowa» odmienionego), skąd Francuz za panią i do Warszawy jeździł i tam między innymi z Konarskim się poznał.[1] Mimowoli odstręczali ci obcy nauczyciele młodzież arystokratyczną od ziomków i ich trybu.

[1] Francuz zajął się żywo stosunkami polskiemi, dziejami i urządzeniami i ogłosił dziełko p. t.: *Compendium politicum* (1760 r., przetłumaczone na polskie r. 1763), poświęcone historycznym wywodom o elekcji a głównie *liberum veto;* prawił gorzkie prawdy magnatom, wykazywał

Z szkoły, kończonej co najwyżej na retoryce, prowadziła zwykła droga na dwór pański. Czasy saskie utrzymywały dwory magnackie i pańskie na wysokiej stopie XVII wieku. Służba dworska była szkołą życia i ogłady, ale wdrażała systematycznie i do próżniactwa. W służbie tej były liczne stopnie i różne wysługi. Zaczynano chłopcem lub pokojowcem, asystowano panu godzinami to w przedpokoju, czekając rozkazu, to przed karetą; wożono listy i t. p.; po takiej trzechletniej służbie-nowicjacie, gdzie odbierano za najmniejszą winę plagi na kobiercu od marszałka, następowały wyzwoliny wedle dawnej modły rycerskiej na dworzanina, najpierw bez funkcji specjalnej, pobierającego 400 zł. na rok, a obroku na dwa lub trzy konie i strawnego dla masztalerza-pachołka; pensja rosła do 1000—4000 zł., gdy dworzanin zostawał marszałkiem dworu, sekretarzem, koniuszym, podskarbim, podczaszym, szatnym. Dworzanie respektowi czyli honorowi nie brali żadnych zasług, prócz furażu na konie i strawnego na pachołka: byli to synowie majętnych obywateli, oddawani dla poloru i zaskarbienia promocji do urzędów ziemskich lub funkcyj poselskich; na dworzan płatnych i oficjalistów wychodziła szlachta uboższa, a czasem i plebejusze lub poddani, udający szlachtę, gdy im szablę przypasano. Zasłużony dworzanin dostawał w końcu karjery dworskiej wygodną dzierżawę, posażną żonę, dożywocie; zato musiał bronić interesów swego pana, gardłować za nim na sejmikach, łba i szabli nadstawiać.

Dawniej, nim przystawał szlachcic z szkół do dworu, wyjeżdżał za granicę, nie dla poloru, lecz dla nauki; teraz szlachcic już nie wyjeżdżał, gdy to właśnie było najpotrzebniejsze.

---

wadliwość ustroju, szczególnie *liberum veto*, którego jednak wyraźnie, jawnie nie potępiał. Pisali podobnie i inni Francuzi, nie zawsze licząc się z usposobieniem szlachty, więc gdy Dubois w szkole rycerskiej, czynny w historji literatury polskiej ważył się o tolerancji wyznaniowej śmiało się odezwać, obruszył przeciw sobie silnie opinję publiczną.

Wyjeżdżali panicze, ale nie dla nauki, tylko dla poloru, t. j. dla nabycia francuszczyzny, strojów, manier, aby niemi w kraju imponować pannom, które «gaszka» przenosiły nad «Sarmatę»; wracał do kraju z nadszarganem zdrowiem nieraz, zawsze z pustą kieszenią, czasem umykając przed więzieniem za długi; podróże zagraniczne rujnowały raczej młodzież, niż ją oświecały. Nawet duchowni wyjeżdżali do Rzymu nie dla nauki, której w seminarjach krajowych nabrać mogli, lecz dla protekcji; zakonnika chyba, jak Konarskiego, wysyłano z pożytkiem dla kolegjum. Wyjątek stanowił francuski dwór Stanisławowski, ale zbyt mało tam zaglądano. Były obok tego dworskiego, najpospolitszego, inne stany, żołnierski, palestra (prawniczy), duchowny; dla ubogich plebejuszów nadawał się nawet urząd dyrektorski, t. j. dozorcy studentów majętniejszych, za roczną płacą, lub większej liczby uboższych za skromną opłatą od każdego; ci dyrektorowie asystowali na weselach za drużbów i oratorów, przy oddawaniu wieńca pannie młodej u pospólstwa, albo jako pisarze miejscy czy cechowi przy ludniejszych cechach (piekarskim, szewskim, rzeźnickim) po miastach większych.

Dla dziewcząt szkół nie było; zakonnice albo niewiasty starsze uczyły ich czytania (nie pisania), robienia pończoch i t. d.; śpiewu, tańców douczały się same; w wielkich domach ochmistrzynie i metrowie uczyli francuskiego, muzyki, tańców. Przy niskim stanie oświaty męskiej łatwo z nią panny zawodniczyły, a przy wrodzonym talencie wybijały się nieraz i sprytem i oczytaniem nad kawalerów; w porównaniu z wiekiem XVII liczba autorek znacznie rosła, a zaciągały się do nich głównie arystokratki, Franciszka Urszula z Wiśniowieckich Radziwiłłowa, Teresa z Rostworowskich Załuska i inne wielkie panie; Drużbacka z drobnej szlachty stanowiła wyjątek.

Związki małżeńskie zawierano wcześnie, chociaż już rzadziej czternastolatki wychodziły zamąż. Kojarzyli małżeństwa

rodzice czy opiekunowie, nie pytając młodych, a już najmniej panien; te dawano zamąż i nieszczęśliwe pożycia nie były czemś nadzwyczajnem, garnięto się więc co żywo do rozwodów przed sąd konsystorski, przy którym stolica rzymska ustanowiła «defensorów *matrimonii*», broniących rozwodu, «choć biedna dama, gwałtem za brutala wypchnięta zamąż dla interesu rodziców lub opiekunów, albo wykradziona i chłostą do ślubowania przymuszona, dni i nocy za mężem dzikim, okrutnikiem, niewiernym, rozpustnym opłakiwała, a mąż bojąc się o utratę posagu wielkiego, dobrze smarował i defensora i sąd» (Kitowicz). Ale to były wyjątki; regułę tworzyły małżeństwa przykładne, bo przywykano do siebie, obdzielając się troskami domowemi i gospodarskiemi; żona wychodziła na rządną gospodynię, mąż nierównie więcej próżniaczył, bo polował tylko, biesiadował, sejmikował, pieniał.

Ale już zawładnęła niewiasta (*kobieta* jeszcze nie przeważała) fantazją i uczuciami mężczyzny nierównie silniej niż dawniej; piękność wywierała urok i mezaljanse dla niej nie były czemś niesłychanem: Anusia Lubomirska, córka mieszczki, była przyczyną pojedynku i śmierci Tarły; nie potrzebowano nawet przykładu z góry, od *La Saxe galante;* coraz wyraźniej zaznaczał się rys kobieciarstwa, wyróżniający Polaka od Niemca, Czecha i Rosjanina, a powinowacący go z Francuzem. Już pojawiały się w sylwach szlacheckich wiersze, niemożliwe w wieku XVII-ym, jak np.:

Nie zje drugi grzankę ledwie,
A ma w domu metres ze dwie;
Pości z ochotą i śrzody,
A co dzień ma z inną gody;
Nie je ani pije w piątki,
A łazi za piec do prządki;
Suszy co tydzień soboty,
A raz w raz chodzi w zaloty.

Na dworze w Białymstoku wpływ pań był już bardzo znaczny, a hetman (Branicki) do nich się stosował. Ale to dopiero początki, acz wielce znaczące.

Życie rodzinne, oparte na przywiązaniu, posłuszeństwie, troskliwości wzajemnej, poszanowaniu, w cichym, prawidłowym biegu przerywano przez doroczne obchody rodzinne, wymagania życia sąsiedzkiego, święta roku kościelnego. Najcelniejszemi świętami były Boże Narodzenie i Wielkanoc. Gwiazdki-choinki jeszcze nie znano; wystawiano jasełka w kościołach, t. j. szopkę z figurkami, wyobrażającemi Przenajświętszą Rodzinę, pasterzy i t. d., na Trzy Króle z dodaniem ich i ich orszaku; niektórzy zakonnicy wstawiali i figury ruchome, marjonetki, wyprawiając niemi rozmaite śmieszne scenki, mnogość widzów ściągające, przez co powaga kościoła cierpiała, tak, że biskup poznański (ks. Czartoryski) ich zakazał i jasełka z kościołów poznikały. Na niedzielę palmową występowała przy kościołach farnych młodzież szkolna: chłopcy ozdobnie przybrani prawili oracje najpierw pobożne, o wjeździe Chrystusa i przyszłej męce, potem i śmieszne, o poście i śledziach, o szkolnej mizerji i t. p.; dalej występowali starsi, poprzebierani za drabów, pielgrzymów, olejkarzy i t. p., całkiem na wzór średniowiecznych misterjów, deklamując wiersze odpowiednie roli, arcytrefne, poczem rozbiegali się z kościoła i po mieszkaniach albo szynkowniach powtarzali perory śmieszne, pokazując przytem, jako pielgrzymi, z torby różne osobliwości z drogi świętej; wobec takiej profanacji zakazano podobnych procesyj najpierw po kościołach, a niebawem znikły zupełnie. W wielki piątek i sobotę obchodzono groby, w każdym kościele wcale wystawne, najokazalsze u jezuitów, najskromniejsze u pijarów; obchodzili je duchowni i państwo za dnia, służba w nocy; przed grobem zbierały kwestarki, brząkając tacą, jałmużnę na użytek kościoła; wszyscy w czarnych sukniach. Na rezurekcję była procesja w kościele albo wokół niego, wraz z strzelaniną z moździerzy;

w Warszawie poszczególne kościoły odprawiały ją od dziewiątej wieczorem aż do świtania koleją i wielu biegało z jednej rezurekcji na drugą; salwy dawała artylerja. Procesję Bożego Ciała obchodzono najuroczyściej; w Warszawie kładziono na rynku pomost drewniany; wszystkie zakony (oprócz jezuitów) i cechy brały udział z chorągwiami i świecami, a konfraternja kupiecka z muszkietami, dając ognia trzykrotnie; procesję prowadził biskup lub prymas, król asystował, gwardja koronna tworzyła szpalery.

Inne dawne obyczaje pobożne już zanikały. Już nie wpuszczano do wielu domów po miastach ewangelistów, t. j. studentów, którzy w niedziele tym co nie byli w kościele czytali ewangelję niedzielną, za co im grosze dawano; podobnie miało się z kolędą, t. j. z obchodzeniem domów przez plebana lub wikarego (wraz z organistą, bakałarzem i paru chłopcami, śpiewającymi pieśń nabożną) od Nowego Roku do wielkiego postu; po krótkiej perorze i błogosławieństwie egzaminował ksiądz czeladź z katechizmu.

Innym świętom dorocznym nie towarzyszyły podobne obchody, np. świętu Matki Boskiej Zielnej lub wilji św. Jana, kiedy to sobótki palono, co już za Augusta III wyszło z obyczaju, zakazywane dla fatalnych nieraz skutków; rzucano przecież w ogień ładunki z prochem. Niektóre, niewiele mniej rubaszne zwyczaje ocalały, mianowicie dyngus, zlewanie się rzęsiste wodą (na wsi wrzucano dziewczęta do wody), w poniedziałki i wtorki wielkanocne; we wstępną środę przebieranie za niedźwiedzia i wodzenie go po domach (zabawa cechowa); ciągnienie kloca przez dziewki, co się nie wydały; obwożenie kurka drewnianego, na dwóch kółkach osadzonego przez parobczaków, zapraszających na niego gospodynie i raczonych od nich wiktuałami (do dziś u ludu praktykowane, mieszane z dyngusem); przypinanie paniom, wchodzącym do kościoła, przez żaków na plecach jakichś kości i t. p. Przejście od karnawału do postu wywoływało wsze-

łakie żarty, śmieszne przemowy postu, obejmującego rządy, śmieszne kazania w podobnym stylu i t. d.[1]

Życie rodzinne i sąsiedzkie nastręczało coraz nowe uroczystości i zabawy, zaręczyny, wesela z olbrzymim rytuałem przemów (dla których były przeróżne drukowane przewodniki i próbki, np. w *Swadzie polskiej i łacińskiej* Ostrowskiego-Da-

[1] Oto przemowa z rękopisu:

Post wielki czterdziestodniowy, Król i Xiążę Wielkie, morskie, jezierne, stawskie, stawów, rzek wielkich i małych i wszystkiego morza Pan i dziedzic, ulitowawszy się nad poddanymi, których Mięsopust zwojował, że się co żywo zbiesiło, kufle, kwarty, sklenice wywracając na nice, o łby tłukali a guzów nabywali, zebraliśmy wojsko, rotmistrzów Śledziowskiego, Kapuścieńskiego, Kisielowskiego, Obarzańskiego, Rybowskiego, Nawarzeńskiego...

Nadjechawszy tedy Liczyczopa, Moczygębę, Płóczywąsa, Łapikufla, Dybidzbana, Wydmikwartę pod Zalejgardzielem, do Jachtelowa porazili̇śmy ich. Mięsopust złapany i wsadzony w cztery łańcuchy obarzankowe i mocne kłódki z śledziowych główek, odwieziony do Olejowa. Wywołujemy wszystkie mięsne potrawy... flaki, ptaki i białe raki... naleśniki, pampuchy, kreple, placki, kołacze, kiszki, jątrznice, kiełbasy z piątkiem chodzące zapasy; Matyska z między kiszek, Doroty potrzeba zaniechać zgotowanych na mięsopust z ochoty... (*Maciek* i *Dorota* — nazwy jelit). Pozwalamy używać, kupiwszy za własne pieniądze ryb... krom tych, co się na drzewach rodzą i które na czterech nogach chodzą... marcepanów z achtelów polskich, figaletów nuremberskich, toruńskich pierników i manasterskich miodowników... miodu psiego z przaśnym... orzechów kolących, nawary... także wędzonej z jaglami ożenionej rzepy, przypiekanych grzanek w piwie albo z lodu w natopionej wodzie. Kto czasu sposobnego, który upłynął oraz z Sanem, nie upatrzył i przyjaciela nie znalazł, podlega karom (por. wyżej o ciągnieniu kloca). I ten co przestąpi nasz edykt, każemy go ściąć, żeby tylko głowa przy szyi została, potem pod czas nocnej godziny wyświecić z miasta, żeby w bramie nie zabłądził i zapłaci dziesięć tysięcy beczek ziemie z jarmarku krakowskiego, siedm fur słomy z lwowskiego, pięćset grzywien piasku morskiego i pięćdziesiąt niecek ziemie. Dan etc. miesiąca marca, gdy wywołano kiełbasy i jajca, roku panowania naszego, nie pamiętamy którego, z zamku naszego Banszorowa.

Żarłok Niedojadłowski de Mrzygłód, pisarz JKM. Postowskiego. *Loco sigilli* Trzy szczeciny etc. (znane *obscoenum*).

neykowicza i in.), chrzciny, imieniny i t. d. Najżwawiej bawiono się w zapusty, szczególnie w ostatnim tygodniu, od tłustego czwartku przez trzy ostatnie, «kuse» dni do wstępnej (popielcowej) środy; rozbawieni przeciągali ochotę, t. j. tańce i pijatykę, przy postnych już potrawach, aż do piątku (poświęconego nabożeństwu do serca Pana Jezusa — było osobne bractwo tej nazwy). Tylko u «skrupulatów» i w domach duchownych ustawały z dwunastą w nocy wtorkowej zabawy i podawano mleko, jaja i śledzie jako przygrywkę do następującego postu i jego żuru i śledzia, którego na drzewie wieszano (garnki z żurem bito), gdy się jego panowanie kończyło. Kuligi tylko średnia szlachta odprawiała.

Oprócz «zapustu» po domach i kuligów nastały w Warszawie reduty (zob. wyżej). Była to jedyna sposobność, że się stany, chociaż tylko pod maskami, bratały nawzajem, bo maska, kryjąca szewca czy krawca, upoważniała go i do tańców i zaczepek; na reduty wchodził, kto zapłacił wstępne i przyzwoicie się zachowywał, bo warta od gwardji koronnej z oficerem pilnowała porządku i wyrzucała bez pardonu kłótnika. Przykład Warszawy podziałał na cały kraj; były reduty w Poznaniu, Lesznie, Lwowie, Wilnie; poznańskim nie wiodło się, bo «szlachta nie chcieli się bratać z mieszczanami», a samej nie starczyło. Już zdarzało się, że szlachcic z żoną i córkami zjeżdżał na zapusty do Warszawy, licząc, że się taniej i wygodniej urządzi tutaj, niż goszcząc u siebie rozbawioną czeredę z służbą i końmi. Naśladowali tu nawet dawne dworskie «wirchausy», bo dzielili się rolami kucharzy, piekarzy, kawiarzy, winiarzy, kramarzy i w tych rolach traktowali odpowiednio innych, nawet całkiem obcych gości za darmo. Zresztą można było wszystkiego, napojów i pokarmów, dostać na reducie o cenach wcale solonych. Schodziło się nieraz po pięćset par masek, a tańczyło w głównej sali par z pięćdziesiąt, oprócz tych, co w mniejszej sali tańce cudzoziemskie uprawiali. W osobnych pokojach za-

siadano do kart; stolik najmowano za dwa dukaty, za co miano i świecę i talję kart; tak wkładano się do szulerki. Dla schadzek miłosnych służyły już *chambres separées,* od których klucze przedsiębiorca oddawał kawalerowi za kilka dukatów; dalej karety najemne, które przed redutami stawały i które wynajmowano do krótszej lub dalszej jazdy. Po miastach składali się mieszczanie na bale, odwiedzane i przez młodą szlachtę. Na pierwsze i ostatnie reduty bywał zawsze duży ścisk; wielkie panie rzadko je zaniedbywały.

Po domach poważniejsi sięgali do kart, szachów lub warcab, młodzież do gier ruchowych, np. w ślepą babkę, co łowiła umykających przed nią, albo do rozmownych; pytano np., jak za *Dworzanina* 1566 r., na co się słoma przyda? Gdy się odpowiedzi, których nie wolno było powtarzać, przebrało, dawał fant, kto nie umiał; rozbierano fanty nakazując np. przynieść jarzący węgiel w uchu (klucza), albo pokazać pannie członek wstydliwy (oko) i t. p. frycówki dla nowicjuszy. Dalej był *cenzurowany; mruczek,* stojąc w kole z zawiązanemi oczyma dotykał się kogoś, mruczał, ten odmrukiwał, a ów zgadywał, kto to; *gotowalnia,* wywoływano jej części i odmieniano miejsce; gry dziecinne liczne pomijamy. W kostki i kręgle grywano po szynkowniach, w kręgle przeważnie Niemcy; do kostek trafiali się i szulerzy, którzy przyprawianemi rzucali; kostkami zabawiali się próżnujący w przedpokoju pokojowcy i dworzanie; oni uprawiali dla odpędzenia nudy i pliszki, t. j. rodzaj dawnych bierek. Pliszki były to cztery drewienka brzozowe, rozpłatane, płaskie z jednej, a okrągłe z drugiej strony; rzucano niemi z ręki na stół i rozstrzygały wszelakie odmiany. Karty nie były jeszcze wszechwładne; dawne gry, pikieta, chapanka, kupiec, marjasz wcale nie były hazardowne; rus, semodynaciet, tryszak już hazardowi służyły; wszystkie zakasował świeży faraon i już za Augusta III przegrywano w nim krocie; nie obchodziły się bez niego posiedzenia, kompanje, asamble, bale, reduty, pokoje królewskie. Roz-

namiętnienie szulerskie nieraz granic nie znało; długi karciane spłacano w ciągu dwudziestuczterech godzin, gdy z wszelkiemi innemi ile możności zwlekano, jeśli zaś sprawa przyszła przed sąd, niechybnie i dobra tradowano; karciarstwo nastało jakby nagle; nie obchodziły się bez niego trybunały, kontrakty i wszelkie zjazdy; tracił na zawołaniu, kto się nie zgrywał.

Szulerka była nabytkiem świeżym, za to pijatyka nałogiem starym (oskarżał ją wymownie już Opaleński), który jednak dopiero za Sasów przybrał takie rozmiary, że nawet na dalekim Zachodzie Polska z tego powodu w przysłowie weszła. Tęga głowa, t. j. którą fałszowany i rozbełtany z popłókiwań pras winnych węgrzyn (bo nie mogły Węgry tyle prawdziwego wina produkować, ile go w Polsce spijano), nie rychło zmagał, była nieodzowna dla każdego, co brał udział w życiu towarzyskiem i politycznem. Spijano piwa, miody, wódki (gdański goldwasser i in. zażywały już wielkiej sławy), wina węgierskie (szczególniej w Małopolsce i na Rusi, już dzięki bliskości), francuskie (w innych prowincjach), rzadziej portery angielskie (wyrabiano i krajowe musujące piwa) i wina gotowane, południowe. Pito od obiadu do późnej nocy; rano zakrapiano się wyjątkowo, chyba paru kieliszkami wódeczki. Pito wzajem do siebie i należało przy tem kielich wypróżnić do dna, inaczej uchybiano grzeczności. Pito nietylko z kieliszków i szklanek, ale i z puharów z rozmaitemi figlami; to puhar był bez podstawy, to z rurkami, tak że nieświadomy się oblewał, to przerażał rozmiarami. Skutki pijaństwa były zawsze obrzydliwe, a nieraz je wprost śmiercią przepłacano. Gospodarz o słabej głowie lub niezdrów wyręczał się jakim opojem; używano wszelakich fortelów (farbowanej wody, odlewania na bok i t. d.), aby ujść natręctwu; przy końcu biesiady już niejeden nie trzymał się na nogach, a nieraz i wymioty towarzyszyły zabawie jako niezbędny do niej przydatek. Anegdot pijackich, jakie Kitowicz z wymienianiem nazwisk przytacza, nie powtarzam; podziwiamy i ilość wypitego trunku

i zdrowie, co takim zamachom dorównało, ale rozumiemy też, jakie szkody z zaczadzenia rozumów, a jakie straty z wywozu pieniędzy wynikały, bo win Polska prócz podejrzanych kwasków nie rodziła. Piwo «trapiono» i cały dzień; dla dworzan dawano piwa do ich stancji po jednym łub dwa garnce na dzień; byli rycerze, którzy garncowy puhar jednym tchem wychylali; były wszelakie wymysły w spijaniu, które pomijam. Szlachtę drobną, bydło pędzone do głosowania, spajano winem z gorzałką mieszanem i piwem. Piwa bywały najrozmaitsze, mazowieckie słynęły długi czas, w Wielkopolsce grodzieckie; naśladowano też angielskie, a już się i czeskie zjawiało. Wódki przeważały domowej roboty, szczególniej zaś wszelakie nalewki, wiśniaki i t. p. Jak się mnichy rozpijali, jakie uszanowanie miało *vitrum gloriosum,* od Krasickiego wiemy. Bez pijatyki nie można było najlżejszego interesu przeprowadzić, więc panowie potrzebowali nietylko rębajłów, ale i opojów dla swych intryg.

Niesposób było uniknąć pijaństwa; gospodarz, co nie rozpoił gości, zażywał złej sławy (wędzikiszka, sknera i t. d.); do promocji w świecie należało umieć dobrze pić, a wytrzeźwiano się poto, aby się znowu upić. Niewiasty w pijatykach-biesiadach nie brały udziału; biesiady same przerywała młodzież tańcami. Przy wychylaniu nieskończonych «zdrowia» wstawali coraz znakomitsi goście wraz z gospodarzem, który każdą kolej zaczynał; mniej znaczni goście unikali tej fatygi niepotrzebnej i w stojączki pili. Po obiedzie dawano w poufalszem gronie na dolewkę lepszego wina, na «stępel», np. szampana na węgierskie.

«To było największem ukontentowaniem gospodarza — prawi Kitowicz — kiedy słyszał nazajutrz od służących, jako żaden z gości trzeźwo nie odszedł; jako jeden, potoczywszy się, wszystkie schody, tocząc się kłębem przemierzył; jako drugiego zaniesiono do stancji jak nieżywego; jak ów zbił sobie róg głowy o ścianę; jak tamci dwaj skłóciwszy się pyski sobie powycinali; jako nareszcie ten jegomość chybiwszy krokiem upadł w błoto, a do tego ząb sobie o kamień wybił».

Drobną szlachtę zwozili panowie na brykach, dawszy na rękę dukata lub dwa; gdy się popili, spali tam zaraz, gdzie który padł, przy stole, pod stołem, pod płotem, na środku ulicy, w rynsztoku i błocie; po wyspaniu ujrzał się jaki taki bez czapki, pasa, szabli, a czasem do koszuli obrany od jakiego łotra albo i kolegi trzeźwiejszego; szkodę wetował pan w razie zwycięstwa z własnej lub czeladnej garderoby, w którą się przezornie zaopatrywał, wyjeżdżając na sejmik, albo pieniądzmi; przepadała, gdy pan sam z placu boju uciekać musiał. Ależ i w izbach gościnnych, gdzie pokotem słano, kończyły się pijatyki nader nieestetycznie, tem bardziej, że naczyń nie dawano. Nie przebierano też w trunkach, piwa mętnego albo z drożdżami dopijano się, wychylając do dna beczkę; byli, co beczki do dna dla wziątku i popisu opróżniali. Inne szczegóły wstrętne pomijam.

Rewolucji dobroczynnej, przynajmniej w świecie niewieścim, dokonała kawa, podawana rano i po obiedzie. Przedtem raczono się rano polewkami wszelakiemi, które wódeczką zakrapiano, przez co przywykały nieraz niewiasty do gorzałki; teraz kawa zastępowała jedno i drugie; po obiedzie przysiadywał się i mężczyzna wraz z paniami do kawy, nie nękany na ten czas przez wino. Zato spożywały panie kawy (z mlekiem i cukrem) do woli, częstowały się nią we wszelkie odwiedziny; kawa zeszła niebawem między pospólstwo i nastały pierwsze «kafenhauzy»; przeszła i w nałóg, mniej szkodliwy niż każdy inny. Ubożsi albo skąpsi nie używali samej kawy, dodawali albo zastępowali ją paloną pszenicą lub grochem. Herbata straciła znacznie na wzięciu, wyrugowała ją kawa.

W odpisach krążyło i «nabożeństwo krótko zebrane dla wszystkich pijaków», a była w niem taka litanja: Od wina złego wybaw nas Panie, Od wina kwaśnego w. n. P., od wina ipsymowanego... od niewypijania duszkiem, od gwałtownej sieczki i najazdów *Malinowskich* (termin znany do dziś) i t. d.

Najszlachetniejszemu z rzemiosł, łowiectwu, oddawano się, obok pieniactwa nieuniknionego, z zamiłowaniem i znawstwem. Obfitowały w grubą zwierzynę olbrzymie lasy, knieje i puszcze; łowy dostarczały więc mięsa dla dworów i ich licznej służby (solone w beczkach przewożono w najdalsze strony); futer i piór (czaplich); rozrywki królewskiej (acz sokolnictwo upadło); pożytku naocznego w tępieniu dziczy drapieżnej (wilków!) i szkodnej (dzików). Polowano od sprzątnienia żniw do marca lub kwietnia, a miedz cudzych zbyt nie ochraniano, chyba wielcy panowie wstępu do swych puszcz zabraniali. Do każdego dworu pańskiego należał łowczy, dozorujący strzelców, dojeżdżaczy lub objezdników, szczwaczy, osoczników (pilnujących sieci), stanowniczych (rozstawiających myśliwych), psiarczuków; dbały o sfory wyżłów, ogarów, chartów; o stan broni, sieci, przyrządów wszelakich. Mierna fortuna gorliwego nadto czciciela św. Huberta kruszyła się nieraz pod nadmiarem kosztów i objadały psy modnego Akteona; wielkopańska granic nie znała. Wyrobiło się osobne słownictwo łowieckie i poznawano fryca, kto się w niem mylił, o sierści np. lub krwi zajęczej prawił, gdy on ma tylko *turzycę, farbę, patry* (oczy), *patrochy* (jelita) i t. d.; były zagadki łowieckie, a trąbienie myśliwskie wyrobiło całą bogatą skalę dla każdej sceny łowieckiej. Przytaczamy kilka spółczesnych opisów biesiad i łowów:

Książę (Karol) Radziwiłł (Panie Kochanku) jako marszałek trybunalski zaprosił deputatów, przyjaciół kanclerskich (Czartoryszczyków) i swoich Radziwiłłowskich na obiad... już książę był napiły, który kiedy był pijany, już zwyczajnie bywał *violentus*. Powstał tedy huk; książę kazał dwunastu dragonji swojej wnijść do pokoju, gdzie był stół i pili, i kazał im ognia dać w pułap... kulami nabite były karabiny. Zaraz tedy z pułapu piasek się zaczął sypać a piec od huku rozwalił się. Weszli dobosze i surmacze janczarscy i węgierscy do pokoju; zaczęli w bębny bić, trąbić, grać na piszczałkach: huk, pisk, od piasku kurzawa, dym z rozwalonego pieca, hałas pijących i wadzących się, podobną do piekła reprezentowały scenę. Wtem Wołodkowicz przypomniawszy krzywdę swoją do Danejki, dał mu

mocno w gębę, że ten jak snop padł o ziemię. Książę znowu w tem większym huku kazał przyjść kilkunastu dragonji swojej, aby ognia dawali. (Czartoryszczycy) w ostatnim strachu byli, chcieli oknami uciekać, ale ich nie puszczono; zaczęli do nóg padać księciu suplikując, aby im pozwolił odjechać. Książę tedy kazał zaprząc karetę swoją sześciu ogierami izabelowemi dziwnie złemi; gdy zatem czterech czy pięciu (Czartoryszczyków) wsiadło do karety, książę kazał stangretowi i forysiowi zsiąść a konie puścić wolno, biczami trzaskać i ognie kazał dragonji dawać. Deputaci będący w karecie, w ostatnim strachu byli; konie mało co ruszywszy się, zaczęły gryźć się między sobą, poplątały się, powywracały się...

Inny obrazek:

W Grodnie, w pałacu Michała Radziwiłła, ojca Karola, «bezład i skąpstwo oburzające napotykało się tam co chwila obok rzeczy najkosztowniejszych i hojności bez granic; hetman bez gustu i wiedzy pragnął namiętnie uchodzić za człowieka obdarzonego i jednem i drugiem; ze śmieszną próżnością rozpowiadał przy każdej sposobności najdziwaczniejsze androny i najpociesznijsze kłamstwa o wielkości swoich przodków i swojej własnej (wiemy więc, skąd się Panie Kochanku do łgarstw włożył)... dla ozdoby wielkiej sali pałacu umyślił rozwiesić na jej ścianach szereg portretów królów polskich; wszędzie gdzie miejsce okazało się zbyt ciasnem, kazał im poobcinać ramiona i ręce i przemalować zwężonych; można łatwo wyobrazić sobie żałosną postawę tych ociosanych królów, których nam poczciwy książę pokazywał jako arcydzieła... zatrzymaliśmy się na schodach, chcąc się przypatrzyć niesionej na górę wieczerzy... przeszedł koło nas sążnisty hajduk, niosąc ogromny półmisek szpinaku, wpośród którego pływały trzy duże kawały szpikowanej cielęciny. Hajduk, jak cała służba Jego Ks. M. oddawna nie pobierał pensji, a żył własnym sprytem; cielęcina uśmiechała mu się... ażeby zatrzeć ślady, rozprowadził łapą jak kielnią szpinak po półmisku, zapełniając nim miejsce pożartej cielęciny».

A oto obrazki osobliwszych polowań:

O pół mili od Słucka (u Hieronima Radziwiłła, brata Michała), «umyślnie były szpalerami wytknięte ulice, a na środku onych był szpaler wysoki na kilka kopcy, zrobiony z oknami; pod tym szpalerem była wykopana fosa pełna wody. Z tyłu tego szpaleru były napędzane dziki, które temi oknami ze szpaleru wypadały i w fosę wpadały, a stamtąd wybiegszy na cyrkuł obszerny barjerami okrążony wypadały. Na tychże świniach dzikich były bałwany małe żydów w różnych strojach jak na koniu

siedzących; do tych tedy świń biegających panowie strzelali; były także i kaczki dzikie szklane, malowane, po kanałach umyślnie rzniętych pływające, do których także panowie strzelali, a te kaczki postrzelone powoli tonęły»...

Takież łowy urządzał r. 1752 dla króla Augusta hetman Branicki w Białymstoku:

«Mnóstwo dzikiego zwierza przywiezionego w klatkach do lasków w Choroszczy, pędzono po wąskiej drożynie z desek między dwiema ścianami (szpalerami) aż na wierzchołki drzew, rosnących nad kanałem; tam znajdowały się urządzone pułapki, przez które zwierzyna z wysokości trzydziestu stóp spadała do wody, co dawało królowi sposobność strzelania w lot gdy zechce do wilków, dzików i niedźwiedzi... jeden z tych niedźwiedzi spotkawszy czółno wlazł na przód jego, młody Rzewuski i Sas Saul schronili się na tył czółna, gdzie był przewoźnik, lecz tak je przechylili, że wywrócili koziołka; niedźwiedź po raz drugi zakreślił luk w powietrzu i wpadł do wody tuż około tych panów, dla których wszystko się skończyło na strachu, a ich przygoda bardzo zabawiła króla».

Nie łowy to, lecz komedje cyrkowe; podobne rzezie zwierza, pędzonego przez szpalery, urządzano już dla Sobieskiego.

W puszczy białowieskiej polowali obaj Sasi; na pamiątkę najsłynniejszego polowania z września 1752 r. wystawiono obelisk kamienny w Nowej Białowieży nad Narewką, ze spisem nazwisk gości obecnych, starszej służby łowieckiej, liczby upolowanej zwierzyny i wagi sztuk największych. Brała w niem udział rodzina królewska (król, królowa, dwaj królewicze), dwór saski i kilku panów polskich, między nimi cześnik koronny Jan Wielopolski, uchodzący za pierwszego myśliwca w Koronie; ubito 42 żubry (pod altanę królowej napędzono sztuk dwadzieścia) i trzynaście łosi, nie mówiąc o innej zwierzynie.[1] Po wsiach królewskich, nadto w trzymilowem promieniu od Warszawy, były łowy grubego zwierza zawarowane dla króla.

[1] Słynne były łowy, jakie Hier. Radziwiłł r. 1761 dla króla między Szulcem a Ujazdowem urządzał, gdzie las sztuczny wystawił i setki zwierzyny z lasów litewskich spędził. R. 1724 w Marymoncie na obławie 4000 chłopów zebrano, 250 strzelców, 500 gości i t. d.

Słynne były już dawniej łgarstwa myśliwych, opowiadających dziwy łowieckie, a kończyły się łowy pijatyką-biesiadą.

Nie rozpoczynała biesiady pijatyka; zwykle dopiero po pierwszem daniu, po sztuce mięsa, pił gospodarz z małego kieliszka zdrowie obecnych gości, jednego po drugim wedle godności, a z nim wszyscy razem; po drugiem daniu, pieczystem, zawołał gospodarz: dużego kielicha, i nim pił w tym samym porządku, wstawając przy najgodniejszych, siedząc przy dalszych.

Zastawa nie odmieniła się pod względem dań, których było trzy z mnóstwem półmisków czubatych, jak w XVII wieku. Na pierwsze danie szły wszelakie mięsiwa, zwierzyna, ptactwo domowe i dzikie, mięso wołowe, cielęce i t. d., gotowane i przysmażane; na drugie danie mięsiwa, ale pieczone, sucho czy podlane sosem; na trzecie wety; stoły wąskie, zastawa srebrna (talerze[1] i t. d.) dla gości honorowych w środku stołu; na końce talerze cynowe i takież lub blaszane łyżki; noże, widelce, nawet łyżki gość pospolitszy miewał własne, zawieszone u pasa; dla środka służyły serwety, kształtnie układane (w hełmy, czółna i t. p.) i odmiana talerzy za każdem daniem; końce stołu obchodziły się bez obojga. Do wetów należały prócz owoców, konfitur, orzechów, torty i ciasta, wcale grubej roboty; do przypraw miód, nie zbyt drogi, cukier i ocet, nie cytryny. Potrawy stygły i krzepły, nim ceregiele co do miejsc załatwiono; odsyłano je do kuchni dla rozgrzania, później stawiano na stole fajerki ze spirytusem. Na postne obiady żadnej maślnej potrawy nie dawano, wszystkie na oliwie lub oleju, wytłaczanym z siemienia (lnianego, konopnego) lub maku. Masła do ciast używano starego, dla ostrego smaku. Między półmiski stawiano dwie lub trzy misy, ogromne, noszone każda przez dwu hajduków, z cał-

[1] W XVII w. bywał tylko jeden srebrny talerz na stole, przeznaczony na pulę dla gry w karty; wypominał to satyryk: teraz cała zastawa bywała srebrna.

kowitemi pieczeniami i ćwiartkami, indykami, gęśmi i t. d., które u stołu sprawniejsi goście rozbierali.

Tryb staromodny imponował liczbą potraw (czasem ze sześćdziesiąt w każdem daniu) przy jak najprostszem ich podaniu. Zastąpiła go na dworach pańskich kuchnia francuska z swojemi wymysłami, rosołami, zupami, buljonami, *ragout, fricassée,* farszami, pasztetami, ciastkami, lodami, i t. d. Wzrosła liczba kucharzy i gdzie dawniej był jeden, do warzonego i pieczystego, albo dwu (kucharz i pasztetnik), nie mówiąc o kuchcikach-posługaczach, teraz przybierano trzeciego, najdroższego, mundkocha, który dla samego pana potrawy gotował; pobierał płacy do dwunastu dukatów na miesiąc (tamci do połowy tego). Nauczono się jadać, czem się dawniej brzydzono, żaby, ostrygi, granele i t. d.; dla przypraw jak musztarda, cukier tłuczony, ocet, oliwa i t. d., stawiano na stole jeden lub więcej olbrzymich serwisów srebrnych. Środek stołu zajmowały cukry, jakie *Pan Tadeusz* opisał, wszelakiego pomysłu, miasta, ogrody itp., obstawione talerzykami z słodyczami, lodami itp. i karafinkami z konfiturami. Talerze srebrne zastąpiono fajansowemi i porcelanowemi równej drogości; zamiast dawnych stołów, wąskich a długich, stawiano kilka krótkich a szerokich, które w dni galowe mieściły te wszystkie budowy. Tak bywało u stołów wielkopańskich, z nadzwyczajnem trwonieniem wszelkich zapasów, ale i ludzie pomiernych fortun łożyli na biesiady niepomierne sumy.

Zbytek przewodził, nie potrzeba; panów z krociowemi dochodami rocznemi naśladowano choćby na najskromniejszą skalę. Więc najpierw co do ilości dworzan i służby (bez jednego choćby dworzanina rzadko który dom się obchodził), a służby było coniemiara: lokaje, hajducy, pajucy, pachołki, laufry, stangrety, forysie, strzelcy, husarzy, masztalerze itd.; zbytek azjacki raczej, roztaczano z największą okazałością przy wszelkich uro-

czystościach, np. wjazdach królewskich i własnych. Bywało tu wiele błyszczącej nędzy, bo służby nie dochodziła płaca, głodni kradli, ale dla oka wyglądało wszystko świetnie: przed i za karetą pańską i obok niej laufry, pajucy (nazwa turecka) i hajducy, za stangretem murzynek lub turczynek, trzymający się jego ramion, na stopniu za karetą dwaj hajducy. Karety z Gdańska lub Warszawy czy Leszna tak się rozpowszechniły, że wkońcu byle szlachetka miał je dla żony i córek; moda odmieniała je co lat kilka; obok nich były wszelakie powozy, bryki, karabony (dla towarów i służby) aż do «bied» dwukołowych. Wielcy panowie mieli nawet w Warszawie kilka karet, odmieniając je coraz, bo wstydzono się jednej tylko. Karety paradne błyszczały od wybicia suknem ponsowem, od tafli zwierciadlanych, od świecących klamek u drzwiczek; staromodne miały pudło wielkie, że w niem stanąć można było, nisko zawieszone, tak, że się błoto wciskało; nowe miały pudło wysokie, można było w niem tylko siedzieć. Wjazdy opisał dokładnie Kitowicz: przed każdą karetą pańską szli lokaje w liberji i hajducy w stroju węgierskim (długi kontusz, wysoka magierka z strusiemi piórami), wedle karety pajucy w stroju tureckim: najmniej bywało czterech lokajów i dwu hajduków, najwięcej dwunastu lokajów i sześciu hajduków z dwoma lub czterema pajukami; biskup krakowski, Sołtyk, wystąpił z dwudziestu czterema lokajami, dwunastu hajdukami i czterema paziami. Wyprzedzały karety kawalkaty dworzan, nieraz w kilkaset koni.

Równy przepych panował co do koni; dobierano do karety cugi sześciokonne o jednej maści i równym składzie; wszystko jeździło tak i wolał szlachcic piechotą chodzić lub wierzchem się przejeżdżać, niż dwukonną karetą się pokazać; dopiero w ostatnie lata Augusta nawyknięto do dwukonnych, gdy obrukowana Warszawa sześciu koni do karety już nie wymagała. U koni cugowych szory, u wierzchowców nierównie bardziej siodło było kosztowne. W Warszawie jedynej nastały też karety

najemne, lepsze po dukacie na cały dzień, podlejsze po 12 złotych; używał ich także ten, kto nie miał kilku własnych w mieście.

Służba powozowa, zmuszona godzinami wystawać przed zamkiem (podczas posiedzeń sejmowych) lub przed pałacami (podczas balów i t. p.), skracała czas przedrzeźnianiem i wyszydzaniem przechodniów, mianowicie niewiast, i wołaniem na własnych panów (a siadaj łysy! i t. p.). W Piotrkowie i Lublinie służba palestry a nieraz i deputatów urządzała przez czas sesji przed ratuszem koło, z marszałkiem i innymi «dygnitarzami», o czem walka na palcaty rozstrzygała, których żydzi po dokonanym obiorze częstować musieli; ci łapali podobnych sobie przechodniów i do koła swego ciągnęli, gdzie z nimi na palcaty się bili albo się im okupowali.

Nie raziły zbytkiem dwory, zamki i pałace. Dom, wystawiony od przodków, murowany a najczęściej drewniany, służył kilku pokoleniom, nie zmieniano twardych ław i stołków, stołów surowej roboty, tapczanów zamiast łóżek; tylko łoże małżeńskie rozmiarami i betami się wyróżniało, nad niem namiotek ze zsuwanemi firankami; ściany zawieszano kobiercami, na ławach i stołkach kładziono poduszki lub suknem je obciągano; kosztownych mebli nie znano, bogactwem zato świeciły skarbce; kosztowności rozkładano na stołach lub po kredensach («służbach»); w skrzyniach chowano szaty i futra; wielkie piece kaflowe obok kominów ogrzewały izby; podłogi były z desek, wyjątkowo z tafli, nawet kachlowe. Panicze, wracający z zagranicy, ten skromny stary tryb rzucali. Obcy architekci stawiali im pałace i dwory; wyrzucano stare meble, ściany obijano tapetami; zamiast podłóg froterowano parkiety; najrozmaitsze meble zapełniały pokoje, szafy, biurka, kantorki, kanapy, taburety; tapczany wyrugowano; zamiast dawnej słomy puchowe piernaty i pierzyny; po ogrodach nowomodnych oranżerje. Kanapy i krzesła obijano skórą pozłocistą; plecione z trzciny okazały się

zbyt kruchemi i towar ten gdański, lekki zastąpił masywny, krajowy; wszystko inne z drobnemi wyjątkami, obcej roboty.

Kosztowniejszy był zbytek w strojach. Za Augusta II strój polski panował wyłącznie, stroju niemieckiego używało tylko kilku panów, natomiast za Augusta III obok stroju polskiego ustalał się niemiecki (francuski), za którym panny przepadały; nieraz kładziono na ich życzenie przy obiorze męża warunek, aby się przebrał po niemiecku; przy obcym stroju golono wąsy, co przy polskim nie uchodziło, a wąsami i sarmatyzmem nieoddzielnym zrażały się panny, chociaż z tej reguły bywały i wyjątki. Strój polski nie odmienił się w niczem od dawnego: składały się nań kontusz (na zimę podszywany lekkiem futrem), żupan, spodnie, buty, czapka; szlachcic przepasywał kontusz pasem, przypasywał szablę i brał do ręki czekan (obuch); mieszczanin zawieszał kontusz, przepasywał żupan i brał do ręki trzcinę, bo szablę nosił tylko mieszczanin krakowski i magistraty wileński i poznański. Szabla czarna, żelazna, obszyta węgorzową skórką była pospolitą (przy stroju niemieckim pałasz albo rapier), zawsze krzywa; nastały i proste, lżejsze; do gali służyła karabela czyli czeczuga «lwowska», a noszono je na paskach rzemiennych lub rapciach jedwabnych. Na pasy się wysadzano; były od pospolitej potrzeby i od gali, owe jedwabne, siatkowe, taśmowe, te z cienkiej wełny, tureckie, perskie, chińskie, można było przez pierścionek przewlec; kosztowały nowe do 50 dukatów; ale były i znacznie droższe, do 500 dukatów, grube i tęgie z nici srebrnych lub złotych, kwiatami jedwabnemi przerabiane; pasy słuckie, francuskie i krajowe, jeżeli wytwornej roboty, nie były tańsze; pasy tureckie ordynaryjne (jedwabne) kupowano już za cztery dukaty.

Czapki były konfederatki, krymki i kozackie, wedle wąskiego lub szerokiego baranka, wysokiego lub płaskiego wierzchu (sukiennego); do wierzchów bławatnych dodawano baranki atłasowe; starsi nosili kapuzy (lisie), dygnitarze kołpaki sobo-

lowe z wierzchami aksamitnemi i drogim kamieniem lub sygnetem brylantowym. Spodnie były buchaste, zawiązywane na sznur, później na guziki, buty żółte, czerwone i czarne, (te najtańsze, więc «znać pana po cholewach»); wyścielano je wiechciami słomy, a nogi uwijano w onucze, które później szkarpetkami zastąpiono. Kontusze i żupany były długie, niemal do ziemi, z wielką na błocie niewygodą, więc później kuse, ledwie zakrywające kolana; za tej mody i czupryn znacznie ukrócono. Jako futra służyły wilczury z wilków krajowych, w cenie od 4 do 6 dukatów; dalej opończe, bekiesze, kiereje; opończe miewały kaptury do nakrycia głowy; delije i czuje różniły się wcięciem od kierei; na kontuszach noszono kaftany i czechmany. Strój niemiecki wyróżniał się mnóstwem haftów i galonów, tak, że sukna mało co było widać, koronkami brabanckiemi u mankietów i gorsów koszuli, guzikami z najdroższych kamieni; głowy fryzowano i noszono kapelusze; jeśli pudrowano włosy albo nasadzano wielkie peruki, umykał kapelusz pod pachę.

Nierównie liczniejsze były odmiany stroju niewieściego. Zniknęła różnica ubioru głowy, bo i panny zarzuciły dawne wieńce a wzięły się do kornetów, o coraz odmiennym kroju, żółte i białe, z muślinu, z koronkami i wstążkami, wielkie na drutach, które upinane w Warszawie po kraju się rozchodziły, w cenie od 20 zł. do 6 dukatów.[1] Noszono dwie spodnice, sznurówkę, na niej jupkę, na tej kontusik zimą; dalej suknie o różnych nazwiskach, z wyciętemi gorsami, z wyjątkiem salop; pod suknie, roby, noszono rogówki, krynoliny, do trzech łokci u dołu szerokie: nosiła je tylko szlachta i jej służące panny; skoro się mieszczka w rogówkę ustroiła, zawsze jej afront robiono. Trzewiki noszono malowane w kwiaty, potem atłasowe, zapinane na sprzączkę, coraz odmieniane (wskutek najmniejszej plamki);

[1] W domu plotły panny warkocze, skronie otaczała przepaska z wąską koronką, a nad nią przypinały kwiat albo bukiecik.

warszawskie zażywały największej sławy. Pończochy białe, jedwabne lub niciane, podwiązki na sprzączkę taką jak u trzewika (brylantowa, perłowa itd.). Na szyi korale, perły, łańcuszki złote albo na czarnej aksamitce zawieszony drogi krzyżyk; wedle tego manele na ręku; pierścionki na palcach, kólczyki w uszach, mniejsze lub większe; zawsze wachlarz w ręku, szczególniej wychodząc na przechadzkę; welony czarne; rękawiczki różnokolorowe (od koloru sukni), albo czarne mitynki (o jednym palcu).

W stroju męskim zarówno jak i niewieścim obowiązywała moda najnowsza i niesposób było bogatym panom i paniom wyróżnić się od mniej zamożnych; co oni dziś zawdziewali, było nazajutrz powszechnem, co dla tego spospolitowania zarzucili, zarzucali nazajutrz wszyscy i spadało to do szynkarek i kucharek; ależ narzekania na wymysły modne (niejedna pani nie umiała ich nawet nazywać) są odwieczne; w właściwych nazwach i Kitowicz się nie orjentował, nie rozróżniał *kazakinek, szamerlanów, robronów, mantaszustów* (znam tylko *szustmanty), szlombrów* (?) itd. Jedne sznurowały się z przodu, drugie z tyłu; miały fald lub go nie miały itd.; krój był zawsze ten sam, t. j. modny, tylko materja różniła się wedle zamożności.

Do stroju należały pierścionki, które panie kładły nieraz po dwa lub trzy na jeden palec, często już kamieniami czeskiemi zamiast kosztownych wysadzane; dalej zegarki, pektoraliki, pierwotnie srebrne, noszone w kieszeni bez łańcuszka, z taśmą, bijące lub ciche; gdy się te nadto spospolitowały, urozmaicano je łańcuszkami z dewizkami, noszonemi na zewnątrz; potem wzięto się do złotych i kameryzowanych drogiemi kamieniami, lecz te raczej w skarbcu chowano dla okazania i podarku, jak i złote tabakierki, bo nader łatwo ginęły, wyciągane przez rzezimieszków; pierwsze zegarki były wcale niezgrabne, ale Gdańsk i Warszawa dostarczały niebawem kształtniejszych.[1]

[1] Zegary ścienne drewniane były już ogólne po domach, z przydaną kukułką, odpowiadającą bijącemu zegarowi; wyrabiali je młynarze Sasi,

Do ozdób szyi używano korali samych, później korali z perłami, aż je mieszczkom i żydówkom (które się i w dukaty stroiły) porzucono. Kamienie drogie zastępowano czeskiemi, głogowskiemi (śląskiemi) i naszemi biłgorajskiemi. Najdawniejsze tabakierki były srebrne albo perłową macicą wykładane, obok nich rożki wołowe czy łosie, misternie wyrabiane, srebrem lub złotem nabijane; dla pospólstwa blaszane tabakierki a rożki nieco płaskie; używano dalej tabakierek blaszanych, czerwono lakierowanych i malowanych, drogich (pierwotnie dochodziły do dwunastu dukatów; gdy się rozpowszechniły, i po złotemu je płacono), z najrozmaitszych innych materyj (porcelany itd.), aż je u wielkich panów szczerozłote i kameryzowane brylantami zastąpiły; z niemi nastały i pierścionki z minjaturami pod szkłem lub drogim kamieniem. Mężczyźni nosili nieraz skówkę srebrną lub złotą na grubym palcu, znak gracza do szabli.

Sarmacki przepych roztaczano przy pogrzebach i nieodzownej stypie; niektóre przybierały rozmiary wręcz bajeczne, np. na pogrzeb Józefa Potockiego, w. hetmana i kasztelana krakowskiego r. 1751 zebrało się 10 biskupów i sufraganów, 60 kanoników, 1275 księży łacińskich, 430 unickich i greckich, a z 120 armat wystrzelano w sześć dni 4700 kamieni prochu; zachowano dawne zwyczaje, spadanie opancerzonego rycerza z konia przed trumną, łamanie kopji i t. d. Spółczesne *Kurjery* notowały pilnie te obchody.

Oryginalność i malowniczość czasów saskich zasadzała się na tej pstrociźnie, na mieszaniu w życiu i stroju motywów wschodnich i zachodnich, na krzyżowaniu średniowiecza (husarja przypominała wiek XV, a łuk nie wyszedł zupełnie z mody) z kulturą nową, galanterji francuskiej z sarmatyzmem, przepy-

drogie z początku; okazałe, stojące wolno, żelazne i inne były po dworach pańskich. Cały zegar, t. j. wybijający 24 godzin, wyszedł już z używania dla półzegara o 12 godzinach. O klepsydrach z wodą czy piaskiem dawno zapomniano, pozostały tylko emblemem śmierci.

chu z nędzą (obok pałaców chaty kurne, obok wykwintnych magnatów lud zdziczały napoły), dewocji z zawadjactwem, otwartości, szczególnie przy winie *(in vino veritas)* ze skrytością i przebiegłością. O szczerości nie było mowy; przy rozdarciu kraju na fakcje należało stąpać ostrożnie, aby nie popaść w utratę mienia czy zdrowia; urażano się o byle co, chociaż się nieraz łatwo godzono, co od okoliczności i temperamentu zależało; mściwość włoska była obca narodowi, którego cechą łagodność, co inni brakiem energji nazywali. Pojęcia moralne były dosyć prymitywne; schlebianie i nadskakiwanie nikogo nie szpeciło; wymagano uniżoności, tak samo kornej prośby, a szczególnie na widok łez się rozrzewniano i dochodził w tem niejeden do mistrzostwa (miał łzy na zawołanie np. Matuszewicz). Do braci szlachty trafiano «czapką i papką», kordjalnością choćby udaną i poczęstunkiem obfitym. Prawdy zbyt nie szanowano, na panegiryki i frazesy szumne były umysły stale nastrojone; myśl spała, szczególnie polityczna: «dobre czasy, pokój ciągły, obfitość wszystkiego całą myśl obywatela rozrywkami i uciechami zajmowały, ile gdy zrywane raz wraz sejmy nikogo nie wabiły do zatrudnienia się około dobra publicznego» (Kitowicz). Łatwo unoszono się porywczością, chociaż od dobycia szabel nie zawsze do krwi rozlewu dochodziło. Gościnności nadużywano raczej, jak i czołobitności, co jedno i drugie znacznie wschodem trąciło. Ceniono najwyżej klejnot, herb, którego nie godziło się splamić: przy ogólnej samowoli był to nieraz ostatni hamulec.

Już zgłaszały się wpływy obce, nie niemieckie ani włoskie, lecz francuskie, narazie tylko u szczytów towarzystwa; jak niegdyś do Włoch, tak teraz jeżdżono do Paryża. Znajomość języka francuskiego była śród arystokracji ogólna; pierwszą gramatykę francuską wydał r. 1699 Duchênebillot dla warszawskich Sakramentek (ich nakładem), a zaraz r. 1700 Malicki w innym nieco układzie; obie nieraz przedrukowano. Z językiem, modami przybywali i ludzie; coraz więcej Francuzów widziano sekre-

tarzami, bibljotekarzami i t. d.; Białystok na Wersal zakrawał, a na dworze Czartoryskich roiło się od obcych, chociaż kanclerz i wojewoda (w strojach cudzoziemskich) dawne obyczaje zachowywali, np. każdy obiad modlitwą zaczynali; młodsze pokolenie, ks. Adam i Stanisław August, już z gallomanów w anglomanów urośli. Tak rozdwoił się naród; od cieniutkiej warstwy salonowej odbijała zamaszystość i krotochwilność sarmacka, dobroduszna i prosta, ale i w niej nie obchodziło się bez odmian; Wołyń i Ukraina z olbrzymiemi fortunami magnackiemi a wschodnią niekulturalnością odbijały silnie od Krakowa i Poznania. Najbardziej zacofane było ubogie Mazowsze i jak w dawnych wiekach, szydzono i teraz z tych dzielnych pionierów polskości, z ich szepleniącej gwary, chełpliwości niepoczesnej, grubej naiwności. Pytano, skąd to «każdy Mazur szpetny jak sowa, szczebietliwy albo pletliwy jak sroka, leniwy jak wół, obżarty jak wilk a zły jak djabeł?», te to zwierzęta wysiadywały go w jaju; niósł djabeł w worze Mazurów na przedaj, wypadali mu na Podolu, Litwie i t. d., aż wszystkich co miał u Ciechanowa wysypał.[1]

Zacierały się zupełnie różnice narodowościowe, gdy się wyznaniowe zatraciły; szlachta ruska rzuciwszy szyzmę bratała się z polską i jakżeż wydzielać składniki tego amalgamatu, coraz nowemi związkami «międzynarodowemi» zasilanego; czysta

[1] Piszą Mazury list do św. ojca, nie piszą go bratem, bo nie wiedzą, czy on szlachcic; rzecz zaś taka, że się u nich jeden brat i siostra *onacą* bardzo ku sobie; nie poradził ks. *wiokary;* odesłano ich do *ktoban opicygal lopat wyskup* po jakiś *ingult* czyli *fakultasa;* więc wydaj nam tego *fakultasa* i pozwól naszemu rodowi się *oswinić,* żeby nas djabeł nie kusił, a za tę łaskę obiecujemy twojej służbie parę *prośniaków półkarmnych i sadełko cwartoletnie;* dla ciebie samego byłoby dobre *cerwuńce,* ale tych my nie widzieli, mamy więcej *bzdęków* z skarbu moskiewskiego *carta* a i te nam pobrali Sasi i in., tak że nie wiemy, czy się ostaniemy przy naszej *konstypacji.* Godnie stawały obok podobnych listów «pacierze», kolędy i uniwersały mazowieckie.

krew ruska płynęła już tylko wyjątkowo, może u Czetwertyńskich, Szeptyckich, ale przenigdy u Czartoryskich, Sapiehów; rodowitej szlachty litewskiej ani nie pytaj, chyba zdradzi imię litewskie (Skirmunt, Ejsmont, Kontrym i t. p.) gniazdo pierwotne. Bez najmniejszego przymusu, z własnej dobrej woli, dla wyższej kultury polskiej opuściła liczna szlachta ruska i nieliczna litewska swój naród. Na nizinach bywało też odwrotnie; Mazur-kolonista odpolszczał się na Rusi i Ukrainie, tem łatwiej, jeśli o jego potrzeby wyznaniowe nie dbano. Niemcy pierwotni spolszczeli najzupełniej, ślady ich gwary wyjątkowe; nazwiska czasem początku dowodzą; i nowi przybysze rychło polszczeli, szczególnie, gdy wiara nie stawiała przeszkody, bo luter żenił się z luterką. Ormjanie języka ojczystego zapomnieli, chociaż go we mszy jeszcze słyszeli; nie przywrzało im jeszcze imię kabcanów, którem żydów obdzielano. Tak wsiąkała w wielkiej Rzeczpospolitej polszczyzna zewsząd, tylko chłop żmudzki i ruski stał przy odrębnym języku, a nawet obrządku; zato był w Polsce właściwej napływ krwi wcale znaczny; najmniej go było między ludem w środkowej Polsce.

ROZDZIAŁ TRZECI

ŻYCIE UMYSŁOWE

Szkoła. — Nauka. — Literatura. — Teatr. — Literatura polityczna. — Język. — Sztuki piękne. — Muzyka. — Architektura. — Malarstwo.

SZKOŁA

Upadek szkolnictwa, zabójcza jednostajność metody, zupełny brak różnolitości nauki, orzeźwiającej myśl strudzoną, zaczęły się w wieku XVII, a spotęgowały z usunięciem szkół różnowierczych i zaskorupieniem katolickich; bierność czasów saskich, a raczej zupełna stagnacja, cechuje szkolnictwo. Dla wsi przestała szkoła istnieć; panowie niechętnieby ją widzieli, bo i pocóż niewolnikowi nauki? Inne szkoły pozostały jak były, t. j. jedynym ich przedmiotem była łacina, czy to początki czy zupełne jej opanowanie, popierane wszelkiemi środkami, choćby taką *nota linguae,* którą otrzymywał każdy, kto w szkole słowem polskiem się odezwał, a ostatni, co się z niej na kogo innego nie zrzucił, odbierał w sobotę solenne plagi. Nauki rzeczowej nie było, chyba nieco przy czytaniu autorów z mitologji, historji i t. d. dla wyrozumienia wtrącano. Szkółki miejskie początkowe uczyły czytania i t. d. polskiego, wyższe tylko łaciny; sztucznie wzbudzano «emulację», awansowaniem z «ławki oślej» i z pod wieńca słomianego do «imperatorstwa» i «dyktatorstwa», śledzono postępy w nauce i obyczajach przez «audytorów» i «cenzorów». Nauka była przed- i poobiednia; miesiąc lipiec wakacyjny; fizyczne ćwiczenia zastępowała gra w palanta (piłkę) i szermierka na palcaty; uczyli się razem bogatsi (acz ich bardziej uwzględniano) i ubożsi, tych nazywano, szczególnie jeśli byli mieszczanami, Pawełkiem czy Piotrkiem, tamtych rodowem nazwiskiem. Bogatsi miewali inspektora czy dyrektora własnego; ten ich obuczał, pensum wypytywał i dozorował; wybór bywał nieraz fa-

talny, «dyrektor» znieprawiał chłopca. Szlachta uczyła się w szkołach zakonnych, jezuickich, pijarskich, bazyljańskich, w kolonjach akademji, najrzadziej w szkole miejskiej; początki odbierała w domu przez preceptora; w szkole wdrażano ją wszelkiemi sposobami do pobożności; dyscyplinę i pilność osiągano karami, placentą, rózgą, kańczugiem (boćkowskim, bizunem), mimo to pozwalała sobie młodzież na wszelkie wybryki, przeciw żydom i różnowiercom. Klasy zwały się infimami u jezuitów, parwą u pijarów; dalej: gramatyką, syntaksą, poetyką, retoryką; na tem, jeśli nie wcześniej, kończyła szlachta studja; na dalsze, na «filozofję» (o paroletnim kursie) uczęszczał, kto do duchownego stanu wstępował. Klasy zwały się rozlicznie, lecz uczyły tego samego, t. j. łaciny w różnych rozmiarach; nauka szkolna nie miała nic spólnego z życiem, była ściśle formalną, udzielała bogatej frazeologji i komplikowanych reguł dla wierszy i prozy, nużyła straszliwą monotonją, brakiem życia, treści. Studenci różnych szkół zakonnych i innych walczyli między sobą, tak, że nie można było ich łączyć, np. do wzajemnej przechadzki czy pielgrzymki, lecz wobec obcych stawali zgodnym frontem i mścili każdą zniewagę, coby jednego z nich od kogokolwiek spotkała; ledwie ich mogli pohamować magistrzy (młodzi nauczyciele, klerycy) i patrowie (starsi, kapłani). Szkoły liczyły po 400 i więcej uczniów.

Akademja była jedna, krakowska, bo jezuicka, wileńska, była w istocie wyższem kolegjum, a zamojską tylko kalendarze Duńczewskiego rok rocznie przypominały. Akademja ugrzęzła w uśpieniu średniowiecznem i w niedoborze majątkowym: środki malały wraz z dewaluacją pieniędzy, tak, że ledwie w trzy lata mogła wysyłać ucznia do Włoch dla dalszej nauki, szczególniej lekarskiej, której w Krakowie jak najmniej udzielano; prawnicza też nie wysoko stała; uczono prawa kanonicznego dla duchowieństwa i «saksona» dla mieszczan. Naukę prawa przechodziła szlachta w «palestrze», t. j. u «mecenasa» czyli «pa-

trona», całkiem praktycznie; o teorji słyszano coś niecoś w kursach dla studentów akademickich, na których palestra z góry patrzyła. Wydział filozoficzny i teologiczny były obficie obsadzone, ale ich «umeblowanie» było nad wyraz liche. Autorów czytano mało; matematyka była nieco zastąpiona; innych gałęzi nie uprawiano wogóle; zato kwitła przywiędła scholastyka wedle Arystotelesa; dziekan rozdawał kwestje tygodniowo bakałarzom i magistrom, a ci winni byli je rozwiązywać w «akcie» publicznym. Nowszej filozofji nie znano i gdy ks. Świątkowski, wróciwszy z Niemiec, starał się coś o niej powiedzieć, napotkał taki opór u starszych, że wykładów zaniechał; projekt biskupi sprowadzenia Wolffa z Hali był chimeryczny już z powodu protestantyzmu profesora. Liczba wszelkich magistrów (posuwających się wedle starszeństwa) dochodziła do 200, studentów do 2.000; w pierwszej połowie wieku było ich znacznie więcej. Majątek był w stanie opłakanym; ostatnie zasoby (miljon złp.), wyszafowała Akademja na beatyfikację Jana Kantego; wysłała do Rzymu jego rękopisy, a gdy się w Rzymie przerażono traktatami (odpisami!) koncyljarysty, ocalono sytuację podsunięciem niby innego Kantego jako autora niecenzuralnych rzeczy. Poza tem stawała Akademja do walki z jezuitami, gdy ci kolegjum lwowskie na stopę wileńskiego podnieść zamierzali i już potwierdzenie królewskie otrzymali; dziesięć lat trwała zażarta walka, ukończona, jak zawsze, zwycięstwem Akademji, której i Konarski (pijar, przeciwnik jezuitów) dzielnie sekundował; głos publiczny nie oświadczał się bynajmniej za Akademją, pomawianą, że tylko z zazdrości opór jezuitom stawiała, że jezuici byliby lepiej uczyli.

Z tej stagnacji wydobył szkolnictwo Stanisław Konarski, pijar, uczeń, potem nauczyciel w szkołach krajowych i w zakonnem Nazarenum rzymskiem, świeżo zreformowanem, zbliżonem do typu akademij rycerskich czyli szlacheckich, przeznaczonych dla bogatszej młodzieży. Wrażeń rzymskich dopełniły dalsze po-

dróże i studja, w Paryżu szczególniej. Reforma szkolna, główne dzieło życiowe Konarskiego, mogła wobec stosunków faktycznych i teraz i później (za Komisji Edukacyjnej) zaczynać tylko od góry. Dawna jednolitość nauczania już była nadwerężona przez to, że synowie magnaccy odbierali naukę domową, a dopełniali jej wyjazdem zagranicznym; tę jednolitość rozbił Konarski zupełnie, urządzając w Warszawie *collegium nobilium* o ograniczonej liczbie «konwiktorów» (60 tylko), wysokiej opłacie (80 dukatów rocznie), o życiu w zakładzie zamkniętym, bogato urządzonym, o znacznie rozszerzonym programie nauczania.

Dotychczasowa szkoła jezuicka zadowalała zupełnie niewysokie wymagania szlachty, bo uczyła tej łaciny, bez której nie było sposobu w Koronie (inaczej na Litwie) obchodzić się w sądzie szlachcicowi, i tej frazeologji, która mu w życiu publicznem i prywatnem (przy obchodach familijnych) była niezbędną; o niczem więcej i słyszeć nie chciał. I Konarski nie mógł zerwać z tradycją, więc też w jego *collegium* łacina pozostała przedmiotem głównym, ale nie jedynym; obok niej dbano nierównie więcej niż u jezuitów o język narodowy, a dalej o francuski i niemiecki: służba, która paniczów otaczała (lokaje najęci, nie jak dawniej chłopcy z ubogiej szlachty), mówiła tylko po francusku i niemiecku i języków tych uczyli metrowie przez cały ciąg studjów, które siedm lat trwały (klas pięć, pierwsze trzy roczne, dalsze dwie dwuroczne); dalsze dwa lata były przeznaczone dla studjów prawnych.

Wychowanie młodzieży na dobrych obywateli, a przez nich osiągnięcie reformy państwowej przyświecało Konarskiemu jako ideał i do niego dostosował program klas wyższych (retoryki i filozofji), które się już obchodziły bez łaciny, uczonej w niższych w godzinach porannych, w sposób łatwiejszy, bez obarczania pamięci regułami, na podstawie samej lektury autorów. W klasach wyższych uczono historji i geografji (Konarski spro-

wadzał globusy i mapy); czytano autorów polskich, poetów i mówców; wypracowywano zadania pisemne na trafnie obmyślane tematy, zdążające do reformy, wpajające miłość ojczyzny; arytmetyki uczono w klasach niższych, w wyższych fizyki i filozofji. Zatrzymał Konarski nawet jezuickie sejmiki młodzieży, odprawiane przy końcu roku szkolnego wobec sproszonej publiczności, całkiem na modłę prawdziwych, z mowami gorącemi, z *liberum veto* i zrywaniem, ale je odmienił; wyrzucił *liberum veto* i gwałtowne ścieranie się «stronnictw», a wprowadził spokojne, rzeczowe obrady nad wybranemi tematami. Religji uczył ksiądz prefekt w kościele w niedziele; historji biblijnej uczono w klasie pierwszej.

Collegium nobilium miało wychowywać przyszłych mężów stanu, więc wdrażał Konarski swoim wychowankom myśli postępowe i patrjotyczne; w popisie szkolnym r. 1757 wypowiedzieli oni «rozmowę o uszczęśliwieniu własnej ojczyzny», gdzie ich dziesięciu przedstawiało po kolei reformę wszelkich dziedzin publicznych i prywatnych, np. podniesienie handlu i przemysłu, gospodarki prywatnej, waluty; o zgubności *liberum veto;* o aukcji wojska; o ochronie chłopa i t. d. Nowa szkoła uwzględniała i fizyczne wykształcenie; metrowie uczyli tańców, fechtunku, jazdy konnej; grano w wolanta, bilard, warcaby; w zapusty wystawiano tragedję polską i komedję francuską, ale zamiast dramatów szkolnych niesławnej pamięci z ich niesmacznemi intermedjami i bez ról kobiecych, tłumaczył profesor retoryki tragedję klasyczną, a komedję wybierał Moljerową; Konarski sam napisał «klasyczną» tragedję *Epaminondas* (bohater opiera się zgubnemu prawu), a tłumaczył on i inni pijarzy Woltera i in. Osobliwie dbał Konarski, aby młodzież odwykłą od czytania książek do tego nakłonić, aby i po opuszczeniu zakładu w nich smakowała, a że dobrych książek polskich nie było, czytała francuskie: tak otwierał Konarski szerokie wrota wszechstronnemu wpływowi francuskiemu.

W programowej mowie «o kształtowaniu uczciwego człowieka i dobrego obywatela», zaznaczał wyraźnie, że celem wychowania nie jest tworzenie wielkich uczonych czy literatów, że państwu zależy więcej nierównie na kształceniu uczciwych i dobrych obywateli, wszelkie więc zachody ku temu kierował, a obmyślał wszystko do najdrobniejszych szczegółów. Zasady jego wykraczały zupełnie poza ramy saskie i spotykały się z oporem, najpierw u ubogiej szlachty, która nie mogła już liczyć na umieszczanie synów przy boku paniczów (por. broszurę Czackiego p. t. *Skarga ubogiej szlachty na ks. Pijarów),* dalej w łonie pijarów samych, nie godzących się na śmiałe innowacje; szczególnie opierali się reformie pijarzy litewscy; najbardziej śród jezuitów, którzy o swój monopol nauki gorąco się zastawiali i o prawowierności Konarskiego powątpiewali. Przekonali się niebawem, że należy wstąpić na podobną drogę i otworzyli w Warszawie własne *collegium nobilium,* rządzące się poniekąd równemi zasadami, gdzie np. francuscy jezuici uczyli swojego języka, ks. Bohomolec komedje Moljerowe (acz bez ról kobiecych!) w pocie czoła przerabiał, a w *Zabawkach oratorskich* polskie opracowania tematów ogólnych ogłaszał. Pijarzy odnieśli zwycięstwo.

Collegium nobilium, zakład arystokratyczny, nie mogło oddziaływać na szersze koła; więc zatroszczył się Konarski równocześnie o reformę programu we wszystkich kolegjach pijarskich. Zwalczywszy rozliczne przeciwieństwa, uzyskał wkońcu zgodę zwierzchników zakonnych i papieża na t. zw. *Ustawy wizytacji apostolskiej* z r. 1754, które odtąd obowiązywały wszystkie szkoły pijarskie. W porównaniu z *Collegium nobilium* plan ich i zakres studjów był nieco odmienny, bliższy dawnemu, tradycyjnemu; pozostał dawny podział klas; łacinie przyznano więcej miejsca (uczeń miał biegle mówić po łacinie); język polski grał rolę dodatkową, pomocniczą, ale dbano o jego czystość; wprowadzono naukę historji (także polskiej); zrefor-

mowano naukę retoryki, a tematy, przeznaczone na ćwiczenia pisemne (np. władzę hetmańską ograniczyć do 2—3 lat; Żydów zmusić do pracy ręcznej i roli; zasada, Nierządem Polska stoi, jest fałszywa i zgubna i t. p.), stały w związku z planem naprawy Rzeczypospolitej; filozofję miano wykładać nowożytną (od Descartes'a); naukę religji odłożono do kościoła, z nią łączono czytanie ustępów z dzieł moralnych polskich; wprowadzanie nowych dewocyjnych środków (procesyj i t. p.) usunięto; kary cielesne ze zwykłego biegu szkolnego wykluczono, dozwalając ich tylko w razach nadzwyczajnych; łagodzono ogółem postępowanie z młodzieżą, kazano dbać o jej czystość, ogładę zwierzchnią; zmniejszono tryby «emulacji». *Ustawy* wymagały od nauczycieli (obuczanych w kilku seminarjach) stałej pracy nad sobą, gorliwości w nauczaniu, powagi wobec uczniów (bez wszelkiej pedanterji), a harmonji z kolegami. Wadził brak podręczników; nie było żadnych dla historji, mianowicie polskiej; zastępował je odwieczny Pastorjusz *(Florus polonicus)*.

Dzięki Konarskiemu wynieśli właśnie pijarzy całe szkolnictwo polskie na swoich barkach; reforma nauczania i wychowania jest też największem dziełem Konarskiego; tu torował on drogę, rozbijał mur przesądów, wystawiał nowe, wysokie cele, zwalczał nieznużenie przeszkody, stawiane mu nawet w własnym zakonie przez obskurantów. W innych działach zwalczał wroga już pobitego, czy stylu napuszoność, czy obłęd zrywania sejmów, ale reforma szkolna, to jego własne dzieło; wzorował się na obcych, w całości i szczegółach, ale bynajmniej nie niewolniczo; wychodził od potrzeb krajowych i do nich stosował swoje metody; był raczej zachowawcą niż burzycielem; liczył się z zacofaniem narodowem, nie doceniał nauk ścisłych, nie zrzucił więzów łacińskich, ale osadził silnie szkołę na nowych, humanitarnych, postępowych zasadach, a nikt ze spółczesnych pedagogów obcych nie wdrażał z równą siłą miłości ojczyzny w serca

młodociane i to jest rysem zasadniczym jego reformy, która wychowanie traktowała jako porękę odnowienia państwa. W całych dziejach szkolnictwa polskiego stoi Konarski na samem czele, nikt mu nie dorównał szerokością planu, energją jego przeprowadzenia, wzniosłością ideałów. Po raz pierwszy mogła szkoła polska powiedzieć, że uczy nie dla szkoły, lecz dla życia. Tylko w tolerancji różnowierców nie odstąpił Konarski od normy ogólnej, t. j. nie uznawał jej, prócz bardzo ograniczonej.

Gdy tak wychowanie męskie pchnięto na nowe tory, żeńskie zaniedbywano po dawnemu. Szkół żeńskich nie było w Polsce (zob. wyżej), ale już nie broniono im książek, naturalnie francuskich; kobiety bez francuskiego istniały tylko na partykularzu, np. Drużbacka; właściwej ogłady nabierały po dworach pańskich. Szkoły różnowiercze kwitły po miastach pruskich, w Toruniu, Gdańsku i t. d., ale nauka odbywała się wyłącznie po łacinie i niemiecku; na Litwie kiejdańska szkoła radziwiłłowska walczyła o swoje fundusze, a w Koronie szkole leszczyńskiej i każdej innej luterskiej utrudniano pracę ile sił. Żydowskie podupadały; świetne czasy poprzednie minęły i dla nich.

NAUKI

Z szkół jezuickich, i pijarskich dawnych, nie wynoszono zapału, a nawet tylko zrozumienia nauki; całe też sześćdziesięciolecie okazało się najnieproduktywniejszem, dzieł naukowych, lub coby za takie uchodzić mogły, niemal wcale nie było. Najważniejsze, to *Korona* Kaspra Niesieckiego, genealogja szlachty polskiej, która do dziś dla mnóstwa dat bio- i bibljograficznych wartości nie straciła; owoc to najżmudniejszych poszukiwań, nieco jednostronnych, bo pomijających ile możności różnowierstwo przodków, a wysuwających zanadto i braciszków zakonnych i cele dewocyjne (wyposażanie klasztorów i t. d.); dawne społeczeństwo wygląda zbyt ascetycznie w tem oświetleniu jezuic-

kiem; Litwa i Prusy mniej uwzględnione z braku źródeł. Zresztą same kompilacje, np. jezuity Gabrjela Rzączyńskiego, *Historia naturalis curiosa regni Poloniae,* r. 1721, o faunie i florze polskiej. Dziwolągiem fałszywej erudycji były słynne *Nowe Ateny albo akademja wszelkiej sciencji pełna, na różne tytuły jak na klasses podzielona, mądrym dla memorjału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana* i t. d. ks. Benedykta Chmielowskiego r. 1745, niby encyklopedja wszelkich fabuł o całym świecie przyrodzonym i nadprzyrodzonym, zebrana z mrówczą pilnością z najobskurniejszych autorów, choćby średniowiecznych. Dzieł filologicznych, historycznych (prócz pamiętników), matematycznych i astronomicznych (prócz kalendarzy) nie było, chociaż jednostki, wykształcone zagranicą, wracały do kraju z najlepszemi zamiarami, którym brakło poparcia. Kwitła bibljografja poniekąd, przynajmniej Załuski i Jabłonowski zbierali autorów-poetów w przedmowach do prac własnych, a Janocki stawiał pierwsze kroki na tem polu. Brakło poważnych dzieł teologicznych, bo przedruki autorów średniowiecznych, np. Sasa Ludolfa wykład psalmów (jeden z najpiękniejszych okazów ówczesnej sztuki drukarskiej), albo tłumaczenia z francuskiego nie można zapisać na karb nauki. Nader znamienny dla tych czasów jest ks. Gaudentego Pikulskiego *Sukces świata czyli historja uniwersalna... zacząwszy od stworzenia świata aż do teraźniejszych czasów,* r. 1763, pełen najsubtelniejszych wywodów, kwestyj niemożliwych, łamigłówek pociesznych, albo ks. Szymona Majchrowicza (jezuity) *Trwałość szczęśliwa królestw albo ich smutny upadek, wolnym narodom przed oczy stawiane,* r. 1764, gdzie autor z naiwnością rozbrajającą uzależniał wzrost lub upadek państw i wolności bezpośrednio od wiary. Dzieł medycznych nie było, drukowano tylko popularne *Compendium medicum* z wierszami na stroje i choroby, i t. p.; leczyli obcy lekarze, Niemcy, cyrulicy i żydzi, puszczaniem krwi, stawianiem baniek i t. d.

Nierównie wyżej stały nauki w Prusiech Królewskich, gdzie profesorowie gdańscy i toruńscy, Lengnich, Lilienthal, Schultz i in. rzeczy pruskie i polskie, urzędy (kanclerzy, marszałków i t. d.), sejmy, dzieje spółczesne i dawne na podstawie druków i rękopisów opracowywali; cenne prace bibljograficzne ogłaszali pastorowie Oloff o pieśniach religijnych polskich, *Polnische Liedergeschichte,* i Ringeltaube o przekładach polskich Biblji; do dziejów wyznaniowych były przyczynki (np. o ugodzie sandomierskiej 1570 r.) Jabłońskiego, przywódcy różnowierców polskich, pozatem prace Niemców, przybyszów, stale osiadających w kraju. Między nimi wyróżnił się Jan Daniel Janocki (z Niemca protestanta Jähnischa, katolik), uczeń Schulpforty, który z Drezna wyjeżdżał do Polski, literaturą i bibljotekami się zajmując, o czem listy pisywał i w skróceniu drukował, ale wiadomości jego o wszelakich skarbach bibljotecznych należy przyjmować z silnemi zastrzeżeniami, bo powtarzał łatwowiernie, co mu nadto pompatyczne katalogi tych zbiorów podsuwały; jako protestant nie zawsze miał dostęp do bibljotek duchownych. Załuski powołał go do Polski do swojej bibljoteki, bo na posady bibljotekarskie po dworach magnackich dostawali się przeważnie obcy jako bardziej oczytani, np. Ebert u Sapiehów, Benvenuti u Czartoryskich i in.; do wyjątków należeli Kępski u marszałka w. kor. Bielińskiego, audytor Machnicki w Nieświeżu, Flor. Podkański u Załuskiego. Janocki jest twórcą naukowej bibljografji polskiej, czerpał z nieprzebranych zasobów bibljoteki i z notat Załuskiego; pisał po łacinie i niemiecku, np. o żyjących spółcześnie *Polonia litterata nostri temporis* 1750, rozszerzone jako *Lexicon der itzt lebenden Gelehrten in Polen,* 1755; *Specimen catalogi* (rękopisów Załuskiego, które nam nieraz o zaginionem od dawna dziele prawią); prefekt bibljoteki inne obszerniejsze dzieła wydawał później, według ogólnego zwyczaju przechwalając wszystko i wszystkich.

Jak bibljotekarzy, sprowadzano i nauczycieli domowych

z zagranicy (zob. wyżej), np. Małachowski Sasa Mitzlera de Coloff dla swego syna; bardzo to pożyteczny pracownik, medyk później królewski, a wkońcu posiadacz własnej drukarni; on pierwszy zakładał towarzystwa naukowe (r. 1756 dla sprowadzania książek z zagranicy i szerzenia w kraju); wydawał czasopisma naukowe, łacińskie, niemieckie, polskie (*Warschauer Bibliothek* i in.), chociaż treści należycie urozmaicać nie zdołał i apatji społeczeństwa nie rozruszał — czasopisma jego wiodły też żywot zbyt krótki; zasłużył się jako wydawca dziejopisów polskich; pisał, czynny na wszelkich polach, *O sposobach ustanowienia handlów w Polszcze i przyprowadzenia ich do doskonałości* w swojem wydawnictwie: *Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone albo Magazyn,* i t. d., 1758—1761, gdzie są i artykuły lekarskie i o jego balsamie i t. d.

Obok Francuzów i Niemców powoływano także Włochów; tak sprowadził Konarski pijara Mignoni, który w *Noctes Sarmaticae* pomagał reformie stylowej; dwaj teatyni, Portalupi i Tori zwalczali «Arystotelesa» i szerzyli filozofję *recentiorum* (Wolffa i in.).

Wszystkich przewyższył erudycją nadzwyczajną, zbiorami olbrzymiemi, inicjatywą niezmordowaną Józef Andrzej Załuski, referendarz koronny, wkońcu biskup kijowski i zesłaniec do Kaługi.[1]) Zacięty katolik, nie pogardzał spółpracą różnowierców;

[1] Nie posiadamy dotąd monografji o tym najzasłużeńszym literacie z czasów saskich; wiązkę szczegółów dał K. Bartoszewicz (powtórzył ją w *Szkicach,* I, 182 nn., 1930). Najruchliwszy to działacz; r. 1744 zamierzał założyć towarzystwo do kupowania pism zagranicznych i kolejnego ich krążenia; r. 1753 urządził pierwszy za wzorem włoskim «akademję» na cześć Niepokalanego poczęcia N. P. M., gdzie wszelcy autorowie we wszelkich językach ją sławili wierszem i prozą; «akademję» rozpoczął pijar Wiśniewski, ale uważał ją mylnie za początek przyszłej akademji nauk, o czem Załuski wcale nie myślał; sam prawił kazania w sześciu językach, a znał ich jedenaście, ale nieraz grubo się mylił, np. rękopis ruski z początku XVI wieku oznaczył: «ni fallor armenice», bo

jemu jednemu zawdzięcza literatura polska nierównie więcej, niż setkom innych pracowników. Wcześnie zaczął zbierać druki i rękopisy, w czem pomagał mu rzetelnie kanclerz koronny i biskup krakowski, Andrzej Stanisław Załuski. Już r. 1743 opracował Józef katalog swojej Bibljoteki w pięciu tomach, a otworzył ją 3 sierpnia 1747 r. dla publicznego użytku (na trzy dni tygodniowo); Janockiego ustanowił r. 1750 jej prefektem. Odejmując sobie od ust poświęcał wszelkie środki jej pomnożeniu, na aukcjach zagranicznych, przez dary znajomych i stworzył zbiór o 300.000 książek, a 10.000 rękopisów, jakiego drugiego podobnego, prywatnego nie było w Europie, który niestety później przez brak należytego dozoru, niesumienność odwiedzających, przewóz do Petersburga (gdzie go dalej rozszarpywano) wiele utracił; każdy rękopis sam odczytał i streszczał, a przy drukach gwiazdkami i krzyżami rzadkość oznaczał; on uchronił od zagłady W. Potockiego całego i wielu innych. Ależ te zbiory, to tylko jedna, acz najtrwalsza, najcenniejsza część jego trudów; pobudzał innych do pracy, Konarskiego do wydania zupełnego zbioru praw polskich *(Volumina legum),* Dogiela do zbioru traktatów Polski z obcymi; oba wydawnictwa sięgały, rzecz wówczas mniej zwykła, do głębokiego średniowiecza; wydawał bibjoteki pisarzów polskich, dawniejszą (w Lipsku) i nowszą w Warszawie, cztery spore tomy pism własnych i pisarzów spółczesnych, Minasowicza, Drużbackiej i in.; znakomity słownik francusko-polski pod imieniem Troca; rozprawy historyczne, (usunął bajkę o rokoszu gliniańskim); zakładał towarzystwa uczone, cho-

zwiódł go dukt pisma, nieco ormiański przypominający. On dał Konarskiemu środki (przez subskrypcję) i cały materjał dla *Volumina legum;* on Mitzlerowi i Bohomolcowi wydanie polskich dziejopisów polecił i umożliwił. Równie czynnego (i jako duszpasterza) dzieje nasze dawne rzadko zapisały; hart duszy wielki na wygnaniu w Kaludze wykazał; a był i fanatykiem, ale głównie szperaczem niestrudzonym; zebrał np. 70 «faktów» rytualnego morderstwa, chociaż przyznawał, że talmud go ani zna ani zaleca, że się z kultem starozakonnym wcale nie zgadza.

ciaż te nie zdołały się utrzymać. On nawiązał zupełnie przerwane stosunki księgarskie z zagranicą, z Weidmannem w Lipsku, później Gröllem w Norymbergu. Niesłychanej pamięci (bibljotekę swoją miał w głowie), równie niesłychanej pracowitości, całą duszą oddany swemu dziełu wysoce kulturalnemu, sam nie odznaczał się smakiem; jego literacka praca (przerabianie satyr Boileau, dramaty i t. p.) nie ciekawa, jest to jednak najzasłużeńszy człowiek około dawnej literatury, a nieznużony budziciel ducha, wiedzy, kultury.

LITERATURA

Jak w naukach, tak i w literaturze pozostano wtyle nawet za ostatniemi dziesięcioleciami XVII wieku. Zabrakło talentów, a niedobitki poprzedniego okresu, jak Chróściński,[1] albo nowe

[1] Pisarz to chętnie czytany, o czem już liczne odpisy jego dzieł świadczyły, np. dwa w Ossolineum *(Heroid), Hiob* u Zamoyskich i in. Zaczął tryumfami Sobieskiego, wylany dla króla (sekretarz jego i towarzysz w Wilanowie) i rodziny; jego *Trąbę sławy* i t. d. (na Wiedeńską) posiadamy tylko w drugim, obszerniejszym, «strojniejszym padwanie» 1684 r. Nastąpiło tłumaczenie Lukana i *Heroid;* te ofiarował królewiczowi Jakubowi a dodał «Pożegnanie», które król 13 listopada 1694 r. własnoręcznie córce, wyjeżdżającej do Bawarji, do przyszłego męża, wypisał, kończąc słowami: «życzyć pociechy z mych wnuków, z twych dzieci, Ociec Jan trzeci». R. 1700 napisał *Hioba,* «umacniając się w cierpliwości z okazji nieszczęścia i przypadku mego», a wydał go r. 1705. Ciekawszy *Krótki zbiór duchownych zabaw* i t. d. z r. 1711, poświęcony Wiśniowieckiemu, wojewodzie krak., z panegirykiem dla rodu, w którym nawet król Michał nazwany «rozkoszą Sarmackiego świata», gdyby był tylko dłużej żył; są tam i legendy (Aleksego i Eustachego), psalmy spowiedne i t. d.; ciekawszy dodatek Pięciu psalmów, napisanych przez hetmana Michała Wiśniowieckiego wcale energicznym, nieco obcesowym stylem. *Józef do Egiptu zaprzedany* r. 1745 («trzynastą pieśni ośmiorakiego rytmu») już po śmierci autora bez imienia jego wydany. Brak oryginalności co do treści, nie co do stylu, jego i całej epoki saskiej odznaka, acz bynajmniej nie zaszczytna.

miernoty, jak jezuita Rudnicki, to najcelniejsze postaci na «parnasie»; liczba piszących zmalała, a książka przestała być potrzebą czy zabawką; czytelnictwo znikło; prasy, szczególniej zakonne, częstochowskie, jezuickie, pijarskie, berdyczowskie, tłoczyły coraz nowe książki, ale z nich 90% nie zasługiwało na to imię, bo ich papier bibuła, czcionki zużyte, ortografja licha, styl marny, treść ascetyczna albo panegiryczna. Gdy nawet prawosławna Rosja z wiekowej ciemnicy do światła się garnęła, dlaczego zapadała Polska w mrok coraz silniejszy?

Naród szlachecki odwykł od książki. Szkoła zajęcia nie umiała budzić, jakby świat prócz łaciny i frazeologji napuszonej a kłamliwej niczego innego nie znał. Działało równie ujemnie zadomowienie szlachty; arystokracja wykształcona po francusku, z głową nie zagwożdżoną przez Alwara, rządziła się przykładem i wzorem obcym, więc nietylko zbierała bibljoteki (nieraz wyłącznie francuskie!), ale i pisała sama. Roiła się też literatura od najświetniejszych imion: Sapiehowie, Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Załuscy, Ogińscy, Rzewuscy, Jabłonowscy (cały ich rząd, że trudno ich rozróżnić), Leszczyńscy (król!), Ponińscy byli jedyni, którzy ocalili cześć literacką, zwłaszcza wobec zagranicy, gdzie nawet twierdzono, jakoby Polska nie posiadała wcale literatury. Istotnie znano zagranicą tylko kilku historyków-łacinników, począwszy od Długosza, którego po raz pierwszy konsyljarz rosyjski w Lipsku wraz z innemi dziełami historycznemi wydał! Rodacy na to się nie zdobyli, obcy, Niemcy, wydawali im i «Galla» i kroniki.

Obok magnatów pisywali głównie zakonnicy, jezuici przedewszystkiem; nierównie rzadziej duchowni świeccy; dalej mieszczanie (Muratowicz, Minasowicz, Matjasewicz, wszystko Ormjanie z pochodzenia); szlachta rzadziej reprezentowana; byli i wojskowi, np. major kawalerji Dobiński. Do druku się nie spieszono; szczególniej magnaci się z nim ociągali, i raczej anonimowo albo pod pseudonimami drukowali, np. Wiśniowieccy pod

imieniem prałata Olszewskiego, albo Bogdańskiego; Wacław Rzewuski syna jako autora wystawiał; wiele też pism, które źródła spółczesne wyliczały, nie ujrzało wcale światła dziennego: powtarzały się, acz na mniejszą znacznie skalę, stosunki XVII-go wieku.

Zmysł estetyczny był zupełnie porażony; czytali magnaci prócz klasyków tylko Francuzów, ale sami naśladowali polskie pisma siedmnastowieczne, trzymali się więc uparcie wiersza epicznego, o którym Europa już zapomniała; Jabłonowski przewierszował *Telemacha;* włoskie albo francuskie romanse prozaiczne, Mariniego, Loredana, Préchac'a tłumaczyli wierszem Ogiński, Niemiryczowa, Morawski, Minasowicz; Niemiryczowa wręcz oświadczyła, że większa jest każdego chętka czytać wierszem, niżeli *solute* (prozą). Gdybyż jeszcze ten wiersz był gładki, piękny doborem słów i obrazów, ale różnił się od niepoprawnej prozy głównie rymami gramatycznemi, średniówką i konceptami dziecinnemi;[1] dzisiejszemu czytelnikowi brzmią te wiersze nie-

[1] Wystarczy jedna próbka. Łoski, uczeń pijarów warszawskich, podkomorzy warszawski od r. 1717, wydał u pijarów r. 1727 (a doczekały się te brednie jeszcze dwu dalszych wydań) *Dźwięk na wdzięk boskiej opatrzności* przez dwanaście głosy niebieskiego senatu, niebieskiej infanterji (pań świętych), niebieskiego elektoratu (patrjarchów) i t. d. Nam się wyda bluźnierstwem zdanie np., że miłość Boska była ślepa, dlatego zlitowała się nad człowiekiem, a zrzuciła anioła, bo byli i dobrzy aniołowie, ale ludzi dobrych nie było, więc Bóg tylko «zrzucił, nie stłukł swej farfury»; aniołowie, to szlachta rodowita, ludzie chłopi, co się przez swe trudy szlachectwa dobić mogą, a jeśliby Lucyfera pycha nie «zmyciłaby», toćby zazdrość to samo sprawiła, że za człowieka syn Boży krew przelał i tym sposobem ludzie «szlachta dwuraźni». Dawidowi we wszystkiem się szczęściło, póki kładł pod siebie obce głowy (Goljata), nie poduszki (Betsaby!) «i bardziej go wabiły *muszkiety,* niż *muszki,* obserwując pilniej ich niż Betsaby łoże». Słowo *jurisprudentia* liczbą sylab dowodzi, że należy mieć jedną część prawa a dwie rozumu. Siebie nazywał nicem i prosił czytelnika: «Lecz kiedy we mnie niczem, duch się nic nie

raz parodją, czy humorystyką mimowolną, np. legendy, jakie inni Jabłonowscy zawzięcie rymowali. Ich wyobrażenia o poezji dowodziły np. wiersze początkowe:

Chcącemu pisać twe, Józefie, cuda,
Pierwszy cud będzie, kiedy mi się uda,

albo końcowe:

Więcej nie mam z tej księgi już na wiersz przewrócić,
Trzeba tedy do Panny Najświętszej ją zwrócić,

a strzegli się wymysłu, więc przy Judycie nie wiedzieli, z kim i dlaczego król asyryjski wojował:

Zgoła nie wiem jego tam pretekstu,
Ile kiedy niemasz o tem z Pisma tekstu...
Chyba by ją wymyślać, lecz święta Biblija
Nigdy się w wymyślone bajki nie uwija;

Morawski kończył romans Préchac'a:

Cieszyć się wszyscy wzajemnie poczęli,
Że się do kupy tak wszyscy *zgruchnęli*.[1]
I owa, co już gacha postradała,
Wprędce inszego za niego dostała.

Jak ci wielcy panowie uważali te wierszowania za zabawkę, nie wymagającą zbytniego natężenia uwagi czy pracy, dowodził wojewoda bracławski Jabłonowski w *Exempcie* r. 1760 (historje to o trzech różnych niewiastach świętych), wymówką:

Pomyliłem się, przepuść czytelniku,
I przepomniałem historyi szyku,
Że Paulin wziąwszy ów owoc fatalny i t. d.,

albo oświadczeniem:

Lepszym poetom ja zaś zostawuje (!),
Opisać, jakie rady król formuje...

---

ruszy, Mów, Boże bądź miłościw tego Nica duszy». I takim uczniem chełpili się pijarzy i drukowali jego wiersze i mowy innym na wzór.

[1] Może *zgichnęli*, co u Twardowskiego, używającego nieraz tego słowa, mylnie wyczytał?

Lecz z obuj (!) strony lanych przy walecie[1]
Niech ten opisze, co Romanże plecie,
A moja muza dosyć będzie miała i t. d.
To delikatnym poetom zostawić
Chcę, co się radzi frazesami bawić.

Od braku smaku niedaleko do zdziczenia, jakie już spółczesnych raziło, np. w wierszach ks. Juniewicza, które przełożeni wykupywali, albo ks. Baki, które później zmyśleniu farmazonów wileńskich przypisywano; dla nas te krótkie, urwane niby, wierszydła tylko pośmiewiskiem. Juniewicz na tytule swoich *Refleksyj duchownych* r. 1753 chełpił się swoim «krótkim polskiego rytmu nowo inwentowanym stylem», który np. tak wygląda: (car Piotr) «Bydło rogate Ustroił w szate Niemieckiej mody»; (ruski) «Smok Orła dusił, Kwilić przymusił Jak kota w miechu; Ogon i grzywę Wyrwał z Pogoni», albo: «Jest to przysłowie W podolskiej mowie: Drze koza łozę, Wilk zaś drze kozę, A chłop dla żyda Z wilka drze skórę I wnet na lurę Do karczmy wlecze, Gdzie żydek chłopka Jak wróbel z snopka Kłosy osiecze. Żydów zdzierają panowie, Panów zaś drą patronowie, Patrona zasię Bierze czart na się» i t. d. Takie wiersze «jowialnie» dawał doktor św. teologji i przeor paulinów; jezuita Baka nie lepsze, z słynnem: Śmierć matula, Jak cebula Łzy wyciska, Gdy przyciska i t. d. Lubowali się i inni oddawna w podobnych wierszach, ależ na krótką metę, nie pisali niemi całych dzieł; zaczęły się te «półwiersze» jeszcze w XVI wieku (Kochanowski, Szarzyński i in.).

Brak smaku godził się wyśmienicie z brakiem fantazji; nie

[1] Brakuje albo *lez*, bo Jabłonowski nieraz opuszczał rzeczownik, albo *lez* zamiast *lecz* czytać należy, ale i to mylne. Nie lepszy król Stanisław w dowolnościach swojej polszczyzny; układał np. słowa tak: «kapłana służący, do tego, co mu, przez krew należący, Piotr ucho uciął, ręczy z potwierdzeniem»; ortografję rymowi stale poświęcał, pisał np. *wudza* (zamiast *wodza)* i *pobudza*. Niewiele pociechy miała poezja z królów i magnatów.

zdobywano się na nic oryginalnego, zawsze kogoś, coś powtarzano. Napisał np. Francuz Préchac lichy romans o wojewodzicu Walewskim i jego miłości ku frejlinie królowej — aż pięciu Polaków i Polek tłumaczyło prozą i wierszem tę ramotę, żałując, «że o Polsce bardzo mało można czytać w romansach», ale nie myśląc o zapełnieniu tej luki. Przerobił tak niegdyś Potocki *Argenidę*, więc i ks. Wyszyński dopisał dalszy jej ciąg, wierszem o równych rozmiarach, bynajmniej nie o równej wartości. Napisał r. 1701 wojewoda Potulicki o rewolucji szwedzkiej i duńskiej, aby przestrzec Polskę, żeby nie utraciła w podobny sposób swej wolności; wydał ją ktoś wierszem r. 1756, nie wiedzieć co lichsze, czy druk czy polszczyzna? Poważne rzeczy były rzadkością, np. jeden z Jabłonowskich opisał niezgorszym wierszem *Pamiętne uprowadzenie wojska z cieśni bukowińskiej r. 1685* r. 1745 (przewagę dziada, w. hetmana); jak Potocki wojnę chocimską wedle komentarza Sobieskiego, tak on stary diarjusz przewertował. *Viennis* (odsiecz Wiedeńska), mozolnie według wszelkich reguł wysmażona epopeja łacińska we dwunastu pieśniach pijara Kalińskiego (Joannes Damascenus a Matre Dei) z r. 1717, jako wierna historji, nie znalazła tłumacza, ale romans-epopeję łacińską Skórskiego o Lechu, najpospolitszy wymysł wedle szablonu romansów awanturniczych, przerobił, w piętnastoletnim trudzie, na wiersz polski bernardyn Kotficki r. 1751.

Jako typowy przykład zaśniedziałości literackiej służyły dwie przeróbki tego samego francuskiego dzieła Fontaine'a. Kanclerz Załuski przełożył był prozą jego *Historję Starego i Nowego Testamentu z wykładem z Ojców świętych* na wygnaniu w Królewcu r. 1708; tłumaczenie miało dziesięć wydań; król Stanisław ubrał je w wiersze i wydał je, poświęcając je córce, r. 1761 w Nancy: dedykacja do córki, królowej francuskiej, to jedyny godziwy ustęp w dziele, przedrzeźniającem smak a nawet czasami i język w około 25.000 wierszy. Ks. rektor nie-

świeski, Kurzeniecki, podjął się tego samego trudu, tylko nierównie obszerniej, ale dopiero po jego śmierci wyszedł olbrzym o 80.000 wierszy, *Wykład Pisma św. Starego i Nowego Testamentu* r. 1769, gdzie jednak, inaczej niż u Leszczyńskiego, nie brak aluzji do Polski, wyniszczonej «bez wojska, bez skarbu, broń Boże ostatniego win nie dobrać karbu»; na wycieczkach przeciw żydom, «niezbożnemu pomiotłu», przeciw predykantom nie zchodziło.

Wszyscy pisarze dreptali w najciaśniejszem kółku; nigdy, przez cały ciąg dziejów literackich, nie przewierszowano np. tylu legend i to o paniach świętych, jak za czasów saskich: roiło się wręcz od Rut, Ester, Judyt, Zuzan, Jadwig, Jolęt i t. d. w drukach i rękopisach. Np. Wojciech Jezierski *Historję Estery* i *Historję Judith* do druku przygotował, ale posłał je wpierw w rękopisie Jabłonowskiemu, a ten go przestrzegł: «makaronizmy WMP. wszystkie wyrzuć; kadencje (rymy) trudniejsze być powinny»; autor istotnie zaraz w pierwszym wierszu: «Niewola panem, fortuna upadkiem», *fortunę* na *wyniosłość* poprawił; dzieła nie wydał.

Ów Józef Aleksander Jabłonowski ogłosił r. 1751 legendę o Ostafim, znalazłszy takową bez początku i końca (Chróścińskiego) w swoich papierach i powiększywszy ją:

> Ja, co i Parnass lubię, także łowy
> (Będąc św. Huberta rycerzem)
> Ksiąg prozą kilka wydawszy i mowy...
> Boga wyznawać pragnę jeszcze rymem;
> Inne pochwały jednym u mnie dymem.

Sam o trudniejsze «kadencje» niezbyt się starał, ale makaronizmów a niestety i spójników unikał; najciekawsze, wstęp, prozą, zawierał «naukę o wierszach i wierszopiscach polskich wszystkich» (bogaty spis bibljograficzny; niejedno dziś nieznane); pisał liczne dzieła po polsku (zamierzał i trygonometrję polską dla geometrów potrzebną), łacinie i francusku, heraldyczne, ge-

nealogiczne, historyczne; po polsku ascetyczne przeważnie, między niemi i wierszem *Pararelle (!) dwoch świętych Józefów Starego i Nowego Testamenta,* i t. d.; Lwów 1749, co arcybiskup lwowski w swojej aprobacie nazwał «immortalem magni nominis in Republica viri operam» (?), chociaż to tylko 119 oktaw i to wedle homilji św. Bernarda. W *Ostafim* zdobył się na kilka satyrycznych wycieczek np. o dawnych i dzisiejszych księżach:

Ksiądz był ów złoty, choć kielich drewniany,
A dziś ksiądz z drewna, kielich pozłacany;
Nie do decymy, lecz do dusz pleban...
(W kazaniu) Lukanów ani Nazonów wymykał
I pochwał z psalmów nie robił obłudnie,
Bankietów ze chrzcin i z tem się umykał.

Pan stolnik litewski obchodził się z językiem bez ceremonji, używał form narzeczowych *(swacia, kacia, owen, dziecki* — w liczbie mnogiej i t. p.), rymy i sens naciągał do woli, np.:

Znam takich, którzy z katami i *kacia*
Cieszyli, że brat przed niemi się żali.
Zemstę tajemną przypiąwszy do kwefa,
Józwę przedali w targu do Józefa (?).

Przypisał jemu Jan Kajetan Jabłonowski *Judytę* i *Esterę* i to go zniewoliło do własnych prac podobnych.

W owym wstępie dał nietylko bibljografję, ale i pierwszą (po Opaleńskim Ł.) poetykę polską; łacińskich było mnóstwo, bo wykładano ją w każdem kolegjum. Wedle niego wymaga wiersz, co najtrudniejsze, godzenia gładkości ze wzniosłością, nowości albo niezwyczajności myśli, wyboru słów polskich (nie łacińskich; chyba greckie jako te, na których cała wiedza polega), bo polszczyzna jakby zagrzebana «i do pół dziś cudzoziemskiem żywimy się już językiem». Należy się wystrzegać owych podłych rymów na *-ści* i *-go,* najpiękniej rymuje czasownik z rzeczownikiem. Nie kłaść ani na początku wiersza, ani w jego średniówce jednozgłoskowców; lepiej bez spójników;

najprzyjemniejszy wiersz jedenastozgłoskowy, najpoważniejszy trzynastozgłoskowy. Można zachować niektóre potrzebne, ogólnie przyjęte wyrazy techniczne, ale odmieniać je na ład polski; celni pisarze unikają słów zbędnych, jak i częstego *mej* zamiast *mojej*, *mi* zamiast *mnie*. Kończył cytacjami z dawnych pisarzy, Górnickiego, Knapiusza, Fredry, Opaleńskiego, przeciw mieszaniu słów obcych w polszczyznę.

Więcej pomysłowości okazała «Safona polska», Drużbacka. Wprawdzie i ona kręciła się w zaczarowanem kółku legend i romansów staroświeckich i alegoryj moralizujących, ale wyszła poza nie w poezji opisowej (*Czterech pór roku*, *Czterech elementów* i in.), a jej nieco blade wiersze nie pstrzyły się wybrykami przeciw sensowi i smakowi; sama o druku ani pomyślała, lecz wielbiciele jej muzy, od Załuskiego do Krasickiego, wydawali jej poezje; na wielkie kompozycje sił jej nie stawało, lepiej udawały się listy, elegje i t. p., nieraz z satyrycznem zacięciem; przesiąkła jeszcze staroświecczyzną, nie znała Francuzów.

Wzory Włochów zastąpili Francuzi, od ascetów i historyków aż do tragików, Moljera, liryków, Boileau, nie mówiąc o Wolterze albo o Lafontenie, o *Telemaku*. Z Woltera tłumaczono głównie tragedje (J. Załuski i pijarzy, Orłowski i in.), a wystawiał je teatr szkolny pijarski. Tłumaczyli Francuzów wielcy panowie, kanclerz w. kor. A. Chryzostom Załuski, Jabłonowscy, Wielopolski; do oryginalnej twórczości w duchu, stylu i smaku francuskim doszedł tylko w. hetman kor. i kasztelan krakowski, Wacław Rzewuski, który (pod imieniem syna) w *Zabawkach wierszem polskim*, 1760 r., dał dwie tragedje i dwie komedje z zachowaniem jedności akcji, czasu i miejsca, pierwsze tego rodzaju, dalej wiersze opisowe i dydaktyczne, *O nauce wierszopiskiej*.[1]

[1] Hetman tak ściśle zachował fikcję, że w wierszu dedykacyjnym do pani Lubomirskiej, «co wuja mego uczyniłaś szczęście», młody Rzewuski upraszał ją, jeśli się jej spodoba «w tragicznej scenie gdy niewidziany

Ginęły jednak te okazy poloru śród fal ascetyki i panegiryzmu, chociaż wiersze Drużbackiej rozchodziły się istotnie śród publiczności, odwykłej od książki. Literaturę przytłumiały nieskończone odmianki tematów nabożnych; wracano do rzeczy, dawniej i lepiej tłumaczonych, wierszując je czy przekładając na nowo (Tomasz à Kempis; Hugona *Pobożne pragnienia* i in.); silono się na najdziwaczniejsze koncepty, przenosząc na niebo i na świętych porządki polskie (elekcje i t. d.) i wojskowe (chorągwie afektów ciągną pod wodzami i t. d.). Jedno nieco pocieszało: łacina ustępowała powoli przed polszczyzną, przynajmniej na liczbę — płodzono jeszcze nawet epopeje łacińskie *(Viennis, Lechias* i in.), popisywano się erudycją łacińską (wojewoda Poniński, stary żołnierz Skop), ale już i mieszczanie nie pogardzali polszczyzną, a Szymonowiców czy Sarbiewskich nowych wiek nie wydał.

---

dotąd Polak stawa», «co wyświadczyć zechcesz dla siostrzeńca: Ze mnie młodziana uczyń nowożeńca». «Dziwak» w komedji tego tytułu wszystko ganił: nudy na wsi, po Warszawie tu zdziczał; chwalił damy warszawskie dla piękności i rozumu, ale ganił dla kokieterji i strojów; chwalił Polskę, ale ganił:

Jak tych już mało,
Którymby doszle sejmy widzieć się dostało.
Wszak to już po dwudziestym rok piąty nastaje,
Jak się każdy sejm zrywa, żaden nie udaje;

jeśli tak dalej pójdzie, utracimy sejmy a z niemi wszystkie wolności; u króla ganił, że śmiertelny, a po stuletnim żywocie Polska u grobu jego wyć będzie. Wzory francuskie (Dziwaka wyleczyła miłość) nie przeszkodziły, że dykcja hetmańska jeszcze bardzo drastyczna, np. bywa w młodzianów głowie jak po śliwkach (w brzuchu!); jak złotko grypsnie Kręcicka, już Amata z rąk się wam nie wypsnie; gładzej niż kurkiem wraz mu ośm zębów wydrożysz... gładko w same ząbki dmuchniy — nie brak licznych policzków; w *Natręcie* «dał se radę» hetman jeszcze gorzej. W obu tragedjach dykcja już inna, wznioślejsza, ale ich bohaterowie nadto papierowi jak i konwencjonalne ich frazesy «amoryczne». Co ciekawe, nie brak w jego wierszach i plagjatu z W. Potockiego.

Bierność, nieruchomość, brak ożywienia, nawyki tradycji samej, ten grzech pierworodny czasów saskich, cechowały i literaturę «piękną», t. j. wiersze, bo prozy pięknej jeszcze nie było. Pisano dla zabicia czasu (aby «rozrywać wdzięczną sobie muzą, melankolję przy paciorkach dużą»), dla naśladowania, dla pochlebstwa, wszelką miarę tracąc, poświęcając np. polskie i łacińskie obszerne wiersze opisowi «kampanjamentu» (manewrom) Augusta II pod Dreznem — szczyt epiki ówczesnej! Liryka religijna zalewała rękopisy i druki, świecka nie wychylała się poza rękopisy-zbiorki, które sobie rejentowicze dla bogdanek układali, a najciekawsze z nich te, co przedrzeźniały nutę ludową jako czulszą, ruskie np.: *Oj chtoż mene bude w moim żalu teszyty* i t. d., gdzie ruska tylko mowa, nie styl ani duch, nieprzystępny tym naszym wierszokletom; w innych razach używali ruszczyzny dla efektu komicznego, np. Ulryk Radziwiłł w tłumaczeniu-przeróbce komedji Boursaulta Pierrota oryginału w Białorusina czystej krwi odmienił. Co się na świat Boży wychylało, raziło nieraz wprost niedorzecznością; taki np. Niesiołowski, kasztelan smoleński (t. j. *in partibus infidelium)*, wydał drukiem *Otia publica* i *Otia domestica* (1741 i 1746), t. j. dwie staroszlacheckie *Silva Rerum,* zbiór najgłupszych własnych i obcych konceptów (z dawnych druków i t. p.) — niżej literatura upaść nie mogła.

O usposobieniu ogólnem świadczył najwymowniej wszelki brak satyry; zamiast *omnia reformationem clamant,* wszystko milczało. Zaczęło się to wielkie milczenie w drugiej połowie XVII wieku; wtedy mogły je wytłumaczyć krwawe zapasy, lecz później kwietyzm szlachecki nie dopuszczał przerywania błogiego snu natrętnej musze-krytyce czy ujadaniu wiernego psa-satyra, na co gorzko sarkał już Wacław Potocki. Przez całych sto lat spała snem błogosławionych satyra; po «wielkim nad zamiar Opaleńskim» nic więcej w druku się nie zjawiło. Wprawdzie Jabłonowski, tłumacz *Telemaka* i Lafontena i różnych asce-

tyków, wydał 1730 r. *Skrupuł bez skrupułu,* bezzębną «satyrę» w prozie na to, co powszechnie uchodzi, chociaż się wcale nie godzi, a więc pustoszenie majątków przez dzierżawców; zagarnianie żołdu dla żołnierzy istniejących na papierze; obmawianie panów i niezostawianie suchej nitki na królu i ministrach, i t. p.; żeby ujść wszelkiej «cenzury», autor samego siebie między grzeszącymi stawiał, ale i tak przestraszył się swej śmiałości i broszurę wykupywał. Pozatem jedną tylko satyrę i to w rękopisie znamy, wierszem i prozą, *Małpa człowiek w stroju,* i t. d.[1] Niedokończona, bo część jej trzecia nagle urywa, omawiała głównie życie potoczne, a więc stroje kobiet, ich występki przeciw szóstemu przykazaniu (tak drastycznie, że niesposób tego drukować); dostało się i mężczyznom, wyśmiewał autor tego co junaka udawał, przekonany, że się ciebie boją, «kiedy stempel za pas ścibisz, hamelijkę na hamelijkę zawiesisz i miary Marcinowej szarawary[2] na kształt tańczącego niedźwiedzia na

[1] Satyrę «Małpa człowiek w cnotach, obyczaju i kroju», nie przeznaczoną do druku, jakiegoś autora, byłego żołnierza? bezżennego, znamy dotąd z obszernego streszczenia Kaz. Bartoszewicza z r. 1882 (powtórzonego w jego Szkicach i portretach literackich I, 1930). Dzieli się na owe trzy rubryki tytułu; druga z nich w formie dialogu. Bardzo wielomówna, porusza się często w samych ogólnikach; pochodzi z lat około 1700 r., bo August II młodym nazwany, a pamięć Sobieskiego jeszcze żywa; autora może we wschodniej połaci szukać należy (por. słowa *pohany; gacek* 'nietoperz', trzewik, dratwy i kroju, *turobskiego* jako *prośniak* pohany; *wydupić* 'wydupnieć', głowę jako pudło wydupnić, na łeb wydupniony pół sałasza wdziejesz i t. p.). Niektóre uwagi wcale trafne: nędzę chłopską obecną wobec dawnej pomyślności tłumaczy tem, że dawniej chłop lepiej pracował, bo *dla siebie* pracował; dawniej «do rodziców spłodzić, do panów wychować należało», gdy dziś to ustało. Mówi o kroju sukien u pań i panów, a urywa nagle przy stroju duchowieństwa, gorliwy katolik od sądu się uchyla.

[2] *hamelijka,* ładownica; «szarawary miary Marcinowej», t. j. Lutra, zawieszone niby w Wittenberdze jako relikwja, stały temat kpin z różnowierców.

siebie zaciągniesz». Sarkał na nieuctwo i życie gorszące duchownych; dla niejednego kaznodziei «Seneka to matrona, Horacy pustelnik, Elizeusz apostoł, Epikur papież, Enocha Haman na tron hiszpański wyniósł, Jozuego bracia do Rzymu sprzedali, *benedictus Dominus in Sion* znaczy: Bóg błogosławił Szymonowi» i t. p.; gorliwy katolik nie wybaczał (podobnie jak Kitowicz) nieposzanowania ołtarza i wychwalał budującą pobożność zeszłego króla (Sobieskiego). Krótko sprawiał się z miastem i miejską sprawiedliwością, gdzie ławnicy «tylko z grzywien pić śmierdziuchę umieją»; nieco obszerniej z chłopem, zniszczonym przez «pracę i charłowanie» tak, że nie znać na nim już wizerunku bożego. To jedyny wiersz, zakrojony na szerszą skalę; inne dotyczą szczegółów, np. grafomana U(da)lryka Radziwiłła, w. koniuszego lit., bezzębne satyry w formie dialogu albo bez niej przeciw starym zalotnikom, obmowcom, Niemcom otaczającym króla i in.; Drużbacka paniom łatki przypinała, strojnisiom, wygadującym na mężów, że im zbytniej swobody nie dopuszczają i t. p. Biskup płocki, Antoni Dembowski, z wierszów, pisanych za młodu, wydrukował jeden *Punkt honoru*, jako satyrę na mylne pojmowanie honoru. Załuski przerabiał na ład polski trzy satyry «Wodopija» (Boileau),[1] ale to

[1] W *Próbie pióra nowego poety, w trzech starych satyrach* 1753 r., dodał Załuski jako «additament *iuvenilium*», zbiorek facecyj; oto kilka wzorów humoru «saskiego»; pomijam żarty z Mazurów, z ich *białek* albo *y jes y pies* (jesz i pijesz), ale oto z francuszczyzny kulawej: pytają Polki, czy to jej najstarsza córka; nie, mam ich trzy, *j'en ai une par devant et une autre par derrière* (zamiast powiedzieć, że to średnia); wujanka, żona wojewody płockiego, z domu Archot de la Rivière, opowiadała, że dwoje pragną dla ślubu dyspensy, bo są z sobą krewni «po cztery kolana» (zamiast: w czwartem pokoleniu). Załuska, starościna rawska, miała pryszczyk na ustach; jakiś «gaszek smorgoński» polecał się go uleczyć całusem, ona go prosi, żeby zachował tę receptę, jeśli na hemoroidy zasłabnie; nie chciała zostać senatorką z takich, co handlem tego zaszczytu dobyli, a gdy jej podobny senator prawa krytyki odmówił, ona «moderno

wszystko rzeczy obyczajowe, międzynarodowe, gdy właśnie o specjalnych polskich milczano, bo ani takie *Bando* (wywołanie) *na gorzałkę*, bardzo zresztą drastyczne, ani epigramaty czy paszkwile, jakiemi obramywano wszelkie skandale towarzyskie, rzadziej polityczne, tej luki nie zapełniały. Stokroć liczniejsze były panegiryki, o najwyszukańszych tytułach.

Obok panegiryków bez sensu i wstydu kwitły ascetyki, piastowane głównie przez duchownych. Z nieskończonego szeregu westchnień, żalów, skruchy, modłów, powtarzających odwieczną frazeologję, wyróżniały się dwa ich rodzaje. Jeden, wyjątkowy raczej, wplatał szczegóły życiowe, jakich byśmy nie

---

salvo possessore» mu odcięła. Chłop się spowiada: z stodoły wyciągałem powrozy (bydło), zmiatałem pajęczyznę z płota (płótna), spałem na cudzem sianie, gdym nie miał własnego. Pyta kupiec w Toruniu flisa, gdy mu się dał napić z pod Łososia, czy chce zażyć katrynki (sławny piernik toruński), a Mazur: niech przyjdzie. Frant jakiś «wikary psumater», po kazaniu zapowiedział chłopom: niema przeszkody, róbcie dzieci; predykant wydał w Brzegu katechizm pod tytułem: Dzieci budowanie (zamiast: zbudowanie); żarty łacińskie częste: *okpietatis opus* albo *de obervantia*. Słynny był pijar Tadeusz z dowcipów, Załuski dwa przytoczył («Znaliśmy Tadeusza owego pijara, Co żartów więc cytują jego co nie miara): zaprosił go do siebie prymas Szembek, ale Tadeusz omija dwór *principis sacerdotum*, bo tam wiele Judaszów; gdy po śmierci Szembeka (dwie kozy w herbie) Półkozic go zapraszał: a cóżby to był za awans? Nie brak silnych wycieczek przeciw płci pięknej; każe jej uważać, że młodą panią w usta całują, na starą siadają i t. p.; dostaje się i dewotkom, bo one *de wodka, de gorzalka;* wszystkie nie warte «psich czterech podków»; zła *wciornaskich* (djablów) wywoływa jak na fiszmarku warszawskim; inna stroi się *galganterjami* i t. d. Z kolatora Wierzbowskiego szydził jego pleban, syn kolibyka, z powodu wierzb i dudów, więc opowiada Wierzbowski o wilku, co żaluje, że będąc rzeźnikiem z powołania spowiednikiem został, gdy mu owca uszła i t. d. Nierównie ważniejsze, że tłumaczył Mazur Załuski najtrudniejsze ody francuskie, aby ziomkom dowieść, że i najgłębszą materję teologiczną można polskim rytmem słusznie wyłożyć, «byle kto nie żałował strawionego czasu, poskrobanej głowy i pogryzionych paznogciów».

oczekiwali. Np. *Pamiątka czułości pasterskiej* i t. d., ks. Nawrotowskiego z r. 1751, wplatała z tradycji opisane napady tatarskie: jak chcąc spalić kościół hyżneński, obkładali go słomą i kazali «imańcom» ją zażec; nagle zrobiło się ciemno, jeden z ich wodzów padł martwy; zdjęci strachem uciekli, spaliwszy trupa (co zawsze robili) i z ognia wróżąc o powodzeniu; jak chłop Pleśniak z Błażowej mocował się z Tatarzynem, gdy obaj upadli, odkąsił mu nos i twarz wykąsał, tak że go omdlony Tatarzyn wypuścił, poczem mu kamieniem głowę rozbił: próżno cucili go Tatarzy moczem; Tatarzy głodnym imańcom z żywego bydła sztuki mięsa wykrawali (to samo robili Francuzi 1812 r. na Litwie), przypiekali nieco i dawali spożywać; przeprawiali ich przez San (u Krasiczyna), płot wyjęty związawszy, nakładszy ich jak barany; kto spadł, nie ratowali, śmiali się; napadnięci zabijali «imańców»; odsiecz dzieliła dzieci, matkę Nawrotowskiego, ośmioletnią wtedy dziewczynę, żyd dostał, wykupiła ją u niego p. Jabłońska, od niej ojciec za drogie pieniądze, bo

W cudze dzieci natenczas ludzie się wpierali;
Byli tacy, że cudze sobie wykradali

i musiano wprzód samotrzeć przysiąc,

Z odkupem własne dzieci gdy odebrać chciano.

Dzieje budowy nowego kościoła hyżneńskiego ciekawie i dokładnie przedstawione.

Nierównie częściej zabarwiała się asceza wycieczkami moralizującemi, zastępującemi właściwą satyrę. Szczególnie kaznodzieja gromił zdrożności; przykrych docinków nie skąpił deputatom trybunalskim jezuita w kazaniu na rozpoczęciu sesji; porównywał np. trybunał do wody, którą zamąci byle kamyk, cóż dopiero jeśli weń wpadnie cała kareta czy cug koni? Księża podgórscy, nieraz z chłopskich synów, jak świadczył Kołłątaj, najostrzej na szlachtę nacierali; zresztą stała sztuka kaznodziejska niewysoko; barok siedmnastowieczny panował dalej

w wyszukanych ozdobach, alegorjach, symbolach; historyjki wszelakie, anegdoty, cudackie szczegóły z przyrody urozmaicały po średniowiecznemu kazania; zaczęło się to na dobre w wieku poprzednim; w nowym zmalały talenty, nie było Birkowskich, ale nawet ani Młodzianowskich; rosła tylko ilość, a nieraz i obszerność kazań.

Moralizowano stale i poza niemi, lecz i na tem polu znać ów zanik zdolności, co tak czasy saskie cechuje. Oto np. na przełomie wieku (r. 1699) ks. J. Wadowski przerabiał *Daniela Proroka:* żeby ujść krytyki różnowierczej, wyróżniał wszelkie własne dodatki a uzupełniał je «komplementami do światowej duszy» z powodu wszelakich występków; karcił głównie opoja, co

> Nie umie i trzech zliczyć, szepleni i sapa,
> Tarza się jak na wiosnę zagłodzona szkapa:
> Tęć z głodu zimowego drżącą wiatr powiewa,
> Ten zaś z trunku dobrego krzyczy, bije, ziewa...
> Czoło koźli, wąs ciągnie, za szablę się maca...

Ostre skargi na spółczesną Polskę, której się nic nie wiedzie, bo porzuciła Boga; równie ostre wycieczki przeciw różnowiercom, (ścierpmy ich, ale tak, jak katolików cierpią w państwach różnowierczych, niech sobie niczego nie pozwalają).

Tak było na nizinach literatury; przeciwwagi nie było, bo wykształceni na wzorach francuskich, przekładów tragedyj francuskich, *Zairy* i in., wierszów lirycznych Rousseau, nawet najwyuzdańszych, przeróbek wszelakich francuskich nie drukowali, chyba całkiem wyjątkowo, np. Boecjusza *Pociechę filozofji,* którą już Bardziński r. 1694 przełożył i wydał, na nowo, ale z francuskiej przeróbki wytłumaczył dosłownie, «z zachowaniem liczby sylab i przestępczości kadencyj» Karol Wielopolski, starosta krakowski r. 1738, drukując tekst polski obok francuskiego. Tłumaczyli Jabłonowski *Jokondę* Lafontena; szambelan Czosnowski *Edypa* Corneille'a; starosta Jełowicki rozmaite «tradycje» francuskie, i żartobliwe *Haldadram;* Załuski *Katy-*

linę Woltera 1754 r.; pijar Ożga *Alzyrę*, a *Zairę* nawet dwu tłumaczyło (wojewoda Sapieha wydrukował swój przekład 1753 roku), ale najwięcej z tego grzęzło w rękopisach; bo i dla kogóż miano drukować? szlachta nie czytała z zasady; w kółku poufnem udzielano sobie nawzajem płodów «niepróżnującego próżnowania», otwarte zaś pole zostawiano kłamliwym panegirykom i «zabawom mniszym»; drukarnie zakonne, wolne od podatków miejskich, zabijały świeckie, które owej konkurencji wytrzymać nie mogły. Podupadło też drukarstwo i księgarstwo doszczętnie; przeciętne druki saskie wyglądają haniebnie, chyba, że magnat łożył koszt osobny albo i zagranicą drukował.

TEATR

I na tem polu czasy saskie zdrobniały nawet w porównaniu z wiekiem XVII; próżno szukalibyśmy komedji Baryki czy Lubomirskiego. Teatru stałego zawsze jeszcze nie było, bo szlachta żyła po dworkach, a od miast stroniła; miast bogatych już nie było; dwór rezydował zagranicą. Mieli wprawdzie Sasi obaj znakomitą kapelę, utrzymywali włoskie i niemieckie kompanje aktorskie, ale w Dreźnie, nie w Warszawie i dopiero pięcioletnie wygnanie Augusta III z ulubionego Drezna do niemiłej Warszawy, sprowadziło na stałe balet i operę królewską do Warszawy; teatr polski z tego nic nie korzystał. Nierównie więcej przysłużył mu się dramat szkolny, ale dopiero wtedy, gdy Konarski a za nim jezuici zamiast dawnych dziwolągów szkolnych tragedje i komedje francuskie przerabiali czy tłumaczyli i wzory prawdziwego dramatu dawali, jakie niebawem Wacław Rzewuski niezgorzej naśladował we dwu tragedjach *(Żółkiewski; Władysław pod Warną);* tak poznano Woltera i Moljera, a młodzież z *Collegium* Konarskiego wystawiała je i poza murami *Collegium* w prywatnych pałacach.

Nie było przedtem ani dramatu ani teatru, ale były po-

dworach z powodu uroczystości rodzinnych przedstawienia scen lub całych dramatów przez amatorów, a niejedno dostawało się i do druku, nietylko scenarjusz, ale i tekst całkowity. Np. *Rodian tragedja. Miłość skuteczna gdzie stateczna w prawdziwej po części awanturze Rodiana de Zykanlicz hrabi* (t. j. Jordana z Zakliczyna) *i Krancfiszy* (Franciszki), *księżny de Rodwieiosk* (Drojowskie?), *hołdowniczem piórem domowej muzy pp. Jordanów pokazana i na publicznem teatrze w Dobrkowie* i t. d. *reprezentowana*» (15 kwietnia przy huku dział i ogniach sztucznych wobec zacnych «spektatorów»), a r. 1755 do druku podana. Autor, Wojciech Szafrański, zapewniał wprawdzie, że «rzecz chociaż nieco poetyzmem zamieszana, przecież więcej z praktykowanej prawdziwej wieku naszego awantury uformowana», lecz przemilczał, że okradł *Ermidę* Lubomirskiego; chwalił smak pp. Jordanów, co dokazali, że «zamiast włoskich albo francuskich ojczyste, a co większa własne domowe (dowcipy) i mniejszym sumptem potrafią»; «nie mając czasu do komicznych aktów» (t. j. dawnych intermedjów) wprowadził «żartowne dyskursy» sługi Zofeja (Józefa).

Po Jordanach i Szafrańskim ocalał jeszcze drugi dramat, ale tylko w scenarjuszu: *Koment z dokumentem czyli żywy konterfekt absolutnej wyroków Boskich władzy w awanturze Jazona królewicza perskiego przedtem na domowym parnasie Kaz. Jordana odmalowany, potem na publicznym teatrze w Szalowy w niedzielę zapustną dzień św. Kazimierza przed licznem publikum przedstawiony scenicznie,* i t. d. r. 1753 (przedmowa i program; zaznaczone intermedja bez wszelkich dalszych szczegółów; rękopis).

Co u Jordanów przypadek ocalił, powtarzało się po dworach pańskich i czasy saskie górowały nad poprzedniemi ilością widowisk, tak już częstych, że budowano dla nich nawet osobne pomieszczenia (w Warszawie pierwszy Konarski teatrzyk w *Collegium Nobilium* wystawił), mimo to publiczność

była tak mało oswojona z nową gałęzią literatury, że np. W. Rzewuski przy swoich dramatach tylko o czytelniku myślał, chociaż je spółcześnie w Nieświeżu i u niego wystawiano.

Najsłynniejszy i najtrwalszy z teatrów pałacowych i amatorskich był właśnie radziwiłłowski w Nieświeżu, gdzie księżna pani, Franciszka Urszula z Wiśniowieckich, z dziećmi i dworzanami sztuki własnej inwencji w osobnym «komedyhauzie» kilka razy do roku (1746—1752) na imieniny, przyjazd gości i t. p. wystawiała; po śmierci autorki wydał jej *Komedje i tragedje* kapitan załogi żółkiewskiej, Fryczyński, który sam w nich główne role męskie grywał. Księżna pani, bardzo uczona (przeczytała wszystkich 2000 autorów swojej bibljoteki), nawet w kontrowersjach teologicznych biegła, kleciła byle jak te opowiadania dialogowane, wyjęte i z *Antypastów* Morsztynowych i z *Siedmiu Mędrców;* tragedje zupełnie się nie udały — po jej wierszowanych listach miłosnych do nieobecnego męża należało się mniej płaskości i prozy spodziewać; nieco lepsze były komedje, tłumaczone czy naśladowane z Moljera. W jednej «tragedji» występuje «szlachcic powiatowy» (staroświecki) Georgibus; jego córki, Kasia i Magdusia, rozromansowały się, brzydzą się swych imion pospolitych («tym dźwiękiem najpiękniejszy romans wraz się spryska»); oświadczeń na razie nie przyjmują: «drze mi ucho małżeństwo... jak pomyślić, że z jednym spać mężczyzną muszę, Nagość jego w koszuli dotknę, gdy się ruszę», bo tak

> Przepadłby romans prędko Mandany nadobny;
> Cyrus by się ożenił bez żadnej przygody;
> Arons by wziął Klelią z fortun i urody;
> Tak by się awantura Baneluki (!) zniosła,
> Bez przygód amorycznych w port płynąc bez wiosła.

Służąca Marotka nie rozumie tej «łaciny», filozofji nie czytam jak wy w Baneluce; tak je zepsuły «amoryczne romansowej księgi umizgi». Po śmierci księżnej pani teatr pałacowy stał się

zawodowym, jak z rachunków książęcych wynika; wystawiano obce sztuki, tłumaczenia tragedyj francuskich i obie tragedje Rzewuskiego, będące wobec naiwnej roboty księżnej nadzwyczajnym postępem, bo nawet jej tłumaczenia z Moljera źle wypadały.

Po nieświeskim teatrze należy się wzmianka podhoreckiemu Rzewuskich, chociaż hetman w. kor. raczej koncertom (miał znakomitą kapelę) niż dramatowi hołdował; stałej trupy nie utrzymywał, ale gościła u niego przelotnie niejedna, co i jego sztuki grywała. Było więcej takich teatrów magnackich; niektóre z nich krótko istniały, np. krakowski Teodora Lubomirskiego, na którym trupa włoska dramata muzyczne i operetki wystawiała. I w Białymstoku, wspaniałej rezydencji J. Kl. Branickiego, był dla teatru osobny budynek, dla trupy francuskiej i polskiej i dla baletu; grano głównie zimą; kurtyna malarza Francuza była «przedziwnej piękności». Wzorowały się te poczynania na teatrze królewskim. Za Augusta II zjawiały się trupy niemieckie i włoskie albo francuskie w Warszawie, które przybywały nieraz z Drezna i dłużej lub krócej w kraju gościły; dla nich kazał król r. 1729 «operhauz» skromny wystawić; «polska kapela» czyli «mała muzyka kameralna» towarzyszyła stale królowi przy wyjeździe do Polski. Namiętnym miłośnikiem opery i baletu był August III; sprowadził z Wenecji trupę Bertoldiego i dla niej przebudował ów operhauz; tak otrzymała Warszawa pierwszą publiczną salę teatralną. Grywała tu za bytności królewskiej część opery drezdeńskiej, ale za wojny siedmioletniej przeniósł król całą do Warszawy i przez pięć lat (1758—1762) ją utrzymywał; orkiestrę miał pierwszorzędną. Opery dawano dwie lub trzy dorocznie, na imieniny i urodziny królewskie, dalej w karnawale; raz wystawioną operę ciągle wznawiano i król w każdy taki wieczór przesiadywał trzy i cztery godziny ku zdziwieniu swoich poddanych, nie tak muzykalnych, co znowu króla dziwiło. W każdy sposób przyuczała się powoli

publiczność choćby do opery i baletu, i nierównie liczniej, niż za czasów Władysława IV, odwiedzała teatr, gdzie był parter *pour la noblesse,* a za nim *bancs pour la bourgeoisie* i trzy piętra lóż, królewskie, ambasadorskie i inne. Wystawiano przeważnie ubóstwianego wtedy Metastasia, jego heroiczne i melodramatyczne kompozycje na tematy klasyczne.

Komedje Radziwiłłowej były ciekawe i dla sztychów Żukowskiego, zdobiących wydanie Fryczyńskiego, które przedstawiają widzów na bliższym i dalszym parterze, panie i szlachtę, w narodowym lub francuskim stroju; ale poza Nieświeżem z znaczniejszych pisarzy żaden nie kusił się o teatr, ani Jabłonowscy, ani Drużbacka; żywioł obcy panował tu wyłącznie; opera i balet, t. j. muzyczna strona pociągała głównie. Teatr mieścił się zwykle w dworze-pałacu samym, na pierwszem lub drugiem piętrze; scena bywała podwyższoną; całe przedstawienie rozumiało się zawsze jeszcze tylko jako obowiązkowa część programu godnego przyjęcia gości obok ogni sztucznych i huku moździerzowego; nie było mowy o wyższem pojęciu, o kształcącym charakterze teatru; dopiero Konarski i na tem polu się wyróżnił, bo ku zgorszeniu jezuitów nie kastrował tragedyj Wolterowych (*Zaira, Alzyra* i in.), lecz role kobiece w dramacie szkolnym zachowywał a celowo, jak i w popisach oratorskich, zdrowe myśli patrjotyczne ogłaszał; po raz pierwszy nabierał teatr zadania wychowawczego.[1]

---

[1] Odżyło w druku nawet prastare misterjum, gdyż kanclerz Małachowski ogłosił r. 1757 na despekt paulinom częstochowskim, ich misterjum wiekanocne Wilkowieckiego z r. 1583; główny tekst ten sam, ale przedruk do rzadkości bibljograficznych należy, bo go zdaje się paulini wykupywali (znam egzemplarz toruński); wiersze dodawał i opuszczał. Z *Dialogiem Częstochowskim* powtórzyło się to samo, co z wierszydłami Baki albo z *Monachomachją* Krasickiego: ci, którym były niewygodne, zaprzeczyli ich autentyczności! Pijar Piotrowski w *Satyrze* i t. d. z r. 1773, w 24 satyrze na szkaradną łacinę naszych kancelarzystów, wspominał ów

LITERATURA POLITYCZNA

Na żadne wielkie koncepcje nie zdobyła się, ale, wobec wołających o pomstę do nieba stosunków, grobowego milczenia, tak cenionego za Sasów, nie przestrzegała. Najznakomitszy jej okaz, króla Leszczyńskiego *Głos wolny wolność ubezpieczający*, wydany drukiem dopiero r. 1749, napisany wcześniej i żywiej, dowcipniej. Jak wszyscy inni, nie chwytał król byka za rogi, szanował *liberum veto* i wszelkie wolności szlacheckie, ale powstawał przeciw zgubnej nieodpowiedzialności ministrów, wymagał znacznego pomnożenia wojsk (brak tegoż pozbawił go tronu), nie tykał elekcji, a zasłużył się, czego u innych pisarzy politycznych nie zawsze bywało, wytknięciem losu chłopskiego; polecał w dobrze zrozumianym interesie panów zamiast pańszczyzny oczynszowanie, mówiąc naturalnie do głuchych. Utopja «dobroczynnego filozofa», znana w całej Europie, inne jego pisma, np. polemika z J. J. Rousseau, wydawane zagranicą po francusku, dowodziły wysokiego wykształcenia i silnego uczucia humanitarnego «dobroczynnego filozofa».

Obok tego najmądrzejszego pisma mógłby godnie stanąć Stanisława Poniatowskiego (ojca króla) *List ziemianina* do sąsiada, w przededniu walnego sejmu r. 1744, kiedy o aukcję wojska głównie chodziło, krótko poruszający i zagadnienia ekonomiczne (niezbędne wobec planowanej aukcji wojska), upomi-

«Dyalog sławny Częstochowski, z któregośmy się śmiali, który ktoś umyślnie sfabrykował,

Bo pomyślić nie można, by ludzie z rozumem
Tak podłych zdań wyrazów bawili się tłumem,

a w nocie na str. 124 pisał: *Dyalog Częstochowski,* książka wydana z dawnego szpargału i przedrukowana kosztem p. Mitzlera trzeci rok temu [a więc pisał to Piotrowski r. 1760?]. Dzieło to musi być fabrykowane od kogoś dla zabawy i śmiechu ludzi z krzywdą tamtejszemu zgromadzeniu» — następuje krótki opis *Dialogu* i kilka próbek z tekstu. Tekst w porównaniu z 'Wilkowieckim' r. 1583 jeszcze bardziej prostaczy.

nający do złożenia za przykładem kasztelana Steckiego «dziesiątej części rocznej intraty na potrzeby publiczne». Wymagał wolności sumienia i wiary, biadał nad mnóstwem klasztorów i świąt zbędnych; uszanował *liberum veto*, byle go nie stosować do aukcji wojska; wchodził w szczegóły rekrutacji (nie dozwolonej w dobrach szlacheckich) i dyscypliny («zagubmy szpetną i wstydliwą dla wojennego człeka karę kańczuga i laski»).

Nie brak mądrych pism, począwszy od St. Szczuki *Eclipsis Poloniae* 1710 r. i St. Karwickiego, *De ordinanda republica* 1709 r., aż do Poklateckiego (Radzewskiego) *Kwestyj politycznych* 1743 r. i *Anatomji* Garczyńskiego 1753 r., a szereg ich możnaby zakończyć memorjałem francuskim o reformie Rzeczypospolitej, jaki hetman w. kor. Branicki r. 1762 rządowi francuskiemu na ręce agenta Paulmy złożył; hetman, filar stronnictwa francuskiego, rozprawiał wiele z przyjaciółmi i wyniki tych rozpraw złożył w memorjale, który chyba jego długoletni sekretarz, ks. W. Betański, napisał. Przez wszystkie pisma, oprócz skarg na bezludność i ubóstwo Polski, na ruinę doszczętną miast, na fatalne skutki *liberum veto*, przewijała się nieufność ku Koronie i «wrodzona miłość swobody». Jedyne, co król miał jeszcze w ręku, czem dwór stronników nabywał, było rozdawnictwo urzędów i starostw, więc chciano i to jeszcze albo całkiem odebrać, albo znacznie ograniczyć. Na *liberum veto* samo biła trzydzieści lat przed Konarskim, *Wolność polska rozmową Polaka z Francuzem roztrząśniona* z r. 1732 (tłumaczona spółcześnie na niemieckie), gdzie «Francuz» tę mniemaną wolność przenicował i jej absurdy wywiódł (autor Lipski, biskup). Nie trafiały jednak te wywody[1] do sumień i przekonań szlachty:

[1] Szczególnie ciekawe były wywody Karwickiego, po łacinie 1709 r., po polsku 1726, zaciekłego republikanina, który jednak przejrzał wady parlamentaryzmu i o lepsze urządzenie sejmów i sejmików się starał; proponował, aby niezawisłość posłów zapewnić i uboższym przystęp do poselstwa ułatwiać, żeby województwa opłacały swoich posłów, wznawiając

jej podobała się nierównie lepiej idealizacja anarchji i wolności, jaką w XVII wieku jezuita Pęski wystawił. Tę chryję p. t. *Domina Palatii regina libertas* miał «Cycero polski», kanclerz w. lit. J. Fr. Sapieha (wedle Niesieckiego, Janockiego i Mitzlera) napisać; drukowano ją przy *Różnych mowach publicznych sejmikowych i sejmowych* Jana Dębińskiego r. 1727 i dwukrotnie w *Swadzie* Daneykowicza-Ostrowskiego (wydawanej mylnie za dzieło Sapiehy); Załuski Władysława Reja (zm. 1683 r.) autorem równie mylnie ogłosił.[1]

---

pierwotne salarja szesnastowieczne. Walny sejm miał być stały, *liberum veto* ograniczone; osobna izba dla finansów państwowych, dokądby przez losy (!) wybierano; kandydatów do tronu szlachta podaje i t. d. Zgadzał się często z Leszczyńskim i Konarskim, obu wyprzedzając.

[1] Nie dosyć na trzech jej wydaniach polskich, jeszcze ją chyba dla zagranicy, przetłumaczono na łacinę r. 1736 i wydano «Liberopoli», ale to druk saski klasztorny (w egzemplarzu berlińskim niema wzmianki o Supraślu, którego ojcowie przekład niby ofiarowali jakiemuś panu); tłumacz ukrywał się pod tak uczonym pseudonimem, że to chyba Załuski albo jaki Jabłonowski? Są to rozprawy czterodniowe, nie w formie dialogu. Temat pierwszego dnia, co jest wolność; drugiego, czy wszystkie narody do niej zdolne; trzeciego, dziewięciorakie fundamenty wolności (równość, *veto*, elekcja i t. d.); czwartego, odpierał zarzuty obcych, szczególnie Barklajowe, dalej Czecha Jana Hanko, Bartłomieja Bertdorf Augustodunensis i Procopiusa Pancerina (?) jako autorów owych dotkliwych definicyj Polaków (Tom II, 399). Wykład całkiem szkolarski, np. Polska nierządem stoi, t. j. nie zwyczajnym u innych narodów trybem, niby też «nie po ludzku, ale po niebiesku», boć i na niebie nierząd (komety, posucha i deszcze i t. d.), a Polus i Polonus są sobie bliskie imiona. Bronił wszystkiego, nawet braku kary śmierci, przecież wieża gorsza kara, bo o tyle dłużej trwa! Wobec takiej kazuistyki trudnoby uwierzyć wydawcy, że to «polityczne *in materiis status* wielkiego niedawno oratora mowy i rozumne złotej wolności polskiej sentymenta». Napisane dla użytku młodzieży, żeby ją o zasadach i początkach wolności pouczać, tylko czasom saskim znakomicie odpowiadało. Sąd o żydach zob. wyżej; autor przyznał, że jak mól niszczą miasta, a na chłopów egipską niewolę wciągają, ale dziękował Bogu, że ich nie poważamy, nie doktoryzujemy ich w akademjach, jak to gdzie indziej bywa, «ich parchowate głowy

O zastoju życia politycznego świadczył brak dziennikarstwa. *Awizy Krakowskie,* ów *Merkurjusz* Gorczyna, dawno przestał wychodzić i nic go nie zastępowało; magnaci mieli swoich korespondentów i ci przesyłali im bajeczne relacje; pocztmistrz toruński Rubinkowski starał się przez szereg lat wygadzać im podobnemi, staranniejszemi. Dopiero od 6 sierpnia r. 1718—1720 zaczął w Królewcu wydawać co sobotę *Pocztę* (albo *Posztę*) *królewiecką* drukarz polski J. Daw. Zankier; dawał korespondencje z Wiednia, Berlina, Hamburga, Hagi i przy końcu każdego numeru korespondencję z Warszawy, Poznania, Krakowa i in., niestety wcale ubogie; nieraz w całym ośmiostronicowym numerze nic o Polsce nie było; skąpe wiadomości prawiły głównie o morze, o żniwach, rozbojach,[1] sejmikach. Np. cała korespondencja poznańska z 29 listopada 1719 r. brzmiała: «W ziemi naszej nie słychać chwała Bogu nic o powietrzu»; lwowskie wiadomości były datowane nieraz «z Kuzikowa» — czy to Kulików?, «na Hayduczynie przy krakowskiem przedmieściu» zmarli ci i ci; grabarze zwiększali liczby zmarłych, za co ich ukarano. Tem obszerniejsze były korespondencje z Berlina o paradach wojskowych. Polszczyzna ich nie wytworna, żywcem tłumaczona z niemieckiego, więc nie dziw, że publicz-

---

laureis ani krostawe palce pierścieniami zdobimy». Przekład łaciński płynny, wiersze polskie oryginału, np. dłuższy ustęp z Opaleńskiego o Polakach, «żeby (Boga) rekreowali i cieszyli», oddane heksametrami łacińskiemi. Dzieło XVII wieku, ale ideologja zupełnie saska; broniło równości szlacheckiej przeciw tytułom obcym, posiadania ziemi przez samą szlachtę i t. d. Jeżeli młodzież na takich dziełach chowano, nie dziwić się jej zaślepieniu. O tej chryji jezuickiej była już mowa wyżej, (II, 545), lecz dopiero za Sasów dostała się w formie skróconej do druku i przekładu i do znajomości ogólnej, więc się i tu jej miejsce należy.

[1] Bardzo częste o nich wzmianki, np. w Poznańskiem ustały dla nich «wszelkie podróże», co dlatego wspominam, że obcy podróżnicy właśnie wychwalali bezpieczność dróg polskich mimo gęstych lasów. Może w r. 1718 i 1719 odzywały się jeszcze skutki partyzantki z Sasami.

ność się do tych «gazetów» niezbyt garnęła i 52 numer r. 1720 kończyła odezwa od «drukarza polskiego Cenkiera»: «Mnie wielce Mości Panowie! barzo licha była tego roku obrywka z gazetów polskich, bo barzo mało było Ichmościów, którzy się w nich kochali. Więc przydzie mi tego roku ich poniechać, aż obaczę da Pan Bóg za rok, jeżeli się IMw więcej znajdzie, którzyby chcieli Polskie trzymać gazety; tedy znowu mają być drukowane», ale do tego już nie przyszło.[1]

Poczty Królewieckiej nie zastąpiły wydawane przez jezuitów i pijarów *Kurjery* polskie i litewskie od r. 1729 i 1759; donosiły one o pogrzebach, o połogach wielkich pań, o sprowadzeniu cudownego krucyfiksu, o «grassantach», co kamienice okradają, o tem, że «ordynat młody łowami prawie codzień zabawia się» i t. p. I zostawała Polska daleko za Rosją nawet — w najwolniejszem państwie nie było organu tylko dla wolnego głosu.

Czem mniej Polska o obcych dbała, tem więcej ci się nią zajmowali; tłumaczenia niemieckie broszur (szczególnie około obioru Augusta III), aktów (i papieskich), deklaracyj, uchwał sejmowych zjawiały się natychmiast. Przybywało i podróżników, Polska bywała ich etapem do i od Moskwy, ale ciekawych sprawozdań brak, zjawiły się dopiero w drugiej połowie wieku. Nęcił obcych chyba dwór królewski i magnacki; u magnatów mogli zawsze liczyć na łaskawe przyjęcie dla nowości, dla samego obcego pochodzenia, bo o rodakach wysokiego mniemania nie było, ale i powodzenie obcego nie bywało trwałe.

---

[1] Numera były numerowane jednym ciągiem, liczyły więc po stron 416; jedyny zupełny egzemplarz tych trzech tomów, z bibljoteki króla Fryderyka Wilhelma 1731 r., posiada bibljoteka królewiecka. Do *Poczty* dodawano «particularia», np. artykuły pokoju Pożarewackiego, list króla pruskiego do Augusta II, przeczący, jakoby król pruski z carem dybał na ruinę Polski i t. p.

JĘZYK

Uśpienie umysłowe za Sasów odbiło się nader niekorzystnie również na języku literackim, który stoi szkołą i literaturą dawną, czy nową, szkoła zaś przed Konarskim i Bohomolcem mało o polszczyznę dbała, uważając język ojczysty niby za dar przyrodzony, jak wzrok czy słuch. Gramatyk polskich nie było, chyba dla obcych po łacinie lub po niemiecku; zdobyli się tylko jezuici wileńscy na pisemko, przestrzegające Litwę przed osobliwościami jej wymawiania (1711). Książek nowych nie czytano, a dawnych nie było: przedruki Kochanowskich (nawet *Jerozolimy Wyzwolonej* i psałterza), Twardowskiego i in., ustały już w końcu XVII albo na początku XVIII wieku *(Nadobna Paskwalina* r. 1701, powtórzona dla jej moralizacji), a wszelkie dawne egzemplarze przy pożarach dworków drewnianych ginęły tak, że już W. Potocki na ich brak gorąco się uskarżał. Druk wprawdzie nie wyjarzmił się z nawyczek dawnych, powtarzał mechanicznie rozróżnienie dwojakiego *a* (łacińskiego czystego i polskiego «z wykrzywianiem gęby»), co w wymowie potocznej już dawno ustało, zato obfitował w błędy: J. A. Jabłonowski ofiarując egzemplarz swego dzieła Bibljotece Załuskich poprawiał własnoręcznie te błędy, ale nie wszystkie; pisownia jak *chlip* (chleb) nie była czemś wyjątkowem, a niektóre druki wyszydzały wszelką poprawność, nie oznaczały nosówek, albo wedle wymowy wielkopolskiej z *on* robiły *ą, skączony, samo istoto, zginęła, gemba* i t. d. Odmiana czasowników pozostawiała wiele do życzenia, *mowiemy* i t. p. zamiast *mówimy* i t. p. było regułą, a przymiotnikowe *-em, -emi* i in. puszczano samopas. Zecerów nieudolnych wspierali nieudolni pisarze: wszyscy używali owego obrzydliwego *se* (nawet *sę*) zamiast *sobie,* 2. przyp. l. mn. na *-ów, wsiów* i t. p., a jak się panowie ze składnią obchodzili! opuszczali *się,* spójniki, rzeczowniki; król Leszczyński chyba po francusku myślał, gdy pisał po polsku:

Piłat wiedziawszy, że Chrystus będący
Galilejczykiem, zbyć się go pragnąwszy,
Do Heroda go przeto odesławszy,
Tam gdzie panował królem w nim zostawszy i t. d.

Teraz dokonało się zupełne ujarzmienie języka narodowego przez obcy; w literaturze (szczególnie w ascetycznej, np. w kazaniach i modlitewnikach, i w poezji) pisano jeszcze jako tako po polsku, ale mowę potoczną łaciną przetykano (wystarczy czytać listy np. Konarskiego); to nadużycie prowadziło wprost do zubożenia języka ojczystego, który już tylko w terminy kuchenne obfitował, górnych wyrażać nie umiał; dziś jeszcze dałoby się niejedno o tem powiedzieć. Wkradały się prowincjalizmy, np. 2. przyp. l. mn. *wesół* zamiast *wesel*, zawsze *nicht*, zamiast *nikt;* u Leszczyńskiego i *znaydł* (znalazł), *stodwayścia*,[1] a Jabłonowski dla wiersza powie *błudnie* zamiast *obłudnie!* Niechlujstwo cudzoziemszczyzny było przerażające, oto np. skrócony tytuł panegiryku pijarskiego z r. 1732, zawierającego 223 sekstynów: *Niebo herbownego księżyca marjażu* (panny Granowskiej i pana Lipskiego) *od Apollina warszawskiego scholarum piarum Collegium remonstrowane;* obrzydliwemu schlebianiu (bo brat panny u nich się uczył) odpowiadały te cudze słowa. Panie nie ustępowały panom, np. Niemiryczowa w przeróbce wierszowanej Préchaca «poniekąd zapomnianego» niby,

[1] Proza królewska była znakomita, ale wiersze jego niemożliwe, np.

To w Izraelu gdy się tak odprawia,
Król Ochozyasz kiedy już nie żywszy,
Jehu go życia ręką swą pozbywszy,
Atalia się pychą uwodząca
I górno zawsze chcąca bydź rządząca,
Żeby bezpiecznie prędko panowała,
Dzieci królewskie wytracić kazała,

albo:

Lot wyjście zwłócząc, anieli go wzięli i t. p.

w kilku wierszach wsadziła: *promowować: addukować, affidował: deklarował!*

Do gęstych pożyczek łacińskich i francuskich przybywały i rzadkie ruskie, co nie dziwi wobec przesuwania się polszczyzny ku wschodowi i rosnącej liczby autorów z tych stron; więc Jabłonowski uprawiał poezję dla odegnania *sumności; sobory* i *sojusze* (z fałszywem *sz*, zamiast $s = z$, co u nas w podobnych razach częste, np. *szarafan, szarańcza* i t. p.), *hula (hulać* i *hultaj)* dostawały się do języka i przez bazyljanów, piszących po polsku, nieraz niepoprawnie, np. z podwójnem ruskiem *nn, zbawiennie* (i zbawienie) i t. p. Szczególnie na Rusi nabywała polszczyzna słów i form, nieznanych w Wielkopolsce ani w Krakowie. Źródła włoskie, węgierskie, przestały zasilać polszczyznę, tylko niemieckie szerzyły się po kolonjach i na «fiszmarkcie» warszawskim, jak i śród służby pańskiej, szczególniej na Zachodzie. Pożyczki ze Wschodu dotykały już tylko materji.

Obszar językowy, etnograficzny nie szczuplał, chyba na całym zachodnim pasie, od Kaszubów aż do średniego Śląska, wciskał się miejscami żywioł niemiecki i rozrywał jednolitość narodową, a topniały dawne luźne już wysepki, np. na Śląsku średnim, w otoczeniu niemieckiem. Natomiast dawna rozlewność polskiego języka i kultury zwężała się z utratą politycznego znaczenia. Odpadły odrazu i zupełnie na południu Mołdawy, a na północy Prusy książęce z Królewcem: gdy w XVII wieku obie prowincje nieraz ku Polsce ciążyły, w XVIII wszelka łączność ustała, nie liczyły się odtąd te prowincje (niegdyś hołdownicze) wcale z Polską; również Węgry odstrychnęły się zupełnie, chociaż na początku wieku narodowa reakcja przeciw jarzmu habsburskiemu o polskiej pomocy (o Lubomirskim np.) myślała. Najznaczniejsza różnica zaszła na Wschodzie. Moskwa wyemancypowała się dzięki Piotrowi W. z pod wpływów i wzorów polskich, nie odrazu wprawdzie, gdyż jeszcze za Piotra tłumaczono z polskiego, wpływały terminy polskie (np. *koruna, szlachecki*

i in.) do języka urzędowego, jeszcze nosili śpiewacy cerkiewni kontusze polskie, a nie brakło jednego i drugiego Polaka śród sług carskich (np. Kopjewicz i in.), usunęła się jednak polska mowa, literatura, kultura wobec europejskiej (niemieckiej, holandzkiej, francuskiej szczególnie), z którą Piotr wszedł w bezpośrednie stosunki, ponad głowy polskie. Nie ustawał silny napływ Kijowian (np. w r. 1652 cały szereg śpiewaków wstąpił do służby carskiej), którzy dzięki szkołom Mohiły, wzorowanym na polskich, Moskwę prześcigali; Piotr wybierał z pośród nich szczególniej dostojników cerkiewnych (Jaworskij, Prokopowicz i in.); nowa «akademja» kijowska, wielkie seminarjum duchowne, narzucała swe polsko-łacińskie tradycje szkole moskiewskiej, kanty i tańce polskie popłacały i na dworze carskim, ale to już ostatki dawnego trybu. Wiersze sylabiczne, tworzone na modłę polską, ustąpiły miejsca wierszowi tonicznemu; nauką, administracją, wojskiem zawładnęli Niemcy, flotą Holandja (całe jej słownictwo przejął Petersburg); ocalały dawne polskie pożyczki kulturalne dla sprzętów, pokoju, rzemiosł, stanów, ale nie mnożyły się o nowe. Wpływy niemieckie, francuskie (w wyższem towarzystwie), włoskie (w muzyce, teatrze, t. j. operze i balecie) zastąpiły polskie.

Oryginalność i malowniczość staropolskiego życia za Sasów odbiła się w oryginalnym i malowniczym języku. Nie poprawny on, ale nie pozbył się jeszcze rozmachu siedmnastowiecznego; jeszcze go gallomanja wymuskana, salonowa, blada nie zastąpiła; nawet w drugiej połowie wieku różnili się pisarze starego autoramentu (Naruszewicz, Piotrowski i in.) od modnych, Krasickiego i in. Więc Jabłonowscy, tak samo tłumacz *Telemaka* i pierwszy dawnych przysłów polskich wykładacz (w Kenigsztajnie — turmy i fortece płodziły zawsze dzieła literackie, od tragedji moskiewskiej począwszy!), jak i autor Bukowińskiej, dalej Rzewuski (hetman), Załuski (czy Boileau czy Woltera w podróży zapustnej tłumaczył), Sapieha (tłumacz

Zairy), tkwili jeszcze silnie w staropolszczyźnie Morsztynów, Potockich, Twardowskich, Kochowskich: nawet tłumacząc gładkich Francuzów nie wyzbywali się słów przestarzałych, ale dosadnych, prowincjalizmów, przysłów, szorstkiej frazy, malowniczego obrazu, a raczej wyrazu, jędrnej choćby rubasznej dykcji; tradycja stylu poetyckiego jeszcze nie przerwana. Zrywał z nią świadomie Konarski, nie tak w prozie wczesnych dialogów politycznych, jak w wierszu tragedji, ale dopiero po r. 1763 wraz z peruką, fraczkiem i szpadą noszono się i z nowomodnym językiem w prozie i wierszu. Nie ubożał więc język poetycki, ubożał prozaiczny, przeładowany dla gnuśności myśli łaciną. Szkoła pijarska baczyła pierwsza świadomie, celowo na poprawność i gładkość języka.

SZTUKI PIĘKNE — MUZYKA

Oryginalna muzyka polska, polskich kompozytorów, była wyłącznie kościelna; kwitła szczególniej po bursach jezuickich, bo tak nazywali jezuici swoje zakłady muzyczne, na które łożyli wiele kosztu i trudu dla uświetniania nabożeństwa; najznakomitsze były ich bursy krakowska i lubelska. Obok burs jezuickich wyróżniała się kolegjata w Łowiczu, dzięki zapisom czterech prymasów, znakomitą szkołą muzyczną i zachowały się do dziś w jej bibljotece kompozycje Radomskiego, Nowakowskiego, Soczewskiego *(Concerto della vanità del mondo),* Janczewskiego (koncerty o Bogu). Nie brakło kompozytorów i po klasztorach, np. u cystersów w Mogile i in. Po dłuższej przerwie, spowodowanej wojnami i wszelakiemi klęskami, odżyła uprawa muzyki w Krakowie i w chórze katedralnym i w kapeli Rorantystów; szczególniej celował ks. Grzegorz Górczycki, zmarły w sędziwym wieku w r. 1734 kapelmistrz katedralny, w ciągu długoletniej czynności pisując to dzieła czysto wokalne, to z akompanjamentem muzycznym, w dawnych formach polifo-

nicznych raczej niż w modnym włoskim stylu koncertowym. Mnóstwo innych kompozytorów znamy dotychczas wyłącznie z nazwisk.

Jałowość i bierność, wybitne czasów saskich znamiona, opanowały podobnie muzykę jak literaturę i naukę. Świecką zatłoczyła zupełnie duchowna, jak w literaturze, ale ta duchowna nie wydała niczego, coby wiekom XVI i XVII dorównywało, chociaż dawna tradycja i teraz panowała bezwzględnie; czy śród licznych partytur odnajdzie się coś wartościowego, okażą dopiero późniejsze badania. Ta muzyka naśladowała Palestrinę, ale nastawała i późniejsza, wokalno-instrumentowa, koncertowa. Poza kościołem narzuciła się obca muzyka, włoska; kultura muzyczna świecka przesiąkała chyba w tańcach wpływami obcemi, obok nich jednak utrzymywały się polonezy i mazury, a ich motywy dostawały się i do muzyki zachodniej, której mistrzowie, francuscy i niemieccy (Bach i Händel), z nich korzystali. Słyszymy wprawdzie o symfonjach Antoniego Milwida z połowy wieku, ale ani pewnych dat o nim nie mamy, ani nie zbadano produkcji jego. Jedno pewne, że i na tem polu jak na każdem innem rozlewność dawna (por. wpływ Dyleckiego na Moskwie) skurczała się aż nadto; powoli jakby wysychały dawne źródła muzyczne, chociaż muzyka stosowana, marsze, tańce, nigdy nie zanikała; kapele wojskowe wygrywały może obce kompozycje (a były i tradycje hałaśliwej muzyki wschodniej, janczarskiej), po ustroniach jednak utrzymywały się melodje ruskie, wygrywane i przez usłużnych żydków.

Świeckiej muzyki polskiej oryginalnej nie znamy, więc w archiwach klasztornych nawet zachowały się partytury i głosy orkiestralne dzieł kompozytorów symfonicznych, Abela, Dittersdorfa, Haydna i in. W pałacach magnackich i w opernhauzie saskim (warszawskim) występowali wyłącznie śpiewacy i muzycy włoscy; tak wystawiano w Krakowie w pałacu Lubomirskich 1725—1727 r. opery, *La fede ne' traditamenti; dramma*

per musica Venzeslao; Griselda; w kapeli saskiej byli i rodowici Niemcy, np. Jan A. Hasse, uczniowie konserwatorjów włoskich, szczególniej neapolitańskich. Kapela saska, jak i kuchnia saska, słynęła na całą Europę i ona służyła za wzór Branickiemu w Białymstoku, Rzewuskiemu w Podhorcach, Radziwiłłom w Nieświeżu, Ogińskim w Słonimie i in. (Zdz. Jachimecki, *Historja muzyki,* 1920).

ARCHITEKTURA

W budownictwie zaważył najokazalej, najwidoczniej wpływ epoki saskiej, epoki rokoko Augusta II i III. Nie było i tu nic oryginalnego, polskiego; budowniczowie sascy (Poppelman, Knobel, Knöffel i in.) i włoscy (Fontana, Chiaveri i in.) stawiali pałace i kościoły polskie, zdobiąc przedewszystkiem Warszawę. Snuł August II wielkie plany, ale nawet Zwingera drezdeńskiego nie przeprowadził w Warszawie. Skromny zamek królewski miał mu przebudować na wspaniały pałac Poppelmann, stworzyć imponującą fasadę od strony Wisły, wznieść między rzeką a zamkiem terasy, pawilony, arkady, wodotryski — dla braku środków ograniczono te plany do wzniesienia fasady, skromniejszej znacznie, wedle planów Chiaveriego z roku 1740. Roku 1720 wzniósł Lubomirski pałac Pod Blachą (pierwszy dom w Warszawie kryty blachą żelazną), barokowy jeszcze, ale w ornamentacji odzywał się styl saski. Pałac Bielińskich przebudował i rozszerzył August II na Pałac Saski z ogrodem saskim, z figurami alegorycznemi, altanami i pawilonami. Podobnie przebudował Brühlowi pałac XVII-wieczny Knöbel, przyozdobił szczyt herbami i rzeźbami, wnętrze wspaniałemi schodami, dekoracją ścian i posadzek; plafony sprowadzono z Drezna. Spółcześnie powstały, w tym samym stylu, pałace Czapskich, Czartoryskich i in.; na prowincji pałac Sułkowskich w Rydzynie, Sanguszków w Lubartowie i in. Wpływy nie-

mieckie, nietylko saskie, ale też wiedeńskie i pruskie, były widoczne w *Collegium Nobilium* pijarskiem z r. 1743, w pałacu biskupów krakowskich i in.

W architekturze kościelnej panował dalej wzór baroku kościoła *il Gesù* i wszystkie kościoły «saskie» przypominają się nawzajem fasadą i wieżami, wysokiemi oknami, wrzynającemi się w sklepienie, dekoracyjnemi ołtarzami, traktowanemi po malarsku, z coraz liczniejszemi złoceniami i przewagą białego koloru (jak w meblach rokoko). Tu należą kościoły warszawskie św. Krzyża (misjonarski), Panien Wizytek albo Salezjanek; św. Marcina (augustjanów); św. Jana w Wilnie; misjonarzy i pijarów w Krakowie (ostatni dzieło Franciszka Placidi, pomocnika Chiaveriego).

Od tego szematu odbijały dwie wspaniałe budowle lwowskie, wykonane obie pod kierunkiem Jana de Witte (późniejszego jenerała artylerji i komendanta Kamieńca): kościół dominikanów i cerkiew św. Jura, mało jednak cerkiew przypominającą; obie budowle niemal spółcześnie wykonane, kościół dominikanów wsunięty w ciasne ulice, cerkiew św. Jura jak najbardziej malowniczo położona, z przepysznym widokiem na Lwów, rozłożony u jej stóp; nie brak jej obowiązkowych pięciu kopuł, ale cztery z nich wywiedziono nader dyskretnie; przed fasadą terasa z monumentalnemi schodami, obok cerkwi pałac, wszystko otoczone słupami murowanemi z wazonami, połączonemi kratą żelazną (terasy z balustradami, ozdobionemi wazami, cechowały niemal wszystkie budowle saskie). Kościół dominikański w Tarnopolu ustępuje poniekąd lwowskiemu, ale również okazały.

Rzeźba miała znaczenie dekoracyjne przeważnie, upiększała pałace i kościoły; na szczytach wystawiano herby i figury; ołtarze zdobiono nadmiarem słupów; stawiano po ogrodach posągi alegoryczne; stiukami pokrywano mury kamienic i pałaców; wszystko wykonane z wielkim patosem, teatralnie, zakrawając raczej na efekty malarskie. Ale to obcy sami, czy Bar-

tłomiej Fontana, który z Moraw przybył i do Moraw wrócił, przyozdobiwszy świetnie na przełomie wieku krakowskie kościoły (mianowicie św. Anny) i domy prywatne wspaniałemi płaskorzeźbami, czy Sas Franciszek Deibel, nadworny rzeźbiarz Augusta II, twórca świetnych figur alegorycznych czy to w ogrodzie Saskim, czy na filarach bramy wjazdowej pałacu Brühlowego.

MALARSTWO

Jedynie w malarstwie mogła epoka saska szczycić się oryginalną twórczością. Lubienieccy, arjanie, wychowali się i pracowali zagranicą, Bogdan w Berlinie, Krzysztof w Amsterdamie; z obczyzny przybyli Francuzi: Ludwik de Silvestre, malarz nadworny obu Augustów, w Dreźnie i Warszawie, znakomity portrecista; drugi, Silvestre de Mirys, malarz nadworny hetmana Branickiego, Białystok napełniał freskami. Najwybitniejszy talent domowy, to znowu, odpowiednio duchowi epoki, malarz religijny, Szymon Czechowicz, przedstawiający dawniejszy, odmienny od owych Francuzów kierunek; uczeń Maratty w Rzymie, więc jak i on eklektyk, wyrósł w tradycjach szkoły włoskiej z jej poprawnym rysunkiem, kompozycją arytmetyczną niemal, pozami akademickiemi, kolorytem starannie zharmonizowanym, gładkim a bladym. Długie lata przebywszy w Rzymie, wrócił r. 1740 do Krakowa, który porzucił dla Warszawy, skąd objeżdżał po kraju; w Podhorcach u Rzewuskiego wymalował przeszło sto obrazów; wiele ich po różnych kościołach i klasztorach warszawskich i innych; malował też portrety. Założył i wyposażył pierwszą prywatną szkołę malarską: uczył się u niego, acz niedługo, i Smuglewicz. Ostatni jego okres najpłodniejszy, ale zupełnie zmanierowany; prawdziwe natchnienie religijne przebijało z obrazów wcześniejszych; sztuka jego włoska, akademicka. Krakowianin, Tadeusz Konicz, wysłany przez biskupa Załuskiego na studja do Rzymu, dokąd po wielu latach krakowskich znowu wrócił, był uczniem szkoły neapolitań-

skiej, acz kolorytem Wenecjanina Tiepolo przypominał; malował portrety, obrazy religijne, alegorje (np. *Fortuna*), mitologje; wiele w nich manjery, ale nie brak i ruchu i życia, kompozycja i rysunek zawsze staranne. Inni malarze religijni nie wynikali talentami. Rozwinęło się także malarstwo minjaturowe, przybyłe z Wersalu, które przez artystów obcych na dworze saskim i śród magnatów się zadomowiło. W malarstwie, jedynem z sztuk pięknych, znać ruch pewien i postęp.

W wiek XVIII wstępowało państwo polskie z wojskiem, z którem się liczono, a wyszło z epoki saskiej rozbitkiem bezbronnym, pędzonym wiatrami z nad Newy i Sprewy, bez rządu i skarbu, z szlachtą, zaślepioną złotą niewolą, wszechwładną w kraju, bezwładną na zewnątrz. Było ubogiem, bo uprawiało kramarstwo zamiast handlu, domowe wyrobnictwo zamiast przemysłu, bo miało lasy i odłogi zamiast pól żyznych, nędzę miejską i wiejską zamiast dobrobytu. Materjalnemu upośledzeniu odpowiadało umysłowe: kultura zasadzona na tradycyjnej płaszczyźnie, wąskiej a nieruchomej, pozostawała coraz głębiej wtyle za postępem Zachodu, a nawet nowego Wschodu; na każdem polu, od religji do literatury, od życia rodzinnego do biesiad sejmikowych, od rady i ławy miejskiej do kahału i waadu żydowskiego, uwidoczniał się upadek w porównaniu z najbliższą przeszłością. Patrząc na te powszechne niedobory, na brak ludzi i grosza, wiedzy i siły, mógł obcy wątpić, czy naród dźwignie się z tego bezładu o własnej sile, ale to było złudzenie. Lepiej tuszyli ci, co niezrażeni ubóstwem i zastojem ogólnym, reformy się jęli; do nich należała przyszłość, chociaż praca była uciążliwa, bo mieli odmienić nie szczegóły, lecz zerwać z całą przeszłością, a mimo to nie nadwerężyć ducha narodowego, który się do tej przeszłości wiązał. Druga połowa wieku zaprzęgła się do tej pracy i w wielkiej części jej dokonała; ostatnie trzydziestolecie tego wieku przekreśliło nieład dwu poprzednich.

ROZDZIAŁ CZWARTY

RUŚ I LITWA

RUŚ

Stosunek Rusi do Korony odmienił się znacznie; przez traktaty Andruszowskie i Grzymułtowskiego odpadło Zadnieprze z Kijowem, ubyło ludności prawosławnej, a i w tej, co przy Polsce została, przewiedziono niemal zupełnie unję z Rzymem, więc ustała hierarchja prawosławna i dopiero r. 1720 utworzył August II na nalegania Piotra W., który unję nienawidził (doznaliż tego z jego własnej ręki nieszczęśliwi unici), episkopstwo prawosławne w Mohilewie, białoruskie, wspierane pensjami i powagą Najświętszego Synodu w Petersburgu, obsadzane przez zawziętych wrogów Polski, a uniżonych sług carskich, jak Jerzy Koniskij, bombardujący Petersburg skargami na prześladowanie prawosławia, które po bliższem zbadaniu okazywały się nieraz bezzasadnemi.

Chłop ruski stękał pod tem samem jarzmem, co polski; miał się gorzej, bo zamiast dziedzica dzierżawcy, ekonomowie, arendarze darli z niego pasy; miał się lepiej, bo łatwiej uchodził za Dniepr, do nęcącej jego wyobraźnię Siczy, ale i Piotr pędził go tysiącami z Ukrainy na daleki wschód nad Don i Terek. Mieszczanin ruski, mniej liczny niż polski nawet na głębokiej Rusi, żył w tem samem spodleniu i nędzy; narodowe życie umysłowe skupiało się całe około obrządku, cerkwi i bazyljanów.

Plany, z jakiemi się przy tworzeniu unji Rzym, jezuici i władycy nosili, ziściły się w niezbyt wielkim na razie rozmiarze; biskupi i rządy polskie zdali unję na własne jej siły, za-

miast ją pilnie wspomagać i krzewić; władyków unickich wbrew ich oczekiwaniom do senatu nie przyjęli (przewidywali to zgóry prawosławni i szydzili o to niezgorzej z unitów); biskupi polscy protestowali nawet przeciw tytułom i fioletom unickim; doszło do tego, że r. 1620 władyka łucki wraz z większą częścią eparchji mógł porzucić unję i wrócić do schizmy. Ze względów politycznych, dla udobruchania Kozaków (co właśnie pod Chocimem uratowali siły polskie od niechybnej zagłady), dozwolił rząd milczkiem wskrzeszenia episkopatu prawosławnego przez Greków a za Władysława IV zdawało się, że unję przekreślą; hasłem religijnem zabarwiono ruch społeczno-narodowy; Kozacy tępili unitów, a w traktacie hadziackim dobili się zupełnego unji zniesienia; po zgonie metropolity unickiego Sielawy nie obsadzano metropolji przez całych lat dziewięć. Nawet popi uniccy, nie mówiąc o laikach, rzucali unję dla Rzymu tak dalece, że Rzym się w to wdał i przynajmniej popom przechodu zabronił. O podniesieniu nauki śród unji mówiono wiele, czyniono mało; seminarjum duchowne, jakie Rutski metropolita planował, nie weszło w życie; schizmatycy ruszali się niezrównanie żywiej i dobijali się znacznych rezultatów.

Zmieniło się to stanowczo po r. 1668; co prawosławie pozbawione Kijowa i Zadnieprza utraciło na sile, zyskała unja i zakrzątnięto się około jej ponownego szerzenia, tem bardziej, że zwołana na styczeń r. 1680 rozmowa przyjacielska dla pogodzenia obu obrządków zupełnie zawiodła, co zgóry było do przewidzenia; polemikę literacką toczyli zamiast bazyljanów jezuici (Cichowiusz, Boym i in.). Zakon (jedyny grecki) zreformował jeszcze Rutski na wzór zachodnich zakonów, t. j. połączył dotąd zupełnie luźne monastery w prowincję pod protoarchimandrytą, ze czterema konsultorami i kongregacjami (co cztery lata), ale nauka śród nich nie odrazu zakwitła: dla urządzenia i kierowania nowicjatu przywołał Rutski jezuitów (podobnie w wieku XIX zmartwychwstańców).

Za staraniem Sobieskiego odniosła unja przy końcu wieku stanowcze zwycięstwo; biskupi schizmatyccy jeden po drugim przyjmowali unję; Winnicki w Przemyślu 1692 r., Szumlański we Lwowie 1700 r., Żabokrzycki w Łucku 1701 r.; nawet lwowska stauropigja acz z ciężkiem sercem poddała się — tak rozstrzygnęły się losy prawosławia w Polsce. Lud, co się niegdyś unji czynnie opierał, przywykł wkońcu do niej, mniej na Ukrainie pod wpływem niezatartym Kijowa, nierównie bardziej na Wołyniu i Rusi Czerwonej, Czarnej i Białej. Metropolita Kiszka podjął znowu prace Pocieja (wydał jego kazania) i Rutskiego, ale oparł się niemal wyłącznie o czerńców, o bazyljanów; na synodzie w Zamościu 1720 r. przeprowadził szereg reform w duchu zbliżenia się dalszego do Rzymu (golenie brody, strój kapłański i in.) i w ugruntowaniu bazyljanów: z ich grona mieli wychodzić władycy (wymagano najmniej rocznego pobytu śród nich), oni mieli wychowywać kleryków. Ale zakon bardzo to opieszale wykonywał, uskarżał się nawet o to kler świecki w Rzymie, a seminarja duchowne, jakie Kiszka w Włodzimierzu, inni w Chełmie zakładali, dla braku środków, których władycy skąpili, nie prosperowały. I zaznaczyła się różnica między klerem «białym» a «czarnym»; pop ruski wlókł dalej nędzny żywot, pracując na roli i nie mogąc się równać stopą życiową z proboszczem łacińskim; popowiczów, jeśli się im nie udało wyświęcić, obracano w chłopów poddanych; niesnaski z popami prawosławnymi, gdzie się ci utrzymali (np. na Białorusi), o cerkwie i fundacje, które sobie nawzajem odbierano, nie poprawiały położenia. Ale polonizacja postępowała, t. j. duchowieństwo, jako jedyny niemal stan jakiego takiego wykształcenia, nasiąkało polszczyzną, mówiło i pisało po polsku, czytało książki polskie, świeckie i duchowne, odwykało powoli od ruskich ksiąg i pisma i zanosiło się niby na zupełne, powolne, dobrowolne spolszczenie się duchowieństwa przynajmniej; szlachty ruskiej i tak już prawie nie było, spolszczała zupełnie (a i zkatoliczała, z małemi

wyjątkami, jak Szeptyccy i in.); tylko lud prosty, o który nikt nie dbał, został wierny dawnym tradycjom w mowie, stroju (jak najskromniejszym, wyłącznie domowego wyrobu — odbytu dla fabryk nie było), życiu, jak i nieliczni przedmieszczanie i mieszczanie. Bazyljanie uprawiali literaturę za wzorem teraz polskim; układali pieśni nabożne (które późniejsze wydania zbiorowe, *Bohohłasnyky*, obejmowały); tłumaczyli polskie ascetyki, próbowali sami sił w tworzeniu oryginalnem, sięgali nawet za przykładem polskim do Włochów; nad Mariniego poematem o rzezi betlejemskiej trudził się nienazwany bazyljanin, przechowała bibljoteka monasterska jego nie najszczęśliwsze kilkakrotne próby przekładu.

Ich tłumaczenia obejmowały nietylko ascezę (np. Drekseljusza, którego i *Drogę Życia pobożnego* r. 1704 dla prawosławnej drukarni mohilewskiej brać Kutiejska przełożyła), ale także historje, powieści, a wierszami «sylabicznemi» wyjątkowo i poematy polskie przekładano, np. *Jerozolimę Wyzwoloną* Kochanowskiego (nie Tassa).[1] Mniejszych rzeczy było może

[1] Jedyny odpis znany liczy 10 pieśni (zamiat 20), a dziesiąta niezupełna, czy więcej nie dał tłumacz? język, mieszanina form cerkiewnych, ukraińskich i polonizmów całkowitych czy zruszczonych nieco; tłumacz bazyljanin z monasteru żyrowickiego (pod Słonimem), unickiego do r. 1839, z którego bogatej bibljoteki ('opisanej' r. 1758) i inne podobne dzieła (np. owo polskie tłumaczenie *Rzezi Niewiniątek* Mariniego) ocalały. Tłumaczył 13- nie 11-zgłoskowcem oryginału, oktawami; rymy nad wyraz liche a zrozumienie tekstu podobne. Niema ani jednej oktawy z maksymami i abstrakcjami bez grubych myłek; ich szczegóły zastępował byle jaką frazą ascetyczną, np. «Już z dusz nie będą poddanych grzechowi trybutu więcej płacić Plutonowi» = Pluton wsia już korysti swoich pogubił, Posłuszanje k sebie na wieki pogubił; «Omylili go (czarodzieja) i Djabli zaklęci I w charaktery poryte pieczęci» = W namirenii (w zamiarze) zgubił dijawolju siłu, Wołszebstwa (czary) prinesosza mu peczal nemiłu; Erminia «Dźwiga tarcz; Miłość śmieje się na ono Herkulesowe wspomniawszy wrzeciono» = Z żenskago diela zielo (bardzo) sia wtieszajet I wo miesto jego szczyt mużeskij wzimajet. Cała oktawa bywa

więcej, przynajmniej ocalał podobny przekład (innego bazyljanina?) noweli Dekameronowej o Gwiskardzie i Izmondzie i ojcu okrutnym[1] w świetnym przekładzie, dowodzącym chyba, że to nie jedyna, nie pierwsza próba pióra nieznanego autora; wyżej nie wzniosła się już faktura ruska i następców, coby rozpoczęte dzieło dalej prowadzili, już nie było. Szkoły wyższej, podobnej kijowskiemu kolegjum, teraz akademją nazywanemu, nie było na całej unji; szkoły brackie po miastach poupadały, chociaż nie zniknęły doszczętnie.

Co było bardzo charakterystycznem dla Rusi, to nadzwyczajna chwiejność wyznaniowa. Metropolita Kolęda liczył sobie r. 1671 dziesięć tysięcy parafij unickich, głównie na Litwie, prawosławnych było drugie tyle we lwowskiem i łuckiem władyctwie, więc po zniesieniu schizmy liczyła sobie unja 20.000 parafij (liczba chyba zbyt wygórowana), oprócz około dwóch tysięcy na Ukrainie, bardzo niepewnych zresztą, bo się ku prawo-

dobrze przetłumaczona, bo dosłownie, gdzie niema żadnych abstrakcyj, np. «Jako koń w pańskiej stajni urodziwy, Którego tylko do wojny chowają, Kiedy się urwie, bieży niewściągliwy Na łąki abo gdzie stada pasają; Wyniosłym karkiem trzęsie a u grzywy Plecione kosy z wiatrami igrają; Piasek kopyty w prędkim biegu ciska I rże ogromnie i nozdrzami pryska» = Jako i mesk (muł!) w panskoj stajni urodziwyj, Tegoże tocziju ku brani okormlajut, Jegdaże sia on urwet, bieżyt newstiagliwyj Na sienożati ili gdie stada pasajut. Wonesłym karkom trjaset a u gustoj grywy Pletenyje kosy so wietrami igrajut; Piesok wo bystrym biegu kopytami meszczet I rżet głasom welikim i nozdrami pryszczet (W. N. Perec, *Izsledowanija i materiały po istorii starinnoj ukrainskoj literatury XVI—XVII wiekow*, Petersburg 1928, str. 168—234). Rękopis, dziś w tamtejszej bibljotece uniwersyteckiej, z początku XVIII wieku, zawiera w dalszym ciągu ów przekład z Drekseljusza.

[1] Ogłoszony z jedynego rękopisu w *Kijewskiej Starinie* 1885, XII, 273—306 (przez Naumenko), z tego samego czasu co poprzedni, ale niezrównanie gładszy, wręcz znakomity, czyta się z przyjemnością. Tłumaczył H. Morsztyna, mniej niewolniczo; imię *Gwizkarda* zastąpił *Zwězdardem*, mieszając *gwiazda z zwězdą* (ukraińską); nazwał swe wiersze «historycznemi», t. j. powieściowemi.

sławiu chętniej garnęły. Gdy Łuck do schizmy r. 1620 się nawrócił, zostało przy unji sześć monasterów i sto parafij, ale J. Koniskij skarżył się przed synodem petersburskim, że mu od r. 1739 w Białej Rusi pozostało tylko 54 cerkwi a 114 zabrano na unję. W drugiej połowie wieku ta chwiejność (zob. niżej), jeszcze większe przybrała rozmiary i dochodząc dni naszych, osłabiła jedność narodową. Mimo to unja widocznie zakorzeniała się i nie jej winą było, lecz do spadku saskiego należało, że mogła ją Rosja wkońcu przekreślić, przynajmniej u siebie.[1]

LITWA

Litwa nie mogła się z Rusią równać, ani co do ilości, minimalnej wobec mas włościaństwa ruskiego, ani co do tradycji, najbogatszej u Rusi, najmarniejszej u Litwy, która tylko na początki literatury ascetycznej (liturgicznej i katechizmów) powołać się mogła. Język kwitł istotnie tylko na Żmudzi; z Wilna wycofał się tak zupełnie, że jezuici znieśli wkońcu kazania litewskie, jakie dla służby miejskiej miewali; literatura żywiła się głównie przedrukami (słownika Szyrwidowego, litewsko-łacińsko-polskiego i in.); pojawiła się i gramatyka litewska po łacinie (bardzo elementarna). Nieco obfitsza była literatura litewska w Prusach książęcych, gdzie i bajki Ezopowe tłumaczono i pastor Donaleitis poema opisowe o czterech porach roku i inne sielanki i listy w heksametrach dla zabawy własnej i przyjaciół tworzył; obie dzielnice tak się od siebie różniły, że próby stworzenia jakiegoś spólnego języka i tłumaczenia (np. przekład ewangelji Samuela Bytnera z r. 1701) zawodziły. Więc i na Litwie czasy saskie tylko o upadek pomówimy; praca siedmnastowieczna Szyrwida, Jachnowicza i in. rozwoju się nie doczekała.

[1] Literatura o unji i schizmie wcale obfita, dzieła podstawowe Pelesza, Likowskiego, Budiłowicza i in.; wyliczył je starannie Völker przy paragrafie o unji i schizmie.

CZĘŚĆ DRUGA

CZASY STANISŁAWOWSKIE
(1764—1795)

ROZDZIAŁ PIERWSZY

LUDZIE

Wstęp. — Tło dziejowe. — Dwa pokolenia. — Król i dwór. — Magnaci i szlachta. — Stany: szlachta, mieszczanie, chłopi. — Żydzi. — Polacy na obczyźnie. Stosunek do Słowiańszczyzny i Rosji. — Na Sybirze. — Obcy o Polsce i w Polsce.

WSTĘP

Jak czasy saskie napiętnowane zastojem, politycznym i ekonomicznym, umysłowym i moralnym, literackim i artystycznym, tak stał się godłem Stanisławowych postęp-reforma.

Najwolniej, żółwim krokiem, postępowano na polu politycznem, przynajmniej do r. 1788, ale winy opieszałości nie ponosiła sama Polska; dzieliła się z nią sowicie gwarancja obcych mocarstw, uniemożliwiająca zgóry przebudowę Rzeczypospolitej. Reformie sprzeciwiały się coprawda i samolubstwo warstwy uprzywilejowanej i przesąd fatalny o «arkanach złotej wolności»: niejeden dochodził do bluźnierstwa, że woli już zostać Austrjakiem, Prusakiem, Rosjaninem, niż być niewolnym Polakiem, ale takich żółciowych wybryków nie należałoby brać tragicznie i bluźnierca byłby się pogodził z losem-reformą, gdyby nie Rosja, która potępiła Konstytucję 3 Maja, i Prusy, które ją protegowały, ale z Rosją na jej zgubę się połączyły. Dopiero w latach 1788—1792 zastąpiono opieszałość pierwotną, wymuszoną raczej, ruchem gorączkowym, zrzuciwszy okowy owej gwarancji, ale zrzucona wróciła i zniweczyła już nietylko konstytucję, lecz i państwo samo, nie wymazała jednak z pamięci narodowej owej uroczystej chwili, gdy, w największem uniesieniu, za hasłem «król z narodem, naród z królem», wiekowy nierząd spłonął w całopaleniu na ołtarzu ojczyzny wolnej a rządnej.

Postęp ekonomiczny był stały i normalny a wyniki, nawet pod obcym wpływem, gdy zawojowanie Krymu otworzyło morze Czarne dla wywozu polskiego, były nadzwyczajne; dobra na

Ukrainie, sprzedane w r. 1733 za 11.000 dukatów, dawały w kilkadziesiąt lat później 100.000 dukatów dochodu, a Warszawa, partykularz za Sasów, teraz wyrosła na świetną, zwabiającą obcych stolicę, o życiu pełnem ruchu i blasku.

W dziedzinie umysłowej gnębiły naród do niedawna przesądy: stanowe, wyznaniowe, naukowe (a raczej brak nauki) i literackie, co zbawienie w łacinie czy w francuszczyźnie upatrywały; dalej jawny brak patrjotyzmu i godności narodowej — cieszono się z przekupstwa, bo przez nie obce złoto do kraju napływa i znoszono najpokorniej tyranję Repninową. Ostatnie pokolenie XVIII wieku przeszło przez szkołę kadecką, szkoły Komisji Edukacyjnej, idee encyklopedystów, literaturę francuską, więc zerwało z zabobonem ojców, z samolubstwem rządzących, z przesądami szlachty; przejęło się patrjotyzmem, dumą narodową, żądzą niepodległości, wychowane nie na łacinników, lecz na obywateli, nie na ogłupiającym Alwarze, lecz na Wolterze i Russie, a literatura odzyskała utraconą od dawna łączność z sercem i głową narodu. I powiało nowym duchem, wróciła w swe prawa Europa, złagodniały myśli i czucia, ożywił się ruch naukowy, powstała scena i literatura narodowa.

Więc reforma na każdym kroku, «tworzenie nowej Polski» lub «wskrzeszenie Polski» (ulubiony termin nawet bandyty Lucchesiniego, którym zwodził naiwnych): jeden posiew, ale nierówne plony; niejedne dojrzały później. Pod wpływem reform, po r. 1788, wzniosło się nagle poczucie odpowiedzialności i godności i naród dał się porwać entuzjazmowi ku zdziwieniu obcych, którzy go nie poznawali. Chwilowa apatja, która od r. 1795 zaległa na nowo obszary, była tylko przygotowaniem nowego wybuchu. Przegrana polityczna Stanisława (czyniono wręcz jego samego przyspieszonej katastrofy winowajcą), nie zaprzepaściła sprawy narodowej; naród podjął zwycięską walkę o byt, a sił do tego nabrał w czasach Stanisławowych; tak król Stanisław zgubił i ocalił Polskę.

Za Sasów Polska szlachecka — innej nie widziano — to wielki klasztor, a jak się w nim żyło, opowiedział Krasicki w *Monachomachji*. Z klasztoru tego wyszła Polska za Stanisława Augusta na świat słoneczny, rozbawiona i jasna, czynna i dzielna, lecz pada na ten świat cień ponury przyszłej a rychłej katastrofy, tak samo jak nad spółczesną równie rozbawioną Francją bije łuna krwawej rewolucji. Obok politycznej miałaby i moralna katastrofa, zwyrodnienie obyczajowe, ten obraz zasępić, jak powszechnie, acz niesłusznie twierdzono. Od obcych świadków (domowi nie kompetentni) wiemy, że życie warszawskie, bo o stolicę głównie chodzi, było normalne, t. j. że Warszawa, najmłodsza z stolic europejskich, jako po Berlinie i Petersburgu powstała, bynajmniej się nie wyróżniała; żadnego obcego świadka nie raziło zepsucie, znachodzili tylko zbytek i karciarstwo nadmierne, które i kobiety opanowało. Narzekania naszych kaznodziei-satyryków były przesadne: po długim poście klasztornym, zapusty świeckie, bale i tańce, przybierały rozgłosu, miary nie przebierały; tak samo bawiono się wszędzie indziej; domowych tylko raził nagły przeskok, silny kontrast między stolicą a prowincją, która nie odrazu z klasztoru wychodziła. Ten czad czy szał zabaw stołecznych, którego nie przyćmiewały nawet katastrofy polityczne, w którym niby o nich zapominano, powoli, stopniowo ulegał się sam i przyciszał; bawiono się i r. 1791/92, mniej okazale nazewnątrz, zato tem szczerzej i powszechniej. Dokonywało się moralne przeobrażenie, charaktery tężały i ze zdumieniem spostrzegł Sievers, że nie przyjmowano wielkiego kanclerstwa, składano urzędy, opuszczano Grodno, inaczej niż w r. 1773 i 1774, kiedy się o jurgielty i względy rosyjskie gwałtem napierano. W dobie Stanisławowej naród nietylko politycznie i umysłowo dojrzewał, ale i do moralnej równowagi docierał, poważniał, pozbywał się przesądów, a nabywał miłości ojczyzny i ofiarności dla niej; i teraz jeszcze, np. we Lwowie r. 1795, oddawano się zupełnie wirowi zabaw, ale to były już

tylko chwilowe przerwy widocznego skupienia całego narodu. Polska przybrała nową postać moralną, którą przygotowały i wypiastowały okrzyczane z niemoralności czasy króla «Stasia».

TŁO DZIEJOWE

Łudząco przypominają przebieg zewnętrznych dziejów Stanisławowych spółczesne francuskie. Tu i tam, do połowy lat ośmdziesiątych, niby niewzruszony, *l'ancien régime,* podkopany jednak przez nową myśl filozoficzną i społeczną; tu i tam runął on odrazu od zamachu, mieszczańskiego we Francji, szlacheckiego w Polsce. Z nową Francją nie pogodzili się *les réfugiés,* szukając pomocy u obcych dla «restauracji» nierządu; przeciw nowej Polsce znaleźli wstecznicy dzięki Katarzynie II o wiele skuteczniejszą pomoc; nawet z Wandeą możnaby porównać województwa południowo-wschodnie, gdzie się Targowica wylęgła a bój o niepodległość narodową słabo się odezwał. Zato odegrała Warszawa, jak żadne inne miasto europejskie, rolę Paryża, nietylko jako zbiornik ruchu umysłowego i politycznego, nadający życiu narodowemu ton i siłę, ale i jej ulica na wzór paryskiej zmiotła Moskali a zdrajców samosądem wieszała. Wojskom republikańskim francuskim odpowiadałoby nasze narodowe, tylko nie były mu dane zwycięstwa tamtego, bo brakło wyszkolonego żołnierza i zdolnych wodzów, a olbrzymia przewaga wrogów, otaczających Polskę zewsząd, udaremniała wysiłki improwizowanej obrony. Winę niedoborów wszelkich ponosił zastój saski, który wyżarł energję narodową, opustoszył mózgi i serca, znieprawił rządzących, obezwładnił rządzonych; zato wyhodowały czasy Stanisławowskie pokolenie, które mimo utraty państwowości ocaliło naród i rzuciło niewzruszoną podstawę dla przyszłego rozwoju.

Czasy saskie zakończyły się rokiem 1763, lecz ich wpływ przetrwał lat dziesiątki. Dowodziły jego żywotności dawna nie-

tolerancja, zawarowanie wszelkich praw politycznych samej szlachcie, niedopuszczanie do nich mieszczaństwa, poddaństwo chłopa, a potworną zgniliznę moralną wywiodła na oczy zdumionej Europy obojętność, z jaką pierwszy podział przyjęto. Zamiast wybuchnąć zgrozą i oburzeniem, pocieszano się, że nie dano żadnego powodu, że liczono na dogmat równowagi europejskiej (ależ właśnie w jej imię dokonano podziału!) i nie mógł się Mably w Krakowie u Mniszcha r. 1776 dość nadziwić, że gdy on o rozbiorze i rabunku gorączkowo myślał, jego spółbiesiadnicy spokojnie nad handlem, żydami i fabrykami się rozwodzili. Już za Sasów przecież przyzwyczajono się do cierpliwego znoszenia gwałtów obcych, gdy Rosjanie czy Prusacy śród najgłębszego pokoju kraj łupili; już za czasów saskich zapomniano o godności narodowej i spoufalono się z myślą «pokornej submisji» dla uniknięcia «opresji». Bróździła więc przez cały dalszy ciąg epoka saska, aż jak Samson zagrzebała się we wspólnej z przeciwnikiem ruinie.

Zapowiadał się nowy wiek reformą podjętą przez Czartoryskich pod opieką rosyjską, ale już na sejmie r. 1766 przegrali sprawę Czartoryscy i król. Zawiodła ich Rosja; jej, a nierównie więcej Prusom zależało na utrzymaniu nierządu, więc za inicjatywą Fryderyka II odmówiła Rosja poparcia reformie i wzniecila przeciw reformie konfederację (radomską), ale i tę natychmiast zdradziła, bo zmusiła ją na sejmie traktatowym r. 1768 do zatwierdzenia tego właśnie, przeciw czemu się zawiązała, t. j. do równouprawnienia dysydentów. Na razie przebrała się miarka uległości; naród szlachecki zerwał się do korda w obronie nierozłącznej wiary i wolności, najpierw w Barze, potem wzdłuż i wszerz Rzeczypospolitej. Ten ruch partyzancki, nigdy i nigdzie nieskupiony, gasł powoli, bo brakowało uznanego powszechnie wodza, bo zemścił się teraz ów złoty pokój saski, za którego naród odwykł od wojny. Drobne stosunkowo siły rosyjskiego doświadczonego żołnierza gnębiły zawsze hufy, włada-

jące tylko szablą i koniem, nieobeznane z nową bronią i taktyką, niesforne, więc pierzchliwe. Partyzantka przeciągała się jednak przez trzy lata, zniszczyła kraj i dostarczyła pozoru Fryderykowi II i Józefowi, którzy się wbrew interesom rosyjskim na rozbiór zgodzili; rozbiorowi w Polsce nikt się nie opierał, przyjęto go z jakimś fatalizmem wschodnim i sejm delegacyjny go zatwierdził. W znacznie uszczuplonem państwie rządził przez następnych lat piętnaście prokonsul rosyjski, ale w ciągu tej doby o jednolitej orjentacji politycznej, a pokoju głębokim, tworzyła się nowa Polska, poprawiały stosunki ekonomiczne, stan miast, miejscami nawet los chłopa; ginęły przesądy staroszlacheckie, skoro przemysł i handel już nie kalały szlachty, a z przesądami zginął i fanatyzm religijny; tak wychowywało się nowe pokolenie w nowym duchu przez literaturę i szkołę narodową, przy wpływach i wzorach francuskich.

Na widownię wstępowali powoli ludzie, u których zbudziło się poczucie obywatelskości, pojęcie ojczyzny, uszanowanie człowieka, pragnienie niezawisłości, wstręt przeciw Rosji i jej służalcom; byli przekonani o nieuchronnej potrzebie nowego ustroju Rzeczypospolitej, jeśli miano się uwolnić od upokarzającego nadzoru, jeśli chciano czuć się panem w domu własnym. Dlatego należało zerwać z protekcją rosyjską, a ponieważ o własnych siłach nie tuszono rychłego zrzucenia kajdan, skorzystano z wojny rosyjsko-tureckiej, obrawszy innego protektora-sprzymierzeńca, króla pruskiego, jakby to ze zmianą panującego odmieniła się zaborcza polityka pruska. Zbyt porywczo spalono mosty za sobą, nie zważając na przestrogi króla i prymasa, którzy, jak i wielu obcych, przejrzeli grę pruską; ale słaby król dał się wkońcu porwać popularnemu prądowi, prymas opuścił Polskę. Zburzono, co gwarancja rosyjska utrwalała, nierząd saski i Radę Nieustającą, zamachem stanu narzucono krajowi nowożytną konstytucję w dzień trzeciego maja 1791 r. Ale konstytucją nie pozyskano nawet całego narodu, a obrażono śmiertel-

nie mściwą Katarzynę II; wstecznicy, zawzięci wrogowie króla i konstytucji, wtargnęli z wojskami rosyjskiemi, za któremi i pruskie wkroczyły; opór wojska złamano po niedługiej kampanji za przyczyną króla. Zawód był podwójny, bo król pruski zamiast Rzeczypospolitej bronić, złupił ją, a Rosja również złamała przyrzeczenie nienaruszalności granic i zadrwiła tak samo z Szczęsnego Potockiego, jak przed trzydziestu laty z Karola Radziwiłła. Drugi podział rozegrał się tylko między Rosją i Prusami, a uszczuplił Polskę do 4 miljonów mieszkańców, poddanych wieczyście Rosji, co sejm grodzieński potwierdził. Uchodźcy przed Targowicą i Rosją i wojsko zredukowane, parli do powstania, zaczętego w Krakowie, a dokonanego świetnie w Warszawie i Wilnie. Naczelnik zorganizował obronę, od Warszawy odbił Prusaków, ale uległ przemocy rosyjskiej; klęska maciejowicka, rzeź Pragi i kapitulacja Warszawy były wstępem do trzeciego rozbioru; do niego stanęła i Austrja, która pierwszy wywołała; Stanisław August podpisał abdykację, wywieziony na Grodno do Petersburga, gdzie r. 1798 umarł. Los Polski zdawał się rozstrzygniętym na zawsze; tylko emigracja, zasilana coraz nowymi wychodźcami, nie złożyła broni, nie uznała bezprawia i rozboju, licząc na republikę francuską i z jej losami własne sprzęgając. Tak upadło państwo polskie po dziewięciu wiekach istnienia, nie wskutek nierządu — z tego wydobyło się właśnie 3 maja 1791 r., lecz wskutek zdrady i przemocy obcej.

Ramy kultury polskiej obejmowały całość Polski, niegdyś ściśle etnograficznej, a od XIV wieku i większej, politycznej; po roku 1773 zwęziły się znacznie. Utraciła przecież Polska z dawnych 732.000 kilometrów kwadratowych i 11 miljonów mieszkańców przez pierwszy rozbiór około półpięta miljona mieszkańców, a 210.000 klm. kw.; lwia część, 2,650.000, dostała się Austrji pod pozorem całkiem zbutwiałych od wieków, teraz nowo wskrzeszonych nazw Galicji jakiejś i równie fantastycznej Lodomerji, węgierskich niby nabytków; połowę, 1,300.000, «pri-

sojediniła» Rosja tytułem awulsów od dziedziny Rurykowej; mniej niż czwartą część, około 600.000, Prusy, wciskając się nad Noteć. Pierwsze ośmiolecie doby Stanisławowej to jeszcze cała dawna Polska, lecz zawichrzona nieustannemi walkami; w następnem dwudziestoleciu dojrzewała reforma, która już nie objęła owych odpadłych od pnia półpięta miljonów i nie rozciągały się na nie ani owocna praca Komisji Edukacji Narodowej, ani ów ład jaki taki, wprowadzony w administrację i skarbowość przez Radę Nieustającą; wciągnięto ich już w obce orbity, chociaż rysy ich dawnego, własnego życia polskiego nie odrazu, nie wszędzie się zacierały.

DWA POKOLENIA

Co za Sasów się zapowiadało, teraz ujrzało świat: rozbrat między starem a nowem pokoleniem; między oświeconą warstwą wierzchnią, a tłumem szlacheckim, brnącym w dawnych przesądach wyznaniowych i stanowych; między sfrancuziałymi europejczykami, nieraz wcale amoralnymi, a sarmatami tradycyjnymi, nieraz równie wątpliwej wartości moralnej. Arystokracja należała z rzadkiemi wyjątkami już od Sasów do warstwy pierwszej, chociaż duma rodowa polecała dla własnych celów podszywać się i pod hasła sarmackiego nierządu. Średnia szlachta stawała w obu obozach, gdy niższa, szczególnie zagonowa, dawnym tradycjom i nadal hołdowała. Śród mieszczan przybywało coraz jednostek, górujących duchem i wykształceniem nad poziomem tłumów miejskich borykających się z własną nieporadnością i bezprawnością, z ubóstwem i poniżeniem, z żydami i starostami. Los chłopa w niczem się nie odmienił, chociaż nad nim biadało wielu, nawet nieszczególnych obrońców zasad humanitarnych, jak Sułkowski lub Massalski.

Jednolity do niedawna naród szlachecki uległ rozdwojeniu, zupełnemu na zewnątrz, uwydatnionemu samym strojem i try-

bem życiowym, porywającemu i płeć piękną, tę może nawet ogólniej i silniej. Wewnętrznie nie przenikała na razie zbyt głęboko reforma, bo z nielicznemi wyjątkami nie odmieniał sfrancuziały Polak dawnej natury. Wykarmiony raczej niż wychowany, wydany nieraz za młodu na łup wszelakim, głównie francuskim, przybłędom i nicponiom, dokształcony na podróżach, z Paryżem jako celem głównym, łączył w kraju szych paryski a czasem i libertynizm-niewiarę z sarmackiem próżniactwem, marnotrawstwem, zepsuciem obyczajowem (ideał tego typu, to szambelan królewski a obłudnik polski Trembecki); przenikliwe oko cudzoziemca nie dawało się łudzić pozorami. Zczasem dopiero przeistaczała reforma obyczajowa ludzi istotnie; po frakach i perukach Rady Nieustającej i jej bardzo postępowych członków jak Poniński, Sułkowski, Massalski, wrócili «patrjoci» do stroju narodowego, który więc nie rozstrzygał wcale o duchu i wartości osoby. Zwarty gmin szlachecki odwykał powoli od zawisłości od magnatów, od wiary w zbawienność szkoły jezuickiej i przywilejów stanowych; szczególniej w województwach litewskich i wschodnich wzdychano za dawnym nierządem, spoglądano nieufnie na konstytucję Trzeciego Maja, a później na Księstwo Warszawskie, które chłopu wolność nadało, i godzono się na rządy rosyjskie, które poddaństwo jego nadal zabezpieczały. Tak żłobiła się różnica między Wschodem a Zachodem; razili w Warszawie Litwini nietylko rękawicami łosiowemi, zatknionemi u pasa, ale i mową i zachowaniem, gdy oni znowu na fircyków i wietrzników koronnych nieco zgóry patrzyli. Dokonywał się rozłam między stolicą a prowincją; na prowincji ocalał nietylko sarmatyzm przesądny, ale i dobra tradycja życia skromnego, oszczędnego, ciułania grosza i zasobów, życia rodzinnego z jego obowiązującemi nakazami, odżegnywania się od niepożądanych wpływów obcych. W jednem zgadzały się oba obozy: w gonitwie za groszem; Francuz trwonił go na zbytki i karty; Sarmata dusił go w skrzyni albo wyrzucał na psy i konie, służbę i pija-

tykę, procesy i zwady; Francuz bogacił tylko obcych, Sarmata adwokatów i żydów; *auri sacra fames* wiodła obu do kas obcych poselstw. Były szlachetne wyjątki tu i tam, ale przeważał typ ludzi, biorących bez skrupułów zbytnich, co i jak się dało; względy materjalne przeważały nad moralnemi, zawsze w związkach małżeńskich, często w sprawach sądowych i politycznych w sposób gorszący; do dawnych saskich pamiętników Matuszewicza dostroiły się pamiętniki Duklana Ochockiego, świadczące o równie naiwnej amoralności. Skąpiono dalej dla państwa grosza, aby go wróg dla siebie dziesięciokrotnie wyciskał. Zdemoralizowanie saskie nie dało się łatwo usunąć; w ustach głoszono ojczyznę i cnoty rzymskie, w czynach je zdradzano. Ale narastało inne pokolenie, z szkoły kadeckiej i z szkół Komisji, z innemi pojęciami o ojczyźnie i honorze; do niego należała przyszłość; ono wywiodło naród z jednostronnego materjalizmu, cechującego cały wiek ośmnasty, godzącego się znakomicie z jego bożyszczami, z racjonalizmem i z *ratio status*, uprawniającą wszelkie bezprawia.

KRÓL I DWÓR

Uosobieniem pokolenia, dojrzewającego około połowy wieku, jego oświaty i obyczajów, jego miękkości i chwiejności, jego epikureizmu i feminizmu, był król, pojętny wychowanek Paryża (salonu literackiego «mamy» Geoffrin) i Londynu, pełen najlepszych chęci i najmądrzejszych pomysłów, wolny od wszelkich nałogów i przesądów pospolitych. Ambitny jak matka (Czartoryska), czarujący wymową i obejściem, ludzki i miłosierny kierował z nadzwyczajną zręcznością i stałością (jedyną, jaką okazywał) kruchą łódką panowania, napiętnowanego zgóry jego nierodowitością i wstrętną marką rosyjską, pomiędzy Scyllą niepopularności szlacheckiej a Charybdą nienawiści magnackiej.

Miłośnik i znawca niepośledni języków [1] i literatur, nauki i sztuk pięknych, teatru i baletu, biadał nad kulturalnemi i ekonomicznemi niedoborami kraju i przykładał się sam albo zachęcał i wspierał ile sił innych do stworzenia «nowej Polski» (tego wyrazu sam używał), do podniesienia oświaty, dobrobytu, smaku, do tępienia przesądów, zastoju, anarchji w głowach a nieczułości w sercach. Mimo wszelakich zawodów pracował nieznużenie, nie pilnując coprawda szczegółów, zdając się na innych, ale wszędzie inicjatywa do wszystkiego dodatniego od niego wychodziła, czy gdy u wstępu panowania ludwisarnię założył, monetę poprawił, szkołę kadecką stworzył, manufaktury zakładał, dyplomatyczną służbę urządzał, [2] czy w dalszym ciągu

[1] Mówił nawet świetnie po niemiecku i zdziwił się niepomału baron Heyking, słysząc jego nieprzygotowaną przemowę w tym języku.

[2] Gdy państwa ościenne, nawet daleka Anglja, dla handlu gdańskiego, posłów albo rezydentów, nieraz i dwu w Warszawie utrzymywały, nie znała Rzeczpospolita żadnego przedstawicielstwa, żadnej szkoły czy tradycji dyplomatycznej; zadowalano się wysyłaniem nadzwyczajnych poselstw dla układów pokojowych lub dla notyfikacji śmierci i wyboru króla. Obaj Augustowie nie prowadzili polityki polskiej, więc i dyplomatów polskich nie potrzebowali; sami posługiwali się służbą własnych agentów; z tych Essen przez pół wieku o sprawach polskich Drezno w duchu nie najprzychylniejszym dla Polski informował; jego depesze zawierają cenne, acz jednostronne uwagi. Czartoryscy a później król myśleli o naprawie; rada senacka uchwaliła r. 1766 kilku rezydentów, nawet do Danji; skończyło się na niczem z braku funduszów i ludzi; najmowano później obcych, szczególnie Włochów; od nich roiło się w kancelarji królewskiej i śród rezydentów, np. w Petersburgu Deboli, który bystrością się nie odznaczał i uporne milczenie carowej najgorzej tłumaczył. Właściwie dopiero Sejm Wielki ponaznaczał posłów i rezydentów, poniewczasie i mało zdolnych (umieli reprezentować, ale na tem się kończyło), bo brakło im szkoły; kanclerz tak autorytatywny jak Michał Czartoryski, impertynencjami dla braku rutyny nadrabiał. Król urządził rychło i dla celów handlowych w Konstantynopolu szkołę, ale brak funduszów i uczniów dawał się coraz odczuwać. W najkrytyczniejszej swej dobie nie wiedziała Rzeczpospolita o tem, co się święciło, więc i przeciwdziałać nie umiała; zagranicą o pierw-

uczonych i literatów u siebie zbierał i im cele pracy wytykał, a środków dostarczał. Myśl teatru narodowego on poparł; plan Komisji Edukacyjnej sam rozwinął; fabryk coraz próbował; wszelkim poczynaniom kulturalnym chętnie pomagał. Kolekcjoner zapalony, nie liczył się trwożliwie z funduszami; nietylko jego praca kulturalna, ale i nadmierna szczodrobliwość na wsze strony, a szczególniej dla rodziny pochłaniała krocie; zadłużał się jak typowy panicz polski, a cierpiała na tem stale jego powaga. Byłby z niego znakomity marszałek dworu albo mistrz ceremonji; królewską rolę odgrywał świetnie, acz nie bez teatralnego patosu, rażącego Józefa II, nie zawsze też utrzymał się na jej poziomie jako polityk i człowiek.[1] Mimo wszystko od

---

szym rozbiorze już wróble na dachach świergotały, a w Warszawie i Cieszynie niczego się nie domyślano. Ale i ta nauka poszła jak każda inna w las; utrzymywał potem Stanisław August tylko agentów najmarniejszych. Z Debolego kpiono w Petersburgu (Stackelberg twierdził, że depesze Debolego jak dzieci jego żony martwe na świat wychodzą); Corticelli w Wiedniu, to syn winiarza!, a Józef II pytał, czy nie miał Stanisław mu kogo innego posłać niż swego stręczyciela?; podobny Zabłocki w Berlinie: wszyscy oni poza przedpokoje i lokajów nie docierali. Nie dziwić się więc naiwności naszych polityków «patrjotycznych»; wierzyli ślepo Lucchesiniemu, który już samą postacią zdradzał «czarny charakter», jaki obcy natychmiast przejrzeli. Baron Heyking napisał dla pani Unruh *proverbe* i ugodził w Lucchesiniego; hrabina powiada u niego do włoskiego kompozytora: *mais cette musique n'ira pas aux paroles;* na to Włoch: *que nous font les paroles? nous autres Italiens nous ne sommes pas esclaves della parola;* król i dwór, a Lucchesini pierwszy, zrozumieli, w kogo baron mierzył, Lucchesini bił brawo i «Tulipano» (tak go przezywał Stackelberg wedle włoskiej operetki) gratulował autorowi. Podczas audjencji pożegnalnej Lucchesiniego u króla dawały działa rosyjskie salwy; król zwrócił mu na to uwagę, on tylko ramionami ścisnął — tak się skończyło przymierze pruskie «patrjotów»; stały ambasador polski w Berlinie a poważny nie byłby wpadł w podobną pułapkę, ale go nigdy nie było. Poselstwo Potockiego do Turcji r. 1791 krocie kosztowało, a wynik, zero; poseł do Danji czy Hiszpanji był równie zbyteczny i t. d.

[1] Jako polityk mógł o sobie powtarzać: *video meliora proboque,*

czasów Wielkiego Kazimierza nie miała Polska króla, któryby jak on na wszystkich polach kultury wszechstronną a owocną rozwinął czynność; i on mógłby o sobie powiedzieć, że zastał Polskę barbarzyńską a opuszczał oświeconą.

Nie był wyjątkiem; byli obok niego podobni, np. kuzyn Adam Czartoryski, mniej zdolny i wszechstronny, o tej samej kulturze artystycznej i obyczajowej, miłośnik i znawca sztuk pięknych, szczególniej teatru, kolekcjoner niepośledni, gorący w duszy patrjota, na oko zbyt krępowany wszelakiemi względami (austrjackiemi); Ignacy Potocki, najczynniejszy i jako członek Komisji Edukacyjnej i jako spółtwórca Konstytucji 3-go Maja, nieustraszony jej obrońca, a poświęcający się ofiarnie za Warszawę i Polskę. Dalej cały sztab, otaczający króla, dwór jego. Ten dwór był całkiem nowym nabytkiem. Nie było tradycji dworskiej ani politycznej, jako w państwie elekcyjnem, od r. 1648, za doby ciągłych wojen, tułaczki i abdykacji Jana Kazimierza,

---

deteriora sequor, a jako człowiek z Henrykiem Rzewuskim oddawałby chętnie wszystkich braci, aby nie mieć żadnych sióstr. Własną motylomanję opłacał szturmami opuszczonych bogdanek do kieszeni jego, albo ich mściwą nienawiścią; najbardziej zawiódł się na ukochanej Zosi-Katarzynie, która sama najniestalsza i od wszelkich sentymentów wolna, «niewdzięczność» jego wyrafinowaną zemstą odwetowała: gdy się po dwudziestukilku latach w Kaniowie spotkali, nie obudziło się nic z dawnych uczuć, odmienili się oboje, król wcześnie posiwiały i blady, więcej niż carowa, śmieszna już raczej niż majestatyczna. Stanisław był nader próżny, więc zaraz w początku panowania (r. 1765) drugi order, 'Św. Stanisława', wprowadził i nim jeszcze więcej niż 'Orłem Białym' szafował; dawano go naturalnie tylko szlachcie (czteroherbowej), która nań była bardzo łasa; na wstędze ponsowej z białym brzegiem wisiał krzyż u boku, a na piersi była gwiazda przyszyta z napisem: *Praemiando incitat.* Każdy orderowiec płacił rocznie 4 dukaty na szpital Dzieciątka Jezus (zob. niżej). Przy końcu panowania ustanowił król za kampanję 1792 r. krzyż *Virtuti militari;* rozdawał medale ks. Józef, a rozgniewano się w Petersburgu na Sieversa, że ich nie kazał złożyć. Ordery polskie wskrzesił Napoleon dla Księstwa r. 1807; zatrzymał Aleksander.

nie wprowadził jej też Sobieski, żyjący raczej jako szlachcic w swoim Wilanowie niż jako król w Warszawie, a w polityce krępowany przez jawnych zdrajców-magnatów. Tem mniej tworzyli ją Sasi; August II marzył o Wersalu, ale w Dreźnie, nie w Warszawie; August III nie marzył o niczem, obojętny dla kraju, co mu równą płacił obojętnością, nie ruszywszy ani palcem, by pomścić krzywdę, wyrządzoną królowi własnemu, by zapobiec katastrofie, co króla z jego gniazda wypłoszyła; ba, więcej Polaków służyło między bośniakami Fryderyka, niż u Sasa. Takim sposobem nie było przez wiek zgórą mowy o jakim dworze, coby swym wpływem kraj przenikał, narzucał się obywatelstwu, skupiał siły umysłowe i elitę towarzyską, a tak samo nie było żadnej celowej, jednolitej polityki; zamiast jednego środowiska kulturalnego i politycznego było ich kilkanaście po rezydencjach wielkopańskich, w Białymstoku, w Wołczynie, w Nieświeżu, u Potockich i t. d. Dopiero za staraniem króla-Piasta utworzył się dwór iście królewski,[1] który wprawdzie nie

[1] Dwór króla niskiego rodu, którego inni królowie nie uznawali, albo o pozowanie-aktorstwo pomawiali, liczył około 400 osób, ale r. 1792 już blask dawny stracił, Sievers go o ubóstwo pomawiał; mimo to jeszcze w Grodnie, po abdykacji, gdy mniejsza połowa dworu w Warszawie pozostała, wyliczał paź Sagatyński na całej stronicy około 160 sób, stanowiących dwór (paziów było ośmiu, dawniej 12 czy 24; bez płacy, ale na zupełnem utrzymaniu królewskiem). Wśród służby było wielu obcych, kamerdynerami byli Francuzi (między nimi Ryx, wypromowany na starostę piaseczyńskiego); kucharzem jak Tremau nie mógł się nawet carski dwór poszczycić. Król dbał o swoich ludzi nierównie więcej niż magnaci o swoich; odpłacano mu nieraz niewdzięcznością; tak Friese np., który wygryzł w Grodnie marszałka dworu Kickiego, był agentem rosyjskim. I w Grodnie zatrzymał Stanisław dawne obiady marszałkowskie, gdzie ugaszczał licznie zapraszanych; dobroci jego i rozrzutności ciągle nadużywano; stąd stały niedobór w jego kasie, który wlókł się za nim jak łańcuch u nóg aż do zgonu; mocarstwa rozbiorcze musiały i długi królewskie, 40 miljonów złp., między siebie rozebrać. Dochody i wydatki tej beczki Danaidów przedstawił starannie Korzon w trzecim tomie; sejm płacił nieraz stare

zniósł owych partykularnych, trwających i nadal, mimo to zbierał ludzi nauki i sztuki, dostarczał im środków a nadawał ton społeczeństwu, dostrajającemu się do dworu i Warszawy; po raz pierwszy powstało wybitne środowisko rządowe i towarzyskie. Dwór był zupełnie europejski, nie brakło śród sekretarzy obcych (Niemiec Friese, przeróżni Włosi).

Obok króla i dworu stał liczny zastęp wychowanków Zachodu, August Sułkowski (projektowicz), Poniński, Massalski, inni członkowie Rady Nieustającej (np. podkanclerzy lit., angloman Chreptowicz), goście obiadów czwartkowych, które od 2—6 godziny trwały, uczeni i literaci, zasłużeni wojskowi, jak jenerał Komarzewski i generał artylerji Brühl. Byli to bądź rówieśnicy króla (Czartoryski, Sułkowski, Massalski, Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, Chreptowicz, Tyzenhaus, Ogrodzki, Oraczewski, Kołłątaj, kasztelan Jezierski i in.), bądź młodsi (Ignacy i Jan Potoccy, Kazimierz Sapieha, Staszyc, ksiądz Jezierski, Zabłocki, Węgierski, Niemcewicz, Weyssenhof i in.). Francuzi to przeważnie, czy się z tem narzucali, czy kryli; król pisał rachunki osobiste jak i pamiętniki po francusku; do polskiej *Myszeidy* układał Krasicki plan po francusku; Komisja Edukacyjna zalecała tylko podręczniki francuskie; Niemcewicz tłumaczył romanse francuskie. Ze strojem i mową francuskiemi przywdziewali obyczaje i myśli, ton, grzeczność i uczuciowość paryskie; król sam ani pijał ani grywał, również Czartoryski, Krasicki i inni. Smak dobry, takt i salonowość, patrjotyzm, nieraz może zbyt umiarkowany, chłodny, humanitarność, brak przesądów wyznaniowych i stanowych, pogarda wszelkiem barbarzyństwem dawnem, uczucie wyższości towarzyskiej bez chełpienia się nią, wstręt wobec zacofania ogólnego i gorąca chęć wydobycia się

długi, ale coraz przybywało nowych, chociaż «lista cywilna» była znaczna, około 7 miljonów złp.; gdy król cztery bogate starostwa (po 10.000 dukatów rocznego dochodu) otrzymał, darował je natychmiast rodzinie i Ksaweremu Branickiemu.

z niego, oto wyznanie wiary starszego i młodszego pokolenia, otaczających króla ludzi postępowych, przeważających wkońcu śród warstwy przodującej, niezbyt licznych niestety śród tłumów.

MAGNACI I SZLACHTA

Mogła się szlachta dzielić politycznie na stronnictwa królewskie, patrjotyczne, hetmańskie, saskie, kulturalnie natomiast rozstrzygała przynależność do francuszczyzny czy do sarmatyzmu, chociaż i pod modą francuską mógł się kryć saski duch zastoju, przesądu, prywaty, mianowicie śród magnatów. Wychowani (mniej lub więcej), grzeczni, humanitarni nie wyzbyli się zaślepienia, sobkostwa, obojętności dla ojczyzny, jak za najgłębszego mroku saskiego. Pojęcie ojczyzny było im obce, uznawali tylko obecny stan posiadania dla nich tak wygodny i potępiali wszystko, coby mu groziło, stąd ich nienawiść przeciw Czartoryskim jak przeciw konstytucji majowej, dziedziczności tronu, zniesieniu *liberum veto,* stąd ich brak godności narodowej. Istotny ich «sarmatyzm» godził się z najwykwintniejszą francuszczyzną; tacy postępowcy, jak August Sułkowski lub biskup Massalski łupili ojczyznę, a płaszczyli się przed Stackelbergiem gorzej niż najdzikszy sarmata. «Niech djabli wezmą Rzeczpospolitą, jeśli mnie w niej niedobrze», ta zasada (starego Przebendowskiego) obowiązywała przez całe stulecie, a «mieć się dobrze» znaczyło bezkarnie Polskę obdzierać; przecież i podskarbiowie umieli zrywać sejmy, żeby nie potrzebowali zdawać rachunków. Olbrzymie środki zawdzięczali Lubomirscy, Potoccy i t. d. nadzwyczajnemu wzrostowi wartości ziemi; już zaczęli też magnaci przenosić się na Ukrainę (pierwszy Potocki do Tulczyna) i tworzyć silne ośrodki polszczyzny na Podolu i Ukrainie; polityki tradycyjnej nie piastowali; główna linja Potockich, wroga Rosji w pierwszej połowie wieku, była jej za Szczęsnego ślepo oddana; zresztą cechowały magnatów bezdenna naiwność

polityczna, brak wszelkiej przezorności, mściwość zaślepiona i buta bezmierna. Czas trawili bezczynnie, w czem im (jak i w innych niestety objawach) król sam przyświecał, niby cały dzień pilnie zajęty, w istocie mało czynny, bo ślęczenie nad krojami i barwami mundurów obywatelskich i in., mieszanie się w sprawy familijne, godzenie małżonków zwaśnionych, ułatwianie rozwodów, nie rzecz panującego. Wszelkie uroczystości rodzinne obchodzili z nadzwyczajnym blaskiem; ale i król świetnie się bawił, w pierwsze lata panowania urządzając moc festynów i balów.

Króla zwalczała arystokracja, nie mogąca się pogodzić z myślą, że korona dostała się Ciołkowi, synowi parwenjusza-ekonomczuka; zwalczali go hetmani w imię odwiecznej tradycji i naruszonej samowładzy; zwalczały mściwe nad wyraz panie, nie mogące mu płochości wybaczyć, bo dopiero pani Grabowska, acz urodą wcale nie celowała, ospowata i zgarbiona, niby polska pani Maintenon, z rączek go nie wypuściła. Arystokracja stanisławowska, to zupełny zmierzch arystokracji polskiej; dbała tylko o starostwa, o tytuły (książęce i hrabiowskie; co się tego r. 1775 namnożyło, Sapiehowie, Ponińscy, Sułkowscy i t. d., przedtem Jabłonowscy, Poniatowscy), o ordery; płaszczyła się zawsze przed Rosją, a czasem i przed Wiedniem; najwybitniejszą cechą była zarozumiałość bez granic nawet u tych, co się z szlachtą kumali (Karol Radziwiłł, Ksawery Branicki, Kazimierz Sapieha), a u królika Rusi (Franciszka Potockiego, ojca Szczęsnego), albo u wojewody nowogrodzkiego Józefa Jabłonowskiego śmieszne przybierała rozmiary, co nie przeszkadzało, żeby jedynak Józefów zupełnie nie schłopiał (skozaczał), jak i starosta kaniowski, osławiony bazyljanin wkońcu. Byli gotowi do każdej samowoli (arcybiskup lwowski wyklął o to starostę kaniowskiego) i wynosili się z «Galicji», gdy rząd austrjacki ją nieco ukracał (tak wyzbył się Szczęsny Potocki Krystynopola!); wyradzali się jawnie, najznaczniejsi, Karol Radziwiłł i Szczęsny

Potocki byli tępego umysłu, ofiary potwornego wychowania (a raczej braku wszelkiego); młody Massalski, bratanek biskupa, był zupełnym kretynem. Były świetne wyjątki; obaj starzy Czartoryscy, jedyni w Warszawie, przed którymi godziło się uchylić kapelusza (wedle Salderna); Andrzej Zamoyski, który kanclerstwo z powodu Moskwy rzucił, ale przeważali jawni szkodnicy, jak Ksawery Branicki (żmija wypiastowana na łonie króla), Seweryn Rzewuski, Marcin Lubomirski, Szczęsny Potocki.[1] Za-

[1] Magnaci i ci co się pod nich podszywali, jak Sułkowscy, Poniński, Massalski i inna szuja, zaważyli ciężko na losach Rzeczypospolitej, mniej na jej obyczajowości, stanowiąc raczej wyjątek, przedstawiając obrazy śmieszno-groteskowe (Massalski!), albo tragiczno-ponure; bez dumy rodowej byliby nieraz ścierkami, nie ludźmi. Taki Franciszek Potocki posiadał tuzin starostw, niegodny ani jednego, zato był w Krystynopolu królem samowładnym, odciągnął od Marji Teresy jej lekarza nadwornego (Hirnesa), na czem chyba zarobił, bo roiło się w Krystynopolu od pacjentów garnących się do Hirnesa; szlachty-gości nie wpuszczał, jak i inni, na podwórze, goście musieli wysiadać zdaleka; Józef Jablonowski nawet djabłów nauczył szanować jego osobę; na św. Józef gościł szlachtę (i żonę) w sali, ale sam jadł w gabinecie, aby się z hołotą nie mieszać i tylko podczas toastu na chwilkę drzwi rozchylał. U Radziwiłłów chłopów za niedopilnowanie obławy wieszano; oficerów milicji rozstrzeliwano; jęki więzionych były dla Hieronima muzyką, a Marcin miał destylować zwłoki dzieciąt-bastardów własnych; Marcin Lubomirski był bandytą wierutnym. Pamiętnik anegdotyczny, wydany przez Kraszewskiego 1868 r., z którego nasi pisarze (np. Łoziński w *Pierwszych Galicjanach* i inni) pełną ręką czerpali, dostarcza i innych szczegółów, ale autor-Wołyniak (Cieszkowski) taką był przejęty czcią dla magnatów, że o istotnych skandalach (np. o Mniszchowej-Potockiej i in.) milczał. Por. fejletony Kaz. Bartoszewicza, zebrane w *Radziwiłłach* (r. 1928), albo Czartkowskiego *Pan na Tulczynie* (r. 1925): wypisy to z wszelakich pamiętników (aż do Bobrowskiego), ale ich autentyczność nieraz podejrzana. Nie mogliż zaważyć w obyczajowości polskiej panowie, co od dzieciństwa po francusku szwargotali, a polskiego, niby języka cudzoziemskiego, dopiero później się uczyli i nim poprawnie nie władali, jak Mniszchowie albo Sułkowscy, których dwór dukielski czy rydzyński był przeważnie niemieckim; Rosjanie gardzili też, i słusznie, magnaterją polską («zdradzali

sunięte w cień łożnic pracowały tem usilniej panie; rozum był przy kądzieli i kobiety rządziły, — twierdził Fryderyk II — gdy mężowie pili; konfederację barską babską przezywano. Kronika skandaliczna o paniach niewyczerpana, np. o podkomorzynie «za dnia krzemienieckiej, w nocy koronnej»; wiele w tem prostych plotek, ale sprężynami akcji wodziły ich rączki, a obyczajami i rozrzutnością zakrawały nieraz na Messaliny. Jak jędze Makbetowe prześladowały króla: Lubomirska, która zięciów Potockich przeciw niemu poduszczała; Kossakowska («praczka Potockich», t. j. ich długów), dla złośliwego języka postrach nietylko Warszawy, ale i Lwowa austrjackiego i becyrkshauptmanów stanisławowskich, a zresztą ajentka rosyjska. Jedne, jak Lubomirska i Kossakowska, zstępowały nieprzejednane do grobu, inne, jak generałowa podolska, odkrywały serce patrjotyczne i odcinały pierwszą połowę życia jako wstrętną. Górowały nad mężczyznami energją i inteligencją, marnowaną na cele nieraz mizerne, jak i majątki rodowe. Były i między niemi zacne wyjątki, szanowane matrony (Anna Jabłonowska w Siemiatyczach urządzała swe «państwo» wzorowo), ale przeważał typ intrygantek, o obyczajowości tak wiotkiej, jak ich stroje grodzieńskie, co zakrywając niby obnażały ich wdzięki.

Wysokie duchowieństwo naśladowało najgorszych magna-

---

dawną ojczyznę, aby potem nową zdradzać — córki ich zdradzały tylko mężów», kpił donosczyk Wigel, a Saldern o Gurowskim prawił: jedną ręką podawać sakiewkę z dukatami, a drugą bić po twarzy); najniesłuszniej przenosili te uczucia i na naród cały; jeszcze ich wielcy pisarze żywili podobną przeciw nam niechęć. Najpocieszniejsze wizerunki mniejszych, ale nie mniej dumnych panów-oryginałów można znaleźć u Koźmiana (np. o punktualnym Steckim; o manjaku-francuzie Prażmowskim, gospodarującym z książek francuskich i t. d.), albo u Ochockiego (wojewoda Stempkowski w Łabuniu, wydający miljon złp. na ugoszczenie króla; Poniński na kontraktach dubieńskich i t. d.). Czasy Stanisławowe, to przepaść, co pochłonęła zasoby moralne a nieraz i materjalne magnaterji polskiej; nigdy ona tak nisko nie upadła i słusznie ojców wstydziły się dzieci.

tów. Prymasi Podoski i Ostrowski, kanclerz-biskup Młodziejowski, biskup wileński Massalski, inflancki Kossakowski, kamieniecki Sierakowski i in., albo prześcignęli albo dorównali co najmniej Sułkowskiemu, Ponińskiemu, Wesslowi; szuler Massalski wszystkich szulerów zostawił daleko wtyle; nawet taki Sołtyk, co gorącą wiarę Kaługą odpokutował, w przepychu, rozrywkach, marnotrawstwie wszystko prócz duchownego przypominał; inni, jak Krasicki, prymas Poniatowski, światowcy, zachowywali pozory przystojności duchownej; wzorowych duszpasterzy, jak Turski lub Okęcki, było niewielu.

Szlachta średnia piła już mało, tem zawzięciej traciła majątki na karty i kobiety, na karety i stroje, na bankiety i koncerty, na budynki i sprzęty, na myślistwo i konie, ubiegając się za obcem, pomiatając swojem. Psuła ziemian Warszawa, tryb dworski, wygody ponętne, próżność i próżniactwo, do czego od młodu nawykano, chęć zabicia czasu po pańsku, a kobiety pomagały mężom dzielnie, gardząc wszystkiem, co nie cudzoziemskie, marząc o Paryżu. Ale czem mniej się z głębokiej prowincji wychylano, tem bardziej zachowywano cechy «staropolskie», czystość obyczajów, pobożność przykładną, skromny tryb życia rodzinnego, poszanowanie tradycji, ludzkie obchodzenie się z włościanami i służbą. Zaczepiały o nich i niższe warstwy — ścisłych granic w Polsce demokratycznej nigdy nie było — i wychodziły zpośród nich dzielne jednostki, taki Kołłątaj, Kościuszko, kasztelan Jezierski (mimo przesądów staroszlacheckich), działacze Sejmu Wielkiego, Butrymowicz, Kwiatkowski i in. Ich żony zacisze domowe nie zawsze rzucały, nie cisnęły się na galerjach izby sejmowej, nie witały po salonach wieńcami i wierszami popularnych przeciwników króla i Rosji, zato utrzymywały powagę domu polskiego, zabiegliwe, gościnne, rządne, panom mężom dane na przykład.

Najniższe i najliczniejsze tłumy szlachty, od posiadaczy jednej wioski aż do gołoty-nieposesjonatów, starano się od funk-

cyj politycznych zupełnie usuwać, czego dokonała konstytucja majowa, choć noszono się z tem od dawna, chcąc uchylić przewagę magnatów, którzy tą spędzaną na brykach i ugaszczaną hołotą sejmiki zrywali. Warstwy te żyły jeszcze zupełnie po staroświecku, chwaliły Boga i służyły panom, odżegnywały się od Warszawy i nowej szkoły, wzdychały za błogiemi czasami saskiemi i jezuitami, o ojczyźnie niewiele wiedziały, ale do wojska chętnie się garnęły, nieprzepłacone w swej tężyźnie, którą obcy lepiej niż swoi oceniali; służyli i Fryderykowi II chętnie Polacy.

Tak wytworzyła się galerja typów szlacheckich, bogatsza niż kiedykolwiek indziej, w długiej linji od «Staruszkiewiczów» aż do «Fircyków», różniących się strojem i życiem, myślą i uczuciem, mową i czynem. Strój obowiązywał, przy szpadzie i kapeluszu stosowanym czy peruce miało się i głowę umeblowaną z francuska, naczytano się «filozofów», należało się do wolnomularzy, wyśmiewało nadętość, wyznawano mniej czy więcej szczerze zasady ludzkości wobec wszystkich. Król nie koronował się ani w Krakowie, ani w stroju narodowym, lecz w Warszawie i kostjumie fantastycznym *à la Henri IV;* na prowincji strój modny bywał jeszcze rzadkością i mały Ursynek spytał zdziwiony ojca, co to jest? obaczywszy gościa z francuska. Żupan i kontusz, szarawary i czapka, wąs i łeb wygolony łączyły się z reguły z pobożnością przesądną, z głębokiem uszanowaniem węzłów rodzinnych, ze czcią przodków i klejnotu, z głową opuchłą od Alwara, panegiryków i wina węgierskiego, z pogardą wszystkiego co nie szlachtą (od pludrów do chłopów i łyków), ale i z sercem prawem, słowem wiernem, trybem życiowym skromnym (inaczej niż u «letkiewiczów»), myślą poziomą, a zapatrywaniami skrajnemi, przestarzałemi zupełnie; oba typy nawzajem się nie rozumiały; na jednych spadały oskarżenia o odstępstwo, na drugich o zacofanie.

STANY. SZLACHTA

Szlachta pozostała przez całą epokę w pełni praw wyłącznych; zawarowała sobie nawet, żeby żadne wyższe godności wojskowe mieszczanom się nie dostawały, i odrzuciła z oburzeniem zbiór praw Zamoyskiego, który np. zawierał artykuł, gdyby szlachcianka wyszła za chłopa! Samą wodzili magnaci na pasku po staremu. Jeszcze uśmiechała się szlachcie dawna «krescytywa» u panów, od pazia przez pokojowca i dworzanina do marszałka, ale już malały dwory pańskie. Wprawdzie były jeszcze majątki, jakich zagranica nie znała; taki Karol Radziwiłł miał w samych królewszczyznach (nie mówiąc o olbrzymim majątku rodowym) kilkadziesiąt miasteczek i wójtostw, a około sześćset wsi; taki Szczęsny Potocki, nawet wysprzedawszy za bezcen wielkie dobra «galicyjskie», a okpiony przez Ponińskiego-bankruta, miał trzy miljony złp. rocznego dochodu; Lubomirscy, Czartoryscy, Branicki (ten królowi głównie zawdzięczał majątki) obum dorównywali. Tryb życia odpowiadał tym dostatkom; jeśli książę generał ziem podolskich wyjeżdżał, to nieskończona karawana wielbłądów, pojazdów, pajuków i hajduków zawalała gościńce. Etat Puław z r. 1793 wynosił 1,418.696 złp. (z tego procenty 460.829 zł.; pensje razem 505.666; etat osobistych wydatków zwyż 350.000 zł.); do dworu należeli murgrabia, 6 froterów, czterej majtkowie, 3 kamerdynerów, szatny, laufer, strzelec, huzar, klawicymbalista, lokajów 6, hajduków 4, przy kredensie 6, w cukierni 3, przy piwnicy 5, w kawiarni Nigrini i 1 majtek, przy kuchni 20 (pasztetnicy, pieczysty, szafarze itd.). Do pierwszego stołu pańskiego siadały 32 osoby (z tych przeciętnie 7 gości lub przyjaciół), do garderobianego 21, do dziewczęcego 8, stół ludzi kuchennych 14, lazaret 5, porcje mięsa w niedziele i święta dla ojców reformatów. Kuchnia kosztowała rocznie 151.887 zł. (na korzenie 12.298, na kawiarnię 8.374 i t. d.); stajnia 55.000: 28.000 na furaż, 22.429 na ludzi sta-

jennych: koniuszy, masztalerz, kozacy i t. d.; koni skarbowych 57; 8 wierzchowych księcia, 8 tarantów księżnej i t. d., zjadały 3.000 korcy owsa, 2.765 centnarów siana i t. d.[1] Nierównie okazalszy był skład dworu nieświeskiego w r. 1784, przy przyjęciu króla Stanisława, gdy ten na sejm do Grodna wyjeżdżał:[2] «Bernatowicz sekretarz; marszałek Borzęcki; dwaj koniuszowie; szatny; dwaj stanowniczowie (niby furjerzy); dworzanie (nazwisk jedenaście «i inni»); dozorcowie skarbu (co królowi «ciekawości eksplikowali») dwaj; regent kancelarji, 4 kancelarzyści; 4 archiwiści; rewizorowie (sześć nazwisk »i inni»); 5 felczerów; milicji nadwornej (artylerji, piechoty i t. d.) ludzi 2.300; w stajni było 3 podkoniuszych, masztalerzy 26, stangretów od cugów 24, forysiów 24; furmanów 15, forysiów 15; mulników 4; przy stadninie podkoniuszy, stadnik i ludzi do dozoru 15; feldszmit z kilku konowałami, siodlarz, rymarz, kowal, stelmach, każdy z kilku czeladzi; dozorców powozów 3. W teatrze Capelli baletmagister; Petynaty i Łojko tancmistrzowie; malarz 1; machinista 1; repetytor 1; baletników i baletniczek po dwudziestu kilku; w orkiestrze Albertyni kapelmagister i muzyków 44; kamerdynerów 6; kamerlokajów 6; lokajów 18; garderobnych 2; piwniczych 4; kredensowych 8; szafarzów 2; kucharzów 14; hajduków 14; strzelców pokojowych 15; froterów 6». Dwory w Tulczynie i in. imponowały również liczbą dworzan i służby, do czego jeszcze wszelacy rezydenci, rezydentki, gracjaliści przystępowali. Z niezmiernym przepychem występowali Panie Kochanku, Adam Czartoryski i in. przy przyjęciu króla albo uroczystościach rodzinnych. Uczta, którą Litwa (Radziwiłł) Koronie r. 1788 wydała, miała 2 miljony złp. kosztować. Był to

[1] L. Dębicki, *Puławy*, I, 177—179, wedle aktu notarjalnego z podpisami księcia i księżnej.

[2] Wedle rękopisu u Raczyńskich, wydanego przez Dr. Stefana Truchima, *Wizyty Królewskie* i t. d., Poznań 1926, str. 19 i 20; nazwiska dla krótkości opuszczam.

zabytek epoki saskiej; August II przyzwyczaił magnatów do takich popisów szalonych, co nieraz nadwerężały fortunę (np. Stempkowskiego); ostatnie to przeżytki prostackiego baroku.

I mierne fortuny sadziły się ponad siły, lecz coraz mniej bywało dworzan-synów obywatelskich w tej służbie próżniaczej: damom dworu dzień dobry podawać; godzinami w przedpokoju na listy czekać, by je rozwozić szlachcie okolicznej, np. ordery i tytuły, które wojewoda z Warszawy poprzywoził, a dworzanin jego za dobremi prezentami adresatom doręczał, podobnie jak paziowie królewscy w Warszawie. Gdy więc ten niegdyś najpospolitszy zawód się zamykał, boć panowie nadzwyczaj się kurczyli, nie pozostawało szlachcicowi nic innego, jak syna u siebie do gospodarstwa wprawiać (np. na osobnym folwarku), albo do palestry go wypychać (czasem wbrew jego woli, np. Ochockiego), albo do wojska go oddawać (karjera coraz częstsza, chociaż do rang wyższych wymagano kapitału — dla ich odkupu, a wielu czczym tytułem ją kończyło), nie mówiąc o stanie duchownym, coraz rzadziej obieranym. W dalszym widoku otwierały się przysługi obywatelskie, praktyki sejmikowe, wybory na deputatów i posłów, i coraz liczniejsze posady przy wszelakich komisjach skarbowych, cywilnych, policyjnych, ustanawianych z ramienia Rady Nieustającej i Sejmu Wielkiego, dawniej już przy komisjach *boni ordinis* miejskich i in.

Szeregi szlachty rozpychały się coraz częstszemi nobilitacjami, indygenatami, i acz niechętnie patrzano na nowo kreowanych za zasługi istotne czy mniemane, godzono się z faktem, który wyłączności stanu szlacheckiego jeszcze nie naruszał. Nawet szkoły publiczne warowano jeszcze szlachcie. Komisja Edukacji Narodowej, szkoły prywatne rycerskie (np. rydzyńska Sułkowskiego lub grodzieńska Tyzenhauza) zawsze tylko o «młodzi szlachetnej» myślały; o równouprawnieniu stanów jeszcze nie było mowy. I Konstytucja Trzeciego Maja nie zniosła prerogatyw szlacheckich, lecz dopuściła do nich także mieszczan; do

urzędów, szarż wojskowych i kolegjat duchownych nie wymagała odtąd kwalifikacji rodowej, a w kapitułach zastrzegła dla mieszczan wszelkie kanonikaty doktorskie. *Neminem captivabimus* przyznano im i nawet żydom już dawniej.

Dobrobyt szlachty był bardzo podkopany, zawisł bowiem głównie od roli, a praca pańszczyźniana była strasznie niewydatna; żyzne stepy leżały odłogiem, bo nie było zbytu na zboże i ich województwa opłacały mniejsze sumy poborowe, powołując się na własny niedobór i sprzeciwiając się wszelkiej «koekwacji» z innemi województwami; dopiero zawojowanie Tatarów przez Rosję i olbrzymie dostawy dla wojsk rosyjskich otworzyły źródła niewyczerpanych dochodów, z których najwięcej korzystali komisarze, ekonomowie, dzierżawcy; hołysze nahajkowi wychodzili sami albo w synach na wielkich panów; pocieszne historje opowiadał o niejednym Ochocki. Gdy szlachta już przez rozrodzenie coraz upadała, rośli przez królewszczyzny magnaci; *panis male merentium* rozdrapywało kilkanaście familij; każda wakancja i ekspektatywa przekupywała jednych, wpędzała drugich do opozycji; był to rozbój organizowany; czem więcej starostw kto miał, tem więcej chwytał, dla żony, dla dzieci w kolebce, bo wyrabiał dla żony *ius communicativum*, a dla niemowląt ekspektatywę. Aby zatamować to źródło korupcji, domagano się ogólnie odjęcia królowi rozdawnictwa, a wkońcu doszło prawo sprzedaży starostw na rzecz państwa, czego jednak już nie uskuteczniono; oburzone o sprzedaż wielkie panie nie zjawiły się na przyjęciu noworocznem, bojkotując sejm i króla.

Rozpanoszyło się teraz frymarczenie dobrami, czego dawniejsze lata nie znały. Szlachcic zaciągał na nie długi, obarczał swoją hipotekę a potem ogłaszał niewypłacalność; na podstawie *potioritatis* odpadali dalsi wierzyciele; gdy dawniej majątki wiekowały w rodzinie, teraz szastano niemi na zabój, co znowu niekorzystnie na gospodarkę wpływało. Ponieważ ziemia mało dawała dochodu, lokował szlachcic swoje sumy u magnata albo

w banku na lepszy procent, na wygodną dzierżawę, ale bankructwa Ponińskiego, później (1793 r.) bankierów warszawskich i Prota Potockiego nadwerężyły ogromnie setki rodzinnych majątków. Kraj był ubogi, bogacił obcych; jak w Warszawie obok pałaców sterczały nędzne chaty, tak obok przepychu magnatów raziło ubóstwo ogólne.

Naród szlachecki nie składał się z samej arystokracji, zgangrenowanej przeważnie: w ciągu wieku wybiły się obok licznie rozrodzonych Potockich, Jabłonowskich, Sapiehów, Lubomirskich, nowe rody, Branickich (nie Gryfów!), Rzewuskich, Ponińskich, Sułkowskich, które jednak dawnym ani moralnie ani materjalnie nie dorównały; honor narodowy nie oni ocalili; czuwała nad nim szlachta zaciągająca się w konfederaty barskie, pokutująca na Sybirze za wolność i wiarę, dalej młodsze pokolenie, witające z uniesieniem Trzeci Maj, który na całe życie niezgładzone pozostawił wspomnienie. A obok narodu szlacheckiego zapowiadało się po raz pierwszy miasto jako przyszły walny czynnik w rozwoju nowej Polski.

MIESZCZANIE

Ustrój Polski różnił się od zachodniego brakiem stanu trzeciego. Na Zachodzie stan ten również nie miał jeszcze praw politycznych, ale miał ekonomiczne, był siłą rosnącą i prędzej czy później dobiło się równouprawnienia bogate i oświecone mieszczaństwo, górujące nad szlachtą wiedzą i zasobami. Przeszkadzała temu w Polsce niejednolitość mieszczaństwa; stare rody patrycjuszowskie podupadały zupełnie albo wymierały, a wzrastał napływ cudzoziemców, w pierwszej linji Niemców, dalej Szkotów, Ormjan, Włochów, Francuzów, Węgrów, którzy nieraz dorobiwszy się majątku, kraj dla mieszczan niegościnny rzucali i do domu wracali. Na razie szlachta jako jedyny stan uprzywilejowany gardziła mieszczaństwem, któremu nawet wojskowych szarż wyż-

szych (cóż mówić o duchownych!) odmawiała z tym skutkiem, że synowie zamożnych mieszczan stale do obcych wojsk wstępowali.

Przeciw swojej degradacji stan miejski nigdy nie protestował; przeciętny mieszczanin nie znał żadnych interesów prócz ściśle ekonomicznych, zarobkowych, tych też jedynie bronił zawzięcie przeciw dysydentom (dwie trzecie Niemców byli lutrzy Sasi), a jeszcze bardziej przeciw żydom; wyższych dążeń nie znał, chyba wydostać się z gminu do ławników, albo nawet do rady, co było i korzystne i zaszczytne, ale dla pospólstwa niedostępne. Skoro mieszczanin porósł w pierze, starał się o nobilitację i opuszczał nazawsze szeregi miejskie; nim tego dostąpił, żył mimo wszelkich zakazów sejmowych jak pan, a bankierzy warszawscy (Tepper i jego zięciowie, Kabryt i in.) zaćmiewali nawet panów; żony ich, Francuzki nieraz, trwoniły krocie, pani Kabrytowa posyłała do Paryża bieliznę do prania, pani Czenpińska zrujnowała zamożnego męża. Poczucia solidarności stanowej nie było żadnego, miasto jedno nic nie wiedziało o drugiem. Wykształcenie świeciło szczególnie u kobiet niepiśmiennością; jeżeli były jakie książki w domu, to ascetyczne (u Francuzek francuskie), zato strojów (także narodowych, żupanów, pasów, kontuszów) była moc. Tak było w kilku głównych miastach (liczono ich w całym kraju około dziesięć; w istocie było jedno), poza niemi pustki.

Pierwsze lata Stanisławowe zastały w przeraźliwem zaniedbaniu i spustoszeniu miasta, szczególniej dziedziczne (szlacheckie), które spółczesny tak określał: «pośród kilku chałup, karczmy, przy których w pewne dni przetaki, miotły i garnki przedawane bywają»; ich mieszkańcy nie różnili się wiele od chłopów, bo trudnili się głównie rolą, nie przemysłem ani handlem, oprócz rojących się żydów. Oto słowa prymasa r. 1764 przy zagajeniu sejmu: «ozdoba królestwa, miasta, bez obywatelów, a ci którzy są, bez handlu; handel bez korzyści, bo w rękach żydowskich. Jednem słowem, w miastach miast szukać potrzeba:

co ulica, to pole; co rynek, to pustki. W takim stanie Rzeczpospolita się znajduje, w jakim nigdy nie była», a w konstytucji sejmowej pisano: «miasta dla różnych przyczyn, uciemiężenia i bezprawia, do ostatniego przychodzą upadku, wniwecz spustoszone i zniszczone».

Ekonomicznej ruinie odpowiadała umysłowa; wystarczy przytoczyć świadectwo spółczesne (Franc. Bielińskiego w *Listach o sposobie edukacji* z r. 1775):

«Naliczyć można znaczną liczbę miast, w których sędziowie kryminalne ferując dekreta krzyżykiem podpisują. Gmina nie zna uszanowania dla magistratu, bo go nie są godni, flaszki bowiem, nie sprawiedliwości, przy sądach pilnują. Całego zaś miasta obywatelów zabawa, w dzień w pola za pługiem chodzić, w wieczór pod wystawioną szynkowną wiechą na kolejne napijać kreski... Takowy obraz jest dzisiejszych nazwanych mieszczan, ale w samej istocie w ciemnej ślepocie zanurzonych chłopów, lubo ustawiczny przykład przed oczyma mają rozsianych po Polszcze żydów, z których najuboższy czytać, pisać, rachować i wszelkie do handlu początki umie».

Nawet znaczniejsze dawniej miasta, pruskie np., nie przebolały strasznego moru z r. 1709, który je opustoszył, w Poznaniu samym 9000 mieszkańców zmiótł; w Chełmnie r. 1772 było w rynku 40 kamienic, z tych 28 bez dachów, drzwi, okien, bez właścicieli! podobnie w Bydgoszczy i t. d. Żadnego w Chełmnie krawca nie było, należało rzemieślników, murarzy i t. d. dopiero sprowadzać, dla zachodnich ziem z Niemiec, stąd niemczały silnie miasta wielkopolskie i pruskie.

Winę upadku ponosili poniekąd i mieszczanie sami, dla nadużyć i sprzeniewierzeń, dla sobkostwa rady i ławy, dla nieporadności ogólnej, a bywało, że i pisarz sam fałszował dekreta, o co przy częstej niepiśmienności ławników i radnych nie było trudno. Oburzała średniowieczna surowość kar: wieszano nieraz o taką błahostkę, że sznur dla wisielca więcej kosztował! Torturami wymuszano zeznania tego co było i nie było, o czem świadczyły najwymowniej procesy o czary. Nie wyróżniały się

zbyt i znaczniejsze miasta: taki Lublin np., gdzie się czasowo pół Polski zbierało, wyglądał okropnie: ruiny, śród nich jedna i druga kamienica, nieraz tylko w parterze zamieszkalna; drogi takie, że powozu Stanisława, co w błocie ugrzązł, konie marszałka Olizara nie wydobyły, musiano wołów przyprzęgać; latarnie chyba jedna przy ratuszu i pochodniami oświecał sobie drogę, kto nocą ruszał. Typowe miasteczko opisał Krasicki: «w mieście, ponieważ zbiór pustek tak zowiem, stare zamczysko, pustoty ohyda... było trzy karczmy, bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki». Ale jeszcze bardziej niż wsi, różniły się miasta w kierunku ku zachodowi; brudnych, żydowskich mieścin litewskich nie przypominały (o pruskich ani wspominając) wielkopolskie, tem schludniejsze i zamożniejsze, czem bliższe pruskiej granicy.

Ten stan trwał do r. 1772; w następnem dwudziestoleciu, czasie zupełnego spokoju, odżyły i miasta. Nawet wojewodowie starali się o ich podniesienie; taki wojewoda lubelski, Hryniewiecki, mógł nie wiedzieć, co są Dardanele, ale Lublin za jego staraniem pozbył się strasznego nieładu. I tak było po wszystkich miastach, najwidoczniej w Warszawie, gdzie marszałkowie koronni, Stan. Lubomirski, a nawet niecny Gurowski, miasto europeizowali. Gurowski nakazał latarnie przy aptekach, hotelach, klasztorach, a prosił panów o wznoszenie ich przy pałacach; domy numerowano; bruki poprawiano — nie było, jak i w Europie, osobnych chodników, powozy jeździły więc po całej ulicy i tratowały albo obryzgiwały przechodniów, którzy i suknie o maź kołową brudzili (radzono odgradzanie poręczami); błoto nieprzebrane a latem kurz okropny trapiły mieszkańców, pocieszających się choć tem, że prochy warszawskie nie były tak szkodliwe dla płuc jak wiedeńskie i in., było w nich więcej piasku mazowieckiego, niż wapna. Zawsze jeszcze wyrzucano nieczystości na ulicę i higjena zostawiała wiele do życzenia (por. niżej), a pożary pustoszyły wielokrotnie miasta: w Warszawie (za Gurow-

skiego) sprowadzono i sikawki angielskie i pogotowie pożarne urządzono.

Wszystkich miast i miasteczek było po pierwszym rozbiorze 1414, 905 w Koronie, 509 w Litwie, z nich było królewskich, wolnych, 214 w Koronie, około 20 w Litwie; reszta były duchowne i szlacheckie. Rozmiary bywały i najdrobniejsze, nawet między królewskiemi były «miasta» o mniej niż 100 «dymach», a między szlacheckiemi była Granica o 7, a Łęczna o 9 dymach; przeważały miasta «rolnicze» bez przemysłu i handlu, o których spółczesny prawił: «cały sposób przemysłu miejskiego jest gorzałkę, piwo robić i szynkować, a innym do wypróżnienia beczek swych wiernie dopomagać»; wykształcenie zaś było takie, że przybierano ubogiego jakiego szlachetkę za pisarza, bo w gminie piśmiennego nie było! Zanosiło się nawet na dalsze poniżenie stanu miejskiego: traktat gwarancyjny z r. 1768 wyraźnie zaznaczył, że są tylko trzy stany w Polsce (a więc mieszczanie poza niemi), a konstytucja tegoż roku wydawała mieszczan władzy starościńskiej co do administracji i co do sądownictwa cywilnego i od tego roku datowano jeszcze większy ucisk miast, pomnożenie procesów i ciągłą walkę mieszczan z starostami. Na Litwie zniósł sejm 1776 r. magdeburgję we wszystkich mniejszych miastach, zostawiając tylko jedenaście znaczniejszych przy dawnym samorządzie, a skutek był ten, że starostowie grabili bezkarnie mieszczan-rolników i ściągali żydów, którzy ogarnęli całe kramarstwo i wszystkie rzemiosła; niewiele pomogło, że r. 1775 pozwolono nabywać mieszczanom dobra ziemskie, czego im w Koronie jeszcze r. 1786 wyraźnie zakazano, oddalając ich przytem od awansów wojskowych. Mimo tej zacietrzewiałości szlacheckiej odmieniały się stosunki siłą faktów, chociaż nie wszędzie w równej mierze. Owo zniesienie magdeburgji miało szkodliwie podziałać, wielu miało opuszczać siedziby i przenosić się do miast rosyjskich, Rygi, Smoleńska i in.; podawano nawet przesadne ich liczby. To znowu ucierpiał Mińsk od

masowego żydostwa, wypędzanego z zajętej przez Rosję Białorusi, gdy i tak miasto z powodu kilkunastoletniej konsystencji wojsk rosyjskich spustoszało; za pomocą kahału a protekcją starościńską wygubili żydzi cechy, np. rzeźniczy; w r. 1786 kramów chrześcijańskich już nie było. Na spustoszenie Mińska złożyły się więc wszelakie niekorzystne warunki; w innych miastach rósł widocznie dobrobyt.

Żadne nie dorównało Warszawie, Paryżowi polskiemu, na razie jeszcze podwójnej, Starej i Nowej (każda o osobnym zarządzie), dopiero nowa konstytucja oba miasta złączyła. Imponowała pałacami, ale obcych raziły straszne przeciwieństwa; w żadnem innem mieście, chyba w Petersburgu czy w Neapolu, nie sąsiadowały tak bezpośrednio najwyszukańszy przepych i najokropniejsza nędza; zwłoki ubogich leżały przy ulicach, póki nie uzbierała się z jałmużny przechodniów najniższa taksa pogrzebowa duchowieństwa, a żebractwo natrętne i wstrętne było istną plagą miejską. Potrzeby miasta (bruki i t. d.) rosły stale, ale z niemi i dochody; budżet Starej Warszawy wynosił r. 1778 w dochodach około 44.000 złp., w wydatkach około 41.000; w r. 1788 dochodu było nad 154.000, a rozchodu nad 141.000 złp.; budżet Nowej Warszawy był nierównie skromniejszy; dochody wynosiły r. 1780, 12.436 zł., a r. 1791, 24.000 zł. Radcy wraz z «prezydentem» i ławnicy z wójtem płac nie pobierali; dostawały się im obrywki z taks sądowych i innych opłat. Już około r. 1776 podwoiła się liczba ludności (60.000), a znowu za Sejmu Wielkiego (120.000). Już stanęły pierwsze hotele (najsłynniejszy Pollera «Pod Białym Orłem»), cukiernie «Gryzonów» (Włochów szwajcarskich, jak w Berlinie i in.), fiakry (osobna kompanja), teatr i woksale, szpitale (wielki «generalny warszawski» Dzieciątka Jezus i kilka innych), księgarnie i drukarnie, magazyny mód i wszelkich towarów, liczne banki (najznaczniejszy Teppera i jego zięciów): Warszawa równała się z innemi wielkiemi miastami i znaczną drożyzną. Kraków, liczący

niegdyś do 70.000 mieszkańców, pozostawał długi czas miastem ruin z 9.000 mieszkańców; Lwów odpadł i jego jarmarki-kontrakty przeniesiono do Dubna, największego na Wołyniu miasta. Poznań, jak wszystkie miasta wielkopolskie, osobliwie nadgraniczne, miał silny odsetek Niemców; r. 1794 liczył 12.538 głów, między niemi żydów 3021; na jarmark świętojański był taki napływ, że za pokój na 1—3 tygodni płacono 18—20 dukatów. Wilno cierpiało pod strasznemi pożarami w pierwszej połowie wieku; w mieście, które niegdyś miało 60.000 mieszkańców liczyć, r. 1777 było 12.157 chrześcijan, a żydów 8670, lecz r. 1796 wyliczył magistrat wileński tylko 10.763 głów płci obojej; wszelkie inne miasta litewskie pozostawały daleko wtyle. Grodno świeciło ruinami po Tyzenhauzie, miało ludności 4.000, kilka pałaców i kamienic, obok nich nędzne chałupy.

Ton miastom a niebawem krajowi całemu nadawała Warszawa, więc gdy zagajono dzieło reformy rządu na Wielkim Sejmie, wystąpiła z żądaniami uprawnienia mieszczan. Prezydent Starej Warszawy, Jan Dekert, wezwał delegatów wszystkich miast polskich na zjazd do Warszawy i 272 deputowanych od 141 miast królewskich (a do tego przystąpiło z Warszawy 22, więc 294 razem) podpisało «Akt Zjednoczenia Miast» 24 listopada 1789 r. i wręczyło go królowi i marszałkom sejmowym 2 grudnia; «zachowując nieskażoną wierność i poszanowanie Króla i Stanów» żądano przywrócenia dawnych praw. Obruszyła się na to, na «czarną procesję», na «nieprzyzwoite podanie nadto śmiałego memorjału» szlachta, zastraszona Paryżem i niektóremi zbyt śmiałemi zwrotami owego Aktu («prawa natury» i podobne bluźnierstwa); sejm wyznaczył wkońcu osobną deputację do sprawy miejskiej, złożoną z posłów przychylnych miastom i przed nią stawali mieszczanie z coraz nowemi memorjałami i wywodami historycznemi i prawniczemi.

Zaspokojenie żądań miejskich nie spotykało w sejmie zasadniczych trudności; wprawdzie 1790 r. nobilitowano 420 mie-

szczan; w kwietniu 1791 r. rozpoczęto debaty nad tą materją i po pierwszej walnej rozprawie, którą król zagodził, dalsze przechodziły bez wrzawy i wydały 21 kwietnia prawa szczegółowe, wedle których miasta królewskie stawały się wolnemi, pozbywały starostów i obcych jurydyk; mieszczanie mogli nabywać dobra ziemskie, przywilej *neminem captivabimus* i im się należał; nobilitowany mieszczanin nie musiał odtąd porzucać urzędu miejskiego, czy swego zarobku, a szlachcic nie tracił szlachectwa przez zarobek miejski; nobilitacja mieszczan dozwolona na najszerszą skalę; szlachectwo nabywał mieszczanin byle rangą w wojsku (kapitana czy rotmistrza) lub zakupem majątku ziemskiego, a każdy sejm miał nobilitować trzydziestu mieszczan-posesjonatów (w mieście); dwudziestu dwóch plenipotentów miast (przeważnie z szlachty wybieranych) zasiadło w sejmie i komisjach z głosem doradczym w sprawach miejskich. Czego od r. 1648 więcej nie bywało, zaczęła się wpisywać w księgi miejskie szlachta wyborowa: w Warszawie z marszałkiem sejmowym na czele czterdziestu, w Wilnie za Ogińskim pięćdziesięciu; po śmierci Dekerta został szlachcic i poseł poznański, Zakrzewski prezydentem Warszawy. Targowica wydaliła plenipotentów miejskich z rządów i sądów, ale już po roku zerwała się Warszawa, wspierając dzielnie wojsko 17 i 18 kwietnia 1794 r., a gromiąc Moskali: tu biło teraz najżywiej serce polskie.

Skądżeż ta nagła odmiana? Jeszcze w r. 1786 szlachta odsuwała mieszczaństwo od szarż wojskowych i zabraniała mu kupna posiadłości ziemskich — w niespełna pięć lat później nadała mu niemal zupełne równouprawnienie; lud miejski r. 1786 nie znał (oprócz pracy zarobkowej) nic innego niż spory wyznaniowe i rugowanie żydów — w latach 1792 do 1794 ofiarował krew i mienie za Rzeczpospolitą. Przewrotu pierwszego dokonała, inaczej niż we Francji, szlachta, nie mieszczaństwo. Już pierwsze komisje *boni ordinis*, wcale zasłużone, narzuciła miastom szlachta r. 1766; jej literatura polityczna stawała za-

wsze w ich obronie. Kołłątaj szedł nierównie dalej niż Staszyc; ten nie przypuszczał, żeby mieszczanie piastować mogli urzędy publiczne, zawarowane szlachcie; Kołłątaj napisał ów «Akt» rewolucyjny, który Dekert, mniemany «herszt spisku», na czele czarnej procesji (bo tak się ubrali delegaci) wręczył królowi i stanom; przecież to Małachowski i Kołłątaj poddali ową myśl zebrania delegatów wszystkich miast, wystąpienia zupełnie nielegalnego, od którego arcylojalny Kraków (z kilką miasteczek małopolskich) się wyłączył. Bo oto szlachta, chcąc ratować ojczyznę, wciągnęła do spólnej pracy i miasta — o ludzie na razie mowy nie było; nie zahukani mieszczanie podnieśli żądania równouprawnienia, które im podyktowała szlachta. Mieszczanie pogorszyli sobie sytuację doręczeniem owego Aktu królowi i stanom (wolnoby im było tylko do kanclerzy-pieczętarzy jako ich instancji w tonie bardzo pokornym się odzywać), a jeszcze bardziej pogromem żydowskim r. 1790, bo szlachta nawet postępowa, nie mówiąc o wstecznikach jak Suchodolski lub kasztelan Jezierski, dojrzała w tem upiora rewolucji francuskiej; dziś gromią żydów, jutro nas; w «Akcie» prawią przecież o niewolniku, rwącym łańcuchy, o prawach człowieka, których nic nie pognębi. Widziano w tem powszechnie, i nie bez słuszności, odgłos przewrotu francuskiego i Dekert w liście pisanym do Małachowskiego, na łożu przedśmiertnem, pesymistycznie nastrojony wobec chwilowej, nieprzyjaznej dla mieszczaństwa aury, groził, że może kiedyś gwałtem zabiorą więcej, niż o co teraz pokornie proszą. Z izby sejmowej przeniosła się walka do publicystyki: posypały się pisma *pro* i *contra*. Kołłątaj w czwartej części *Listów Anonima* i w broszurze *Ostatnia przestroga dla Polski* wymagał «do tej dogorywającej lampy (Polski szlacheckiej) nowego przylać oleju»; kasztelan Jezierski w mowie sejmowej i broszurze tak ostro napadł na mieszczaństwo, na próżniaków (!), pasorzytów narodu, że rada miejska, nie zadowalając się rozprawami historycznemi i prawniczemi Barssa, Mędreckiego

i in., poleciła Janowi Baudouinowi de Courtenay, zdolnemu publicyście, odpowiedzieć p. Jezierskiemu; Baudouin poszedł dalej niż Kołłątaj; wywiódł prerogatywy szlacheckie z faktu rozboju i przemocy (drapieżcy naszli spokojnych i narzucili im jarzmo) i usuwał je wszystkie, wymagał równych praw, udziału w rządach, gdy inni ciągle tylko o wznowieniu dawnych przywilejów (a więc usunięcie rządów starościńskich, rugowanie żydów i t. p.) rozprawiali.

Sejm nie rozbierał nielegalnego «Aktu»; poruszył sprawy miejskie z tytułu opodatkowania, bo Dekert oświadczył, że Warszawa przyłoży się do skarbu podymnem w sumie 400.000 złp., a dodał dar miejski 50.000 złp. na cele obrony krajowej. Niektórym posłom wydawała się owa suma zbyt małą i z dyskusji nad tem wyłonił się projekt osobnej komisji, coby rozpatrywała żądania miejskie. Masowa nobilitacja (samych osób cywilnych 220, nie mówiąc o wojskowych) miała na celu osłabienie szeregów miejskich, przenosząc śród szlachtę najwybitniejszych przedstawicieli mieszczaństwa, co porzuciliby jego szeregi i tak wtedy ten krok tłumaczono; oskarżano, przynajmniej w publicystyce, nobilitowanych jako jawnych zdrajców, którzy przyjęciem szlachectwa na wieki się zelżyli (Baudouin; ksiądz Jezierski i in.), ale żaden z nich nie odrzucił honoru.

Ordynacja sejmowa z 19 kwietnia rozentuzjazmowała mieszczaństwo, przewyższając jego najśmielsze oczekiwania. Podzielono miasta na wydziały (22); warszawski obejmował oprócz miasta (teraz jednolitego, bez jurydyk, «rezydencjonalnego»), miasteczka księstwa mazowieckiego i województwa rawskiego; każde miasto wydziałowe posiadało sąd apelacyjny i obierało «plenipotenta» do sejmu i komisyj rządowych; miasto podzielono na cyrkuły z wójtami; naznaczono pensje dla prezydenta, radnych i t. d.[1] Entuzjazm wyrażał się w ucztach i balach, które

[1] Miasta cieszyły się samorządem, chociaż nie mogły już wydawać osobnych wilkierzy; zawiadywały niemi magistraty, wychodzące co dwa

stany, bratnie teraz, nawzajem sobie wyprawiały, to na imieniny «przyjaciela ludu» (Hugona Kołłątaja), to na 3-go maja i t. d.; król brał udział w tych fetach, a miano mu to za złe w Wiedniu i Berlinie. Mieszczanie myśleli o posągu dla niego z napisem: «ten stargał pierwszy więzy człowieka». Rocznicę Konstytucji, pierwsze wybory plenipotenta (Chevalier), prezydenta, radców i t. d. odprawiono w podobnym nastroju, składano hojne ofiary na wojsko i wojnę, ale niebawem kampanja niepomyślna a szczególnie przystąpienie króla do Targowicy zasępiły Warszawę. Nowe rządy wskrzeszały poniekąd stan dawny, przedkonstytucyjny; szlachcie nie wolno piastować miejskiego urzędu; miasta wybierają swoje władze (wróciła dawna z r. 1788), tylko na sejmiki wysyłają reprezentantów, jednego zaś do sejmu dla przedstawienia swych potrzeb i t. d.; nazywała to Targowica nadaniem dóbr istotnych zamiast owych marnych, «rewolucyjnych» omamień.

Widok Warszawy, której ludność teraz najwyższej swej w tym wieku liczby, około 150.000 dobiegała, dziwnie się od-

---

lata z wyborów gminnych na zgromadzeniach ogólnych, zwoływanych w tym celu. Do zgromadzenia należeli posesjonaci; w większych miastach były zgromadzenia cyrkułowe, wybierające wójta i gminnych, którzy je zastępowali na zgromadzeniach ogólnych (dla wyboru prezydenta, dla słuchania sprawy plenipotentów i delegatów, dla «składki» podatku). Magistrat (w małych miastach wójt, kasjer i czterej radni; w wielkich prezydent, wiceprezydent i radni wedle liczby cyrkułów, kasjer) mianował pisarza i syndyka, zarządzał majątkiem gminnym i kasą, czuwał nad bezpieczeństwem, rozkładał podatki, zdawał raporty władzom centralnym, opiekował się ubogimi i chorymi. Magistratowi przewodniczył prezydent, który był zwierzchnikiem milicji miejskiej, wydawał sam rozporządzenia prowizoryczne w razie potrzeby; wójtowie dozierali głównie policji, raportowali o wszystkiem magistratowi. Wszystkie te urządzenia obowiązywały tylko wolne miasta królewskie, nie odnosiły się do dziedzicznych, chyba że właściciel im je przyznawał. Konstytucja sejmu grodzieńskiego 1793 r. niewiele w tym ustroju zmieniła, usunęła na zmniejszonem terytorjum «wydziały».

mieniał: ani śladu owego podniosłego nastroju z r. 1791 i 1792, owego bratania się stanów; rody magnackie poopuszczały miasto, pałace stały pustkami albo je na byle co wynajmywano; «zbabiały dziadek», odsunięty od rządów, przesiadywał na zamku z rodziną, czytał Tacyta, rozprawiał o sztuce z Bacciarellim i pilnował dokończenia Łazienek; drugi garnitur towarzystwa, moralna i materjalna lichota (miał król osobliwsze szczęście do forytowania wszelkiej szui), zajął miejsce; najlepiej bawili się Rosjanie, całą kolonją najeżdżający Warszawę (nawet kupcy rosyjscy tu osiadali), zawiedzeni, że szlachta z drugiego rozbioru jak najlojalniej hołdy Rosji składała, więc na konfiskaty majątków, a z nich na «wynagrodzenia» nie można było liczyć; na bale ambasadorskie uczęszczała coraz liczniej polska publiczność, również obu teatrom (niemieckiemu i polskiemu) nie źle się szczęściło. W samem mieście panowała nędza; zabrakło dawnych hojnych panów, bankructwa wypłoszyły kapitał, brakło nawet pieniędzy obiegowych, a do papierowych się nie zabierano. Niepokoiły aresztowania, szpiegostwo policji polskiej (marszałkowskiej) i rosyjskiej, która nawet śród służby domowej donosy urządzała. Ale śród młodzieży rosła nienawiść przeciw Rosji, a radość z powodu zwycięstw francuskich i mimo wszelkich szpiegów odzywano się wcale swobodnie po «kafenhauzach» i szynkach; dojrzewał (pierwszy) spisek, prowadzony dosyć nieoględnie, lekkomyślnie, tak, że go policja odkryła i zniszczyła, chociaż wrzenia umysłów nie stłumiła; paszkwile (i na króla) obiegały miasto, pomawiane o przechowywanie emisarjuszów Konwentu i nielegalnej literatury francuskiej. Wszystkich gniotła niepewność jutra, a drażniła samowola rosyjska, kwaterunki i t. d.; nawet żydzi niektórzy łączyli się z «opozycją» i po raz pierwszy można było na powszechnym, «ludowym» nastroju budować

Śród mieszczaństwa bowiem zaszły znaczne zmiany, mniej śród zamożniejszych, z zasady konserwatywnych, dbałych o za-

chowanie «porządku», narodowo nieraz nieuświadomionych wcale, z powodu obcego pochodzenia — tylko liczni a bogaci Ormjanie spolszczyli się oddawna zupełnie; rodowitych Polaków było w wielkim handlu i niejednem rzemiośle niewiele. Patrjotyzmem świeciły tem bardziej warstwy niższe, które się powoli wybijały z dawnej zależności od starszych, niesforne i butne w ich oczach. Napływ ludu do Warszawy, ciężkie warunki ekonomiczne, współzawodnictwo żydowskie (skarżyli się cechowi, że wszelkie ich zarobki ustały, kuśnierz przez miesiące jedną czapkę sprzedał, a krawiec jedną jupkę uszył — handel futrami był cały w rękach żydowskich), poczucie liczby-siły, a niechęć przeciw rządzącym wyzyskiwali niebawem demagogowie, czy piszący, z «kuźni Kołłątajowej», czy po «kafenhauzach» i szynkach szerzący hasła francuskie; broszury polemiczne wszyscy czytali, pamflety Zabłockiego i in., podrzucano i w fiakrach. Szczególniej odznaczał się poczuciem patrjotycznem najliczniejszy cech szewski, w którym antagonizm Niemców i Polaków wybuchał parokrotnie w ostrej formie, dalej rzeźniczy, kowalski i in. Biedni nawet cechowi dawali się porywać przykładowi starszych i ofiarowali, co kto mógł. Entuzjazm wzbierał; krzepiły go obchody majowe; niepowodzenia wojenne, niemęski postępek króla, który utracił odrazu pozyskaną świeżo popularność, drażniły silnie. Wkroczenie załogi rosyjskiej i jej nadużycia oburzały; nawiązywano stosunki z bliską emigracją; wypadki krakowskie zelektryzowały ulicę i jak kierownicy zamachu konstytucyjnego zapewnili sobie sympatje i poparcie gminu, tak liczyło teraz wojsko na udział tłumów i nie zawiodło się; gdy zamożni kryli się po domach, rzucał się gmin na Moskali i korzystając ze znajomości terenu dopomógł walnie wojsku do zwycięstwa.

Zwycięska rewolucja rozpętała umysły doreszty; już zaczynały się rządy ulicy, hamowane z trudem przez Radę Narodową; agitatorzy Kołłątajowi, inni niepowołani wichrzyciele, burzyli lud fałszywemi alarmami, donosami i plotkami; lud coraz

podejrzliwszy, wrący już nienawiścią przeciw królowi-zdrajcy i bratu jego prymasowi, hamowany przez Kościuszkę, ujmującego się za królem, rozgorączkowany przez warchołów, zerwał się do samosądu majowego i czerwcowego; padła wobec rozhukanego tłumu i niejedna niewinna ofiara, ale zemsta dosięgła najwinniejszych. Nie uzbrojono całego ludu; zato cała Warszawa spieszyła na okopy i pracowała, albo posilała pracujących; znowu przeżywano niejedną górną chwilę, jak w maju 1791 r., ale wysilił się wkońcu duch patrjotyczny i o nowej obronie Warszawy, którą przeciw królowi pruskiemu i Rosjanom szczęśliwie przeprowadzono, wobec zupełnie zmienionych warunków i mowy już nie było. Zamożniejsi dawniej porzucili miasto; ci co zostali, małoduszni, apelowali i do króla, uzyskując przez niego łagodną kapitulację, której następstwa niebawem silnie dały się odczuć. Ale panowanie rosyjskie jenerała Buxhöwdena rychło się skończyło i Warszawa dostała się Prusom; lud ucichł zupełnie, a starszyzna przechodziła najspokojniej z jednych rządów pod drugie, sławiąc nadomiar Buxhöwdena za życzliwe względy osobnym medalem. Za Warszawą szły inne miasta, Wilno czy Kraków, nie ucierpiawszy tyle co Warszawa, która największe poniosła ofiary i w oczach wrogów na gniazdo buntów urosła, gdy do narodu stygmat «lekkomyślności» na zawsze przywarł.

Lata 1788—1794 obudziły więc miasto (t. j. Warszawę — ona zastąpiła wszystkie inne) z wiekowego uśpienia; postęp szedł niesłychanie szybko; atmosfera polityczna, stworzona pracą sejmową, objęła po raz pierwszy w dziejach Polski, obok szlachty i miasto, które w pewne dnie (np. 3 maja) w gorączkowem podnieceniu trwało, a w dwa lata później już do spiskowej roboty dojrzało; spiskowi wciągnęli i mieszczan; bankier Kapostas należał do najczynniejszych, a szewc Kiliński agitował śród cechowej starszyzny i młodzieży; literatura pokątna rozżarzała płomień nienawiści; chwytano się półsłówek, np. kuplety Bardosa, w naszych oczach arcyniewinne, rozbrzmiewały po mieście

i podniecały umysły; niepojętym sposobem, mimo zabiegów policji marszałkowskiej i ambasadorowej, przedostawały się do ogółu (znacznie powiększone) wiadomości o Kościuszce, o zwycięstwach francuskich, a mimo rozgałęzienia nowego spisku (po wykryciu pierwszego) zachowała Warszawa tak dobrze tajemnicę, że wybuch zaskoczył Rosjan, wietrzących niebezpieczeństwo, lecz pewnych, że choć część załogi polskiej i całe miasto do buntu nie pospieszą; właśnie czwartek przed owym piątkiem wyróżniał się ciszą nadzwyczajną. Tak podejmowała się Warszawa nowej roli, ale do równie dobrze przygotowanego wybuchu po raz drugi już nie przyszło; noc listopadowa 1830 r. była tylko parodją dnia kwietniowego 1794 r. co do organizacji spiskowej.

CHŁOPI

«Prawa kardynalne» r. 1768 odebrały szlachcie *ius vitae et necis,* które ledwie kto wykonywał, i nakazywały, aby odtąd szlachcic za umyślne, nie mimowolne zabicie chłopa nie główszczyzną, lecz na gardle był karany, ale inny ich artykuł zastrzegł nazawsze całość *dominii et proprietatis* szlachcie nad poddanymi, że «nigdy odejmowana ani zmniejszana być nie ma». Później, na sesjach Rady Nieustającej, i poseł rosyjski i stronnicy jego nieraz niewolę jako przyczynę nędzy i bezludności wskazywali, ale do żadnej konkretnej uchwały nie doszło. Na tę zaniosło się dopiero w *Zbiorze Praw Sądowych* A Zamoyskiego. Zamoyski wskrzeszał poprostu prawo Jana Olbrachta: pierwszy i trzeci syn gospodarski miał być wolnym, mógłby mieszkać gdzie chciał i trudnić się rzemiosłem; inni synowie byli przywiązani do roli; chłop miał prawo okupienia gruntów i posiadania ich prawem lennem; instygator bronił w sądzie chłopa przed ukrzywdzeniem; przewidywał nawet, jeśli szlachcianka wyjdzie za chłopa. Te właśnie artykuły wywołały powszechne oburzenie posłów, rzucali kodeksem o ziemię bez czytania, od-

syłali go na stos i zapisali, że «niszczymy i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy». Tak przedstawiała się czynność prawodawcza r. 1780 — inne natomiast głosy odzywały się w publicystyce.

Najwymowniejszy był głos St. Staszyca w *Uwagach nad życiem J. Zamoyskiego* 1785 r. Od podobnych stylem i formą (z widziadłami sennemi, alegorjami, sentymentalizmem) *Listów* Radiszczewa, co może książkę polską i czytał, różniły się *Uwagi*, bo objęły całość nieodzownych reform, gdy Radiszczew tylko o chłopach prawił. Nakreśliwszy obraz nędzy chłopskiej wymagał Staszic wolności przenoszenia się dla synów, zamiany pańszczyzny na czynsze (także ziarnem wypłacane), wolność przemysłu i propinacji. *Uwagi nad Uwagami* z r.1789 jakiegoś anonima uznały słuszność wywodów Staszicowych, lecz przeciwstawiały im niewykonalność; chłop tak zdziczał i zobojętniał, że uwolniony rozprózniaczy się i rozpije do szczętu; inni obawiali się, że «popuścić im tylko cugli, buntów się chwycą». Autor *O poddanych polskich* 1788 r. żądał dla nich oświaty, nagród dla pilnych gospodarzy, ustalenia pańszczyzny czy czynszu, sprawiedliwości, wolności osobistej (ożenku i in.) i własności. Liczne inne broszury wymagały mniej; niektóre nie wznosiły się nad ogólniki, np. patetyczne *Łzy nie wodne ale krwawe... jęczących... poddanych do litości... błagające, r. 1789 wylane*, wyglądają raczej na jakiś apokryf, w imieniu chłopów przez jakiegoś anonima wypisany. Takie apokryfy kryły się zwykle po rękopisach, np. *Projekt znaleziony w Tarczynie r. 1767;* przedstawiał nędzę chłopską, jak z biegiem czasu narastała, posuwał się do groźby, jeśli się słusznych żądań nie zaspokoi: my nie żydzi, nasza liczba ogromna, żyjemy śród panów i łatwo nam ich dosiąc. Brano to za autentyczne świadectwo prądów nurtujących śród chłopstwa, lecz Smoleński podniósł, że spółcześnie pojawiały się podobne żądania nawet żydów i cyganów, odwołujące się do hi-

storji i prawa, wymagające odmiany, a w istocie służące jako parodje żądań dysydentów, dla ich ośmieszenia.

I zostało wszystko po dawnemu; chłop zeszedł zupełnie na woła czy konia roboczego, dziki i posępny (Méhée nie widział nigdy śmiejącego się chłopa), robił tylko przymusem, przekonany, że w razie głodu pan go przekarmi, więc o zasoby nie dbał; o żadnej zmianie słyszeć nie chciał, obawiając się jakiejś nowej sztuczki pańskiej. U obcych powszechnie wierzono, że w razie zabójstwa chłopa wystarczy panu położyć kilka groszy na trupie, by ujść wszelkiej odpowiedzialności. Połowa dzieci chłopskich wymierała; gospodarka (trzypolówka) była najprymitywniejsza; bydło nędzne, chałupy takież, szczególniej na Białej Rusi; twierdzono, że zbierano dziesiątą część tego, coby racjonalna uprawa rąk wolnych produkować mogła.

Gdy stan miejski dobił się za Sejmu Wielkiego niemal równouprawnienia z szlachtą i odpłacił się ofiarnym duchem obywatelskim, los chłopów się nie odmienił. Odzywały się już dawniej sumienia jednostek wykształconych i humanitarnych; Paweł Brzostowski, Andrzej Zamoyski, Anna Jabłonowska, Stanisław Poniatowski (podskarbi lit.), Stanisław Małachowski, łagodzili pańszczyznę albo odmieniali ją na czynsze, pozwalali pod pewnemi warunkami, aby chłop rozporządzał własną osobą, przenosił się, żenił, wysyłał pierwszego i trzeciego syna do rzemiosła; znosili więc poddaństwo-niewolę, ale poza te luźne ulgi (nieraz nawet znowu cofane) nie wzniósł się ani dziedzic, ani prawodawca. Rozdział czwarty *Ustawy Rządowej* (Konstytucji trzeciego maja) pod tytułem «Chłopi włościanie», «przyjmował włościan pod opiekę prawa i rządu krajowego», uznawał odtąd wszelkie n o w e umowy dziedzica z włościanami za obowiązujące obie strony, dziedzica i jego następców — gdy włościanie będą obowiązani do pełnienia wszelkich powinności; «zawarowawszy tym sposobem dziedziców przy wszystkich pożytkach od włościan im należących», oświadczał zupełną wol-

ność nowoprzybywającym lub powracającym do kraju; dla przywabienia obcych i zbiegów oświadczał: «jak kto stanie na ziemi polskiej, wolnym jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, wolny osiadać w mieście lub na wsiach, mieszkać w Polsce lub do kraju, do którego zechce, powrócić», ale rządy obce, np. pruski, nęciły nierównie hojniejszemi ofiarami (latami wolnicy, datkiem pieniężnym) przybyszów; wynosiło się też z Polski niemało chłopów, szczególniej na Ukrainę, ale i do Śląska. Nic więcej Sejm Wielki w tej materji nie powiedział; dawał obcym wolność, której swoim nie udzielał, ale władze były już natchnione duchem łagodniejszym, np. referendarja kor. wydała ordynację o powinnościach włościan wszystkich królewszczyzn, ograniczyła pańszczyznę do ośmiu dni z włóki, a uznała budowle i grunt za własność gospodarza; przyjmowano i badano skargi uciśnionych, uważano, aby nowo uchwalonych podatków nie zrzucano na chłopów. Nawet obcy przyznawali, że panowie postępowali po ludzku z chłopami, że wyzysk straszny i władza absolutna, acz nie zniesione dotąd żadnem wyraźnem prawem, należały do bezpowrotnej tradycji, że nikt nie rugował chłopa z chaty ani zabierał jego mienia. Ale słowa wolności dla chłopa nikt nie wymówił, chyba Krasiński, starosta opinogórski, który w testamencie (1790 r.) pozwalał każdemu poddanemu wyjść z dóbr jego, robić pańszczyznę czy płacić czynsz i o krzywdy apelować do Komisji Cywilno-wojskowej. Więc Targowica nie potrzebowała niczego «rewolucyjnego» odwoływać w sprawie włościańskiej.

Dopiero Uniwersał Połaniecki Kościuszki z 7-go maja 1794 r. wyrzekł stanowcze słowo, «że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce»; pańszczyzny nie zniósł, ulżył ją tylko o połowę albo trzecią czy czwartą część; dziedzic nie mógł chłopa rugować, chybaby dowiódł, że chłop obowiązków nie pełni; chłop doznaje opieki rządowej w komisjach porządkowych, które winowajcę ucisku są-

dowi kryminalnemu oddadzą. Przeciw temu ukróceniu jej praw szlachta nigdy i nigdzie nie protestowała, chociaż na rekrutację chłopa i ruszenie pospolite nieufnie spoglądała; województwa południowe, wołyńskie i t. d. nie wzięły żadnego udziału w powstaniu narodowem. Chłopi nie docenili doniosłości Uniwersału, dla krótkości czasu, w którym obowiązywał, a po trzecim podziale wróciło wszystko do dawnych norm; mimo to powstawali chętnie przeciw ciemiężcom obcym, szczególniej «Krakusi», zwycięzcy pod Racławicami, towarzyszący Kościuszce pod Maciejowice, chociaż zdarzało się, że dziedzic gnębił pańszczyzną rodzinę tego, co stał w szeregach, tak, że przeciw temu nadużyciu rząd wystąpił; z pięciu dymów stawał jeden pieszy, z 25 jeden konny. Już r. 1789 przyznał sejm wolność (od poddaństwa) chłopu-rekrutowi, który dwanaście lat wysłużył (dwie sześcioletnie kapitulacje).

Że taki zahukany chłop białoruski lub wołyński nie wiedział nic o ojczyźnie, rozumiało się samo przez się; gdzie straszny wiekowy ucisk nie wyżarł zupełnie ducha, np. śród Kurpiów albo na Podgórzu, można było liczyć na obudzenie patrjotyzmu; o francuskiej *levée en masse* nie było więc mowy już dla zupełnego braku oręża, bo kosy nad działami i karabinami wyjątkowo zwyciężały, a kosynierzy łatwo ulegali popłochowi. Rozbiory nie oddziałały na masę chłopską; owszem, niebawem doznawał chłop w zaborze austrjackim i pruskim ulżenia, bo nad wszechwładnym dotąd panem wznosił się autorytet nowych rządów, które dla własnych widoków ukrócały dotychczasową samowolę, waśniły chętnie chłopa z dworem i tym sposobem zacierały poniekąd wrażenie nowych ciężarów (rekruta!), nakładanych na chłopa, nieznanych za polskich czasów; z powodu «rekruta» uciekał też chłop z Galicji do Polski.

Dawna Polska nie tknęła więc najważniejszej i najdrażliwszej materji, chociaż i obcy i swoi słusznie twierdzili, że bez pozyskania ludu wiejskiego dla ojczyzny niema widoków dla

obrony państwa. Konstytucja Majowa zbyła rzecz frazesem, bo nie powiedziała nawet, kto będzie wykonywał ową obiecaną opiekę prawną, dla której przecież w zaborze austrjackim i pruskim już osobni «justycjarjusze» istnieli; w Austrji już rozdzielono grunta «rustykalne» i «dominjalne» i nie wolno było nic z rustykalnych, np. pustek jakichś, włączać do dominjalnych, co w Polsce uchodziło; nie było też w Polsce żadnych większych posiadłości chłopskich, jakie w Austrji albo na Dolnym Śląsku istniały; własność chłopska tam była mu zapewniona, w Polsce odzywał się pan: co chłop na mojej ziemi zarobi, jest moje, więc nie dziw, że chłop wolał nic nie zarabiać. Stąd straszna nieufność chłopów wobec panów; gdy Andrzej Zamoyski starał się o zakładanie śpichrzów gromadzkich, sprzeciwiały się gromady: co my zbierzemy, dwór zabierze. Sama myśl, żeby rząd wdawał się między chłopa a pana, była szlachcie wstrętna, więc gdy za delegacji i Ponińskiego sporo królewszczyzn przechodziło na własność dziedziczną, pogorszał się los kmieci, bo ustała dla niego możność pozywania pana przez instygatora «dla ubogich ludzi» przed sąd asesorski czy referendarski.

Niewola-poddaństwo i nadmiar pańszczyzny oprócz innych danin i posług wynędzniły więc chłopa [1] i obcy przedstawiali tę przerażającą nędzę. Pomawiano ich albo o przesadę, albo o łatwowierne powtarzanie tego, co ktoś przed nimi zapisał, ależ obcy trafnie spostrzegali, bo nie uszedł ich uwadze lepszy byt chłopa polskiego niż ruskiego i litewskiego (t. j. białoruskiego, bo na Żmudź nie zaglądali). Druga połowa XVIII wieku złagodniała widocznie, przewiewały ją nowe idee ludzkie i najwykształceńsi z magnatów, Andrzej Zamoyski, Chreptowicz, Anna Jabłonowska, Stanisław Poniatowski (dla 400.000 chłopów!), Szczęsny Potocki, biskup Massalski w Ihumeniu, Paweł Brzo-

[1] Chłop płacił nawet «handlowe» osobne za możność sprzedaży swego zboża poza dworem, przynajmniej na Litwie wschodniej, gdzie system folwarczny był mniej rozpowszechniony.

stowski w Pawłowie-Mereczu okazali się dobrodziejami dla niektórych lub wszystkich swoich poddanych, chociaż trapili ich nieraz (np. Brzostowski i Jabłonowska) swojemi wymysłami, a chłop wolał stare ciężary, niż nowe ulgi, którym niedowierzał, i słusznie, bo te ulgi nie obowiązywały i dziedzic nowy lub nowy nabywca poprostu je ignorował (w Mereczu np. nic z nich się nie ostało). Jeżeli nie chcemy wierzyć obcym, wystarczy przypomnieć, co Staszyc w *Uwagach* lub Krasicki w *Panu Podstolim* (o wsi zapuszczonej) wypisali.

Konstytucja Majowa została więc daleko w tyle za *Zbiorem* Zamoyskiego, nie mówiąc o spółczesnej publicystyce, która w mnóstwie pism nierównie więcej dla chłopów wymagała (jedyny kasztelan Jezierski nie wtórował ogólnemu chórowi; wedle niego w broszurze *Wszyscy błądzą,* chłopu bardzo dobrze!). Na uniewinnienie Sejmu Wielkiego można przytoczyć, że jego uwagę pochłaniały skarb i wojsko, nie sprawy ekonomiczne ani społeczne, ale uporał się z miastem i okazuje się słuszną ogólna uwaga, że trudno, aby obszarnicy sami (by użyć terminu «galicyjskiego») zdobywali się z własnej inicjatywy (pominąwszy szlachetne a bogate jednostki, które stać było na podobny zbytek humanitarny), na uwolnienie, a cóż dopiero na uwłaszczenie chłopa: z reguły wdawały się w to dopiero rządy, nie krępowane osobistym interesem.

Uniwersał Połaniecki w grę nie wchodzi; nie był wynikiem ewolucji, lecz rewolucji i z rewolucją zginął; jednem pociągnięciem pióra skasował go jenerał rosyjski. Pozostała więc w pełni nieufność i niechęć chłopa, ale nienawiści nie było (tylko w zaborze austrjackim psuł się znaczniej stosunek dworu i gromady przez agitację domorosłych demagogów, którym rząd nie przeszkadzał). Nie powtarzały się w Polsce zjawiska rosyjskie, bo nie znęcano się nad chłopem; o takiej Sałtyczyszy nie było w Polsce i słychu. Lecz i tu zalewał się Ursynek łzami, gdy ojciec odsyłał Jana kucharza, okutego w dybach, szlachcicowi, dopomi-

nającemu się o wydanie zbiega pod grozą procesu i tylko o łagodne obejście się z nim listownie prosił. Nie miał chłop własności, był zato własnością; pracował więc jak najmniej i jak najgorzej.

ŻYDZI

Jak kwestji włościańskiej, tak nie rozwiązała nowa doba i żydowskiej. Nie podnoszono jej wcale przez pierwszych lat kilkanaście; panowało ogólne przekonanie o szkodliwości tego mola, niszczącego wsi i miasta, o potężnej władzy kahałów, broniących każdego żyda z zasady, a silnych protekcją pańską, drogo okupywaną, o niemożliwości zaradzenia złemu. Z tem łączyła się wzgarda i nienawiść przeciw żywiołowi, który mimo pięciowiekowego współżycia, nie zdołał się oswoić ze spółobywatelami, pozostał im obcy teraz jak w dzień pierwszego przybycia. Żydzi polscy łączyli się zato z niemieckimi i służyli najwierniej Fryderykowi II; przez nich otrzymywali Prusacy najpewniejsze wiadomości np. o wojskach rosyjskich, ich ruchach i składach. Odpłacano im dawnemi niedorzecznemi przesądami, które wskutek zamknięcia świata żydowskiego nie dawały się wykorzeniać.

Dziś mieszka w Polsce niemal trzecia część żydostwa europejskiego; przed r. 1773, t. j. z Białorusią i Ukrainą, była Polska głównym jego zbiornikiem, ale w dziejach samego żydostwa liczbie żydów polskich bynajmniej nie odpowiadało ich moralne i umysłowe znaczenie. Były śród nich różnice: rozprószeni na Ukrainie, skupiali się na Białej Rusi po miasteczkach i podlegali bezpośredniej wpływom rabinów i kahałów, nie wyłamywali się z pod panującej aury talmudowej, ale czy nieco okrzesani, czy zupełnie pierwotni, żyli odrębnem życiem i zgóry sprzeciwiali się jakimkolwiek odmianom; wymagali, aby ich zachowano przy osobnym stroju (broda, pejsy, łapserdak, chałat), przy szwargocie niemiecko-żydowskim, przy przebieraniu w koszernych napojach, pokarmach, naczyniach kuchennych, przy

autonomji gminnej, przy nędznym zarobku; próby osiadania i pracy na roli zawiodły zupełnie i mimo ponętniejszych widoków ledwie kilkanaście rodzin na to się zdobyło; ale i Józef II nie osiągnął z podobnych prób lepszych wyników.

Przy całkowitym braku jakiejkolwiek stałej polityki, niemożliwej wobec państwa zdanego na niełaskę sejmów, nikt się w Polsce o żydów nie troszczył, chyba dla stopniowego podwyższania pogłównego; było tak samo i poza Polską, ale tam wobec drobnej ilości żydostwa sprawa bywała obojętną, piekącą w Polsce. Więc jak było za Sasów, tak pozostało i za Stanisława Augusta, chyba że już r. 1764 zniesiono owe *waady*, dawne «sejmy» żydowskie, i usunięto przez to ostatnie resztki jakiejś centralizacji; odtąd każdy kahał rządził się samowładnie. Dawna wzgarda i nienawiść objawiała się na każdym kroku, począwszy od niesfornej młodzieży, turbującej żydów szczególnie około Wielkiej Nocy, aż do rad sławetnych, wydalających ile możności żydów z miast na wieś do karczem. *Zbiór praw sądowych* Zamoyskiego również nie wnosił poprawy: owszem, uważał tylko tych żydów, co mogli się wykazać posesją czy zarobkiem stałym, za niejako uprawnionych, a nieosiadłych z kraju niemiłosiernie wyświecał, neofitom zaś tak mało zawierzał, że im rozmowy z żydami dozwalał tylko w obecności świadka-chrześcijanina! Dopiero Sejm Wielki jął się sprawy, a wraz z nim spółczesna literatura polityczna. Ta była podzielona; to podnosiły się głosy wyraźnego antysemityzmu, np. zjadliwy *Katechizm o żydach i neofitach*, albo polujący na skandale *Sekret żydowskich przewrotności* (co miesiąc innych); to poraz pierwszy dawały się słyszeć łagodne i ludzkie głosy, głównie posła Butrymowicza, wybranego też do komisji ustanowionej przez sejm dla poczynienia wniosków w tej sprawie. Głosy napastliwe nie znalazły w sejmie echa, duch widocznie złagodniał a głównem pytaniem stało się, jakby żydów uobywatelić, jak przebić mur między obu narodami? Żądano zniesienia osobnego ubioru, żargonu, szkoły

(chajderu), klątwy rytualnej (chajremu); wymagano języka polskiego w zarządzie gminnym, szkoły publicznej, spólnego opodatkowania (zamiast pogłównego), ograniczenia kahału jedynie do spraw obrządkowych. Ale nawet oświeceni żydzi, przyklaskujący Butrymowiczowi, stanowczo się «reformie» sprzeciwiali, nie wdawali się w żaden kompromis. Tendencja ogólna skłaniała się do jakiegoś równouprawnienia, ale nie doszło do rozpraw, bo nie zdążono już przedłożyć projektu komisji Izbie sejmowej.

W życiu układały się stosunki nieco inaczej. Sułkowski i Poniński osadzali żydów za okopami warszawskiemi, w Nowym Jeruzalemie, skąd żydzi do miasta się wkradali i mieszczanom w handlu i przemyśle szkodzili. Stanisław Lubomirski, marszałek w. kor., który miasta jako siedziby królewskiej dozorował, rozpędził Nowy Jeruzalem, rozrzucił domki, a towary skonfiskował na wysprzedaż, wracając żydom pieniądze. Ale podczas sejmu wracali żydzi do miasta, osiedli w liczbie kilku tysięcy Marywil i inne dzielnice i dali się tak mieszczaństwu we znaki, że przyszło r. 1790 do pogromu, ograniczonego rozbojem po kramach. W ciągu panowania Stanisławowego wydawano nieraz ostre przepisy, ale najmniej wiązała się niemi szlachta, nie mogąca się obywać bez żydów. Urząd marszałkowski wyciągał zresztą piękny dochód od nich, bo wystawiał co kilka dni bilety wolnego pobytu za drobną opłatą, która dawała rocznie zwyż 200.000 złp. A z jakiemi «pocztami» obchodzili żydzi panów! Jeżeli więc i literatura i prawodawstwo (Zamoyskiego) domagało się spędzania żydów z arend i dzierżaw, aby bronić przed nimi włościan, to szlachta ani myślała się ich pozbywać i tylko tu i ówdzie właściciel (szczególnie duchowny) tego dokonał.

Klęską dla żydów był po pierwszym rozbiorze napływ wydalanych przez rząd rosyjski i austrjacki z Białorusi i Galicji; opiekowały się nimi kahały i długi ich wzrastały niepomiernie.

Trafiali się między żydami nawet znaczni bogacze, w Warszawie Szmul Zbitkawer Jakubowicz (po nim Szmulowizna na Pradze nazwana), co i filantropem bywał, chrześcijanom pomocy nie odmawiał. Z reguły czuł się żyd tak obcym, że nie uznawał ojczyzny żadnej i tylko przed silniejszym się korzył, więc Rosjanom, Austrjakom, Prusakom chętnie sługiwał i ci dobrze wiedzieli, że mają w żydach wiernych sprzymierzeńców i najlojalniejszych obywateli. Wyjątki były nader rzadkie; należał do nich Berek Josielowicz, który otrzymał r. 1794 pozwolenie zaciągu na pułk lekkokonny starozakonny i nawet zaliczkę małą na koszta, ale pułku, zdaje się, wcale nie wystawił; lecz i jego odezwa do spółwyznawców nie mówiła nic o Polsce, polecała tylko, skoro panowie Polacy, mający wszelkie prawa, o wolność większą się dobijają, więc dlaczegóż i nam o tem nie myśleć?

O powolnej asymilacji, jaka Butrymowiczowi przyświecała, której spólne szkoły publiczne dokonaćby miały, żydzi słyszeć ani chcieli, sami między sobą rozdwojeni, nie tyle z powodu małej garstki Frankistów, jak nierównie większej chasydów, t. j. pobożnych. Chasydyzm był koniecznym niemal odruchem pognębionego uczucia religijnego, zachwaszczonego zupełnie przez talmudyzm, który się w scholastykę średniowieczną i formalizm suchy wyrodził, subtelną kazuistyką bezpośrednią religijność wymroził. Nieuczony żyd podolski, Izrael bal Schom (imię skrócono na Beszt), zmarły w Międzybożu r. 1759, wywołał ten ruch (u nas, nie rozróżniających *ch* i *h*, najmylniej *husyckim* przezywany); on porzucił sofistykę talmudową, oddawał się gorącym modłom z głośnym krzykiem i gwałtownemi ruchami, wpadał w formalną ekstazę, udzielającą się i zwolennikom, podkrzepiając ją też alkoholem; podkreślał wobec tragicznego synagogi, własny wesoły i ufny nastrój; gdy mu się udawały leki i przepowiednie, zebrał (pastuch i handlarz końmi, nie uczony) grono spółwierców, na Ukrainie, wolnej od wyłącznego talmudyzmu, stale się zwiększające; po nim zasłynął uczeń jego, Beer,

w Międzyrzeczu (zmarły r. 1772) i inni. Z Ukrainy przedostawał się ten ruch ludowy, masowy i na Litwę, srodze prześladowany i wyklinany przez rabinów-talmudystów, którzy i denuncjacji wobec rządu nie unikali. Nie skutkowało to jednak; gmin wierzył ślepo w cudotwórców, «cadyków» (pobożnych), których całe dynastje od Beera i in. się wyroiły (najsłynniejsza w Sadogórze na Bukowinie, dziś jeszcze w Bełzie) i ruch ten niemal pietystyczny, a zawsze fanatyczny, owionął w dziewiętnastym wieku, w pierwszej jego połowie, niemal połowę żydostwa polskiego i litewskiego; znacznie osłabł dopiero w czasach późniejszych, gdy większy postęp ujawnił niedobory myślowe, sztuki szalbierskie, ślepy fanatyzm niekulturalnego środowiska.

Drobne rysy obyczajowe były te same, jakie znamy z literatury XIX wieku, od *Pana Tadeusza* do szkiców Junoszy i in. Szlachcic nie mając własnej muzyki, sprowadzał muzykantów żydów z miasteczka; «orkiestr składał się z cymbałów, skrzypców i basetli; cymbały najwięcej czyniły hałasu, pejsaki żydowskie trzęsły się nad niemi okropnie». Z miasteczka sprowadzano żydów krawców do robienia sukien dla familji. Co piątek mnóstwo wózków żydowskich przelatywało przez Skoki Niemcewiczów do Czarnawczyc krajczego lit. M. Radziwiłła: *kapcany* lecieli tam na *boruchy*, suty *łokszyn*, szczupaki i *kugiel*. Nie brakło prób nawracania: dominikanie w Brześciu spędzali żydostwo do kościoła na nauki ks. Obłoczyńskiego, słynnego kaznodziei, ale ten przymus rozjątrzył ich i gdy ks. Obłoczyński chorować zaczął i umarł, pomawiano żyda cyrulika o otrucie. Inni przy byle sposobności, w karczmie, śród krawców sprowadzanych, «nawracali» żydów, dowodzili z proroków, że Mesjasz przyszedł, a gdy żyd odparł, że katolicy sfałszowali teksty, brał się mu stary Niemcewicz do pejsów; księża nie wyganiali żydów z kraju, w nadziei, że ich nawrócą!

POLACY NA OBCZYŹNIE. STOSUNEK DO SŁOWIAŃSZCZYZNY I ROSJI

Po stoletniej przerwie (1650—1750) odżyło dawne podróżnictwo, ale zmieniło drogi i cele.

Do r. 1648 podróżował młody Polak, nieraz chłopię jeszcze, na zachód dla nauki, ogłady, wiary; setki wabiły uczelnie niemieckie, tysiące Padwa i Bolonja. Pod koniec XVI wieku ściąga młodzież studjującą także Rzym dzięki rozgłosowi papieskiego uniwersytetu, t. zw. *Sapienzy*, bo teraz coraz wyłączniej duchowni wybierają się za Alpy, im zaś dawał Rzym nierównie więcej, niż teoretyczna nauka prawa kanonicznego w Padwie i Bolonji; w Rzymie przystępowała do teorji praktyka, bo profesorami bywali adwokaci konsystorjalni i udzielali nawet prywatnie nauki; zawiązywano też poza Sapienzą znajomości i stosunki, cenniejsze nieraz niż nauka sama. Rzym wabił nadto przez *Hospitium* św. Stanisława, fundację kardynała Hozjusza, pierwotnie pojętą jako przytułek dla pielgrzymów, przybywających z Polski na jubileusz r. 1575, następnie jako konwikt dla uczącej się młodzieży. Wprawdzie i Sapienza i Hospitium nie rozwijały się wcale w ciągu XVII wieku, zastój tu i tam był widoczny, mimo to zatrzymał Rzym tradycyjne znaczenie jako środowisko nauk duchownych; całe wybitniejsze duchowieństwo XVIII wieku przechodziło przez Hospitium i Sapienzę: Załuski, Sołtyk, Sierakowski, Krasicki, Podoski, Młodziejowski, Massalski, Szeptycki, Kołłątaj i t. d.; wyjątkiem był prymas Ostrowski, który w Rzymie nie bywał, języków obcych nie znał. Fundusze jednak, nie wspierane należycie przez kraj, tak podupadły, że zakład pozbył się swej dawnej autonomji i wybrał biskupa krakowskiego na swego protektora-zarządcę; za Stanisława Augusta podpadł pod kuratelę poselstwa polskiego przy kurji, a z końcem wieku w zaburzeniach rzymskich zgasł zupełnie. Jak dla duchownych Sapienza, *Collegium Romanum* jezuitów, *Collegium Nazarenum*

pijarów (zakonnicy nie mogli gościć w Hospitium), tak dla malarzy Akademja św. Łukasza, o charakterze niemal międzynarodowym, a z celem utrzymania sztuki rzymskiej na wysokim poziomie XVI wieku, nieprzeparty wywoływała urok; o Polakach, jej uczniach, zob. niżej.

Także i świeccy poddawali się temu urokowi: dla nich Rzym starożytny, acz zawalony gruzami (z Forum Romanum pole krowie!) niezapomniane budził wrażenia (wystarczy przypomnieć Staszyca), a obok tego nęcił i nowy Rzym jako zbiorowisko dyplomacji, wszelkich możliwych interesów, i najlepszego międzynarodowego towarzystwa. Tu żyła cała rodzina Sobieskich z Marysieńki ojcem-kardynałem; tu zjeżdżali panowie polscy, Zamoyscy, Czartoryscy i in., a niejeden z nich — rzecz dawniej niesłychana, zostawił opis nie tylko miasta i jego kościołów. O śś. relikwjach, o czem u naiwnych turystów XVI i XVII wieku, u Rywockiego i Zawiszy, nie było mowy — imponował wyłącznie św. Piotr i przepych wielkanocnych obrzędów, zato zaciekawiały tajemnicze nieco, osobliwsze urządzenia państwa Kościelnego i jego gospodarka; inny turysta opisywał dzieła sztuki, mianowicie antyku. Michał Jerzy Mniszech, późniejszy marszałek w. kor., który Warszawę uporządkował, zostawił *Observations sur Rome et l'Italie faites depuis le 15 octobre au 15 décembre 1767* w rękopisie, nie wydanym dotąd: młodzieńca zajęły pytania ekonomiczne, widoczny upadek kraju, wynędznienie ludności pomniejszającej się stale, nadmiar duchowieństwa. Z młodzieńczą porywczością, nie pytając o środki, rozwiązywał te pytania, jak wskrzesić rolnictwo, pomnożyć dochody kurji, żeby się nie oglądała na cudze zapomogi: ale to były całkiem platoniczne zakusy (dać chłopom grunta za czynszem i t. p.), nie obowiązujące do niczego; — w kraju, acz się Mniszech nadal wedle świadectwa ks. Mably ekonomiką bawił, o żadnej reformie poddaństwa i pańszczyzny ani się nie zająknął, chociaż skutek był ten sam, który go uderzył w Kampanji rzymskiej, t. j. konieczne ban-

kructwo takiej gospodarki. Stan. Kostka Potocki (po latach minister oświecenia w Królestwie Kongresowem) w swoich trzykrotnych podróżach po Włoszech *(Voyage en Italie*, również niedrukowane), o dziełach i rzeczach sztuki się rozpisywał, znawca i krytyk poniekąd rewelatora antyku, Winckelmanna. Grzegorz Piramowicz rozpisywał się o osuszeniu bagien pontyjskich.

«Przeciętnie przybywało z Polski do Rzymu od 250—400 osób, a nawet więcej rocznie. Lata jubileuszowe albo kanonizacje świętych narodowych, św. Stanisława Kostki (1726 r.; Hospitium tak finansowo zniszczało, że nie brało niemal udziału w uroczystościach, odbytych za pieniądze jezuitów, uważających Stanisława Kostkę za swego wychowanka), św. Jana Kantego (1766) gromadziły większą ilość pielgrzymów». Arystokracja bywała stale licznie reprezentowana, obaj Potoccy, Hylzen, wojewoda mścisławski (który tu umarł), Paweł Brzostowski, księżna marszałkowa Lubomirska, Stanisław Poniatowski (syn eks-podkomorzego) i in. Panowie i panie oddawali się modnemu kolekcjonerstwu i padali ofiarą sprytnych handlarzy; August Moszyński, stolnik w. kor., który dla króla zakupywał sztychy, medale, gemmy, pisał np. o pani marszałkowej: «okrutnie wiele gałganów nakupowała, co i wywozić nie warte; dopiero postrzegłszy się teraz lepsze rzeczy kupuje». Podobnie skupował Stanisław Poniatowski antyki prawdziwe i podrobione; inaczej St. Potocki, który i sam wykopaliskami się bawił i znakomity zbiór waz etruskich i 48 obrazów wielkiej sztuki do kraju wywiózł.

W polskiem towarzystwie rzymskiem skupiały się stale wszelkie obozy: zwolennicy Leszczyńskiego i Augusta III, stronnicy królewscy i zażarcie go zwalczający, arystokraci i «demokraci», masoni i nabożni, patrjoci i kosmopolici, jak mason Hylzen, który się ekspatrjował, w kościele francuskim dał się pochować, a majątek (resztki) dziewczynom rzymskim przeznaczył, ale szczególniej kuzyn królewski, Stanisław Poniatowski, postępowiec, skoro barszczan bandytami przezywał, a chłopów swoich

korsuńskich z poddaństwa uwolnił, ale przeciwnik konstytucji majowej (dziwaczna niekonsekwencja, nie rzadka w głowach polskich), Polskę, gdzie się «czuł jak w piekle», porzucił, wszystko sprzedał i żył najpierw w Rzymie, potem we Florencji aż do śmierci 1833 r. Inny całkiem typ, to młody Juljan Ursyn Niemcewicz, który bawił w Rzymie z młodym Sołtykiem r. 1782, a powtóre r. 1793, jak inni, dla rozerwania smutnych myśli; pierwszym razem ledwie przybył, poleciał okurzony z drogi natychmiast do św. Piotra, «najwspanialszego w świecie gmachu»; za drugim razem na wiadomość o powstaniu «ułożył swoje manatki» i popędził do kraju.[1]

Gdy do Rzymu podróżowali głównie duchowni, w celach nauki i karjery, pielgrzymi z pobożności (liczni stosunkowo neofici), a wielki świat dla towarzystwa, zwracał się główny prąd podróżnych na Zachód, do Francji, rzadziej do Anglji i Holandji; do Wiednia, Berlina, Petersburga ciągnęły wszelkie inne widoki prócz turystycznych. Dla świeckich był Paryż tem, czem Rzym dla duchownych i artystów, ale wyjątkowo przybywano dla nauki, jak Kołłątaj, Staszyc lub Śniadecki, przeważnie dla użycia, mody, poloru. Ci turyści nie spowiadali się z swoich wrażeń, ale inni za nich to czynili i opowiadali, tak Krasicki w *Doświadczyńskim*, jak anonim w *Polaku w Paryżu*, co panicze po-

[1] Szczegóły powyższego ustępu zawdzięczam znakomitej, na studjach archiwalnych i pamiętnikarskich opartej pracy Macieja Loreta: *Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku*, str. 384 (1930); praca sięga i wstecz, do XVI wieku; z pamiętników prócz wymienionych w tekście, korzysta między innemi z naiwnych Sarmaty Zawiszy o różnych dewocjonaljach, głównie z r. 1700 i 1701, i dewota ks. kanonika Pstrokońskiego z r. 1768, smakosza, nie mogącego się dosyć nachwalić taniości i dobroci wiktualów i win rzymskich, a nawyrzekać na «nabywanie poloru» przez młodzież polską, tracącą czas na teatr, przechadzki, plotki i intrygi przeciw własnym rodakom: dawne to skargi na «Romipetów»; skutki podróży dobroczynne, ale należy ją podejmować w dojrzalszym wieku, jak to autor uczynił.

rabiali, jak ich szulerzy, panienki i lichwiarze obmotywali — aż do więzienia za długi. Niewiele lepsi byli ci, którzy naczytawszy się paru książek i nasłuchawszy kilku imion, pomiatali wszystkiem domowem i onieśmielali parafjan filozofami i swą mniemaną mądrością (zabawny, acz strasznie przesadny obrazek dał Krasicki w znanej satyrze). Przywozili mody, egzaltację paryską sielankową i patetyczną (księżna Nassau-Siegen, z domu Gozdzka, na widok pożaru swego pałacu deklamowała wiersze Dydony z opery), służbę i guwernantki (nad czem biadał generał ziem podolskich, znający z doświadczenia, jak niewysokiej próby bywały opiekunki młodego pokolenia), znajomość gruntowną języka (nie umiejący go był chyba dziwakiem), a powierzchowną literatury. Każdy Polak, z nazwiskiem na *ski, cki,* póki brząkał trzosem, był hrabią; zawiązywała się sympatja, u Paryżan wcale nie bezinteresowna, marzeniem zaś Polaka było dobić się przedstawienia u dworu albo choćby u książęcia krwi, żadnej na to nie skąpił ofiary; odwiedzał nawet Jana Jakóba Rousseau, chociaż księżna Izabela miała o nim bardzo niejasne pojęcia. Za powrotem zupełnie sfrancuziały turysta stawał się wymownym chwalcą wszystkiego co francuskie — z wyjątkiem naturalnie polityki i wojska (w którem niejeden Polak chętnie służył), bo te naprowadzałyby na bardzo smutne uwagi.

Wycieczki nie wybiegały zazwyczaj poza Paryż na zachodzie, a na południu poza Rzym, Neapol (i Bari, dla kultu św. Mikołaja, szczególniej przez ruskich bazyljan czczonego); ustały nawet pielgrzymki do Ziemi św., chyba bernardyni lub reformaci jako kustosze Ziemi św. wysyłali księży misjonarzy na wschód na kilkuletnie misje, lecz żaden z nich nie spisał swych wrażeń, z wyjątkiem gwardjana kalwaryjskiego o. Hieronima Lisowskiego, który zostawił w rękopisie *Krótkie opisanie niektórych miejsc świętych* z r. 1744, i bernardyna-Litwina ks. Antoniego Burnickiego w latach 1762—1765 *Diarjusz drogi* i t. d., ale oba opisy są zbyt suche; do druku dostała się tylko ks. reformata

Józefa Drohojowskiego *Pielgrzymka do Ziemi św., Egiptu itd., odbyta w r. 1788—1791, pobożno ciekawej publiczności ofiarowana* (po śmierci autora wydana r. 1812 w dwu tomach), bardzo szczegółowa, lecz, mianowicie w drugim tomie, erudycją, zamiast obserwacją własną wypełniona; na Wschodzie spotkał dwu Polaków, bernardyna Barcikowskiego w Trypolisie i p. Uszko z Królewca, nadto dwu pielgrzymów, ruskich chłopów ks. Jabłonowskiego, idących pieszo do Jerozolimy.

Jedyny *globetrotter* w tym wieku, to Jan Potocki, osobistość nadzwyczaj ciekawa i oryginalna, dotąd w całości swej wcale nie ujęta — są tylko uwagi o jego pracy historycznej i romansowej; brak oceny jego osoby, turystyki i polityki.[1] Pozostał po nim m. in. ciekawy i żywy opis Maroku, pierwszy pióra Polaka, nie zadowalający się cechami zewnętrznemi, lecz doszukujący się ich przyczyn i związku; inne literatury europejskie nie znały wtedy nic lepszego; Afrykę północną i Hiszpanję zwiedzał dokładnie; jego powieści wschodnie i romans hiszpański, to nie Wolterowe ani Krasickiego wycinanki, lecz oddychały rzeczywistym wschodem i południem; znał on równie dobrze Zachód, północne Niemcy i Holandję, a nie od niego zależało, że poselstwo rosyjskie do Chin, do którego się przyłączył, celu nie osiągnęło; znał i Syberję i Kaukaz niezgorzej i zarzucał go pytaniami o nie ks. generał podolski.

Jan Potocki, były oficer austrjacki i generał wojska polskiego, poseł na Wielki Sejm z Poznańskiego, właściciel «dru-

[1] Engeström, który tak jak Jan Potocki i «patrjoci» dał się Lucchesiniemu wywieść w pole (słuszniej nazwał Gurowski tabakierkę złotą, którą król pruski jego usługi odznaczył, «puszką Pandory»), uważał go za «narwanego« *(fou)*, ale przytoczył cały jego «katechizm grzeczności», jaki on przeciw grubiaństwu Stackelberga sarkastycznie wypisał. Są i u Koźmiana przyczynki do jego biografji. Potockiego *Voyage en Turquie et en Egypte fait en l'année 1784* (polskie tłumaczenie r. 1789) omówił prof. J. Bystroń, *Polacy w Ziemi św., Syrji i Egipcie 1147—1914*, Kraków 1930, str. 77; opis to nieco powierzchowny w formie listów.

karni wolnej», śród piętnastu Potockich masonów jeden z najznaczniejszych, deista jeśli nie ateusz, przewyższał wiedzą i inteligencją wszystkich magnatów, był nietylko trybem całego wieku encyklopedystą, ale wyspecjalizował się przez jakiś czas na sławofila. Nie w znaczeniu politycznem, bo należał do partji «pruskiej» i niedarmo w Rheinsbergu u równego dziwaka, brata Fryderyka II, gościł, ale on u nas pierwszy dzieje całej dawnej słowiańszczyzny, nierównie gruntowniej niż w Naruszewicza rękopisie I tomu *Historji*, zbadał i zestawił i wydobywał ślady słowiańszczyzny w północnych Niemczech: wydał pierwszy ryciny mniemanych bożków słowiańskich prylwickich. Obok Jana Potockiego jedyny ks. generał podolski Słowiańszczyznę jak i cały Wschód ogarniał, chociaż i on od wszelkiego rusofilstwa już jako feldmarszałek austrjacki («uwięziony» jako taki przez Józefa Poniatowskiego 1809 r.) był zupełnie daleki; badania nad językiem, słownikiem polskim w szerokie ramy słowiańskie wstawiał. Trzeci magnat, Aleksander Sapieha, dopiero na początku nowego wieku pracę nad Słowiańszczyzną (tym razem południową) zagaił.

W szerszych kołach nic o Słowiaństwie nie wiedziano; że partja rosyjska, t. j. król z dworem i Trembeckim, z kilku magnatami (Szczęsnym i Branickim) za Rosją gardłowała, niewiele dowodziło, tem bardziej, że jedyny Trembecki słowiaństwo germaństwu przeciwstawiał i pierwszy wyraźnie sławofilstwo podkreślał, Semiramidę północy wielbił i w oparciu się o potęgę rosyjską zbawienie Polski upatrywał. Około r. 1780 uchodziła Polska w Europie za niewolnicę rosyjską, Warszawa była w jej oczach przedmieściem Petersburga i młodzież patrjotyczna gniewała się i wstydziła tej zależności i parła do niepodległości, którą tylko przeciw Rosji można było odzyskać. Rosjanie sami przyczyniali się walnie do tej niemal żywiołowej nienawiści; Orłowy, Paniny, Repniny, Zubowy byli zaklętymi wrogami, nietylko z widoków obławiania się konfiskowanemi majątkami polskiemi. Rep-

nin brutal uważał się za rządcę Polski (dałem mu starostwo bełzkie, mawiał); senatorów kazał porwać; gdy w towarzystwie zagadnięto, czemby się kto dla wyżywienia zajmował, gdyby utracił stanowisko (Młodzianowski by bakałarzował), a król nie wiedział, coby miał poczynać, «zostań tancmistrzem», poradził mu Repnin. Stackelberg był przyzwoitszy, chociaż i on nie zawsze od stolika i kart wstawał, gdy król przychodził i kpił ze wszystkich (miał ulubione ofiary od tego, np. Unruga, dyrektora mennicy), ależ on i swoich Rosjan bydlętami nazywał. Rosjanie, nawet obojętni, szydzili wyraźnie, np. Potemkin polecał, aby Smuglewicz odmalował ogłoszenie konstytucji (majowej), niech tylko obraz upstrzy niezapominajkami! Wielki świat lgnął do Rosjan, czy z musu, czy z dobrej woli; jeszcze przed pierwszym rozbiorem, r. 1768, obchodził cały Lwów z najżywszą czcią daty Katarzyny; starościna Kossakowska wydała wspaniały obiad (w ręce Kreczetnikowa). O amorach Repnina, Stackelberga i in. rozgłos był donośny;[1] gdy młodziutka Krystyna Radziwiłłówna w dobranem towarzystwie ślicznie kozaka tańczyła, wołał Kaz. Sapieha jak na teatrze: «Autora! Autora!», a złośliwy Hailes go zapytał, czy tak wam tęskno za — odwołanym już — Stackelbergiem? bo głoszono, że Krystynka, to córeczka małego, otyłego, a żarłocznego ambasadora. Nie oszczędzano i Rosjanek, co za magnatów powychodziły, np. siostrzenica Potemkina, a żona Branickiego; kursowała korespondencja jej z posłem Suchodolskim; ona do niego po rosyjsku, on odpowiadał po francusku i kończył dwuwierszem:

Une chose, qui m'est à contre coeur...
C'est que je ne suis si franchement traître comme votre mari.

Najgorzej zawiódł się król sam na carowej; on może przypuszczał, że zdobył jej serce, ależ ona miała tylko zmysły i byle

[1] Miała więc Ludwika Śniadecka liczne poprzedniczki: jednej, wiekowej, nie mógł się Koźmian (I, 308) dosyć nadziwić; uszła do Paryża z generałem Baurem.

kto dorodny zastąpił jego miejsce; na Dnieprze rozgniewała się niemal, gdy ją błagał, aby trzygodzinne spotkanie (które go dwa miljony złp. kosztowało) raczyła przedłużyć na trzy, na dwa, na jeden dzień — daremnie! Zawrzała złością, gdy on się do patrjotów przyłączył, nazwała go najniewdzięczniejszym z Polaków i mściła się na nim, jak tylko kobieta mścić się zdoła.

Tak było u góry; w niższych sferach spotykano się swobodniej tylko śród wolnomularzy; jeszcze niżej i szerzej panowała już tylko nienawiść przeciw «Kozuniom», którzy pustoszyli kraj bezkarnie, a rzezią Pragi przebrali już wszelką miarę okrucieństwa; dalej pogarda jawnego barbarzyństwa, poczynając od Suworowa, a kończąc na byle praporszczyku. Za Sejmu Wielkiego fala nienawiści wzbierała gwałtownie ku zadziwieniu króla samego i obcych; ale przecież starczyło jeszcze, by Stackelberg zachmurzył się na Engeström (rezydenta szwedzkiego), aby natychmiast wszystkie salony się przed Szwedem zawarły; następca Stackelberga, Bułgakow, siedział już jak w więzieniu, nikt przyzwoity go nie odwiedzał. Odmieniło się to znowu za Sieversa i Igelström, nakręcających marjonetki polskie, jak Stackelberg swego czasu, tylko opozycja objawiała się nierównie silniej niż r. 1773: naród rósł i szlachetniał widocznie.

NA SYBIRZE

Że Czesi wyłącznie lądowcy i nic ich nigdy na morze nie wabiło, rozumiemy, ale my stykaliśmy się z morzem i na wybrzeżu pruskiem i u Połągi, a przecież pozostaliśmy takimi samymi lądowcami; zakusy Zygmunta Augusta i Władysława IV, poronione zresztą, nie znalazły w narodzie żadnego odgłosu; monopolu Gdańska nic nie naruszyło. Nie dbając o morze, nie zaznaliśmy też nigdy febry kolonjalnej, która od XV wieku zachodem trzęsła; nie było też poza obrębem etnograficznym

i państwowym nigdy kolonij polskich, z jednym wyjątkiem, poniewolnym niestety.

Bo oto rozsiadła się na dalekim Sybirze diaspora polska, drobne, zwarte kolonijki, częściej luźne osobniki, a wszystko przymusowe. Jeńców wojennych, «przestępców» politycznych, nieraz i lud spokojny wywożono i osiedlano na Sybirze; amnestje częściowe lub masowe wracały nieraz całe zastępy ludzi, którzy się w dziejach kultury sybirskiej niezgorzej zapisali. Kulturalni, wnosili w otoczenie, nieraz bydlęce, zadatki oświaty i moralności; działali jako nauczyciele, muzycy, rękodzielnicy a głównie lepszą uprawą roli, jeśli ich nie wcielano gwałtem do rot kozackich; w rozsypce wsiąkali czasem, przez ożenek, w otoczenie, wyzbywali się wiary, przyjmowali prawosławie już dla braku opieki duchownej, bo wyjątkiem był ksiądz kapucyn Głębocki, co z ołtarzem skrzynkowym na saneczkach po Syberji czterdzieści lat rozjeżdżał, niosąc zesłańcom, ich «ojciec pocieszyciel», słowa zbawienia (umarł r. 1798 w Tobolsku).

Już w XVI wieku rozpoczęły się, za Groźnego, gwałtowne przesiedlenia jeńców polskich na wschód, na razie do Moskwy; w XVII już nie jeńców tylko wojennych, lecz i lud spokojny porywano i zmuszano do wędrówki dalekiej, niebawem na Sybir; w traktatach pokojowych zastrzegano wprawdzie wymianę jeńców, ale Moskwa nadzwyczaj się z tem ociągała, wydawała starców i dzieci, dorosłych zatrzymywała; posiadamy nawet *Diarjusz więzienia moskiewskiego* Adama Kamieńskiego Dłużyka, pojmanego r. 1637, wywiezionego z innymi Polakami do Jakutów i nad Lenę, skąd wrócił za staraniem posłów do Polski i zostawił treściwy pamiętnik o tem, co widział i słyszał; już się roiło miejscami, np. w Tobolsku, od Polaków, zapisanych w dziejach sybirskich nietylko jako kolonizatorowie, lecz i jako obrońcy kraju przeciw napadom obcym; po wielu z nich tylko imiona ocalały i tradycja sybirska, bo nas samych na pismo nigdy nie było stać. W XVIII w. wzrosła nadzwyczaj liczba wysiedleńców;

wywożono zwolenników Leszczyńskiego, a nierównie więcej konfederatów barskich, z którymi nieraz i hajdamaków pędzono; mówią o jakich 10 do 20 tysiącach. Wracali do kraju za amnestją Katarzyny II r. 1773, ale najwięcej, około 20.000, za ukazem cara Pawła z r. 1796. Moralnie, po największej części, stali wysoko nad otoczeniem i wyjątkowo zdarzali się między nimi szubrawcy; ale trapiła ich nostalgja i dla niej nie mogli łatwo zlać się z obczyzną, nie zważali też na nią jako niegodną ich baczenia (podobne stanowisko przezierało jeszcze w *Szkicach* Szymańskiego; Sieroszewskiego między nimi nie było ani uczonego Pallasa, coby o narodach sybirskich prawił). Wobec tego nie dziw, że nasza literatura sybirska XVIII wieku wcale uboga, bynajmniej nie odpowiada słusznym oczekiwaniom, mimo to niejedno z niej zasłużyło na wzmiankę.

Na nowego Kamieńskiego Dłużyka należało długo czekać. R. 1723 wyszła książka, której tytuł wszystko tłumaczy: *Tomasza a Kempis o naśladowaniu Chrystusa... przezemnie Jana Hieronima VonlarLarskiego, sędziego ziemskiego orszańskiego, na Moskwie w niewoli na polskie wierszami przetłumaczone z łacińskiego dla snadniejszego ludzi nieumiejętnych łaciny rozeznania* i t. d.[1] Tomasz à Kempis okazał się zbawczym i dla innego zesłańca, którego losy niemal typowe.

Ciwun retowski i pułkownik JKM., Ludwik z Bończe Sienicki, kalwin (matka Stankarówna!), należał wraz z bratem starszym, Krzysztofem do partji Leszczyńskiego na Litwie; pokusiw-

[1] Rodzina istniała w Rosji, ale złożyła w jedno oba imiona i nazywała się Wonlarlarskimi; jeden z nich był wybitnym powieściopisarzem w połowie XIX wieku i doczekał się nawet zupełnego wydania swych dzieł w kilkunastu tomach, ale pisał je śród orgij cenzuralnych, więc tak nieśmiało, rozwlekle a lojalnie, że o nich i o nim zupełnie zapomniano, gdy cenzura zwolniała. Przodek jego tłumaczył «dla folgi znośniejszego cierpienia niewoli», ale jej «mizerja i nędza» tłumiły mu «koncept i subtelność słów oraz kadencji».

szy się z nim o zdobycie rosyjskiej posyłki pieniężnej, oblężony w Bychowie r. 1707, kapitulował przed wielką przemocą, pięciu jenerałów podpisało umowę, ale jej nie dotrzymali; odstawiono ich w więzach do Moskwy, gdzie im na dzień kopiejkę (dla każdego) wypłacano; namawiano ich do wstąpienia do służby rosyjskiej, na co się nie zgodzili; gdy przejęto ich listy do Polski, skazano ich na Sybir, do Tobolska, gdzie uczyli łaciny syna wojewody Kalemina, mściwość jednak Augusta II dosięgła ich i tutaj, więc wysłano ich do Jakucka; Krzysztof po drodze nad Obem umarł, Ludwik żył tam do r. 1722, kiedy nadeszło uwolnienie. Kalwina zajmowały wierzenia narodów sybirskich i on pierwszy u nas krótko je spisywał: jak oni czczą za bogów wodę, ogień, niedźwiedzia czarnego i białego, łabędzia, orła itd.; ich bogowie silniejsi niż chrześcijański, bo znają przyszłość, którą szamani przepowiadają; usprawiedliwiają się przed niedźwiedziem czarnym, gdy go zabiją, że to sprawka rosyjska, rosyjskie bowiem i proch i strzelba. Lektura Tomasza à Kempis podważyła kalwinizm Sienickiego a dokonały przewrotu książka o nawróceniu Henryka IV na katolicyzm i rosyjskie tłumaczenie (kijowskie, drukowane w Moskwie) *Żywotów Świętych* Skargi. Spierał się potem o wiarę z popami i już myślał o przejściu na katolicyzm, gdy poseł Chomętowski wyrobił mu wolność, co uważał za znak łaski bożej i u kapucynów w Moskwie na Kukieju (t. j. w słobodzie niemieckiej) przejścia publicznie dokonał; ożenił się z katoliczką, Teresą Komorowską z Żywca, podkomorzanką wileńską, krewną arcybiskupa. Po 30 latach wydał u franciszkanów wileńskich (r. 1754) obszerną księgę: *Dokument osobliwego miłosierdzia Boskiego cudownie z kalwińskiej sekty pewnego sługę i chwalcę swego do Kościoła Chrystusowego pociągający... ze wspomnieniem o mniej znanych Moskiewskiego państwa krainach w pogańskich błędach jeszcze zostających* i t. d. Obszerny tom zajęty niestety kontrowersjami dogmatycznemi, wyliczaniem papieży, sekt, ich dziejów szczególnie w Polsce i t. d. W Ja-

kucku opowiadali mu rozbitkowie japońscy o prześladowaniu chrześcijaństwa, jak w bramie wchodowej krucyfiks na pomoście złożyli; jedyni Holandowie po nim spokojnie depcą.

Liczniejsze były zapiski konfederatów barskich; *Pamięć dzieł polskich, podróż i niepomyślny sukces Polaków* Karola Lubicz Chojeckiego (1789 r.), opowiadała o strasznych przejściach i śmiertelności zesłańców, «w jednej partji w Kijowie zmarła przez trzynaście niedziel z sześciuset kilkudziesiąt większa połowa»; on sam został pojmany w Krakowie i wbrew obietnicom wysłany na Kijów do Tobolska; przymuszony wstąpić do dragonów walczył przeciw Pugaczowi r. 1773 (inni Polacy walczyli po stronie kozaka; Antoni Pulaski wraz z innymi Polakami obronił Kazań przed Pugaczem), później przeciw Tatarom, aż mu się udało zbiec; jego pamiętnik, ten «zbiór nieszczęść naszego narodu», to wymowne oskarżenie okrucieństw rosyjskich, srożących się szczególnie nad tymi nieszczęśliwymi, co się o ucieczkę daremnie kusili. Tu należy też pamiętnik innego barszczanina, hr. Maurycego Beniowskiego, słynnego z swoich awantur (opisanych po francusku; tłumaczenie angielskie wyszło r. 1790 i rozeszło się we wszelakich przekładach po całej Europie; polskie wyszło w Warszawie 1797 r. w czterech tomach), który w Bołszerecku na Kamczatce szkołę publiczną otworzył, a wraz z starostą Bielskim spisek ułożył i szczęśliwie wykonał. Inny obcy, barszczanin również, Francuz Thesby de Belcour, wywieziony do Tobolska, a uwolniony za amnestją Katarzyny 1773 r., opisał swój los w *Relation ou journal d'un officier français* etc. 1776 r., ułożył również *Regestr rękopiśmienny* więzionych konfederatów z 5000 nazwisk. Barszczanin St. Kostka Ortyński, podczaszy dźwinogrodzki, dostał w Kazaniu znany ascetyk XVII wieku (z którego W. Potocki szydził): *Gościniec prosty do nieba* i t. d., którym tak sobie osłodził lata zesłania, że po powrocie do miłej ojczyzny sam go dał wydać na nowo (w Berdyczowie 1775 r.).

Szeregi zesłańców zapełnili nowi, Kościuszkowscy. Najsłynniejsi między nimi, brygadjer Józef Kopeć, po którego śmierci wydano (we Wrocławiu 1837 r.) jego *Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azję lądem do portu Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do Niższej Kamczatki* i t. d.; wysłano go jako buntownika, bo przysięgę wiernopoddańczą złamał, do Bołszerecka, skąd go ukaz Pawła uwolnił; Kopeć opowiadał szczegółowo o obyczajach kamczadalskich, nawet rzeczy, które dziś «na kawał zakrawają», a niemi bynajmniej nie są. Od Kopcia wie się o wielu innych zesłańcach (raz w swej podróży napotkał na partję 2000 Polaków, pędzonych ku Morzu Czarnemu), w kolonjach, «zamieszkałych przez Polaków, poczytanych za umarłych przez spółbraci, ozdabiających te odległe krainy przemyślną uprawą roli i ziemiaństwa». Nierównie mniej treściwy pamiętnik bazyljanina Ochockiego (stryja znanego bardziej «Duklanka»), zesłanego pod Tobolsk za Pawła I, za niedoniesienie o spisku, a uwolnionego za Aleksandra I; wydał go Kraszewski przy pamiętniku bratanka. Bogatszy znowu pamiętnik drugiego zesłańca za Pawła, ks. Faustyna Ciecierskiego, przeora dominikanów wileńskich (za podpis pod akt konfederacji), wydany przez Bielowskiego r. 1865; pierwszy to opis etapu i katorgi syberyjskiej, z ludźmi-łachmanami, ze ćmą nienasyconych pasorzytów, z jękami i przekleństwami zwierzęcemi; i Ochocki i Ciecierski ułatwiali sobie życie dawaniem lekcyj obcych języków i wychowywaniem dzieci oficerskich; Ochocki pełen rezygnacji, spokojny i dobrotliwy, w Ciecierskim otwiera się «serce krwią zapiekłe» na «te ślady tyranji i gwałtów»; i on zaznacza wyraźnie, że Polacy w ostatniem ubóstwie i najprzykrzejszych prześladowaniach nie skalali w niczem charakteru, obcy zaś, szczególnie Rosjanie, za byle zmartwieniem, do ostatniej przychodzili podłości. [1]

[1] Dla tych pierwszych kart martyrologji sybirskiej por. dzieło prof. M. Janika, *Dzieje Polaków na Syberji*, Kraków 1928.

Nie korzystała nasza literatura piękna z tej treści *(Stacje konfederackie* kończyły Kijowem), wyprzedzili ją obcy, Francuzi; Condorcet, matematyk, mąż stanu (republikanin gorący), napisał krótko przed śmiercią (gwałtowną?) r. 1793 jedyny wiersz w swojem życiu: *Un Polonais éxilé en Sibérie,* pod takim wymysłem na własne narzekając cierpienia. R. 1800 wyszedł nawet romans cały, *Owinska ou les éxilés en Sibérie;* coś podobnego, ale nie o Polakach była mowa, można było już r. 1755 czytać w tłumaczeniu polskiem niemieckiego romansu Gellerta: *Przypadki szwedzkiej hrabiny G****; hrabia Szwed, jej pierwszy mąż, dostaje się jako jeniec rosyjski na Sybir, więc opis jego niewoli i kraju, ale to nie stanowi głównego wątku tego romansu, opowiadanego w pierwszej osobie.

OBCY O POLSCE I W POLSCE

Nie brakło obcych w pierwszej połowie wieku, po wsiach i miastach, przeważnie Sasów, którzy przez cały wiek zachowali narzecze i między sobą się żenili. Za Stanisława urósł nadzwyczaj poczet obcych, już nie Sasów tylko, lecz Francuzów i Włochów, obok innych Niemców. Coraz liczniej przebiegali kraj turyści, urzędnicy, uczeni, lekarze, wojskowi: Niemcy śród nich najpilniej zapisywali co widzieli, bądź suche wyliczania statystyczne wedle wzoru Büschinga (np. astronoma i akademika berlińskiego Bernouilli), bądź obszerne a barwne opisy.

Szereg ich zaczynał Anglik, W. Coxe, z którego obszernego dzieła (o Rosji i t. d.) tylko część pierwsza nas obchodzi; zażywał sławy, tłumaczono go na francuskie i niemieckie, dlatego, że wiele historycznych uwag mieścił, o konstytucji, stanach i t. d. szeroko rozprawiał, co nam tu obojętne. Przejeżdżał tylko przez Polskę, z traktu pocztowego nie zbaczał, miał listy polecające do króla i dostojników i tylko z nim przestawał. Trzej Anglicy, bez szpad (więc ich za kupczyków miano), bez pościeli własnej

(szlachta się bez niej nie ruszała), bez prowizji (więc zdani na niełaskę karczem żydowskich), spieszyli przez kraj, zatrzymując się tydzień w Warszawie, przyjęci nader łaskawie przez króla (rozmawiał po angielsku, nie mógł się nachwalić kraju i literatury — Szekspira!) i obu jego braci, a w Białymstoku przez panią krakowską. Raziła Anglika straszna jednostajność krajobrazu, lasy i lasy, olbrzymia moc żydów, szczególnie na Litwie, zły stan dróg na Litwie (nieraz ścieżyny raczej niż szosy), nędza ostatnia chłopa; w Grodnie w manufakturach uderzyła go widoczna posępność chłopców i dziewcząt, zaprzągniętych do warsztatu, pracujących z musu tylko (bo niepewnych swego zarobku, który im odbierano za czynsze rodziców); nie łudził się widokiem Grodna, przeczuwał rychły upadek, chociaż Tyzenhaus był jeszcze w sile. Raził go straszny kontrast między najzbytkowniejszym przepychem magnatów, a nędzą ludu. Przyjęciom u króla, na Solcu (u Kazimierza Poniatowskiego), w Powązkach, nie mógł się dosyć nadziwić: muzyka, iluminacje, komnaty kosztowne, nadzwyczajna uprzejmość gospodarzy, zachwycały Anglika.

Innego rodzaju wywiad Kauscha;[1] on nie znał wcale Warszawy, obracał się śród szlachty na prowincji i o niej rozpra-

[1] *Nachrichten über Polen* 1793; poprzednio pisywał jako Piastophil listy o Polsce w *Freimüthige Unterhaltungen*, których Estreicher nie przytoczył. W pierwszym tomiku *Nachrichten* jest szkic literatury polskiej na 100 stronicach, znakomity, od Kadłubka do Staszyca (nazwiska jego jeszcze nie znał autor, podpisujący się 'Polonus', jakiś chyba Ślązak, luter) i do *Głosu poddanych*, «który naszemu narodowi cześć przynosi i chyba od owych *Uwag* (Staszycowych) wyszedł». Kto ten szkic byłby przetłumaczył, byłby się przysłużył literaturze polskiej; o odrzuceniu kodeksu A. Zamoyskiego prawił Polonus str. 284 to samo, co Smoleński sto lat później wywodził: «was denen, die uns immer in der Vormundschaft halten wollen, natürlich missfallen musste» (pił do Stackelberga). Króla nadzwyczaj uwielbiał; oprócz Fryderyka II nie było drugiego króla, coby więcej książek przeczytał niż Stanisław; obcy uczeni dziwili się jego wiedzy, nawet w anatomji.

wiał przedmiotowo, wolny od antypatji i sympatji, chociaż gorąco Konstytucję uwielbiał. Uderzały go w Polsce ciągłe kontrasty: mierny szlachcic siedzi w szczupłym i nędznym dworku drewnianym, jednopiętrowym, umeblowanym marnie, ale zastawa stołowa srebrna, a powóz z lokajami, jakiegoby się magnat nie powstydził; pobożność całkiem powierzchowna (gracz od faraona odejdzie na stronę, by wyszeptać kilka modlitw łacińskich, bo mężczyźni nie modlą się po polsku, i wraca do kart), a brak serca dla ubogich i poddanych; męstwo osobiste, gościnność, patrjotyzm, a brak sprawiedliwości i wierności; manja tytułów, zbytnia uniżoność (nawet damy nisko, do kolan się kłaniają), a pogarda pospólstwa; wysławiał głęboki respekt męża przed żoną, nadzwyczajne ugrzecznienie wobec płci pięknej, jej wdzięki i swobodę (szczególniej mężatki nadto sobie pozwalają; gęste rozwody); nieskażoną moralność włościan (liczba dzieci nieślubnych mniejsza w Polsce niż gdziekolwiek indziej). Wytykał rozpanoszone karciarstwo; nie zadowoliła go kuchnia polska, mięsa twardawe, a sosy zbyt ostre (dla nadmiaru pieprzu, cebuli, czosnku), ale chleb znakomity i kawa wyborna (złą kawę nazywają «niemiecką»). U chłopa raziła go oprócz lenistwa, porywczość i mściwość wobec sobie równych; władza nieograniczona nad rodziną. To najgłówniejsze uwagi w *Sittengemälde Polens*, poparte przykładami;[1] inne pozatem rzeczy tłumaczone z polskiego, np. Kołłątajowa *Ostatnia przestroga*.

Całkiem odmienny obraz, głównie Warszawy, dał Joachim Schulz w opisie podróży z Mitawy przez Litwę, Polskę, Śląsk

[1] Skarżyli się ogólnie obcy na brak czystości (o higjenie i mowy nie było). Za stołem biesiadowym stał kociołek z wodą; sługa obmywał w nim zlekka talerze i podawał gościom, ale wody nie zmieniał! Kielichy zawsze jeszcze krążyły, spełniano je do dna i na dowód wywracano, ale ich nie obcierano; o wychylaniu trzewiczków panieńskich nieraz mowa. I Coxe i Kausch rozpisują się szeroko o *plica polonica* (kołtunie) i grubo przesadzają; dali sobie zbyt wiele napleść, ale fachowiec, lekarz Fontaine (zob. niżej) własnemi «doświadczeniami» ich chyba przeszedł.

do Bozen, wydanym w siedmiu tomikach r. 1797; nas dotyczą cztery pierwsze. Schulz wstąpił do służby miejskiej mitawskiej i wysłano go na Sejm Wielki r. 1791 jako delegata miejskiego do komisji kurlandzkiej; przejeżdżał powtórnie r. 1793 przez Polskę i w opis szczegółowy tej podróży wplótł wspomnienia z r. 1791; zaznaczał nawet ceny pokojów po hotelach, opisywał stroje, kreślił sylwetki wybitniejszych działaczy sejmowych, żywo i mądrze, nieraz i dowcipnie w stylu takim, że się go i dziś jeszcze z przyjemnością czyta; był skarbem dla Niemców-publicystów i beletrystów, przetłumaczono go też rychło na szwedzkie i francuskie; na polskie dopiero Kraszewski w pierwszym tomie swojej Bibljoteki drezdeńskiej (1870 r.). Schulz, obywatel rosyjski, sympatji dla Polski bynajmniej nie żywił, ale był znakomicie poinformowany, patrzył i pisał zupełnie przedmiotowo; jego obraz Warszawy wypadł znakomicie; żaden inny Niemiec mu nie dorównał. Goethe zbyt krótko Kraków i Wieliczkę zwiedził, więc nic dokładniejszego nie napisał; inne opisy, Zöllnera, oficera (Polaka rodem?) Carosi i t. d. nie ciekawe lub zbyt specjalne, np. geologiczne.

Sprawom polskim poświęcano coraz więcej uwagi, szczególniej w Niemczech; Francja wycofywała się z polityki polskiej, chyba Choiseul za Ludwika XV czynnie się mieszał do konfederacji barskiej; później spuściła sprawy polskie z oczu i wspomniała o nich dopiero za rewolucji, gdy chodziło o dywersję polską, coby Prusaków zajęła i sytuację ocaliła; że Wielhorski, eks-konfederat, zamawiał projekty naprawy rządu u Roussa i Mablego, nie zmieniało rzeczy. Sąsiad niemiecki nie wypisał tak znaczących uwag, lecz dłużej i wytrwalej zajmował się losami polskiemi, a zajęcie się to przeszło przez dwie wręcz przeciwne fazy. Pierwszy rozbiór Polski powitała Europa jako czyn zbawczy; przedstawiano jej konfederatów barskich wyłącznie jako bojowników nietolerancji i fanatyzmu; przemilczano ich boje o wolność i niezawisłość i «filozofowie», z Wolterem i D'Alem-

bertem na czele, sławili obrońców postępu i tolerancji, Semiramidę północy, filozofa z Sanssouci i libertyna Józefa. Oni nadali ton całej opinji europejskiej, przypomnieli jej «rzeź toruńską» i domagali się nawet nowego rozbioru dla wytępienia fanatyzmu polskiego.

Wypadki od r. 1791 do 1794, od Konstytucji Majowej do Maciejowic, zmieniły zupełnie niesprawiedliwy werdykt. Konstytucję witano w Europie powszechnie jako porękę odnowienia Polski, jako wzór umiarkowanego postępu — nawet Fryderyk Wilhelm II nie skąpił jej uznania, a Anglicy i Niemcy (Kausch i in.) unosili się nad jej celowością; jedyny niemal Schulz bardzo krytycznie ją osądził jako nieprzetrawioną zbieraninę przeciwnych sobie lub zbyt ogólnikowych maksym; Heyking uznawał jej zalety, ale zdała mu się niemożliwą, bo zbyt «filozoficzną» (postępową), wobec trzech mocarstw sąsiednich. Dubienka, rewolucja, Maciejowice, rozpasały niemal postępową publicystykę niemiecką; nie było wyzwisk, któremiby nie obrzucała zdrady Fryderyka Wilhelma II z Kanonenlandu, a kult Kościuszki dochodził do zenitu; nawet taki oficer rosyjski, adjutant Igelströma i więziony w Warszawie, Seume, mizerny poeta, ale człowiek uczciwy, protestował przeciw jego pomniejszaniu i nazywał go Phocionem; tylko padalec Kotzebue śmiał ubliżać Kościuszce. Dzieło o obronie Konstytucji (Kołłątaja i spółki) przetłumaczył Linde, a pamflety Niemcewiczowe na Targowicę i Szczęsnego zjawiały się również w przekładach. Od tego radykalnego przewrotu datuje się późniejszy polonofilizm niemiecki, dochodzący do szczytu po r. 1831. Odczuła go i beletrystyka niemiecka, uchylająca się do niedawna zupełnie od tematów polskich; teraz posypały się jak z rogu obfitości romanse, komedje, wiersze liryczno-patetyczne, dramaty Klebego, Juljusza von Vosz (byłego oficera, produkującego aż nadto słabe powieści, ale znakomitą komedję na rządy pruskie w nowo nabytej prowincji), Zacharjasza Wernera i in. Wyprzedził te próby

znowu Francuz, Louvet, w *Les amours du chevalier de Faublas* z r. 1787, gdzie wplótł obszerny epizod, «Lodoiska» (nieszczęśliwa kochanka, ofiara niby Konfederacji Barskiej); ten epizod udramatyzowano, a na muzykę przekładali go Cherubini r. 1791, później Kreutzer i in.; opera Cherubiniego przeszła przez sceny całej Europy, o ile jej gdzie dla względów politycznych nie zabraniano. Nie sposób pominąć tu oryginalnego pamfletu króla-autora: Fryderyk II opisał w sześciu krótkich pieśniach *La guerre des confédérés,* ale tego za życia nie wydrukował, chociaż odpis przesłał Katarzynie II: nienawiść i wzgarda wodziły piórem mizantropa i odludka; ciekawsze tylko moralizacje przed każdą pieśnią, zresztą nie zadał sobie żadnego trudu; umyślnie kazał przesądom jedynie (w osobie *La Sottise)* powoływać do walki, a przemilczał zupełnie czynnik polityczny i patrjotyczny; w szczegóły obfitsze się nie wdawał; Częstochowy obrona najbardziej go zajęła, przyczem, zazdroszcząc wawrzynom Wolterowym, wplótł Matkę Boską jako patronkę i Syna, co drabiny szturmujących podpiłował; *couleur locale* zwyczajem poetyki ośmnastowiecznej nie uwzględniał (wspominał o *towarzyszach, pancernych* i *pachołkach;* kilka nazwisk, Pułaskiego i in., coraz powtarzał). Czy pokazywał to «dziadunio» autorowi *Myszeidy?* Znane zgryźliwe sądy Fryderyka o szlachcie polskiej, niestałej, dobijającej się wszelkiemi sposobami grosza, aby go za okno wyrzucać i t. d., powtarzała nieraz publicystyka Sejmu Wielkiego, napominając szlachtę, aby postępowaniem swojem niesprawiedliwości tych sądów dowiodła.[1]

Śród cudzoziemców, napływających masami do Warszawy, byli i Casanova, słynny z pojedynku z Ksawerym Branickim, i Cagliostro, który wraz z piękną żoną ograbiałby łatwowiernych, ale zdemaskowany przez Moszyńskiego w druku francu-

[1] Por. dzieło Dr. Arnolda, *Deutsche Polenlitteratur,* I (do końca XVIII wieku; więcej nie wyszło), 1900.

skim z szalbierstwa, rychło zemknął; bywały i osobistości wybitne, np. książę de Ligne dla syna indygenat uzyskał, rusofil, który Polakom, bardzo sympatycznie o ich rycerskości i gościnności wschodniej prawiąc, jak najsilniej r. 1788 wyłączną orjentację rosyjską zalecał; albo książę de Nassau, admirał rosyjski, ożeniony z Gozdzką (która antenatów od «Gotów», zamiast od *gozdu* «lasu» wywodziła), utracjusz, jak i żona — oboje przeputali miljony polskie.Ale niezawsze się cudzoziemcom wiodło; tak np. zaciągnął biskup Massalski w Paryżu oficerów do regimentu swego przez pana de Riancourt, który później z Wilna z kasą regimentową do Warszawy, a za protekcją Stackelberga bezkarnie do Paryża uszedł; jeden z tych oficerów, co na bruku zostali, zemścił się broszurą wydaną animowo p. t.: *L'ourang outang d'Europe ou le Polonais tel qu'il est* r. 1779; niemieckie tłumaczenie dodało kartkę *die grössten Lügen der Welt* i bardzo słusznie, chociaż w sensie przeciwnym niż tłumaczowy, bo to istotnie stek głupich a bezecnych kłamstw. Także Francuzom, którzy do konfederacji barskiej z polecenia rządowego czy z dobrej woli się garnęli, rozmaicie się wiodło. Dumouriez własne błędy na Barszczan zwalał, Belcoura raziła straszna niesubordynacja, brak wprawy wojskowej, samowola. Cudzoziemców, Francuzów, Włochów, Niemców było sporo śród wychowawców, instruktorów wojskowych, sekretarzy, w szkole rycerskiej, entreprenerów teatrów i widowisk (hec, cyrków, koncertów), cukierników i kawiarzy, nie mówiąc o bankierach, kupcach, rękodzielnikach (zegarmistrzach i t. d.) i przemysłowcach (dyrektorach fabryk, często krachujących, jak w Grodnie Tyzenhauza i w Machnówce Prota Potockiego), ale ci wrażeń swych nie spisywali. Jedni awansowali z nauczycieli domowych na sekretarzy lub profesorów, np. Włoch Piatoli; do jego mieszkania w Zamku i król schodził i u niego rozprawiano nad Konstytucją i uchwalono zamach majowy; Francuza Dupont sprowadzili Czartoryscy jako nauczyciela swych dzieci, lecz został odrazu sekretarzem Komisji

Edukacyjnej; Niemiec Groddeck z nauczyciela u Czartoryskich, zasłużony profesor-filolog wileński; nawet filozof Fichte bawił, acz krótko, w Polsce, jako wychowawca. Sprowadzano uczonych, np. przyrodnika Forstera do Wilna, ale nie wytrzymał tu nad trzy lata, zawiedziony w nadziejach, bo na papierze tylko istniało, do czego go wołano; dobroć królewska go przejęła, ale oburzały go i szlachecka mieszanina ogłady francuskiej z sarmatyzmem surowym i ucisk poddanych. Niemców napływało tylu, że nadawali, np. Poznaniowi, charakter napoły niemieckiego miasta, a w Warszawie teatr niemiecki liczył na powodzenie; afisze były w obu językach, a teatr odwiedzali i tacy, co po niemiecku nie umieli; tak wabiło wszystko obce; zresztą właśnie Komisja Edukacyjna dbała bardzo o język niemiecki, przenosiła go nawet nad francuski, już choćby dla «handlowych i politycznych związków» z ościennemi Niemcami.

Pomijamy wszelakich szalbierzy, alchemików, którzy złoto, kamień filozoficzny, eliksyr życia wyrabiali i do która z tem trafiali; wiek oświecenia był jak żaden inny wiekiem szarlatanów.

BIBLJOGRAFJA

Kilka dzieł przytoczono w tekście i notach, szczególniej opisy cudzoziemskie. Głównem źródłem było nasze pamiętnikarstwo z drugiej połowy wieku, bogate w najrozmaitsze źródła, od drobiazgów (np. pazia Sagatyńskiego) aż do dzieł tomowych Koźmiana, Ochockiego i in. Wyróżniają się śród nich *Pamiętniki Stanisława Augusta,* francuskie, ciekawe, pokąd w pierwszej osobie pisane; od wstąpienia na tron pisał król w trzeciej osobie raczej apologję (z listami i t. p.), niż pamiętniki. Miłe są *Wspomnienia z mego życia* J. U. Niemcewicza, luźnie spisane w głębokiej starości, najobszerniejsze o jego *Stacjach konfederackich* z pola Maciejowickiego do kazamat twierdzy piotro-pawłowskiej. Zapiski w. marszałka kor. Stanisława Lubomirskiego są raczej protokołami posiedzeń ministerjalnych niż pamiętnikami; w jednych, np. u Ochockiego, przeważa moment osobisty zupełnie, w drugich, np. u Zaleskiego, ukrywa się całkowicie. Najlepszem uzupełnieniem pamiętnikarstwa jest J. I Kraszewskiego

trzytomowe dzieło *Polska w czasie trzech rozbiorów,* wydanie trzecie, Warszawa 1902 r., oparte o pamiętniki (które i sam wydawał), relacje cudzoziemskie i broszury spółczesne, szczególnie z czasu Sejmu Wielkiego; Kraszewski przytaczał obszerne z nich wyjątki i te za nim powtarzałem, gdyż nie mogłem dotrzeć do niektórych oryginałów; dotyczy to i następnego rozdziału. Ksawery Liske, *Cudzoziemcy w Polsce,* tom I, Lwów 1871 (dalsze nie wyszły) dla XVIII wieku ciekawszych relacyj nie podawał. *Zbiór pamiętników do XVIII wieku,* wydany w Poznaniu 1862—1869 w piętnastu tomach, zawiera same tłumaczenia: Sułkowskiego, Dąbrowskiego, Zajączka, Sieversa (same listy rodzinne i urzędowe), Ogińskiego i t. d.; Raczyńskiego, *Obraz Polski XVIII wieku,* 19 tomików (Poznań 1840 i dalej), rzeczy później osobno wydawane, Kitowicza, Wybickiego, Kołłątaja, i t. d.

ROZDZIAŁ DRUGI

PAŃSTWO

Reformy. — Sejmy i sejmiki. — Sądownictwo. — Skarb. — Wojsko. — Przemysł i handel.

REFORMY

Nierząd, którym Polska pozornie «stała», odmienić w rząd, którymby istotnie «stała», było naglącą potrzebą. Roku 1764 zastój był zastraszający; stosunki chyba średniowieczne: państwo o jednym stanie; z jedynym centralnym organem, sejmem, wcale nie funkcjonującym; tylko wojsko, skarb, sądownictwo jakiś ład zachowywały; nie było ani policji, ani administracji, bo marszałek w. kor. wykonywał policję tylko przy królu, więc w Warszawie, a starostowie, ławy i rady miejskie, panowie dziedziczni rządzili samowolnie po swoich partykularzach. Że w takim bezładzie spokój publiczny wyjątkowo, np. przez zajazdy, był zakłócany, że drogi były bezpieczne nawet śród lasów i nocy, co wszyscy cudzoziemcy ze zdziwieniem stwierdzali,[1] było jedną z tych sprzeczności, tak znamiennych w ustroju Rzeczypospolitej. Z tej anarchji należało jednak wybrnąć, jeśli państwo miało odzyskać stanowisko, odpowiednie swoim zasobom, zaprzepaszczone już zupełnie w ciągu XVIII wieku.

Reformę niezbędną podjęli Czartoryscy; oparci na razie o opiekę rosyjską znachodzili też w Rosji gotowe wzory tej reformy, gdzie kolegja rozmaite stały na czele wszelkich ministerjów już od czasów Piotra W. Wobec tego, że dotąd tylko w sądownictwie ustrój kolegjalny panował, należało go teraz przeprowadzić wszędzie, usunąć tę potworność, że jedyny hetman, jedyny

[1] Anglik Coxe zostawiał na noc wóz z rzeczami bez dozoru w Polsce; nic mu nigdy nie zginęło; w Rosji wóz mimo dozoru stale okradano.

podskarbi zawiadywali dowolnie a dożywotnio, mimo stwierdzonego niedołęstwa, albo i jawnej niemal zdrady stanu, wojskiem czy skarbem; ich miejsce zajęły r. 1765 komisje, wojskowa i skarbowa, do których włączono hetmanów i podskarbich, dodając komisarzy z senatu i szlachty, wybieranych na sejmach na przeciąg tylko dwuletni; komisje te objęły wcale szeroki zakres, skarbowa np. rozstrzygała też w sprawach handlowych i wekslowych i pracowała około podniesienia dobrobytu krajowego.

Jeszcze dobroczynniejszy wpływ wywarła urządzona przez Stackelberga r. 1774 Rada Nieustająca, niby dawni rezydenci-senatorowie przy królu, lecz z nierównie większemi atrybucjami, spychająca króla na całkiem podrzędne stanowisko, bo mając tylko dwie kreski winien był podlegać większości Rady; ona przedstawiała terno na urzędy, z którego król wybierał, a odebrano mu rozdawnictwo starostw. Składała się Rada z króla, 18 senatorów i 18 członków stanu rycerskiego, obieranych co dwa lata; dzieliła się na departamenty (spraw zagranicznych; policji; skarbu; wojska — wcielając dawniejszą komisję wojskową; sprawiedliwości); układała projekty praw, czuwała nad ich wykonywaniem, kierowała całą administracją, wprowadziła po raz pierwszy ład, ustaliła odpowiedzialność, nadała jednolitość kierunku. Grzechem pierworodnym Rady była jej zawisłość zupełna od Stackelberga i to ją zgubiło przy rosnącej żywiołowo nienawiści przeciw Rosji. Sejm Wielki zniósł najpierw jej departament wojskowy, wskrzeszając dawną komisję wojskową, potem ustanowił osobną komisję dla spraw dyplomatycznych, a wkońcu zniósł r. 1789 całą Radę.

Czteroletni Sejm Wielki zreformował ustrój państwowy; inaczej niż Czartoryscy nie zajął się wyłącznie i najpierw ustaleniem samych podstaw państwowych, wojska i skarbu, lecz tracił drogi czas na dysputowaniu i uchwalaniu wszelkich możliwych ustaw, tak, że przeciągałoby się dzieło reformy w nieskoń-

czoność, gdyby mniejszość patrjotyczna nie zdecydowała się na narzucenie gotowej konstytucji «zamachem stanu», czyli «łagodną rewolucją» z dnia 3 maja 1791 r. Nowa «Ustawa rządowa» usunęła tron elekcyjny, zastępując go dziedzicznym w rodzie Wetyńskim (elektor podziękował za zaszczyt, lecz go nie przyjął); zniosła za przykładem angielskim odpowiedzialność króla, zastępując ją odpowiedzialnością ministrów, kontrasygnujących wszelkie rozporządzenia królewskie; przyznała królowi władzę nominacji biskupów, senatorów, urzędników, oficerów, oraz prawo ułaskawiania. Tak wzmocniła Ustawa moc wykonawczą króla, a uszczupliła mocno ustawodawczą. Ustawa zniosła unję, wytwarzając państwo jednolite, pozostawiając jednak osobnych ministrów litewskich, kasę skarbową i trybunał najwyższy ze statutem litewskim. Królowi przydano «Straż praw» (niby radę ministrów) z prymasem i pięciu ministrami, mianowanymi co dwa lata przez króla. Pod nią stały «komisje obojga narodów» edukacji, policji, wojska, skarbu, składające się z ministrów, komisarzy (wybieranych na sejmie) i plenipotentów miast, jako właściwa władza wykonawcza; komisja policyjna miała najszerszy zakres działania, ograniczony tylko wobec dworów i miast szlacheckich. Bo ustrój pozostał stanowy ze stanem szlacheckim jako najwyższym, jako obrońcą tej konstytucji, zbliżono jednak doń znacznie stan mieszczański. I co do wyznania zatrzymano dawne państwowe, katolickie, i zabroniono apostazji, ale uznano zupełną tolerancję wyznaniową. Władzę ustawodawczą zatrzymały w pełni sejmy, sądowniczą trybunały.

To było treścią 11 artykułów Ustawy, którą dopełniały ustawy uzupełniające, t. j. rozprowadzające szerzej poszczególne działy (specjalne ustawy o Straży, o komisjach, o sprawach miejskich). Co 25 lat miała lub mogła następować rewizja tych «praw fundamentalnych», nie prędzej. Konstytucja majowa, postępowa, ale umiarkowana, była dziełem kompromisowem; literatura polityczna spółczesna szła nierównie dalej, mianowicie

w sprawie włościańskiej, zbytej ogólnikiem w Konstytucji, i w sprawie mieszczańskiej, nie zadowalając się «plenipotentami» z głosem doradczym w sprawach miejskich; ale samo zniesienie elekcji, *liberum veto*, konfederacji, usuwało wszelkie dawne szkodliwości ustrojowe; praktyka poprowadziłaby niechybnie do rozwoju dalszego. I tak napsuła Konstytucja krwi większości szlachty, szczególnie przez zniesienie elekcji, przy której się upierano z niezrozumiałą zaciętością; odstręczała nawet ludzi dobrze myślących.

W szczegóły reform, np. sejmu 1776 r., nie wchodziliśmy, lecz należy się osobna wzmianka utworzonym r. 1789 komisjom cywilno-wojskowym (dla rekrutacji, uprowiantowania, sporów z wojskiem i t. d.), które nadzwyczaj sumiennie a bezpłatnie obowiązki spełniały, najlepszy dowód wzmagającego się ducha obywatelskiego.

SEJMY I SEJMIKI

Sejmy pozostały dwuizbowe; senat liczył wkońcu 155 osób, niemal tyle, co izba poselska (177; 123 z Korony, 48 z Litwy, 6 z Inflant); tylko Sejm Wielki, zwołany r. 1788, kończący się r. 1790 prawnie, przedłużono, aby nie przerywać jego prac zasadniczych, o dalsze dwa lata, wzmacniając go jednak nowym wyborem posłów, tak, że obradował w składzie podwójnym o 354 posłach; na posiedzeniach bywała tylko połowa albo i trzecia część.

Regulamin sejmowy pozostał ten sam, t. j. nie było żadnego; wprawdzie opracował sejm r. 1768 bardzo szczegółowy, ale nato tylko, aby się go nie trzymano; dopiero sejm czteroletni po dwuletniem niemal marnowaniu czasu wydał dla siebie r. 1791 regulamin obowiązujący. Mówił więc każdy poseł, co chciał (wracał np. do materji załatwionej, wtaczał nową) i jak długo chciał; nawet Sejm Wielki, gdy chodziło o byt i niebyt pań-

stwa, trwonił drogi czas, dyskutując np. na pięciu posiedzeniach o tem, kto i jak śmiał kupić ze skarbu pałac dla ambasady rosyjskiej (co rozkazał Stackelberg), bez żadnego wyniku, albo prawiąc o guzikach, sprzączkach, ładownicach nieistniejącego jeszcze wojska; odznaczali się Kazimierz Rzewuski i Butrymowicz wtaczaniem takich bzdur. Tracono czas, jeszcze na Wielkim Sejmie, rozbierając każdy wniesiony projekt *categoriatim,* t. j. punkt za punktem, a choćby słowo za słowem; dopiero później zdobyto się na odsyłanie projektu do komisji, która go opracowywała i gotowy wniosek Izbie przedkładała, aby go w całości albo przyjąć, albo odrzucić, albo do komisji odesłać, bez nowej, szczegółowej dyskusji.

Nie brakło już jednak i przedtem poprawek. Nie zniesiono wprawdzie *liberum veto,* ale już r. 1764 ustalono porządek rozpraw: najpierw szły materje podane od tronu w uniwersałach królewskich na sejmikach, potem *desideria* posłów, ogólne, dalej *privata;* rozdzielono też materje *status* i ekonomiczne t. j ogólne, ustawowe, i podrzędne, finansowe; dla pierwszych zachowano *liberum veto* i jednomyślność, w drugich rozstrzygała większość głosów; niestety podciągnięto zbyt wiele spraw (np. aukcję wojska, uchwalanie podatków, nawet nobilitacje i indygenaty) pod pierwszą kategorję. Najważniejszą nowością było, że sejm sam wiązał się w konfederację, t. j. rozstrzygał większością głosów i nie mógł być zerwany; tak było z sejmami 1773—1775, 1776 i 1778—1792, gdy czyto posłowie sami, czy też król zawiązywał konfederację, do której przystępowali inni. Sejmiki, ogołocone ze znacznych atrybucyj, jakie sobie w ciągu XVII w. na szkodę sejmów przywłaszczyły, przez sejm r. 1717, zreformowano r. 1768. Wykluczono z nich «gołotę» (nieposesjonatów), ale zatrzymano «familjantów», rodowitych oddawna w powiecie; kazano uchwalać *lauda* (instrukcje dla posłów), i ich wybór większością głosów, zniesiono jednomyślność; posłowie nie zaprzysięgali odtąd instrukcji.

Uchwała Sejmu Wielkiego co do sejmów i sejmików pozostała na papierze; nie odbył się wedle niej już żaden. Sejm pozostał dwuizbowy (132 senatorów; 204 posłów; 21 lub 24 plenipotentów od miast), z przewagą izby poselskiej (senat miał ograniczone prawo *veta*); zwykły sejm był władzą prawodawczą (miał trwać 70—100 dni, w Warszawie, co trzeci w Grodnie), ale w razie potrzeby zwoływał go król czy marszałek jako «sejm gotowy» dla pewnej sprawy; obierano sejm na dwa lata. Uchwały postanawiał zwykłą większością głosów albo kwalifikowaną (dwie trzecie, nawet trzy czwarte głosów); głosowanie było najpierw głośne, po niem sekretne (na sejmie wielkim nieraz sekretne obalało to, co uchwaliło głośne); powtarzano dawniejsze przepisy co do porządku obrad; instrukcje sejmikowe nie obowiązywały posła, który przez to stawał się reprezentantem narodu, nie stanu, ani powiatu.

Sejmiki zachowano dawne, a więc coroczne dla wyboru deputatów na trybunał, wraz z gospodarczemi (dla potrzeb województw, bez prawa nakładania osobnych podatków), co dwa lata elekcyjne (posłów sejmowych, komisarzy cywilno-wojskowych i sędziów); większość głosów rozstrzygała, «koło porządkowe» z marszałkiem kierowało obradami; instrukcje były ogólne i specjalne (dezyderja wojewódzkie i powiatowe).

Sejm grodzieński 1793 r. uchwalił nowy ustrój, przywrócił elekcję, Radę Nieustającą pod tytułem Administracyjnej, sejm jednoizbowy z uchwałami większością głosów *(liberum veto* stosowano dla praw kardynalnych), stanowy charakter państwa; zatrzymano zresztą wiele z Majowej. Spieszono się bardzo; Zubow szydził, że Polacy uchwalają same tytuły rozdziałów zamiast ustaw Grodzieński dyktat Sieversa ledwo wchodził w życie, gdy go zniosło powstanie 1794 r., z dyktatorem wojskowym, a cywilną Radą Zastępczą, czyli Najwyższą Radą Narodową (ośmiu radców i 32 zastępców), podzieloną na ośm wydziałów;

po województwach rządziły komisje porządkowe; zresztą trwały ustawy Wielkiego Sejmu. Katastrofa wojskowa pociągnęła za sobą polityczną. Tak mieniały się coraz formy ustrojowe.

SĄDOWNICTWO

Sądownictwo pozostało stanowe; niższe sądy szlacheckie, grodzkie, ziemskie, podkomorskie, przetrwały do r. 1792, z tą jednak różnicą, że znaczenie ziemskich zupełnie podupadło, nieraz nie zbierały się wcale i sądy grodzkie obejmowały ich agendy. Niezmienionym pozostał trybunał; budziły się uczucia honoru i sprawiedliwości, słabł nacisk magnacki, ustawały powoli krzyczące nadużycia; tylko wyjątkowo, np. trybunał Olizara 1781 r. zażywał najgorszej sławy. Nie podniosła się jednak bynajmniej reputacja patronów i palestry. Broszury polityczne z lat 1788—1792 jednogłośnie oskarżały adwokaturę krajową o zupełny brak nauki prawnej, której zastąpić nie mogła goła praktyka u starych wyjadaczy, o przewlekanie spraw, o przekupstwo i opojstwo, które w tym zawodzie najdłużej przetrwały; w *Doświadczyńskim* dał Krasicki niezgorszy tego wizerunek (podrabianie dokumentów i t. p.); ich łacinę kuchenną musiała wkońcu uznać i Komisja Edukacyjna i polecić jej wyuczanie.[1]

[1] Na palestrę napadały głównie trzy broszury: *Postyljon z trąbką* i t. d. 1791 r. (w drukarni wolnej); spotyka się z p. Jagodzińskim i obok skarg na podatki wytyka palestrze: jej majątki zawsze djabli biorą, widziałem, jak dzieci bogatych patronów ginęły pod murami, albo «u śpiących braci»; gdzie majątki po Forodowiczach, po Gizickich, Głowackich, Niegardowych, Bieńkowskich, Rusieckich? *Adwokat polski za cnotą* i t. d., 1791, zwalał winę na brak wykształcenia; cała (adwokata) wiedza, przed kratkami za wąs chwytać, pasa poprawiać; oni tworzą państwo w państwie, bez żadnej kontroli, czy on co umie, czy prawego pochodzenia; razem ich jakich dziesięć tysięcy będzie. Na obie broszury powoływał się *Dzwon staropolskiej fabryki,* 1792, który po adwokatach z szulerami i lichwiarzami ostro się rozprawiał, żądając dla tych szubienicy i wyty-

Sejm Wielki wydał osobno r. 1791 i 1792 ustawę o sądach sejmowych, ziemiańskich i trybunalskich; zniósł łacinę i ustanowił język polski jako urzędowy; zniósł dalej przestarzałą troistość sądów szlacheckich pierwszej instancji i ustanowił na ich miejsce «sądy ziemiańskie», które urzędowały przez cały rok, nietylko w pewnych kadencjach; składały się z dziesięciu sędziów, wybieranych po sejmikach na lat cztery, i dwóch pisarzy. Natomiast nie zreformowała Ustawa majowa trybunału, pozostał podwójnym i nadal (w Piotrkowie dla Wielkopolski, w Lublinie dla Małej), ale załatwiał odtąd tylko sprawy w apelacji; wybierano po województwach deputatów, ale nie wymagano kwalifikacji prawniczej, a nie pomyślano o reformie palestry; odrzucono projekt instancji pośredniej. Sądy sejmowe ograniczono do sądów o gwałty, zdrady i szkody publiczne. Bardzo szczegółowo opracowano ustawy o sądach miejskich (z instancją pośrednią). Wszystkie sądy były elekcyjne (miejskie wybierano co dwa lata). Wyznaczono deputację kodyfikacyjną, która miała opracować «Kodeks Stanisława Augusta» dla całości prawa sądowego; pracy zaczętej nie dokończono i gdy Litwa miała już od XVI wieku swój statut obowiązujący na całym wschodzie Rzeczypospolitej, Korona nie zdobyła się po odrzuceniu kodeksu Zamoyskiego (t. j. zbioru praw istniejących) na jakąkolwiek całość, z czego pieniacze i palestra korzystali.

Wymiar sprawiedliwości zostawiał wiele do życzenia. Nie było prokuratorji, któraby *ex officio* zbrodnię prześladowała; był wprawdzie od tego «instygator», ale ten się nierad wysuwał; należało więc oskarżenie do inicjatywy prywatnej, a na skarżącego nakładano i koszta utrzymania winnego w więzieniu, bo na to nie było osobnych funduszów. Zasądzono winnego na siedzenie w wieży w Rossieniach i okazało się, że żadnej wieży tam

kając ich niemal palcami (gdzie mieszkają i t. d.). Szydził z «wrzeszcza» (woźnego), z papierów adwokackich zasmarowanych do niepoznaki (jadłem i in.), jak oni dumni z swej arcywątpliwej wiedzy, na nią biją i t. d.

niema; innego do siedzenia w wileńskiej, ale ta się waliła, wymagała wpierw naprawy. Liczba przestępstw gwałtownych malała; spadła za Stanisława Augusta liczba egzekucyj śmiertelnych niemal na dziesiątą część liczby za Sasów w tym samym przeciągu czasu. Łagodniała i procedura; już biskup Massalski i wojewoda Sułkowski przemawiali za tem, co sejm 1776 r. postanowił: zniesienie kary śmierci za czary i usunięcie tortur z każdego śledztwa; przetłumaczono na polskie humanitarne dzieło Beccarii. Uwijali się w Warszawie rzezimieszki, których kurpiki (straż marszałkowska węgierska) gorliwie łowili, ale gościńce były pewne: przez trzydzieści lat wożono z kas podatkowych do komisji skarbowej nieraz miljonowe sumy w prostej budce, i tylko raz jedną rozbili hajdamacy na kresach. Głośnych, skandalicznych procesów sądowych, z wyjątkiem sprawy Dugrumowej, wcale nie było; Tyzenhauza, Ponińskiego sądziły (łagodnie) sądy sejmowe.

SKARB

Ani skarb ani wojsko nie odpowiadały wymogom państwowym; było jedno i drugie, ale śmiesznie małe i z tem się niestety godzono; więcej nie potrzebowano, ba, obawiano się. Zasadniczy kwietyzm szlachty (niech drudzy za łby chodzą i t. d.) zadowalał się wojskiem dla parady, skarb zaś oprócz wydatków na to drobne wojsko, nie miał innych; naród szlachecki myślał i mówił tylko o dwu klejnotach, o *liberum veto* i o elekcji, a przemilczał trzeci najcenniejszy, zupełną wolność od podatków. Lista cywilna za Sasów (skarb nadworny pod osobnym podskarbim) była nie wysoka i opłacała się sama, t. j. z dochodów ekonomij (dóbr stołowych) i kilku drobnych opłat; ministerja (oprócz hetmanów i podskarbich) nie pobierały żadnej płacy, nadawano przecież i przyszłym ministrom jak i innym dygnitarzom już w kolebce niemal starostwa i królewszczyzny, których

dochody razem największe pensje obcych krajów kilkakrotnie przechodziły; zresztą bywały urzędy (starostwa np. grodowe) zgóry wyposażone ziemiami. Sędziowie dzielili się obrywkami «skrzynki» (win przepadłych), a urzędników opłacali wojewodowie, starostowie, marszałek koronny, w. kanclerz, z własnej kieszeni; handel pozostał przedsięwzięciem prywatnem, a szkoła była monopolem duchowieństwa zakonnego, więc nie było na co pieniędzy wydawać, podatki nakładać.

Tę idyllę skarbową (jak i wojskową) skazili Czartoryscy na sejmie konwokacyjnym, ustanawiając komisję skarbową (i wojskową) i te jedynie pozostały z ich dzieła reformy, acz wyniki obu komisyj były wcale nierówne. Wojskowa zupełnie nie dopisała, skarbowa odrazu dochody znacznie powiększyła, bo zamiast iluzji kontroli, rzeczywistą wprowadziła, usuwając dowolność podskarbich; budżet Korony wykazywał dochodu około 10 miljonów złp., a Litwy (bo to były dwa budżety odrębne) około 3 (do tego doliczyć około 6 miljonów listy cywilnej). Tak było w pierwszem trzyleciu rządów Stanisławowych, lecz od r. 1768 do 1774 wskutek walk, t. j. spustoszeń rosyjskich i konfederackich i za pierwszego rozbioru, skarb Rzeczypospolitej (jak i królewski) popadł w zupełną ruinę. Ale delegacja sejmowa, Rada Nieustająca, acz wymysł Stackelberga, sejm konfederacyjny r. 1776, zaradziły złemu: stała kontrola usuwała nadużycia, ustanowienie ceł (obowiązujących i szlachtę) i kilka opłat (dochód ze stempli, nieznanych dawniej, nawet na kartach do gry; monopol tabaki; loterja; szczególnie zaś czopowe od napojów gorących, odebrane sejmikom), powiększyły zasoby skarbowe, czego wymagała niezbędna aukcja wojska. Jeszcze lata 1776 i 1777 wykazywały znaczny niedobór, ale od r. 1778 do 1788 rosły stale dochody, utrzymywano równowagę budżetową i oszczędzano wcale pokaźne sumy z remanentów; kraj zmniejszony o jedną trzecią przez rozbiór pierwszy dostarczał podwój-

nych sum podatkowych w porównaniu ze stanem przedrozbiorowym.

Tej powolnej poprawy finansowej nie dało się pogodzić r. 1788 z uchwałą stotysięcznego wojska, która całkiem innych dochodów wymagała; nie pozostało nic innego, gdy wszelkie możliwe źródła napróżno wyszukiwano, jak przystąpić do zasadniczej reformy, żądać od szlachty samej podatku, któregoby ona nie mogła zwalić na chłopów. I tak powstała (obowiązkowa) wieczysta ofiara dziesiątego grosza, przyjęta jednozgodnie mimo poprzedniej ostrej dyskusji, gdyż niechętnie pozbywała się szlachta najcenniejszego przywileju. Oznaczono komisję (przysięgłą) dla oszacowania wszelkich dochodów; ta się dziwnie szybko i dobrze z tego wywiązała, chociaż szlachta nieraz dochody pomniejszała, ale ponieważ pigułkę osłodzono zniesieniem podymnego i pogłównego, więc wpływy do skarbu nie wzrosły nadzwyczaj; mimo to budżet na rok 1791 wykazywał w obu skarbach razem (gdyż teraz zniesiono odrębny litewski) około 40 miljonów złp. dochodu. Ale i to nie starczyło, chociaż o 100.000 wojska nie było już mowy (zniżono komput do 65.000). Pożyczki zagraniczne zawodziły; genueńską popsuł oszust Lucchesini, przestrzegając bankierów genueńskich przed ryzykiem; holandzka przeciągała się zbyt długo i wkońcu rozchwiała. O stworzeniu instytucji kredytowej, banku narodowego, o emisji pożyczki choćby tylko wewnętrznej, a puszczaniu w obieg biletów skarbowych, więc o «pieniądzach papierowych», jak je ksiądz Ossowski i bankier Kapostas w osobnych pismach polecali, zacofana szlachta, znająca tylko pożyczki na zastaw i wpisy na dobra przed sądem, słyszeć nie chciała; od wszelkich pożyczek odradzał np. i Staszic. Nie pozostało więc nic innego, jak sprzedać wszystkie królewszczyzny i to było drugie samopoświęcenie szlachty, bo odpadał na zawsze ów *panis bene merentium*, ów kamień obrazy dla zawiści i intrygi. Na ofierze dochodowej i sprzedaży królewszczyzn nie kończyła się ofiarność: posypały

się liczne dobrowolne dary, sumy pieniężne, klejnoty, srebra domowe — król sam dawał wzór dobrym przykładem, a do darów tych przyczyniali się i malutcy. Ani sprzedaż starostw, ani nowa pożyczka 30 miljonów w Holandji, nie przyszły już do skutku. Ale wkroczyła skarbowość na tory europejskie; już wyznaczano pensje urzędnikom, od ministrów począwszy (zbyt wysokie dla nich, zbyt niskie dla podwładnych).

Targowica cofnęła wszystko, a jej «reformy», t. j. *statu quo ante,* znowu ustawa grodzieńska usuwała; dopiero powstanie sięgnęło do środka, przed którym się wzdrygano, do wypuszczenia za francuskim przykładem asygnat, których wartość rychło francuskim dorównywała: brano je niechętnie, bo pokrycia nie było istotnego i wartość ich z każdym dniem spadała: po klęsce powstania usunięto je odrazu z obiegu, bez odszkodowania dla posiadaczy.

Jak wojskowego, brakło w rozstrzygającej chwili i skarbowego genjusza: «spisek warszawski», bo tak przezywała Targowica Sejm Wielki, dokonał chwalebnego dzieła i byłby w normalnych warunkach zapewnił przyszły spokojny rozwój skarbowy; teraz jednak nie odpowiadał sytuacji — katastrofie. Oparł się na najsprawiedliwszej zasadzie, na bezpośrednim podatku z czystego dochodu, unikał pośrednich, nierównie więcej wydatnych, ale niesprawiedliwych i kosztownych w ściąganiu, a uciążliwych (jak znienawidzili dla nich Prusacy swego Fryderyka Wielkiego!). Wobec tej zasadniczej niechęci przeciw pośrednim podatkom (tylko wina węgierskie i francuskie opodatkowano wysoko) osiągano zrównoważenie budżetu w najprostszy sposób: podwyższano skale podatkowe z dochodu, pogłównego żydowskiego, czopowego miejskiego; duchowieństwo zmuszono do stałego, wcale wysokiego *subsidium charitativum* (miało iść na wojsko, szło na długi królewskie), a posiadaczom królewszczyzn zdwajano kwartę; dobra biskupstwa krakowskiego zabrano dla skarbu oprócz pensji biskupiej.

Wszystkie te «domowe» środki (podobnych zażywała i Austrja) zawodziły jednak wobec katastrofy. Kredyt Rzeczypospolitej był dziewiczy, więc nie wzdrygała się Holandja przed 30 miljonową pożyczką (dawniejsze krótkoterminowe zawsze spłacano), a równocześnie zdecydowano się, gdy wszelkie pomysły bezpośrednich podatków wyczerpano, na sprzedaż starostw, oszacowanych nieco zbyt ryczałtowo na 300 miljonów, z których odliczano 100 na odszkodowanie tenutarjuszów i ekspektantów. Sprzedaż dostarczyłaby niechybnie kapitału rezerwowego dla Banku Narodowego, wedle projektu ks. Ossowskiego i Kapostasa, ale ich wcale dokładne obliczenia i dobrze przemyślane pomysły nie dostały się nawet na stół Izby, bo obaj stali poza Izbą, a w niej brakowało zupełnie finansistów; byli tylko fizjokraci, wierzący jedynie w zbawienną moc pracy rolnej i ziemi. Zresztą już ks. Sułkowski, wojewoda gnieźnieński, r. 1774 wspominał o «cedułach papierowych», co zagranicą «idą *pro currenti moneta*» i przedstawił projekt banku, ale Jacek Jezierski (późniejszy kasztelan) usunął go: nikt nie będzie przeciwny temu projektowi, bo nikt nań pieniędzy nie da! Podczas Sejmu Wielkiego rzecz o banku przemknęła kilka razy: odkładano ją stale *ad calendas graecas*. Trudził się więc Sejm Wielki rzetelnie około finansów, ale nie posiadając nawet w zdwojonym składzie finansistów, nie odważył się na krok ryzykowny, wystraszony «papierami» Lawa w Paryżu i innemi, bliższemi katastrofami «bankocetlowemi».

WOJSKO

Czasy Stanisławowe zastały wojsko w zupełnem rozprzężeniu ducha, liczby, środków; było go zawiele na parady, zamało dla obrony; zawiele oficerów, zamało żołnierzy (w wojsku litewskiem jedna trzecia część sami oficerowie). Pierwszym krokiem Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym było ustanowienie komisji, wojskowej i skarbowej, któreby potworne atrybuty władzy hetmańskiej i kradzież grosza publicznego przez podskarbich

ograniczyły; król już od niej nie odstąpił, wskutek czego śmiertelnie urażony Klemens Branicki nawet po powrocie do kraju do Warszawy nie wstąpił, króla-szwagra nie odwiedził i w Białymstoku do zgonu «hetmanił», pędząc beztroski żywot trutnia. Z sybarytą białostockim mógł się mierzyć wielki hetman litewski, dobry do fletu, nie do buławy, Ogiński, «kolega p. Rousseau» i rycerz z pod Stołowicz, gdzie przegrał z wojskiem, cztery razy liczniejszem niż Suworowa. Obaj (a tak samo Massalski czy Rzewuski, tyran dla poddanych i służby, wojsku zupełnie obcy, literat i muzyk, w tem tylko godny Fryderyka II kolega), jako hetmani byli Bogu ducha winni. Ksawery Branicki służył w cudzem wojsku, a z rosyjskiem wiele obcował, więc niedobory polskie doskonale znał, mimoto jako wielki hetman koronny głównie tylko intrygował zażarcie przeciw swojemu dobrodziejowi, królowi, wściekły, że ową poczwarną władzę hetmańską, niesłychaną w Europie, nieco mu okrojono; i u Katarzyny II i u Potemkina przeciw królowi spiskował, jawny zdrajca stanu, wyrzucający coraz królowi swoje «zasługi» i poświęcenia, nieco mityczne, zawsze jednak stokrotnie wynagrodzone; on, co śmiało twierdził: *je suis Russe,* i Poniński nie zawiśli na szubienicy, która i mniej winnych czekała.

Tacy byli hetmani; króla potrzebowała Polska żelaznego, dostała jedwabnego; Stanisław August nie troszczył się o wojsko i nie znał się wcale na rzeczach wojskowych (podobnie jak i na naukach ścisłych), chociaż zawsze w mundurze chodził i swoich ułanów (dla bezpieczeństwa własnej osoby) często odwiedzał, zegarki i pieniądze im rozdawał. I jego rywal, książę Adam Czartoryski, wojownikiem nie był, chociaż o szkołę kadetów nierównie więcej dbał niż jej założyciel, i jako jenerał dywizji I litewskiej nieraz po kraju dla przeglądów objeżdżał, załatwiając listy i raporty przy fryzurze rannej. Wobec takich «wodzów» tylko Józef II mógł się dziwić, że przeciw pierwszemu rozbiorowi szabla polska nie drgnęła.

Co obcy jeszcze w kilkanaście lat później o stosunkach wojskowych donosili, przechodzi wyobrażenie. Vautrin, *L'observateur en Pologne,* wymieniał dla kawalerji 13.830 koni, a dla piechoty 12.636 porcyj, ale do nich wliczeni i oficerowie, pobierający żołd sześciu gemejnów, tak, że w istocie było tylko 15.000 wojska; zato roiło się wszędzie od oficerów; kawalerja, szlachta; piechota, chłopi, albo dezerterowie. Méhée prawił o 20.000 oficerów z patentami, a niezliczonych bez patentów; wszystko nosi uniformy; ponieważ dawniej jenerałowie patenta wydawali, była to prosta liberja: były laufer albo kucharz był pułkownikiem, oficerowie po największej części nie służyli wcale. Potwierdzała to spółczesna broszura, *Polak w szui prawdą podbitej* z r. 1791: w jednym pułku kawalerji o 6 szwadronach było 25 oficerów, 4 podoficerów, 41 gemejnych, jeden koń i jedna kulbaka; dobry oficer był, kto dobrego dragona do kuchni (dla noszenia półmisków) dostarczył; żołnierz pokazywał pas, stemplowany talarem i wyciskał z chłopa daninę, oficer z obywatela; jenerał bawił zagranicą albo gospodarował u siebie; tak było za hetmanów, a komisja wojskowa niewiele zmieniła. W Kamieńcu kupował komendant proch u Rosjan po trzy grosze, a liczył go Rzeczypospolitej po 3 zł. itd.

Równie ponure światło rzucają doniesienia urzędowe; król przyznawał na sejmie 1776 r., że wojska jest 14.000 głów; hetman Branicki interesował się wojskiem, gdy r. 1775 przywrócono władzę hetmańską a on wojsku na swoje imię przysięgać kazał. Odmieniono to r. 1776 i po krótkim czasie w. hetman przestał nawet bywać na posiedzeniach komisji wojskowej. Hetman polny, Seweryn Rzewuski, obraził się o to samo uszczuplenie hetmaństwa, wyjechał i palcem więcej nie ruszył aż do r. 1791, zadowalając się wybieraniem pensji do 1,300.000 złp. Polny hetman litewski, Sosnowski, kreatura Repninowska, odsprzedał później szarżę swoją Tyszkiewiczowi, który prochu nigdy nie wąchał. Wojsko odpowiadało hetmanom; stary Witte,

komendant twierdzy kamienieckiej, donosił, że regiment ordynacji ostrogskiej niema lenungu, płaszczów, mundurów wierzchnich itd.; samą twierdzę znalazł następca jego, Orłowski, w opłakanym stanie, wszystko się waliło, działa były zbieraniną zupełnie przestarzałych form: do tej fortecy polecił Branicki wpuścić Rosjan, czemu król w ostatniej chwili przeszkodził. I jenerał Komarzewski, wobec braku środków i ludzi, nie mógł wiele poradzić, chociaż o służbie miał lepsze pojęcie, niż koledzy; wydawał król przecież więcej na bibljotekę albo na balet, niż na kancelarję wojskową, używał też jenerała do służby dyplomatycznej; zatarg jego o mundur i krzesło z Branickim miał cechy humorystyczne niemal.

Zadaniem wojska polskiego było dawniej asystować przy wjazdach, trybunałach, pogrzebach, a służbę odprawiać, wyciskając od obywateli podatki. Malutka jego liczba, uchwalona na sejmie niemym, istniała poczęści tylko na papierze; zaciąg narodowy wcale nie był zdatny do boju; cudzoziemski autorament był na wzór saski wymusztrowany, ale i jego siła bojowa była nieznaczna, dla braku funduszów (stale rozkradanych) i braku ludzi fachowych, chyba kto z obcej służby do polskiej przechodził. Więc sejm konwokacyjny ukrócił władzę hetmańską (najpierw w Koronie, z powodu wrogiego stosunku Klemensa Branickiego do wszechwładnych na razie Czartoryskich; potem i na Litwie); ustalił fundusze, przydał kilka regimentów, powiększył artylerję, wprowadził komendę polską. Te początki naprawy zaprzepaściła konfederacja barska; wojsko koronne to pod Ksawerym Branickim biło się z konfederatami, to wstępowało w ich szeregi i ulegało rozgromieniu; brak zgody, posłuszeństwa (oburzano się na najprymitywniejsze wymagania Francuzów), samowola, dowództwo niezdolne udaremniały wysiłki osobistego męstwa i na polu otwartem ponoszono zawsze klęski; udawały się tylko napady i obrona twierdz, a i tu część wawrzynów należała się oficerom francuskim, wysłanym przez Choiseula dla or-

ganizacji mianowicie piechoty. Konfederacja barska w trybunale ludzkim, spółczesnym, sprawę przegrała, ale obudziła naród z letargu saskiego, poruszyła sumienie i honor narodowy, przygotowała ziemię pod przyszły posiew, dowiodła ofiarności jednostek, ducha rycerskiego, bitności osobistej.

Na razie wojska jakby nie było; część zagnano na Sybir, część była rozprószona; sejm delegacyjny musiał je na nowo tworzyć; pracę jego prowadził dalej Departament wojskowy, który wchłonął w siebie komisję wojskową, jedno ze czterech ministerjów Rady Nieustającej, piastującej rząd krajowy do r. 1788. Jak na każdem innem polu, okazał się i tutaj dobroczynny wpływ systematycznej, ciągłej pracy. Dokonano wiele zmian istotnych; podwyższono komput do 30.000 (22.000 w Koronie, 8.000 Litwy), ale z braku funduszów pozostało to pobożnem życzeniem, tak, że pod bronią było istotnie około 15.000 ludzi (10.000 koronnych); usarzom i pancernym odebrano przestarzałe nazwy, stroje, bronie — nazwano ich kawalerją narodową, dano im lekkie piki zamiast ciężkich kopij, usunięto szyszaki, tarcze i podobne przeżytki średniowieczne. Zaprzestano wybierania 'exakcji' przez wojsko samo, departament skarbowy wypłacał żołd ze skarbu, do którego wpływały podatki; wojsko nie miało brać odtąd udziału w asystencjach, mianowicie nie wolno go było ściągać na sejmiki i trybunał, czego się dawniej hetmani pod wszelakiemi pozorami dopuszczali, chcąc utrzymać swoich kandydatów i teroryzować trybunał. Ustalono stopnie (towarzysz kawalerji narodowej, tyle co chorąży; porucznik jej, tyle co pułkownik innych formacyj); wydano regulaminy w duchu nowoczesnym, wcale postępowe; polecano korzystanie z fachowej literatury, francuskiej i niemieckiej, ceniąc taktykę Fryderykową jako szczyt doskonałości. Powiększono artylerję, którą najzasłużeńszy jenerał, Brühl, znakomicie wymusztrował; potworzono brygady i regimenty ułańskie, dragońskie, gwardyjskie, siedm regimentów pieszych itd.; Litwa dragonów nie miała, za-

to ułanów i pułki kawalerji narodowej (te jak Korona); wojsko miało się i nadal rekrutować wolnym zaciągiem towarzyskim do kawalerji narodowej i werbunkiem («wolnym bębnem» w dobrach królewskich i duchownych, nie w szlacheckich). Budżet ustalono na 12,000.000 złp. dla wojska koronnego, 6,600.000 dla litewskiego. Szkoła rycerska (zob. niż.) dostarczała oficerów, wychowanych w nowym duchu; przybierano oficerów z obcej służby, z pruskiej jenerała Komarzewskiego, prawą rękę króla, więc niepopularnego jak król sam, wygryzionego wkońcu r. 1788, ale zasłużonego w porządnem prowadzeniu Wojskowej Kancelarji Królewskiej, bogatego w pomysły (o milicji), które i niedyskrecja udaremniała.

Ożywił więc nowy duch wojsko polskie, zbrojone i musztrowane jak inne spółczesne. Niestety, nie usunięto wszystkich dawnych braków. Najdotkliwszy był brak środków, który nie pozwalał nietylko na osiągnięcie uchwalonego komputu, ale zmuszał nawet prostych żołnierzy do szukania innych zarobków, albo do żebrania (w oczach przełożonych). Dalej pozostał zgubny zwyczaj kupowania szarż wyższych. Król odkupił wielką buławę od Rzewuskiego za krociową sumę dla Ksawerego Branickiego, a Brühl sprzedał generalstwo artylerji Szczęsnemu Potockiemu, który darował Rzeczypospolitej dwanaście armat, lecz Brühlowi w niczem nie dorównał, zadowalając się samym tytułem; ubogi nie mógł się docisnąć do wyższej szarży, bo jej cena odpowiadała czteroletniej gaży. Zabiegano powszechnie o tytuł i namnożyło się nieskończenie oficerów z patentami i bez nich (bo kontroli nie było), tak, że śmiali się cudzoziemscy z wojska, gdzie więcej oficerów niż «gemajnych». Brakło fachowego wykształcenia; Szkoła Rycerska z sześćdziesięciu uczniami nie mogła wystarczyć; później utworzono kilka fachowych, artyleryjską i in.; wszyscy zdolniejsi oficerowie przybywali z obcej służby, Mokronoski z francuskiej, Komarzewski z pruskiej, z saskiej Dąbrowski, z amerykańskiej Kościuszko, z austrjackiej Józef Ponia-

towski (ojciec jego a brat króla, Andrzej, w niej umarł). Nowomianowani płacili odszkodowanie poprzednikom; wojsko pełniło służbę żandarmów (łowiło opryszków), egzekwowało wyroki sądowe, nie znało długi czas manewrów w większych formacjach, a choć wzrosło wkońcu do 18.500, było tylko igraszką wobec krociowych armij sąsiadów (rosyjska liczyła do 500.000, austrjacka do 300.000, pruska do 200.000); o poborze rekruta, choćby tylko z dóbr królewskich i duchownych, pozostało głucho, chociaż tylko poborem możnaby było szeregi wypełniać. Zamiast istotnej armji były tylko jej kadry, lecz już nowy duch wstąpił w odwykły od żołnierki naród, już otwierał się dla młodzieży szlacheckiej i miejskiej nowy zawód.

Służba była dwojaka: w kawalerji narodowej i w wojsku linjowem. Kawalerja narodowa (dawna usarja, pancerni i chorągwie lekkie) odmieniła strój (kontusz dla towarzysza; dla pocztowych katanka z żupanem; konfederatka zamiast hełmu i t. d.), lecz nie odmieniła dawnych narowów, nadrabiając osobistą tężyzną, która braku karności i ćwiczenia nie zastąpiła; piła na umór, służby nie pełniła, wyprawiała burdy. Nierównie lepiej było w armji regularnej z jej niemal 15 regimentami piechoty (koronnemi; 6 litewskiemi), kilku regimentami gwardji konnej i pułkami przedniemi i korpusem artylerji, koronnym i litewskim; przybywało dział świeżo odlewanych i starych naprawianych, a Brühl wychował w szkole artyleryjskiej kilkuset dzielnych oficerów (między nimi i Jakubowski, autor dzieła *Nauki Artylerji);* Brühl sam przerobił r. 1787 *Elementarz służby wojskowej.* W Departamencie przeważali cywilni (senatorowie i posłowie), nie wojskowi.

W takim stanie zastał wojsko Sejm Wielki; potrzeba jego powiększenia tak biła w oczy, że już 20 października 1788 r. w powszechnem uniesieniu uchwalono stotysięczne, 66.000 żołnierza koronnego, 33.000 litewskiego, co już Leszczyński planował a Staszyc polecał. Niestety brakło dla takiego wojska

środków i ludzi; po roku dociągnięto liczbę do 46.000, a w roku 1790 zniżono etat na 65.000 głów, chociaż i tego nie wypełniono; w r. 1791 było w istocie w wojsku koronnem 42.000 (niemal pół na pół piechoty i jazdy, a więc stosunek obu broni nienormalny już na owe czasy), a 15.000 w litewskiem. Zamiast obmyślenia środków i ludzi tracono czas na debatach o guzikach, kroju i barwie mundurów; gdy werbunek zawodził, zgodzono się wreszcie na pobór rekruta, nadzwyczaj skąpy: miano wybierać jednego rekruta z 50 dymów królewskich i duchownych, a ze 100 prywatnych; brano rekrutów na lat 6—8, w wieku od lat 18 do 35; dostarczał ich dwór pod dozorem porządkowych komisyj cywilno-wojskowych. Wojsko było podzielone na cztery dywizje w Koronie, dwie na Litwie; kawalerję (najkosztowniejszą i najmniej przydatną broń) stanowiło 8 brygad koronnych i 2 litewskie (po 12 szwadronów), kilka pułków przedniej straży i pułki tatarskie i kozackie; piechoty było 17 regimentów dwubataljonowych w Koronie a 8 w Litwie; po raz pierwszy stworzono bataljony strzeleckie dla służby wywiadowej i tyraljerki i dano im znakomitą instrukcję. Utworzono Główną Szkołę Artylerji i Główną Szkołę Inżynierów; zaprowadzono jednolite umundurowanie, granatowe dla jazdy i piechoty, ciemno-zielone dla artylerji i t. d. W całej pełni utrzymał się dawny pogląd na stałe wojsko zawodowe, ale już rozwijała się myśl, że «wszyscy obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych», a wojsko jest wyciągiem siły obronnej z ogólnej siły narodowej, że wojsko przysięga na wierność narodowi i królowi i na obronę konstytucji narodowej, a «pozostaje ciągle pod posłuszeństwem władzy wykonawczej». Republikanie jak Staszyc godzili się, acz z ciężkiem sercem, na wojsko, okrzyczane narzędzie despotyzmu, dla ocalenia bytu państwowego i wymagali w tym celu wychowania żołnierskiego młodzieży; pierwsze hasła o wojsku narodowem, powszechnej, krótkotrwałej służbie, o tworzeniu potężnej, wyćwiczonej rezerwy, już dolatywały z Francji. Sprawami woj-

skowemi kierowała nowa Komisja wojskowa obojga narodów, ale śród niej przeważali znowu cywilni, a pozbyto się najkompetentniejszego człowieka, jenerała Komarzewskiego.

Z młodego wojska, sięgającego w r. 1792 do liczby około 70.000 z 700 działami, ale niewyćwiczonego ani prowadzonego przez zdolnych dowódców, nieco większą część, 22.000 koronnych, a 14.000 litewskich, wystawiono przeciw dwu armjom rosyjskim, razem do 100.000 żołnierza liczącym. Wojsko polskie broniło tylko pozycji, cofając się powoli przed nacierającym wrogiem ku Warszawie; litewskie zdradzał Rosjanom jego dowódca, książę Wirtemberski (zięć Czartoryskiego); koronne stawiało nieraz dzielnie odpór, szczególniej pod Zieleńcami, za co król ustanowił krzyż zasługi wojennej, *Virtuti militari*, ale właśnie małoduszność króla głównodowodzącego, chociaż do armji mimo szumnej zapowiedzi nie wyruszył, przerwała dalszą walkę; król przystąpił do Targowicy i zdał się Katarzynie na łaskę i niełaskę; wyżsi oficerowie nie znieśli hańby i opuścili szeregi, z księciem Józefem Poniatowskim na czele. W r. 1793, po drugim podziale, nastąpiła redukcja tego wojska do liczby wkońcu 15.000; resztę należało rozpuścić, jeśli nie wcielano jej gwałtem w szeregi rosyjskie. To «abszytowanie», zaczęte z końcem r. 1793, postępowało bardzo powoli z powodu braku środków na wypłatę zaległej gaży, a tymczasem emigracja zagraniczna i tajna organizacja krajowa, wojskowa i cywilna (warszawska) parły do wybuchu, aby korzystać z resztek wojska, liczącego jeszcze około 36.000 żołnierza (z tych około 14.000 w Krakowskiem, a około 5.000 w Warszawie) i z niem połączyć masy powstańcze, gdy wojska rosyjskie, a szczególnie pruskie, były i niezbyt liczne i bardzo rozrzucone. Brygadjer Madaliński na własną rękę rozpoczął akcję, dążąc z Ostrołęki w Krakowskie, a 24 marca 1794 r. wezwał na rynku krakowskim naród do walki przeciw obu wrogom Naczelnik, Tadeusz Kościuszko. Teraz rozwinął się w całej pełni jego talent organizacyjny; zdołał po-

mnożyć wojsko regularne niemal do 100.000 ludzi; stanęło pod bronią ogółem 150.000, mimo przeraźliwego braku broni i amunicji; kosy wystawione zastępowały lance i karabiny w szeregach tylnych; znaczny pobór, piechur od 5 dymów, a kawalerzysta od 50, liczny ochotnik zasilał szeregi regularnego wojska. Pod Racławicami, 4 kwietnia, pobił Kościuszko z 4000 wojska i 2000 rekrutów-kosynierów 6000 Rosjan Denisowa: najdzielniej spisała się artylerja (jak już w kampanji 1792 r.), najsłabiej kawalerja; kosynierzy wytrzymali znakomicie chrzest ogniowy. Dnia 17 kwietnia powstała polska załoga warszawska generała Cichockiego, około 4000 żołnierza przeciw 8000 Rosjanom Igelströma, zaskoczyła nieprzygotowanych i chwiejnych i po zaciętych walkach ulicznych, wspomagana dzielnie przez mieszczan, odniosła świetne zwycięstwo (sycylijskiemi nieszporami przezywane); to samo powtórzyło się w Wilnie 23 kwietnia, jeszcze króciej i zupełniej.

Po tych walnych zwycięstwach wymknęła się ofensywa z rąk insurekcji. Prusacy i Rosjanie oblegli Warszawę; jeszcze raz udała się obrona dzielna miasta; wrogowie ustąpili, ale Rosjanie wprowadzali coraz nowe siły do boju i w nierównej walce padł Naczelnik pod Maciejowicami 10 października, natarłszy ze zbyt szczupłemi siłami na podwójne Fersena; kolumny zjednoczone rosyjskie pod dowództwem Suworowa zdobyły szturmem i wycięły Pragę 4 listopada; Warszawa kapitulowała. Wojsko polskie rozprzęgło się, a w styczniu 1795 r. rozpuszczono i gwardję królewską; dalsza walka miała się przenieść zagranicę.

Jak konfederacja barska, przegrało sprawę również powstanie Kościuszkowskie, ale i ta przegrana okazała się zwycięstwem; bez niej nie byłby naród zdobył poważania i sympatji Europy, a co nierównie ważniejsze, nią dowiódł miłości ojczyzny, poświęcenia i ofiarności, których nie było r. 1772; gdy wtedy z tępą obojętnością przyjęły stany wyrok zagłady, chyba w ciszy

łzy nad tem roniły, teraz szlachta, mieszczanie i lud z bronią w ręce zaprotestowali przeciw *Finis Poloniae;* rozbici przez przemoc zdali następnym pokoleniom hasło odwetu. Konstytucja Trzeciego Maja i powstanie Kościuszkowskie zakończyły godnie dzieje starej Polski, a zapowiedziały nową.

Lata 1788—1794 wskrzesiły zamarłą wojowniczość narodową. Żołnierka stała się za Augusta III i Stanisława Augusta komedją, nie zawodem; wiedział żołnierz, że umrze każdą śmiercią, tylko nie na placu boju; chwytano tytuły (bez których, jak i bez przekupstwa, niema żadnej demokracji), kupowano szarżę i tem się żołnierka kończyła; prawdziwy żołnierz służył u obcych, np. w francuskim *Royal Allemand* pułku; krajowy imponował Francuzom r. 1770 niekarnością i samowolą. Inaczej było w korpusie kadetów, acz nielicznym, ale doborowym (nauczyciele Francuzi lub Niemcy, Pfleiderer, Hube i in.), oraz w pułku artyleryjskim Brühla, którego oficerowie w dni kwietniowe najświetniej ojczyźnie służyli. Z próby ogniowej r. 1792 wyszło młode wojsko zwycięsko: poczucie honoru, służbistość, wytrwałość wróciły w jego szeregi; pchała się młodzież do niego w pole otwarte, a od prostego żołnierza była droga do szlif oficerskich. R. 1794 było to już inne wojsko, bitne, karne, ofiarne: na ulicach warszawskich sprawili się znakomicie gwardziści, Działyńscy, Mirowscy; «spisek» był obmyślany do najmniejszych szczegółów, a wykonany z niebywałą precyzją; spisek to był wojskowy, ale wobec podwójnej niemal siły rosyjskiej liczył zgóry na młodzież cechową i miejską. W dalszym ciągu była dobra organizacja, nie było strategji, Fryderykowskiej jeszcze zamiast Napoleońskiej; w położeniu bez wyjścia podjęto przecież nierówną walkę; nowego ducha dowiedli Działyńscy, gdy pole maciejowickie własnemi ciałami zalegli. I odmieniła się cecha narodowa: głośne zawadjactwo saskie przerodziło się w ciche bohaterstwo legjonowe; żołnierz polski stawał się znowu wzorem dla obcych, a słowo ojczyzna nabierało nowego znaczenia.

PRZEMYSŁ I HANDEL

Na tem polu, leżącem dotąd odłogiem, zaznaczył się natychmiast po objęciu tronu, dodatni wpływ królewski; Stanisław August przejął napowrót prawo bicia monety i urządził nową mennicę, używając pracowników cudzoziemców; już r. 1766 ukończył ludwisarnię, która zaopatrywała w działa pusty dotąd arsenał. Tegoż roku założono na akcjach pierwszą Kompanję Manufaktur Wełnianych, która urządziła fabryki kapeluszniczą, sukienną, farbiarnię, postrzygalnię i t. d.; majstrowie i czeladź byli Niemcy, ale przedsiębiorstwo nie powiodło się (z powodu braku kierownictwa i ludzi uzdolnionych) i kompanja rozwiązała się r. 1770. Król założył fabrykę fajansów w Belwederze, fabrykę broni w Kozienicach; miedź wytapiano w Miedzianej Górze pod Krakowem, wydzierżawionej przez króla, a marmurów dostarczał Dębnik, również wydzierżawiony przez Skarb królewski.

Za królem zakładali panowie różnorodne fabryki, sprowadzając zewsząd pracowników; Czartoryscy fabryki sukienne w Staszowie i Korcu (tamże i farfurową); Prot Potocki w Machnówce całą osadę fabryczną, sukienną i kapeluszniczą; Wincenty Potocki podobną w Niemirowie, gdzie wyrabiano znakomicie skóry i perkale, zawodniczące z zagranicznemi. Michał Poniatowski założył r. 1787 «Społeczeństwo fabryki krajowej płóciennej» w Łowiczu prymasowskim. Starosta Unruh urządził w Kobyłce pod Warszawą fabryki mydła, pończoch wełnianych, pasów polskich. Kasztelan łukowski Jacek Jezierski, znany z jędrnej wymowy sejmowej i ciętej polemiki broszurowej, starowierpatrjota, pozakładał więcej fabryk, ale tylko warzelnia soli w Solcu i fabryki żelazne (szczególnie fabryka kos) prosperowały. Ważniejsze niż te przedsiębiorstwa pańskie, bankrutujące nieraz z powodu braku kierownictwa i ludzi (robotnicy rozbiegali się, gdy nadto długo czekali na uruchomienie fabryki), były

nierównie liczniejsze miejskie. W Wielkopolsce wyrabiano głównie sukna, co datowało się już od średniowiecza, ale później dano się ubiec Śląskowi zupełnie; teraz wznawiano przemysł, liczący głównie na odbyt do Ukrainy i Rosji; Rawicz, Wschowa, Zduny i t. d. liczyły po kilkaset sukienników; tkacze wyrabiali i płótna; bankier Klug w Poznaniu miał fabryki wyrobów wełnianych i jedwabnych, nie ustępujących zagranicznym, a tańszych. Krakowskie fabryki, oprócz garbarni, nie prosperowały. Warszawa słynęła fabryką powozów Dangla, który się rzemiosła w Londynie wyuczył; zatrudniał wkońcu 300 robotników, krajowców, miewał gotowych sto powozów w cenach od 100 do 2000 dukat.; obok niego byli też mniejsi (i tańsi) przedsiębiorcy. Były tu liczne fabryki pudru, krochmalu, skór, perkali, sukna, kapeluszy, fajansu, kart do grania i t. d. Było 60 warsztatów puszkarskich, 126 browarów (r. 1796 spadła ich liczba na 86). Rzemiosła rozwijały się świetnie, szczególnie za czasu Wielkiego Sejmu, rzemieślnicy cudzoziemcy dostarczali najwykwintniejszych robót; było 33 cechów (r. 1796), a oprócz nich majstrowie nie należący do cechów; było 580 szewców, 436 krawców i t. d. Ogólny spis fabryk za Stanisława Augusta objął około 300 zakładów, ale i ta liczba nie wyczerpała wszystkich, nie uwzględniała bowiem warsztatów domowych, zaspokajających potrzeby najszerszych warstw ludowych.

Na największą skalę zamierzał uprzemysłowić i podnieść Litwę Antoni Tyzenhauz, podskarbi nadworny litewski i powiernik króla, przywódca stronnictwa królewskiego na Litwie, nieznużony pracownik, nadzwyczaj rzutki i wielostronny w swoich pomysłach. Główną czynność ześrodkował w Grodnie, w dwu osadach fabrycznych tamże, w Horodnicy i Łososnej; r. 1780 miał tam (i w Brześciu i Szawlach) fabryk dwadzieścia trzy, płócien, sukna, pończoch, karet, szpilek, pasów, koronek i t. d. z 3000 robotnikami, z 70 dozorcami i kierownikami, samymi niemal cudzoziemcami (Francuzi w warsztatach jedwabnych,

Niemcy w sukiennych i t. d.). Z włościan wzięto 300 chłopców i 100 dziewcząt «na uczniów ekonomicznych przy fabrykach i rzemieślnikach», dla których był przepisany regulamin nauki: uczyło się to i pracowało wyłącznie z przymusu. Obok tego zakładał Tyzenhauz szkoły felczerskie (z górną Akademji nazwą nadawaną im przez obcych), miernictwa, buchalterji, kadetów, instytut położniczy wreszcie. Plan był olbrzymi, ale *qui trop embrasse, mal étreint*, szczególnie, gdy brakło autorowi tych pomysłów jakiegokolwiek fachowego przygotowania czy wiedzy; zadowalał się sprowadzaniem z zagranicy ludzi i materjałów, a sam wybór Grodna był nieszczęśliwy: nie pomogło, że tam przeniósł kadencję trybunału z Mińska, że budował liczne kamienice i t. d. Plan był zbyt obszerny, koszta (materjału i obcego robotnika) zbyt wysokie, odbyt w Grodnie zbyt mały — skończyło się więc bankructwem r. 1780, usunięciem Tyzenhauza, zwinięciem wielu zakładów i fabryk (sukienna utrzymała się najdłużej). Uboga i zacofana Litwa nie mogła się co do ruchu przemysłowego równać z Koroną; tu i zbytek był znacznie skromniejszy niż w Koronie, zato skarb utrzymany w wielkim nieładzie.[1]

[1] Przyczynił się do tego właśnie Tyzenhaus, gospodarujący samowolnie w kraju. Zyskawszy uſność króla, dla którego partję królewską na Litwie organizował, zarządzał litewskiemi ekonomjami królewskiemi, których dochód na razie bardzo powiększył, aby potem zalegać z rachunkami, a same ekonomje o znaczne straty ludzi i bydła przyprawiać. Nie uznawał żadnego wyroku, nie cofał się przed żadną groźbą, miał dla zajazdów swoją milicję i dopiekał sąsiadom do żywego (wolał Zaleski sprzedać Łosośnę, niż się na jego samowolę coraz narażać). Żył po pańsku na swojej Horodnicy, ucztował przy kapeli hucznej, widowiska dramatyczne urządzał mu Winc. Capelli z Bolonji, miał balet z 33 ludzi własnych obojej płci, wyszkolony w szkole teatralnej przez Włocha Morelli i żonę Ninę (po jego upadku przeszedł balet na własność króla). Wkońcu przebrała się miarka jego nadużyć; przyszło do sądu sejmowego, spisano i drukowano mnóstwo aktów i protestów z obu stron (wyliczonych w artykule *Ateneum wileńskiego* 1929) i po paroletnim procesie odsunięto Tyzenhauza od pod-

Ustrój cechowy panował jeszcze w całej sile. Rzemieślnik musiał wprzód trzy lata terminować u majstra, poczem otrzymywał świadectwo uwolnienia i zdawał niby egzamin, t. zw. heblówkę, próbę, którą czasami i życiem przypłacał. U rzeźników dostawał nowicjusz na końcu piętnaście śledziownic, t. j. dwułokciową deskę z wymalowanemi na niej śledziem i cebulą; u bednarzy lano gorzałkę na metalową tacę, wysypywano wióry i zapalano je: nowicjusz trzymał tak długo tacę, aż się wypaliły; u kominiarzy jeśli raz spadł z dachu, musiał na nowo siedm lat terminować. Po wyzwoleniu szedł na trybówkę, a po niej odbywał rok majstrowy; oblanie miejsca i dobra wola należały do «konsolacji» ostatecznej, oblewanej wódką *(O prawach i t. d. cechom przysłużających)*. Cechy były bardzo liczne, dzieliły się nawet wedle narodowości, polskie i niemieckie. R. 1788 chciało 4000 rzemieślników-dysydentów Warszawę opuścić, bo zmuszano ich do brania udziału w procesjach i nabożeństwach katolickich, a nie uwzględniano w wyborach na godności w gospodzie; wdali się w to król i w. marszałek koronny i zatrzymali ich, ale za uwolnienie od tego przymusu musieli się opłacać. Tak budził się duch patrjotyczny i mógł Kiliński w danej chwili na kilkanaście tysięcy cechowych liczyć, tak nieograniczonym był jego autorytet; obok szewców prym wiedli rzeźnicy.

Losy handlu toczyły się bardzo nierównie. Sejm r. 1764 zniósł wprawdzie wszelkie cła i myta partykularne, a wprowadził cło generalne, obowiązujące i szlachtę, ale Fryderyk II zmusił już sejm 1766 r. do cofnięcia tego cła, do przywrócenia szlachcie jej przywileju, który dopiero sejm rozbiorowy 1774 r. ponownie i na zawsze usunął. Lata 1769—1774 były najcięższe, wojska pruskie niszczyły strasznemi kontrybucjami Wielkopolskę, rosyjskie Litwę, Konfederacja kraj cały; dopiero po roku

skarbiostwa; niebawem opuszczony przez wszystkich w melancholji umarł (1784). Sąd sejmowy wypadł bardzo łagodnie, on na inny zasłużył; do jego upadku przyczynił się Stackelberg, którego silnie zaczepił.

1775 ustaliły się stosunki normalne. W celu podniesienia handlu starano się o ulepszenie komunikacyj dawnych i stworzenie nowych dróg dogodnych, zrobiono gościńce przez bagna poleskie (kosztem Ogińskiego i Butrymowicza), pińsko-słonimski i pińsko-wołyński; hetman w. lit. i wojewoda wileński Michał Ogiński wykopał kanał łączący Szczarę z Jasiołdą kosztem 12 miljonów złp., a Stanisław August «kanał królewski» (łączący Pinę dnieprową z Muchawcem bugowym, a więc morze Czarne z Bałtykiem), dokończony jednak dopiero w wieku XIX. Komunikacji służyła i poczta, może zbyt droga, ale nadzwyczaj sprawna; król starał się o jej rozszerzenie, zbudował pocztamt w Warszawie i pobierał dosyć znaczny z niej dochód (aż do pół miljona złp.). Komisje porządkowe wdawały się w zatargi kupców z dziedzicami o myta wygórowane lub o stawianie przeszkód (przez młyny i t. p. na rzekach).

Handel wywozowy obejmował jak dawniej same surowce, cyfry jego wahały się nadzwyczaj wedle urodzajów, wedle ucisku przez wojsko obce, którego Polska do 100.000 żywić musiała bezpłatnie, wedle utraty ziem przez pierwszy rozbiór; doznawał ucisku strasznego przez wysokie cła pruskie, co raczej haracz przypominały; wartość tego handlu (brutto, bez cła i transportu) obliczono na najwyżej 150 miljonów przeciętnie. W handlu przywozowym figurowała po utracie salin wielickich i żup ruskich (które przynosiły królowi dochodu 2,400.000 złp.) sól, której dostarczała Austrja i pruska Kompanja morska (urządzona przez Fryderyka II; później objęła kompanja pruska i sól wielicką, której cenę nieraz znacznie podwyższano), dalej metale, sukna (nawet ordynarne dla Litwy), wina (szczególnie węgierskie i francuskie), oraz przedmioty zbytku. Stosunek wwozu do wywozu bywał fatalny, w latach 1776 i 1777 razem, przewyżka wwozu dobiegła 44 miljonów złp. Poprawiły się zczasem stosunki handlowe, np. gdy zboże podolskie i ukrainne znalazło nakoniec pożądany odbyt; po ujarzmieniu Tatarów i założeniu

Chersonu starała się Katarzyna sama o napływ kupców i towarów, a żyzne stepy teraz dopiero nabrały znaczenia w tworzeniu fortun magnackich, Potockich, Branickich, Lubomirskich, Rzewuskich; deficyt wywozowy zmniejszał się stale i odmienił się wkońcu w dosyć znaczną przewyżkę, może nawet do 30 miljonów.

Do ułatwienia obrotów pieniężnych służyły liczne banki, pozakładane głównie w Warszawie. Najznaczniejszy między niemi był bank Piotra z Fergusonów Teppera, kupca poznańskiego, potomka Szkotów; stary Piotr żył skromnie, a operował ostrożnie i zostawił siostrzeńcowi Piotrowi wielki majątek, ale młodszy Piotr żył nader wystawnie, również jego zięciowie, pożyczał pieniądze królowi i panom (król był mu r. 1793 winien więcej niż 5 miljonów złp., jeden Radziwiłł i jeden Potocki po dwa miljony i t. d.), zaniedbywał interes i gdy kredyt publiczny za wtargnięciem Prusaków się zachwiał, ogłosił niewypłacalność, a za nim pięciu innych bankierów (Kabryt i in., wszyscy nobilitowani r. 1790). Między nimi był i Prot Potocki, miljonowy pan, zasłużony wielce około otwarcia handlu czarnomorskiego (miał kantor w Chersonie), zamierzający stworzyć z swojej Machnówki, niby Tyzenhauz z Grodna, jakieś środowisko fabryczne: zbyt rozległe przedsiębiorstwa, kapitały wzięte na wysokie procenta, którym rolnictwo wydołać nie mogło, zrujnowały go doszczętnie i fabryczne budowle Machnówki rozsypały się w gruzy tak samo jak w Horodnicy i Łososnej. Po upadku tych firm 1793 r. był Piotr Blanc najgłówniejszym bankierem, ale załatwiał tylko interesy zagraniczne, nie podejmował się operacyj w kraju. Pasywa owych sześciu bankierów wynosiły około 160 miljonów złp., prawda, że były i znaczne aktywa.

Sprawę pieniądza pozostawili Sasi w najokropniejszym nieładzie, mianowicie gdy Fryderyk II najpierw z Drezna, a potem i z Wrocławia Polskę zalewał najlichszą monetą (jeszcze gorszą niż saska); obok niej obiegała w kraju obca moneta. Memorjał podskarbiego w. kor. normował ceny monet, cóż z tego,

kiedy samych tynfów, prawdziwych i podrobionych, rozróżniał kilkanaście gatunków w cenie od 15 do 35 groszy, więc nie sposób było laikowi w nich się rozeznać. Zasługą Stanisława Augusta była reforma mennicy i wybijanie dobrej monety złotej i srebrnej (którą zagranica z obiegu wyławiała); w ciągu jego panowania wybiła mennica warszawska prawie 131 miljonów złp., z czego trojaków i groszaków miedzianych było na 11 miljonów; miedź sprowadzano z Węgier, Szwecji i Miedzianej Góry pod Kielcami; mennica skupowała monetę starą i fałszywą (bąki) i przebijała je na nową. Zawsze jeszcze obiegały monety obce, dukat holenderski (i węgierski) stał się monetą krajową (na nie liczono wszelkie większe transakcje); na kontraktach dubieńskich i warszawskich przesuwały się przez kasy bankierskie i obywatelskie 2—3 miljony tych dukatów. Kasy bankierskie były napełnione woreczkami (różnokolorowemi) po 500 dukatów, które sobie banki nawzajem wypożyczały.

Mimo nadzwyczajnego ożywienia, szczególniej za Sejmu Wielkiego, pozostał kraj ubogim wskutek braku rozwiniętego przemysłu krajowego, wskutek zawisłości od obcych targów. Szykany cłowe pruskie podcięły nawet handel gdański, który dwie trzecie dawnego obrotu utracił.

BIBLJOGRAFJA

Podstawowem jest dzieło Tadeusza Korzona, *Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta,* wydanie drugie, Warszawa 1897 i 1898, owoc najżmudniejszych poszukiwań archiwalnych, którego tabel i obliczań nie wyczerpaliśmy; dodać należy tegoż *Zamknięcie Dziejów Wewnętrznych Polski* i t. d., Lwów 1899, str. 48. Dalej cenne szkice Władysława Smoleńskiego, zebrane w czterech tomach jego *Pism historycznych;* tegoż *Mieszczaństwo Warszawskie w końcu XVIII wieku,* Warszawa 1917 i in. Dzieł historycznych, Kalinki, Smoleńskiego, Askenazego, co do panowania Stan. Augusta, Sejmu Wielkiego i Grodzieńskiego, Targowicy i t. d. nie wymieniam. Władysław Grabski, *Historja wsi w Polsce,* Warszawa 1929.

ROZDZIAŁ TRZECI

ŻYCIE

Rodzina: wychowanie; ożenek. — Życie w mieście: Warszawa. — Marnotrawstwo. — Higjena. — Wiara. — Dysydenci. — Wolnomularstwo.

RODZINA

Podstawą rodziny pozostała dawna, nieograniczona niczem władza rodzicielska, a o pieszczeniu, pobłażaniu, troskliwem wychowywaniu dzieci rzadko słyszano; rodzice dbali mało o nie, nawykłe do ślepego posłuszeństwa, nie śmiejące nawet w dorosłym wieku usiąść w przytomności rodziców bez ich wezwania, umieszczane u szarego końca stołu, za dworzanami i rezydentami, i skąpo obdzielane resztkami potraw. Bywało, szczególnie w liczniejszych rodzinach, że niemowlęta oddawano ekonomom dla wychowania na folwarku, raczej dla wykarmienia, gdzie dziecko rosło do lat sześciu czy siedmiu, poczem je odbierano i z innemi pod pod opiekę «dyrektora» oddawano; wtedy dopiero poznawało dziecko rodziców i rodzeństwo, a niejedno uciekało z domu rodzicielskiego napowrót do ukochanego ekonoma-ojca. Spuszczali się rodzice na dyrektorów, ale dyrektorowie np. Szczęsnego Potockiego grali cały dzień marjasza, a on z kamerdynerem, Francuzem naturalnie, przysmaki im wyrabiał, rodziców widywał tylko na «audjencjach». Karola Radziwiłła matka (zawołana literatka!), niczego uczyć nie dawała, zato zapijał się znakomicie już w dwunastym roku życia. Ale to były wyjątki, bo dbano w wielkich domach o Francuzów-metrów, żeby dzieci po francusku szwargotały (Antoni Sułkowski nigdy się też po polsku dobrze nie wyuczył, a i innnym polszczyzna nieraz wadziła); z ortografją polską walczyły zawzięcie szczególniej panie, piszące zato nienagannie po francusku; wyjątkowe były domy, gdzie o powszechne wychowanie, o naukę różnych przedmiotów rzetelnie

się starano; nauczyciele bywali przeważnie cudzoziemcy, nie brakło i Niemców. Mniej zamożni posyłali synów do dawnych szkół zakonnych, a po r. 1775 i do nowych «akademickich». Po jakiem takiem ukończeniu szkół domowych czy publicznych wysyłano młodzież za granicę, ale skutki tych podróży bywały tak fatalne, że noszono się z myślą ich ograniczania czy zabraniania.

Rodzinę zakładano wcześnie; jeszcze zdarzało się, że czternastoletnia wychodziła zamąż; pan starosta Kossowski pilnował z zegarkiem w ręku, kiedy bogata panna skończy lat czternaście i żeby go nikt nie ubiegł, wyrobił już poprzednio indult na ten dzień! Przy zawieraniu małżeństw nie pytano (a już najmniej panny) o skłonność; rozstrzygały jedynie widoki materjalne albo polityczne; żeby pozyskać Lubomirskiego wydali Czartoryscy za niego Izabelę i rozerwali kochającą się parę (Stanisława Poniatowskiego i Izabelę); Potoccy wypchnęli piękną młodziutką pannę za karła-potwora Kossakowskiego i męczennica wytrwała posłusznie u jego boku lat kilkanaście (nie dziw, że potem na złośnicę wyszła). Inne nie były jednak tak cierpliwe i przykładne i mściły zniewagi uczuć pokątnemi, a nieraz i jawnemi miłostkami, albo parły do rozwodu: w żadnym katolickim kraju nie liczono tyle rozwodów i małżeństw unieważnionych co w Polsce. Zaczęło się to za Sasów; już w połowie wieku napisała Drużbacka satyrę, «Skargi kilku dam, dla jakich racyj z mężami swoimi żyć nie chcą»: jedna żaliła się na domatora, «co tylko wołom karmnym krzyżów maca i zamiast kawy piwa z serem zagrzać każe garnek»; druga, że mąż skąpy i głupi; trzecia, że nie może zobaczyć Warszawy:

Choćby mi boków nastursano w ciżbie,
Bylem z raz była w senatorskiej izbie!...
Mój mnie jegomość osadził przy kurach,
Paź do ogona ma latane buty i t. d.,
Otóż z tych racyj z gapiem się rozwiodę....

ale to dąsy, dowodzące tylko, że budziły się panie do samoistnego życia, że nie wystarczały im kądziel-apteczka, gospodarstwo. Czem owe panie tylko groziły, stało się faktem za Stanisława; uderzało to cudzoziemców, którzy ze zdziwieniem dowiadywali się, że ta pani, z którą rozmawiali, rozwódka, ani przypuszczając czegoś podobnego. O pewnej kanclerzance dla jej rozwodów mówiono, że się z czasem za całą Polskę wyswata. Tak mściły się źle skojarzone małżeństwa; rozwodzono się, jeśli pani nie wolała i bez rozwodu zażywać swobody; młody ks. de Ligne ożenił się dla pewności z brzydką Massalską, ale i to mu nie pomogło, podawać musiał o rozwód z powodu jej lekkości. Było to niewątpliwie oznaką «zepsutego wieku», ale tyczyło głównie sfer wyższych, które się w używaniu życia niczem nie krępowały.

Czepiano się najbłahszych powodów, np. że ślubu nie wzięto w własnej parafji; konsystorze ciągnęły z tego znakomite zyski; Szczęsny rozwiódł się z Mniszchówną, gdy go dziesięciorgiem dzieci (nie od jednego ojca) obdarzyła, aby się z rozwódką ożenić; płacono za rozwody, jak za szarże wojskowe czy cywilne. Zawiązywano flirty (za czasów Stanisławowych znaczyły one jawne przekreślenie szóstego przykazania) już choćby dla uniknięcia tęsknośći-nudy, bo i czem innem miały się panie trudzić? Dzieci poruczały mamkom i niańkom i rzadko je widywały; mniej zamożne domy oddawały dziewczęta do pensji francuskiej, zamożniejsze sprowadzały Francuzkę do domu: tu i tam nabierały panienki od Francuzów co najmniej lekceważenia, jeśli nie pogardy wszystkiego rodzimego, od mowy i stroju począwszy; mężczyźni aby się im podobać, przed sejmem wielkim porzucili strój narodowy. Francuzka uczyła ich «talentów przyjemnych», t. j. francuszczyzny, tańców, muzyki (śpiewu) i nic więcej. Podróż późniejsza przewracała głowę do reszty; gdy pani do kraju wracała, pierwsze jej westchnienie było: jak tu żyć można? każdy szczegół opery paryskiej żywo ją zajmował —

o Polsce zaś nic nie wiedziała i wiedzieć nie chciała: po pierwszym rozbiorze wspomnieć o nim uchodziło za rzecz złego smaku i cisnęły się panie na bale u Stackelberga. Pozatem intrygowały w polityce i w trybunale: budziły rano deputatów a usypiały ich sumienia. Imponowały zaletami towarzyskiemi; podziwiał je w Karlsbadzie taki znawca jak Goethe dla ich powabów, zakrywających nieraz pustotę umysłową, a jeszcze więcej moralną.

ŻYCIE W MIEŚCIE: WARSZAWA

Czasy Stanisławowe, to szczyt rozwoju i znaczenia stolicy, która w krótkim przeciągu czasu podwoiła liczbę mieszkańców, pałaców, budynków publicznych (hoteli, teatrów, szpitalów itd.). Przed r. 1764 bywał napływ obcych zawsze tylko chwilowy, np. na krótkotrwałe kadencje sejmowe, teraz sejmy same trwały latami, np. delegacyjny i wielki; dwór królewski i dykasterje wszelakie (komisje najrozmaitsze), życie wreszcie towarzyskie zimowe (prowadzili przecież otwarte domy i panowie i obcy posłowie) ściągały tłumy; Warszawa stawała się domem zajezdnym całej Polski. Trwało to do r. 1793; rozbawienie miasta dosięgło szczytów w 1791 i 1792 r., a i dawniej bawiono się znakomicie; szalano już w latach 1773 i 1776, ale zdala od mieszczan, między sobą wyłącznie, i na balach u Stackelberga; za sejmu wielkiego nastąpiło zbratanie stanów i nie towarzyskość pochłaniała politykę, jak niegdyś, lecz przeciwnie polityka podsycała towarzyskość, zapełniała teatr (np. na komedjach Niemcewiczowych). Z polityką upadła i Warszawa, wyludniła się odrazu r. 1793, owdowiała i sposępniała, a miejsce jej zajął na krótko Lwów rozbawiony r. 1795.

Życie towarzyskie warszawskie (a przelotnie i lwowskie), odznaczało się szalonym ruchem; bale i «wieczory», pikniki i reduty, obiady otwarte (na paręset osób) i w kółku ściślejszem,

zapełniały z wyjątkiem niedziel tak dnie powszednie, że nie sposób było wszystkim zaproszeniom podołać. Obcym imponowała swoboda polska, wprowadzająca bez ceremonji gości do domu, zawierająca znajomości zaraz na stopę poufałości; wszędzie panował lekki ton, zamiast sztywności czy grandezzy była otwartość i uprzejmość; nie krępowano się żadnemi względami ubocznemi, oddając się całkiem zabawie; świetne stroje pań, niezrównana zręczność tancerzy, bogactwo albo przepych służby i stołów, uginających się pod najobfitszą zastawą pozostawiały daleko wtyle asamble i przyjęcia skąpe włoskie, sztywne niemieckie i angielskie, puste francuskie. Temperament zwyciężał; przychodziło łatwo do sporów, ale je też łatwo godzono; przebierano szczególnie w napojach, podochocenie bywało znaczne, a przy grze nie zawsze zachowywano pozory obojętności; szczególnie zaś przekraczano granice zalotności. W sezonie warszawskim ustawało życie rodzinne zupełnie; mąż i żona żyli oddzielnie, nie wiedzieli o sobie nawzajem, spotykali się na balach i redutach; nadzwyczajna swoboda obyczajowa raziła obcych.

Zaczęła się za Sasów, za Augusta II; przykład szedł zgóry i znalazł licznych naśladowców, których nie wstrzymały surowe poglądy Augusta III a szczególnie jego arcypobożnej żony-Austrjaczki; dochodziło do prawdziwego rozpasania za Stanisława Augusta — jego Leporello miałby jeszcze dłuższy katalog niż Donżuanowy. Ta fala bijąca zgóry, spotkała inną, dawniejszą, od dołu: zawsze uchodziła Warszawa podczas kadencyj sejmowych za ściek wszelkich zdrożności (już Andrzej Morsztyn pisał wiersze na temat wszelkich głównych grzechów, spieszących na sejm do Warszawy), teraz to spotężniało. «Zepsucie» warszawskie było takie samo, jak po innych wielkich miastach; różniło się od nich jawnością a jeszcze bardziej tem, że napływ cudzoziemskich żywiołów był nierównie silniejszy, niż gdziekolwiek indziej; Warszawa do r. 1793, do katastrofy bankowej i politycznej, przy rozrzutności polskiej nęciła niesłycha-

nie wszelkich pasorzytów płci obojej, od podejrzanych hrabiów, baronów i barones aż do najpodrzędniejszych szulerów, artystów, śpiewaczek i subretek.[1]

---

[1] Broszury spółczesne polskie nie wznosiły się ponad ogólniki, co najwyżej, zaznaczały z oburzeniem, że cała Warszawa stała się Nalewkami i Tłumackiem, że rugowane z jednych ulic kobiety przenosiły się na inne, że straż marszałkowska niedbała i przekupna. Obcy bywali wymowniejsi; pomijam potwarze *Orangutanga,* ale Inflantczyk Schultz zaznajamiał się na miejscu wcale szczegółowo i dawał nazwiska nawet. Rozróżniał pięć klas takich kobiet; do pierwszej należały utrzymanki, Włoszki, Francuzki, nawet Niemki, wyjątkowo Polki, bo Polak ceni tylko, co cudzoziemskie; one też górowały nad Polkami obejściem i językiem obcym; do drugiej kobiety o własnem mieszkaniu, udające, szczególniej wobec obcych, mężatki lub wdowy, dla podbicia ceny; do trzeciej mieszkające u gospodyń i t. d.; szynki na Trębackiej i in. były pełne ostatnich ulicznic. Schulza raziła swoboda tych kobiet, zapełniających reduty, szczególniej w pałacu Radziwiłłowskim, mniej w sali teatralnej, przejeżdżających się po mieście w kabrjoletach z kawalerami swoimi z najlepszego towarzystwa; w rocznicę Konstytucji majowej 1792 r. we wszystkich oknach na Krakowskiem Przedmieściu leżały wraz z oficerami i młodzieżą, których generałowie czy ojcowie brali udział w samym pochodzie (od Zamku). Opowiadał Schulz, jak panie z towarzystwa starały się utrzymankom odbijać ich kawalerów, jakich na to używały zasadzek: jedna z nich tak romansowa (o ks. Józefie Poniatowskim), że wolimy uznać ją za plotkę, niezgodną z podatnością bohatera na wdzięki niewieście. Ową anegdotę opowiedział Koźmian (II, 97): trzy najpiękniejsze panie, Janowa Potocka (Julja Lubomirska), Rozalja Lubomirska, która pod gilotyną zginęła, i p. Kossowska (żona podskarbiego, brata wymienionego wyżej starosty Kossowskiego), pozyskawszy kamerdynera księcia Józefa ustrajały w dzień św. Józefa kwiatami jego sypialnię, gdy wszedł do niej z aktorką Sitańską tableau!; Koźmian opowiadał i inne wybryki, jak ks. Kazimierz z swoją Józefką (Traskolaską) nago po Warszawie jeździł, a ks. Józef, wypławiwszy konia w Wiśle nago Warszawę oblecial: ależ to na głębokiej prowincji ze zgrozą nad Sodomą-Warszawą klecono czy przesadzano (Józefka była chyba lekko ubrana). Co innego opowiadania naocznego świadka, np. Koźmian na własne oczy w Lublinie widział, jak pijany pralat (Leńczewski) z czeredą współbiesiadników na rynku tańczył i podśpiewywał «I ja kawaler» i t. p., a inne kawałki z r. 1784, godne Panie Ko-

Cóż dawała Warszawa gościom, napływającym z Polski i świata? Bale magnackie, reduty, co trwały od zimy (z przerwą) aż do Zielonych Świąt, pospolitsze, tańsze w pałacu radziwiłłowskim, bez masek, kto ich nie chciał i droższe, wyborowsze w salach teatralnych, z maskami: na nich nie tańczono, chyba «ordynarna» publiczność; przechadzano się i intrygowano. Dalej pikniki, zimą w salach redutowych, latem za miastem, na Woli, w Marymoncie, Wilanowie: byle pan je urządzał, biorąc za bilet (który każdy mógł kupić) kilka do kilkunastu dukatów, dostarczając za to wszystkiego; na piknikach tańczono do upadłego (jak i na balach; niektóre panie, np. starościna Kossowska, popadały w istny szał tańcowy). I roztaczał się urok kobiecości polskiej; stroje i kokieterja były paryskie, ale nie naśladownictwem prostem; wyróżniał je jakiś szczegół osobliwszy i przyznawali im obcy palmę zwycięstwa, chociaż o konkursach piękności jeszcze nie słyszano (o koncertach, teatrach zob. niż.). Zjawiały się i cyrki, a osobliwością dziś nieznaną były hece, naśladowane z wiedeńskich, ale nierównie skromniejsze (zapasy

chanku i albeńczyków, trącą strasznym sarmatyzmem i gorszą bardziej niż owe wybryki «złotej młodzieży».

Jawnym skandalem bywały rozwody, o których i ks. Pstrokoński twierdził, że zagęściły się dopiero w drugiej połowie wieku i że od sfer najwyższych dotarły do niższych i najniższych; że zawsze niemal żony, nie mężowie, o rozwody podawały; wedle paszkwilu z r. 1791 «Rzym żył z naszych dyspens». Mężowie jeździli jawnie po piknikach z utrzymankami, ale i siostra królewska jeździła w odkrytym powozie z kochankiem-labusiem, a Stackelberg zemścił się na prymasie Podoskim najdotkliwiej tem, że nie puścił go do Gdańska do kochanki-Niemki. Ta swoboda, brak wszelkiej policji i dozoru, rozmnożyła przerażająco choroby weneryczne, «warszawskiemi» zwane; Schulz odwoływał się na świadectwo Fontaina z r. 1792 (zob. niżej); nigdzie nie było widać tylu beznosych, a panowie bynajmniej się nie ukrywali z swojemi lekami; Kausch wprawdzie uważał liczby (zob. niżej) Fontaina za przesadne, ale powtarzał za nim całe ustępy; Fontaine mniej rozróżniał klas, ale zasadniczo prawił to samo, co Schulz.

z bykami, wilków z psami, z niedźwiedziami), zwabiające w niedziele popołudniu masy niewymagającej publiki miejskiej; miał tam i król swoją lożę, ale rzadko z niej korzystał. Puszczano też balony i Jan Potocki jako zawodowy podróżnik, odbył nawet podróż powietrzną (do Woli)

Bale, reduty, pikniki, nawet najskromniejsze posiedzenia towarzyskie łączyły się nieodzownie z faraonem i innemi grami hazardowemi. Gdzie tańczono czy nie tańczono, zawsze stały w bocznych pokojach stoły do gry i zawsze ktoś bank zakładał i graczów zwabiał. Byli szulerzy zawodowi, swoi i obcy (hrabia Tomatis i i.); szał hazardowy, nierównie szerszy i silniejszy, niż taneczny, ograniczał się raczej do mężczyzn. Do gry nie wymagano koniecznie Warszawy, można ją było uprawiać gdziekolwiek, np. w powozie,[1] ale Warszawa nastręczała nierównie więcej sposobności. Karciarstwo pustoszyło ludzi materjalnie i moralnie; stępel od kart przynosił niezłe dochody skarbowi, w jednym roku np. ostęplowano dwadzieścia kilka tysięcy talij. Z kartami nie mogły zawodniczyć żadne inne gry, najmniej gry towarzyskie, w sekretarza i t. p.

Na wsi bawiono się po dawnemu, urządzano np. zimą kuligi, z tą jednak odmianą, że przybierały formy wesela chłopskiego i stosownie się strojono (mężczyźni w sukmany). Żadna zabawa nie kończyła się bez pijatyki; wyszumiała nieco Polska z oparów saskich, ale nie wyzbyła się nałogu i teraz, świadczą

---

[1] Ignacy Potocki, najlepszy Ksawerego Branickiego przyjaciel, którego w procesie Ponińskiego skutecznie obronił, przegrał w powozie, jadąc z nim, 50.000 dukatów i wystawił na to skrypt ołówkiem. Branicki nie wymógł sam spłaty długu, ale nabył za kilka tysięcy dukatów ktoś trzeci ten skrypt i wyegzekwował na Potockim cały dług; zachwiały się przez to fatalnie jego finanse. Pamiętniki spólczesne, Ochockiego i innych, opływają w podobne historje, jak np. sprzedał Sułkowski znaczny majątek ziemski i tej samej nocy całą sumę zyskaną przegrał do kupującego. Biskup Massalski w przeciągu dwu lat sto tysięcy dukatów przegrał.

o nim wymownie pamiętniki (np. Ochocki); jedni opijali się nieraz do nieprzytomności, inni zachowywali jakąś miarę, a byli tak silnej konstytucji (np. Sapieha Kazimierz), że po nocy pijackiej na sesji sejmowej wymową patetyczną się popisywali; niejeden w przepiciu (np. Ksawery Branicki) zdradzał nawet plany tajemne swej fakcji, tak, że o ich przeprowadzeniu już mowy być nie mogło. Wina węgierskie traciły już nieco na tradycyjnej wziętości i szampan, mniej bordo, rugowały je silnie; miody i piwa (coraz gorsze) znikały ze stołu szlacheckiego, panowały na miejskim; bez wódki nikt się nie obywał; zażywali jeszcze opoje sławy niepomiernej, ale chyba już tylko na sejmikach, jeśli się nie odbywały przy konwoju rosyjskim; obcy nie mogli się dość naskarżyć np. na opilstwo generalności «barskiej».

MARNOTRAWSTWO

Chociaż środki materjalne szczuplały, nie dało się dawne marnotrawstwo wykorzenić. Szalona gospodarka rujnowała i wielkie majątki; o stanie majątku nic nie wiedziano, sprzedawano np. wsi z zamkami, ale na miejscu po zamku śladu już nie było, tylko chłop staruszek przypominał sobie, że wywoził zamłodu ostatnie jego kamienie na nową gorzelnię. Z marnotrawstwa na stroje, klejnoty itp. przemysł domowy nic nie korzystał, bo imponowało tylko co obce i kupcy warszawscy mieli wielkie składy, zaopatrzone wyłącznie w towary angielskie itp.; jedyny Dangiel wytrzymywał z swojemi powozami konkurencję wiedeńską i angielską; przewóz daleki (na Gdańsk) podrażał towary nadmiernie. Przykład marnotrawstwa szedł zgóry, od króla i magnatów; za króla płaciła choć Rzeczpospolita i Rosja, ale magnaci wystawiali cierpliwość kupców nieraz na najdotkliwszą próbę i obcy uskarżali się, że panowie więcej o zaciąganiu niż o płaceniu długów myśleli. Żyło się nad stan, jak najwystawniej; uroczystości rodzinne dla byle małego dziecka, dawały pretekst do naj-

huczniejszych balów i przyjęć a kraj pozostawał ubogim, jak dawniej.

R. 1773 dawano tygodniowo po dwa, trzy bale, trwające od godziny drugiej do późnej nocy; na każdym bywało pięć czy sześć stolików do faraona a sumy wygranych wahały się od pięciu do sześciu tysięcy dukatów; wydawano bale na cześć wstąpienia na tron Katarzyny, na imieniny czy narodziny Pawła itd. Dziś twierdzą, że ta balomanja była niby udawaną, że bawiono się, aby zamaskować żal patrjotyczny przed argusami Stackelbergowymi, że dlatego unikano wszelkiej wzmianki o rozbiorze, ale spółczesne źródła nie uprawniają do takiego eufemizmu; lekkomyślność narodowa może starczy na objaśnienie tego rozbawiewienia. Tańców mężczyźni nie uczyli się, obchodziło się w polonezie bez nauki osobliwszej, ale cudzoziemskie, menuety, Allemand, sztajery i i. wymagały nauki, w której celowali kadeci; więc po nich wysyłano karetę, a gdy o niej zapomniano, to przenosił kadeta żołnierz na barkach; do korpusu pewnie go odwożono karetą.

Sentymentalizm, fałszywa sielankowość XVIII wieku lubowały się, szczególniej latem, w balach i festynach sielskich; lubił je nadzwyczaj Stanisław August, wesela chłopskie ze śpiewkami, które komponowali Wojna i Czaplic; maskarady pasterskie, szalety sielskie należały do urządzań balów i zakładania ogrodów, które mieściły wszelkie przybytki i świątynie przyjaźni, dumania itp.; najsłynniejszy był *Jardin moral et emblematique* Borcha w Worklanach, którego opisem Borch króla i «czwartkowców» zanudzał; były tam uwiecznione i wszelkie zdarzenia historyczne, a przy każdem, nawet przy Koperniku, figurował portret któregoś Borcha; Arkadja pod Warszawą zachwycała i obcych widokami ruin, świątyniami itp.

Alegorje i symbole nie przeszkadzały ogólnemu rozbawieniu, korzystającemu z byle okoliczności; Raczyńscy wydali trzy bale i dwa przyjęcia po sto osób na imieniny córeczki dziewię-

ciomiesięcznej; z największą okazałością obchodzono byle wjazd, np. młodych Lubomirskich w Dubnie: mieszczanie wywiedli woła z pozłacanemi rogami i siatką złocistą, prowadzonego przez chłopów, przybranych za Turków, a żydzi sypali kwiaty. Sanguszko obchodził imieniny matki przez cztery dni z hecami (szczwanie niedźwiedzi i byków psami), wystawieniem komedji znanej *Polak cudzoziemiec w Warszawie* itd.; hetmanowa Ogińska przyjmowała króla w Siedlcach z taką pompą, że ją drukiem r. 1783 opisano.

Krocie kosztował ten przepych (bankierzy warszawscy wysyłali r. 1777, co miesiąc niemal, miljon złp. do Paryża na zakupno wszelkich zbytkowych towarów), a do tego karty, czem wsławił się głównie Drewnowski, sekretarz konfederacji, który bank zawsze trzymał dla Ponińskiego i Sułkowskiego (miał za to procenty, i inni mizerni szulerzy utrzymywali się w ten sposób), a dobra pojezuickie rozdrapywać pomagał. Wyrzucano krocie i na inne rzeczy: proces Dugrumowej, najgłupsza intryga, miał kosztować marszałkową Lubomirską 70.000 dukatów, Adama Czartoryskiego 36.000, Branickiego i Ogińską po 16.000 dukatów: Lubomirska po tej kompromitacji wyjechała do Paryża i Wiednia, ks. Adam do Puław. Wszystko razem przyczyniało się do nadwątlenia największych fortun. Chorąży koronny, Potocki nie mógł opłacać procentów za długi i sprzedał Mniszchowi za bezcen olbrzymie dobra; ks. Sanguszko z swoich sześćdziesięciu wsi miał już tylko trzy niezastawione; inny magnat litewski zastawił w ciągu dwu lat dwanaście wsi. Nie liczono się z kosztami, aby na sejm 1786 r. stronnictwo królewskie pognębić; ugaszczała pani Ogińska w Siedlcach przez cztery tygodnie po dwieście osób dziennie, a Branicki ofiarował się płacić podymne za 3.000 szlachty wielkopolskiej. Inny Czartoryski wyrzucał krocie na nierządnice, ale sług nie płacił.

Zły przykład szedł od góry; Stanisław August nie mógł zachować kilka tysięcy dukatów przez dobę, ale rujnowała go

i familja. Brat Kazimierz sprzedał Szczęsnemu Potockiemu podkomorstwo i regiment za 30.000 dukatów, ale te i inne sumy pochłonął jego zbytek; oświadczył r. 1792 królowi, że wyruszy do armji, ale na to potrzeba mu niezbędnie dla siebie i Truskolaskiej jego, 8.000 dukatów; pieniądze dostał, lecz pozostał z Truskolaską w Warszawie (niby jak król sam, co z wielkim gestem w pole ruszył, ale od Kozienic wrócił i na zamku zastał afisz: «Wielka opera komiczna: Wyprawa na wróble albo obóz za Pragą pod karczmą Grochową»). To samo z dalszymi jego krewnymi: Tyszkiewiczowi, który pojął jego siostrzenicę, choć nigdy w wojsku nie służył, kupił generalstwo od Sosnowskiego 1780 r., 1787 r. zapłacił jego długi, lecz wdzięczności nie doznał. Zaczynał budowle i nie kończył; zakupywał w Paryżu drogie meble, które tam zatrzymano, bo nie dopłacał należytości. I życzyli obcy, żeby drobna szlachta więcej o czystość dbała a panowie długi płacili. Bawiono się znakomicie, na kontraktach w Dubnie za Lubomirskich gościło u nich codziennie 300 osób a w trzy dni ostatnie szalano: w niedzielę były hece (szczwano byki itd.), komedja i bal z tańcami; w poniedziałek karuzel (kłóto do pierścieni), balet, pantomima, bal; we wtorek komedja i bal z tańcami: poprzebierani chłopi śpiewali ułożone dla nich piosnki. Właśnie Wołyń był siedzibą magnatów: Dubno Lubomirskich, Tuczyn Walewskich, Annopól Jabłonowskich, Korzec Czartoryskich (drugiej linji rodowej) i Sławuta Sanguszków były rezydencjami słynnemi z przepychu. Sapiehowie byli najbardziej zadłużeni, ale w Lubartowie obchodzono dzień Anny komedją polską, odegraną przez aktorów polskich, ogniami sztucznemi itd. a Kazimierz Sapieha, piętnastoletni, był już generałem artylerji.

Nie w Polsce zformułowano dewizę: *Après nous le deluge,* ale wedle niej żyli panowie — w Warszawie i po rezydencjach; średnia i drobna szlachta nie rzucała tak łatwo dawnego trybu i ze zgrozą powtarzała, co się w gnieździe zepsucia, w Sodomie i Gomorze dzieje, a za nią moraliści-satyrycy nie mogli

się dosyć naskarżyć: przeskok od dawnego sarmatyzmu do modnego europeizmu był zbyt nagły i gwałtowny. Cudzoziemców jako Europejczyków mniej to raziło. Uważali wprawdzie, że pałace więcej okazałe, niż wygodne; że mnóstwo służby, ale głodnej, nie płatnej, sypiającej i na ziemi; że zewnętrzna kultura bywała naleciałością; że brak było istotnego zainteresowania się czemkolwiek (cudzoziemca rozrywano w pierwszej chwili, rychło raczono go obojętnością); że Warszawa tylko miejscami nie była brudna, ciemna, uboga a zawsze droga; kosztowało tu dukata, co w Niemczech talarem czy guldenem, t. j. jedną trzecią albo rublem w Petersburgu opędzano. Wdzięk i swoboda pań, łatwość pożycia, sarmacka gościnność, znajomość francuszczyzny kazały obcym zapominać o niewygodach podróży (na prowincji; poczty same były lepsze, ale i droższe niż pruskie; tylko o nocleg bywało trudno, bo karczmy odstraszały; mosty zakrawały na klawisze), o nieforemnem żydostwie (ale bez żyda niesposób było się obchodzić), o jednostajnym krajobrazie (same lasy i piaski), o nędzy widocznej chłopów i ich chałup, o ubóstwie mieszczan. *Les paradoxes* etc. rzekomo Dalemberta z r. 1775 twierdziły, że w Polsce wszystkiego pięć miast murowanych, 400—500 kupców i 40 do 50.000 rzemieślników po wsiach, co się miastami zowią, że żyd z księdzem drą chłopa, żyda drą panowie, ale żyd pożycza u nich pieniądze, aby potem bankructwo ogłosić i ze zdobyczą umknąć.

Nie były jednak przywidzeniem moralizatorów-satyryków najpierw rządy kobiece, gynajkokracja, objawiające się nietylko ciętemi słówkami kasztelanowej kamieńskiej i Potockiej (Mniszchówny), bo i w polityce «kwochy» zaważyły nieraz ciężko czy na decyzji królewskiej, czy na intrydze przeciw niemu plecionej. Rozwody i metresy świadczyły wyraźnie o luźności kodeksu towarzyskiego; gorzej jeszcze pustoszyła kieszenie i sumienia szulerka; zbytek wreszcie i marnotrawstwo o rozmiarach niesłychanych. Zniewieściałość była cechą przeważnej ilości mężczyzn,

nie u króla tylko, lecz i u generała ziem podolskich, u Potockich i i.; tężyzny charakterów nie zastąpiły najlepsze zamiary; próżność i chełpliwość, duma i zawiść, upór i zaślepienie działały fatalnie. Tak było u wierzchu, od króla i ministrów do izby poselskiej. Poza nimi, śród gminu szlacheckiego, wałęsały się tradycje saskie, jeszcze r. 1786, na sejmiku płazowali Czartoryszczycy pijaną szlachtę, rozłożoną po stokach wałów fortecznych kamienieckich. Ogólne zacofanie ustępowało powoli pod wpływem nowej szkoły, literatury, publicystyki, a los srogiemi ciosami przyśpieszył upamiętanie i wytrzeźwienie.

HIGJENA

Stosunki zdrowotne po miastach i miasteczkach, między gminem i żydostwem, bywały opłakane, dla braku lekarzy, dla nawyczek sprzecznych ze wszelką higjeną, dla niewykorzenionych przesądów. Król i panowie mieli lekarzy przybocznych, suto opłacanych, samych niemal obcych, przeważnie Niemców, ale ci chyba wyjątkowo obsługiwali szerszą publiczność. Zresztą na prowincji byli lekarzami sami żydzi, których wiedza równała się ich instrumentom: żyd-chirurg (t. j. cyrulik) rozcinał narośle swoim scyzorykiem! W Warszawie byli lekarze Polacy, np. Czempiński i i., tak samo w Krakowie, Poznaniu, Wilnie. Szczepienie ospy przeprowadził w Warszawie radca dworu Bökler, ale Fontaine[1] w Krakowie nie przełamał uporu: ospa, to dopust Boży,

[1] Pan De la Fontaine, lajbchirurg Stanisława i «Bürger der neuen Constitution zu Warschau» wydał w Wrocławiu 1792 r. i poświęcił z najgórniejszemi hołdami królowi, panu swemu łaskawemu, *Chirurgisch-medizinalsche Abhandlungen verschiedenen Inhaltes Polen betreffend*, dziesięć listów o rozmaitej treści; najobszerniejszy, 100 str., o kołtunie, z rycinami, które pomieścił H. Biegeleisen, *Lecznictwo ludu polskiego*, Kraków 1929, na tablicy przy str. 80, jako pochodzące z «Muzeum Lubomirskich we Lwowie», tam dostały się z tej książki.

któremu przeciwdziałać nie uchodzi. Obok żydów mordowali ludzi balwierze, kat psiem sadłem, znachorzy: chłop pod Krakowem leczył, nie oglądając nawet chorego, obniuchując jego brudną koszulę i posyłając swoją maź-balsam, chyba na zdrowie swej własnej kieszeni. Fontaine widział, jak przy traceniu, gdy głowa odpadła, kat tułów wywracał i krew zbierał w naczyniu: pierwsza szklanka była najdroższa, dalsze tańsze, krew katolika droższa niż żydowska, droższa «kawalerska» i «panieńska»: wlewano je epileptykom i pomocnik kata popędzał ich do biegu, aby krew lepiej skutkowała (ale to przesąd ogólno-europejski, który może Niemcy do Krakowa zawieźli). Gorzej było, że np. chorego na krosty weneryczne zakopywano po gardło w gnoju, nawet w Warszawie to się zdarzało; nieszczęśliwy po strasznych mękach nieraz życiem takie leki przypłacał. Dla braku jakiegokolwiek nadzoru szarlatanom wszelakim wrota były otwarte, ale Cagliostro, zdemaskowany przez hr. Moszyńskiego, musiał uchodzić z Warszawy (i Heycking, znający go z Petersburga jeszcze, przyłożył się do tego); mesmeryzm miał więcej powodzenia.

Zmiłowali się wreszcie Kołłątaj z prymasem Michałem Poniatowskim nad krajem i wymusili, że rady miejskie wysyłały na swój koszt dorosłych do Krakowa lub Wilna na studja medyczne; którzy nie mieli początków, tych douczano wpierw w gimnazjum akademickiem; ci dopiero roznieśli po kraju jaką taką opiekę lekarską. W Krakowie urządzono nawet rodzaj pogotowia ratunkowego dla tonących; poza niem radzono sobie tak, że topielca wieszano do góry nogami, aby woda wyciekła; jeśli nie pomarł przedtem, to teraz niechybnie. W całym kraju było jedno miejsce kąpielowe, Krzeszowice pod Krakowem; już stary Adam Czartoryski (wojewoda) oporządził je r. 1780, córka i dziedziczka, wdowa po marszałku w. kor. Lubomirskim, założyła nawet szpital dla 30 ubogich (z zupełnem utrzymaniem),

a woksal dla gości, napływających zewsząd; o Szkle i Drużbaku za Sasów zapomniano.[1]

O szpitalu Dzieciątka Jezus donosiły gazety niemieckie (lipskie) już r. 1771; Fontaine podał najdokładniejszy jego budżet za r. 1790. Przyjęto 2.660, z nich noworodków 377 chłopców, 386 dziewcząt (nierzadkie wypadki, że dzieci podrzucano na ulicy albo pod stosem drzewa); umarło 1.103, wyzdrowiało 1.298. Wydano 254.538 złp.; główny wydatek, 76.000, szedł na mamki w szpitalu i poza nim; 35.000 na mąkę, jarzyny itd., 30.000 na mięsa, 10.000 salaria (płaca służbie itd.); dochody wynosiły 262.657, w tem 47.000 od króla w ratach miesięcznych, 44.000 od kawalerów orderu ś. Stanisława, 41.000 z skarbu koronnego, 35.000 z jałmużn, ale szpital miał długi dawne, datków dobrowolnych coraz ubywało, a walił się browar i nie można

[1] Nigdzie nie widział Fontaine tyle strasznych kalectw, co w Polsce; najwstrętniejsi byli żebracy, nieraz udający kalectwa i rany (nakładając surowe mięso i t. p.); przerażali go i żydzi, to zbyt rychłem grzebaniem zwłok (rabin twierdził, że tylko u chrześcijan mógłby zajść przypadek pozornej śmierci, Fontaine posądzał o środki gwałtowne), to zbyt rychłym ożenkiem (od 12 do 15 lat), to niehigienicznem odżywianiem (tylko raz na tydzień, w szabas, obje się, że niemal nie pęknie, ale z domu nie wyjdzie, a potrawy ciężko strawne, gęś tłusta, niedopieczone ciasta, złe ryby i lura kawowa z mlekiem), to karmieniem niemowląt (za dnia, bo matka handluje, stara mamka, w nocy młoda matka); oprócz wesel nie znają żadnej zabawy; kobiety ich nadzwyczaj białe, bo mało wychodzą. W takich warunkach nie dziw, że 40-letni żyd wyglądał starzej niż 60- lub 70-letni chrześcijanin. O kołtunie twierdził, że chorują nań w Małopolsce 2 lub 3 osoby na 10 z gminu, a z szlachty i mieszczan 2 na 30, 40, na Mazowszu i Litwie 4 na 40, 50 z gminu, a z innych 3 na 90, 100. Żydzi leczą się z niego, mocząc stary kołtun w wódce i pijąc jej kilka kieliszków dziennie (środek dziś jeszcze używany). Mieszkał on 6 lat w Krakowie i mimo panującej r. 1782 ospy, zabierającej do 90% dzieci, wszystkiego tylko 8 mógł szczepić, wobec ogólnego oporu i duchowieństwa i starych praktyków, którzy szczepienie szarlatańskiem nazywali. Na kamienie pęcherzowe nikt w Polsce nie chorował, chyba cudzoziemiec; co o upławach mówił, przypominało nieco twierdzenie *Orang Utanga*.

było przybudowywać więcej ubikacyj, np. dla warjatów, żeby ich nie trzymano 2—3 w jednej izbie; od podatków szpital nie był wolny, płacił podymne, czopowe, skórowe itd. Nie wszystko było w należytym stanie, Schulz przynajmniej twierdził, że chodząc po szpitalach warszawskich musiał nos chustką zatykać. Fontaine podawał (a za nim powtarzali to Schulz i Kausch) przeraźliwe liczby chorych wenerycznie: w r. 1790 było w Warszawie na 100 rekrutów 80 chorych, a na 20 mamek piętnaście — ale to cyfry miejskie, na wsi było inaczej, nierównie lepiej.

WIARA

Fanatyzm, wypielęgnowany za Sasów przez duchowieństwo, po raz ostatni tryumfował za konfederacji radomskiej, która się przeciw żądaniom prusko-rosyjskim równouprawnienia dla dysydentów oświadczyła, lecz nakazom Repninowym wnet uległa; ci, co się upokorzyć nie chcieli, uszli do Baru i zawiązali tam konfederację 1768 r. w obronie wiary i wolności. Wodzowie Barszczan nosili się z planami politycznemi (detronizacji króla itp.), ale tłumy drobnej szlachty około nich piastowały w samej rzeczy ideały katolickie i dawały im szczery wyraz w swojej poezji. Gdy polityka Barszczan raziła nieudolnością, brakiem oceny sił własnych i pomocy obcej, widokami osobistemi, nie mówiąc o intrygach i kłótniach, rozrywających wszelką akcję, o pijatykach i zabawach, na które się rujnowano, poezja barska, naiwna i szczera, prosta i rubaszna, płonęła istotnem poświęceniem, zaparciem się siebie samego dla wyższej idei: pieśń godna nowych krzyżowców. Autorowie jej nieznani (wyjątkowo imię majora Rościszewskiego zapisano); sławy nie pragnęli, dawali wyraz uczuciom ogółu, patrjotycznym i religijnym. Forma jej ustalona, pieśni kościelnej z czasów saskich; zwrotki przeważnie czterowierszowe, 11- lub 13-zgło-

skowe, z rymami końcowemi a nieraz i wewnętrznemi z tego samego lub poprzedniego wiersza, np.:

Gromi straszna r ę k a już polską krainę,
Ziemia z armat s t ę k a, kraj słyszy ruinę,
Przemień złą nowinę,

albo: Lament konfederacki:

Przebóg, kto czuje niechaj ratuje
Matkę Ojczyznę, widząc jej bliznę i t. d.,

albo:

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu,
Dla wolności g i n ę, wiary swej nie m i n ę,
Ten jest mój azard.

Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem,
W marszu zostaję, choć upadnę trupem,
Nie zważam, bo w b o j u dla duszy p o k o j u
Szukam w Ojczyźnie i t. d.

Wysłowienie «saskie» t. j. płaskie, nieraz aż prostackie, z obfitą cudzoziemszczyzną, z niepotrzebną rozwlekłością, z ciągłem odwoływaniem się do cudów biblijnych, z wysuwaniem polskich świętych, t. j. Królowej Polskiej i św. Stanisława Kostki, zato brak sztuki i sztuczności zastąpiło rzewne, głębokie, silne uczucie, sprzęgające wiarę, wolność i Polskę:

Wolność, ojczyznę, jedność, wiarę, prawa,
Chce zniszczyć, zgubić złość kacerska żwawa...
Zawstydź kalwina, lutra, szyzmatyka,
Niech dobrze wierzy, albo śmierć połyka...
Panie! przy wierze życie swe dajemy,
Osłab kacerzów, niech ich przemożemy —
Kościół i wiarę, Syna krwią i męką
Zrobione, niszczy kacerz hardą ręką.
Grzechy to nasze ściągają tę karę,
Które w swych złościach przepełniły miarę,
Przecież twe większe miłosierdzie, Boże!
Żal i pokuta ubłagać Cię może...
Sam ratuj wiernych i polską koronę i t. d.

Takie same tu alegorje niesmaczne, jak za Sasów, przenoszenie terminów wojskowych:

Fergadron biją, stawaj do tropu!
Żadnemu Pani nie da urlopu.
Parol jest Jezus, hasło Maryja.
Wierz w Artykuły mocno w tej mierze...
Jak wzgardzisz Panią, będziesz w areszcie.
Dezerterować od Niej nie mogę.
Capstrzyk już biją, zamknij fortecę,
Idź do kwatery z wojska, człowiecze!
A jak nie pójdziesz, z rangi wymażą.[1]

Anachronizmem była nietylko forma, ale i idea sama, bo już nie było miejsca dla nietolerancji w Polsce; już dysydenci ani grzali, ani ziębili; śród Barszczan samych nawet biskup kamieniecki więcej o królu Stanisławie niż o Marji myślał. Czasy ekstazy religijnej (której ostatki w owej poezji błyszczały) i ascezy minęły bezpowrotnie i niebawem ślady owej walki religijnej się zatarły. Naród był katolicki, ale dysydentów znosił, chociaż nie życzył sobie, by się z nim zrównali, lecz katolicyzm jego był już oziębły. Obrazów Matki Boskiej koronowano już o połowę mniej i bez wielkiej okazałości; kościołów nie stawiano, klasztorów nie fundowano; autorytet duchowieństwa, świeckiego czy zakonnego, znacznie zmalał a kwestarz nie zasilał się równie hojnemi datkami, jak dawniej. Wprawdzie i wyższe warstwy nie rzucały zewnętrznych oznak wiary, za przykładem króla samego, co w Wielki Czwartek dziadom nogi omywał, ale to było raczej tradycją, niż potrzebą. Obcy jednozgodnie nie widzieli u Polaków nietolerancji; ci chodzili nawet na luterskie kazanie polskie (w pierwszą niedzielę miesiąca) do najpyszniejszej budowy kościelnej, jaką w Warszawie za Stanisława wzniesiono; gorliwość większa była chyba śród rzemieślników, po cechach, ale tam obok wyznania i narodowość wadziła (luter Niemiec, kato-

[1] *Fergadron* — Wer geht rum; *trop* — truppe; *Artykuły* — t. j. hetmańskie, wojenne.

lik Polak) i tem chętniej czeladź katolicka luterskiej dokuczała. Oziębłość przechodziła nawet w jawną niewiarę i nie mógł się nadziwić luter Heyking młodemu Miączyńskiemu, szydzącemu z wszelkiej wiary; nie potrzeba było wolnomularstwa, aby się w deistę zapisać i jeżeli pijar Piotrowski niby biadał nad tem, że w Warszawie Łyszczyńskich pełno a kaci próżnują, to czynił to może z umyślną przesadą, bo pijarów (Konarskiego) także o niewiarę oskarżano. Nie znoszono jednak, mimo wszelkiej tolerancji jawnych szyderstw z wiary; młodemu Niemiryczowi, co w kościele z hostją św. żartował; Obmińskiemu nauczycielowi, co kolegów niewiarą gorszył; ks. Bogucickiemu w Krakowie, co na uroczystem posiedzeniu uniwersytetu wobec króla i prymasa sobór nicował a kacerzy sławił, nie przepuszczono (Niemirycz ocalił się tylko ucieczką przed rozsiekaniem). Literatura stała przeważnie duchownymi, eksjezuitami, pijarami i księżmi świeckimi, więc nie dziw, że hasła wolterjańskie, pogardy i nienawiści kleru, wcale się nie przyjmowały; wyjątkowo przetłumaczono jeden i drugi pamflet antyklerykalny, np. tragedję *Saul*, mimo to odzywały się już głosy przeciw majątkom kościelnym; wbrew nuncjuszowi i biskupom zabrano na skarb olbrzymie dobra biskupstwa krakowskiego, wyznaczając biskupowi skromną (w porównaniu do jego dochodów) pensję; już odzywały się żądania sekwestracji wszelkich dóbr duchownych, ba, skasowania wszelkiego duchowieństwa, nie trudniącego się duszpasterstwem.

Do animozji przeciw duchowieństwu przyczynił się jego widoczny upadek, jak arystokracja i ono popadło w zmierzch zupełny. Od prymasów do plebanów oskarżano wszystkich o niemoralność życia, o zbytki, o chciwość nadmierną, o wysługiwanie się królowi czy Rosji, a kurja rzymska wiedziała, że na dwie trzecie episkopatu wcale liczyć nie mogła. Kronika skandaliczna, epigramy złośliwe miały aż nadto pola do popisów, sama jednak wiara bynajmniej nie wywietrzała; obchodziły się bez niej

«silne duchy», ale lud np. warszawski spozierał z równą nieufnością na dysydentów i farmazonów, jak na żydów i neofitów, a tak samo było między szlachtą zagonową i na prowincji. Była to wiara przesądna, szczególnie śród kobiet, chociaż i śród Staruszkiewiczów nie brakło tych, których sól rozsypana, łyżka odwrócona itp. strachem mroziły. Jeszcze zażywały niezmiennej powagi kalendarz wiekuisty, upiry, djabeł (mimo książki ks. Jana Bohomolca o *Djable w właściwej postaci*, ograniczającej bardzo jego wszechmoc i wszędybytność), dusze pokutujące, co «przeszkadzały» w lamusie czy na cmentarzu, dokądby kobieta nocą nigdy nie weszła, ale już malała wiara w opętanych, już udział szlachty w pielgrzymkach zdrobniał, a napływ do klasztorów, szczególnie żeńskich, ustawał; również do stanu duchownego mniej wstępowano.

Przesądnej nabożności na prowincji duchowieństwo nieraz jeszcze nadużywało. Ciotka pani Niemcewiczowej, zakonnica, pisała jej, że zmarła jej przyjaciółka-zakonnica zjawia się nocą i prosi o 300 mszy, aby się z czyśćca wydostała; Niemcewicze posłali na 200 i dusza się niemi zadowoliła. Mądrzej postąpił konwertyta Fleming: kupił Terespól po hetmanie lit. Pocieju, którego nie po hetmańsku pochowano, więc udawali się do Fleminga księża, że zjawia się im dusza Pociejowa i prosi o pogrzeb hetmański, inaczej z czyśćca nie wyjdzie. Na to Fleming: poco się dusza wam, co nic nie macie, ukazuje? gdy się zjawi, odeszlijcie ją do mnie a wtedy ja ów pogrzeb sprawię, ale dusza nie raczyła objawić się Flemingowi. Ks. Obłoczyński (zob. wyż.) odwiedzał nieraz Skoki i mieszkał w oficynie, skąd do dworu dochodził; gdy wyjechał, panna gołemi kolanami po tej ścieżce, całując ją, chodziła; ksiądz uchodził za świętego i umarłego, witanego przez Matkę Boską, widział na powietrzu szlachcic p. Niemcewicza i w grodzie to do aktów zeznał; stary Niemcewicz sam zadłużył znacznie majątek, aby sumy księży oddawać i zamożny syn obywatelski wziął po ojcu spadek malutki

Tak bywało jeszcze śród średniej szlachty, wyższa tego już nie znała.

Kwitły przesądy jak za Sasów; czarownice palono dalej, ale gdy r. 1775 w Doruchowie w ziemi wieluńskiej spalono czternaście kobiet za sprowadzanie chorób i suszy, zażądał kasztelan biecki Kluszewski zniesienia kary śmierci za czary i sejm jednomyślnie to przyjął, ale wypadki karania śmiercią o to powtarzały się sporadycznie i potem. R. 1790 kazał ekonom w Annopolu Jabłonowskich pławić w stawie kobiety dla sprowadzenia deszczu z nieba; jedna z pławionych, brzemienna, uderzyła się o pal i zmarła.

Losy duchowieństwa, zawsze jeszcze najbardziej oświeconej warstwy społecznej, nie uległy znaczniejszym zmianom; zmniejszyła się chyba kumulacja prebend; w pogoni za nowemi dochodami pociągano duchownych do wydatnego powiększenia jego *subsidium charitativum* i do nowych danin. Pozostawały i dawne nadużycia: proboszcz zużywał bogate dochody probostwa, nieraz do kilkunastu tysięcy złp., a opłacał paruset złotymi ubogich wikarych-braciszków, pełniących zań służbę; zdzierał chłopa nie gorzej niż żyd; ks. biskup Massalski w swoim *Plebanie* (1789 r.) dał niejeden tego obrazek. Zniesienie zakonu jezuitów odczuto najboleśniej w Polsce i nie tajono sympatji dla braci zakonnej, która oparta o łaskę Katarzyny, na Białej Rusi ostała i w Połocku się silniej zorganizowała. Nowych zakonów nie przybyło. Mistyka (mimo luźnych ascetów, np. dominikanina Obłoczyńskiego) nie znachodziła wyznawców; za mistyka-wieszcza uważano śród Barszczan karmelitę ks. Marka (Jandułowicza), któremu przypisywano wydaną w r. 1763 *Wieszczbę dla Polski,* nader śród nich popularną (też pod tytułem: «Opis wierszem ojczyzny sukcesów w krytycznych czasach zostającej»).

Lud i szlachta szaraczkowa pozostali katolikami wierzącymi, ale śród zamożnych znaczenie duchowieństwa widocznie zmalało. I nie dziw; wpływały nietylko prądy zachodnie umy-

słowe, wrogie wszelkiemu klerykalizmowi, ale i duchowieństwo samo podupadło jawnie. Od połowy wieku ustały wszelkie synody diecezjalne (o prowincjonalnych już od połowy XVII wieku nie słyszano); gorszyły spory króla i biskupów z opatami już od XVII wieku toczone: król chciał rozporządzać bogatemi opactwami dla wyposażenia ubogich biskupstw kresowych, klasztory obstawały przy wolności wyborów, Rzym wahał się (niepopularność nuncjusza Santiniego, p. wyż. stąd się zaczęła); wkońcu uzyskał król szafunek trzynastu najbogatszych opactw, ale jeszcze Podoski wojował z królem Stanisławem o niejedno. Wiedza teologiczna duchowieństwa była minimalna; dzieł teologicznych (oprócz tłumaczeń z francuskiego) jakby nie było (jedyny ks. Poszakowski stawał z niemi na placu, głównie przeciw dysydentom) — na szczęście seminarja duchowne, urządzane już od XVII wieku, które każda diecezja posiadała (największa, krakowska, miała ich sześć, inne po kilka lub jednem), ręczyły za pewien poziom naukowy, którego żaden inny zawód nie posiadał. Nie dziw więc, że zawistnem okiem spoglądano na olbrzymie dobra duchowieństwa, że ograniczano wszelkiemi sposobami nowe nabytki (kto do zakonu wstępował, nie mógł go obdarzać majątkiem swoim, chyba jedną dziesiątą), że przykłady austrjackie i pruskie niejedenby naśladował (mówiono o kasacie dóbr duchownych, o wydzielaniu równej pensji biskupom, co rozpoczęto z krakowskim). Chciwość całego duchowieństwa przechodziła wszelkie granice, była przysłowiowa, a co o życiu wyższego opowiadano, wzniecało jawną pogardę — obmowy nie uchodzili nawet najpowściągliwsi, np. prymas Michał Poniatowski. Emancypacja od duchowieństwa była faktem dokonanym, przynajmniej w sferach wyższych.

DYSYDENCI

Nie gminy, lecz szlachta dysydencka, już tylko kilkadziesiąt rodzin, wzniecała rozruchy, niezadowolona, że ją przy wy-

borach pomijano; wymagała nie tolerancji, lecz równouprawnienia i za inicjatywą obcą zawiązała konfederacje na Litwie i w Koronie, z kilkuset podpisami; twierdzono, że i małoletnich podpisywano na aktach. Co im konfederacja radomska i sejmy r. 1766 i 1768 przyznały, cofnął sejm z r. 1776, ograniczył ich do tolerancji, ale przyznał im trzech posłów na sejm. W Warszawie siedzieli od dawna, wbrew ustawom mazowieckim i już od połowy XVIII wieku przyjmowano ich za opłatą do bractwa kupieckiego. Nie mogli jednak pełnić nabożeństwa zborowego i w tym celu udawali się do odległego Węgrowa, gdzie mieli dwa zbory, których pastorowie zjeżdżali dla posług zborowych do Warszawy, do kaplicy w poselstwie pruskiem, później «duńskiem»; r. 1767 odprawił po raz pierwszy publiczne nabożeństwo pastor poselstwa. Teraz nie krępowano się już: kalwini powołali z Poznania Musonjusza jako predykanta, lutrzy Ringeltaubego ze Śląska na pastora a Cerulli'ego na katechetę. Nie przestawano myśleć o połączeniu obu wyznań i w Sielcach przyszło r. 1778 do tego istotnie. Ale ta unja rozbudziła nowe waśni: lutrzy skarżyli się na upośledzenie, żądali powrócenia do dawnego obrządku; gorszyły ich spory Ringeltaubego i Cerulliego o dochody; 1783 r. przyszło do nowej ugody, która utrzymała oba obrządki przy ich właściwościach. Gminy oskarżały szlachtę i synod, że ich obciążają podatkami a spory te bywały wcale nieprzykładne. Używano w urzędowaniu wyłącznie języka niemieckiego; przy poświęceniu publicznem nowego, pięknego kościoła nikt się po polsku nie odezwał. R. 1778 odbyto pierwszy pogrzeb publiczny ze śpiewami.

Szkoły dysydenckie, słynne stare gimnazja kalwińskie w Słucku, Kiejdanach i Lesznie, luterskie w Bojanowie, Lesznie, Wschowie, Rawiczu, Zdunach, nie podlegały Komisji Edukacyjnej.

Różnice wyznaniowe nie istniały już dla sfer wyższych (choćby pod wpływem wolnomularstwa); tylko u tłumu spoglą-

dano niechętnie na «jancykrystów», ale i tu nie było i mowy o jakichś ekscesach, tak zwykłych w XVII wieku.

WOLNOMULARSTWO

Nikłe za Sasów początki masonji rozwinęły się teraz w pełni i protesty duchowieństwa przebrzmiały bez skutku; szczególniej między młodzieżą arystokratyczną należał do dobrego tonu udział w masoństwie; patrjoci, twórcy Konstytucji, ogólnie za masonów uchodzili. Od jasnego, acz chłodnego racjonalizmu odbijał skutecznie ów osobliwszy rytuał z hierarchją, z emblemami, tajemnicami, poświęceniami; wierzono chętnie w bajki, jakiemi świeżo, bo dopiero w XVIII wieku wypiastowany «zakon», aż od świątyni Salomonowej swe początki wyprowadzał; dosyć ścisła kontrola uchylała od «zakonu» niepowołanych (opowiadał Ochocki o facecie, który cięgi zamiast stopnia otrzymał); uczynki miłosierne (jałmużny i t. p.) należały do obowiązków brata; nowość bawiła niejedną próżną głowę, a naiwni domyślali się nieskończenie więcej, niż zakon dostarczał; rozlegały się hasła równości, wolności, braterstwa, postępu, czci człowieka-brata, ale polityka była wykluczona; wreszcie rozstrzygała moda. Zastępów dostarczali i Niemcy krajowi i obcy przybysze; język bywał niemiecki i francuski, dopiero z czasem polski. Wolnomularstwo polskie nie odegrało zbytniej roli, liczne loże w Warszawie i na prowincji złożyły się na Wielki Wschód narodowy, który się ukonstytuował ostatecznie r. 1784 i opracował ustawę *Acte déclaratoire et statut du Grand Orient du Royaume de Pologne et du Grand Duché de Lithuanie*, obowiązującą do końca masoństwa polskiego w r. 1820, składającą się z 54 artykułów o urzędnikach, wyborach, lożach prowincjonalnych i t. d.

Pierwszą wielką lożą była r. 1769 loża Cnotliwego Sarmaty z Moszyńskim jako wielkim mistrzem prowincjalnym na czele, z podwładnemi lożami niemiecką, francuską i trzema polskiemi; rządziła się własnym statutem. Po przerwie z powodu

walk wewnętrznych zreorganizowała się jako loża Karola, Pod trzema hełmami, za poczynaniem Brühla, z trzema podwładnemi lożami w Warszawie, a jedną w Krakowie; druga loża Katarzyny, Pod gwiazdą północną na wschodzie Warszawy, miała pod sobą trzy w Warszawie, trzy w Wilnie, po jednej w Dubnie i Poznaniu; razem było lóż szesnaście; wielkimi mistrzami byli po kolei Ignacy Potocki, Andrzej Mokronowski, Szczęsny Potocki i Kazimierz Sapieha; r. 1794 ustały na długo (aż do r. 1810) wszelkie loże i ich czynności. Do r. 1788 było wolnomularstwo partją rosyjską i miało wielu rosyjskich wolnomularzy członkami honorowymi; gdy się nienawiść przeciw Rosji wzmagała, odmieniła loża Katarzyny nazwę w lożę Stanisława. Król wstąpił r. 1777 do loży Pod trzema hełmami na wschodzie Warszawy, z najwyższym stopniem wolnomularstwa polskiego (siódmym, kawalera Różanego Krzyża), ale już dawniej wspierał czynnie zasiłkami pieniężnemi i innemi zakon; wszyscy wybitniejsi działacze z czasów Wielkiego Sejmu byli masonami: Potoccy, A. Czartoryski, nieodstępny od niego Niemcewicz, Piatoli, Matuszewicz i t. d.[1]

Iluminaci i Różokrzyżowcy nie utrzymali się obok masonów; większej sławy zażywał jedyny iluminat polski, Grabianka, starosta liwski, który się jako Król Nowego Izraela aż do Awinjonu zapędził, a w Petersburgu uwięziony umarł: nawrócił na swoją «wiarę» i rodzinę i kilku innych, ale ci, mianowicie żona i dzieci, rychło wytrzeźwieli i sekciarza zupełnie opuścili.[2]

[1] Nie myślimy wyliczać stopni i opisywać obrzędów przy ich przyjmowaniu, odsyłając do dzieła Stan. Małachowskiego-Łempickiego, *Wykaz polskich lóż wolnomularskich oraz ich członków w latach 1738—1821*, poprzedzony zarysem historji wolnomularstwa polskiego i t. d., Kraków 1929 (z Archiwum Komisji historycznej t. XIV), 319 str., gdzie i dawniejsza literatura (ks. St. Załęskiego, *O masonji w Polsce*, Kraków 1908 i in.) wyliczona.

[2] Por. o Grabiance dzieło J. Ujejskiego, *Król nowego Izraela*, Warszawa 1920.

ROZDZIAŁ CZWARTY

SZKOŁA I NAUKA

Szkoła rycerska. — Komisja Edukacji Narodowej. — Organizacja szkół Komisji. — Rozdźwięk między Komisją a społeczeństwem. — Szkoły akademickie i zakonne; walka z przesądem obywatelskim. — Czynność Komisji i jej owoce. — Historja. — Ekonomika. — Nauki przyrodnicze i matematyczne.

SZKOŁA RYCERSKA

Szkół fachowych Polska nie znała, ani cywilnej, ani wojskowej zwłaszcza, której potrzeba biła w oczy; nie mogła jej zastąpić licha praktyka po chorągwiach narodowych; do obcego autoramentu przynosili ją obcy. Więc wymagano od nowego króla w paktach konwentach utworzenia «szkoły rycerskiej» i Stanisław August wywiązał się świetnie z obowiązku, wystawił r. 1766 pierwszą świecką szkołę w Polsce, której zadaniem było wychowywać nietylko oficerów przyszłych, ale obywateli; szkoła była naturalnie wyłącznie szlachecka, utrzymywała 60 uczniów ze szlachty uboższej, a 20 na koszcie ich własnym. Zadowolił się król powołaniem jej do życia i subwencjonowaniem w początkach; właściwe kierownictwo objął A. Czartoryski, który zajmował się szkołą gorliwie, układał dla niej *Katechizm moralny* (drukowany r. 1774) i stale o niej pamiętał. Duchowni nauczyciele byli z niej wyłączeni, uczyli świeccy, a między nimi wielu obcych, szczególnie Niemców, nawet protestantów; zakład był wojskowy, dowodzili oficerowie i nauki wojskowe pielęgnowano pilnie, łaciny nie uwzględniano wiele, zato języki nowsze, matematykę i t. d. Książę kurator dbał przedewszystkiem o szczepienie ducha obywatelskiego, moralności publicznej, honoru prawdziwego, o tępienie wszelkich nawyczek potocznych, nie licujących z duchem rycerskim (podsłuchiwanie, łajanie słowami sromotnemi i t. p., co nie uchodziło dotąd za występek); uczniowie tej szkoły i w wojsku i poza wojskiem odznaczali się prawością, patrjotyzmem, oświatą. Mieli przecież «swoim uczyć przykładem po-

żytecznego obywatelstwa powinności», «oswobodzić ojczyznę od jarzma tych strasznych tyranów, niewiadomości i prewencji». Że to nie czcze słowa tylko, dowiedli uczniowie «korpusu kadetów» (bo tak ich potocznie zwano) służbą ojczyźnie nietylko w szeregach żołnierskich. O duchu i trybie tej szkoły wspominał rzewnie w kilkadziesiąt lat później jej wychowanek, J. U. Niemcewicz. Ale to była tylko pierwsza placówka nowej, świeckiej szkoły; nierównie ważniejsze i obfitsze w skutki dobroczynne było stworzenie Komisji Edukacji Narodowej.

KOMISJA EDUKACJI NARODOWEJ

Konstytucja Majowa i Komisja Edukacyjna, to dwa szczyty czasów Stanisławowych, ale gdy Konstytucja była raczej testamentem, niż programem, w życie nie weszła, zaświadczyła tylko o chęci wybrnięcia z zastoju i nierządu, pracowała Komisja przez lat dwadzieścia rzetelnie, energicznie, wszechstronnie, bezinteresownie (jej członkowie płacy nie pobierali), wyłącznie w duchu postępowym i obywatelskim, zwalczając wszelakie przeszkody, jakie im stara rutyna i przesądy na każdym kroku stawiały. I jej pracę przekreśliła Targowica, jak Konstytucję, ale owoce jej zostały, a duch co ją ożywiał, przeniknął wszelkie dalsze poczynania wychowawcze.

Narazie w latach 1765—1772 nic się niby w szkolnictwie nie zmieniło; pozostawało ono i nadal monopolem duchowieństwa zakonnego, pijarów, jezuitów, a także teatynów, których szkoła warszawska[1] tak dobrej zażywała sławy, że baron kurlandzki, licząc na promocję w suzerennem państwie (Polsce), chciał oddać, acz luter, dwuch synów do teatynów, wymagając tylko, aby ich nie przymuszano do nabożeństw katolickich; przełożony, światły Włoch Portalupi (zakon był przecież włoski, za-

[1] Zakład nie utrzymał się, zwinięto go dla braku środków.

łożony niemal spółcześnie z jezuickim i w podobnym celu, dla misji i wychowywania młodzieży), nie przystał na to, aby nie narażać chłopców na konflikty, zato udzielali im nauki prywatnie. Jednego z teatynów, Dalmatyńca-Włocha, Chotowicza, nauczyciela logiki, nie mógł Heyking-syn dla jego pierwszorzędnych zdolności pedagogicznych i dla trudu, jaki sobie z nim zadawał, dosyć wychwalić; zato nauczyciel języka polskiego, laik, jako Sodalis Marianus, porwał się z nożem na swoich uczniów, jeśliby mieli sarknąć przeciw Niepokalanemu Poczęciu. Ks. Chotowicz popisywał się swoim uczniem na egzaminie, na który sproszono kilka wybitnych osobistości, między innymi młodego Adama Czartoryskiego. Z pogodnego, niczem zdawałoby się niezawichrzonego nieba pedagogicznego spadły nagle dwa pioruny, które dotychczasowy stan błogiego spokoju na zawsze zniszczyły.

Rozbiór r. 1772 przeraził dobrze myślących nie z powodu przemocy i gwałtu (siła przed prawem było hasłem wieku oświecenia jak każdego innego przed lub po nim), lecz z powodu obojętności, z jaką szlachta ten wyrok śmierci przyjęła. Okazało się widocznie, że na spółczesne pokolenie liczyć nie można, że brak mu poczucia patrjotyzmu i obowiązku obywatelskiego, skoro katastrofa polityczna niem nie wstrząsnęła. Od ojców obracał się wzrok mimowoli ku synom i tych należało wychować w innym duchu, jeśli dotychczasowa szkoła zakonna zupełnie zawiodła, wydając łacinników, sodalisów, retorów, niezdatnych i niezdarnych do pracy obywatelskiej; reforma Konarskiego była wielkim krokiem naprzód, ale nie wystarczała. Tem łatwiej nasuwały się podobne myśli, skoro pytania wychowawcze właśnie w Francji umysły rozruszały; *Emil* dokonał rewolucji w poglądach, rozwoju sił umysłowych zamiast nauki mechanicznej wymagając; jezuitów wygnano, a ich szkoły zniesiono i na ich miejsce szkołę świecką wprowadzono; przez kilka lat «manja pedagogiczna» zawładnęła publicystyką, a i w Niemczech i Austrji re-

forma najpierw uniwersytetów, potem szkolnictwa średniego i ludowego, zajmowała rządy i ogół.

W Polsce uwidoczniały się najwięcej namacalne skutki wychowania zakonnego, wykluczenia świeckich, nieuwzględniania potrzeb krajowych. Największą wadą jezuickiego szkolnictwa było, że wychowywało łacinników, nie Polaków. Pierwszego wyłomu w tym systemie dokonał Konarski, świadomie ku budzeniu ducha obywatelskiego dostrajając naukę szkolną, ale już przez to samo, że i u niego łacina pozostała podstawą nauki, nie ujawniał się dostatecznie cel jego. Tymczasem ustalało się pojęcie polskości i Polaka: konfederacja barska, pokonana orężnie, zwyciężyła organizując poczucie narodowe w przeciwieństwie do zbója-Moskala, a sam Czartoryski oświadczył Wołkońskiemu, że Polska pozostanie Polską. W tak podnieconej atmosferze raziła stara szkoła swoim uniwersalizmem łacińskim. Wymownie odezwał się w tej myśli młody poseł krakowski, Feliks Oraczewski, na sejmie w maju 1773 r., prosząc o «projekt edukacji krajowej»; «edukacja narodowa powinna czynić Polaka dobrym Polakiem», «przywrócenie nam ducha narodowego... trzeba nam ludzi zrobić Polakami a Polaków obywatelami». Głos ten tem bardziej nie mógł przebrzmieć bez skutku, skoro w trzy miesiące później zniosło *breve* papieskie zakon jezuitów, t. j. fundament szkoły polskiej, która takim sposobem zawisła odrazu w powietrzu. Należało szkołę jezuicką koniecznie w jak najkrótszym czasie czemś zastąpić i rozwijał król myśl, że na nową szkołę trzeba zużyć dawne, jezuickie fundusze, a obmyślić dla niej jakiś osobny urząd, na co się łatwo zgodzono, spierając się tylko o formę tego urzędu. Przeciwnicy króla przewiedli, że utworzono niezależną od niego Komisję Edukacyjną z ośmiu senatorów i posłów (pod protekcją królewską) dla wszystkich szkół krajowej młodzi szlacheckiej; przydzielono jej fundusze pojezuickie, które lustratorowie silnie nadszarpnęli. Komisja miała nadzwyczajne trudności do zwalczania; brakło wszystkiego, szkół i ludzi (upra-

szano eks-jezuitów, aby do czasu szkołę zakonną dalej prowadzili), podręczników i ustaw, ale wybór członków Komisji z 14 października 1773 r. był nader szczęśliwy: najoświeceńsi i najgorliwsi zeszli się razem, obok Michała Poniatowskiego, biskupa płockiego, a później prymasa, człowieka o silnej woli a jasnym rozumie, Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, niestrudzony pracownik (głównie na polu ekonomicznem Komisji) i najgorętszy jej obrońca; Ignacy Potocki, po wystąpieniu z kleru pisarz litewski, mimo swej młodości (uczeń Konarskiego i rzymskiego Nazarenum pijarskiego) sekretarz Komisji, który w porozumieniu ze znakomitym pedagogiem, eks-jezuitą Piramowiczem, kierował pracą pedagogiczną Komisji.

Przez pierwszych lat pięć przewodniczył Komisji biskup wileński Massalski, który pierwszy w Polsce pomyślał o wydobyciu chłopa z poniżenia moralnego. Fizjokrata, jak ogół spółczesnych, więc uzależniający od pracy na roli postęp i pomyślność ludu i państwa, pragnący jej podniesienia, ogłosił r. 1770 konkurs na pytanie: «Jakie nauki należałoby dawać kmiotkowi, tej tak szacownej cząstce społeczeństwa ludzkiego, a tak u nas upodlonej» (odpowiedź opracował i pierwszy program szkoły ludowej podał pijar Antoni Popławski, również fizjokrata). Massalski dbał istotnie o szkółki ludowe, zmuszał duchowieństwo swojej diecezji do ich zakładania, urządził pierwsze seminarjum nauczycielskie w Wilnie; on ułożył *Przepis do szkół parafjalnych*, wydrukowany r. 1774, co do nauczycieli (skąd ich brać i jaka ich zależność od plebana), co do ćwiczenia młodzi względem ciała (zdrowia i siły) i umysłu (zalecanie czytania, pisania i rachunków), co do porządku szkolnego (ile lat nauki, wymagania stosownych budynków, nagród i t. d.); przepisy głosiły równość między dziećmi («dzieci szlacheckie równie jak chłopskie nic są innego w społeczności tylko dzieci»), a wymagały, «aby każdy u nas od dzieciństwa miał zawsze myśl zdrową

w ciele zdrowem» i twierdziły, «że edukacja początkowa jest regułą życia całego, jest razem pracą najtrudniejszą».

Ale Komisja Edukacyjna nie mogła się stosować do programu biskupiego; sejm nałożył jej przecież obowiązek zastąpienia szkoły jezuickiej, t. j. szkoły średniej, nie myśląc ani o uniwersyteckiej ani o ludowej, a Komisja dokonała tego, czego we Francji żądano, lecz nie przeprowadzono: zupełnego zeświecczenia szkoły. W Europie katolickiej do niedawna, a w Polsce do r. 1774 uchodziła szkoła za monopol duchowieństwa, zakonnego naturalnie, i przeznaczona była zgóry, świadomie, jednostronnemu kształceniu nie obywateli, lecz katolików, poddanych autorytetowi kościelnemu. Komisja zerwała raz na zawsze tę zależność; wychowanie młodzieży jest odtąd nie rzeczą Kościoła, lecz państwa, bo młodzi nie wychowuje się dla Kościoła (jak pierwotnie bywało), lecz dla narodu i jego celów i pożytku; szkołę winni prowadzić laicy, nie zakonnicy, uczyć rzeczy potrzebnych w życiu, nie martwej łaciny, dialektyki scholastycznej, retoryki przeładowanej tropami i symbolami. Więc kierunek nowej szkoły będzie ściśle utylitarny; odrzuci się balast niepotrzebny reguł i dystynkcyj, traktowanie łaciny jako języka żyjącego; zaprowadzi się nauki ścisłe (fizjokrata o przyrodzie i rolnictwie głównie myślał), historję nowszą (nie starożytną tylko), a przedewszystkiem język narodowy (nawet łaciny w nim uczyć należy); on jest podstawą wszelkiej nauki; w nim, nie w łacinie ćwiczyć należy. Obok utylitaryzmu jako treści staje humanitaryzm jako cel: nauka moralna, dotąd przy nauce filozofji lekko zbywana, wybija się na plan pierwszy; bezpośrednio i pośrednio, przy lekturze autorów, przy wyborze tematów pisemnych, należy pouczać ucznia o obowiązkowem służeniu ogółowi, t. j. w wieku oświecenia państwu, o miłości bliźniego, o poszanowaniu człowieka, o równości wszystkich, a względności przywilejów. Nakoniec zastępuje się metodę dedukcyjną przez indukcyjną, głównie poglądową, wychodzi się od rzeczy znanych, jakie «Kome-

njusz» wystawiał, od szczegółów otaczającego życia, obejmując zczasem coraz obszerniejsze widnokręgi.

Taki program przedstawił pijar Ant. Popławski w książce p t. *O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej Projekt prześwietnej Komisji Ed. Nar. w marcu 1774 r. podany* (drukowany r. 1775); rozróżniał ściśle między «instrukcją», t. j. edukacją rozumu (poznawanie prawdy i dobre ćwiczenie dla wydoskonalenia «operacyj duszy»), a edukacją domową, rodzicielską, i publiczną, obywatelską; wyliczał nauki i jak je dawać należy; przeciążał nieco program szkoły średniej, a odwracał zupełnie dawny jej porządek, odsuwając łacinę od wszelkich szkół początkowych; domagał się «książek początkowych» i polecał narazie francuskie. Komisja powołała go do swojej subkomisji, Towarzystwa do ksiąg elementarnych; później został krakowskim profesorem prawa natury i moralności.

Komisja walczyła początkowo z największemi trudnościami, brakło jej środków, ludzi i podręczników. Społeczeństwo, wychowane w jedynej tradycji szkoły zakonnej, było wprost przerażone zniesieniem zakonu i nigdzie tak usilnie jak w Polsce nie oświadczano się przeciw *breve* papieskiemu, żądano wręcz jego uchylenia, lecz biskupi wymogli jeszcze posłuszeństwo. Fundusze jezuickie byliby najchętniej Poniński i spółka rozdrapali, ale ocaliła je energiczna opozycja Chreptowicza i króla; naznaczono dla nich osobne Komisje Rozdawnicze, które wypuszczały dobra pojezuickie szlachcie w dzierżawę wieczystą za opłatą 4½ procentu sumy otaksowanej (wartości dóbr) na rzecz funduszu edukacyjnego; wkońcu zniesiono te Komisje i dobra przeszły w rozporządzenie Komisji Edukacyjnej, ale po drodze utracono trzecią część majątku jezuickiego. Jeszcze gorzej było z ludźmi, brakło zupełnie wykwalifikowanych nauczycieli i Komisja musiała korzystać z tej pracy zakonnej, przeciw której cała jej czynność się obracała. Szkoła świecka nie mogła się obyć bez nauczycieli świeckich, a tych nie było, bo nie

było stanu nauczycielskiego. «W Polsce młodzież nie ma żadnej zabawy, gdyż niema stanu żołnierskiego... u nas w ośmnastym roku młodzieniec tylko księdzem zostać, albo do kancelarji chodzić, albo wałęsać się musi... u nas kancelarje są najpierwszą zgubą młodzieży» (Staszyc w *Uwagach).* Otóż zasługą było Komisji stworzenie, t. j. odnowienie dawnego stanu nauczycielskiego, teraz akademickim nazywanego. Nie bez przyczyny; wobec najdotkliwszego braku ludzi (bo eksjezuici chwytali się każdego innego sposobu utrzymania), oświadczyła akademja krakowska gotowość do kształcenia potrzebnych nauczycieli, ale wobec jej zaśniedziałości średniowiecznej nie kwapiła się Komisja z przyjęciem tych usług. Sytuację ocalił Hugo Kołłątaj, zaufany biskupa Poniatowskiego; przez niego przekonał Komisję o potrzebie zreformowania najpierw akademji samej, a potem powierzenia jej kształcenia nauczycielstwa. Wysłany r. 1778 przeprowadził w ciągu wytężonej trzechletniej pracy reformę akademji: powiększył kilkanaście razy jej dochody, wydobywając z zapomnienia fundusze dawne; usunął niedołężnych profesorów i niedołężną metodę (Arystotelesa i dysputy); wprowadził nauki ścisłe i przyrodnicze, oparte o gabinety, zbiory, ogród botaniczny, kliniki (dla medyków); zniósł posuwanie się na nieco lepiej wyposażone katedry wedle lat; powiększył płace i wysyłał młodych zdolnych (Śniadecki i in.) na studja zagraniczne. Tak odnowiwszy uniwersytet mógł go przedstawić Komisji jako stosowny do kierowania pierwszem większem seminarjum nauczycielskiem; podobnej pracy dla reformy uniwersytetu wileńskiego podjął się eksjezuita i astronom Marcin Poczobut, ale tu seminarjum nauczycielskiego na razie nie założono.

Równie wielka trudność była z podręcznikami; nie było książek polskich, któreby można polecić nauczycielom zakonnym i świeckim. Dla zaradzenia temu brakowi powołała Komisja osobne «Towarzystwo do ksiąg elementarnych» (r. 1775) pod przewodnictwem Ignacego Potockiego, którego «Egerją» był

eksjezuita, Ormjanin Grzegorz Piramowicz (proboszcz w jego Kurowie); ten miarkował doświadczeniem swojem zbyt utylitarystyczne zapędy Potockiego. Towarzystwo złożone z duchownych (eksjezuitów i pijarów) zajęło się wypracowywaniem podręczników i ogłaszało konkursy dla swoich i obcych na podręczniki matematyki, fizyki, logiki i t. d.; prace napływały bardzo powoli (z obcych stawali Condillac, Lhuillier i in.), a jeszcze dłużej trwała najsumienniejsza ich ocena przez członków Towarzystwa; wynik był ten, że brakowało wielu podręczników i nauczyciele posługiwali się notatami z wykładów uniwersyteckich, albo podręcznikami francuskiemi.

ORGANIZACJA SZKÓŁ KOMISJI

Nadzwyczajnego postępu dokonała Komisja przez powiązanie wszelkich szkół krajowych w jedną organizację; co we Francji królewskiej mimo usilnych zalecań publicystyki wobec oporu duchowieństwa zostało pobożnem życzeniem tylko, uskuteczniła Komisja. Stała się niby ministerjum oświaty, szczególniej kiedy za staraniem deputacji Sejmu Wielkiego, którą Ignacy Potocki naprawiał, nadano jej moc egzekutywy i powierzono zarząd wszelkich funduszów edukacyjnych. Pod jej kierownictwem stały obie «szkoły główne» (tak nazwano akademje krakowską i wileńską), które obok własnej pracy naukowej i nauczycielskiej miały polecony nadzór nad szkołami średniemi; wizytatorowie z ramienia Szkoły Głównej objeżdżali szkoły, sprawdzali ich stan, postępy w nauce, prowadzenie się uczniów i nauczycieli i raporty szczegółowe przedstawiali Radzie uniwersyteckiej. Były dwie prowincje szkolne, koronna i litewska; obejmowały dziesięć wydziałów (pięć koronnych, cztery litewskie i wydział pijarski pod rektorem-prowincjałem pijarów). W każdym wydziale była jedna szkoła wydziałowa (dawniej wojewódzką zwana) i kilka podwydziałowych; każda pod rekto-

rem (niby dyrektorem) i prefektem (niby inspektorem); wydziałowe miały siedm lat nauki (klas sześć, bo piąta dwuletnia), podwydziałowe sześć lat (trzy klasy dwuletnie). W wydziałowych w pierwszych dwu latach prowadził nauczyciel klasowy całą naukę (początki gramatyki, moralności, rachunków, geografji); w dalszych było czterech nauczycieli, jeden wymowy z gramatyką, drugi matematyki z logiką, trzeci fizyki, nauk przyrodniczych, higjeny, czwarty moralności, prawa, historji, geografji; w szkołach podwydziałowych trzech tylko nauczycieli dla owych trzech klas. O szkoły parafjalne dbała Komisja tylko pośrednio, nie miała na nie funduszu i polecała je gorąco, z mizernym nieraz skutkiem, plebanom, właścicielom i rządcom dóbr, wymagała tylko, żeby uczono z jej podręczników, a dostarczyła im znakomitego *Elementarza dla szkół parafjalnych narodowych* z r. 1785 (praca zbiorowa Kopczyńskiego, Gawrońskiego i Piramowicza) i *Powinności Nauczyciela w szkołach parafjalnych* Piramowicza z r. 1787 w czterech częściach: pierwsza o przygotowaniu nauczycielstwa i o karności szkolnej, druga o fizycznem wychowaniu dziatwy, trzecia o moralnem, a czwarta o naukowem. Zatrzymała Komisja nazwę dawną szkół parafjalnych, chociaż nowa szkoła nie miała już kształcić chłopców dla posług kościelnych, łacinę zupełnie wykluczała i na oku miała cel zawodowej szkółki rolniczej; poddała i ją nadzorowi wizytatorów. Liczba szkół parafjalnych była około r. 1773 minimalna, około 200 na całą Polskę i podnosiła się bardzo powoli. Za Massalskiego wzrosła nagle na Litwie ponad trzysta z 5000 uczniów (z tych około tysiąca szlacheckich), ale gdy się Massalski od tej pracy usunął, spadla niepomiernie, i wileńskie seminarjum dla nauczycieli parafjalnych z r. 1775 również upadło dla złej gospodarki; brano nauczycieli z pośród uczniów niższych klas wydziałowych, ci musieli się douczać śpiewu i muzyki jako przyszli organiści. O szkołach żeńskich Komisja nie mogła myśleć, zostawiała więc naukę pensjom prywatnym i wy-

magała tylko porządnego ich prowadzenia w języku narodowym; w szkółkach parafjalnych miały dziewczęta uczyć żony nauczycieli lub starsze kobiety, w ostatecznym razie miała być ich nauka spólna z chłopcami. Najsurowiej tępiła Komisja wszelkie szkoły prywatne, nie ufając ich duchowi; pensjom dla chłopców nie wolno było ich uczyć, miały ich posyłać do szkół publicznych. Nie wyzbyła się Komisja niektórych przesądów, wymagała spólnego wiktu i mieszkania i ubioru kleryckiego dla nauczycieli i kandydatów, ale ci się z tego wnet wyemancypowali i dawny strój przypominały tylko krótkie płaszczyki, migające się w tańcu ku największemu zgorszeniu kolegów duchownych.

Największy nacisk kładła Komisja na wychowanie moralne i w duchu obywatelskim, aby młodzież uczono, co winna ojczyźnie, aby wykorzenić z niej dawne przesądy; celem starań nauczyciela ma być, cokolwiek stanowi szczęśliwość prywatną (zdrowie, rozsądek i t. d.) i publiczną (sprawiedliwość, obrona krajowa, cnoty obywatelskie i t. d.). Nauka winna postępować od rzeczy prostych do trudniejszych; uczniowie mają się więcej uczyć na rozum i pojęcie niż na pamięć; nauki rzeczowe, t. j. ścisłe i przyrodnicze, górowały widocznie nad językowemi; łaciny uczono po polsku ze znakomitej gramatyki Kopczyńskiego; wypisów z autorów dobierano dla wdrażania pojęć moralnych; na naukę moralności w niższych klasach a prawa i ekonomji w wyższych kładziono wielki nacisk, nawet nauka historji miała wykazywać moralną wartość czynów ludzkich. Ostro karano opuszczanie dni szkolnych, nie przechodził do wyższej klasy, kto zaniedbywał szkołę, ale młodzieży zbyt nie obciążano, dwie godziny rano, dwie po obiedzie, we wtorki i czwartki tylko dwie, bo oddano popołudnia na wycieczki i zabawy dla fizycznych ćwiczeń, szczególnie takich, co się nadają do służby wojskowej. Ze szkół zakonnych zachowała Komisja kary i nagrody, «emulację» i dozorowanie, a wprowadziła koleżeńskie sądy uczniów. Żydów nie przypuszczała jeszcze Komisja do szkół publicznych,

obawiając się kłótni (inni podnosili nawet względy higjeniczne), ale chętnie godziła się na udzielanie im nauki prywatnie.

W Towarzystwie Elementarnem powstała myśl zebrania wszelkich przepisów co do organizacji i nauki w rodzaj kodeksu szkolnego; członkowie rozebrali między siebie pojedyńcze działy (redaktorem głównym był Piramowicz); wydrukowano tymczasowy *Projekt* r. 1781, a po upływie roku próbnego potwierdziła Komisja projekt i ogłosiła go r. 1783 jako *Ustawy Komisji Edukacji Narodowej dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane*, bardzo szczegółowe, świadczące najlepiej o postępowej myśli autorów i Komisji. Imponowała starannie obmyślana hierarchja całego szkolnictwa; zupełne tegoż odłączenie od Kościoła, chociaż na msze niedzielne, spowiedź miesięczną, naukę katechizmu usilnie nalegano, obowiązując do nich nawet nauczycieli; zupełne podporządkowanie każdej szkoły nadzorowi świeckiemu nawet po seminarjach duchownych, gdzie tylko nauka teologji z pod niego była wyjęta; stworzenie stanu akademickiego, t. j. nowego zawodu dla młodzi szlacheckiej i miejskiej, podniesienie tego stanu do godności wszelkich innych, gdy do niedawna nauczyciela nie w sukni zakonnej narówno z lokajem stawiano; wreszcie stworzenie planu naukowego zupełnie świeckiego, obejmującego wszelkie wiadomości pożyteczne, nawet prawnicze, ekonomiczne i higjeniczne. Lepszego planu nie było i Prusacy po objęciu rządów nic w nim nie znachodzili wymagającego odmiany.

ROZDŹWIĘK MIĘDZY KOMISJĄ A SPOŁECZEŃSTWEM

Najlepszych zamiarów, najmądrzejszych ustaw, największego poświęcenia się pożytkowi ogólnemu nie oceniono powszechnie z należytą wdzięcznością czy choćby z milczącem uznaniem i poparciem. W literaturze publicystycznej przychodzili do głosu poplecznicy nowej szkoły; wyróżnił się między

nimi Bieliński swojemi *Listami* 1775 r.; czasopisma jak *Monitor* i inne prześladowały satyrą IMci panów Staruszkiewiczów z Alwarem i boćkowskim i sławiły Komisję, w której obronie podnosiły się liczne głosy sejmowe przy odbieraniu dorocznych sprawozdań; głosy przeciwne gubiły się stanowczo; w romansach dydaktycznych wyśmiewał Krasicki dawne wychowanie i dawnych guwernerów; Adam Czartoryski w *Listach Imci P. Doświadczyńskiego* podnosił w podobnym duchu zaniedbanie wychowania dziewcząt (które nawet Krasicki do igły i wrzeciona odsyłał) i niefortunne wyjazdy zagraniczne z niepowołanymi «mentorami», którzy młodego gotowi zepsuć; Staszyc w *Uwagach* 1785 r. chwalił Komisję, ale szedł jeszcze dalej, wymagał bardziej republikańskiego ducha w nauce moralności, więcej nauki rzeczowej, a przedewszystkiem, myśląc tylko o obronie Rzeczypospolitej, «lekcji ćwiczenia ciała» całkiem po wojskowemu; w zapale swoim oniemiłby wszystkie mamki i piastunki, aby nie nabijały dzieciom główki swojemi bajdami, aby jak najmniej do dzieci mówiły! (Rousseau, jego wzór, nie łatwoby się na jego militarny kierunek godził). Najwymowniej bronili Komisji jej własne organy (rektorowie, profesorowie i in.), a szczególnie wyśmienity pedagog i mówca Grzegorz Piramowicz najpierw osobną broszurą, broniącą przeciw wszelkim zarzutom «nowego instrukcji publicznej układu ku objaśnieniu chcącym o nim wiedzieć i sądzić», a potem dzielnemi przemówieniami dorocznemi (od r. 1776—1788) w rocznicę założenia Towarzystwa Elementarnego (7 marca) wobec króla, drukowanemi spółcześnie, objaśniającemi bieg prac Towarzystwa i Komisji.

Ale wychowana w odwiecznych przesądach szlachta nie dawała się zbić z tropu, podbechtywana przez eksjezuitów i innych zakonników; jedynie pijarzy stawali szczerze i wytrwale przy Komisji. Więc najpierw zarzucała szlachta nowym szkołom, że uczą łaciny mało i źle a nam łacina niezbędna, nasze prawa własności i przywileje wszystkie w niej spisane; zarzut

był o tyle słuszny, że łacina straciła dawny monopol; pokątni nauczyciele, eksjezuici i niektórzy inni zakonnicy uczyli po dawnemu łaciny, rodzice odbierali synów z nowej szkoły (np. Kajetana Koźmiana ze szkoły lubelskiej) i odsyłali zagranicę (Koźmiana do Zamościa, gdzie przed wprowadzeniem gimnazjum niemieckiego zakonnicy po dawnemu uczyli). Sarkała dalej szlachta na podkopanie wiary i obyczajności, gdy zamiast zakonników świeccy uczą, a obruszała się szczególnie na wprowadzenie dziwacznych przedmiotów, jakichś matematyk, nauki o koniach, gołębiach i t. p., co chłopcy lepiej z doświadczenia znają, poco tem czas tracić; eksjezuici korzystali z tego i ośmieszali umyślnie program Komisji. A były i względy materjalne: eksjezuici oświadczali się z gotowością bezpłatnej nauki, byle im w jakikolwiek sposób do zakonnego życia dopomóc (Targowica domagała się jawnie wskrzeszenia zakonu w Polsce) i szlachta żądała, żeby fundusze pojezuickie zamiast na szkoły Komisji, na wojsko obracać. Niezadowolenie szlachty objawiało się jawnie w tem, że liczba uczniów w szkołach znacznie spadała; «gdzie za czasów jezuickich szkoły po 600 uczniów liczyły, obecnie nawet jednej trzeciej części nie bywało; wzorowa szkoła lubelska miała przeciętnie do 150 uczniów; w Trzemesznie liczba z 300 spadła na 30; w Krzemieńcu z 600 na 180; w Toruniu opustoszoną szkołę zamknięto i t. d.; najniższa była frekwencja w szkołach akademickich, nieco wyższa w zakonnych; na 100 uczniów, wpisanych do klasy pierwszej, zaledwie 20 kończyło nauki w całości». Szkół pokątnych nie mogła Komisja wytępić, bo nie miała żadnej egzekutywy, prosperowały więc one kosztem akademickich, zapełnianych przez mieszczan i ubogą szlachtę, gdy zamożna synów w domu uczyła. Komisja ustępowała przed zażaleniami, godziła się na wprowadzenie kuchennej łaciny, t. j. mówienia po łacinie w swoich szkołach nawet w niższych klasach, cóż dopiero w wyższych; ponieważ nie mogła się doczekać podręcznika dla zoologji, wycofała z programu zoologję.

Brak nauczycieli świeckich przeszkadzał przeistoczeniu szkoły; Komisja utrzymywała (wraz z kolonjami akademji krakowskiej) 74 szkół średnich, z nich było tylko 34 świeckich, akademickich, resztę prowadzili pijarzy (ci najlepiej), benedyktyni w Pułtusku (wzorowo), bazyljanie (niezdolni do wyższych kursów); najgorsze były kanoników regularnych (Trzemeszno), krzyżaków (Rawa) i in. Ale i w akademickich przeważali eksjezuici, jeszcze w r. 1789 na 367 nauczycieli księży w Koronie było świeckich razem z 25 metrami (obcych języków) zaledwie 115; rektoraty i prefektury obsadzała Komisja wyłącznie księżmi. Otóż właśnie ci eksjezuici i księża sabotowali szkołę, uczyli pokryjomu po dawnemu, podburzali młodzież przeciw nauczycielom świeckim, potępiali nowe podręczniki, znosili rozbieganie się młodzieży na święta i żniwa. Wracały stare metody, które niejednemu (np. Wybickiemu) tak obrzydziły szkoły, że tylko z nienawiścią o nich wspominał; szkoła księży reformatów w Pakości jeszcze w r. 1807 wymagała wyłącznego mówienia po łacinie, biła uczniów w rozmiarach fantastycznych, a z programu wyrzuciła matematykę i nauki przyrodnicze; przez ciąg dwuletni «studjów» w Pakości dostał Biesiekierski, dobry ale żywy chłopiec, kilka tysięcy batów, zato rozumu nic nie nabrał i rodzice odebrali go i oddali do Torunia, gdzie językiem wykładowym był niemiecki.

Organy Komisji zachowywały się bardzo nierównie wobec swych zadań. Szkoła Główna litewska nie troszczyła się wcale o inne szkoły i szkolnictwo na Litwie, rozpoczęte świetnie za Massalskiego, podupadło zupełnie; z 300 szkół parafjalnych ocalało niebawem tylko kilkanaście. Natomiast zreformowana Szkoła Główna koronna zajęła się najgorliwiej całem szkolnictwem, kształciła nauczycieli, a dozorowała wszystkich, nawet parafjalnych. Stosunki poprawiały się, rodzice zmądrzeli i Koźmiana np. wzięli napowrót do Lublina, gdzie nowy ks. rektor szkołę lepiej postawił.

Komisja pracowała w duchu oświeconego wieku, wyrwała naród z letargu, wychowała młodzież obywatelską, stworzyła jednolitość szkoły, wypracowała programy i podręczniki, stworzyła nowy stan akademicki; jej uczniowie witali z uniesieniem Konstytucję. Więc nie sprzyjała jej Targowica, zaznaczająca w uniwersale generalności litewskiej, że «ojczyzna więcej odniesie pożytku z cnotliwych obywateli, jak obiecywać może po matematykach, astronomach itd.... będzie naszem najusilniejszem żądaniem uzyskać wszelkich sposobów do przywrócenia zakonu XX. Jezuitów i powierzenia mu edukacji młodzi naszej pod zwierzchnością i dozorem krajowym»; zaraz też zaczęła rozdrapywać fundusz edukacyjny i Śniadecki na sejmie grodzieńskim wzywał pomocy Sieversa dla ocalenia funduszu; departament edukacji narodowej w Radzie Nieustającej miał czuwać nad tem, żeby szkoły «oczyszczono od wszelkiego ducha nowości i zarazy». Dni Komisji były policzone, przynajmniej w Koronie, gdzie ją Prusacy znieśli; przetrwała na Litwie, gdzie ją biskup Kossakowski organizował i nad szkołami opiekę oddał (do r. 1803); uniwersytet wileński, potwierdzony przez Pawła, istniał dalej, lecz szkołami średniemi się nie opiekował.

Wobec olbrzymich rozmiarów prac Komisji wszelkie inne próby tworzenia szkół nikną zupełnie. Wspomnieć można o podobnych próbach ks. Augusta Sułkowskiego, członka Komisji, znanego z różnych górnych projektów (np. zniesienia poddaństwa itp.). Upatrzył sobie, że w swojej Rydzynie, do której ojciec Niemców sprowadzał, utworzy szkołę polską i uczynił na nią zapis, powołując na kierowników księży pijarów; rzecz wlekła się długo, wkońcu otworzyli pijarzy szkołę r. 1774, walcząc z początku ze znacznym brakiem uczniów, ponieważ Rydzyna i okolica opływała w Niemców-kolonistów, którzy własne szkoły utrzymywali. Książę ordynat wpadł w dalszym ciągu na pomysł utworzenia konwiktu dla 12 ubogich synów szlacheckich a z konwiktem funduszowym połączył i szkołę rycerską *(Ritterakademie)*

dla Polaków i obcych, opłacających pobyt; nauki pobierali uczniowie obu zakładów u pijarów rydzyńskich, dopełniali jej metrowie; nauki wojskowe były również w programie. Śmierć ordynata przerwała byt konwiktu i pensjonatu; szkoły rydzyńskie same wznowili później pijarzy. August Sułkowski nosił się również z planem konwiktu dla panienek i szkoły kunsztów (muzyki, malarstwa itd.), ale poza ogłoszenia rzecz nie wyszła. Podobną szkołę rycerską i inne zakładał też Tyzenhauz w Grodnie; szkołę ekonomiczną założył Czartoryski Stan. w Korcu r. 1774, ale wszystkie upadły; innych szkół rzemieślniczych w Polsce nie było.

Wykształcenie panieńskie było przeważnie klasztorne, ale zakonnice same nic nie umiały a nakłaniały niejedną pannę do przyjęcia welonu i czyniły ją nieszczęśliwą na całe życie; prócz praktyk religijnych niczego nie wynosiły, coby je na przyszłe obywatelki sposobiło. Poza tem oddawano je do pensyj; w samej Warszawie było ich 13, prawie wyłącznie przez cudzoziemców prowadzone i albo wcale nie stosujące się do przepisów Komisji, albo tylko częściowo je wypełniające. Były pensje,[1] co uczyły tylko francuszczyzny, inne tylko szycia, wszystkie inne uczyły języków francuskiego i niemieckiego, tańców i gry na klawikordzie; dla oszczędzenia kosztów na metrów zwykle mistrz i mistrzyni pensji, t. j. mąż i żona udzielali całej nauki, nieraz arcyniedostatecznie; panny miały nadto wiele swobody, wychowania religijnego nie było wcale; nie uczono wcale arytmetyki, geografji a nieraz i języka polskiego; ks. Sułkowski nazwał pensje «szkołami próżności i złych obyczajów». Trzeci sposób stanowiło uczenie przez guwernantki domowe; guwernantką musi

[1] Wedle «raportu ekspedjowanej wizyty z woli Komisji Ed. Nar. w pensjach warszawskich przez ks. A. Czartoryskiego dozór nad temiż pensjami mającego w przytomności ks. ks. Jakukiewicza i Popławskiego z Towarz. Ks. Element., zaczętej 15 stycznia 1778». Książę Adam najgorliwiej wychowaniem panieńskiem się zajmował, poświęcił mu jeden z *Listów Doświadczyńskiego* z r. 1782.

być Francuzka, Szwajcarka, conajmniej Niemka, kalecząca i francuszczyznę; o nauce one pojęcia nie miały a obyczajów były nieraz aż nadto podejrzanych, ale usłużne i zręczne zdobywały zaufanie matek a wkońcu i domem rządziły.

Nad pracami Komisji zaciążyło fatalnie zaniedbanie saskie; gdy nowe szkoły z nową nauką rozpoczynano, nie było podręczników ani dla nauczycieli, ani dla uczniów; więc polecała Komisja r. 1774 nauczycielom do arytmetyki *Elements* de mr. Rivard lub *Arithmetique* du p. Regnault; do algebry *Elements* p. Clairaut; do geometrji Euklidesa lub dzieła P. de la Chapelle; do wyższego kałkułu marquis D'Hopital; do mechaniki Mr. Dalembert; do polityki *Zbiór różnych materyj politycznych* ks. Popławskiego; do gramatyki *Les rudiments* de mr. Pluche, gramatykę Arnauda, Restauta, refleksje p. Marsais; do logiki, logikę Buffiera, Clerc'a i Antonii Genuensis *Elementa artis logocriticae,* dzieła Locke i Condillac; do fizyki, *Leçons de physique experimentale* ks. Nolleta, fizykę Muschenbroecka; do chronologji *Rationarii temporum* ks. Petawiusza, *Tabulae chronologicae* Musantii, Rollina i Rzewuskiego *Zabawki dziejopiskie,* Patina *Historja Medalów* i *Dykcjonarzyk Starożytności;* do historji naturalnej Buffona Historja naturalna, *Spectacle de la nature,* Dykcjonarzyk p. Valmont de Bomare; do geografji Geografję Buffiera i Geografję ks. Wyrwicza i Rybińskiego. Wszystko więc niemal francuskie a po francusku zakonnicy, na razie główna warstwa nauczycielska, wcale nie umieli, więc z własnych notatek korzystali, dyktowali je uczniom a ci się ich napamięć uczyli. Dopiero po latach można było uczniom dawać podręczniki polskie, więc r. 1782 mieli już: Lhuilliera *Geometrji część I,* Kraków 1780 (nauczyciele skarżyli się, że miejscami ciemna, nie dla dzieci napisana i wymagali wydzielenia z niej części początkowej), Kopczyńskiego *Gramatykę łacińską i polską* i *Przypisy do Gramatyki,* Warszawa 1780; Wypisy łacińskie z Columelli (za trudne dla klasy I, dla której je przezna-

czono), z Plinjusza (ganione przez nauczycieli); Piramowicza *Dykcjonarz starożytności*, Warszawa 1779, Popławskiego *Naukę moralną na klasy I i II;* popłacały jeszcze zawsze rzeczy dawniejsze: Wyrwicza *Geografja czasów teraźniejszych* 1768, Wagi *Historja książąt i królów polskich* 1770, tegoż *Krótkie historji polskiej i geografji zebranie* 1765; przybywały powoli Jana Hubego *Wstęp do fizyki dla szkół narodowych* 1783 i tegoż *Mechanika* 1792; Skrzetuskiego *Dzieje starożytnego wschodu* i i. Tak Hube, były sekretarz radny toruński, jak i Genewczyk Lhuillier, matematyk, byli nauczycielami w Korpusie Kadetów.

Pracę Komisji utrudniały także zastarzałe niechęci duchowne, zawiść jezuitów przeciw pijarom — opowiadano przecież, że w ostatniej chwili udało się pijarom uchylić zamach jezuitów, wydrukowanie *Podex* zamiast *Codex* na wydawnictwie dyplomatycznem ks. Dogiela! Zasiadaliż eks-jezuici w Komisji i Towarzystwie Elementarnem, Piramowicz i in., stąd niechęć przeciw pijarom; znoszono im zakłady np. w Rawie, pod pozorem, że tam już szkół dosyć, zwracano się przeciw nim z admonicjami, chociaż pijarzy najgorliwiej sprawie służyli i innym zakonom, nie im, należałyby się takie admonicje. Największą zawadą była jednak jawna nieufność narodu szlacheckiego przeciw nowym szkołom i należy podziwiać wytrwałość Komisji, iż nie dała się niczem zrazić. Że nie wszystkiemu podołała, sam brak czasu wyjaśni.

Organizacja szkół obejmowała w Koronie cztery «departamenty»; pierwszy, mazowiecki, pod dozorem (kuratelą) Michała Poniatowskiego, prymasa, liczył szkół wojewódzkich cztery, powiatowych pięć; drugi, wielkopolski, pod dozorem Antoniego Sułkowskiego, miał jedną akademję (poznańską), szkół wojewódzkich trzy, powiatowych trzy, zakonnych pięć; trzeci, małopolski, pod dozorem Ignacego Potockiego, posiadał oprócz akademji krakowskiej, wojewódzką jedną, powiatową jedną, zakonnych trzy; czwarty, pod opieką Adama Czartoryskiego, wojewódzkich

cztery, powiatowych cztery, zakonnych wojewódzkich cztery, powiatową jedną. Na Litwie: departament pierwszy, kurator biskup Massalski, akademja wileńska (z dwudziestu osobami w gronie nauczycielskiem), *collegium astronomicum*, wojewódzkich dwie, powiatowych pięć i szkołę dla nauczycieli parafjalnych; departament drugi, kurator Joachim Chreptowicz podkanclerzy, wojewódzkich cztery, powiatowych cztery. Dochody w Koronie 424.668 zł., razem z litewskiemi 874.626, wydatki 975.173. Każdy departament miał zczasem otrzymać uniwersytet własny; myślano o urządzeniu konwiktów, był wileński na 60 uczniów, w Ostrogu na dwudziestu.

Tak przedstawiał się plan dzieła, znakomicie obmyślanego i znakomicie przeprowadzonego; Konstytucję Majową witali też nauczyciele i uczniowie gorącemi przemówieniami a 31 maja 1792 wydała Komisja pióra Piramowicza *Uniwersał zachęcający młódź edukującą się w szkołach do błagania Boga o odwrócenie nieszczęść i klęsk od Ojczyzny*. Targowica natomiast zapewniała kraj w uniwersale generalności litewskiej, że ojczyzna więcej pożytku odniesie z cnotliwych obywateli jak obiecywać może po matematykach, astronomach itd., i że dołoży wszelkich starań do przywrócenia jezuitów i powierzenia im edukacji młodzi; rozbiła też komisję edukacyjną na dwie, koronną i litewską, aby je tem łatwiej obdzierać. W Grodnie u Sieversa wyrobił Śniadecki, że kradzież funduszów zahamowano; ustawa grodzieńska połączyła obie komisje napowrót i uzależniła ją od departamentu edukacji narodowej w Radzie Nieustającej, czuwającego nad tem, żeby szkoły «oczyszczono od wszelkiego ducha nowości i zarazy». Powstanie 1794 r. zmiotło i Radę; Pilchowski w Wilnie a Jaśkiewicz w Warszawie objęli wydział edukacji w nowym rządzie, ale katastrofa polityczna zawiesiła ich czynność.

NAUKA

Nie powiodło się Komisji zeświecczyć zupełnie szkoły narodowe; szkoły zakonne istniały i nadal, szczególnie na kresach, u dominikanów, bazyljanów itd.; postęp mimoto był olbrzymi. Nierównie trudniejsze było zadanie wskrzeszenia umiejętności samych, bo nauka wymaga warsztatów, bibljotek, laboratorjów, obserwatorjów, a tych w Polsce nie było. Z bibljoteki warszawskiej mało kto korzystał, «jagiellońska» kończyła bogate zbiory wiekiem XVII, o klasztornych (i kapitulnych) zdradzała niejedno *Monachomachja;* bibljoteki prywatne były u panów zawalone francuszczyzną, ascetykami zaś i powieściami ludowemi u mieszczan. Komisja za zabiegami Kołłątaja urządziła pierwsze pracownie naukowe w akademji krakowskiej, starała się o profesorów i wysyłała młode, obiecujące siły dla dalszego kształcenia zagranicę. Główna zaś przyczyna niedoborów naukowych była ta, że dopiero w jej szkołach Polacy dobrze się uczyć zaczynali.

Chodziło o nawiązanie nauki polskiej do europejskiej; węzły, które je łączyły jeszcze w XVII wieku, zerwano zupełnie za Sasów i czem raźniej postępowała nauka na Zachodzie, tem fatalniej cofała się w Polsce. O samoistnej pracy naukowej nie było ani myśli; należało przedewszystkiem wydawaniem podręczników, a więc prac kompilacyjnych, nie w oryginalnych badaniach, przedstawić stan wiedzy, osiągnięty zagranicą. To też cała praca naukowa XVIII wieku — z niewielu wyjątkami — skupiła się w popularyzowaniu nauki.

Dla historji ojczystej stworzył Stanisław August warsztat naukowy dla Naruszewicza. Przyświecał temu cel propedeutyczny: wykazać naocznie, czem Polska była za Piastów i Jagiellonów a do czego doszła za elekcji i anarchji. Naruszewicz zapalił się tak do patrjotycznego dzieła, tak pochłonęły go studja źródłowe, że mu praca posuwała się żółwim krokiem, ku niecierpliwości króla, który radby widział pragmatycznie oświetlone dzieje

nowsze, gdy tymczasem Naruszewicz w średniowieczu utkwił; należało dla umiejętnego przedstawienia korzystać z źródeł obcych i z domowych, rozprószonych po archiwach familijnych; na tę posiłkową pracę łożył król koszta; Albertrandi wypisywał w Rzymie i Szwecji akty i listy, inni w kraju i tak zebrało się t. zw. Tek Naruszewicza niemal dwieście, jeszcze dziś historykowi nieraz niezbędnych. Sam Naruszewicz nie wydał pierwszego tomu, wstępnego, który zawierał dzieje pierwotne Słowiańszczyzny i Polski przedchrześcijańskiej, niby przedsionek do pałacu dziejów polskich (wydano go po jego śmierci r. 1824, nawet już wtedy silnie przestarzały); wyszły w latach 1780—1786 tomy następne, do szóstego i ostatniego; objął niemi czasy Piastowskie i lata do r. 1386. Forma była przestarzała, bo rocznikarska; tekst główny nie zbyt odstępował od tradycji; wyniki własnych studjów składał autor w obszernych przypisach. Wykład bardzo poważny, jakby na szczudłach nieco, dowodził, jaką czcią przejął się autor wobec przeszłości; nie zawsze ustrzegał się od domalowywań, gdzie źródła skąpo się sączyły; oka dla odcieni historycznych jeszcze nie miał, jednym pokostem pokrywał odmienne epoki, ale i dążność była jedna a jawna, wychwalanie dziedziczności tronu i silnej władzy na wzór dla spółczesnych. Samo nastręcza się porównanie z podobnem dziełem nadwornego historjografa rosyjskiego, Karamzina, o trzydzieści lat później zaczętem w tym samym tonie i formie; tylko nie znalazł się u nas Puszkin, coby wykpił dobrodziejstwa «samodzierżawia i knuta», chociaż większość narodu mimo wszelkich przeciwnych doświadczeń tak była przekonana o elekcji jako o palladium narodowem, że Konstytucja Trzeciego Maja nawet u niektórych patrjotów miru nie znalazła dla zniesienia elekcji! Było to dzieło naukowe wielkiej wagi; tradycji bajecznej, wiary w cuda itp. nie przekreślało, ale je odsuwało w cień albo rozsądnie tłumaczyło; zwało się wprawdzie *Historją narodu polskiego*, ale było jak Karamzinowe tylko historją państwa i panujących. Postęp

wobec płytkości Kromerowej był nadzwyczajny; była to pierwsza krytyczna, badawcza ocena dziejów narodowych.

Ale czasy były zbyt odległe i ciemne i nie kwapił się autor do osądzania ludzi i czynów, a do jakich ostrych sądów był zdolny, wykazał w pierwszej naszej monografji historycznej, *Historji I. K. Chodkiewicza* itd. r. 1781; tam to ciął *verba veritatis* na wsze strony, nawet republikaństwo J. Zamojskiego demagogją przezwał, rokosz z błotem zmieszał, prawiąc o *zdziczałych niekarnością umysłów* namiętnościach, prywatę wszędzie tępił a z ambicji panów maszkarę patrjotyzmu zdzierał. Takich świetnych charakterystyk, jakie on np. o Chodkiewiczu i Żółkiewskim wystawia, nie znały przed nim dzieje, ale one naturalne niemal u tłumacza Tacyta (w czterech tomach od r. 1772—1783); sam wybór tego właśnie pisarza świadczył o powołaniu i ulubieniu tłumacza. Siły jednostki przechodziło opracowanie dziejów polskich w rozmiarach Naruszewiczowych, ale na godnego spółpracownika czy spadkobiercę jeszcze czas nie nadszedł.

To było jedyne wielkie oryginalne dzieło; dalszy jego ciąg planowany uzupełniał zbiór dyplomatów, aktów i układów, zawieranych z zagranicą, jaki uczony pijar Dogiel nakładem królewskim zebrał z archiwum i wydał na ilustrację, t. j. na zbicie mniemanych praw, jakie zaborcy sobie rościli. Nie brakło i wydań dawnych historyków, polskich i łacińskich, Bohomolca i Mitzlera. Wszelkie inne działy wiedzy, zastąpione dyletantami (jak ks. Jabłonowski, niefortunny Lecha obrońca, ale dzielnie około pamięci Kopernika zasłużony) albo popularyzatorami; staraniem tegoż Jabłonowskiego wyszedł r. 1772 atlas polski, wykonany przez Rizzi Zanoniego, dzieło znakomite; Stanisław August posiadał oryginały i tylko ich bruljony wydał acz niechętnie Kościuszce r. 1794. Wspomnieć można jeszcze o historji starożytnej, którą grono spółpracowników (z obiadów czwartkowych królewskich) opracowywało, aby zastąpić obiegające podręczniki jezuickie: wychodziła zeszytami tygodniowemi, ze-

branemi w tom I (więcej nie wyszło) r. 1772, objęła tylko dzieje Wschodu i Egiptu.

Filologja klasyczna nie mogła się żadnym przyczynkiem wykazać — oprócz samych tłumaczeń, najlepsze Tacyta Naruszewiczowe; Nagurczewski tłumaczył Wergila, ale zbyt ciężko i prozaików. Cały rozpęd naszych tłumaczy obojej płci zwracał się ku francuszczyźnie, która ich i z Anglikami i Niemcami zaznajamiała; sentymentalnym Ossjanem zajęto się u nas najpóźniej (naturalnie z przekładu francuskiego), nierównie rychlej klasycznym Popem i elegijnym Jungiem, z którymi sielanki Gesnerowe, wyróżowane i wymuskane zawodniczyły.

Mniej powodziło się innym naukom; dla zoologji np. nie miano wcale podręcznika i przestano jej uczyć. Lepiej stała botanika; obcy botanicy, sprowadzeni do Grodna i Wilna, Gilibert i Forster niedługo w przykrych warunkach wytrwali; dyletant rodak, ks. Krzysztof Kluk, wsparty przez ks. Annę Jabłonowską i jej bibljotekę siemiatycką, przysłużył się krajowi trzy-tomowym *Dykcjonarzem roślinnym* (1781—1785); jest to flora polska wedle systemu Linneusza, opisowa, z zaleceniami medycznemi i uwagami ekonomicznemi; wyprzedziły je dzieła tegoż Kluka o *Roślinach* i drugie o *Zwierzętach,* nierównie słabsze, bo Kluk był tylko botanikiem; stylem bardzo przystępnym, gawędziarskim, trafiał do ogółu. Fachowo wykształconym (nie dyletantem jak Kluk) był pijar wileński, ks. Stanisław Jundziłł, który wydał r. 1791 w Wilnie *Florę Litewską,* podręcznik uniwersytecki. Znakomity lekarz warszawski, Dr. Czempiński, wydał elementarną zoologję i botanikę, gdzie się na system Linneusza krytyczniej zapatrywał.

Z matematyki i fizyki wydano podręczniki, wcale dobre, np. *Geometrja* pijara Ign. Bystrzyckiego (1769), *Algebra* Jana Śniadeckiego (1783), *Fizyka* jezuity ks. Józ. Rogalińskiego (Poznań 1765). Księża Rogaliński i Gawroński (późniejszy biskup krakowski a poprzednik Woronicza), kierowali w Poznaniu przy

kolegjum jezuickiem przy znacznym zasiłku pieniężnym królowej Marji Leszczyńskiej, obserwatorjum astronomicznem (pierwszem w Polsce) i gabinetem fizycznym, tępiąc przesądy publicznemi eksperymentami, np. z machiną elektryczną (znana anegdota o klesze, który woskowy agnusek pod machinę podłożył i gdy go koło skruszyło, o sile czartowskiej w maszynie był przekonany).

W ziemi Kopernika dwaj księża, jezuita Arakiełowicz i Józ. Tuławski bronili systemu Toruńczyka (któremu Jabłonowski pomnjk w toruńskim kościele św. Jana wystawił, a o wykreślenie jego dzieła z indeksu rzymskiego ksiąg zakazanych się wystarał); w drugiej połowie wieku najwyżej astronomja właśnie się wzniosła, dzięki Janowi Śniadeckiemu w Krakowie i Marcinowi Poczobutowi w Wilnie. W Krakowie starano się o obserwatorjum astronomiczne już od połowy wieku, dzięki profesorom, księdzu Popiołkowi (studjował we Włoszech) i prof. Niegowieckiemu (który dysputował z jezuitą Marc. Łuskiną w Warszawie o dostrzegania przejścia planety Wenus poprzed tarczę słoneczną 6 czerwca 1761 r.), ale dopiero reforma Kołłątajowska i zabiegi młodego Jana Śniadeckiego doprowadziły do otwarcia obserwatorjum r. 1787.

Obaj bracia Śniadeccy (Jan, matematyk-astronom i młodszy, Jędrzej, chemik) wraz ze Staszicem, pierwsi to Wielkopolanie, którzy dzielnicę, jakby wycofaną z rzędu naukowo-literackiego (niemniej niż z politycznego), nowemi ozdobili zaszczytami. Jan Śniadecki w kilku dłuższych wycieczkach zagranicznych poznał dokładnie stan nauk matematycznych i astronomicznych, zawiązał stosunki osobiste i wydatną korespondencję z powagami mianowicie francuskiemi i angielskiemi (Laplace, Herschell i i.) i wedle wzorów obcych urządził obserwatorjum krakowskie, r. 1787 (do dziś istniejące). Główna czynność Śniadeckiego jako organizatora nauki, wydawcy najrozmaitszych zna-

komitych podręczników, wyroczni w dziedzinach myśli filozoficznej, stylu i języka, przypada na jego pobyt i rektorstwo wileńskie w początku XIX wieku; w Krakowie był przeważnie obserwatorem a zasłużył się również jako obrońca funduszów Komisji Edukacyjnej na sejmie grodzieńskim. Ale i w tym pierwszym okresie nieznużonej i wszechstronnej pracy wyróżnił się jako pierwszorzędny stylista i szczęśliwy nowator: do dziś obiegające słownictwo naukowe (*iloczyn, iloraz, zwrotniki, równik, południk, cięciwa, średnica, wycinek itd.)* jest jego utworem a gorąca miłość ojczyzny, ukochanie prawdy (królowa nauk, matematyka, była mu przewodniczką), jasności i prostoty myśli, jej wolności wobec wszelkich dogmatów czy przesądów, przy istotnej religijności głębokiej cechowały każdy jego występ i przemówienie. Nie dziw, że taki uczony wyrugował z akademji kalendarze z prognostykami, «domysłami» — przeszły one po raz pierwszy do rąk prywatnych.

Mniej głośnym, mniej wszechstronnym był jego kolega wileński, ks. Marcin Poczobut. Poprzednik jego a gorący astronomji miłośnik, Tomasz Żebrowski, wyjednał jeszcze r. 1753 u kasztelanowej mścisławskiej, Elżbiety z Ogińskich Puzyniny kapitał na założenie wileńskiego obserwatorjum, które objął i urządził po dłuższych studjach zagranicznych (w latach 1761—1768) Poczobut, od r. 1773 prowadzący regularne obserwacje, ogłaszając je po łacinie i francusku, szczególniej co do planety Merkurego; przetłumaczył też geometrję Clairauta (1772 r.).

W najściślejszym związku z Komisją Edukacyjną pozostawały prace ks. O. Kopczyńskiego, jego gramatyka łacińsko-polska z przypisami i jego udział w *Elementarzu dla szkół parafjalnych narodowych* z r. 1785, w którym obmyślił znakomite połączenie nauki czytania z pisaniem. Wyborny znawca języka, który wystudjował z Knapjusa i z arcydzieł XVI wieku, zreformował gramatykę i pisownię polską; był nieco pedantem i na-

rzucał językowi ścisłą poprawność, której ten nie przestrzegał, wracał dla niej do zjawisk przestarzałych (np. do pochylonego *a*, które w wymowie klas wykształconych dawno już zanikło) i tworzył reguły (np. co do końcówki przymiotnikowej na *-em, -emi,* które nam do dziś ciążą), ale wobec dowolności pisarzy i drukarzy rygor podobny był wcale na miejscu. Na język zapatrywał się całkiem w stylu XVIII wieku, nieco zbyt ogólnikowo, filozoficznie, nie historycznie. Do nauki wymowy i poezji układali podręczniki Piramowicz i Golański, ale większej powagi zażywał (trzy wydania świadczyły o tem) poemat dydaktyczny Fr. Dmochowskiego, *Sztuka rymotwórcza,* 1778 r., gdzie w czterech pieśniach wyłożono ogólne pojęcia o poezji i warunkach poety, a dalej prawidła dla wszystkich rodzajów poezji, liryki, epiki, dramatu, dydaktyki, z wymienieniem najcelniejszych utworów obcych i własnych; było to wolnem naśladownictwem dzieła, *L'art poétique,* słynnego Boileau. Pod wpływem Kopczyńskiego poprawiała się widocznie szata zewnętrzna polszczyzny, strasznie za Sasów zaniedbana. Walną zasługą Bohomolca i i. były też przedruki, wznowienia zapomnianych autorów XVI wieku, Kochanowskiego i Górnickiego, dalej St. Lubomirskiego; literatura «złota», zygmuntowska wracała w swe prawa.

Na polu prawa wyróżniała się praca Gdańszczanina, Gotfryda Lengnicha, *Ius publicum regni Poloniae,* przetłumaczona r. 1761 (*Prawo pospolite* itd.); dalej praca wileńskiego profesora Strojnowskiego, *Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodowego,* Wilno 1785; mniej naukowy, więcej popularny był Popławskiego, profesora krakowskiego, *Zbiór niektórych materyj politycznych* r. 1774. Obaj, Popławski i Strojnowski, byli fizjokratami najczystszej wody, t. j. w roli jedynie uznawali podstawę bogactwa narodowego i usuwali wszystko, coby swobodę w korzystaniu z jej wyników (cła itp.) hamowało; przeciw nim Nax w duchu kameralistycznym (dbając jedynie o wygody kamery, t. j. dochody państwa) inte-

resy przemysłu i handlu popierał, ale dzieło jego mimo swych zalet rozgłosu nie znalazło. Wincenty Skrzetuski wydał *Prawo polityczne narodu polskiego*, Warszawa 1782.

BIBLJOGRAFJA

St. Kot, *Historja Wychowania*, Warszawa 1924 (rozdział XVII, Komisja Edukacji Narodowej 1773—1794, str. 389—464), streścił i wyłożył przystępnie wyniki żmudnej pracy źródłowej, a na str. 652—655 podał obszerną bibljografję, do której czytelnika odsyłamy; uzupełnieniem *Historji* są tegoż *Źródła do historji wychowania (wybór), część druga, od początku w. XVIII do początku w. XX*, Warszawa 1930, str. 113—206, gdzie przedrukowano w całości lub wyjątkach Ant. Popławskiego i A. Czartoryskiego, *Ustawy*, projekty i przemówienia Piramowicza i t. d. Dodaję liczne prace Teod. Wierzbowskiego, przedruki raportów szkół wydziałowych, *Komisja Ed. Nar.*, *Szkoły parafjalne w Polsce i na Litwie za czasów K. E. N.* 1921, dalej Lewickiego, Karbowiaka, Tynca, Pohoskiej, aż do najnowszych Stefana Truchima, *Szkoły Rydzyńskie Aug. Sułkowskiego*, Poznań 1928 i tegoż *Szkice z dziejów szkolnictwa i kultury*, Poznań 1930.

Co do postępu nauk: *Polska w kulturze powszechnej*, dzieło zbiorowe pod redakcją Feliksa Koneczn ego, tom II, Kraków 1918, zawiera ustępy o geografji, botanice, astronomji i t. d. pióra Romera, Rostafińskiego, Birkenmajera i in. O J. Śniadeckim posiadamy całą literaturę, por. A. Wrzosek, *Jędrzej Śniadecki*, 2 tomy, 1920; korespondencję Jana wydaje staraniem Akademji L. Kamykowski; Michał Baliński, *Pamiętniki o J. Śniadeckim*. Szczególnie ważne jest i dla innych rozdziałów podstawowe dzieło Władysława Smoleńskiego, *Przewrót umysłowy w Polsce XVIII wieku*, Warszawa 1923 (drugie wydanie; pierwsze 1891). Stanisław Grabski, *Zarys rozwoju idei społecznych i gospodarskich w Polsce*, tom I (do 1795), Kraków 1903 (więcej nie wyszło).

ROZDZIAŁ PIĄTY

LITERATURA I SZTUKA

Literatura. — Paszkwile. — Publicystyka. — Teatr. — Język. — Sztuki piękne. — Muzyka. — Architektura. Rzeźba. Malarstwo. — Puławy.

LITERATURA

Za Sasów odwykł naród od książki, a książka od życia. Szlachcic i ksiądz, rzucając szkołę, porzucali na zawsze i książkę; szlachcic odsyłał do niej księdza, by z niej mądrze ludziom prawił; ksiądz szlachcica, który jako «statysta» prawa i dzieje znać winien. Nikt więc nic nie czytał; co prawda, nie było co i czytać. Panowie i panie czytali, ale po francusku; były bibljoteki pańskie bez jednej polskiej książki; wyrzucano dawne łacińskie i polskie, a sprowadzano francuskie. Reforma autorstwa, jak czytelnictwa była niezbędna; podjęto się jej z nierównie lepszym skutkiem niż reformy politycznej czy społecznej, bo nie stawały na przeszkodzie zewnętrzne hamulce, np. od obcych mocarstw, które o literaturę jako *res nullius* nie dbały; bo nie dotykano nią interesów materjalnych; bo cisnęli się do niej ludzie z czystemi rękami i sumieniami; bo rozbudzona ciekawość ręczyła za przyjęcie sympatyczne, a literat mógł nawet liczyć, że koszty co prawda najskromniejszego życia z pióra swego pokryje. I zarzucano księgarzy rękopisami, bo nowi autorowie przyzwyczaili naród napowrót do książki, zdobyli sobie jego ucho.

Stworzyli książkę godną czytania, oświecali głowy, poruszali sumienia, wznawiali szlachetne uczucia. Na pierwszy plan, świadomie, stawiali «oświecenie», t. j. chęć wydostania się z mroków saskich, doścignienia Europy daleko nas wyprzedzającej, zburzenia przesądów i nieuctwa, zachwaszczających niwy polskie. «Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty», wiek próżniactwa z zasady, nieuctwa z przekonania, zabijania czasu z nawyczki. Pierwszem zadaniem nowej literatury było uczenie, ostrzenie tę-

pych głów, oświecanie ciemnic myślowych, aby wykorzenić przesądy wyznaniowe, stanowe, stylowe. Cechą więc nowej literatury była dydaktyka, czy bezpośrednia, naukowa, czy pośrednia, literacka. Ta używała wszelkiej formy, przeczącej w satyrze, epigramie, paszkwilu; twierdzącej w liście, powieści, pochwale; pisała prozą i wierszami, alegorje i bajki. Była to literatura tendencyjna, programowa, służbę publiczną pełniąca, obywatelska wedle dawnej, dobrej tradycji; dla swobodnej gry wyobraźni mało było miejsca, jeszcze mniej zrozumienia. Jak politycy o niezawisłość narodową, ekonomiści o podniesienie dobrobytu, tak dbali literaci o kulturę narodową. Różnica między pokoleniem, co Stanisława koronowało r. 1764, a pokoleniem, co go apoteozowało r. 1791, była nadzwyczajna: dokonały jej szkoła i literatura. W 1764 r. nikt nic nie czytał, w 1791 wszyscy i wszędzie, nawet w karecie czy przedpokoju, nawet lokaje czy kelnerzy, nawet w gotowalni czy u modystki. Już zdobyła książka polska miejsce obok francuskiej, chociaż jej nie zastąpiła; już wyróżniała się gładkością i dowcipem, stylem i treścią, myślą i wysłowieniem, pokonawszy wszelkie trudności w wierszu, mniej w prozie, bo zawsze jeszcze wiersz nęcił, chociaż nim już ani podręczników, ani romansów nie pisano. Dążność literatury była moralizująca; miała odstraszać od wad, występków, nałogów, nakłaniać do cnoty i umiarkowania i w nich szukać prawdziwej szczęśliwości. Stąd rozwielmożnienie satyry i powieści obyczajowej; fantastykę znoszono chyba w zaprawie humorystycznej. Uczuć osobistych nie wyrażano wiele, najmniej erotycznych (których spółczesna pornografja tajona nie zastępowała), najwięcej panegirycznych (hołdów królowi; zasłużonym i niezasłużonym); dla piękności przyrody nie miano oka, człowiek: namiętności, losy, typy wyłącznie zajmowały; równa była obojętność dla kolorytu historycznego, dla warunków czasu, miejsca, rasy i otoczenia w kosmopolitycznem nastawieniu tej literatury, uznającej tylko człowieka.

Dla dziejów kultury skarbnica to niewyczerpana, chociaż wcale nie równomierna. Satyry np. Piotrowskiego albo Naruszewicza (nie wszystkie!), to dalszy ciąg Opaleńskiego, tworzyły jak u niego gotowe obrazy polskiego pożycia; satyry Krasickiego bywały ogólno-ludzkie, nie specjalnie polskie; jego polskie satyry, to pierwsza księga *Doświadczyńskiego* (na trybunały, a co o wychowaniu prawił, to jakby z Opaleńskiego wyczytał; był nawet podobny wuj, co się o szkołę upominał), albo *Monachomachja* (na zakony), albo *Organy* (na lekkomyślność narodową). Cel i tendencja zawsze widoczne, ale nie w księgach *Myszeidos*, której się nie rozumie, jeśli się nie widzi w niej umyślnej igraszki dowcipu, parodjującej baśń kronikarską na dowód, co wdzięk formy nawet z gadki potwornej wyrzeźbi. Czasy jeszcze nie nastały ani dla romansu historycznego, ani dla fantastycznego, bo te się bez moralizacji i tendencji obchodzą.

Rozwój tej literatury był powolny, szczególniej w pierwszem dziesięcioleciu, gdy nowe pokolenie siły zbierało i do walki się zaprawiało; w drugiem przyspieszony, głównie dzięki pracy Krasickiego; w trzeciem gorączkowy, ale jednostronny, polityczny, publicystyczny, pochłonięty troskami dnia, reformą ustrojową, przestrogami wobec objawów niepomyślnych, napaściami gwałtownemi na ludzi i stosunki.

Czasy Stanisławowskie stworzyły więc tę literaturę, której saskie nie znały; odmieniły dawną treść i styl, formę i język; wyświeciły ascezę i panegiryzm, bezmyślność i przesądność; nawiązały do lepszej tradycji starodawnej i do spółczesnej Europy, do klasyków rzymskich i wersalskich; uczyły i bawiły; wprowadziły w nowy obieg prawdy obywatelskie zamiast katechizmowych, pojęcia ojczyzny i ludzkości zamiast «złotej wolności» i zaślepienia stanowego, godność narodową zamiast służalczości obcym; wcisnęły książkę polską do rąk, z których dawno wypadła. Jakby się bez szkoły Komisji Edukacyjnej i bez literatury Stanisławowskiej losy narodowe ułożyły, nie sposób wyro-

kować; w dalszym ciągu zasklepiły one obie przepaść między dawną a nową Polską, między rokiem 1795 a 1918.

Jak w życiu politycznem, a szczególnie w naukowem duchowieństwo, do niedawna jedyny stan o większem wykształceniu, odegrało przeważną rolę, tak samo i literatura jemu zawdzięczała rozkwit od Bohomolca i Minasowicza do Popławskiego, Stroynowskiego, Krasickiego, Kossakowskiego, Naruszewicza i in. Duchowny zaś stan tych literatów wpłynął na ich umiarkowanie w mowie i powściągliwość w myśli i treści; oni nie podrywali wiary, morału, tronów; nie burzyli ani gromili; nie olśniewali też ani porywali; hasłem ich był rozsądek, *aimez donc la raison.* Ich literatura mądra, umiarkowana, chłodna, a za ich wzorem i laicy inaczej nie pisali, Karpiński czy Zabłocki, Trembecki czy Szymanowski, Czartoryski czy Bogusławski. Księża zakładali pierwsze czasopisma, czy *Monitora,* czy *Zabawy przyjemnie i pożyteczne*; oni tworzyli satyry i romanse, gdy laicy je tylko przekładali; oni spopularyzowali bajkę. Za Sasów nie odróżnisz laika od księdza, Jabłonowskiego od Załuskiego, bo obaj dewoci i asceci; za Stanisława nie odróżnisz księdza od laika, bo ksiądz zupełnie zeświecczał; dla Krasickiego i Naruszewicza sukienka duchowna i fiolety biskupie, to tylko akcesorja.

Przeskoku gwałtownego nie było. Konarski i inni pisarze (tłumacze Woltera np.), Bohomolec, przerabiacz Moljera, Minasowicz, pisorym niestrudzony, działali już za Sasów, więc łączyli obie epoki; w obu pozostały te same wzory i źródła, łacińskie i francuskie; tylko stopień oryginalności był wcale odmienny. Zaczęto mniej lub więcej niewolniczemi przekładami, przeróbkami, naśladowaniami, ale Krasicki i Trembecki, Karpiński i Kniaźnin, byli już od nich wolni; nawet zawisły zupełnie od Francuzów Zabłocki na niektórych komedjach cechy narodowe wycisnął. Krasicki szedł ubitemi torami, dla każdego jego utworu można bliższe czy dalsze pokrewieństwo wykazać; jego wła-

snym był powab i lekkość stylu, gładkość języka, trafność uwag, wdzięk formy, co księcia-biskupa na księcia poetów wyniosły.

Odsunięto się przedtem za Sasów od czasu i Europy; co się poezją polską nazywało (bo prozy pięknej zupełnie nie było), raziło niesmakiem formy, potwornością stylu, brakiem myśli, więc nowa literatura powetowała te ubytki. Pielęgnowano wszelkie rodzaje, Krasicki był znowu nieprześcignionym wzorem; on pierwszy ciekawość ogólną wzniecił, co z niecierpliwością «nowalij warmińskich» oczekiwała. Jego polszczyzna salonowa, wytworna, pospolitości jak i rubaszności unikała. Wszystkich przewyższył i jeżeliby się godziło jednym pisarzem cały wiek literacki wyróżniać, jego imię nastręczałoby się jedyne. Nadzwyczajna ruchliwość, różnorodność jego pióra z każdem nowem dziełem nowe otwierała widoki i chociaż nie on pierwszy ani jedyny pisał satyry, bajki, epopeje komiczne, powieści, listy, to jego dzieła stanowiły rewelację i sensację zarazem.

Jak nie było szkoły świeckiej, tak nie było przecież i literatury świeckiej — należało stworzyć jedną i drugą. Tej pracy podjął się świadomie Krasicki i wszędzie przełamywał lody. Należało dać czytelnikom, co uczy i bawi, podsuwać im mądre myśli i szlachetne uczucia, usuwać co szpetne i szkodliwe, budzić sumienia treścią, zaciekawiać formą i wymysłem, poprawiać «świat zepsuty». To główny cel jego *Satyr, Listów, Bajek.* Autor wychodził z błędnego założenia, że poprawa obyczajów ocali państwo; nigdy nie wspomniał o błędach ustrojowych — jak ksiądz na kazalnicy wystrzegał się wszelkiej polityki czy aluzji do niej, jakby obcy poddany nie miał prawa mieszać się w sprawy wewnętrzne byłej ojczyzny.[1] Uprawiając wyłącznie rodzaj oby-

[1] Najdowolniej domyślają się w kilku czy kilkunastu bajkach «barwy politycznej», np. bajka *Ptaszki w klatce* powstała «według wszelkiego prawdopodobieństwa po pierwszym rozbiorze Polski, kiedy to Krasicki przestał być obywatelem Rzeczypospolitej»; tak samo *Przyjaciele* «pisał być może Krasicki z myślą o rozbiorach Polski», a *Myszy* «zawierały

czajowy, nie narażał się żadnemu stronnictwu i wszyscy go wielbili.

Że się kulturze zasłużył najbardziej, wystawił mu król świadectwo: «jeśli gust do czytania po wsiach rozszerzył się, przyznać trzeba sprawiedliwie, że WKsM. dziełom ledwie nie najbardziej dziękować za to potrzeba». Osiągnął zaś książę-poeta ową popularność jasnością i gładkością słowa, dowcipem i umiarkowaniem myśli, poprawnością i szlachetnością formy, zacnością tendencji, wysokiem poszanowaniem wiary: deistą nie był ani wolnomularzem, wierzyć kazał: «bądź raczej cnotliwym nieukiem niż mądrym bezbożnym»; «rozum twój pod jarzmo wiary poddawaj»; «obowiązki religji pełń, bo są od Boga przykazane, z istoty swojej święte, z skutków szacowne». Różnicy stanowej między ludźmi nie uznawał, «sama ją tylko cnota sprawuje»; potępiał dzikość-ciemnotę; «stąd liczne błędów mnóstwo, co państwo zgubiło; stąd owo sławne hasło, niech będzie jak było»; prześladował dziki sarmatyzm, ale niemniej wady modne; cenił tradycje narodowe, ale gorszyła go jednostronność, fanatyzm, uprzedzenia.

---

przestrogę dla Sejmu, aby się Moskwie nie narażać» i t. d. Ależ obserwacja sama życia czy przyrody, albo wynik lektury zwykły się u bajkopisarza z powołania wyładowywać w bajkę; on myśli poprostu kategorjami «bajkowemi» i nie potrzeba dla niego nadto osobliwszego przeżycia. Widzimy to na Kryłowie: przyjaciele proszą go na jego jubileusz, on do nich: czy nie zawiele to na mnie? przecież ja ów admirał, co dlatego sławy zażywał, że się niedaleko na morze puszczał (i bajka gotowa, której nigdy nie napisał). Albo gdy z obżarstwa zachorował, rzekł znajomemu: tylko jarząbki, ale zawiele (on się jarząbkami bynajmniej nie objadł — bajka gotowa). Więc i *Ptaszki w klatce* może dawno przed rozbiorem pierwszym powstały; r. 1772—1774 o młodzieży zrodzonej w «klatce» jeszcze mowy nie było; schemat bajki *Zbytek przygotowań* był dawno gotowy, nim go poeta do Komisji lwowskiej, nie zasługującej wcale na żadne wyróżnienie, zastosował; gdyby nie jego własne zeznanie, niktby nigdy bajki z faktem owym nie połączył. I w *Bajkach* był Krasicki *zoon apolitikon*.

Jeżeli *Myszeis* była «czystą igraszką wesołego dowcipu», wywodzącą w pole czytelnika, co się nie wiedzieć czego domyślał, gdzie w istocie nic nie było, to następna epopeja śmieszna, *Monachomachja* z r. 1778 (wraz z jej niby odwołaniem, *Antimonachomachją*, parę lat późniejszem) była znowu «igraszką wesołego dowcipu», ale bynajmniej nie «czystą». Można ją było, chyba w dalekim już Heilsbergu, przenigdy w kraju, napisać, mógł świecki, nie wysoki duchowny. Krasicki, to Stanisław August w szacie biskupiej, więc raził go widok czeredy darmojadów, zażywającej niezasłużonych względów, tuczącej się kosztem ubogiego kraju i tamującej samem istnieniem swojem wszelką oświatę. O zacofanie polskie nikogo było łatwiej oskarżyć, niż zakony, które jeszcze przed pięcioma laty dzierżyły monopol wychowania młodzieży; więc wystawić je w świetle prawdziwem było zadaniem jego «Mnichopisma», które od Bornowego, od Józefa II i Fryderyka II, tylko tem się różniło, że bez jadu i złości wyśmiewało «przewielebne głupstwo». Nie było wprawdzie śród tych mnichów ani pijarów, ani jezuitów (już zniesionych), ani misjonarzy, ani teatynów, t. j. właściwych wychowawców młodzi; zato były uosobione nietylko nieuctwo i opilstwo, ale i wszelkie inne przywary gorszące, acz dyskretniej wytknięte. W pierwszej połowie wieku niemożliwa, dla drugiej była charakterystyczna ta satyra, tem dotkliwsza, że wyszła z pod najbardziej powołanego pióra, że nie można jej było zarzucić niekompetencji czy zawiści. I sam autor odczuł niestosowność swego dzieła i kulawą a nudną *Antimonachomachją* zażegnywał, daremnie, przykre jego wrażenie, a gdy sam ostygł w zapale oświeceniowym, w *Panu Podstolim* o zakonach i mnichach palinodję wypisał. Ale spólczesnym reformatorom przysłużył się znakomicie; *Monachomachja* torowała niby drogę do kasacji zakonów, a drugą podobną epopeę humorystyczną, równie wesołą, trudno znaleźć; wtyle pozostali i Kortum i Majkow i samo bożyszcze XVIII wieku, Wolter. Przykład Francuzów (Boileau,

Gresset) ośmielał do wyboru tematu; «jędza niezgody» od Woltera przybyła.

Książę-biskup był w pełni sił; od r. 1775 do 1780 posypały się wiersze i proza; rzeczy chyba dawniej wykonane, czy tylko przygotowywane wykończał i wydawał jednę po drugiej, nieraz kilka w jednym roku i w tych latach mieścił się właściwie cały zasób jego pracy literackiej, do którego później mało co już przystępowało, a więc jego *Satyry* I, *Bajki i Przypowieści* I, *Wojna Chocimska, Pan Podstoli* I, *Doświadczyński, Historja, Komedje.* Właściwości jego pióra i essencja myśli jego przemówiły w *Satyrach,* w których nie oburzenie, nie Juwenal, lecz raczej Horacy, umiarkowanie, przyświecali, i w *Bajkach,* które w XVIII wieku jeszcze między dziatwę nie schodziły, gdzie im jak Lafontenowi i Kryłowu wiek XIX miejsce wyznaczył. Były to klejnoty poezji polskiej i do dziś niemi pozostały, więc jakżeż uderzały spółczesnych! Budziły poklask szczytną formą, wycyzelowaniem każdego wiersza, rozmaitością wykładu (dialog; opowiadanie; wyliczanie; katechizacja), trafnością myśli a powabem słowa. Wielomowny w *Satyrach* i *Listach,* w *Bajkach* zwięzłością nadzwyczajną, epigramatyczną, zwyciężał. Za narodowym kolorytem nie ubiegał się zbytnio; dawało go nieraz samo ujęcie tematu, np. w *Pijaństwie* czy w *Żonie Modnej;* późne jego *Organy,* rzecz całkiem wyjątkową, wydał trafny instynkt, bo gość Poczdamu przejrzał lepiej politykę pruską, niż naiwni patrjoci warszawscy.

Z wyżyn ogólnoludzkich, skąd patrzył na obłudników, okrutników, marnotrawców, modnisiów, niedowiarków, lichwiarzy, filutów, podchlebców, schodził na grunt szczeropolski w powieściach. Przed nim nie było powieści polskiej, było kilka lichych przekładów lichych wzorów; zacofanie literatury tu i w dramacie było najwidoczniejsze, w powieści nawet jeszcze gorsze, bo nie posiadała czegoś choćby w rodzaju Rzewuskiego (tragedji i komedji nowej). R. 1776 wyszły *Mikołaja Doświad-*

czyńskiego przypadki, nie powieść, lecz pamiętnik dzieciństwa i młodości bohatera i jego późniejszych awantur, w trzech częściach bardzo nierównej wartości. Pierwsza omawiała wychowanie (t. j. brak wszelkiego) i skutki tegoż, podróż do Warszawy a potem do Paryża, i jak się tam paniczowi wiodło. Ten sam temat o wiele obszerniej opracował ktoś nienazwany w powieści *Polak w Paryżu, albo dwutygodniowa w temże mieście bytność hrabiego* * * *, 1787 r., opis «głupstw», jakie popełnił 18-letni wtedy «dla nauki biednych współziomków», jak go karty i kobiety zrujnowały; dalszego ciągu niema i powtórnej do Paryża podróży po latach, tym razem dla «poprawienia i oświecenia swego jestestwa», autor już nie opisał. Temat był bardzo aktualny; te podróże paryskie młodzieniaszków rujnowały ich nieraz na całe życie i myślano o jakiemś tego hamowaniu (przynajmniej w publicystyce). Ale u Krasickiego był w tej samej części i opis haniebnych praktyk trybunalskich (właściwie adwokackich), który jest jeszcze dotkliwszą satyrą. Po tym świetnym początku dalsze części zawodziły. Doświadczyński jest ofiarą najdziwniejszych przygód, które go nawet na wyspę Utopji, tu Nipu przezwanej, zawiodły, gdzie się styka z ludem pierwotnym i idealnym, nie znającym żelaza ani wybryków cywilizacji; w St. Leszczyńskim, nie mówiąc o dawniejszych, miał Krasicki poprzedników, a sam księciu Szczerbatowu za wzór poniekąd posłużył. Powieść znalazła naśladowców, np. ks. Krajewskiego *Wojciech Zdarzyński, życie i przypadki swoje opisujący*, 1785, powtarzał jej schemat i wychowanie złe, długi, ucieczkę, pobyt w nowej Utopji, szczęśliwy powrót do kraju i dobrobyt; ale były wycieczki przeciw Warszawie i Warszawiankom, co miałyby sobie za krzywdę, gdyby używały sukien z materyj krajowych, i przeciw niesumiennemu obywatelowi, krzywdzącemu włościan.

W *Satyrach* przeciwstawiał Krasicki stale jakichś cnotliwych ojców i ich wiek złoty niezdarnym synom — była to *licentia poetica*, od autorów starożytnych przejęta, niestosowna dla

Polski, gdzie nie ojców, ale już dziadów wiek był zepsuty zupełnie. Zamiast owego mglistego złotego wieku przedstawił Krasicki w *Panu Podstolim* idealny typ Polaka, oświeconego, ale nie wynarodowionego, żyjącego dla rodziny i ludu, rządnego, mądrego, pobożnego (bez jakiejkolwiek bigoterji), uszlachetniającego całe otoczenie. *Pan Podstoli* nie był powieścią; na jego trzy części (wydane r. 1778, 1784 i po śmierci autora 1803; czwartą planował), złożyły się luźne traktaty o wszystkiem (naturalnie oprócz polityki, jakby rozbiory Polski były już dokonane i życia publicznego już nie było), co do życia prywatnego ziemiańskiego należy, o wychowaniu, lekturze, ogrodach i t. d. Jeżeli już w *Satyrach* uderzał pesymizm w ocenie młodzieży spółczesnej, to w *Podstolim* stał się autor obrońcą przeszłości (bez jej wybryków), starał się pogodzić świat dawny, pobożny, prawy, mierny, rozważny, konserwatywny, ludzki, honorowy z wymaganiami postępu. Powiodło się to w powieści, acz miał autorowi przyświecać przykładem żywy człowiek, szwagier księcia biskupa. Podstoli jest za niezbędnemi reformami, ale w bardzo umiarkowanem tempie; uważał poddaństwo za «zastarzałą nieprawość», ale protestował przeciw natychmiastowemu zniesieniu poddaństwa, wymagał wprzód ulżenia jarzma i oświaty, aby wpierw wyszli z dzikości, bo swoboda u dzikich jest miecz w ręku szalonego — ależ tym samym argumentem wojowali wszyscy obrońcy pańszczyzny. Konserwatyzm księcia-biskupa wzmagał się z latami.

Oprócz awanturniczo - satyrycznego *Doświadczyńskiego* i dydaktycznego *Pana Podstolego,* pisał Krasicki także powiastki wschodnie, tłumaczone, naśladowane, oryginalne — bez wschodu, chyba z podrabianym, albo dla morału albo dla fantastyczności, niby bajki z *Tysiąca i jednej nocy;* tego rodzaju nie spopularyzował, tem większe wrażenie było dwu pierwszych, czego liczne wydania i tłumaczenia na niemieckie i inne języki dowiodły. *Pan Podstoli* stronił od wszelkiej polityki; ten brak zastąpił biskup

inflancki, postępowiec bardzo smutnej pamięci, powieścią *Obywatel*, której pierwszy tom wydał bezimiennie w Warszawie 1788 r. Fabuły tam nie było, prócz kilku obrazków rodzajowych (sejmikowych); syn wrócił z podróży, ojciec wykładał mu urządzenia wszelkich sejmików (gospodarskich, deputackich i in.), trybunału i komisyj i krytykował je, zbierając się na projekt ich reformy, który miał podać na końcu dzieła, ale drugi tom o prawach polskich nie wyszedł wcale. Tegoż autora *Ksiądz Pleban* z r. 1786 kreślił sylwetki plebanów, niedbałych o trzodę, modnisiów, surowych i t. d., z zaniedbanym ludem i nędznemi wioskami, aby zakończyć wzorowym kapłanem, nie uczonym ani modnym, zato przykładnym i miłosiernym, i wioską jego kwitnącą.

Dbały o kulturę zniżał się książę-biskup, korzystając ze wczasów heilsberskich (w kraju byłby niechybnie w wir polityki wplątany), do pracy niemal wyrobniczej. Brakowało literaturze dzieła zbiorowego, encyklopedji, jakie inne narody olbrzymie (Zedler i in.) i krótsze już posiadały, więc wydał r. 1781 dwa wielkie tomy p. t. *Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabetu ułożonych.* Artykuły były przeważnie krótkie, rzeczom polskim wyznaczono stosunkowo więcej miejsca. Zdaje się jednak, że on był raczej redaktorem, niż pisarzem tego dzieła, ale może znaczniejsza część artykułów będzie jego pióra; przynajmniej później je rozszerzał i w tej powiększonej redakcji zajął ten *Zbiór* sześć tomów zupełnego wydawnictwa jego dzieł, przez Dmochowskiego po jego śmierci wygotowanego. Dopiero wtedy wydano też pierwszą historję poezji powszechnej (od Greków i Rzymian do ludów romańskich, germańskich i wschodnich), omawiającą gatunki poezji i poetów i dającą liczne wypisy w przekładach własnych i obcych. Tu był wielki niedobór do zastąpienia; nie posiadaliśmy historji literatury, chyba przy historji sztuk pięknych i wyzwolonych; podobny, podręcznik francuski Carlancasa, przełożył ks. Adam Czartoryski 1767 r.; ory-

ginalne dzieło napisał były jezuita, ks. Ignacy Włodek: *O naukach wyzwolonych w powszechności i szczególności księgi dwie* w Rzymie 1780 r. (drugiej księgi autor już nie wydał), gdzie wszedł i w polemikę francuską, która swego czasu wiele hałasu narobiła, o staro- i nowożytnych (kto większy; czy «moderna» nie może zastąpić «antyku» i t. d.); bronił tam gorąco swego i innych narodów, niby upośledzonych, jak zarozumiali Francuzi twierdzą, a oburzał się najsrożej na poniewieranie własnym językiem, matką, która zeszła na niewolnicę, gdy jakaś dziewka, gościnna niewiasta, rozpanoszyła się na jej miejscu i jej się wszyscy kłaniają. Dzieło przeszło w kraju niepostrzeżone, świadczyło o wysokiej inteligencji autora, który nie przeczył zacofania polskiego, lecz przyczynę jego widział w uciemiężaniu ludu, czego we Włoszech niema, bo niema tam «tego *malabarskiego* (!) o szlachectwie, rozumu uprzedzenia, jakby względem niego, inni ludzie byli prawie innej krwi i innego gatunku». Podobnych ostrych uwag było u niego sporo; żądał, żeby panowie starali się o wprowadzenie gruntownych nauk do kraju «i tak doczekali się ludzi z narodu uczonych, a nie okładali się tymi biegasami, tymi szarapatkami... dla których wy u świata uchodzicie za błaznów». W dbałości o czystość i poprawność języka dodał także «słownik słów dawnych», jak Dudziński przed nim. Literaturę ojczystą, szczególniej Kochanowskiego, znał doskonale.[1]

Rozległość prac literackich Krasickiego nadzwyczajna. Wiek XVIII stroił się chętnie w antyk pogański przeciw ascezie chrześcijańskiej, w rzymskie i greckie cnoty obywatelskie przeciw dogmatom katechizmowym, naśladował i czytał Plutarchowe życiorysy słynnych bohaterów; więc przełożył je też Krasicki (*Ży-*

[1] Z obcych języków należy tu przytoczyć Jana Dubois (profesora Szkoły Rycerskiej) *Essai sur l'histoire littéraire de Pologne* i niemiecki zarys «Polonusa» w dziele Kauscha, zob. wyżej. Krytykowano p. Dubois z powodu zwrotu liberalnego w sprawie dysydenckiej; tłumaczył on i *Myszeidę*.

cia zacnych mężów z Plutarcha, wydane dopiero r. 1804) i pomnożył o ośmnaście oryginalnych (np. Żywot Kazimierza W. i Alfreda W.). *Rozmowy zmarłych* wedle Lukjana parodjowane służyły w XVII i XVIII wieku nawet tendencjom politycznym, to obmawiano w nich, to odkrywano tajemnice dyplomatyczne (u nas za czasu Sejmu Wielkiego używano nieraz tej broni); były one popularne, więc tłumaczył Lukjana Krasicki i na jego wzór pisał własne, np. rozmowę Horacego z Sarbiewskim, albo Chrobrego z Kazimierzem W., dając upust uwielbieniu pacyfisty dla króla chłopków i reform wewnętrznych, nieufny wobec wawrzynów wojennych, czego dowód dał w swojej *Historji na dwie księgi podzielonej* (z r. 1778), gdzie odmładzający się stale człowiek towarzyszył wszelkim bohaterom od Aleksandra W. do Lecha i Wandy, sprowadzając wymysły kronikarskie do właściwych rozmiarów; dzieło bardzo krytyczne i racjonalistyczne, ale to igraszka dowcipu sceptycznego, taniego, nie odtworzenie prawdy dziejowej. W Polsce Stanisławowskiej «gasiciel ognia» i «pomniejszyciel olbrzymów», aby użyć terminów XIX i XX wieku, był zupełnie nie na miejscu, chociaż służył modzie; tej oddał Krasicki hołd także tłumacząc pieśni Ossjanowe tragiczno-sentymentalne i heroiczno-mgliste, miękkiemu, przenikliwie jasnemu epikurejczykowi najzupełniej obce, ale modne, więc w nadto mdłym przekładzie (a przekładali go i inni) przyswajał i to literaturze ojczystej.

W orszaku księcia poetów objawili się jako najznaczniejsi dwaj rówieśnicy, różni talentem, a jeszcze bardziej jego użyciem. Jeden z nich, eksjezuita, który jako poeta swego wychowania jezuickiego nigdy się nie zaparł, ale w ostatnich dwudziestu latach swego życia poezji się wyrzekł i na polu dziejopisarstwa trwalsze, acz przez spółczesnych mniej cenione zasługi zdobył. Dorobek swój poetycki zebrał w wydaniu zbiorowem z r. 1778, złożyły się nań ody, sielanki, bajki, satyry. Ody, nietylko Naruszewiczowe, o których tu mowa, to najnudniejszy,

a zarazem najbardziej pretensjonalny gatunek liryczny; w odach «wieszczy» poeta pochwały byle jakiegoś «kopciciela nieba», cnotę jakąś scholastyczną, mądrości życiowe nieraz arcywątpliwej wartości; pełno w nich szumu i napuszoności, nagłych przeskoków, niezwykłych porównań, a najmniej szczerości i prawdy. Sielanki, to parodja życia sielskiego, konwencjonalna całkiem, wymuskana do ckliwości. Bajki kroczyły rozwlekłym torem Lafontenowym. Z satyr jedna, *Chudy literat,* najlepszy wiersz, który Naruszewicz napisał, to najpierw dialog, kpiny z chudeusza i jego biadania, potem drugi dialog z księgareńki przy Farskiej ulicy, o tem, w jaką to literaturę prowincjał w Warszawie się zaopatrzył. Druga, *Reduty,* już nie tak wyłącznie polska, ale typom ogólno-ludzkim nie brak rysów polskich, mianowicie ów hołysz co bogacza udaje, a madame co z labusiem się przejeżdża, taż to siostra Stanisława Augusta. Rysów polskich nie brak i po innych satyrach, np. w satyrze *Pochlebstwo* tytuły panegiryków dawnych *(Abrys cnoty* i t. p.); komplementy dla gorliwego o wiarę pana, który

> Własnym spalił dekretem pięć czarownic żywych,
> A drugich pięć mniej winnych utopiwszy w rzece,
> Na pamiątkę swych czynów wystawił kaplicę,

albo obrazek Litwina junaka:

> W kusej łosicy, a miał szczerbę od szarpaka
> Na łbie, z żelazną klatką wkoło rękojeści.

Wiersze Naruszewicza bardzo nierówne, zdarzały się tu i ówdzie lekkie, z reguły były ciężkie, zamaszyste, a z niejednej ody, mianowicie ze wstępów, mógłby Konarski zaczerpnąć przykładów skażonego smaku. Język staroświecki, słownik Naruszewiczowy rubaszny, pełen słów, jakichby Krasicki się wzdrygał, zato jędrny i wyrazisty. Tylko myśli już nie jezuickie, bo nie schlebiały bucie szlacheckiej, bo wymagały poszanowania dla króla i władzy, potępiały anarchję moralną i polityczną, wymagały oświaty, smagały zdrożności, sławiły zasługi około krze-

wienia światła. Tłumaczył Anakreonta, ścierając grubemi palcami pył ze skrzydełek motylich, zato rysy satyryczne udawały się znakomicie, nawet w sielanki je wtłaczał; tylko satyra jego nie lekką ironją zaprawna, ale sierdzista, juwenalowa, oburzeniem płonęła, gromy jak z kazalnicy ciskała, jedyna na gruboskórnych.

Drugi, Stanisław Trembecki, to próchno świecące. Cynik, ateusz, materjalista drwił ze wszystkiego i wszystkich, począwszy od króla-dobrodzieja, którego obdzierał, jak Branicki (Korczak), powołując się jak ten na jakąś sekretną usługę wielką, w imię której zasiłków na karty, lokai i t. d. żebrał. Sofista pierwszorzędny, gotów każdej chwili *pro et contra* prawić; satyryk urodzony, satyry nie lubiał, bo czuł, że sam byłby najgodniejszym jej celem; pochlebca wyśmienity, bo kpił w sercu z tych, którym kadzidła palił; Polak i szlachcic, co wyzuł się ze wszelkiej godności narodowej (Moskale, to «nasi»!) i osobistej (równał się, i słusznie, z mopsem St. Augusta), pokrywał wszystkie braki świetnym nad wyraz stylem, trochę nienaturalnym, wymuszonym, ale ciętym, hartownym, szklistym. Składnia jego i słownik bywały dziwaczne (od neologizmów do prowincjonalizmów), unikał wszelkiej pospolitości (stąd ciągłe osobliwsze omawiania zamiast nazw realnych, które jeszcze Mickiewiczowi, póki był klasykiem, imponowało), skory do czytania, leniwy do tworzenia, roztrwonił talent na drobiazgi, rzucane niby od niechcenia, na opisy, gdzie opisów najmniej *(Polanka, Powąski)*, na tłumaczenia, których wcale nie kończył. Ale to nie Naruszewicz ani Krasicki, nie uczeń jezuicki ani duchowny, to pierwszy całkiem świecki pisarz, wyznawca Woltera (jak jego mecenas królewski), wielbiciel Katarzyny, rusofil z obowiązku dworaka i z obawy przed Niemcami, porywał się na rzeczy, którym jego lenistwo nigdyby nie podołało, a pomijał, coby mógł i powinien wykonać: na jedyną nieco większą całość (o pięciuset wierszach!) zdobył się dopiero przy końcu życia, aby zaskarbić łaskę nowego mecenasa. Uczuć żadnych nie cenił ani znał, zastępował je zręcznością

wysłowienia, formą lekką, powabną, mistrzostwem wyrazu, ale i ostrością jego (np. o papieżu: «Choć złote nosi klucze do nieba, Równy mi papież z Turczynem»), gromkością frazesu (jak u króla-mecenasa). Szambelan bez służby, poeta bez powołania, chwilą, zleceniem króla się powodował, więc o dzieła, o sławę nie dbał; po nikim tak trudno spuścizny się dobadać, jak właśnie po nim; uprawiał poezję jak rzemiosło przygodne, chociaż żadnego innego nie posiadał, a w tem celował; nawet na obiady czwartkowe się lenił, bo niczem się nie dał krępować, nic też nie stworzył znacznego; zadatek to wielkiego poety, lecz nie poeta.

Druga para ludzi młodszych, chociaż równie jeszcze z szkół jezuickich wyszłych, nowe wniosła do literatury czynniki. Obaj lirycy, uczuciową strunę, nie wyłącznie rozumową, jak poprzednicy, potrącali; z większym talentem Karpiński, z mniejszym Kniaźnin; obaj, jak Bohomolec i Naruszewicz, ze wschodnich kresów Rzeczypospolitej, gdzie z ludem i jego liryką styczność znaczniejsza, co się i na ich twórczości odbiło. Trembecki co prawda nie gardził mazowieczczyzną, ale to u niego przypadek raczej wywołał; Karpiński i Kniaźnin świadomie ludowość pielęgnowali, Karpiński z własnego instynktu, dla własnej uczuciowości, Kniaźnin i pod wpływem Puław i księżnej pani. Gdy tamci poeci do rozumu i sumienia przemawiali, politykę, a co najmniej obyczajność uprawiali satyrą i bajką, odą i listem, alegorją i kazaniem (np. Trembecki w mądrym *Wierszu do swoich współziomków* za czasu Sejmu Wielkiego, popsutym pochlebstwem i miedzią brzęczącą frazesu końcowego), ci własne rzewne uczucia, czasem i na tle politycznem, wypowiadali; słuchano ich chętnie, bo śród ogólnego rezonerstwa i szyderstwa u nich serce do głosu przychodziło, zaniedbany żywioł czułościowy nie w erotyce kompromitującej, ale w skromnym i prawym wierszu się odzywał. Obaj piewcy sentymentalni, czy o kochance myślą, czy korne modlitwy szlą, czy ojczysty zwyczaj i ziemię witają i sławią, czy nad niedolą spólną boleją.

Lud u nich to nie wymarzeni pasterze Gessnerowi, miłość nie gruba zmysłowość XVIII wieku, modlitwa nie frazesy deisty czy świętoszka; odezwą się z zagrody Mazura, przy lirze wędrownego dziada, od szatrów cygańskich; tęsknią za Justyną, a gdy się spotkają, zapłoną wstydliwie; do Boga z ufnością dziecka do ojca się zwrócą. Szczególnie Karpiński tak dobrze te uczucia wyraził, że jego pienie nabożne do dziś przetrwało w naszej pamięci, a pieśń o *Justynie* czy o *Laurze i Filonie* lat dziesiątki przeżyła. Zdobywał on sympatje szczerością swoją, elegją np. o zawiedzionych nadziejach *(Powrót z Warszawy na wieś)*, a pierwszy zwracał się aż do średniowiecza, gdy temat jego skłonnościom odpowiadał *(Żale Lukierdy;* z refrenem). Otwierał więc poezji nowe widoki, a za ludem ujmował się szczerze. Kniaźnin znowu pierwszy dramatyzował sielanki; prawda, wymagał ich teatr amatorski puławski, dla którego księżna pani coraz nowe widowiska stroiła; w Trzech Godach pobierają się za jej łaską trzy pary; wszyscy arje wywodzą, ale nietylko sielankowe, bo oto Maryna śpiewa o włodarzu, co przed świtem jeszcze na pańszczyznę wypędza, a tu:

Niema się kim wyręczyć —
Na parobka nas nie stać,
A wyrozumieć ubóstwa
Panowie u nas nie zawsze umieją,
Czy też ci raczej, co ich zastępują,
Jedynie chodząc z nahajką za nami,
A grosze biorąc za biedę ich ludzi...
A w Polszcze z całego świata
Woli pan ludzi do siebie gromadzić,
Niż jednę duszę ze wsi swej wypuścić,
Chyba za wielkim okupem,
A tuż grosza brakuje —

nie wolno się było z jednej wsi do innej swatać. A była i śpiewka ruska. Jeszcze ściślej zachowały etnograficzną wierność *Cygani* (pomysłu samej księżnej pani) z przekładem pieśni cygańskiej,

z oryginalnym ich tańcem-karą. Obok ludowości służył Kniaźnin patrjotyzmowi, bo Puławy były jak żaden dwór magnacki «gniazdem polszczyzny»; więc i z starożytności wybrał temat dla «opery» *(Matka Spartanka)*, jak to Teona wyprawiała syna Likanora na bój z Tebańczykami, na wzór przytomnym, by tak umieli zwyciężać. Liczne inne pieśni i ody zwracały się też ku tematom, nigdy przez innych nie poruszanym, np. ku zapomnianemu przez wszystkich Krakowowi, którego pamięci nawet dwutygodniowa gościna Stanisława Augusta nie wskrzesiła, ku Litwie i Rejtanowi, a wypadki lat 1792—1794 znalazły w odach *Do Ojczyzny, Do Boga* (najwymowniejsza!), *Na rewolucją 1794 r.* (t. j. Maciejowice, O niepojętyś w Twoich dziełach Boże!... A ty, o cnoto! nie gub się w rozpaczy — dzieło to Boga dla ciebie nie próżne), komentarz poetycki, jakiego ani Karpiński nie dał.

Obok tych głównych przedstawicieli piśmiennictwa liczni mniejsi, przechwalony Szymanowski i in., z najmłodszych Niemcewicz o świetnie zapowiadającej się przyszłości poety-patrjoty. Katastrofy polityczne ciężko ich dotykały; wykoleiły zupełnie Naruszewicza, Zabłockiego, Kniaźnina; odzywali się na nie krótko, ale wymownie i Karpiński i Niemcewicz (ten zagranicą); w kraju z łatwo zrozumiałych przyczyn wylewał się żal w ukryciu: najwymowniej w *Bardzie polskim* młodego Adama Czartoryskiego, gdy się z krajem rozstawał, ale *Bard*, nie bez zmian, dopiero w r. 1840 się zjawił; namiętne to skargi na wrogów, obrazy spustoszenia i zbrodni, zrozpaczonych i zwątpiałych ofiar, właściwie bez nadziei na przyszłość. Inny młodzieniec, jezuita białoruski Morelowski, w trenach (wzorowanych na Kochanowskim) i Polsce samej winy przypisywał i nadziei nie tracił; jego *Treny* również dopiero po wielu latach światło ujrzały; *Bard* już samem osjanicznem nastawieniem otuchę wykluczał, *Treny* mniej rozpaczliwe. Oba utwory świadczyły wymownie, jak młodzież utratę ojczyzny do serca brała; inni te-

goż czynami dowiedli. Wyprzedziły tę patrjotyczną literaturę głosy starszego pokolenia, lecz jego poezja była bardzo nierówna; często pełzała po ziemi, schlebiała niegodnym, nie stawiała sobie wysokich celów, kazała używać świata — byle z umiarkowaniem, płytka jak cały racjonalizm wieku XVIII — nieraz wznosiła się jednak na szczyty liryki patrjotycznej i rzucała gromy skargi i żalu. Naruszewicz nie napisał dziejów anarchji polskiej, ale jego *Głos umarłych* z r. 1778 (niestety dopiero w czternaście lat później ogłoszony), to ich gorzkie zebranie i skarga namiętna i święte oburzenie. Godnie stanęły obok niego *Żale Sarmaty* Karpińskiego; nic tam ze łzawych sentymentów i kwileń, zato przejmujący obraz nieszczęścia narodowego, spustoszeń, zawiedzionych nadziei legjonowych:

Wy, co domowe opłakawszy klęski,
Poszliście naród ratować niewdzięczny...
Cóż przynieśliście z powrotem w swą stronę?
Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione,

a wstęp wiersza niemal spiżowemi brzmiał dźwięki:

Ty śpisz Zygmuncie, a twoi sąsiedzi
Do twego domu goście przyjechali;
Ty śpisz, a czeladź przyjęciem się biedzi
Tych, co cię czcili, co ci hołdowali.

Najwcześniejszy, jedyny w tym rodzaju wiersz Krasickiego, jego *Apostroja do miłości ojczyzny:* «Święta miłości kochanej ojczyzny... Byle cię można wspomóc, byle wspierać, Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać», wygłaszana stale w Szkole Rycerskiej, wsunięta dziwacznym kaprysem i w *Myszeidę* (niby czytelnika zbijając z tropu). Częściej luźne wiersze zapadały w sumienia, jak owe Naruszewicza:

Wszystkich chwalim, iż dobrzy, i świeccy i księża —
Jednak giniem bez skarbu, rządu i oręża!

albo:

Bo w Polsce złota wolność pewnych reguł strzeże:
Chłopa na pal, panu nic, szlachcica na wieżę —

już to złotej wolności nikt tak nie nienawidził, jak Naruszewicz. A któż feminizm polski lepiej wyraził, niż Krasicki:

Czegóż płeć piękna kiedy nie dokaże?
Mimo tak wielkie płci naszej zalety,
My rządzim światem a nami kobiety!

Ale takie ostre dźwięki są wyjątkowe (najczęstsze u Naruszewicza, który saskiej zamaszystości szczególnie w języku i obrazowaniu się nie wyzbył); z reguły cała ta poezja dworska jest salonowa, ugrzeczniona. Dwory saskie na kulturę umysłową niczem nie wpływały, tem silniej zato Stanisławowski. Jego grzeczność, układne maniery, wyszukane słownictwo (najczęściej francuskie przecież!) oddziaływały na Warszawę i na prowincję; rubaszność sarmacka stawała się anachronizmem; tą grzecznością pobijali Polacy obcych; taki Marcin Badeni, choć żadnego obcego języka nie umiał, przez nią aż w przysłowie wszedł (grzeczny jak Badeni); ta grzeczność dworska, którą wyróżniali się jeszcze w XIX w. ludzie Stanisławowscy, odbiła się i w poezji. Czy można grzeczniejszą pomyśleć niż Krasickiego? Czy kto kiedy grzeczniej, dowcipniej, trafniej schlebiał, niż książę-biskup królowi (we wstępie do *Satyr*)? Grzeczność dyktowała Karpińskiemu wiersze nawet dla Repnina i Koszelewa. Więc dola-niedola ludowa pozostała tej dworskiej poezji obcą.

Grzeczność jednak nie wykluczała bynajmniej przestrogi, nauki, moralizacji, zdobywała się nawet na obrazki rodzajowe, takie np. jak słynny *Chudy literat* Naruszewicza, który jeden całą dawną mizerję literacką z niezrównaną werwą wystawił, a dostało się przytem i różnym stanom; oto ich jedyne zatrudnienia:

Szlachcic pali tabakę lub łyka przy stole;
Dworaczek piętą wierci; żołnierz myśli, kędy
Karmnik z wieprzem, ser w koszu a z kurami grzędy (!);

Pan suszy mózg nad tuzem i wymyśla mody;
Kobieta u zwierciadła... gdy starsze przywędrują lata,
Cudzą sławę nabożnym językiem umiata i t. d.[1]

Ks. Michała Krajewskiego *Wojciech Zdarzyński, życie i przypadki swoje opisujący* (1785) powtórzył całkowicie *Doświadczyńskiego;* 1786 r. wydał Krajewski i *Panią Podczaszynę,* niby ciąg dalszy Zdarzyńskiego (to jej brat), niby odpowiednik *Pana Podstolego,* bo Podczaszyna oprowadzała brata po całem swojem wzorowem gospodarstwie, ujmując się żywo za dolą ludu (o co Krajewskiemu bardzo chodziło); wyprzedziła tę dydaktykę (i o wychowaniu dzieci i t. p.) historja sercowa, niby coś z *Nowej Heloizy,* tylko pani nierównie cnotliwsza, boć to ksiądz pisał, więc przełamała w imię świętego obo-

[1] Nic podobnego w *Satyrach* Krasickiego, zato w *Satyrach* pijara Piotrowskiego,wydanych dopiero u pijarów warszawskich r. 1773, ale pisanych jeszcze za Augusta III; wprawdzie ton w nich silnie kaznodziejski i wiele naśladowania obcych, mimo to niektóre obrazki rodzajowe takiej próby jak *Chudy Literat,* którego Piotrowski do swoich satyr dodał. Np. satyra 29 *Na życie próżne przy kancelarji* i na szkaradną łacinę, potwierdzała, co jeszcze r. 1791 broszury przeciw adwokatom twierdziły, że ich cała bibljoteka: *Meluzyna* i *Sennik, Kalendarz z Herbarzem* i taka ich nauka prawnicza i łacina. Albo 3 *Na chwalcę próżnego dawnego gustu nauk:* do bibljoteki Załuskiego wchodzi ów chwalca, miesza Herodota z Herodem i nie może się trybu dawnych szkół nachwalić, gdzie to na *videor* dwieście propozycyj wysadzano a *per tempora per casus* praliśmy się w pyski (dowcip polegał nieraz na dosłownych tłumaczeniach: *hoc coquis quia tu* = towarzysz boty, albo *cervo ne porta si* = czerwone portasy i t. d., *coelum cancer* = nieborak, w Galicji *Himmelkrebs* tak samo i t. p.). 4 *Na obcych instruktorów, co nic nie umiejąc wszystko polskie wyszydzają:* były lokaj wiedeński pensjonat w Warszawie utrzymywał, a jego łacina! 17 *Na sprawiedliwe dekreta sędziów-ignorantów,* przykłady z Wielunia i Wąsosza (nie mamy przeciw tobie przysięgi, ale chcąc się ciebie pozbyć, a że ty i tak po torturze nie wyzdrowiejesz, na śmierć cię skazujemy!). W 18 surowe groźby przyszłego potopu, co Polskę zniesie, wszystko dla owej niecnej równości, opowiada sceny sejmikowe, jak pijany za nic marszałka wypoliczkował, o co do szabel się biorą i t. d. Poezji i sztuki nie było tam ani krzty, ale prawdy sporo i życia.

wiązku początkowy wstręt do męża i nawet śmiercią jego zwolniona nie wyszła za dawnego kochanka, lecz córkę za niego wydała — nierówne bardzo (co do wieku) małżeństwa były nadzwyczaj częste.

Z powodzi tłumaczonych powieści (nad dwieście numerów) wystaje tych kilka «oryginalnych», ależ i *Podolanka wychowana w stanie natury* tegoż ks. Krajewskiego mimo krajowego tytułu cała francuskiego pochodzenia, niby z *Emila* Russa i dała powód do polemiki literackiej. W rosyjskiej literaturze stosunek jeszcze wiele gorszy, nie posiadała ona nawet *Doświadczyńskiego* i in. Czemu to przypisać? Że odczuwano potrzebę i pożytek powieści (bo i o to spory teoretyczne toczono), dowodziły liczne przekłady wszelkich możliwych francuskich (był i *Djabeł Chromy* i in.), ale to wszystko prace wyrobników i wyrobnic literackich, niemasz między niemi znaczniejszych nazwisk. Kto takie posiadał, nie zniżał się do prozy, lecz wiersze piastował, nie znał bowiem kanon literacki, od Greków i Rzymian *(de arte poetica)* aż do Boileau, gatunku powieści. Więc pisano nawet dramaty bez krzty dramatycznego talentu (popełniał je nawet Naruszewicz, Konarski i in.), a stroniono od powieści i było zasługą Krasickiego, że taki mocarz pióra odwiązał powieść od pręgierza rzemiosła, a wniósł ją do poziomu sztuki, choćby na razie głównie moralizującej.

Wiek Stanisławowy w literaturze, to przedewszystkiem wiek tłumaczeń: wobec setek tłumaczonych powieści czy komedyj stawał jeden procent oryginalnych; łatwiej to było i wygodniej, lecz nie pożyteczniej. To nie dufano własnym siłom, co w komedji, wobec braku wszelkiej tradycji domowej, łatwiej zrozumiemy; to rodzaj sam (powieści!) był zbyt świeży (wobec niepiśmiennictwa saskiego); to starano się w jak najkrótszym czasie doścignąć obcych, włączając ich dzieła do piśmiennictwa własnego. Wybór nie bywał zawsze trafny, bo wobec braku krytyki przypadek rządził, a zbyt był jednostronny, bo tylko Francuzów

uwzględniano, przecież tłumaczeń Greków, Anglików, Hiszpanów, Niemców nawet (np. Gessnera), nie z oryginałów, lecz z tłumaczeń czy przeróbek francuskich (względnie łacińskich) dokonywano; Dmochowski tłumaczył *Iljadę*, Krasicki Plutarcha, Lukjana, Ossjana z francuskiego czy z łaciny; greki nie umiano, jedyny Przybylski w Krakowie, nadzwyczaj pilny lecz mało szczęśliwy znał więcej obcych języków. Wyliczać tych tłumaczeń nie sposób; wysuwali się śród nich pisarze drugorzędni, np. Marmontel[1] lub pani Genlis, nie mówiąc o wcale obskurnych; brakowało Russa, Bernardina de S. Pierre i in. Dzieł estetycznych było niewiele; jedyny niemal Karpiński wymagał oryginalności (*O wymowie w prozie albo w wierszu* 1782); ks. Golański, *O wymowie i poezji* 1786, powtarzał Francuzów (Batteux).

PASZKWILE

Obok literatury drukowanej, chociaż dla różnych przyczyn przeznaczone dla niej dzieła ukazywały się nieraz zbyt późno, w XIX wieku, istniała bogata niedrukowana, aż nader aktualna, powstająca z chwilą i z nią ginąca, którą trzeba wydobywać z rękopisów; niepowściągliwa w słowie, napastliwa, szydercza, brak talentu zastępująca choćby obelgą. Zaczęło się to «poezją» konfederatów barskich, a skończyło pamfletami Niemcewiczowemi na Targowicę. O religijnej poezji barskiej zob. wyżej, ale to tylko jedna, chociaż najsympatyczniejsza jej strona; szczegółom walk, klęsk i rzadkich powodzeń towarzyszyły śpiewy «kondraków», którzy nie mogąc bronią, razili wierszami dysydentów, Moskali i króla.[1] Forma ich saska, t. j. bardzo prymitywna,

[1] Cała ich spuścizna literacka leżała w ukryciu przez długie lata; nieco z niej ogłosił K. Sienkiewicz w *Skarbcu historji polskiej* r. 1840, a *Książeczka do nabożeństwa* (Paryż 1845), religijną objęła; dopiero r. 1928 zebrał ją K. Kolbuszewski w *Bibljotece Narodowej (Poezja barska)*.

myśl naiwna, ale dyktowało je niekłamane uczucie patrjotyczne; psy wiesza na dysydentach, Grabowskich i Golcu, ale nie przepuszcza też prymasowi, Podoskiemu, zmarłemu w Marsylji, i jego «Emkini» i biskupowi inflanckiemu Giedrojciowi. Nadawały się mało do propagandy ulicznej dla rozwlekłości, np. taki *Sen na jawie,* wywodzący kilku świeżo zmarłych dygnitarzy przed Bogiem, aby się usprawiedliwili, zwalających winę na innych; co do tonu wystarczy przytoczyć końcowy dwuwiersz z nagrobku kalwina Bronikowskiego, powieszonego za szpiegostwo:

Psiej wiary są kalwini, więc ten niechaj mają
Zaszczyt, gdy na gałęziach jak psów ich wieszają;

dysydenci nie milczeli, jak dowiodła *Muza dysydencka,* na której «bluźnierstwa» znowu katolik odpowiadał. Ciekawsze były ogólne lamenty i treny nad Polską i jej nierządem; w bardzo popularnym *Opisaniu Polski w krytycznych czasach* były pytania i odpowiedzi, np. «W co Polska obfituje? W szambelanów bez służby... w generałów bez regimentów, w oficyjerów bez wojska, w szlachtę bez herbów, w teologów bez wiary, w zabójców bez kary, w matki bez mężów, w rozwody bez przyczyny, w cudzołożców bez skrupułów» i t. d. Winę zwalano na króla, ale znalazł się i dla niego obrońca. Najobszerniejsze są t. zw. *Stacje konfederackie,* opis 31 stacyj, jakiemi konfederatów z Krakowa, złamawszy dane im słowo, do Kijowa pędzono.

Wyprzedziły je paszkwile, sypiące się od śmierci Augusta III jak z rogu obfitości; jeden z najobszerniejszych, to *Cnota uciemiężona, wolność obarczona, komikotragedja, scena w Warszawie w pałacu maskowym;* w maskach występują król (Despot), Perekińczyk (Podoski, prymas), Sobiebierski (Wessel, podskarbi) i in., im przeciwstawieni Wielkomyślski (ekskanclerz Zamoyski) i wywiezione ofiary Repnina; kończy monolog dumnego z swego zwycięstwa Podoskiego, spieszącego za dozwoleniem Repnina do swojej Emkini.

Wyżej wzniósł się, był dowcipniejszy i dotkliwszy paszkwil

w latach następnych, za Sejmu Wielkiego wzrósł zaś do potęgi, a rej wodził Zabłocki, zamieniwszy komedje, które nie były wcale satyryczne (bo wszelkie aluzje polityczne były wykluczone), na pamflety. Był on niby uczniem Węgierskiego, który dla swej młodości jeszcze nie wyrósł na cynika (jak Trembecki), chociaż zadatki były po temu; przedwczesna śmierć przerwała ten rozwój. Jak Trembecki próżniak, tak Węgierski gorączkowo czynny; przekłady, przeróbki, listy, satyry, paszkwile goniły jedne drugie, póki był w Polsce. Drukował on wiele, więc do tej literatury, o której tu mowa, nie należał, ale właśnie to, co tylko w odpisach krążyło, o jego losie rozstrzygnęło i mówiąc o Węgierskim, o tem się głównie myślało. Rozwijał się szybko; od pierwszych, napuszonych prób w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* do późniejszych *Listów* i *Wierszów* drogę przebył rychło, nie odmienił jednak wyzywającego tonu zarozumiałego o sobie młodzika i tem oczywiście ludzi drażnił, a sobie szkodził. Zaczepiał z lubością religję, dogmaty, księży; «Puselka» była mu ideałem, Woltera czcił i naśladował jak żaden inny poeta; nowy Stańczyk kropił biczykiem w prawo i lewo, zaczynał komplementami, a kończył szyderstwem. Nie szczędził i braci na Helikonie, wykpiwał ich panegiryki wierszowane, wedle których losy kraju od jakiejś głupiej pary, co ślub właśnie wzięła, zawisnąć miały. Prałatom, senatorom dogryzał; swoich *Organów*, gdzie *Pulpit* Boileau przepolszczał, t. j. wedle mody ośmnastowiecznej wstawkami z polskiej rzeczywistości (dosyć zabawnemi) rozszerzał i zabarwiał, może nie miał zamiaru drukować (przyjaciel to 1784 r. wydał). Pisał i bajki, jak wszyscy inni, ale nie zachowywał właściwego dla nich tonu; wychwalał swoją bezinteresowność, godzenie się z losem ubogim («żyję bez białego chleba i bez kosztownego mięsa», t. j. bez kobiet) i zastrzegał się, że nie tykał osób, lecz wady i nałogi (tu się z prawdą daleko rozminął) i inne sobie przypisywał cnoty; wiele rezonował, mało kształtował (w satyrach), zato folgował temperamen-

towi w paszkwilu. Np. w *Sądzie czteru ministrów* (naśladowanym z barskiej satyry), najniepotrzebniej z «gali» niebieskiej szydził, aby się do kanclerzy i podkanclerzy zwrócić; z trzema rozprawił się jako tako, ale na Młodziejowskiego kadź obelg wylał. To znowu rozdrażniony przez głupiego pięciu Izabel chwalcę, wystawił *Portrety* ich «bezstronnym pendzlem malowane», nielitościwie je smagając; ponazywał je słusznie: intrygantką, plotkarką, «Penelopą razem i niewierną», miłosierną (szydząc). Nie oszczędził i króla:

Gdybym był kiedy królem, nie byłbym tak słaby,
Nie rządziłby mną Moskal, faworyt ni baby...
Wiernej mojej ojczyzny nie darłbym, nie łupił,
Bym z niej który Belweder lub Łazienki kupił,
Nie dawałbym orderu, tylko za zasługi,
Byłbym więcej oszczędny, nie znałbym, co długi;

dostało się i muzykowi Ogińskiemu (któremu niedawno schlebiał) i brzuchatemu Tyszkiewiczowi:

Gdybym ja był hetmanem, to jeżdżąc po świecie,
Nie chciałbym na koncertach grać na klarynecie;
Nie dąłbym się mym brzuchem, gdybym miał łeb pusty.

Nie pominął nawet obiadów czwartkowych, do których go nie proszono,

Gdzie połowa nie gada, a połowa drzemie,
W których król wszystkie musi zastąpić ekspensa,
Dowcipu, wiadomości i wina i mięsa.

Żaden ówczesny poeta nie mówił tyle o sobie, co on, nie zwierzał się coraz tak otwarcie, żaden też tak otwarcie nie napadał na ludzi.

Inny poeta w szesnastu słowach szesnastu ministrów ociął:

Wędzikiszka, hołota, szubienicznik, cnota,
Ślamazarnik, gawęda, filut, rewerenda,

Sardanapal, bogacz, intrygant, rogacz,
Pijak, klarynecista, basałyk, psalmista,[1]

wiersze mają nawet rym wewnętrzny.

Inne, święte oburzenie wiodło piórem Zabłockiego, który też nie obwijał w bawełnę, donosząc np. publice:

Jestem teraz w robocie pisania żywotów
Wszystkich naszych łajdaków, szelmów i huncwotów...
Ja zaś wtenczas skuteczną pochlubię się pracą,
Gdy się z wstydu choć jeden obwiesi ladaco...[2]
Kiedy widocznie idą na ojczyzny zgubę,
Ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę.

Najsrożej dopiekał Branickiemu, a gdy ten obiecał nagrodę za wydanie paszkwilanta, odpisał:

Zdrajco własnej ojczyzny, nie godzieneś tej ziemi...
Straszydło, jak śmiesz rękę cnotliwego cenić!
Nie lękam ja się zdrady, Polak mnie nie zdradzi;
Co tylko było zdrajców, to z twojej czeladzi i t. d.

Najwięcej wrzawy wywołała sprawa elekcji (*sielekcją* nazywał ją szlachcic-mazur Jagodziński, troskliwy o ośmiu swych synów, których do palestry wszystkich przeznaczał, w rozmowie z poczty ljonem w pisemku *Trąbka pocztyljona* i t. d. 1790 r.). Podniósł ją hetman polny kor. (co o hetmaństwie pojęcia nie miał) Seweryn Rzewuski w broszurze r. 1789 *O sukcesji tronu w Polszcze rzecz krótka,* gdzie zapewniał: «Uderzony o łóżko chorobą gdy czynny dla Ojczyzny mojej być nie mogę (ależ on dla niej nigdy palcem nie ruszył, pobierał tylko za nic wysoką

[1] Podskarbiowie (kor. i lit.), St. Poniatowski, Dziekoński, Poniński, Kossakowski; marszałkowie: Mniszech, Gurowski, Raczyński, Potocki (miał zostać księdzem); kanclerze: Sapieha, Małachowski (Jacek, brat marszałka sejmowego Stanisława, posiadał fabryki, i t. d.), Garnysz, Chreptowicz; hetmani: Branicki Ksaw., Ogiński, Tyszkiewicz, Rzewuski.

[2] Archiloch polski pomylił się, bo żadna z jego ofiar się nie «obwiesiła», inaczej niż Lykambe; nie pomylił się, bo niejedną z nich powieszono.

pensję), szukam jej być przynajmniej pismem usłużnym». Ładna usługa! on wierzył ślepo, jak ojciec (równie zasłużony hetman, tym razem wielki kor.) w cztery słupy nierządu polskiego: wiara jedna, elekcja, buława, *liberum veto;* jego broszura, pełna sofizmatów, dowodziła, że to wszystko obowiązywało w Polsce od Lecha począwszy i było z tem wszystkim dobrze! Broszura «potargała tyle piór, żeby można z nich zrobić wygodny materac dla spracowanej tylą pismami prawdy» (ks. Jezierski, zob. niżej). Między pismami za i przeciw odznaczył się Zabłocki wierszem p. t. *Joannes Sarcasmus,* gdzie kilka broszur przenicował; zgóry potraktował i słusznie pana hetmana, który bronił elekcji jak wszyscy magnaci, bo

Gdyby nie bezkrólewia, te dla was jarmarki,
Na których za tron, starostw robicie frymarki,
Jeszczebyś i ty, co się dziś nazywasz panem,
Musiał dobrze zapocić nad dziadowskim łanem...
Na chlebie to tak wierzgasz, chleb to dał ci rogi.

Najsrożej obszedł się z Turskim, broniącym również elekcji; przytaczał skrócone wyjątki jego pisma i wysyłał do domu poprawy, tam

Dadzą ci pięćset rózeg, dobranych bez braku,
A że i głupstwo ze złą połączyłeś wolą,
Osadzą cię za kratą i głowę ogolą.

Parę set zagadek rozmaitych piór poświęcono charakterystyce dygnitarzy i posłów Wielkiego Sejmu, szyderczych czy pochlebnych, np. na biskupa inflanckiego Kossakowskiego:

Biskup przystojny, mówca zabawny,
Kursor wyborny, gracz w wista sławny,
Intrygant zręczny, podszyty cnotą,
Króla i naród odda za złoto.

Podobne paszkwile psuły dworakom krew, więc się szambelan królewski (Trembecki) na nie niesłusznie obruszał, zarzu-

cając im brak zdolności (Węgierskiego przestrzegał przed kijami!):

Co was dziś do pisania złych wierszy zapala,
Godni wieszczkowie Jasnej Góry i Sokala?...
Albo powiększcie talent, dotąd jeszcze słaby,
A nie skrzeczcie tak głośno, Helikonu żaby...
Są to znaki wścieklości i mózgu choroby,
Czernić węglem złej sławy najpierwsze osoby:

niestety, nie czernienie to było, lecz prawda bolesna. Zabłocki, *Do niektórych chluby*, szydził i z uchwały stotysięcznego wojska na papierze·

Stanęło sto tysięcy wojska, Bogu chwała!
Teraz to będzie Polska po Europie brzmiała!
Stanęło sto tysięcy wojska; są żołnierze
Bogu chwała! Gdzież oni? gdzieżby, na papierze!
Dajmy na wojsko.. wszystko... połowę mniej więcej,
Bogu chwała! Już i żołd jest na sto tysięcy.
Jedni płaczą, drudzy się śmieją rozrzewnieni.
Są miljony. Gdzież są? W każdego kieszeni!
Nikt nam przeczyć nie będzie ni rządu ni męstwa,
Ni wspaniałości... prawda, ni krzywoprzysięstwa [1]
Odtąd bać się nie będziem pamiętnych nam gości!
Jest obrona! W kim? Pewnie w Boskiej Opatrzności...
Samochwalcy, niechaj was Opatrzność nie mami!
Niech się nie na was prawdzi, że Bóg za durniami.

Z zagadek Zabłockiego wyzierała i Izabela Czartoryska (owa «Penelopa» Węgierskiego):

Żona niegodna; matka jaka taka;
We wszystkiem zmienna, lecz w zemście jednaka,
W chlubną przebrana postać patrjotki, [2]
Braci, ojczyznę przez swe jątrzy plotki;

[1] Nie brakło wówczas napomknień o fałszywych przysięgach przy zeznawaniu dochodów dla dziesiątego grosza, co i Staszyc powtarzał; *gości*, t. j. Moskali.

[2] Przy odgłosie trąb i kotłów obcięła pani generałowa podolska długie włosy Kaz. Sapieże, marszałkowi (litewskiemu) Sejmu Wielkiego, gdy

przeor maltański Adam Poniński:

Zgadnijcie proszę taką tajemnicę:
Stopniami temi kto szedł przez swe życie?
Minister, książę, przeor, patrjota,
Złodziej, wykrętacz, pijak i niecnota;

napis grobowy brzmiał zaś:

Przechodniu, tu ja leżę przywalony głazem,
Adam Łodzia Poniński, pierwszy z domu książę.
Kędyż, spytasz, Branicki, co z tobą kradł razem?
Przebóg, niechaj cię próżna ciekawość nie wiąże!
Żyje. Alboś nie czytał starodawnych dziejów,
Że możni zawsze golych[1] wieszali złodziejów?

Nie dawał się Zabłocki łudzić pozorom; Kaz. Sapieha, strasznie niezrównoważony warchoł, był nader popularny; król cenił jego talent, przeczył temu Zabłocki:

Chyba się złość i podstęp talentem zwać mogą,
W tem równego Sapieże nie widzę nikogo,

i stawiał na równi z wujem Branickim:

Sapieho, któż cię wychwali,
Wart swego wuja siostrzeniec,
Straszliwy gromco Moskali,
Bóstwo głupców i kochaniel...
Uczyń jeszcze krok ostatni:
Trzeba, żebyś jak wuj zdradził,
Jak on, zbroczył miecz w krwi bratniej.
Wspieraj, łając, Potemkina,[2]
Wszak cel nie wprzód się odkryje,

---

powrót do narodowości i kasowanie cudzoziemców upatrywano we łbie wygolonym i kontuszu.

[1] Poniński «goły», bo zbankrutował i wiele fortun prywatnych za sobą pociągnął, i stąd wielką nienawiść zdobył; więc pisał Zabłocki:

Adam stracił, więc winny; Ksawery nazbierał.
Sądź Ksawery Adama; czas żeby umierał;

Branicki należał do sądu sejmowego nad Ponińskim, sam równie winny.

[2] Sapieha zdobył popularność najpierw urządzając demonstracje antyrosyjskie; na Ukrainę czyhał Potemkin. Plotki pomawiały króla o oj-

Aż odpadnie Ukraina;
Wie wujaszek, w ręce czyje.

Najsrożej odciął się Zabłocki kasztelanowi Jezierskiemu, gdy ten za jego paszkwile na Branickiego domagał się sądu karnego:

To tobie wolno, błaźnie, błazna z błaznów plemię,
Bluźnić Bogu, lżyć króla, zdradzać swoją ziemię,
A ręce cnotliwego za uczciwe pióro
Masz zuchwale odgrażać palem i torturą?
Hola błaźnie! ta ręka, Bóg moja nadzieja,
Skoro nie twoja, zatem nie ręka złodzieja!

Na wsze strony uderzał Zabłocki, pierwszorzędny pamflecista, gdzie tylko dostrzegał braki, marnowanie czasu i t. p., np.:

I twój Butrymowiczu talent źle użyty.
Pytam, czem nam nadgrodzisz stracone godziny,
Gdyś dowodził niezmiernych szkód Rzeczpospolitej
Z krótkiej nadto odzieży, z długiej zbyt czupryny.

Odtąd zamilkł Zabłocki i pożegnał tak dramat, jak satyrę na zawsze, wstępując do stanu duchownego. Godnego zakończenia tej walki na pióra dostarczył J. U. Niemcewicz, nieprzebłagany wróg Targowicy (a później Rosji), złośliwy a dowcipny. Jeszcze przed wyjazdem zagranicę, 1792 r., parodjował odezwy i edykty Targowicy: *Forma prawdziwego wolnego rządu, przez konfederacją targowicką ułożona,* gdzie np. artykuł o chłopach brzmiał: «Żaden chłop człowiekiem nie ma być nazwany, ale panowie będą ich używać jak koni i wołów». Inny artykuł przywracał *liberum veto,* «prawdziwa bowiem wolność zależy na tem, aby jeden mógł tamować wolę wszystkich»; inny znosił Komisję Edukacyjną, która «szkodliwe w młodzieży zaszczepiła światła i *principia*», a zakon jezuitów «jako w żadne intrygi nie mieszający się i we wszystkich krajach kochany powracamy z obowiązkiem, aby uczył Alwara i trochę arytmetyki, nie ważąc się dawać

costwo Sapiehy; on się czuł prawowitym Sapiehą już wskutek tradycyjnej u Sapiehów nienawiści, jaką pałał przeciw królowi.

innych nauk jako szkodliwych prawidłom narodu naszego targowickiego»...; «surowo zakazujemy, aby nikt historji nie pisał». Z równem szyderstwem, przypominającem nieraz Szczedrina-Sałtykowa, opowiadał o stworzeniu świata targowickiego przez Szczęsnego: *Fragment biblji targowickiej, Księgi Szczęsnowe:* w drugim dniu niech wszelki rząd i wszelka sprawiedliwość ustaną... niech drukarnie przestaną drukować, a ludzie niech przestaną mówić, czytać, pisać i myśleć. «I nazwał to Szczęsny wolnością». Mniej szyderstw, więcej bolu zawierały dłuższe wiersze *Na hersztów targowickich:*

gdy Polak zbyt dobry sztyletem się brzydzi,
Niechaj czyny ich głosząc, światu ich ohydzi,
Niech powie, że zgubili ojczyznę kochaną!

Obrona wojska moskiewskiego w Polszcze Iwana Wasilewicza, oficera w temże wojsku (nie my, Moskale, winni, lecz ci co nas przywołali; dzisiaj nie my rządzimy, lecz zdrajców niecnota i t. d.); Elegja *Wiosna:* ona przyszła, lecz nie dla ojczyzny, pogrążonej w niewoli; przemawiała tu po raz pierwszy rezygnacja poety; on ujdzie z kraju, aby nie uznać gwałtu; cnotliwego męża nic nie zegnie, ale on korzy się przed wyrokiem Opatrzności, którego nie rozumie. Osobno ociął i Branickiego w wierszach: *Hetman w ogrojcu, Hetman na krzyżu między Sapiehą i Suchodolskim, Ewangelja o Branickim, Psalm tegoż na Wielki Piątek.*

Trawestacje tekstów świętych były w modzie już od XVI wieku; teraz namnożyło się ich do woli, np. «Ojcze nasz, któryś jest w Wiedniu, Petersburgu i Berlinie, święć się imię twoje w tamtych krajach, wyjdź królestwo Twoje z naszej Polski» itd.; albo: «Wierzę w jednego Boga, Stanisława» i t. d.; albo «Zdrowaś Maryja Teresa, łaski Pańskiej pełna, Fryderyk z Tobą» itd., albo: «Wierzę w Katarzynę imperatorową całej Rosji, i w Fryderyka, syna jej jedynego, który się począł z ducha wojennego, urodził się z nieostrożności polskiej» i t. d. To już nie dawna bezzębna satyra, co «zamiast poprawić, jeszcze zabawi łajdaka»

i w żadnej epoce nie rozlało się takie morze żółci i jadu — ależ i czasy i ludzie byli po temu; wszystko napraszało się na docinki, nawet sejm «tańcujący» (tak nazwał go Hailes i słusznie), i rozgadany, gdzie nieraz tylko jedna trzecia posłów była obecna.

PUBLICYSTYKA

Brak czasopism i dzienników za czasów saskich tłumaczył się zastojem życia politycznego i umysłowego. Były wprawdzie partje i stronnictwa, ale zwalczały się intrygami, gwałtami, przekupstwem na sejmach, sejmikach, trybunałach, przenigdy ideowo; boć przeciwnych sobie poglądów na świat nie było; chodziło o osoby, nie o hasła; o literaturze (oprócz kalendarzowej), teatrze i sztuce nie było i mowy, zagranicznych związków nie uprawiano, więc nie odczuwał nikt braku publicznego głosu wolnego. Raziło to obcych, Niemców, i oni (Mitzler de Kolof, Friese) próbowali wydawnictw perjodycznych we wszystkich czterech językach «krajowych», lecz żadne nie zdołało przebić muru obojętności ogółu; prawda, że i wydawcy nie umieli go wzruszyć; nawet przykład miast pruskich (*Thornische wöchentliche Nachrichten* i in.), pozostał bez wpływu. Pierwsze czasopismo polskie o wybitniejszym kierunku politycznym i myślowym, wydawane przez ks. Adama Czartoryskiego, w interesie partji reformy, czartoryskiej, z r. 1763 nie ustaliło się również, ale już r. 1765 (w marcu) podjął się jezuita Bohomolec wraz z innymi pracy wydawniczej i nowy *Monitor* (pismo najpierw tygodniowe, niebawem dwa razy w tygodniu wychodzące na kartkach półarkuszowych), utrzymywał się do r. 1784.[1] Było to

[1] *Monitora* księcia Adama wyszły tylko cztery numery, czy to, że zapał księcia ostygł, czy to, że jawna jego reformatorska dążność raziła czytelników. *Monitora* Bohomolcowego, nie występującego równie jawnie z tą samą dążnością, przyjęto życzliwiej; pierwszy numer trzykrotnie odbijano na nowo; pierwsze dwa roczniki przetłumaczył Mitzler na nie-

czasopismo «moralne», na wzór angielskiego *Spektatora,* wydawanego przez Addisona w początkach wieku, tłumaczonego i naśladowanego w całej Europie (w Rosji wcześniej nieco niż u nas), a mającego na celu umoralnienie jednostek. W *Monitorze* warszawskim brała udział elita piszących, np. cały rocznik 1772 był pióra Krasickiego, tłumaczącego *Spektatora;* od roku 1777 wzmogła się nawet zawisłość od obcego tekstu (w tłumaczeniu francuskiem). *Monitor* nie sadził się na artykuły oryginalne, przeważnie tłumaczył sposobem XVIII wieku, t. j. nigdy oryginału wiernie nie powtarzał, przystosowywał artykuły angielskie do środowiska polskiego. Poruszał i kwestje polityczne, wymagał silniejszego rządu, większej władzy królewskiej, uszanowania prawa, ukrócenia złotej wolności, uznania większości głosów, pomnożenia wojska, ale z zasady chodziło o poprawę obyczajową. Zwalczał więc pijaństwo i karciarstwo jako główne wady, potem także wszelkie inne, np. próżniactwo, modnisiostwo (plotkarstwo, obmowy króla i ministrów), i t. d. Często używał formy listów, stosowanych do redakcji przez obrońców alkoholu i in.; radykalniejsze myśli o poprawie rządu włożył w usta Chińczykowi, zwiedzającemu niby Polskę r. 1759 naśladując *Listy perskie* Monteskjusza; tłumaczył sprawozdanie Daniela Bobinsona, Anglika, opisując nieznany Europie kraj Nolopja (Polonia) z dosadnemi zwrotami, o poważaniu w niem cudzoziemców (i to jakich!), o pustocie głów, o cenie honoru (pojedynkomanja, dla której Jeziorna pod Warszawą była stałem miejscem spotkań jako zostająca już poza obrębem władzy marszałkowskiej), o polorze obyczajów, spływającym od godnie urodzonych na podłych, o miłości ojczyzny — ale w uściech tylko, o wojownikach z wielkich rodzin (bez żadnego innego tytułu do tej godności — wszyscy Rzewuscy, Ogińscy i t. d. tu należeli); czerpał z dawnej literatury domowej, np. z *Małpy-*

mieckie, wyrażając się najpochlebniej o piśmie i jego wpływie dobroczynnym (Br. Gubrynowicz w *Studjach Staropolskich,* 1928, 533—576).

człowieka, z obcych, tłumacząc wiersze demokratyczne (np. Thomasa, Popa i in.). Zwalczał panegiryzm jako najniebezpieczniejszą między chorobami umysłowemi; fanatyzm, ujmując się za różnowiercami; wygórowane mniemania o szlachectwie; ospalstwo duchownych, unikające książek, bibljotek; zapędzał się nawet do porady zniesienia celibatu i gorszył tem wszelkich «prawowiernych». *Monitorem* przysłużyli się Bohomolec i współpracownicy może więcej rozwojowi kultury nowej niż np. komedjami obyczajowemi, które nie zbyt wielu ściągały widzów. Mniej jednak polityką, głównie moralizacją zajmował się ten tygodnik; rzeczy literackich natomiast, estetycznych, teatrów i t. d. dotykał rzadko. Źródłem jego poglądów był nietylko Addison, ale i Montesquieu i inni Francuzi. *Monitor* był niby pierwszym taranem, rozbijającym mury uprzedzeń i przesądów, a czynił to w formie przystępnej, bawiąc oświecał; literaturze pięknej (wierszom i t. p.) mało udzielał miejsca.

Nierównie obfitsze miejsce znalazła zato literatura w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych,* wydawanych od r. 1769—1777 tygodniowo przez ks. Albertrandego, a potem przez Naruszewicza, z licznemi wierszami oryginalnemi spółczesnych literatów, Jakubowskiego, Minasowicza i in., a jeszcze liczniejszemi przekładami.[1] Inne próby zawodziły; *Uwagi tygodniowe warszawskie* z r. 1768 miały służyć i ekonomji, lecz nie utrzymały się, jak również *Zbiór różnego rodzaju wiadomości z nauk wyzwolonych, filozofji i t. d., do pożytku i za-*

[1] *Zabawy* były niemal organem towarzystwa «mądrych» obiadów czwartkowych, bo przynosiły o nich referaty; tam «zaczynały się przed obiadem rozmowy o umiejętnościach i kunsztach»; Naruszewicz zagajał je «przyjemno-zabawnemi rozprawami»; po obiedzie rozpoczynały się na nowo rozmowy uczone, w których szczególniej król brał udział (pijący tylko wodę); wymagał król od Wybickiego materyj prawniczych, u nas nie lubianych, tak że go beletryści «z przykrością słuchali — nie mógł im przecież powiedzieć, że nam nie tak Horacjuszów jak Likurgów potrzeba». *Zabawy* dawały także poważne artykuły polityczne i ekonomiczne.

bawy publicznej służący z r. 1770, gdzie beletrystyki nie brakło, a polemika z Wolterem dowodziła, jakiego rozgłosu i wpływu burzyciel wiary i historji już zażywał; był nawet opis jakiejś Utopji, wyspy szczęśliwych, rządzących się zdrowym rozsądkiem, bez zbytków, mody, nierówności stanów i wychowania.

Znaczące stanowisko zajął dopiero ks. Piotra Świtkowskiego *Pamiętnik historyczno-polityczny, ekonomiczny* i t. d., wychodzący miesięcznie od r. 1782, stłumiony przez Targowicę 1792 r. To był wpływowy organ postępowców; on przygotowywał grunt pod reformy Sejmu Wielkiego, szedł znacznie dalej w swoich żądaniach i projektach, wywoływał protesty, np. ks. eksjezuity K. Wyrwicza, *Promemoria Pamiętnikowi,* głównie dla jego liberalizmu w rzeczach wiary; inne beletrystyczne wydawnictwa ks. Świtkowskiego (*Magazyn warszawski* 1784 i 1785, *Zabawy obywatelskie* 1792 i 1793) nie miały równego powodzenia. Wyróżnił się nowemi poglądami wychodzący od r. 1786 *Dziennik handlowy* Podleckiego z korespondencjami z całego kraju, tablicami statystycznemi i t. p.; dopiero te wydawnictwa Świtkowskiego i Podleckiego przynosiły artykuły fachowe o polityce cłowej, ruchu wywozowym i przywozowym, o cenach na targach krajowych i t. d. i były, szczególniej *Dziennik,* krzewicielami nauki ekonomicznej, chociaż nie hołdowały wyłącznie jednemu systemowi, czy fizjokratyzmowi czy kameralizmowi.

Oprócz miesięczników i tygodników zaczęły się zjawiać dzienniki, pierwszy między niemi eksjezuity Łuskiny *Wiadomości warszawskie,* odmienione rychło na tytule w *Gazetę warszawską,* od roku 1774, organ skrajnie wsteczny, wychwalający i Rosję i Prusy, bo nie uznały kasacji jezuitów. Łuskina wyrobił sobie monopol i ubijał nim każde spółzawodnictwo; dopiero za Sejmu Wielkiego młodzi patrjoci, Niemcewicz, Mostowski, Weyssenhof, założyli nie zważając na protesty Łuskiny, dziennik liberalny *Gazeta Narodowa i Obca,* który jednak r. 1792 Targowica jako szkodliwy zniosła; Łuskina wyzywał stale na to «kontra-

bandowe» pismo, nawet wierszami toczono polemikę. Rok 1794 wywołał liczne dzienniki patrjotyczne, np. *Gazeta narodowa wileńska; Gazeta obywatelska i patrjotyczna warszawska; Gazeta krajowa* (czyli: *wolna warszawska*, później *Gazeta warszawska)*, lecz te nie przetrwały powstania. Ani liczbą ani rozmiarami nie mogły te dzienniki równać się z zagranicznemi; wręcz szkodliwą dla swojej tendencji była gazeta Łuskiny, słusznie trapionego przez spółczesne paszkwile; zwalczał on liberalizm pod każdą postacią, masoństwo jak wolterjanizm i t. d. Na prowincję te wydawnictwa rzadko dochodziły; król kazał czasem zakupić parę set egzemplarzy i rozsyłać dygnitarzom miejscowym.

Większego nierównie znaczenia, niż czasopisma i dzienniki, nabrały książki i broszury, poświęcone reformie sądowej i politycznej, społecznej i obyczajowej, pojawiające się w bardzo nierównej mierze, rzadkie w pierwszem dwudziestoleciu rządów Stanisławowych, masowe w ostatniem dziesięcioleciu, poczem zupełnie zamarły.

Jak w każdym dziale kulturalnym należała się inicjatywa i tutaj królowi, zapatrzonemu w zagranicę, gdzie powszechnie pracę kodyfikacyjną rozpoczynano albo kończono ; wzywała do niej u siebie i Katarzyna II swoim słynnym na cały świat *Nakazem* i zjazdem delegowanych do ułożenia praw. Już od r. 1772 zachęcał król ludzi bardziej zbliżonych do ustanowienia «porządku w nauce prawa cywilnego i założenia zgromadzenia prawnych ludzi», a sejm 1776 r. dał się mu nakłonić do wygotowania zbioru praw sądowych i jednogłośnie przyjął podanego przez króla ekskanclerza Andrzeja Zamoyskiego jako głównego redaktora. Pod skromnym tytułem *Zbioru*, t. j. uporządkowania istniejących «praw sądowych» i «ulepszenia sprawiedliwości» planowali i król i Zamoyski rzeczy nierównie większe, polityczne i społeczne: wzięcie w ryzy duchowieństwa, a polepszenie losów «poddaństwa». Odcięto apelację do Rzymu: sąd krajowy z nuncjuszem na czele miał w ostatniej instancji rozstrzygać; *breve*

papieskie wymagały *exequatur* rządowego; zakony miały podlegać biskupom; granica wieku przy ślubach wieczystych miała być podwyższona; darowizny majątkowe dla duchowieństwa przeniesione na Komisję Edukacyjną i t. d. O reformach co do chłopów zob. wyżej. Nuncjusz papieski, Archetti, zmobilizował natychmiast duchowieństwo i wstecznikow tak, że król obawiając się widocznej porażki cofnął wydrukowany projekt Zamoyskiego od sejmu walnego (gdzieby niechybnie *veto* było zaszło) 1778 r. do następnego 1780 r.

W komisji pracowali obok Zamoyskiego, biskup płocki Szembek, podkanclerzy litewski Chreptowicz, a układał tekst «prusak» Wybicki; Zamoyski wezwał całe społeczeństwo do nadsyłania uwag i projektów i posypało się ich mnóstwo, duchem swoim nie wieszczące nic dobrego. Dla propagowania nowych poglądów, mianowicie w sprawie najdrażliwszej, włościańskiej, wydał bezimiennie Wybicki w latach 1776—1778 czternaście *Listów patrjotycznych do ekskanclerza Zamoyskiego, prawa układającego* w dwóch tomikach i prócz tego kilka broszur. Wbrew panującemu w Polsce jako kraju wyłącznie rolniczym fizjokratyzmowi, uznającemu jedynie w roli i jej produkcji całe bogactwo krajowe, stanął Wybicki na stanowisku kameralistycznem: bogactwo krajowe polega na ludności licznej a dostatniej; depopulację Polski i nędzę jej włościaństwa należy zwalczać, bo inaczej państwo siły potrzebnej nigdy nie nabędzie. To było jądrem jego wywodów, zresztą wcale ogólnikowych, rozwodzących się szeroko nad pojęciami fundamentalnemi. Otóż charakterystycznem było, że nikt nie chwycił w tych latach za pióro, by tę napaść na odwieczne prawa szlacheckie odbić, ale chwycono za pałkę, aby ubiegającego się w Środzie o mandat poselski Wybickiego ubić, który niebezpieczeństwa tylko ucieczką uszedł. Ubito projekt sam na sejmie 1780 r.; król na żądanie Stackelberga już go nie bronił, jedyny Stanisław Poniatowski ujął się żywo za Zamoyskim; ci zaś, którzy projekt zbijali, wcale go nie

czytali. Teraz dopiero pojawiło się kilka broszur niby przeciw *Listom* Wybickiego, ale głównie przeciw samemu *Zbiorowi* Zamoyskiego.

Nie było na razie literatury politycznej ani publicystycznej, ale w ciszy przygotowywał się przewrót, bo dorastała młodzież, wychowywana w Szkole Rycerskiej czy w szkołach Komisji Edukacyjnej, czy zagranicą i w domu w myśli Encyklopedystów, Woltera (biust jego stał w sali bibljotecznej królewskiej z wierszem pochwalnym króla) i Russa. Ciszę tę przerwało dzieło dziwaczne formą i treścią, którego tytuł i układ tylko zwodziły. Wybicki polecił Zamoyskiemu na nauczyciela domowego mieszczanina z Piły, duchownego, wykształconego w szkole poznańskiej Lubrańskiego, co wykształcenia dopełnił zagranicą, w Paryżu, u Buffona szczególnie (przetłumaczył też tegoż *Epoki Natury),* Stanisława Staszyca. U Zamoyskiego nasłuchał się Staszyc uwag o kraju, jego rządzie i brakach, o niebezpieczeństwie coraz wyraźniej grożącem i o sposobach wyjścia. Z tych podniet i z rozmyślań własnych, z żywego oburzenia mieszczanina, wykluczonego przez samo urodzenie ze «społeczeństwa», z rozpaczy czułego serca nad nędzą włościaństwa wyszły bezimiennie *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego i t. d., do dzisiejszego stanu Rzeczypospolitej Polskiej przystosowane* r. 1785, a dopełnił je drugiem: *Przestrogi dla Polski, z teraźniejszych politycznych Europy związków i z praw natury wypadające* r. 1790. Pierwsze rozpętało, acz nie odrazu, właściwie dopiero od r. 1788, polemikę (22 przeróżne pisma); drugie pisane piórem «moczonem elektrycznym fluidem», przeszło bez osobliwszego wrażenia wobec pracy sejmowej, pochłaniającej wszelką uwagę.

Uwagi składały się z obszerniejszej części głównej, politycznej, i z krótkiej, historycznej (o zasługach J. Zamoyskiego), będącej tylko traktorem pierwszej wobec sławy, jakiej spółtwórca demokracji szlacheckiej zażywał. Pisane niby przez «Prusaka», w pruskim już Heilsbergu, skąd publiczność innych nauk

czerpała (od księcia-biskupa), dotyczyły całego ustroju Rzeczypospolitej i jego ułomności, zmieniały coraz formę, od odezw i rozpraw do wizyj i snów, od wywodów ogólnych o celach państwa, obowiązkach jednostek do pytań o wychowaniu, wojsku, żydach. Uczeń Buffona a wielbiciel Russa, deista i republikanin zagorzały, ale przedewszystkiem gorący Polak-patrjota, nie gubił się w teorji; w niej był przeciwny wszelkiemu monarchizmowi, jako gwałcącemu prawa natury (co wcale nie jednoznaczne z «umową społeczną» Russa), ale wobec położenia Polski pomiędzy monarchjami-despotyzmami, zrzekał się prawa natury na korzyść despotyzmu, wymagał dla Polski silnego rządu i dziedzicznego tronu, a przedewszystkiem licznego i zbrojnego wojska, choćby do 200.000. Na to trzeba podatków i ludzi; dostarczy ich, bo handlu i przemysłu jeszcze niema (i ochrona cłowa go na razie nie stworzy), tylko rolnik, jeśli mu się własność zapewni a jarzmo poddaństwa ulży; dalej mieszczanin, jeśli się go równouprawnionym obywatelem uczyni; żydów należy zasymilować. Wywody te polegały więc na stałych kompromisach między prawem natury, t. j. wolnością, a despotyzmem, między fizjokratyzmem a kameralistyką (dbałą tylko o podwyższenie dochodów «kamery»); podciągał je zaś Staszyc pod ogólne prawo moralne, wedle którego szczęście osobnika tylko w szczęściu społeczeństwa zawarte być może. Wywody jego różniły się od sposobu Konarskiego czy Wybickiego tem, że odwoływały się do uczucia, do miłości ojczyzny, do sumienia i sprawiedliwości, nietylko do rozsądku i rachuby; wzruszały wymową, jaskrawemi obrazami (np. nędzy chłopskiej), nietylko przekonywały, wymowność stopniowała się jeszcze w owych późniejszych *Przestrogach* z ich namiętnem oskarżaniem magnatów jako jedynie winnych upadku. Kładł największy nacisk na stosowne wychowanie, co winno urobić duszę człowieka do zadania «użyteczności dla społeczeństwa» («towarzystwa»), do poznania, że «prawdziwe i własne dobro każdego nie różni się od dobra towa-

rzystwa całego», a ciało przez stosowne ćwiczenia hartować i zaprawiać do przyszłej wojaczki; nadzór wychowania byłby wyłącznie rządowy. Myśli poddawał nieraz Zamoyski, jednego dać nie mógł, ufności, bo jej sam nie posiadał (kodeksu swego np. wcale nie bronił); małoduszność tego pokolenia zawiodła później Staszyca i in. do sławofilstwa, t. j. do ucieczki pod skrzydła rosyjskie; o czem już te dzieła napomykały.

Nikt przed Staszycem nie ujął tak obszernego planu reformy, nikt przed nim z podobną, nieraz porywającą, wymową nie rozruszał sumień; wywody popierał przykładami, np. Anglja niemal o równej powierzchni co Polska, trzykroć więcej zboża wywozi; «poddaństwo wygubia rodzaj ludzki», czego dowodził przyrostem znaczniejszym ludności w dobrach Zamoyskiego po oczynszowaniu, które zastąpiło pańszczyznę. Miarkował się w wymaganiach, np. co do uwłaszczenia i uwolnienia włościan, licząc się z usposobieniem szlachty, nie gotowej jeszcze do żadnych ofiar. Ale był to głos wyjątkowej jednostki, mieszczanina, wykluczonego od wszelkiej pracy prawodawczej czy politycznej. Nierównie większe znaczenie praktyczne miały ks. Hugona Kołłątaja *Do Stanisława Małachowskiego i t. d. Anonima listów kilka* (21 listów w trzech częściach 1788 r.). Małachowski, marszałek sejmowy, wraz z Ignacym Potockim i in., przywódca stronnictwa patrjotycznego, pracowali nad reformą ustrojową, nad konstytucją; do tej pracy wciągnęli też Kołłątaja, zdolnego, ambitnego, gwałtownego nawet, nie należącego do sejmu, właściwego jednak twórcę konstytucji majowej. Listy owe zakreśliły nietylko całkowity program reformy, ale i porządek samych materyj; wymagały w pierwszej części ustalenia sejmu, t. j. ogłoszenia go konfederacyjnym, aby go nikt zerwać nie mógł; w drugiej potrzebę wojska o 60.000 ludzi i skarbu na nie; w trzeciej nowej formy rządu i sejmu, a więc zniesienia elekcji, *liberum veto*, jednomyślności; żądały ustanowienia komisyj i t. d. Sejm program ten wypełniał; ogłosił się konfederacyjnym, uchwalił

sto tysięcy żołnierza, ale dalej skrewił; zamiast obmyślać ludzi i środki, puścił się w sprawy polityczne, o ustroju władz, Straży (niby Rady ministrów obok króla) i Komisyj wielkich, o dziedziczności tronu w dynastji saskiej i t. d., chociaż najpierw należało upewnić byt państwa samego, a potem dopiero o rząd i tron się spierać, ależ to ostatnie było łatwiejsze i wygodniejsze dla Gadulskich. *Listy* Kołłątajowe zgadzały się w głównych żądaniach z *Uwagami* Staszicowemi, ale były lepiej przemyślane, praktyczniejsze, nie wchodziły w żadne ogólniki Staszicowe a polegały na podobnych kompromisach, wymuszonych przez praktykę; ton ich był równiejszy, spokojniejszy; wykluczały gołotę szlachecką z sejmików i rządów; zostawiały królowi prawo łaski i nominacji; rozdzielały starannie władzę prawodawczą, sejmową i wykonawczą, rządową — były jednem słowem polityką praktyczną. Znakomity pracownik na polu wychowania i oświaty domagał się też uniwersytetu ruskiego na Ukrainie z seminarjum duchownem a osobnego także dla Wielkopolski; budował moralną jedność narodu, dopełniając ją odpowiedniem wychowaniem kobiecem, twierdząc stanowczo, że kto nie jest dobrym obywatelem, ten i chrześcijaninem nie jest, a dobrym obywatelem może być tylko człowiek moralny. Do trzech tomików dodał Kołłątaj r. 1790 czwarty, gdy sejm wyznaczył «deputację dla ułożenia projektu Konstytucji Rządu polskiego»; dla tej to deputacji zestawił gotowe projekty wszelkich ustaw, niby wyciąg poprzednich tomików i dał mu nowy, odpowiedni tytuł: *Prawo polityczne narodu polskiego czyli Układ rządu Rzeczypospolitej.* Konstytucja Majowa niewiele od tego odbiegła.

W latach 1788—1792 zatopił wylew literatury publicystycznej niwy polskie, wyszło w tem pięcioleciu na liczbę samą może więcej broszur (wyjątkowo dzieł całych) niż w poprzednich pięciu wiekach razem. Treść i forma, tytuły i styl, dążność i wiedza najrozmaitsze; przeważały rzeczy krótkie, na kilkunastu lub kilkudziesięciu ćwiartkach małego formatu a lichego wy-

glądu (oprócz z «drukarni wolnej» Jana Potockiego); niejedne grzeszyły nadmierną naiwnością, drugie stroiły się w osobliwsze tytuły, czasem dosyć dowolnie dobrane (np. *Pocztyljon z trąbką* itp.). Rzeczy ściśle teoretycznych pomiędzy niemi nie było; wyjątek stanowił Naxa *Wykład początkowy prawideł ekonomiki politycznej* z r. 1790, dobry jej podręcznik — wyprzedzali Naxa księża Popławski, Stroynowski, Skrzetuski dziełami od r. 1774. Zamiast teorji uprawiano praktykę, ale wyjątkowo w jakiejś specjalnej tendencji; np. *Myśli polityczne dla Polski* anonima z r. 1789 (autora *O poddanych polskich* z r. 1788) były najściślej fizjokratyczne, całkiem jednostronne; autor przestrzegał przed utworzeniem wielkiej armji, bo byłoby to zbyt uciążliwe dla rolnictwa; pewność państwa należy ubezpieczyć traktatami (!). Autorowie tych pism, byli eklektykami, liczyli się tylko z życiem, a zapożyczali się zewsząd, za wzorem Staszyca i Kołłątaja. Omawiali wszystko możliwe; spór o elekcję czy dziedziczność począwszy od broszury zaciekłego «republikanta» Adama Rzewuskiego, rozpasał namiętności; dalej rzecz o konstytucji majowej targowiczanina Dyzmy Bończy Tomaszewskiego p. t. *Nad konstytucją i rewolucją dnia 3. m. 1791 uwagi* 1791 r., na które odpowiadał Trembicki i in.; bogatsza nierównie literatura o mieszczanach *pro* i *contra*. Kwestję włościańską często roztrząsano; nie wielu obstawało przy dawnym nierządzie, np. kasztelan Jezierski w broszurze *Wszyscy błądzą*, albo wstecznik trynitarz Grabowski: *Dopytanie się u przodków czułości ku poddanym* (w odpowiedzi na pisemko, co brak tej czułości z podziwem stwierdzało); już z biblji wywodził konieczność poddaństwa, t. j. niewoli. Umiarkowani żądali przedewszystkiem określenia (dobrowolnego czy przymusowego) pańszczyzny, bo ta widocznie rujnowała wieś, żeby nie było wolno jej podwyższać; wiele mniej zgody było co do oczynszowania, a najmniej mówiono o sądownictwie patrymonjalnem, gdzie sędzia i pan jedna osoba; zgoda była i co do tego, żeby chłopa

najpierw oświecać, a potem uwalniać, bo obawiano się ruiny wsi, gdyby ciemne tłuszcze wolnemi się poczuły. Inne broszury prawiły o wojsku, o zbytku i strojach nowych i dawnych, francuskich frakach i polskich żupanach, o nieporządkach warszawskich, żydach i neofitach, o szlachcie nowo kreowanej, o wyjazdach zagranicznych, którychby urzędowo zabronić należało. O duchowieństwie odzywały się wcale radykalne projekty: konfiskować majątek, a wydzielać stałe pensje; mnichowi ma być dozwolono wyrzec się ślubów; płacić im po 2000 złp. po zniesieniu ich dóbr i t. d.; niejednę z tych broszur przytoczyliśmy w pierwszym rozdziale.

Rozgadał a raczej rozpisał się naród szlachecki; dowcipu i szerszych widoków mało po tych pismach; autorowie nie odczuwali grozy położenia, bawili się drobiazgami obojętnemi, wysadzali na osobliwsze tytuły, aby zwrócić uwagę; w każdy sposób wyładowywało się podniecenie ogólne w tej hiperprodukcji. Agitowano przeciw Rosji, np. *Portret Moskwy* i in. wyliczały wszelkie krzywdy doznawane od wieku, a także przeciw Prusom: *Tajemnica podziału Polski odkryta* i in. Używano też ulubionej powszechnie formy Rozmowy zmarłych (z ostrą krytyką żyjących), np. Rozmowa Sołtyka (biskupa) z Garnyszem, albo Sołtyka z Dekertem (z dotkliwemi wycieczkami przeciw szlachcie i nobilitacjom) i in.; w *Odezwie zmarłego Szlawskiego, posła krakowskiego do polskiej publiczności z tamtego świata* jakiś wstecznik bronił szlachty w sprawie włościańskiej, podobnie jak kasztelan Jezierski w broszurze *Wszyscy błądzą,* w rozmowie między panem a rolnikiem, którzy niby «z błędu wychodzą».

Specjalnie Warszawy dotykały *Myśli patrzącego przez okno na ulicę* z r. 1791: widział, że baba sprzedawała kartofle umazane w błocie, żebracy śpiewali natrętnie, a panienka sukienkę mazią od woza powalała, więc lamentował na te nieporządki. *Myśli moje przy kominku* oskarżały płeć piękną o modne obyczaje i nowych fircyków, ale pocieszały się widokiem stro-

jów, przypominających dawny polsko-węgierski strój, gdy przed dwoma laty nic polskiego nie było widać; autorowi podobały się «sarafany, taratatki, greczynki». *Troski prywatne o dobro publiczne* zwalczały wyjazdy zagraniczne. O konstytucji majowej rozprawiał *Postyljon z trąbką warszawską* z szlachcicem Jagodzińskim, ostro na panów nacierając. *Polak w czui prawdą podbitej* o reformie wojskowej prawił, tak samo jak *Czamarka i Sarafan w czasie sejmu patrjotycznego w Polskę wprowadzone* (ale one znacznie starsze!) odkrywały stare wady pod nową szatą, w arsenale, artylerji i t. d. *Balik Marwaniego* (przedsiębiorcy wszelakich hec i widowisk) opisywał bal zwykły, w maskach najpospolitszych; panie w czarnych sukniach po angielsku z wielu wstążkami, albo jako wieśniaczki, tańczyły «ankatry, sztagary (!), anglesy». *List turecki Achmana baszy itd. do Polaka* domagał się zupełnego zrównania duchowieństwa unickiego z katolickiem; *Bunty ukrainne* omawiały ucisk żydów, żądały ich wygnania i zmniejszenia liczby karczem, liczby kozaków nadwornych i t. d. Przeciw gęstym nobilitacjom odzywał się *Stary szlachcic do nowych* i *Prawdziwy szlachcic do prawdomówców;* przeciw dziedziczności tronu bił Adam Rzewuski, *O formie rządu republikanckiego myśli*, I; podobnie ziały nienawiścią przeciw «tyranom» *Rozwagi o królach polskich* i in., wszystko z powodu zamierzonego uniwersału do narodu, czy elekcji, czy dziedziczności pragnie. Wyjątkowo omawiano rzeczy zasadnicze, np. *Proszę o prawdę* rozstrzygało, że nie należy szukać wolności powszechnej w osobistej, lecz osobistą poświęcać powszechnej.

Z powodzi tych pisemek, przeważnie anonimowych, słabych myślą i formą, wyróżniały się paszkwile księdza Franciszka Salezego Jezierskiego, byłego żołnierza, najgorliwszego spółpracownika Kołłątajowego, rychło zgasłego. Mieszkał Kołłątaj w tak zwanym Pasztecie na Solcu (kilka tu domków było) i tam to «kuźnicę paszkwilów» rozbito; stąd wyruszali na miasto do kafenhauzów Konopka, ks. Meier i inni demagodzy, nastrajani

przez ks. podkanclerzego. Ze wszystkich był najzdolniejszy Jezierski; obierał formę noweli pseudohistorycznej: *Goworek herbu Rawicz, Rzepicha matka królów, Wypis z Witukinda,* aby już w zamierzchłej przeszłości intrygi możnowładztwa napiętnować, pierwotną równość wszystkich i sprawiedliwość wysławiać i o sądzie sejmowym nad Ponińskim się rozwodzić. Nierównie udatniejsze były jego szkice spółczesne, np. jego *Jarosza Kutasińskiego uwagi nad stanem nieszlacheckim w Polsce;* szaraczek to, którego matka i siostry na żniwa do p. rejenta, ojciec na obławę wychodzą, a w domu sami wszystko, naczynia, koła i t. d. wyrabiają; Jarosz znalazł pieczątkę herbową na poddaszu i na niej poducza go ojciec o szlachectwie; wyprawił się do Warszawy, ale rzezimieszek skorzystał z jego nieopatrzności. Najzjadliwszy był jego *Katechizm o tajemnicach rządu polskiego. Niektóre wyrazy porządkiem abecadła zebrane i stosownemi do rzeczy uwagami objaśnione,* wydane r. 1791 po jego śmierci przez Kołłątaja, pełne wycieczek lub żartów, np. «Warszawa: znacznie zabiera się do gustu; karety stare i kobiety niemłode, wszystko to na nowo malowane; przytem też kościołów kilka dawniej zmurowanych poprzyozdobiało się nowemi facjatami».

Do najosobliwszych tytułów sięgano np. w sporach o duchownych: *Gandzara* (pałka) *prawdy, niecnotliwego cygana chłoszcząca, czyli na paszkwil pod tytułem: Cygan cnotliwy gandzarą prawdy nielad chłoszczący, odpowiedź dedykowana temuż cyganowi przez autora* i t. d. księdza Surowieckiego, tępiciela wszelkiego liberalizmu, żądającego inkwizycji i t. p.; oburzony na tę napaść (treść zob. wyżej) przepowiadał, że Polska zginie, jeśli zechce nowy swój kształt na ruinie duchowieństwa założyć. Albo *Fajerka pełna ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego Kropidła sporządzona* i in.

Ostatni, najcelniejszy strzał padł w tej walce ze strony obrońców konstytucji, którzy uchodząc przed Targowicą, wydali

w Dreźnie 1793 r. *O ustanowieniu i upadku Konstytucji trzeciego maja;* rzecz to zbiorowa, obu Potockich (Ignacego i Stanisława), Dmochowskiego, a najwięcej Kołłątaja, jednostronna, bo samoobrona twórców Konstytucji i przymierza pruskiego, zwalająca wszelką winę na króla i jego przystąpienie do Targowicy, zakończona protestem Kołłątaja przeciw zbrodni dokonanej na Polsce w chwili jej odrodzenia i wezwaniem, aby mimo to nie rozpaczać i uskutecznić onem postępowaniem w myśli trzeciomajowej «głęboką przestrogę filozofa genewskiego, tak upominającego naród polski: «Polacy, jeżeli przeszkodzić nie zdołacie, aby was nie pożarli sąsiedzi, starajcie się, aby was strawić nie mogli». Pod tem hasłem toczyły się istotnie dalsze dzieje kultury polskiej.

Orała nasza publicystyka i literatura polityczna cudzemi wołkami, zachowywała jednak pewną samoistność sądu, wywołaną już przez realne konieczności. Bożyszczem jej był wprawdzie Rousseau, jego wywodami posługiwali się zarówno konserwatyści (Rzewuscy i in.), jak reformatorzy (Staszyc i in.), ale wystrzegali się jego konsekwencyj, nie stawiali indywiduum nad społeczność, nie oskarżali kultury o znieprawienie człowieka, nie podzielali jego wiary «naturalnej». Mniej niż Rousseau, ważył u nich Wolter, jego *Ecrasez l'infâme* (t. j. kościół) było im zupełnie obce (choćby dlatego, że niemal wszyscy byli duchownymi); prawda, tak Woltera jak Russa znali nie tyle z dzieł (*Emila* mało kto czytał), jak z wygodnych chrestomatyj, wyciągów z ich pism. Ale zależność myśli polskiej od francuskiej widoczna; niedarmo srożyli się i Sievers i Igelström wraz z Targowicą na to przesiąkanie agitacji francuskiej i prześladowali rezydenta francuskiego i całe jego otoczenie, a Staszyc i Kołłątaj, jak inni, śledzili z gorączkowem napięciem uwagi bieg wypadków nad Sekwaną i niebawem rozlegały się hasła paryskie nad pozornie uśpioną Warszawą; przemycano broszury i myśli, a wnet stanął

i «citoyen Barss» przed Konwentem paryskim jako niepowołany przedstawiciel owego «peuple sympathique», który miał odciągać Prusaków od koalicji przeciw Francji.

TEATR

Już miały Petersburg i Moskwa rządowe teatry, a za niemi wyroiły się tam i prywatne przedsiębiorstwa; już rzucał Sumarokow przez szumne tragedje i płaskie komedje podwaliny dramatu rosyjskiego, gdy Warszawa zawsze jeszcze obywała się bez jednego i drugiego, bo co brodacz-hetman ogłosił, acz Sumarokowa wykonaniem może i przewyższało, tej luki nie zapełniło. Po wyjeździe Augusta III opernhauz opustoszał; oper i baletów włoskich, dworskich, nie było. Były teatry szkolne: teatyni z ks. Portalupim, wierni włoskim tradycjom, Metastazja swego na łacinę tłumaczyli i w konwikcie (uczniem jego był też Stanisław August), wystawiali. Pijarzy tłumaczyli tragedje francuskie, Woltera i in. i nawet o parę oryginalnych (*Epaminondas* Konarskiego i in.) się pokusili, budząc uczucia wznioślejsze, miłość ojczyzny i wolności. Jezuici komedje francuskie tłumaczyli, a raczej przerabiali (Bohomolec), bijąc szczególniej na wady młodzieży (marnotrawstwo, zarozumiałość, lekkomyślność itp.), ale to były widowiska szkolne, więc dla szczupłego grona słuchaczy przeznaczone i wystawiane wyjątkowo, raz do roku. Poza murami teatynów, pijarów i jezuitów warszawskich pozostawał na prowincji teatr szkolny z dialogiem ascetycznym, rzadko moralizującym (przeróbki *Syna Marnotrawnego* i *Łazarza a bogacza),* z intermedjami aż nadto płaskiemi. Na prowincji, po dworach wielkopańskich (a w wyjątkowym razie i po dworkach szlacheckich), w Nieświeżu, Białymstoku, Słonimie, Podhorcach, Dukli, wystawiano opery, balety, kantaty, nawet i dramaty, ale przeważnie francuskie czy włoskie, z obcym, jeśli nie amatorskim, i repertuarem i personelem; wszystko wobec nielicznych spro-

szonych gości. Celu swego, na szerszą publiczność kształcąco działać, żaden z tych teatrów nie wypełniał; teatr stawał jeszcze zawsze na równi z fajerwerkiem albo hecą, iluminacją czy koncertem.

Pierwszem staraniem nowego króla, który znał nietylko teatr francuski, ale i angielski i pierwszy u nas Szekspira podziwiał (był Szekspir w Londynie wtedy znowu w modzie; tłumaczył też król jego *Juljusza Cezara* na francuskie), było zapełnić tę fatalną lukę, świadczącą rażąco o niekulturalności społeczeństwa. Najłatwiej było sprowadzić do opernhauzu trupę francuską; za staraniem agentów królewskich zawitała taka już w r. 1765 do Warszawy i dawała przedstawienia. Nierównie trudniej było o scenę polską; nie było aktorów; komedjant, komedjantka byli wyłączeni z towarzystwa; nie było i sztuk. Król zadowolił się rzuceniem pomysłu i dostarczaniem środków; samego zajmował głównie teatr francuski i opera-balet włoskie; do wykonania przyłożył się dzielnie ks. generał ziem podolskich; dobrano jakich takich aktorów, on ich ćwiczył i uczył i jeszcze tego samego roku (1765, 11 listopada) wystawiono pierwszą sztukę polską przez zawodowych aktorów w opernhauzie; tą sztuką byli *Natręci* Bielawskiego, fligieladjutanta buławy litewskiej. Zjawił się i Włoch Tomatis z operą-baletem włoskim i posiadała Warszawa od jednego razu trojaki teatr. Nie długo to trwało; chociaż próbę teatru polskiego przyjęto z wielkim zapałem, ciążyło całe przedsiębiorstwo nadto na kieszeni królewskiej i już r. 1767 zwinięto najpierw teatr polski, a potem i francuski; został Tomatis, dla pięknej żony uhrabiony przez Stan. Augusta i dyrektorem widowisk wszelkich mianowany. Około czternaście sztuk polskich, tłumaczonych i oryginalnych, zjawiło się wtedy kolejno na tej scenie, najwięcej Bohomolcowych. Sztuki ks. jezuity z głębokiej prowincji (Białej Rusi), zupełnie zadomowionego w Warszawie, były pomysłu obcego, wiązania luźnego, mało dowcipne, bez żywszej akcji, z postaciami karykaturalnemi

lub obojętnemi. Komedja (bo o tragedję, inaczej niż w Petersburgu i Moskwie, nie dbano) miała poprawiać obyczaje, wyszydzać wady i nałogi, tak odziedziczone jak nowo nabyte. W rolę takiego monitora włożył się Bohomolec już w swoich komedjach szkolnych (bez ról kobiecych, więc bez soli i wdzięku); teraz miał ręce wolniejsze, ale talentu nie przybyło, więc po staremu tłumaczył głównie Francuzów (i jezuitów francuskich z ich łacińskiemi komedjami), ale przez tłumaczenie rozumiał wiek XVIII u nas stale także unarodowienie sztuki, t. j. nietylko polskie imiona zamiast Damonów i Alcest, lecz i Warszawę zamiast Paryża, szlachtę zamiast mieszczan, przesądy i obyczaje domowe zamiast przywoźnych. Takie powierzchowne przebieranie nie zacierało nawet nieprawdopodobieństw: intrygą komedji kierowały wyszczekane sługusy i sprytne subretki, coby u nas ani gęby nie otwierały, główna zaś figura (nieużyty ojciec czy opiekun) zawsze na karykaturę zakrawała. Więc choć Bohomolcowi nie zbywało na komizmie, choć przywary towarzyskie (przesądy stanowe, zabobony i t. p.) ostro chłostał, głębszego wrażenia nie wywoływał; sztuki jego schodziły często z repertuaru i ulegały zapomnieniu; nie ocaliła ich postępowość myśli. Na warszawskim bruku były to już truizmy. Komedjopisarze (a było ich sporo obok Bohomolca, Generał ziem podolskich, Krasicki, Lipski, i in.) byli przekonani, że ich sztuki uzacniają, wystawiając wady na śmiech lub karę zasłużoną, gdy publiczność poziewała i raczej do teatru francuskiego albo do opery się cisnęła.

Dwadzieścia pięć komedyj szkolnych a dwanaście dla «teatrum narodowego» Bohomolca zawierały mimo wszelkich pożyczek i obcych pomysłów wiele rysów obyczajowych i mogły mimo wszelkiej karykatury i przesady spółczesność wprowadzać na scenę. Np. sarmata Drągajło w komedji *Czary* pomstował na Warszawę: «Mówić tam co o upiorach, o czarach, to się śmieją, a sami publicznie czarują... sam na swoje oczy widziałem, jako głowa Cycerona bez ciała gadała... jako koń liczby składał, jako

kwiatki na ręku posiane zaraz wschodziły i rosły» i t. d. Ależ korespondencja spółczesna do *Thorner Nachrichten* opowiadała właśnie o głowach bez ciała gadających, o kwiatach rosnących na ręku, dosłownie to samo co Drągajło. Drągajło chełpił się też własnem djabelstwem, bo oto miał w swoim majątku «babę, która miała ze złym duchem konszachty; sąsiedzi, którzy się z nią *kłócili* (!), dociekli, iż u niej djabeł bywa w nocy; ja chcąc doświadczyć, czy to prawda, puściłem ją na wodę; patrzę, aż ona nie chce tonąć. Czy tak, dobrodziejko? Poczekajże! Djabeł się boi kamienia, przywiążcie jej kamień do szyi! Jak to uczyniono, aż moja babuleńka na dno i tam dotychczas odpoczywa».

Tak to wyglądało na prowincji, a siedział w niej i Imćp. Staruszkiewicz *(Małżeństwo z kalendarza)*, oburzony na cudzoziemców, którzy Polskę gnębią i ogłupiają a snom już wierzyć nie chcą. Napróżno przekładała mu p. Bywalska, że od nich postęp, nawet wiara, boć św. Wojciech był cudzoziemcem — to nieprawda, cudzoziemiec nie może być ani szlachcicem («jakie ich szlachectwo, chłopi wszystko», bo nie mają dostępu na sejmiki), ani świętym, «inna jest wiara katolicka, inna niemiecka». Staruszkiewicz swata Agatkę za swego masztalerza, ona nie chce. «Czy nie wiesz, że on szlachcic?» Agatka: «A mnie kat po jego szlachectwie?» Staruszkiewicz: «Ale dziwna jesteś, albo nie wiesz, że każdy szlachcic może być panem, senatorem i...» Agatka: «I masztalerzem». Staruszkiewicz: «Więc u ciebie lepszy ten chłop (Jan, sługa Ernesta), niż szlachcic?» Agatka: «Przepraszam, nie chłop. Nie znasz się Waćpan na ludziach... bo nie chłop». Star.: «Jakże? to on szlachcic?» Ag.: «Ani chłop, ani szlachcic, może być co średniego». Star.: «Cóż to takiego średniego?» Ag.: «Mieszczanie, lud uczciwy, którzy też nie są wprawdzie szlachta, ale też nie są chłopi». Star.: «Ha, ha, nie są chłopi! ha! ha!» Dalej mówiła Agatka o takich jak Staruszkiewicz: «U nich, kto nie szlachcic, to gorszy od psa, jakby to nie było ludzi uczciwych i w naszym stanie».

Gniewano się na Bohomolca za takie obcesowe wyrzuty, a dopuszczał się on podobnych i w swoim *Monitorze*, więc w komedyjce *Monitor* spiknęły się osoby przezeń wystawiane, Modnicka, Umizgalska (60-letnia staruszka, polująca na młodzika), Wymyślnicka, Staruszkiewicz, Pieniacki, Łakomski, Hajdamakiewicz, Łykaczewski, aby choć jednego z redaktorów, Ochotnickiego, obić, ale ten ich rozbraja, bo przecież nie osobom, tylko wadom łaję, «podobnym pismom Anglja swój polor i potęgę po części jest winna». To samo tyczyło jego komedyj; jowialny autor, dobroduszny, wesołością swoją i obiady czwartkowe urozmaicał, a w *Odpisie* na wiersze Krasickiego prawił:

Niejakiś Rusak, *vulgo* Bohomolec,
Ani bogaty, ani wcale golec,
Anakreonta synem jest nazwany,
Że zawsze wesół i zawsze rumiany i t. d.

W każdy sposób przewyższał on znacznie Bielawskiego, którego *Natręci* (w prozie nieraz rymowej) nietylko z imion Polacy: Wietrznikowski, Trzpiotowski, Sapienkowicz (sfrancuziały, z winy głównie rodziców); retor Skarbnikiewicz chełpił się, że u niego nabędziesz sentencyj, których «ani w *Magielonie*, ani w *Kleomirze*, ani w *Baneluce*, ani w żadnym autorze nie znajdziesz».

Nierównie wyżej niż Bohomolec, a cóż dopiero Bielawski, stanął książę Adam Czartoryski (pisujący i jako Teatralski, poprzedzający wydanie jednej komedji obszernym o dramacie ustępem, gdzie i o Szekspirze chwalebna wzmianka); pisał on sztuki i dla teatru i dla Korpusu kadetów, gdzie po zamknięciu teatru r. 1767 komedje wystawiano (i Sumarokow wyszedł od przedstawień w korpusie kadeckim); sztuki jego przeważnie to przeróbki obcych, czasem bawiły tylko *(Koczyk pomarańczowy* i in.), czasem służyły wyraźnej tendencji, np. *Panna na wydaniu*, acz źródła obcego: o rękę zamożnej panny Julji Pięknickiej ubiegali się Fircyk i inni trzpioci, ale ustąpić winni przed po-

wracającym od wojska z Ukrainy junakiem; komedyj albo nie drukował, albo pod obcem nazwiskiem. Tak samo czynił Krasicki, który swoich prozaicznych komedyj nie włączył do wydania dzieł swoich; drukował kilka z nich jako Mowiński (kamerdyner jego). Zwalczał w nich usilnie wszelkie mędrkowanie u kobiet, «które od blondynów skoczyły do metafizyki i przeszły mistrzów»; zawracá im głowy Górnogłębski. Przeznaczone dla jego domowego teatru w Heilsbergu, dostawały się też na scenę warszawską, ale nie miały powodzenia. Krasicki umiał świetnie opowiadać, rozruszał opowiadaniem nawet takiego stetryczałego odludka jak Fryderyk II, więc i w jego komedjach opowiadania (np. p. Rubasiewicza o polowaniu) znakomite; satyryk umiał wycieniować żywo postaci żeńskie (blade u Bohomolca), i dialog bywał dowcipniejszy, lecz wątku dramatycznego nie stworzył.

Po r. 1767 ustały widowiska teatralne w opernhauzie, który i tak zawaleniem groził; 1772 r. rozebrano mury; stolicę nawiedzały przelotnie obce trupy, francuskie i niemieckie, włoskie balety. Nowy ruch zaczął się objawiać, gdy r. 1774 książę Sułkowski, wojewoda gnieźnieński, wyrobił sobie u sejmu i Rady Nieustającej monopol na wszelkie widowiska, który przeszedł na Ryxa, kamerdynera królewskiego. Teatr francuski, niemiecki, włoski (Tomatysa) grywał odtąd także w pałacu radziwiłłowskim (za emigracji księcia); już r. 1779 wzniesiono na rozkaz króla osobny gmach teatralny (na placu Krasińskich) i tu znalazła nareszcie scena, także polska, stały przytułek. Afisze, do dziś przechowane, różniły się od naszych przemówieniami dyrektora lub beneficjanta do widzów, zapraszającemi na przedstawienie, sławiące nieraz samą sztukę lub aktora; nazwisk aktorów i aktorek wybitnych nie przytaczamy. Wlokła scena polska marny żywot; ożywili go Wojciech Bogusławski jako aktor, reżyser, dyrektor, tłumacz, i Franciszek Zabłocki, jako twórca repertuaru, bo w ciągu niewielu lat pięćdziesiąt cztery sztuki wystawił. Bogusławski, były gwardzista królewski, nieznużony pracownik, wy-

trwały, rzutki, zdolny, nie zrażający się żadnemi przeciwnościami, ani obojętnością publiki, ani dokuczliwościami cenzury, obywatelskiej czy rządowej, wywiódł teatr polski z odrętwienia. Na wielkie powodzenie musiał długo czekać, dopiero podniecenie Warszawy za Sejmu Wielkiego dostarczyło sposobności. Zabłockiemu nie odpłaciła niewdzięczna, niewrażliwa publiczność jego pracy. Literat, przybyły z prowincji do Warszawy, lgnął do teatru i aktorów, z początku jako «teatrał» (typ u nas nie częsty, częstszy w Rosji) i mąż aktorki, aż włożył się w autorstwo dramatyczne, ułatwione nadzwyczaj tem, że publiczność nie wymagała rzeczy oryginalnych, zadowalała się przeróbkami. Te sypał Zabłocki jak z rękawa. Nadzwyczajna łatwość pióra, najlżejszy tok wiersza, gładkość języka potocznego, dowcip wrodzony i znaczna żyłka satyryczna, uzdolniły go do stworzenia całego repertuaru fars i komedyj; jedne robione na urząd i na kolanie, inne z głębszem przejęciem się rzeczą, chociaż i te nie wolne od wzoru obcego. Zabłocki sięgał rzadko do Moljera, nierównie częściej do nieraz całkiem obskurnych autorów francuskich XVIII wieku, Romagnesi, Hauteroche, Favart i tym podobnych «wielkości», więc później nie domyślano się tych autorów-wzorów i uważano Zabłockiego za bardziej oyginalnego, niż on był w istocie; dopiero badania L. Bernackiego uwydatniły tę zawisłość. Brał Zabłocki od Francuzów szkielet sztuki, wątek akcji w scenach i wątek myśli w dialogach, ale wypełniał te schematy przystosowaniem do stosunków polskich; przedewszystkiem rozszerzał nadzwyczaj tekst, wplatał szczegóły szczeropolskie i tworzył rzeczy łudząco polskie, tak że dopiero badania źródłowe dowiodły zawisłości francuskiej. Np. w najlepszej jego komedji, w *Fircyku w zalotach*, zgrany do szczętu Fircyk chciałby się poratować bogatym ożenkiem, więc pyta przyjaciela (u Francuza tylko: «niemasz tu czasem jakiej wdówki do najęcia, jakiej staruszki zamożnej, dzierżawczyni bogatej?») — ten odpowiada:

żadnej; po czterech wierszach, które pomijamy, czytamy u Zabłockiego:

Mamy tu babsko ślepe, lat sześćdziesiąt zgórą;
Wszak ci takiej potrzeba? Maż funduszu wiele? —
Już lat kilka w szpitalu siedzi przy kościele,
Fundusz dobry i pewny, jeszcze Firlejowski itd..,

trzydzieści długich wierszy za parę zdań francuskich, wierszy przepełnionych szczegółami polskiemi. W tej samej komedji Fircyk dyktuje następną umowę ślubną, która jest wiernym komentarzem do słów Schulza (zob. wyżej):

Nie wkładam jednak na nią (narzeczoną) obowiązku, aby
Dla mnie tylko chowała swój wdzięk i powaby.
Owszem, wolno jej będzie okrom próżnych strachów
Ze wszelkiem bezpieczeństwem dwóch mieć sobie gachów,
Jednego przez wzgląd serca, drugiego z intraty;
Jeden żeby był zacny a drugi bogaty,
Co czyli będzie głośno czyli potajemnie,
Wolno to wiedzieć wszystkim, byle tylko nie mnie...
Sama jedna na wszystkie widoki, zabawy
Jeździć będzie, nie dając mężowi stąd sprawy...
Co mąż zrobi, Imości nic do tego wcale;
Choćby jego niewiary była pewna nawet,
Nie będzie na to sarkać, lecz odda wet za wet.

Jesteśmy w szlacheckiej Polsce, więc rzecz dzieje się na wsi, ale Fircyk z Warszawy przyjechał i do niej wróci, bo zanudziłby się bez niej; «arwan tam djabłu mój kraj, skoro ja się bawię» jest jego zasadą. To lekkoduchy warszawskie, ale na wsi panował jeszcze dawny sarmatyzm i jego to oćwiczył Zabłocki w komedji pod tym tytułem, która chociaż również przeróbką z francuskiego, tak oddychała powietrzem polskiem, że można z niej wprost czerpać materjałów do dziejów kultury. Oto próbka dawnego prawa polskiego, które Guronos w *Sarmatyzmie* przeklina:

Niech w nie piorun trzaśnie!
Wolałbym mieć nareszcie z djablem do czynienia,
Jak z ludźmi, Panie odpuść, prawnego sumienia.

Niechaj będzie interes mój nie wiem jak czysty,
Wartogłowy, cygany, bezbożne jurysty
Zgruntu mi go przerobią, wywrócą na nice.
Niechże się jeszcze wdadzą intrygi kobiece,
Dobrodzieju! wodzi mnie od nich strona wsparta
Od szatana do djabła, od djabła do czarta.
Dziad zacznie, wiek się ciągną mitręgi pieniacze,
Nim je w drugim czwartego stopnia wnuk opłacze.

Komedja francuska wyszydzała fumy na partykularzu, polska mogłaby się przyczynić, aby szlachtę pijaną, zawadjacką, nieokrzesaną wyłączyć z życia politycznego, gdzie tylko szkodziła. Ale Zabłocki, który za Sejmu Wielkiego, zniechęcony do komedji, pamflet polityczny uprawiał, żadnej komedji politycznej nie pisywał, więc i w *Sarmatyzmie* jej nie uznamy. Szczeropolską cechą wszystkich komedyj Zabłockiego jest nadmierne rozgadanie; w wieku, gdzie wszystko z lubością rezonowało, nie dziw, że i na scenie Gadulscy zawsze panowali. Zresztą postęp nadzwyczajny; nie co do faktury, ta zawsze jeszcze obca, z trzema jednościami, z sługami sprytniejszymi niż panowie i t. d., ale co do dialogu, posuwistego jak polonez; zresztą w *Fircyku w zalotach* i w *Sarmatyzmie* sług już niema.

Pierwszą i na długie lata jedyną komedję polityczną stworzył młody poseł inflancki, wydawca *Gazety narodowej i obcej*, Juljan Ursyn Niemcewicz. Patrjota gorący wystąpił z komedją *Powrót posła* jako broszurą polityczną w listopadzie 1790 roku, gdy miano wybierać nową serję posłów; wyszydzić wstecznników, wykazać ich sobkostwo, obrońców elekcji i *liberum veto* zohydzić w opinji publicznej, wystawić ludzi innego pokolenia, co ojczyznę chce zbawić nie zgubić, było zadaniem, znakomicie wypełnionem. Wściekali się wstecznicy, wymagali na autora sądu sejmowego ku własnemu ośmieszeniu: było to pierwsze wielkie powodzenie sztuki polskiej.

Schemat jej konwencjonalny: kto dostanie rękę posażnej panny starościanki (Teresy), czy pan Walery (poseł, syn p. pod-

komorzego, kochany przez Teresę), czy pan Szarmantcki, popierany przez macochę (drugą żonę starosty Gadulskiego), który z zagranicy przywiózł tylko sprzączki i guziki i szereg zwycięstw nad płcią słabą. Ależ nie o schemat się rozchodzi; do schematu należała i paralelizacja, przeciw postępowemu, wolnomyślnemu podkomorzostwu z Walerym i Teresą stają Gadulscy z Szarmantckim; osób dodatnich nie zdołał Niemcewicz wyposażyć własnem życiem, rezonerzy to i deklamatorzy haseł Wielkiego Sejmu; podkomorzy ujął się za niesłusznie czernionym sejmem, przyznał wprawdzie, że «nie zrobił tyle co mógł, ale zważając jakie znajdował trudności, za to co zrobił wiele winniśmy wdzięczności» i dał się porwać optymizmowi:

Dziś się sława narodu i powaga wraca;
Obywatel z radością podatek opłaca;
Mamy dziś sprzymierzeńca, mieliśmy wprzód pana.
Skarby złotem, zbrojownie śpiżem napełnione.
Będą jeszcze dla Polski dni świetne wrócone,
(Byle naród) Uwodzić się namowom przewrotnym nie dawał
I w zaczętej już pracy nigdy nie ustawał!

Jak u Von Wizina w *Niedorośla* bohaterzy dodatni nieco papierowi, marjonetki w ręku autora, zato ich przeciwnicy wyborni.

Starosta Gadulski, to Seweryn Rzewuski co do inteligencji i stylu, broni tych samych zasad rządowych, a wystawiony w pełnem oświetleniu, ze wszech stron, i pijak i sknera i t. d. — inni satyrycy tylko szczegóły chwytali; już wyżej przytoczono wstęp z jego pochwałą *liberum veto*, a oto jeszcze próbka:

Bóg wie, co porobiły sejmujące stany;
Dlaczego ten rząd? poco te wszystkie odmiany?
Alboż źle było dotąd? a nasi przodkowie
Nie mieliż to rozumu i oleju w głowie?
Byliśmy potężnymi pod ich ustawami!
Jak to Polak szczęśliwie żył pod Augustami,
Co to za dwory, jakie trybunały huczne.
Co za paradne sejmy, jakie wojsko juczne!

Człek jadł, pił, nic nie robił i suto w kieszeni!
Dziś się wszystko zmieniło i bardziej się zmieni.
Zepsuli wszystko, tknąć się śmieli okrutnicy
Liberum veto, tej to wolności źrenicy.

A jeszcze gorszy tron dziedziczny, gdy król umrze, wszystko po staremu, cicho i spokojnie, bo syn nastąpi; całkiem co innego elekcja:

W elekcji każdy swego kandydata broni,
Wszyscy na koń wsiadają i podług zwyczaju
Zaraz panowie partje formują po kraju;
Prawda, z tego wszystkiego przyjść do czubów może...
Palili sobie wioski, no i cóż to szkodzi?
Obce wojsko jak wkroczy, tak wszystko pogodzi.
Potem amnestja, Panom buławy, urzędy,
Szlachcie dadzą wójtostwa, obietnice, względy i t. d.

Gdy Guronos i Żegota w *Sarmatyzmie* tylko szaraczków przedstawiali, Starosta wyższych sfer sięgnął. Nie obeszło się bez włościan; służąca Agatka nie wyjdzie za ekonoma, bo nie chce męża, co z urzędu daje ludziom plagi, nie chce widzieć nad łóżkiem zawieszonego kańczuga; Podkomorzy w dzień zaręczyn syna uwalnia swoich włościan, ale starosta sarknął:

Do czego to znów przypiąć to ich uwolnienie?
To tylko Waćpan robisz dla drugich zgorszenie.

Tak ścierały się dwa obozy, chociaż o Targowicy jeszcze słychać nie było i nie przypuszczano jeszcze, kto to za Gadulskimi stanie. Te figury (Gadulski, Szarmantcki) wystudjowane znakomicie, dostało się nawet służącemu Gadulskiego, Wojciechowi, który raz był w Warszawie i odtąd mu w głowie klepki piątej brakuje. Podkomorzy i Walery przeciwnie frazesami szermują, np. że «dom zawsze ustępować winien krajowi» i t. p. Satyra przychodziła *post festum,* przeciwnik był już obalony; nie przeczuwali (chyba najnieliczniejsi, np. Wybicki), za czyją pomocą on się podniesie.

Powrót posła (na afiszach tytułowany inaczej: *Powrót*

syna do domu) wracał ciągle na scenę. Dramatyczne jego walory nie były znaczne, polityczne nadzwyczajne; obdarzył przytem autor starostę szanowną połowicą, sentymentalną aż nadto, z sercem zato równie suchem jak u godnego małżonka. W przedmowie — bo nie było krytyki teatralnej, coby to widzowi objaśniała, zaznaczył autor wyraźnie, że komedja ma na celu poprawę obyczajów (ta rola Mentora, obca sztuce, popłacała w wieku «oświecenia»), ale w wolnym kraju powinna i «zdrożne względem całości krajowej opinje» prostować. Lecz tu nie o obyczaje tylko chodziło.

Była to pierwsza komedja tendencyjna i dla tej tendencji sławiona, więc gdy 1792 r. miano rocznicę Konstytucji majowej obchodzić, naciśnięto na Niemcewicza w ostatniej chwili, aby odpowiedniem widowiskiem rocznicę uczcił. Wahał się w wyborze tematu, ale że często przewijało się imię Kazimierza, króla chłopków (u Staszyca np.), jego i sejm wiślicki wybrał, myśląc o Stanisławie Auguście i Konstytucji majowej. Historycznego w tym dramacie historycznym oprócz nazwisk nie było nic, ale wrażenie było nadzwyczajne; w lot chwytała publiczność każdą aluzję, nawet zbabiały St. August dał się porwać powszechnemu zapałowi i na słowa Kazimierzowe («jeśliby zdrajca jaki znalazł się, któryby z obcą mocą chciał zadawać blizny ojczyźnie... wtenczas ja, choć stary, stanę na czele poczciwych Polaków», i t. d.) wychylił się z loży i zawołał: Stanę i wystawię się! Wiedziano już przecież, co Szczęsny i spółka w Jassach gotowali.

Podobnego znaczenia nie zdobyły inne sztuki, ani Wybickiego *Szlachcic mieszczanin* (obrona i pochwała zrównania mieszczan z szlachtą), ani Bogusławskiego *Dowód wdzięczności narodu* w rocznicę elekcji St. Augusta: osoby te same co u Niemcewicza, tylko pogodzone z Konstytucją i gotowe do ofiar za jej utrzymanie, więc zawieszają portret królewski w świątyni Sławy, z szlachtą mieszczanie i chłopi, dziś już wolni. Wszystkie te sztuki zmiotły fale dziejowe; z pogromu ocalała jedna:

Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale. Były i w niej odgłosy-motywy obcych sztuk, ale cóż to znaczyło wobec olbrzymiego wrażenia, wywołanego przez chwilę. Drugą połowę 1792 i cały 1793 rok przeżyła Warszawa w żałosnem przygnębieniu; Targowica,[1] sejm Grodzieński, policja Sieversa i Igelströma tłumiły uczucia; ale spisek wrzał i drogą nieuchwytną dla policji rosyjskiej i marszałkowskiej przedzierały się z Krakowa głuche wieści o powstaniu i Kościuszce. Na taką to naprężoną chwilę trafił Bogusławski ze swojem dziełem; tekst był nieco błahy, ale sam wybór środowiska (po raz pierwszy nasi włościanie, górale i lachy, ich waśni odwieczne i zgoda ostateczna) był nowością; dotąd występowali włościanie poprzebierani za Turków czy «berżerów» ze śpiewkami im obcemi i tańcami stylowemi; tu rozgrywał się dramat rodzinny i wiejski pod Mogiłą, bez wszelkich panów-łaskawców; zawikłanie rozwiązał student-wagus Bardos maszyną elektryczną i jej «cudami». Weselny ceremonjał chłopski, śpiewki i przymówki, życie chłopskie z ich obyczajami i zapatrywaniami były żywo a barwnie, nawet z zachowaniem kolorytu językowego (narzeczowego), z miłością i znawstwem jakiem takiem przedstawione; o ludzie zaś powszechnie myślano, bo wiedziano, że bez niego się już nie obejdzie. Dopełniały miary śpiewki, nam dziś obojętne, wtedy rozumiane i gorąco witane, np. takie strofki: Basia śpiewa,

Gdzie się w niewoli zyje,
Niemas tam swej lubości;

---

[1] Targowica zabroniła natychmiast wystawiania sztuki Bogusławskiego *Henryk VI na łowach* (z powieści francuskiej, a ta z angielskiej), gdzie przewrotnej arystokracji z mlokosem pysznym, który «prócz zbytków i zgorszenia obyczajów nic więcej nie przyniósł swojemu krajowi», przeciwstawiony lud poczciwy, walczący za ojczyznę: «niegodziwy hultaju!», przemawiał pan do chłopa, ale ten mu odciął prawdę i zażądał, aby to po raz ostatni ten wyraz od niego usłyszał; dosyć przyczyn, żeby się Targowica ujęła za nieposzanowanie swego stanu.

Pies na powrozie wyje,
Kazdy pragnie wolności;

a w arji Bardosa były strofy:

Niemądry, kto wśród drogi
Z przestrachu traci męstwo.
Im sroższe ciernie, głogi,
Tem milsze jest zwycięstwo.
Im sroższy los nas nęka.
Tem mężniej stać mu trzeba;
Kto podło przed nim klęka,
Ten nie wart względów nieba.

Niemiec Seume (zob. wyżej) widział sztukę dwa razy (po trzecim zabroniono dalsze) i musi «wyznać, że nigdy w życiu nie zauważyłem, ani też sam nie doznałem wrażeń silniejszych, głębszych i trwalszych», «podniosła zapał do niesłychanej wyżyny». Więc nie dziw, że i później jej zabraniano, nie weszła wcale do zbiorowego wydania dzieł Bogusławskiego; wydrukowano ją z lichego odpisu dopiero w Berlinie 1841 r., a z lepszego 1923 r.

Polityczna komedja *Powrót Posła* i patrjotycznie tłumaczona sielanka *Krakowiaków i Górali* (w przeddzień Racławic), to szczyty dramatu polskiego, który zresztą niewiele zbierał wawrzynów; publiczność gapiła się raczej na widowiska obce; szczególniej loże świeciły pustkami w przedstawienia polskie; trzeba było wytrwałości Bogusławskiego, aby się nie cofnąć przed tą obojętnością ogółu; rok 1795 rozprzęgł wszystko i Bogusławski opuścił stolicę dla Lwowa i prowincji. Jedno jeszcze przewiódł: zdjął stygmat hańbiący z «komedjantów», przeciągnął granicę między teatrem a widowiskami jarmarcznemi i hecami cyrkowemi, sztuce wyrobił przynależne miejsce; to ojciec-twórca teatru polskiego, chociaż tak mało oryginalny, jak i Zabłocki. Tymi dwoma stał teatr XVIII wieku.

JĘZYK

Nie ostatni to dział, wymagający dla okropnego zaniedbania nagłej a stanowczej poprawy. Do niedawna ciążyło nad nim jarzmo łacińskie, teraz zamienione na francuskie, tem niebezpieczniejsze, że jemu podległ właśnie świat kobiecy, stojący dotąd na straży ojczystego języka, że się go teraz nawet w rodzinie i modlitwie zapierano. Jezuici wygnani z Francji, uczyli nietylko matematyki i fizyki, ale i wytwornej francuszczyzny po kolegjach i coraz więcej napływało rodowitych Francuzów, zastępujących Niemców i Szwajcarów z ich nieszczególną wymową. Najoświeceńsi obywatele mówili albo po francusku albo przeplatali polszczyznę pół na pół francuszczyzną, ani się domyślając, jak krzywdzą język ojczysty; wyjątkami byli taki generał ziem podolskich, wypowiadający wojnę obcym wlazom, tworzący nawet neologizmy (niekoniecznie szczęśliwe), albo ks. Włodek, spisujący nawet dawne słowa, mniej lub wcale już nie używane: nie jedyny to zresztą spis tego rodzaju, bo tak nagle odwykano od dawnej literatury, że i jej słownictwo charakterystyczne ulatniało się z pamięci. Właśnie kobiety kaleczyły najbardziej, mniej język, niż pisownię: ich listy bywały parodją wszelkiej ortografji, i nie dziw, bo nikt nie dozierał wychowania panienek, najmniej te, co najwięcej o to dbać miały, matki. Matki córek nie widywały, spuszczały się na guwernantki, a te były Francuzki! więc od kogo miała się panna uczyć po polsku, jeśli nie od służby? Oto przykład: Zofja Czartoryska, córka tak dbałego o polszczyznę generała ziem podolskich, miała ochmistrzynię, starą Petit, arcypoczciwą i pobożną matronę, zdolną do każdego poświęcenia, lecz do żadnej nauki; miała metrów do wszystkiego, lecz niczego się nie wyuczyła, bo księżna Izabela spuszczała się na pannę Petit, która ją jeszcze wychowała (!), a ta na metrów, a ci na Zosię, i czarująca pięknością Zosia byłaby nieuczką skończoną, gdyby z ambicji sama nie starała się o jakąś wiedzę,

nieśmiała wobec starszych, bo wstydząca się swego nieuctwa. Tak było w najkulturalniejszym i najpatrjotyczniejszym domu polskim: spojrzeć na byle list byle pani polskiej, to załamać ręce nad jej kakografją.

Nauka języka polskiego leżała odłogiem, brakło książek; po Szylarskim zasłużył się dzielnie około pisowni i gramatyki dopiero ks. Kopczyński, który za wzorem gramatyk łacińskich zebrał reguły z przykładami, filozofował nad językiem i jego objawami; wyłożył wszystko systematycznie i ustalił poprawną pisownię i słowotwórstwo. Nie brakło przecież form niepoprawnych, np. 2 przyp. l. mn. na *-ów* u żeńskich i nijakich, *trosków, wsiów, mszów, życiów, przysłowiów* i t. d., ale używano i form *trosek* (niby jak *wiosek);* l liczby mn. pisano stale przez *ie,* zamiast *i, widziemy, bojemy, cierpiemy,* a łacina tak przytłoczyła polszczyznę, że za jej wzorem używano przeczenia jednego zamiast podwójnego: *on nic widzi,* zamiast *nic nie widzi.* Otóż ks. Kopczyński, oparty o język złotego wieku i Knapjusza, okrzesał drzewo językowe z tych wilków, wznowił zarzucone już zupełnie kreskowanie *ó* i *é,* niestety i *á,* nie istniejącego w gwarze towarzyskiej; ustalił formy chwiejne, np. końcowe *-em (-ym)* u przymiotników (a za tem i w l. mn. *-emi* i *-ymi)* — tu narzucił niestety językowi regułę jemu obcą, z którą się do dziś biedzimy. Druki z końca wieku były też poprawniejsze niż owe z lat sześćdziesiątych; prowincjalizmy, np. obrzydliwe *se* (sobie), poznikały. Język wygładził się, wystarczy porównać satyry Piotrowskiego lub Naruszewicza z satyrami Krasickiego, język komedyj Bohomolcowych z Zabłockiego i Niemcewicza, Pamiętników Kitowicza z *Panem Podstolim;* niektóre broszury polityczne z lat 1788—1792 cuchnęły stęchlizną przesądów, ale język ich nienaganny.

Makaronizmy ustawały, nie w mowach sądowych i sejmowych, ale w potocznych i w drukach; to tem bardziej godne zaznaczenia, im trudniej było się obyć bez neologizmów, niezbęd-

nych wobec zubożenia języka przez łacinę; należało tworzyć całe słownictwo naukowe, o zasługach Śniadeckiego zob. wyżej; pisarze Wielkiego Sejmu kładli w nawiasach nowotwór obok łacińskiego czy francuskiego słowa; Jacek Przybylski przysłużył się, mimo oporu, na jaki trafiał, niejednym nowotworem *(wszechnica,* za którą i książę generał gardłował, *zakusy, książnica* itp.). Co nam oczywiste, nie istniało dla nich, my mówimy o *łukach,* ks. Pstrokoński w Rzymie tylko łac. *arkus* znał (t. j. nasz *arkusz,* ale o papierze). Podobnie brano z francuszczyzny całe słowa i dodawano im spółgłoskę dla łatwiejszej odmiany, np. *filut* z *filou,* albo *kajet* z *cahier* i t. p. Pozbywano się zwrotów imiesłowowych, które na Litwie przetrwały: *Król przybywszy, ja wyszedł;* pozbyto się *go* zamiast dzisiejszego *je: dziecko... on go widział (je widział);* przyzwyczajono się do mylnego *-łszy* zamiast poprawnego *-szy (szedłszy);* w bezokoliczniku pisano nawet *bydź* (wedle *będę), biedz* i t. d.

Tłumacze, czy z łaciny czy z francuskiego tłumaczyli, zaznaczali wyraźnie, że celem ich wzbogacenie, wygładzenie języka i należy im przyznać, że się ich sztuka wydoskonalała. Ponieważ nikt do ksiąg dawnych nie zaglądał, tradycja literacka niby się przerwała, niby na nowo pisać zaczynano, więc gwara towarzyska, bez prowincjalizmów i solecyzmów zapanowała niepodzielnie; Wielkopolanin czy Mazur wystrzegali się właściwości swej gwary, język stawał się zupełnie jednolitym, niemożliwy byłby taki *leleń (jeleń),* w książkach naukowych XVII wieku jeszcze się zjawiający.

Wydawano nieraz, chyba w celu ułatwienia, tekst francuski obok polskiego, np. «Rady przyjacielskie, dane młodemu Kawalerowi udającemu się na świat» = *Conseils d'un ami à une jeune homme qui entre dans le monde,* Warszawa 1769 u M. Groella (tłumacz Jan Grabieński ojcu Wojciechowi, staroście stężyckiemu, na imieniny ofiarował), albo «Manualik poczciwego człowieka, czyli maxymy potrzebne we wszystkich krajach i cza-

sach» = *Manuel de l'honnête homme ou maximes nécessaires* etc., Warszawa 1774 r. u M. Groella: na każdej stronicy oba teksty obok siebie.

Teraz dopiero ustał ów rozdźwięk między drukiem a pismem; druk zawsze odróżniał *ł*, nosówki, *ś* i t. d., pismo zaniedbywało te różnice do niedawna (ono np. nigdy nie kreskowało *á*, chociaż druk tego ściśle przestrzegał); teraz ustalono, gdzie pisać *ó*, gdzie *u* (tylko w kilku razach pomylono się, ustanowiono np. *ogół* zamiast poprawnego *ogułu*, *szczególny* zamiast *szczególny* i in.); gdzie *rz* a gdzie *ż;* zaprzestano barbarzyńskiego zwyczaju, kosztem ortografji rym dla oka uwydatniać *(ktury — figury,* albo odwrotnie *ktory — figory* i in.).

SZTUKI PIĘKNE

Literatura, mimo wszelkiej zależności od wzorów obcych, przejęła się duchem obywatelskim; była polską nietylko w słowie-wyrazie i treści; zapisała się we wdzięcznej pamięci narodowej niepospolitemi dziełami. Przeciwnie sztuki piękne; pielęgnowano je w zawody; dwór królewski, Nieśwież, Białystok, Słonim, Puławy, Dukla, Rydzyna, utrzymywały znakomite kapele i chóry, architektów i rzeźbiarzy, miniaturzystów i portrecistów, nawet twórców wielkich płócien historycznych, albo malowideł ściennych (plafonów); kwitło kolekcjonerstwo, szczególnie skupowano obrazy, a król przyświecał i tu najlepszym wzorem. Ależ to była sztuka włoska i niemiecka, artyści Włosi i Niemcy, wyjątkowo Francuzi i Szwedzi; najmniej śród nich Polaków. Król odczuwał dotkliwy brak sztuk pięknych i starał się mu zapobiec, zakładał pracownie dla ziomków, a wspierał talenty, gdzie się z nimi spotykał. Wysiłkom nie odpowiadały wyniki; zbyt długo ugorowały niwy polskie, o żniwie artystycznem nie było i mowy; wszelkie zadania, nie mówiąc o trudniejszych, poruczano wyłącznie obcym, nie dowierzając własnym. Mimo licznych arty-

stów i dzieł dorobek narodowy pozostał najskromniejszym; hołdowano nowym smakom, mnożyła się kultura artystyczna, uczono się cenić sztuki piękne inaczej niż za sarmatyzmu, ale na własną twórczość było jeszcze zawcześnie; tworzyła ona wyłącznie wedle szablonów obcych, chociaż zachowywała pewną miarę, stroniąc od wszelkiej przesady, nie rzadkiej np. u Niemców (w ich baroku).

MUZYKA

Wobec mnóstwa kapel, wobec szerokiego udziału muzyki i śpiewu nawet w wychowaniu kobiecem, wobec zamiłowania dla opery (i baletu), raził zalew obczyzny właśnie na tem polu. Muzyka kościelna, kwitnąca za Sasów, zalegała ugorem, brak przynajmniej dotąd wybitniejszych okazów rodzimych; z mnóstwa dyletantów nie wybiło się żadne głośniejsze imię. Kwitła muzyka świecka, nieustanne bale, kantaty na wszelkie uroczystości, polonez ulubiony wymagały obfitej produkcji; obcy wirtuozowie urządzali w Nieświeżu i in. szkoły muzyki i śpiewu (wiemy o szkole śpiewu w Różance Sapiehów, której uczniowie wykonali operę *Le devin du village*, dla której hetman Ogiński zmarłego Rousseau kolegą swoim przed królem nazwał), a zdolniejszych wysyłano dla dalszego kształcenia zagranicę. Tak posłał Szczęsny Potocki swego kowalczyka, zdolnego skrzypka, na naukę do Neapolu, który po ośmiu latach wrócił już jako «Ferrari» do Tulczyna i został kierownikiem znakomitej jego kapeli. Józefa Kozłowskiego, warszawiaka, z kapeli katedralnej św. Jana, powołał Ogiński na nauczyciela dla swego syna (znanego muzyka), ale przeciągnął go Potemkin do Petersburga, gdzie aż do śmierci pozostał; kapelmistrz nadworny znaczny talent na drobiazgi okolicznościowe roztrwonił; jedno z najlepszych jego dzieł, *Requiem*, dla St. Augusta w Petersburgu r. 1798 napisane. Publika warszawska, która się z operą już za Sasów poznała, którą

przygodnie jedna i druga trupa włoska bawiła, tak jej pragnęła, że szczwany antreprener i szuler r. 1773 stałą operę włoską w pałacu Radziwiłłowskim urządził i do r. 1777 z zyskiem prowadził, poczem odstąpił ją Ryxowi i austrjackiemu baronowi Kurtzowi; mieli znakomitych śpiewaków włoskich i baletników, wystawiali najlepsze opery (Cimarosy, Piccini i in.) i mimo podwyższonych w trójnasób cen ściągali tłumy publiczności, co «z trudnem do uwierzenia uniesieniem» te opery witała. Do kosztownych urządzeń przyczyniali się i magnaci, tak ks. Lubomirski wystawił balet *Sąd Parysa* (Casseliego); same kostjumy paryskie kosztowały go przeszło 50.000 złp. Wojewoda krakowski, inny Lubomirski, utrzymywał operę włoską w Krakowie, tak samo Kluszewski, starosta brzegowski, od r. 1787—1794, u którego debiutowali słynni później śpiewacy warszawscy, bo Kluszewski dobierał chętnie i rodaków; biskup Sołtyk operetkę włoską uprawiał, a ks. Wacław Sierakowski ze swoją szkołą muzyczną publicznie występował (z dwoma nauczycielami, Czechami, Langiem i Gollumbkiem; trzecim był Kratzer, Krakowianin, zajęty przez Sołtyka). Nad przeciętną miarę dyletancką wyrósł w. hetman litewski, ks. Michał Kazimierz Ogiński, twórca licznych polonezów, sam skrzypek znakomity (uczeń Viottiego) i właściciel wybornej orkiestry w Słonimiu. W Nieświeżu utrzymywał operę włoską i nieliczną, ale doborową orkiestrę Karol Radziwiłł; kapelmistrzami bywali Albertini (później kapelmistrz Stanisława Augusta) i Holland, przywołany z Hamburga: on dorobił muzykę do tekstu Macieja Radziwiłła w *Agatce*, którą St. Augusta za gościny jego w Nieświeżu r. 1784 witano. Pierwsza to opera (raczej operetka) ludowa, a tekst nadzwyczaj udały (z zachowaniem gwary mazowieckiej) i melodje polskie ludowe: dziedzic zamierza wyswatać kilka par; podstępny podstarości Pijaszko podsuwa swego *Antka* Gaydala zamiast *Antka* Całki ku rozpaczy Agatki; intryga się wyjawia i Pijaszka dziedzic napę-

dza; humanitarna treść wzbudzała wielką cześć dla autora. Ale *Agatka* nie wyszła poza mury nieświeskie.

Wyprzedziła ją pierwsza publiczna opera polska, *Nędza uszczęśliwiona,* tekst Bohomolca, rozszerzony r. 1776 przez niego a potem przez Bogusławskiego, do którego muzykę dopisał Słowak, nauczyciel muzyki, popularny w Warszawie, Maciej Kamieński. Na partyturze *Nędzy* wypisał Kamieński sam: «te śpiewy po modnemu nie są skomponowane dla krytykusów, ale dlatego, aby także Polacy śpiewali». W istocie niewiele tam (prócz jednego poloneza) polskiego; jest to raczej «typowa międzynarodowa gwara muzyczna o niebardzo wartościowych pomysłach melodyjnych». Wystawił ją francuski entreprener, poczciwy Montbrun, były śpiewak opery paryskiej, nauczyciel śpiewu w Warszawie, któremu po Ryxie oddano teatr w pałacu Radziwiłłowskim, 11 maja 1778 r. I tu zaważyła inicjatywa królewska, bo przy wystawianiu oper włoskich, francuskich i niemieckich wyraził król życzenie 1776 r., «aby i Polacy to uczynili»; napisał i ogłosił w r. 1773 Bohomolec tekst [1] ze śpiewami; odegrać mieli to kadeci, co nie przyszło do skutku; tekstu dostał Kamieński, spodobał mu się i dorobił muzykę; Montbrun niestety zbankrutował, bo pałac Radziwiłłowski, gdzie dawał przedstawienia, odebrano mu nagle, gdy Radziwiłł wrócił z Paryża do kraju; po drugiem przedstawieniu *Nędzy* musiał w ciągu 48 godzin opuścić pałac i cały jego znaczny wkład przepadł; *Nędzę* grano jeszcze z nowem powodzeniem na prywatnym teatrze ks. ekspodkomorzego (Kaz. Poniatowskiego) na Solcu, ale już bez Montbruna. R. 1778 zbudowano na rozkaz króla nowy teatr narodowy polski i tu wystawiono drugą, nierównie lepszą operetkę Kamieńskiego, *Zośka albo wiejskie zaloty* (r. 1779), z bardziej

[1] Zupełnie co innego jest J. A. Załuskiego *Obraz nędzy ludzkiej* z Diderota, drukowany r. 1768 u Mitzlera «pod niebytność autora» (wygnańca w Kaludze!), «nakładem towarzystwa literatów w Polsce ustanowionego», z nazwiskami polskiemi (Nędzarski i t. d.), ale w Kosmopolji-

urozmaiconą i na lepszych wzorach opartą melodją, szczególnie w arjach komicznych; dalsze opery Kamieńskiego, polskie i niemieckie, nie cieszyły się równem powodzeniem, jako zbyt słabe, ale pozostało zasługą jego, że pierwszy zachęcił do pisania muzyki do oryginalnych dzieł polskich i że wkładał poczynających śpiewaków polskich do wydoskonalenia się w sztuce. Po Kamieńskim tworzyli opery polskie Włoch Gaitano, kapelmistrz królewski, wyuczywszy się po polsku, do słów Zabłockiego: *Nie każdy śpi ten co chrapie* (83 razy wystawione); opery Czecha Antoniego Wejnerta, flecisty królewskiego, dla braku melodji i techniki zawiodły zupełnie. Od r. 1785 do 1789 występowała w Warszawie znowu opera włoska; Bogusławski grywał na prowincji, ale król wezwał go r. 1789 do objęcia teatru polskiego, którego się domagano, więc aby wytrzymać konkurencję, postarał się Bogusławski o wznowienie opery. Sprowadziwszy dobrych śpiewaków z Krakowa (od Kluszewskiego), tenorzystę Kaczkowskiego, basistę Szczurowskiego i primadonnę Jasińską po szeregu oper włoskich (mianowicie ulubionej *Fraskatanki* Paesiellego), wystawił 1 marca 1794 r. z olbrzymiem powodzeniem *Krakowiaków i Górali*, które «pozyskały wszystkich serca, zapaliły wszystkich umysły» i dlatego zdjęto je natychmiast z repertuaru jako zbyt niebezpieczne, bo «oczy Warszawy były skierowane na Kraków». Muzyka Czecha, Jana Stefaniego, koncertmistrza-skrzypka królewskiego (od r. 1771), twórcy wielu polonezów, wsłuchanego w melodje ludowe, które umyślnie na wędrówkach krajowych poznawał, przyczyniła się dzielnie i do dalszego powodzenia dzieła, gdy je Bogusławski w r. 1795 we Lwowie wznawiał. Stefani część melodji zaczerpnął z pieśni ludowych, część dorobił w podobnym duchu, a chociaż pisał kilka oper i kompozycje instrumentalne, drugi raz nic podobnie ładnego mu się więcej nie udało.

Z dyletantów-arystokratów należy wymienić bratanka hetmana w. lit. Ogińskiego, Michała Kleofasa Ogińskiego, ostat-

niego podskarbiego litewskiego, ucznia owego Kozłowskiego; wyrósł on na tradycjach dworu i kapeli słonimskich i wydał nawet *Bajki i niebajki Obywatela Słonimskiego;*[1] najsłynniejsze są jego polonezy na fortepian, co świat przed Chopinowemi obiegały, między niemi *Pożegnanie Ojczyzny;* napisał i marsz dla legjonów (sam wychodźca z kraju), ależ to nie «mazurek Dąbrowskiego»; słynny z pamiętników swej służby narodowej.

ARCHITEKTURA. RZEŹBA. MALARSTWO

Za Sasów pokutował spóźniony barok, który nas z Niemiec dochodził, za Stanisława Augusta rozpanoszył się z Francji wprost styl rokoka, przekwitający poniekąd na Zachodzie (myśmy się zawsze nieco spóźniali) i ustępujący powoli nowemu klasycyzmowi, już nie renesansowemu, bujnemu, pełnemu życia, lecz antykowi zmanierowanemu, mniemaną prostotą i czystością linji maskującemu brak własnej inwencji, fantazji, polotu. Nie było na tem polu ani dyletantów, ani wyszkolonych sił rodzimych; zalew obcy, Niemców i Włochów, wyjątkowo Francuzów, tę dobę cechował. Król, obojętny raczej dla muzyki (nie miał ucha muzycznego), tem gorliwiej sztukom plastycznym hołdował; budował, przebudowywał całemi latami rezydencje miejskie i zamiejskie, sam plany kreślił i nad wykonaniem czuwał, pomysły podawał, środków nie skąpił; za jego przykładem panowie rozwalali i budowali, nieraz na tak wielką stopę, że nakładu nie starczyło i niedokończona albo porzucona budowa nie-

[1] Dwie części; treść charakterystyczna, sentymentalna (tłumaczenie *Nocy* Junga) i frywolna, a zasada «plezyr jest dobro największe ja myślę» (tylko z miarą, żeby pragnienie i żądza znowu wracały); są dwie opery: *Mocy świata,* grane na teatrum Słonimskiem (alegorja: przyroda, rozum, piękność i t. d. spierają i godzą się); druga *Pola Elizejskie,* drama z muzyką: tylko niewinni mają tu wstęp i ich los szczęśliwy. Są dalej bajki zwierzęce, obce i własne, piosnki z nutami i t. d.

bawem w ruinę się odmieniała, co obcych raziło, nawet w takiej Rydzynie; i smak ich bywał nieraz osobliwy, szczególniej gdy się panowie sami i księża w architektów bawili i obcą robotę psuli. Znawcy lepszego niż Stanisław August nie było chyba w Polsce spółczesnej, a jego kolekcjonerstwu nikt inny nie dorównał. Król kazał wedle planów Merliniego w latach 1770—1786 odnawiać zniszczone przez pożar r. 1767 wnętrze zamku warszawskiego (od Wisły); powstał cały szereg sal (balowa, rycerska, sypialnia i in.), z dawnego baroku saskiego na antyk przerobionych, z akcesorjami w stylu francuskim Ludwika XVI. Pałac Łazienkowski ze starego saskiego (i jeszcze starszego z XVII wieku) przebudował ten sam Dominik Merlini (1784—1793), podwyższył go o jedno piętro, pododawał skrzydła i pawilony, i stworzył lekką, wytworną willegiaturę; w parku o stylu geometrycznym i pejsażowym rozrzucił kilka równie powabnych budynków, teatr Pomarańczarni, Biały Domek i in. Budowle saskie przerabiali na antyk lub budowali tak odrazu panowie na prowincji; tak odnowiono i przerobiono Puławy, a w nich wzniesiono Świątynię Sybili całkiem na wzór grecki; podobnie budowano pałace na kresach ruskich (w Dubnie, Humaniu, Tulczynie i in.), a nawet dworki szlacheckie przybierały nieraz frontony klasyczne z kolumnami i tympanonem. Pod Warszawą samą powstawały liczne podmiejskie pałace. I kościoły nie uchroniły się przed nowym smakiem: przebudowywano ich fasady w formach klasycznych, np. katedry poznańskiej (architekt Solari po r. 1789); kościół protestancki w Warszawie, ogólnie podziwiane (i przez obcych) dzieło S. B. Zuga, naśladował niby Panteon (który i na inne budowy kościelne wpływał), i odznaczał się wielką prostotą i powagą. W rzymskiej akademji św. Łukasza kształcili się architekci polscy, St. Zawadzki, profesor w Szkole Rycerskiej, bardzo czynny, i Jakób Henysel, budowniczy w Puławach i in., obaj odznaczeni nagrodami rzymskiemi.

Styl rokoko, teatralny, słodkawy, zmanierowany, objawił

się głównie w rzeźbie; barok odznaczał się patosem, energją, rozmiarami, w rokoku wszystko jakby się zwężało, złagodniało, wymuskało. Posąg Sobieskiego w parku Łazienkowskim z 1788 roku, odsłonięty z nadzwyczajnemi fetami (kantatę napisał Kamieński), dzieło Pinka wedle pomysłu Le Bruna, jest najbardziej typowym okazem tej sztuki: heroicznego w niem tyle, co w *Wojnie Chocimskiej* Krasickiego, t. j. ani śladu wielkości, bohaterstwa, poświęcenia: rzecz jakby z dragantu, nie ze śpiżu, i grubo białą szminką pokryta; zakrawałaby, gdyby nie koń, na tenora w pozie przed kinkietami. Mniemał król, że utworzy sztukę rodzimą, poddając obcym artystom tematy polskie, malarzom jeszcze więcej niż rzeźbiarzom. Głównym jego rzeźbiarzem był Francuz Le Brun, uczeń Pigalle'a; on uzupełniał architekturę Łazienek figurami, dekorował pokoje supraportami, wykonywał w parku posągi i grupy mitologiczne, wszystko w stylu francuskim. Zatrudniał król i innych rzeźbiarzy, Włochów Monaldi, Righi, Staggi; Righi dekorował posągami katedrę wileńską. Oni, a głównie Le Brun, wykonywali dla pokojów zamkowych biusty słynnych ludzi, między niemi i Polaków (odlewane nieraz i w bronzie w pracowni warszawskiej Dietricha). Samoistne znaczenie rzeźba utraciła, stała się wyłącznie dekoracją, ale u nas, na prowincji szczególniej, utrzymało się snycerstwo, mianowicie ołtarzowe; odznaczali się niem Frąckiewicz i rodzina Korneckich, czynni w Kielcach.

Samoistniej (nietylko jako dekoracja) i obficiej występowało malarstwo, obok religijnego (dawnej cechy), głównie portretowe (i minjaturzystów), mniej rodzajowe i historyczne, gdzie znowu król poddawał obcym malarzom polskie tematy niby dla unarodowienia sztuki; w tym celu zakładał król malarnię, tworzył galerję obrazów dla wzoru i nauki, aby wychować zdolnych pracowników polskich, których postępy pilnie śledził. Przeniósł do Polski malarstwo włoskie i francuskie; najczęściej spotykamy się z dwoma mistrzami: Bernardo Belloto (zwany Cana-

letto wedle wuja i mistrza swego Canale), były malarz nadworny drezdeński; r. 1767 wezwany przez króla porzucił służbę saską i został jego malarzem nadwornym; jak dawniej odtwarzał z wielką starannością i sztuką znaczną widoki rzymskie, wiedeńskie, saskie, tak teraz warszawskie, niby ilustracje do kroniki architektury warszawskiej; jego znakomicie oświetlone obrazy zdobią wszystkie znaczniejsze galerje europejskie; nierównie mniejszej wagi były jego kompozycje historyczne.

Z imieniem Stanisława najściślej połączone imię Bacciarellego (1731—1818), dyrektora budowli królewskich, utrzymującego swoją prywatną malarnię (wspieraną przez króla), wprowadzającego do Polski ku zgorszeniu największemu ks. Kitowicza nagi akt, chociaż już w Rzymie u św. Łukasza papież nań zezwolił; był wkońcu profesorem malarstwa i dziekanem wydziału sztuk pięknych na uniwersytecie Aleksandrowskim. Rzymianin, uczeń Pompea Battoni, bardzo u nas cenionego, sprowadzony r. 1753 do Drezna, przeniósł się r. 1765 do Warszawy, której już nie opuścił. Nadzwyczaj czynny, sumienny, delikatny, przejął się stylem rokoko, ale już w większych kompozycjach objawiała się skłonność do klasycyzmu, której i król hołdował. On głównie dekorował sale zamku i łazienkowskie; w sali marmurowej wymalował królów polskich, a na jej suficie Sławę głoszącą ich czyny; w sali audjencjonalnej plafon z wyobrażeniem rozkwitu sztuk, nauk, przemysłu; w sali rycerskiej sześć obrazów z dziejów polskich (hołd pruski, Wiedeń i t. d.) W tych jego obrazach historycznych niema nic historycznego, były to konwencjonalne okazy w guście epoki, która się historycznością i *couleur locale* brzydziła (jak i przyrodą niewyfryzowaną i modelem niesalonowym); najciekawsze w nich głowy kobiece, bo wszystkie piękne panie (od p. Grabowskiej aż do baletnic) spółczesne na nie się złożyły; obok tego mnóstwo kompozycyj mitologicznych, rzymskich, biblijnych, wszystkie równie wymuskane, uśmiechnięte lub zamyślone, szkoły włoskiej (Tiepolo), z elegan-

cją francuską. Trwałą wartość posiadły jego portrety (najczęściej malował króla), odznaczające się wytwornością, delikatnością i miękkością, oddające wybornie smak i styl rokoko, jego stroje, peruki, pudrowane włosy a malowane twarze, jego architekturę i ozdóbki; ton ich złocisto-żółty, a duch nowego pokolenia, miękkiego, zalotnego, bez hartu i energji.

Podczas sejmu czteroletniego pracował, t. j. portretował w Warszawie Giovanni Battista Lampi (ur. r. 1751), który mimo włoskiego nazwiska i pochodzenia, Francuzów i klasycyzujących Niemców naśladował, szlachetność ich linji, zarazem pozę i afektację z delikatnością koloru. Trzeci portrecista, Wiedeńczyk Józef Grassi (1758—1838), pracował w Warszawie 1790—1799, poczem się do Drezna przeniósł, mniej delikatny, więcej męski w portretach męskich, gdy kobiece pełne uroku i sentymentu, za tło miały przyrodę, zapowiadając nową epokę, romantyczną. Tylko portrety pań dworskich malowała Francuzka, pani Vigée Lebrun, nie ustępując wcale co do bogactwa wyrazu i rozmaitości techniki owemu tryumwiratowi. Dwaj inni obcy portreciści, Szwajcar Antoni Graff i Szwed Per Krafft, bawili tylko przelotnie w Polsce; Krafft stworzył całą galerję różnych Poniatowskich i kopje obrazów mitologicznych i rodzajowych; jego portrety i obrazy stylu francuskiego, lekkiego, są bardziej ożywione, uśmiechnięte.

Sam król wypiastował Saksończyka Kamsetzera, swego architektę i malarza; wysyłał go po całej Europie, nawet do Grecji i Konstantynopola, skąd Kamsetzer (architekt Łazienkowski) przesyłał królowi rysunki i akwarele, widoki ożywione figurami, wykonane świetnie. Pastelowe malarstwo (głównie portrety rodziny królewskiej i innych znakomitości) wykonywali Francuz, Ludwik Marteau, który z dworu Sasów przeszedł do Stanisławowego (malował między innemi portrety uczestników obiadów czwartkowych) i Berlińczyk Gustaw Taubert, który w Warszawie portretował króla i in., między r. 1785 a 1794.

Król sam był typowym eklektykiem, co dla mody wkońcu neoklasykiem został i na sarmacki barok się zżymał.

Pastele były u nas świeżej daty, natomiast minjatury pielęgnowali już Sasi i ten prawdziwie rokokowy rodzaj (rokoko umiłował drobną sztukę, bonbonjerki, tabakierki i t. p.), nadzwyczaj popłacający w całej Europie, popierał król silnie; już Taubert wykonywał minjatury, dostarczał ich z zagranicy Füger, a w Warszawie Francuz Karol Bechon; król wychował sobie osobnych minjaturzystów w osobie Warszawianina Wincentego De Lesseur, ucznia Bacciarellego, i Józefa Kosińskiego, również ucznia Bacciarellego, dokształconego we Włoszech; Warszawianin Aleksander Kucharski (urodzony r. 1742), paź Stanisława, przez niego wysłany do Paryża, uczeń Viena i Vanloo, tam utkwił, zawołany minjaturzysta wielkiego świata paryskiego, od Marji Antoniny i jej dzieci począwszy; w jego minjaturach i pastelach (król myślał o obrazach historycznych), byli i Polacy, Wielhorski i Sapieha. Obok pasteli i minjatur zagęściły się i sylwety; tu odznaczył się Francuz, Jan Piotr Norblin (urodzony r. 1745), uczeń malarzy paryskich, dzieł Watteau, Casanowy i Akademji paryskiej; r. 1774 wezwał go z Drezna Adam Czartoryski na malarza nadwornego i nauczyciela rysunków dla swych dzieci i pod wpływem otoczenia (pozostał w Polsce do r. 1804, poczem wrócił do Francji i tu wydał kolekcję typów polskich r. 1804) został znakomitym malarzem rodzajowym polskim: portrety jazdy polskiej, sceny z targów końskich, od Bielan i pod. były ulubionemi jego tematami; jako rytownik powodował się Rembrandtem w światłocieniu; Watteau i Casanova zwracali go ku sielankom eleganckim i piknikom; rosło zamiłowanie jego do kraju, który szlachcicowi francuskiemu nadał indygenat, czego Bacciarelli nie uzyskał; szkicował wszystko pobieżnie raczej, ale z czuciem, typy ludowe i szlacheckie; z lubością studjował i oddawał efekty świetlne; był zarazem świetnym ilustratorem-rytownikiem (np. ryciny do *Myszeidy*) i dekorato-

rem niezwykłej siły. Objawił to w freskach, jakiemi ozdobił ściany i plafony «Arkadji» księżnej Heleny Radziwiłłowej w Nieborowie pod Łowiczem; natchnęły ją «Powązki» Czartoryskich, ale Radziwiłłowa przejęła się klasycyzmem jeszcze bardziej; budował Arkadję Włoch Ittar, a ozdabiał rzeźbami Włoch Staggi; spółcześni (i obcy) unosili się nad tym cudem sztuki-natury. Po r. 1790 oddawał się Norblin niemal wyłącznie studjom i szkicom z przyrody i ludzi polskich, coraz bardziej ścisły realista; konstytucja 3-go maja, powstanie kościuszkowskie odżywały w jego kreśleniu. Z jego szkoły wyszło malarstwo polskie XIX wieku, z jego szkoły A. Orłowski. Malował też portrety. Poważnym portrecistą był Józef Pitschmann, powołany do Korca Czartoryskich w r. 1788, skąd przeszedł do Warszawy w służbę królewską. Zygmunt Vogel, urodzony w Wołczynie Czartoryskich, zwrócił uwagę królewską na siebie w malarni Bacciarellego; król wysyłał go w podróże artystyczne po kraju i «rysownik gabinetowy» dostarczał widoków z pod Krakowa, okolic i zamków. Dekoratorami pałaców królewskich byli też inni. Jakób Hackert w Łazienkach z chińszczyzną rokokową i Ign. Persch, Warszawianin (1732—1817), uczeń szkół niemieckich, wkońcu malarz nadworny króla, ozdabiał Łazienki (plafon w pokoju kąpielowym z Dianą i Akteonem w stylu francuskim), a malował również obrazy religijne.

Szereg rdzennie polskich malarzy tworzył obrazy religijne przedewszystkiem, niewiele od dawnych cechowych odbiegłe; było ich sporo, wybitniejsi między nimi dwaj Lwowianie, bracia Stroińscy, Stanisław i Marcin, którzy polichromowali i ozdabiali kościoły lwowskie; podobnie w Krakowie Piotr Molitor na służbie biskupiej, ale ten przybył z Czech. Wysoko górowali nad nimi dwaj najznaczniejsi artyści XVIII wieku. Kazimierz Wojniakowski, Krakowianin (1772—1812) strwonił wielki talent, na którym się i król w malarni Bacciarellego poznał, w życiu hulaszczem: w jego portretach prostota i prawda zajęły miejsce

salonowości nierównie więcej niż u Grassiego, barwy silne i zdrowe zamiast bladych rokokowych; nawet obrazów religijnych nie pozbawiał cech realistycznych. Franciszek Smuglewicz, który rok w malarni Czechowiczowej strawił, potem długie lata w Rzymie, skąd w r. 1785 do Krakowa wrócił, pozyskawszy sławę znakomitego kopisty obrazów, wielkiego malarza religijnego i świata klasycznego (jego historyczne z dziejów polskich nie mają wartości), niewielu portretów i rodzajowych; po dłuższym pobycie warszawskim osiadł w Wilnie i objął katedrę malarstwa w nowym uniwersytecie; wszystkie jego obrazy są ściśle «akademickie», tj. poprawne, zimne i suche; całkiem w jego stopy wkroczył uczeń jego, Józef Peszke, Krakowianin (1767—1831), pierwszy profesor malarstwa w uniwersytecie krakowskim, znany jako portrecista (w sali ratuszowej warszawskiej dwanaście portretów spółczesnych znakomitości); obrazy jego historyczne i krajobrazy słabe.

Nie Paryż, dokąd Stan. August niejednego artystę wysyłał, lecz Rzym z swoją Akademją św. Łukasza, był kolebką nowej sztuki polskiej; sztuka ta była przeważnie albo wyłącznie religijna, a zamówieniom coraz nowych obrazów (i snycerstwa) religijnych popularny artysta ledwie mógł wydołać. Takim był Szymon Czechowicz, który się w kraju wskutek wykonywania mnóstwa zamówień zupełnie zmanierował: najlepsze jego płótna pochodzą z rzymskiej jego bytności, która mu najlepsze lata zabrała. Po Czechowiczu kształcili się w Rzymie owi trzej bracia Stroińscy, znani z obrazów w kościołach lwowskich i dunajowskich. Najwyżej stanął Tadeusz Kuntze, urodzony na Śląsku, kuchcik u biskupa krakowskiego Załuskiego, który poznał talent chłopca, postarał się o jego wychowanie i wysłał do Rzymu; z r. 1754 pochodził jego obraz «Fortuna» (dziś w Warszawie), dowodzący pilnego studjowania Włochów, oraz kilka obrazów polskich na zamówienia krajowe. R. 1757 wrócił do Krakowa, ale ze zgonem Załuskiego stracił protektora, a dwór saski i pa-

nowie polscy o artystę Polaka nie dbali (taki Mniszech chował Francuza, Le Croix; Boucher malował plafony w Puławach, które po zniszczeniu Norblin odnawiał). Bez zarobku w kraju wrócił Kuntze do Rzymu, gdzie Anna Jabłonowska (nieprzyjaciółka króla) zamawiała u niego obrazy religijne; tu dostał się na dwór kardynała Yorku, Henryka Stuarta (syna Klementyny Sobieskiej) i wykonał wiele prac, fresków, obrazów w Frascati i kościołach rzymskich, cykl mitologiczny o Hipolitosie i Fedrze, ale «mitologja» bywała tu i prostym stafażem, a pejsaż wybijał się na czoło, niby jak u Poussina, zresztą całkiem w stylu neoklasycznym. Najcenniejszą spuścizną artystyczną były jego gwasze, sceny rodzajowe (niby szkoły holandzkiej) z Rzymu i okolic, wysoce realistyczne, pełne bezpośredniości, nadzwyczaj charakterystyczne: między spółczesnymi wyjątkowe zjawisko; *Taddeo Polacco* przedstawił między innymi i siebie samego w konfederatce krakowskiej, zapatrzonego w biust starożytny; umarł w Rzymie r. 1793. Czego ten w Polsce nie znalazł, poparcia i uznania, to spłynęło w pełni na Franciszka Smuglewicza, wysyłanego przez króla do Rzymu, wspieranego stale przez króla i dwór, przez Kołłątaja nawet i Sołtyka; na zamówienie antykwarza Mirriego wykonał plansze do albumu fresków z «pokojów eskwilińskich»; po dwudziestu latach, spędzonych nad Tybrem, wrócił do kraju, zawalony pracą, chociaż talentem nie dorównał Kuntzemu.[1]

Ze szkoły Bacciarellego wyszło więcej artystów, ale nie wybił się żaden znaczniejszy; ich nazwiska na razie niewiele mówią. Podobnie miało się z ich poprzednikami, przeróżnymi księżmi, którzy jeszcze za Sasów zaczęli ozdabiać kościoły; i o nich było do niedawna głucho, np. o całej rodzinie malarskiej krakowskiej i bocheńskiej Korneckich i o in.

[1] Szczegóły o kolonji malarzy polskich w Rzymie, szczególnie zaś o Kuntzem, którego p. Loret nam odkrył, zawdzięczam jego książce, wymienionej już wyżej.

Na wzmiankę zasłużył też zniemczony zupełnie Polak, Daniel Chodowiecki, Gdańszczanin (1726—1801), zmarły jako wicedyrektor berlińskiej akademji sztuk pięknych, słynny jako rytownik i rysownik, nadzwyczajnej pilności i sumienności; odwiedzając matkę w Gdańsku r. 1773 przywiózł mnóstwo szkiców i rysunków także z życia polskiego, postaci pań i szlachty polskiej, obrazki rodzajowe wszelakie; i to są ilustracje dawnego bytu polskiego.[1]

Przytoczmyż jeszcze parę cen spółczesnych; rada Warszawy zapłaciła Peszkowi za wizerunki trzech Małachowskich 75 dukatów, za inne wizerunki po 20, ale przekraczała te sumy, za portret Kołłątaja zapłaciła 450 zł., snycerzowi za ramę 90, za pozłocenie 108 złp.

Do dziejów malarstwa należy też kolekcjonerstwo, tworzenie całych galeryj obrazów przez zakupna zagraniczne. Największymi zbieraczami byli Poniatowscy, król i brat jego Kazimierz,

[1] Chodowiecki, nie jedyny artysta niemiecki pochodzenia polskiego. W ciągu XVIII wieku pracowała w Niemczech, głównie jako portreciści, cała rodzina Lisiewskich (nie Liszewskich, jak ich w literaturze fachowej piszą); stary Jerzy Lisiewski, urodzony w Olesku, był malarzem dworskim berlińskim, jego jedna córka, Anna Dorota, zamężna Therbusch, również; malowała i dla Katarzyny II i dla Stanisława Augusta, dla carowej scenę mitologiczną, o czem i Diderot pisał (ten obraz wydostał Dr. Morelowski dla naszych zbiorów państwowych); przepiękny jej portret własny posiada Drezno, inny słabszy kupiono r. 1923 dla Neues Museum berlińskiego; w muzeum Hohenzollernów znakomity jej portret kochanki Fryderyka Wilhelma II; podpisywała się «née de Lisiewska», a na płycie grobowej «geborene von Lisiewska»; druga córka i wnuczka mniej zdolne malarki; syn Krzysztof nierównie lepszy (autoportret w stroju napoły polskim). A było podobnych artystów więcej: poznańczyk Oefele, malarz elektora, podpisywał się *natione Polonus;* snycerz Wacław Mirowski około r. 1735 w Monachjum zasłynął, również sztycharz Siedlecki i in., a wedle nauki niemieckiej malarze pochodzenia słowiańskiego i węgierskiego ożywili w XVIII wieku malarstwo niemieckie. Poszukiwania w tym kierunku prowadzi p. Marjan Morelowski, którego uczynności zawdzięczam te szczegóły (por. tom II, str. 640).

ekspodkomorzy. Agenci królewscy kupowali obrazy we Włoszech i Holandji; gdy M. Kl. Ogiński był posłem w Holandji i Anglji (między r. 1790 a 1793), nabył dla króla słynnego *Lisowczyka* Rembrandta (ocenionego na 180 dukatów w inwentarzu galerji z r. 1793), który był później ozdobą galerji Dzikowskiej. Przywozili do Warszawy obrazy i zgłaszali się z niemi do króla handlarze, Niemcy z Berlina, np. Triebel, od którego i Fryderyk II i Katarzyna II kupowali obrazy. Sprzedał on królowi r. 1775 obrazy za 4040 dukatów: dowód, jak król szafował dochodami (oszczędności, jakie na nim najbliższa rada, wujów i Zamoyskiego, wymuszała, przekreślała stale rada familijna); w parę lat później sprzedał mu Triebel obrazy już tylko za 1700 dukatów i to płatnych ratami miesięcznemi. Od Triebla kupował i ks. Kazimierz, raz 15 obrazów; za Teniersowe *Kuszenie św. Antoniego* zapłacił 1000 dukatów! Odżywała wtedy i w kołach francuskich sława Rembrandta; galerja królewska posiadała dziesięć sztuk jego obrazów (z tych sześć autentycznych); niejeden z nich należał do jego ulubionych i powędrował za nim do Petersburga. O kolekcjonerstwie St. Potockiego zob. wyżej.

PUŁAWY

Wiersz Koźmiana: «Nie byliśmy bez ojczyzny, bo nam zostały Puławy», odnosił się dopiero do pierwszego ćwierćwiecza XIX wieku, mimo to już tu należy się Puławom osobne miejsce w dziejach kultury polskiej. Wprawdzie nie powtórzymy za Zabłockim w dedykacji *Zabobonnika* (1783 r.), jakoby generał ziem podolskich był pierwszym w Polsce muz mecenasem, bo nie odmówimy Stan. Augustowi tego zaszczytu, ale żaden inny magnat nie dorównał panu generałowi w świadomem, celowem, a hojnem wspieraniu sztuk pięknych, literatury, nauki, wychowania. Byli i inni magnaci-mecenasi, ale zazwyczaj jednostronni, wspierający muzyków (naturalnie obcych), pielęgnujący teatr (ale

tylko domowy, bo na to chorowała wtedy cała zamożna Europa, i to przeważnie z obcemi trupami, francuskiemi, a włoskiemi baletami), ale któż z magnatów myślał np. o literaturze? Przyjmowali chyba dedykacje (nikomu tyle ksiąg nie dedykowano, co właśnie ks. generałowi), płodzili jak Jabłonowski wszelakie dziwactwa (fundacja naukowa w Lipsku, na miejsce Gdańska, a raczej niefortunnej Polski), bawili się w kosmopolitów (Jan Potocki). Jedyny Adam Czartoryski okazał się prawdziwym budzicielem nauk i sztuk; zwyczajem wieku nieco encyklopedysta, wszerz nie wgłąb sięgający, zostawił na każdem polu znamienite ślady patrjotycznej pracy, miłośnik wszystkiego co narodowe, od języka począwszy. Ród wydobył się świeżo; założyciele jego wielkości, w. kanclerz lit. i górujący nad nim nie pilnością, lecz umysłem i rządnością wojewoda ruski, mecenasami jeszcze wcale nie byli; Wołczyn, Sieniawa, Puławy nie dorównywały ani zdaleka francuskiemu Białemustokowi, ani muzykalnemu Słonimowi; dopiero wojewodzic, Adam (generał ziem podolskich i feldmarszałek austrjacki, a komendant gwardji galicyjskiej w Wiedniu) zawodniczył świadomie z królem-kuzynem. Byli sobie bardzo podobni urodą i wykształceniem, mniej temperamentem i nawyczkami: Adama, magnackiego syna, nie trapiła żądza kobiety ani korony, niepokojąca karjerowicza; był też pracowitszy i produktywniejszy, mianowicie na polu literackiem, które inaczej zgłębiał niż król-miłośnik; mniej też szukał i zbierał aplauzów; obaj zresztą nie bardzo się lubili. Wychowany przez metra-Francuza niedobrej pamięci, nabrał w podróżach zagranicznych znajomości języków, uczonych, dzieł sztuki; urzędy jakie poprzejmował, w Szkole Kadetów, Komisji Edukacyjnej, marszałkostwo trybunału, pełnił najsumienniej, ale nad starostwo generalne podolskie się nie wysunął. Życie jego i żony, Izabeli Fleminżanki, rozpada się na dwie połowy, szczególniej znamienne dla księżnej samej; jednę możnaby Powązkami, drugą Puławami nazwać; Powązki, minjaturowa, wypieszczona

sielanka, *weekend* przy błękitnym pałacu warszawskim, na podobieństwo Trianonu Marji Antoniny, gdzie wszystko sztuczne, wymuskane, francuskie, z domkami krytemi słomą, ale z półmiljonowem wnętrzem (przynajmniej «kabanka» samej księżnej, bo każde, dzieci, guwernantka i t. d. posiadało swoją własną), z ruinami i świątyniami — najpyszniejsze rokoko, a tak samo i życie: przejażdżki po kraju, flirty, bale, włóczęga zagranicą i rosnąca powoli niechęć przeciw kuzynowi-królowi. Skandal dugrumowski rozerwał węzły; księstwo opuścili pałac błękitny, Powązki opustoszały, książę posuwał się do spisku, który się wkońcu skleić nie dał. Księstwo osiedli w Puławach: ogród rokoko zmienił się w park angielski, flirt w pełnienie obowiązków patrjotycznych, kosmopolityzm w świadome pielęgnowanie narodowości: przeciw warszawskim perukom i frakom stają puławskie wąsy i kontusze; złośliwy cudzoziemiec powie, że Polak ofiarował ojczyźnie zamiast krwi i mienia — włosy.

Puławy posiadały to samo co Warszawa, ale w zmniejszeniu (Kniaźnin nie dorównał poetom dworskim); gościły literatów, chociaż nie urządzały stałych obiadów czwartkowych; utrzymywały związki z zagranicą, sprowadzały uczonych (Francuzów i Niemców, jak Groddek np.), zbierały jak król, ale rzeczy swojskie (pamiątki, książki i rękopisy); odrestaurowały starą rezydencję, spaloną przez Szwedów, wybudowały i pałacyki (Marynki księżniczki) i świątynię i dom gotycki wraz z «Sybilą», a wystawnemi widowiskami, przedstawianiem sztuk oryginalnych, nietylko przeróbek francuskich, górowały nieraz nad Warszawą. Ślady rokoko niezupełnie się zatarły, kostjumy «berżerek», markietanek (przy pierwszych manewrach w okolicy) świadczyły o dawnem rozbawieniu, ale spoważniał cały tryb życia, zwrócony już ku pielęgnowaniu narodowości, ogarniający opieką nawet włościan, piastujący literaturę. Przyświecał przykładem sam książę, pisał sztuki, rozmyślał o teatrze, omawiał w *Listach Doświadczyńskiego* wychowanie kobiece i niedobory

naszej adwokatury; on wprowadził w świat Kniaźnina, Zabłockiego, Niemcewicza, Woronicza, jako swoich sekretarzy czy pupilów. Kniaźnin wplótł się zupełnie w życie puławskie, stał się jego kroniką poetycką; «operę» *(Matka Spartanka)*, budzącą uczucia rycerskie, odgrywała księżna, synowie i Niemcewicz; u żadnego innego poety XVIII wieku nie dźwięczała z równą siłą nuta patrjotyczna, polska. Niemcewicz, sekretarz księcia, poseł Sejmu Wielkiego, adjutant Kościuszki na polu bitwy i w więzieniu petersburgskiem, należał przez całych lat dziesiątki do najwierniejszych przyjaciół Puław; Zabłocki, Woronicz im również bliscy.

BIBLJOGRAFJA

Wszystkie podręczniki czy historje literatury traktują obszernie tę epokę; nie powtarzamy ani ich tytułów, ani rozpraw specjalnych, wymieniamy tylko: Wojciechowskiego, *Wiek oświecenia;* wydanie z rękopisu pośmiertnego, urywającego niestety na Węgierskim, Lwów 1926, napisany żywo i barwnie; tegoż autora *Historja powieści w Polsce,* Lwów 1925 (por. Br. Gubrynowicz, *Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta,* Lwów 1903). W Ign. Chrzanowskiego *Historji literatury Niepodległej Polski (965—1795)* z wypisami, Warszawa 1930 (wydanie dziesiąte), właśnie «Czasy Stanisława Augusta. Epoka oświecenia i klasycyzmu. Odrodzenie mądrości i piękna» lwią część dzieła zajęły, str. 407—719, wystudjowane głęboko, a przedstawione *con amore,* dają zarazem z trafnie dobranemi wyjątkami z dzieł samych znakomity obraz całej epoki, uzupełniony przez najszczegółowszą bibljografję. Dalej Ign. Chrzanowski, *Z dziejów satyry polskiej XVIII wieku,* Warszawa 1909. Dla teatru dzieło źródłowe: L. Bernacki, *Teatr, drama i muzyka za Stanisława Augusta,* 2 tomy, Lwów 1925. Ogółem zwracamy uwagę na rozprawy poświęcone wpływom obcych pisarzy na literaturę, np. Szyjkowskiego *Myśl J. J. Rousseau w Polsce; Osjan w Polsce; Gesneryzm w Polsce; E. Younga myśli nocne w Polsce;* Wł. Smoleński, *Monteskjusz w Polsce XVIII wieku;* Smolarski, *Studja nad Wolterem w Polsce;* Dadlez, *Pope w Polsce w XVIII wieku.*

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ŻYCIE KRESÓW WSCHODNICH

Ruś. — Ukraina i Hajdamacy. — Unja i Schizma. — Zamknienie.

UKRAINA I HAJDAMACY

Polityczne rozszczepienie Kozactwa okazało się klęską dla kultury i narodowości; Ukraina lewobrzeżna dostała się Moskwie, prawobrzeżna została przy Polsce. Lewobrzeżna, t. zw. hetmańszczyzna, niedługo zażywała autonomji; już Piotr W. zamiast hetmaństwa urządził w Petersburgu «małorosyjską kolegię» z samych Rosjan. Hetmaństwo po nim znowu wskrzeszono, ale hetman był już tylko tytularny; ostatni był Kiril Razumowskij, szwagier cesarzowej Elżbiety; po jego śmierci Katarzyna II 1764 r. wznowiła małorosyjską kolegję w Petersburgu. Na utratę swobody politycznej starszyzna kozacka łatwo się zgodziła, otrzymawszy wzamian ekonomiczną; dawni pułkownicy, chorążowie, pisarze z dziesięciu pułków kozackich, obdzieleni ziemią, wyrośli w szlachtę, czerń kozacka spadła w chłopy; zamiast owych dawnych pułków, podzieliła Katarzyna Ukrainę lewobrzeżną na trzy namiestnictwa (gubernje). I zaginął słych o hetmanach, swobodzie, kozactwie; jednych wcielono do armji carskiej, innych przesiedlano na Terek, najliczniejszych «zakabalono» w poddaństwo; język narodowy wyszedł zupełnie z używania, urzędowego czy umysłowego, zastąpił go rosyjski i baczono na to surowo z Petersburga; ukraiński spadł do roli narzecza, dla domowej potrzeby.

W polskiej, prawobrzeżnej Ukrainie, skasowano hetmaństwo jeszcze za Sobieskiego; bunt Paleja zgnieciono, Turcy ustąpili z Podola i powoli wracały stosunki z lat przed Ruiną. Ziemia była spustoszona, a Rosjanie zabierali ludność tysiącami za

Dniepr; odrosły olbrzymie lasy; we włości Humańskiej, Korsuńskiej, Białocerkiewskiej, liczących później po setki tysięcy ludności, ciągnęły się bory aż pod Kijów, a śród nich rzadkie wioski i monastery, np. motryniński i in. Odnowił się ruch kolonizacyjny; warunki były dogodne, na miesiąc dzień pańszczyzny, a grunta nabierał, ile kto mógł obrobić i wzrastało zaludnienie; taki Humań, niedawno niepozorna mieścina, teraz całe miasto ludne z Rosjanami, Serbami (i Mładanowicz, komisarz generalny Potockich, nosił imię serbskie), Ormjanami, Żydami, a wioski, dawniej kilku milami od siebie oddzielone, zbliżały się nawzajem nowemi. Bróździła unja, którą powoli wznawiać się starano, ale chłop ukraiński był inny niż wołyński czy czerwonoruski; jego ciągnęło do Kijowa i świętych pieczerskich, a obok miał Zaporożców, od XVII wieku najwierniejszych synów prawowiernej cerkwi, a monastery schizmatyckie, taki motryniński i inne, podżegały skutecznie nienawiść wyznaniową. Kraj się pozornie, po wierzchu, polonizował, szczególnie po miasteczkach; cały zarząd majętności i królewszczyzn wszelakich bywał wyłącznie polski; olbrzymie przestrzenie były rozdzielone między kilka rodów: Potockich, Lubomirskich, Rzewuskich; dawna swawola, grasująca na Pobereżu, Podolu, Bracławszczyźnie i Kijowszczyźnie, gdzie szlachcic pomiatał prawem, a rządził się szablą, należała już do tradycji bezpowrotnej, tak samo jak napady tatarskie, które życie kulturalne niegdyś niszczyły. Czego przedtem nie było, zaczęli się wielcy panowie, gardząc Ciołkiem i Warszawą, przenosić na Ukrainę; sparzywszy się na elekcjach i konfederacjach tu czuli się królewiętami. Więc osiadali tu na stałe Potoccy (słynny z samowoli nieokiełznanej starosta kaniowski), Lubomirscy (Marcin, taki sam gwałtownik) i in., otaczali się kozakami nadwornymi, organizowanymi w sotniach pod starszyzną, na której można było polegać. Mlekiem i miodem płynąca kraina zdawała się napozór polską; język narodowy ocalał w dawnych dumach i kantach (pobożnych), które

i szlachta wyśpiewywała, zresztą w użytku domowym, obok dawnego cerkiewnego w cerkwi. Zwabiali więc panowie coraz nowych chłopów na słobody-wolnice dłuższych czy krótszych terminów, aby potem kolonistów i tubylców zupełnie schłopić, wydać arendarzom i ekonomom czy komisarzom na pastwę.

Lecz było jeszcze trzecie środowisko ukraińskie, Sicz Zaporoska, nie podległa nikomu. Z tej to Siczy wytaczały się wiosną czy latem mniejsze czy większe kupy «hajdamaków» pod swoimi «watażkami» na łupy, aby rozbijać podróżnych, napadać dworki, kusić się o miasteczka i rezydencje, wyrzynać przy sposobności żydów, unitów, szlachciców. Policji nie było, a wojska niewiele, zupełnie rozprószonego; Kozacy nadworni hajdamaków rozbijali chyba w nadziei odebrania im łupów, częściej zaś spotkawszy obniuchiwali się i rozchodzili, jak wilk i pies od wilczycy. Te wyprawy zbójeckie nabierały charakteru to wyznaniowego, bo podbechtywali hajdamaków czerńcy pobliskich monasterów, nienawidzący unji i katolicyzmu, to społecznego, bo hajdamacy uzupełniali swe szeregi chłopami, zbiegłymi z pod ucisku, i ludźmi z innych warstw, nawet z szlachty samej. Mawiano o milicji, którą należałoby utworzyć na skuteczne gromienie zbójów, ale szlachta ociągała się przed każdym wydatkiem z własnej kieszeni, a opieszałość i niedbałość, wady organiczne ustroju szlacheckiego, godziły się wkońcu z tą grozą; gdy niebezpieczeństwo się zapowiadało, rzucano dworki i nocowano w ostępach i jarach. Na większą skalę, na cały bunt chłopski, zanosiło się r. 1734 przy «pułkowniku» Werłanie, którego rosyjskie wojska pogromiły i oglądała się szlachta odtąd stale na tę pomoc, powinną niby, skoro napady od ściany rosyjskiej wychodziły. Największe rozmiary przybrał bunt r. 1768. Jak i w r. 1734, krążyły pogłoski, że jest złota hramota carowej, która ludowi wolność napadania panów zapewnia i pokazywano fałszywą; czerńcy monasteru motrynińskiego z ihumenem Melchizedechem Jaworskim na czele, wściekłym o brata, błogosławili «rizunom» noże

na Lachów, a gdy wkońcu nadworni kozacy humańscy pod setnikiem Gontą przeszli na stronę czerni, do Żeleźniaka, rozlały się fale buntu po Ukrainie, padły Lisianka i Humań, gdzie czerń straszną rzeź wyprawiła, żydów, szlachtę, popów unickich wycinała śród najokropniejszych męczarni. Rosjanie w obawie przed rozbestwionem chłopstwem bunt stłumili, zabierali hajdamaków a innych więźniów oddawali komendom polskim; Stępkowski, mąż zaufania królewski, rozprawił się z buntem z niesłychaną srogością: zdzierał skórę pasami, wieszał albo wbijał na pale setkami, winnych i niewinnych, aż szlachta w krzyk, że wyludni kraj; jak r. 1734 wojna Sasa z Leszczyńskim, tak teraz wojna barska rozbestwiła hajdamaków i chłopów, bo śród nich głoszono, że barszczanie im pęta nowe nałożą. Pożar zagaszono, tem skuteczniej, że niebawem Katarzyna II zarzewie samo, Sicz Zaporoską, na zawsze zniosła. Ale odtąd nie ufała szlachta chłopstwu, a strach ma wielkie oczy, więc gdy r. 1789 na Wołyniu zamordowała z zemsty służba dworska pp. Wyleżyńskich, rozeszła się panika po województwach, chwycono się najostrzejszych środków, posypały się wyroki śmierci, nawet księdza unitę powieszono — wszystko zdaje się bez istotnej winy, a posiedzenia Sejmu Wielkiego zaprzątała i roznamiętniała najniepotrzebniej ta (może i ze złej woli) wyolbrzymiona sprawa. Wobec takich stosunków łatwo zrozumieć, dlaczego szlachta południowych województw w wojnie 1792 r. i w powstaniu Kościuszkowskiem udziału nie wzięła, dlaczego śród niej sympatje rosyjskie bujnie się krzewiły. Niebawem zajęła Rosja całą Ukrainę, Wołyń i t. d., a rosyjski język wypierał polski i ukraiński z rządu, szkoły, cerkwi; «inteligencja» posługiwała się rosyjską książką i mową, chyba w negliżu przyznawała się do «narzecza», a złośliwe języki pomawiały Chochłów, że na Kacapach mścili własnej zniewagi, wystawiając karykatury rosyjskie (np. Kapnist w komedji *Jabieda).* Tak na Ukrainie i «Litwie» ustępował język

i kultura krajowa przed rosyjskiemi, należącemi do «dobrego tonu».

Podobnie cofała się Ruś przed Polską w «Galicji i Lodomerji»; popi uniccy czytali po polsku, drukowano im teksty słowiańskie łaciną i dodawano przekład polski, a rozmawiali i pisali między sobą po polsku: zdawało się, że ruszczyzna ograniczona do prostego ludu, powoli zaniknie.

UNJA I SCHIZMA

Stosunki między niemi doznały zupełnej odmiany, od kiedy Rosja w celach politycznych sprawę schizmatycką z dysydencką połączyła i dla nich równouprawnienia się domagała. Katarzyna II żądała rzeczy, których nie było sposobu przeprowadzić już z braku odpowiednich ludzi; żądała, żeby władyka prawosławny zasiadał w senacie, ale Koniskij był mieszczaninem, więc w senacie niemożliwy, a szlachty prawosławnej szukał Repnin chyba w Kijowie, nie w Polsce. R. 1766 przeszło 56 parafij unickich do «błahoczestja». Koniskij i jego następca, polecony przez niego pop w poselstwie rosyjskiem, archimandryta Wiktor Sadkowski, czuli się poddanymi rosyjskimi, carowej wierność ślubowali, carską rodzinę w liturgji wspominali, o królu własnym milczeli, katechizmy rosyjskie szerzyli, wszystko tak gorliwie, że sami Rosjanie ich powściągali; Sadkowskiego przyaresztowano nawet z powodu jego agitacji, ale wnet wypuszczono; biskup białoruski rezydował w Słucku. R. 1791 obradowała w Pińsku kongregacja generalna duchowieństwa grecko-wschodniego i sejm uznał r. 1792 jej organizację, arcybiskupa i trzech biskupów, zawisłych od patrjarchy carogrodzkiego, z którym za wiedzą rządu znosić się mieli, ale organizacja nie weszła w życie.

Unja ucierpiała silnie od hajdamaków; uprowadzano popów unickich i zmuszano do przejścia na schizmę przez wyszukane męki («chrzczono» przecież gwałtem unitów i katoli-

ków, kazano im swoją wiarę wyklinać); uwolnieni popi wracali do unji. Cios zabójczy przyniosły jej rozbiory. Gdy liczba pierwotna prawosławnych była wcale niska, ani pół miljona nie dochodziła, wzrosła olbrzymio przez nakaz carowej, która r. 1794 i 1795 do cerkwi prawosławnej 1,483.111 parafjan, 1552 popów, 2603 cerkwi przyłączyła. Nie obchodziło się bez gwałtów, dopiero za rządów Pawła ucisk zelżał; tu pokazało się, jakie unja zapuściła korzenie; lud pospolity czcił popów unickich i księży katolickich, a gardził prawosławnymi dla ich nieuctwa i prostactwa, popi zaś uniccy całkiem polaczeli.[1]

Metropolita unicki, Teodory Roztocki, wszedł nakoniec (r. 1790) do senatu, ale chociaż arcybiskup, zajął miejsce po biskupach łacińskich; uchwalono pensje władykom unickim po 50.000 złp. (łacińscy mieli podwójną). Zniesieniu unji opierał się Roztocki stanowczo i wezwała go o to carowa do Petersburga, gdzie do swej śmierci pozostał, nie odstępując od swego obrządku.

Ruchu literackiego, wydawniczego nie było; punkt jego

[1] Por. *Komedję unitów z prawosławnymi* profesora języka polskiego w akademji kijowskiej Sawy Strzeleckiego, poświęconą metropolicie Jerofiejowi Malickiemu (1796—1799), wydaną z oryginału polskiego przez W. Riezanowa, *Dramat ukraiński VI (dramy-moralytety)*, Kijów 1929, str. 191—237. Strzelecki napisał to, bo sam z unji na schizmę przeszedł i ukazał swych byłych konfratrów w najgorszem świetle; ks. surogat, dziekan i «aspirant» na popostwo wystawieni jako łapownicy i nieucy (aspirant o łacinie nie ma pojęcia, ale za wziątkiem przyjęty); prawosławni protojerej i błahoczesnyj z dwoma chłopami, co się «nawrócili», zmuszają tamtych do tegoż; wystarcza groźba, że panowie Polacy za nich się nie ujmą, i wskazówka na dobrotliwy rząd ojcowski, co sobie tego życzy, żeby obaj unję rzucili; o jakieś zasady moralne czy dogmatyczne nikt nie pytał. Komedja sama bardzo naiwny zlepek utartych scen, ale co w niej ciekawe i znaczące, to absolutne panowanie polszczyzny; popi uniccy mówią i myślą po polsku i wymaga się od nich nie cerkiewszczyzny, lecz — łaciny! Tak było istotnie, ruscy bazyljanie uczyli po polsku; pop unicki tylko w cerkwi i z ludem mówił po rusku, zresztą po polsku.

ciężkości przesunął się od wieku do Kijowa, którego kolegjum, akademją teraz przezwane, całą Ruś, także moskiewską, w uczonych i literatów zaopatrywało, a ten Kijów już od wieku do Rzeczypospolitej nie należał. Ograniczał się więc słaby ów ruch do wydawnictw cerkiewnych w dawnym języku cerkiewnym, t. j. owej mieszaninie pierwotnej bułgarszczyzny z dźwiękami i formami staroruskiemi, z przestarzałemi słownikiem i składnią. Jedyne nowe zjawisko, to poczajowskie Bohohłasnyki, t. j. zbiory pieśni nabożnych, kantów, modlitw, jakie z kościołów łacińskich przeszczepiano do ruskich, unickich.

Nie ustawał jednak ruch rękopiśmienny, przepisywano rzeczy duchowne i świeckie po dawnemu. Z duchownych należały tu *Ewangelje uczytelnyje*, t. j. wykłady na lekcje Pisma św., szczególnie niedzielne, których od XVI do XVIII wieku ocalało kilkadziesiąt egzemplarzy; wykład posługiwał się nieraz postylą «światoho» Reja, który takim sposobem niby na ojca cerkiewnego wyrastał. Obok tych Ewanhełyj obiegały zbiory apokryfów, t. j. niekanonicznych tekstów Starego i Nowego Testamentu, t. zw. *Paleje*, nieraz wcale obszerne, od Adama i Ewy aż do Dziejów Apostolskich i legend o świętych. Z świeckich krążyły wszelakie *pisennyki* i *spiewannyki*, zbiory wierszów lirycznych na nutę ludową (choć i przymieszki mitologicznej nie brak), historycznych (dum wszelakich), humorystycznych, znane szeroko i w kołach polskich, bo r. 1768 ratowała się szlachta nieraz w świcie chłopskiej, śpiewając kanty o św. Mikołaju i pod.

Utrzymywali na całej Rusi bazyljanie przy swoich monasterach szkoły dla młodzieży także świeckiej, choć wadziły im bardzo pobliskie kolegja jezuickie, z któremi nie mogły wytrzymywać konkurencji. Gdy jezuitów skasowano, wstąpiła otucha w bazyljanów; sami napraszali się do rządu i sejmu, do Komisji Edukacyjnej, że obejmą naukę i szkoły po jezuitach, domagali się tylko wydania im budynków jezuickich, a gdzieby mogło być i folwarków. Odnoszono się w Warszawie narazie nieco scep-

tycznie do tych oświadczeń zakonnych, ale nie było innego sposobu wobec braku sił i oddawano bazyljanom kolegja, a nawet tu i ówdzie jakiś zapis, przez co ubywało Komisji kosztów, bo dopłacała tylko bazyljanom z powodu rozszerzonego programu i etatu subwencje roczne. Bazyljanie uczyli nie najgorzej, ale po polsku, boć szlachtę okoliczną wychowywali; udzielali też nauki «moskiewskiego, rosyjskiego, ruskiego» (tak chwiejne było to słownictwo) języka popowiczom. I już się zarysowywał jakiś rozbrat między bazyljanami (wykonywającymi program Komisji, ile sił starczyło), a duchowieństwem białem, świeckiem, popowiczami przezwanem; bazyljanie, arystokraci niby, ciążyli stanowczo ku Polsce, świeccy ku Rosji i prawosławiu (w XIX wieku donosili «popowicze» coraz do Petersburga na bazyljan, że polonizują Ruś a fałszują wiarę i obrządek na rzymski i t. d.). Unja traciła grunt pod nogami i już około r. 1785 wzmagał się śród Unji na kresach południowych ruch ku schizmie.

Czem jezuici dla katolicyzmu, tem byli bazyljanie dla unji: oni ją głównie podtrzymywali, zorganizowani od XVII wieku całkiem na ich wzór; szkoły bazyljańskie nie różniły się też od jezuickich, były łacińskiemi głównie, szczególniej wyższe; «ruską» bywała tylko niższa. Środki jednak bazyljanów były nierównie mniejsze i szkoły jezuickie przyciągały do siebie ich kosztem młodzież szlachecką; daremnie skarżyli się na to bazyljanie w Rzymie.

W kołach polskich nie doceniano Unji i bazyljanów; posądzano Ruś o ciążenie ku prawosławiu, «wierze ruskiej» i roku 1786 wyszedł nawet *Głos obywatelów województw i powiatów ruskich do zgromadzonych obywatelów na sejmiki przedsejmowe i do stanów na sejm zebranych w r. 1786*, domagający się w obrębie Polski zniesienia i schizmy i unji; unici udawali się do Rzymu, metropolita unicki Smogorzewski (i arcybiskup Koniskij) pisali przeciw temu (Koniskij radził Smogorzewskiemu, aby wezwał pomocy carowej), ale i z pośród szlachty samej broniono

«wielebnych księdzy bazyljanów» po laudach sejmikowych i żądano ich współpracy w oświecaniu ludu. Szczególnie wymowny był list sejmiku połockiego do króla i stanów z r. 1790, gdzie protestowano przeciw wszelkim nagabywaniom bazyljanów, przeciw odbieraniu im widoków na episkopstwa (świecki kler, t. j. popowicze, nie mają przecież związku z rodzinami wielmożnego i szlacheckiego pochodzenia), albo odbieraniu ich posiadłości, z czego szkodyby wynikły.

I bazyljanie utrzymywali dwojakie szkoły, zakonne, t. j. nowicjaty, urządzone zupełnie (od reformy wprowadzonej przez metropolitę Rutskiego) jak jezuickie, ze studjami filozoficznemi i teologicznemi (razem lub pojedynczo, tak że nowicjusz uzupełniał je w innym monasterze, co częste wędrówki sprowadzało). Świeckie szkoły, które właśnie po zniesieniu jezuitów zakwitły, szkoły polsko-łacińskie, do których się szlachta okoliczna chętnie garnęła, poddano rygorowi Komisji Edukacyjnej, lecz liczba uczniów się chwiała, jak wynika z raportów, przesyłanych Komisji, od 50 (najniższa liczba) do 600 (najwyższa), ale liczba 600 spada odrazu i do 300 bez przyczyn widocznych; liczby, które bazyljanie sami podawali, nie zgadzały się nieraz ze sprawdzonemi przez wizytatora, były wyższe znacznie. Szkoły takie, liczące klas od trzech do sześć, były na Litwie żyrowicka, berezwiecka i boruńska; pijarskich było cztery; świeckich dwie wydziałowe, brzeska i grodzieńska, a podwydziałowych siedm. Na Ukrainie: włodzimierska (w r. 1782 uczniów 380, w r. 1783 tylko 228, otrzymała r. 1786 znakomite budynki pojezuickie, liczyła r. 1789 uczniów 289, jedna z najznaczniejszych); ostrogska (którą objęli po jezuitach bazyljanie z Hoszczy; budynki otrzymali, majątek rozkradziono); owrucka, na dzikiem Polesiu, gdzie i po polsku mało mówiono, wizytator Hołowczyc sprzeciwiał się oddaniu jej bazyljanom, wymagał zdolnych świeckich nauczycieli, ale do błot poleskich miłośników nie było i bazyljanie zawiadywali szkołą. Lubarska; kaniowska, mająca rocznej

subwencji od Komisji 3550 złp., wizytator był z jej stanu z powodu niedbalstwa bazyljanów wcale niezadowolony, liczyła r. 1789 uczniów 28, wedle spisu miało być 139. Humańska liczyła r. 1777 w sześciu klasach 193 uczniów, r. 1782 w pięciu klasach 400 uczniów. Także barska rychło rosła, przed oddaniem jej bazyljanom liczyła 184 uczniów, po oddaniu podskoczyła na 400, a później i 553; szarogrodzka dosięgła liczby 600 uczniów;[1] pijarskiemi była chełmska i ołycka, świeckiemi ostrogska, międzyrzecka, żytomierska, winnicka, kamieniecka, krzemieniecka; łucka nie prosperowała, przygniatały ją okoliczne lepsze, nie uczono w niej francuskiego, nie było konwiktu przy niej, jaki u zakonnych bywał; zmniejszono też liczbę nauczycieli z sześciu na trzech.

ZAMKNIENIE

Póki nas oszpecały gnuśność, zdania gminne,
Obrzydliwe pijaństwo, przesądy dziecinne,
Wpośród mocarstw ogromnych zamknięci jak w matni,
Do dania im odporu nie byliśmy zdatni.
August raczył powszechniej światło rozprowadzić,
I myśleć nas nauczył i po trzeźwu radzić,
I to jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież:

najprawdziwsza to pochwała, na jaką się kiedykolwiek Trembecki zdobył, bo trzydziestolecie Stanisława Augusta było istotnie przeciwieństwem poprzedniego za Augusta III. Jego linja rozwojowa nie była równa: wspiąwszy się nagle do góry, załamała się natychmiast, chociaż na dawny poziom już nie opadła; powoli się wznosząc, znowu nagle szczytu dosięgła; katastrofa ze-

[1] Por. A. Sawycz. *Narysy z istorii kulturalnych ruchiw na Ukraini ta Bilorusi u XVI—XVIII w.*, Kijów 1929 (nr. 90 Zbirnyka histor.-filolog. wydziału).

wnętrzna zawiniła, że dzieło reformy utknęło, boć — prawda, że to nie było na czasie jeszcze — najważniejszego, o przyszłości Polski rozstrzygającego zagadnienia, nie podjęto. Konstytucja, a w pewnej mierze i Komisja Edukacyjna, to drogowskazy przyszłej wielkości, nie wielkość sama; aby ją urzeczywistnić, należało jeszcze wiele przeszkód usunąć.

Suma przeobrażeń społeczeństwa, rysów dodatnich i ujemnych, wykazała, że dopełniono najgładziej reformy umysłowej. Kultura pozostała szlachecką, lecz dostęp do niej był wszystkim wolny; już nie witano pytaniem, kto cię rodzi? lecz, ktoś ty? sam król otaczał się chętnie ludźmi małego «ekstraktu». Wszechmoc magnatów upadła, tylko bagnety rosyjskie ją wsparły, bez których Jassy i Tulczyn pozostałyby bezsilnem zgrzytaniem zębów. Szlachcic, trzymający się do niedawna klamki pańskiej, zamiast na dwory Jaśnie Wielmożnych, udawał się teraz, jeśli go spłacheć własny nie wyżywił, do urzędu, wojska, szkoły. Społeczeństwo zeświecczało; nietylko przeciwieństwa wyznaniowe, na których jeszcze Bar wyrastał, wyrównano, lecz ideałów życiowych nikt już nie upatrywał w ascezie; wszelkie kierownictwo wymknęło się na zawsze z rąk duchowieństwa; dogmaty, katechizm, biblja cofnęły się w szranki właściwe, a życie obok nich przechodziło. Dalej zapewniło sobie wpływy miasto; nie cichy, grzebalny Kraków, nie na poły zniemczały Poznań, nie zżydowiałe Wilno, lecz ruchliwa, gwarna Warszawa, asymilująca z nadzwyczajną łatwością cudzoziemców, stała się magnesem prowincji; nadawała ton myślom i strojom; ogłaszała książki (niemal wszystkie) i wszystkie dzienniki; stworzyła teatr i sztukę. Cóż dopiero z literaturą i nauką, za Sasów głęboko uśpionemi, z szkołą, którą z powijaków zakonnych wydobyto, z językiem, któremu żywość i lekkość przywrócono, który z wiekowej niewoli łacińskiej wyjarzmiono!

Przed wiekiem oświecenia pierzchnęła saska «oćma»; francuzczyzna, aż do rewolucyjnej, przenikała, nietylko stroje, lecz

głowy, myśli i mowę. Nie bez oporu na głębokiej prowincji, nie bez pewnych ubytków; z Francuzami przybyła i ich galanterja i ich lekkomyślność; zapanowała obojętność wobec własnego, a małpowanie cudzego, rozluźnienie obowiązków rodzinnych, chęć używania bez względu na praktyki, jakiemi je zdobywano. Na mało odpornym gruncie sarmackim rozrosły się wady, szczególniej karciarstwo, gorsze od dawnego opilstwa; wiemy, że i panna cały posag, kilkaset tysięcy złp., w karty przegrała, a zachwiewały się od nich i fortuny wielkopańskie. Ale zbytki i karty trapiły jednostki tylko.

Wyjaśniały się więc myśli i oczyszczały uczucia; nie brakło «zabobonników», ale już ich wyśmiewano; ks. Jan Bohomolec pisał o djable we własnej postaci i nadstawiał rzecz dalszemi uwagami, ale kredytu nie znachodził; ogólnie stwierdzano, że złagodniały serca, rosło miłosierdzie, współczuwano nędzy: jak wzrosły liczebnie szpitale, przytułki! Naród, który odwykł od wojaczki, z zadziwiającą łatwością do niej się znowu włożył; zorganizował stałe, acz nieliczne narazie wojsko, a z niem wzrosło silnie poczucie godności narodowej, przygniecione za Sasów zupełnie.

Zdjęto hańbę z przemysłu i handlu, jakoby się bez naruszenia sumienia i czci uprawiać nie dały; kraj, zubożony przez gospodarkę pańszczyźnianą, zbogacić zakładaniem własnych fabryk, polepszeniem uprawy roli i hodowli bydła, wydobyć włościan z nędzy materjalnej, w jaką od średniowiecza coraz głębiej popadali, poszukiwać skarbów w ziemi (pokładów soli czy kruszców); budować drogi i kanały, wysuszać olbrzymie błota i zdobywać pod pług nowe, wielkie obszary, poprawiać fatalne stosunki monetarne, dalej higieniczne, zapewnić opiekę lekarską także prowincji, uporządkować miasta: tych wszystkich zadań podjęto się świadomie i wiele dokonano; świadczyły o tem najlepiej stale rosnące dochody państwowe i dźwigające się z dawnej ruiny miasta. Administrację dawniej prawie zupełnie nie-

znaną («u nas w Polsce jak kto chce») wprowadzono, a komisje porządkowe, chociaż Polska biurokracji nie znała, przyjęły się jak najlepiej; tylko w sądownictwie dawne pieniactwo nie ustawało, ale trybunały oczyszczały się widocznie i nieskazitelne już nie bywały wyjątkiem.

Nie dało się wszystkiego odrobić, co wieki zepsowały; nie wydobyto energji z narodu, zniewieściałego, bo odwykłego od ofiarnego poświęcania się, od wytykania sobie celów wysokich, małodusznego, nie ufającego siłom własnym i obzierającego się stale za pomocą obcą, rosyjską czy pruską, zadowolonego ze stanu posiadania, jakby go przed obcą zachłannością coraz bronić nie należało. Ludziom Stanisławowym brak hartu; nie idą na przebój; cofają się przed byle przeszkodą; zamiary ich najlepsze, lecz gdzież siły do wykonania? Miejsce zato dla intryg; taka sprawa Dugrumowej zakrawała na skandal z naszyjnikiem Marji Antoniny, a wielkie panie, prześladujące albo ignorujące króla (nawet Anna Jabłonowska), nie zasłużyły na wdzięczną pamięć. Brakło odwagi cywilnej, aby zapobiegać jawnym łotrostwom (np. rozdrapywaniu dóbr pojezuickich, co trochę rozdrapanie ordynacji ostrogskiej przypominało); tu angloman Chreptowicz krajowi znakomicie się przysłużył. Nawet w portretach męskich tej epoki przeważają rysy miękkie, pieszczone; ludzie przystojni toną w koronkach i haftach; marsowych postaci niewiele, prędzej jeszcze na rubaszne trafisz; panie zato wdziękiem czarują; przystosowały się do nowej obyczajowości rychlej i pełniej niż mężczyźni; używały swobody nowej, nie zawsze najlepiej, basie i trusie przed ślubem a po nim śmiałe i samowolne, a wobec miękkości męskiej coraz energiczniejsze; jeździły do Warszawy, aby się rozwodzić, albo używać świata i prowincję dziwić; odznaczały się nie wiedzą, lecz taktem; lgnęły dziwnie łatwo ku obcym («za mundurem panny sznurem»), narażając na szwank godność narodową. W ślady za feminizmem szło nadzwyczajne, ogólne rozbawienie; po Warszawie szalały Lwów, Wilno, Po-

znań; mieszczanie naśladowali szlachtę, a cierpiała znacznie powaga narodowa.

Naród, dotąd niemal jednolity, utracił ten przymiot; dawniej nie różnił się między sobą krojem i strojem, wiarą i mową, nawet pożywieniem (potrawy narodowe, barszcze, kasze, kapusty, baby i t. d.) i mieszkaniem. Teraz tryb cudzoziemski brał górę, obce nęciło: jak trudno było teatrowi narodowemu obstać przeciw Francuzom i Włochom! a powieść bywała polską tylko z mowy.

Nikły jednak wszelkie te ubytki wobec zupełnego oddania się błogosławionym wpływom obcym i nawiązania przez to ścisłego z Zachodem związku, którego nie naruszały mżonki rusofilskie króla, Trembeckiego, Staszyca, ani prusofilskie «patrjotów». Francja nadała ton modzie i towarzyskości, myśli polskiej, literackiej i politycznej; burza nadsekwańska odzywała się w Warszawie arcysympatycznem echem i wychodźcy z Ludwikiem XVIII na czele pobytem swoim nic nie odmienili; teraz zaczęła się owa przewaga francuzczyzny (szerzona nawet przez owych wychodźców), która przetrwała, wzmagając się, do roku 1815-go. Wiek Stanisława Augusta, to wiek francuzczyzny polskiej; w żadnym innym wieku nie górował tak jeden wpływ obcy; wpływ ten nawet przesadą swoją nie zagrażał narodowości, bo ograniczał się cienką raczej warstwą możnych, nie wnikał głęboko, dawał się wkońcu lekko usunąć.

TYSIĄCLECIE KULTURY POLSKIEJ

ROZDZIAŁ SIÓDMY

TYSIĄCLECIE KULTURY POLSKIEJ

Wiek XVIII nie liczył się z ludem-narodem, cenił państwo, rozszerzał je do granic ile możności naturalnych; więc Francuzi parli do Renu, choć nigdy Francuz nad Renem nie siedział, a państwa rozbiorowe krajały Polskę, jak postaw sukna; o lud, tam o Niemców, tu o Polaków, nie pytano, bo rozumiało się, że państwo pochłonie czy zasymiluje, prędzej czy później, obce żywioły; zastanawiano się chyba nad tem, jakieby środki wiodły najrychlej ku temu celowi; wpadano na pomysły najdziwaczniejsze, Goethe np. wędrowny teatr ludowy polecał. Państwa rozbiorowe były więc przekonane, że przez skreślenie królestwa polskiego, którego imię nawet nigdy nie miało być wznowione, i naród polski jako osobny istnieć przestał, że należy obszary jego upodobnić do rosyjskich, pruskich, austrjackich, zaprowadzając własne: administrację, sądy, wojsko, poczęści i szkołę (barbarzyńska Rosja o tę nie dbała narazie); nie odważono się na narzucenie obrządku albo wynarodowienie Kościoła (znowu z wyjątkiem Rosji, która unję znosiła) — wszystko «dla szczęścia i spokoju miłych nowych poddanych», którzy przysięgę wierności dobrowolnie składali.

Śród samych «nowych poddanych» nie brakło chęci pogodzenia się z losem. Zniszczenie kraju w r. 1794 wywołało pragnienie spokoju i bezpieczeństwa za każdą cenę; odetchnięto więc swobodniej pod nowemi rządami, szczególnie w zaborze rosyjskim, gdzie szkół i sądów cywilnych nie tykano, a szlachcie-posesjonatom nawet fikcyj sejmików i wyborów dozwolono. W zaborze pruskim zyskano względy szerokim kredytem i nie-

bawem była cała szlachta wielkopolska obdłużona. Tylko Austrja, bankrutująca finansowo i moralnie (z powodu szumowin swojej biurokracji), dawała się obu «Galicjom» we znaki podatkami, rekrutem i niemczeniem zawziętem (w szkole nawet). Zwolna zapominali małoduszni w *Polsce* (tę formę zamiast dawniejszej *w Polszcze* Staszyc przeforsował), o Polsce, gdyż wszystko co energiczniejsze, albo padło na polu walki, albo szło na Sybir czy do Ołomuńca, albo, szczególniej wojskowi, unikając obcej służby haniebnej, wędrowało za Ren, Alpy i Dunaj, albo konspirowało cichaczem, ostrożnie, w kraju; jawnie nikt się nie sprzeciwiał.

Inteligencja, oszołomiona nagłością przewrotu, budziła się jednak powoli z osłupienia i zatęskniła. Nie szło jej narazie o własną państwowość, o zjednoczenie i uwolnienie narodu, ale nie dały się wygładzić z pamięci język, obyczaj, dzieje, mimo wszelkie spustoszenia, jakie szczególnie w głowach kobiecych wyrządzała francuzczyzna (w teatrze polskim w Warszawie loże były zawsze puste, jedyną Sołtyk zajmował; w francuskim loże były pełne). Mimowoli nasuwały się porównania, z tą samą Francją, gdzie patrjotyzm cudów dokonywał, z obcymi przybyszami i ich jawną brutalnością a wątpliwą moralnością (złodziejstwo było synonimem rosyjskości: szlachcic polski chował żartem przy stole łyżki do kieszeni, aby się okazał prawdziwym poddanym carskim). Nie wymieniano nazwy Polski, ale żyły język i piśmiennictwo, obyczaj i tradycje, a te miały na razie brak państwowości zastąpić. Jakżeż przedstawiała się ta kultura, którą rozbiorcy wprawdzie ignorowali, ale do czasu ani zwalczali systematycznie, ani prześladowali energicznie?

Dla jej utworzenia nie wystarczały same cechy etniczne (z dziedziny antropologji, etnografji, języka), które się unosiły nad kolebką narodu; należało w tym celu stworzyć nad dawną plemienną więzią nową państwową, zjednoczyć przez podbój najbliższe plemiona tegoż języka i obyczaju i zmusić je do uzna-

nia jednej władzy. Pierwsi Piastowie dokonali tego; ośrodkiem ich państwa była t. zw. później Wielka Polska, okolona zewsząd wieńcem podbitych plemion pokrewnych, ubezpieczona w swej niezawisłości przez dobrowolne przyjęcie chrześcijaństwa zachodniego, włączona przez to chrześcijaństwo w pierścień uniwersalnego Kościoła rzymskiego, kultury zachodniej, urządzeń frankońskich. Ale więź była zbyt świeża i próby ogniowej nie przetrwała; spadek Chrobrego uroniono, a na zwężonej znacznie ziemi (odpadły zachód i północ) odbudowano nowe państwo, przesuwając jego ośrodek z Wielkiej do Małej Polski, od Poznania do Krakowa, skąd odbudowa wyszła. Wpływy zachodnie, niemieckie, urozmaicały się, bo nawiązywano bezpośrednie stosunki i z dalekim Zachodem i Południem romańskiem; bliskie Czechy, dalsze nieco Węgry służyły nieraz również za wzór. Te obce wpływy nie naruszały treści narodowej, skoro ich szerzycielami były tylko jednostki, których nie sposób było zastępować ziomkami, bo szkoły klasztorne i katedralne działały słabo, więc biskupami, opatami, notarjuszami, nauczycielami bywali przeważnie cudzoziemcy, a po naukę należało wyjeżdżać do Włoch czy do Flandrji; z Galji przybył pierwszy pisarz dziejów ojczystych. Wielkie przesilenia chrześcijaństwa zachodniego (Klunjak i walki o inwestyturę; wyprawy krzyżowe), do brzegów polskich nie docierały. Luźne dzielnice jednoczyły dynastja i kościelna prowincja gnieźnieńska. Szare życie codzienne tuliło się pod liczne, drobne grody, których najznaczniejszemi budowlami były kościoły albo klasztory; ziemia była uboga, wystarczała dla własnych niezbyt wielkich potrzeb. Państwo, jako własność dynastji, ulegało przy jej rozrodzeniu nieuniknionym podziałom; w walkach wewnętrznych dzielnicowych słabło ono nietylko politycznie, ale i kulturalnie.

Typu polskiego wyraźnego jeszcze nie było; Polak różnił się małoco od Czecha, napływali też Czesi do Polski dla ochrony życia czy dla służby i pierwszych duchownych mieliśmy od nich.

Różnił się Polak od Rusina samym strojem, ale najwięcej obrządkiem, pismem i wpływem greckim, a jeszcze więcej różnił się wiarą od pogan, którzy go od zachodu i północy okalali, od Luciców,[1] Pomorzan, Prusów (z Jaćwingami), z którymi wiódł ustawiczne walki, nie zdobywając się na stanowczy przeciw nim wysiłek (chyba za Krzywoustego wobec Pomorza). Ze stron nordyjskich od wikingów, z Niemiec i z Czech przybywali rycerze, pewni gościnnego przyjęcia i szczodrego wynagrodzenia, chociaż obce początki późniejszych rodów szlacheckich trudno z pewnością ustalić. Służba wojskowa, rycerzy i wojów, wynosiła ich ponad lud pospolity, przypisany już po wielkiej części do ziemi, oddający z niej pewne pożytki grodowym urzędnikom książęcym; obok tego ludu byli niewolnicy i już zacierała się różnica między jednymi a drugimi. Odmienności międzydzielnicowe nie występowały jaskrawo, chociaż każda ucierała się z osobliwszym wrogiem i z jego wpływami, np. mazowiecka z barbarzyńskimi Jaćwingami i Prusami, Śląsk z Czechami, Lubelskie z Rusią.

Jedyna potęga moralna, Kościół, wdzierał się w życie prywatne coraz silniej, narzucał od chrztu do pogrzebu praktyki i wymagania, kazał w pokarmach przebierać, a z dawnym zwyczajem pogańskim skutecznie walczył. W braku duchownych, a przy wielkich przestrzeniach, można było o życiu chrześcijańskiem prawić chyba na podgrodziach, po dworach książęcych, w pobliżu katedr i opactw, pozatem należało się zadowalać zniknięciem jawnego pogaństwa, a zewnętrznemi oznakami nowej wiary, od której przyjęcia już dwa wieki mijały. Z nią przybyła i oświata, piastowana przez cudzoziemców po nielicznych kla-

[1] Ziemię Luciców przezwał «Gall» dwukrotnie *Seleucją* czy *Selencją* (*n* i *u* nie odróżnić); skąd na tę nazwę wpadł, nie wiadomo; nie uchodzi jednak odrywać jej od ziemi Luciców i przenosić gdziekolwiek indziej; ścisłe następstwo geograficzne: *Selencia, Pomerania, Pruzia,* uniemożliwia wszelkie inne fantastyczne domysły (błąd kopisty zamiast Leuticia?).

sztorach i dworach biskupich, możliwa tylko w obcym języku, gdy sztuka czytania i pisania nieznana była laikom; ku Mazowszu i Lublinowi słabiej migotało to światło. Kraj leżał na uboczu, więc handlu żywszego nie było; przechodzili go nieliczni kupczący z Rusią, a inwazje niemieckie muskały tylko Śląsk i Wielką Polskę. W nowem życiu dzielnicowem, nie państwowem, zaostrzały się ponownie różnice plemienne i terytorjalne, zagładzane w monarchji Piastowej.

W XIII i XIV wieku wyszła Polska wkońcu z rozdrobnienia dzielnicowego, z odosobnienia i opóźniania się, z ubóstwa i szarzyzny kultury. Orjentację zachodnią wymieniała na wschodnią przez zdobycie Rusi Czerwonej, a wcielenie-łączenie Rusi litewskiej i Litwy. Nowe królestwo rychło osierociało, dziedziczne przeszło w elekcyjne; za elekcje otrzymały duchowieństwo i rycerstwo, obdzielane za czasów dzielnicowych tylko luźnie, znaczne swobody, teraz powiększone dla całego stanu. Znaczne straty rdzennie polskich, zwartych ziem, Śląska i Pomorza, wyrównywało słabo rozprószenie żywiołu polskiego po Rusi Czerwonej, gdzie ludności tubylczej nie zasymilowano; zmniejszyła się więc znaczniej podstawa etniczna.

Rozszerzyła się natomiast podstawa moralna, duchowa. Po raz pierwszy, dzięki zakonom kaznodziejskim i żebrzącym, nieznającym narazie zacisza klasztornego, z których szczególnie franciszkanie z dworami książęcemi się łączyli, opanował tłumy ruch religijny, aż do wyrodzenia się w ruchu biczowników; asceza, kult świętego narodowego, stanowiły cechę wieku XIII; duchowieństwo walczyło z władzą książęcą skutecznie; wyższemi i liczniejszemi szkołami podniosło naukę; na podróżach włoskich, do Bolonji i Padwy, wyrabiali się pierwsi kanoniści i juryści, których pomocy światły król zażywał przy kodyfikacji prawa zwyczajowego, a pierwsi uczeni i literaci tworzyli piśmiennictwo łacińskie, narodowemu językowi wydzielając pierwociny tłumaczenia tekstów świętych.

Jednolitość narodowa była już nadwerężona; od ściany zachodniej powstawały po raz pierwszy z kolonizacją niemiecką bogatsze, ruchliwe miasta; od wschodniej wabiły olbrzymie przestrzenie ruskie, rycerstwo, duchowieństwo, kolonistów; wchłaniały coraz liczniejsze żywioły polskie i polsko-niemieckie, zapoznawały się dopiero przez nie z kulturą zachodnią. Zakwitł handel tranzytowy; Kraków i Nowy Sącz, Poznań, Lwów i Lublin rozwinęły się w bogate miasta, narazie niemieckie jeszcze; nie wyrobiły sobie jednak znaczenia politycznego, które zagarnął obok duchownego stan rycerski, szlachtą przezwany. Kultura średniowieczna, duchowna i szkolna (scholastyczna), cechowa i artystyczna, dworska i rycerska, przenikały Małą i Wielką Polskę, nierównie słabiej leżące na uboczu Mazowsze, rozsadnik właściwy drobnej szlachty, najmniej na domieszki obce wystawiony. Śród ludu zamilkły dawne różnice, wschodziły nowe, bo «prawo niemieckie», oczynszowanie włościan obok pewnego ich samorządu, rozszerzano i na wsi polskie. Przybywali już i pierwsi żydzi, przed uciskiem zachodnim chroniąc się do Polski, liczniejsi w miastach dopiero w drugiej połowie XIV wieku; na Mazowszu ich nie było.

Asceza XIII wieku, wieku świętych polskich, starła się zupełnie w XIV; dawną szarzyznę bytu i umysłu zajęła barwność; świecczał laik i duchowny, chociaż biskupi jeszcze nie wyłącznie politykowali. Już wyrabiał się osobliwszy typ polski, narazie w warstwach przodujących, odmienny poniekąd od ościennego. Nie przyjął się bowiem feudalizm, stopniowa zależność szlachty od księcia-króla; szlachcic siedział na ziemi dziedzicznej, nie lennej, i zawisł bezpośrednio od księcia-króla; siłą rzeczy istnieli magnaci (dzięki bogactwom lub wpływom), ale nie tworzyli osobnej warstwy, zamkniętej urodzeniem, a stąd urosła owa późniejsza, niesłychana gdzieindziej, równość-braterstwo szlachty. Już szlachta obowiązana była tylko do obrony kraju, nie do wyprawy zagranicę (chyba za osobnem wynagrodzeniem)

i zaczęła odwykać od służby wojskowej (jak i od dworskiej); omijała miasta z ich obcym żywiołem, ustępując im w dostatkach i nauce; śród szlachty było nierównie więcej analfabetów, niż śród mieszczan. Mieszczanin wycofał się zato zupełnie z życia politycznego, zadowolony zarobkiem, autonomją w sądzie ławy, a rządzie rady; nie bronił kraju, tylko własnych murów i zawodniczył w wystawianiu budowli kultu i miejskich; zwiększały się niesnaski między radą a gminą, między mieszczaństwem a szlachtą; podobnie wyrastali sołtysi nad gromadą. Majątki ziemskie skutkiem rozrodzenia szlachty drobniały, otwierały się dla niej widoki na wschodzie; korzystała z nich szlachta małopolska głównie, która dostarczyła najenergiczniejszych osobistości; znaczenie wielkopolskiej, już z powodu walk wewnętrznych, upadło. Wielkie plany polityczne podejmowali i wykonywali Małopolanie i Kraków stał się istotną stolicą, wobec której Poznań czy Gniezno zmalały. Znaczeniu politycznemu i bogactwom materjalnym zawsze jeszcze nie odpowiadało umysłowe; ani nauka, ani piśmiennictwo, łacińskie czy narodowe, nie mogły się równać ze spółczesnemi czeskiemi; Praga pozostawała główną uczelnią dla Polski. Jednostki zdobywały wykształcenie zagranicą; napływało duchownych do Rzymu (i Awinionu), do uczelni włoskich, mimo dalekości i uciążliwości drogi; zabiegi Kazimierzowe o stworzenie krajowego studjum generalnego nie dojrzały zupełnie. Różnica między Polską a Zachodem widocznie się zacierała.

W wieku XV nie mogło być już mowy o młodszości kultury polskiej, ani o jej stałem opóźnianiu. U początku wieku zgniótł olbrzymi wysiłek polsko-litewskiego państwa wrogą potęgę zakonną, groźną przez cały poprzedni wiek; był to jednak ostatni tryumf pospolitego ruszenia i szlachta, coraz mniej chętna do wypraw wojennych, zwalała je na zaciężnych, wolała podatki z mienia niż ze krwi, przeobrażając się ze stanu rycerskiego w stan ziemiański, starający się od chłopa wycisnąć więcej danin

i roboty; w końcu wieku zabroniłaby mu wyboru pobytu i zarobku, wiążąc go do wsi. Szlachta-ziemiaństwo wchodziła w kolizję i z mieszczaństwem, ich interesy bowiem były rozbieżne. Od pogromu Zakonu stała się Wisła główną arterją handlową; szlachta zaczęła nią wywozić surowce, a wwozić produkty obcego przemysłu ze szkodą własnych miast, pragnęła zniesienia wszelkich ceł i myt i zagrażała dobrobytowi miejskiemu na korzyść niemieckiego Gdańska, któremu olbrzymie wydatki na wojnę pruską sowicie się wróciły; już dążył on widocznie do monopolu nad całym handlem polskim, co miasta polskie upadkiem przypłacić miały, tembardziej, że przez zdobycze tureckie nad morzem Czarnem handel wschodni znacznie się kurczył. Wobec korzystnych warunków politycznych udawało się szlachcie zdobywać coraz nowe przywileje z uszczupleniem praw Korony i znaczenia Rady królewskiej; już teraz rzuciła podkłady późniejszego rządu parlamentarnego, wyłącznego znaczenia politycznego, przysparzającego jej wygody ekonomiczne.

I kultura umysłowa świeciła tryumfy. Nowe *studium generale* krakowskie wobec upadającego praskiego stworzyło naukę polską filozoficzną i teologiczną i ściągało tysiące uczniów, nieraz z dalekich stron; luminarze uniwersyteccy bronili interesów kraju (przeciw Zakonowi) i soboru (przeciw papieżowi); poziom oświaty duchowieństwa wzniósł się znacznie; wylały się potoki kaznodziejstwa, a podniosła literatura narodowa; w łacińskiej górował kierunek naukowy (na poezję minął już czas) i zdobył się na olbrzymie dzieło Długoszowe, umiejętne i patrjotyczne, pierwsze, krzewiące świadomie miłość ojczyzny. Nauki ścisłe, astronomja głównie, dochodziły szczytów ówczesnych.

Poziom życiowy wzniósł się znacznie. Nie było wprawdzie bogatego życia dworskiego (Rusin Jagiełło nie był po temu; Warneńczyk siedział na Węgrzech, a Kazimierz na Litwie; świetne poczynania Olbrachtowe śmierć przedwcześnie przerwała), ani śród magnatów; najwyżej stanęły dwory duchowne,

krakowski i lwowski. Zamożne mieszczaństwo wyprzedzało szlachtę i w jego usługach pracowali znakomici obcy mistrzowie; krakowskie uprawiało muzykę; rządne i bogate nie ustępowało w niczem cudzoziemskiemu. Włościanina nie nachylały jeszcze do ziemi nadmierne ciężary. Dawny tryb odmieniał się znaczniej, ale nie na korzyść, na kresach; tu na wschodzie już rozrzedzała się kultura polska pod wpływem barbarzyństwa ruskiego. Miała niegdyś Ruś, jak i Bałkan, wysoką kulturę, ale jak na Bałkanie inwazja turecka, tak na Rusi tatarska ją zniszczyła; praca umysłowa ustała, lud dziczał, popi i czerńcy brnęli w ciemnocie, bojarzy odwykali od karności, którą rządy polskie wprowadzały; mieszczanin ruski cofał się na przedmieścia; szlachta polska nawykała do miejscowego bezprawia, a choć już zachodziły śluby małżeńskie z Rusinkami, nie było jeszcze wyraźnej asymilacji i chłop, różny wiarą i mową, odcinał się od pana nierównie silniej, niż w rdzennej Polsce; widział w nim tylko nachodźcę.

Wpływy obce wzmogły się silnie. Najpierw czeskie, znaczne za Kazimierza W. jeszcze w ogólności (przyświecały mu Praga i Karol IV), teraz w szczegółach. Zaciężyła wojskowość czeska, jej taktyka i uzbrojenie, nad polską a roty czeskie stanowiły o wyniku walk pruskich. Piśmiennictwo czeskie wodziło na pasku polskie; przyjmowano u nas z niego prozę religijną i wiersze,[1] ale, co nader znamienne, i rychłości postępu polskiego dowodziło, już przy końcu wieku odwracał się stosunek i Czesi zajęli od nas już wtedy kilka większych pieśni. Husytyzm przekraczał granice tylko w Wielkiej Polsce, szerzony przez kilku szlachty i awanturników (dla grabieży), a przez luźnych duchownych, powracających z Pragi (dla nauki); konsystorz poznański, gnieźnieński i włocławski, wywiedli niejednego z prozelitów na stos

[1] Między innemi np. znaną z trzech odpisów XV wieku modlitwę wierszowaną: «Zdrów bądź królu anielski», por. St. Dobrzycki, *Kolędy polskie a czeskie* i t. d., Poznań 1930, str. 11—15.

i zgnietli ruch; wobec braku katolickich księży na katolickich Morawach polscy duchowni (prawda, że nie wyborowi) tam osiadali.

Najsilniej wystąpiła niemczyzna. Miasta niemieckie w Polsce od 1250—1400 r. nie zlewały się z ludnością tubylczą, stały mocno coraz nowemi przypływami ze zniemczonych stron Śląska i z dalszych Niemiec; zczasem ten obcy przypływ malał, a wzmagał się rodzimy, choćby ograniczony do pospólstwa, i język polski wkraczał do rodzin niemieckich (żony bywały coraz częściej Polkami). Więc Niemiec krakowski czy poznański stawał się dwujęzykowym i przenosił do polszczyzny fachowe słownictwo świata miejskiego i stąd poszło, jak u Czechów, to mnóstwo germanizmów, rugujących nawet wyrazy słowiańskie; słownictwo polskie liniało w ciągu wieku, postradało przy jego końcu już liczne wyrazy rodzime, zastąpiło je niemieckiemi. Ale nie kończyło się na języku; szlachta i chłopi przejmowali wiele z obyczaju miejskiego, ze stroju, z obchodów dorocznych i zabaw i jeżeli się tesame w Niemczech i w Polsce powtarzały, to dowodziła nazwa polska, wzięta z niemieckiej (np. *ząbrzyć* z *zampern*, *śmigus* z *schmeckostern*, *dyngus* z *dingnus*), że tu o pożyczki, o naśladowanie gotowego wzoru chodziło; tak wtargnęły do obchodów rodzimych żywioły obce, np. do weselnych, i należy odnosić się bardzo sceptycznie co do mniemanej rodzimości wielu guseł, zabobonów (cała rzecz o czarownicach obca zasadniczo), przesądów, zwyczajów (nawet rycerskich — turnieje przecież są całkiem obce; niemniej herby). Karta etnograficzna Polski, do niedawna jednobarwna, zaczęła się pstrzyć obczyzną. Inne narodowości, np. włoscy kupcy, górnicy, przemysłowcy, zjawiali się luźnie i ślady ich się zacierały.

Oba najważniejsze czynniki średniowiecza europejskiego, zakony i miasta, nie spełniły u nas wszystkich słusznych oczekiwań. Przyświecały zakony gospodarką folwarkową, wzorową, zbogaciły kraj ekonomicznie, uczyły kunsztów budowli, malar-

stwa i minjatur, muzyki kościelnej, chwilowo, w wieku XIII, oddały się pracy misyjnej gorąco, chociaż już w XIV ochłódły w tym zapale — nie stworzyły jednak ognisk umysłowych; były benedyktyńskie bogactwa, nie było benedyktyńskiej nauki; nieraz tłumaczyło ten brak obce pochodzenie, cystersi np. byli przeważnie Niemcy, nietylko na Śląsku. Uwydatniło się to wyraźniej w mieszczaństwie; bogate ono i kulturalne, szczególniej krakowskie lub poznańskie, ale brak mu ruchu umysłowego, zdobyło się na piśmie tylko na rachunki i procesy, wilkierze i ustawy cechowe; obcy, Ślązacy, brali udział nierównie wybitniejszy; były zabawy cechowe, ale misterjów, tak charakterystycznych dla miast średniowiecznych, nawet w Krakowie nie odgrywano.

Przewaga duchowieństwa znacznie osłabła; dla jakiejkolwiek teokracji nie było już miejsca i Kazimierz nie wahał się przed konfliktem z papieżem, a opozycję Zbygniewa, przypominającego poniekąd św. Stanisława, przełamał; w sto lat później wpadł już tylko warchoł-fanatyk Orzechowski na marzenia teokratyczne. Zaostrzał się spór szlachty z duchowieństwem, ale nie o artykuły husyckie, lecz o dziesięciny. Wiara była nienaruszona, jej cechy jednak raczej zewnętrzne, zmysłowe; sąsiednia burza religijna przeszła obok granic, duchowieństwo zadeptywało starannie najmniejszą iskierkę; lud gubił się w przesądach, a kaznodzieje podawali mu nieraz zamiast szczerego słowa bożego plewy napół uczone. Rozprzęgała się i karność duchowieństwa świeckiego, jeszcze bardziej zakonnego, szczególnie zakonnice wiodły nieraz życie gorszące; wspaniały organizm Kościoła podłaczał rak zepsucia, gdy w wyższem, śród biskupów np., duch świecki, przebłyski humanizmu, mroki średniowieczne rozświecały; hasła humanistyczne nie przekraczały najwęższych kółek krakowskich (Dunajów stanowił wyjątek chwilowy).

Coraz wyraźniej zarysowywał się, głównie śród szlachty, osobliwszy typ polski: porywczy, ale nie wytrwały, wylany, ale

zmienny, otwarty, ale głośny, praktyczny, ale niedbały, ciekawy, ale płytki; coraz bardziej sobek, coraz mniej o ogólne dobro troskliwy; coraz nieufniejszy wobec obcej dynastji i jej Rady królewskiej; coraz świadomszy swoich praw, mniej swoich obowiązków; coraz skłonniejszy do używania — ale narazie granic skromności wcale nie przekraczał. Zarysowywały się coraz wyraźniej odcienia dzielnicowe; najniżej stawał ubogi, rozrodzony, rubaszny szlachetka mazowiecki, z archaicznemi urządzeniami i pojęciami, pasujący się w ciężkim znoju z piachami i borami niewdzięcznej ziemi. Kujawiak, «wielgi» Polak, bogatsi, rządniejsi, gospodarni, przechowali w krwi głębszy respekt przed władzą, przetarli się w bliskiem obcowaniu z Niemcami — tu przymieszka obcej krwi była najsilniejsza; szlachta mniej skupiona w drobnych zaściankach, nie obfitowała w bogactwa wskutek szczupłej ziemi a własnego rozrodzenia. Najwyżej stawali materjalnie i moralnie Małopolanie, nierównie więcej uposażeni w ziemię dzięki Rusi Czerwonej i Podolu, z rodami magnackiemi Leliw, Śrzeniaw, Odrowążów; oni górowali wykształceniem, znaczeniem u dworu, powagą w kraju i ster sprawy polskiej dzierżyli.

Nieprzerwany od XIII wieku wzrost kultury polskiej dosiągł w XVI, w wieku złotym, szczytu. Złożył się na to szereg pomyślnych okoliczności. Gdy Zachód tonął w walkach zewnętrznych i wewnętrznych (religijnych), zażywała Polska głębokiego pokoju politycznego a niezamąconego rozwoju ekonomicznego, tworzącego owe bogactwa, bez których niema wykwintnej kultury towarzyskiej, artystycznej, naukowej. Wyższa szlachta i duchowieństwo zawodniczyły w okazałym przepychu, w mądrem używaniu środków olbrzymich, w tworzeniu znakomitych ognisk kulturalnych. Włochy, Francja, Niemcy podziwiały magnatów, którzy utrzymywali u siebie dwory bogate, a zagranicą młodzież na studjach, którzy obcych uczonych i artystów hojną ręką wspierali, zakładali drukarnie, szkoły, galerje, sami smakiem,

wiedzą, stylem górowali; obok wielkiej polityki uprawiali największą gościnność z nadzwyczajnym taktem; biła od nich powaga obok ludzkości i uprzejmości, imponowała ich swoboda, brak uprzedzeń, łaskawość; humanizm pojęć a renesans obyczajowy zdobył stolicę w Polsce. Oni sprowadzali uczonych, poetów, artystów, i głośne były po Europie imiona Łaskich, Maciejowskich, Radziwiłłów, Zamoyskich; powaga Zygmunta Starego, z jego monumentalnemi dziełami sztuki, kolekcjonerstwo Zygmunta Augusta, wysoki stopień kultury muzycznej, dwór wystawny Zygmunta III, olśniewały swoich i obcych. Temu polorowi obce były przesada i wymuszoność, był jakby przyrodzony, z krwią i z mlekiem wyssany. Wykształcenie, zamiłowanie i znawstwo to literatur, szczególnie klasycznych, to sztuk pięknych, to jedno i drugie razem nie ograniczały się dworem królewskim i kilku magnackiemi, lecz spływały na zamożniejszych zpośród szlachty i mieszczan, którzy nieraz kilkakrotnie wyjeżdżając do Włoch, Niemiec, Francji, przystosowując się z łatwością do każdego otoczenia, szerzyli między swoimi obce mody i idee, księgi i wiedzę. Wyjazdy Polaków dla studjów, religji, polityki a przyjazdy obcych stworzyły ową stałą wymianę rzeczy i myśli, bez której niema wyższej kultury europejskiej. Polak ubierał się, ucztował, weselił, urządzał widowiska, jakie we Włoszech widział, najpojętniejszy ich uczeń, ale miary nie przekraczał; brzydził się opilstwem, karciarstwem, rozpustą; miał silne poczucie honoru osobistego, dumy szlachetnej, niezawisłości zazdrosnej. Ta wspaniałość podbijała; już w XV wieku rozpoczął się zwycięski pochód kultury, ugrzecznienia, oświaty polskiej na kresy ruskie i litewskie, a w XVI nic go już nie wstrzymało. Katolicka szlachta litewska i ruska prawosławna w ciągu XVI wieku zupełnie polszczały, utrzymywały dworzan Polaków, posyłały synów do szkół polskich (ruskich nie było), wymagały wprawdzie znajomości ruskiego pisma i języka, boć kancelarja litewska wy-

dawała w nim wszelkie akty,[1] ale wagę kładły na łacinę; Zahorowski kazał w testamencie z r. 1577 synów po początkowej nauce ruskiej i łacińskiej domowej wysyłać na lat siedm do szkoły wileńskiej jezuickiej. Upodobniała się Ruś i Litwa polskim zwyczajom i trybowi, mowie i strojom, pojęciom i dążeniom; właśnie przeciw magnatom, przeciw panom Radnym parła mniejsza szlachta gwałtownie do unji z Polską, aby pozyskać prawa szlachty polskiej, czemu się Chodkiewicze i Radziwiłłowie sprzeciwiali, zazdrośni o swoje wpływy. Nie brakło i przeciwników, którzy wychwalali dawne «skromne i pokorne cnoty» ruskie, mierność przodków i sarkali na modne stroje i zbytki,[2] tembar-

[1] Tradycją utrzymywał się ten zwyczaj niepomiernie długo; dopiero sejm warszawski r. 1697 ustanowił: «ponieważ język ruski niedostępny jest genjuszom polskim, przeto pisarz powinien po polsku a nie po rusku pisać wszystkie wypisy i pozwy».

[2] Przeciw tym sarkaniom wydał nieznany autor paszkwil pod imieniem kasztelana Mieleszki, niby jego przemowę sejmową z r. 1589, zob. wyż. II, 359; do znanych dwu odpisów dodał W. M. Łastowski, *Historja bielaruskaj krywskaj knihi* (jest i tytuł litewski, z «Gudami», bo w Kownie drukowana), 1926, str. 446—449, trzeci odpis, datowany r. 1663, mało co od tamtych odmienny. Foljant Łastowskiego, rozumowana bibljografja mniemanych białoruskich rękopisów i druków, o rozczulającej naiwności (autor dowodzi rusycyzmów w psałterzu florjańskim i w kazaniach gnieźnieńskich!), dał jeszcze ruski list p. Komunjaki (znanego z fatalnego przypadku sejmowego) do wojewody Obuchowicza, który Smoleńsk wydał Moskwie, z r. 1655, szydzący niemiłosiernie ze zdrajcy; Komunjaka w tym liście (Łastowski, str. 575 i 576), donosił o sobie: pamiętam jak p. Mieleszko, kasztelan smoleński był, to ja «buduczy na sojmie na toj czas za im s kordikom stojał»; nie bał się on ani króla, ani senatorów, prawda że tylko «czasownik (brewjarz) i psałterz» czytać mógł i Komunjaka przytaczał ustęp z jego mowy sejmowej (niema go w owym paszkwilu), podobnego stylu o szalbierzach, co z błota złoto i z złota błoto robią, mimo to «kiepom» zostają. Żeby Komunjaka był autorem i owego paszkwilu, nato niema dowodu, ale rozumiemy teraz, jak można było pod firmą Mieleszki coś podobnego wypisać. Ruscy pisarze brali ten paszkwil poważnie, sławili patrjotyzm ruski Mieleszki; jedyny Hruszewski uznał

dziej, że z odstępstwem od dawnego trybu łączyło się coraz częściej odstępstwo od wiary, że szlachta ruska przechodziła na katolicyzm wprost lub drogą okólną przez protestantyzm, np. synowie księcia Ostrogskiego, wodza schizmy, piszącego i czytającego po polsku, za życia ojca ku jego strapieniu, albo Lew Sapieha i in. Tak szerzyła się kultura polska, zachodnia, poza Dniepr i Dźwinę, a z każdym neofitą powstawały tam nowe placówki polszczyzny, którą szerzyła ludzkość, nie katorga ani Sybir.

Były plamy na tem słońcu. Kultura, szerząca się po dworach i dworkach, nie mogła stężeć; brakło jej dworu i miasta; od obu, szczególnie od miasta, stroniła szlachta, której ideałem pozostawały *rura paterna,* spłacheć własnej roli — i Kochanowski zakopał się w Czarnym Lesie, nie inaczej, jak «człowiek poczciwy» Reja. Służbę wojskową (coraz rzadszą) i dworską, innej nie było, rzucał szlachcic i osiadał na wsi; tak traciło miasto sfery wyższe i żyło tylko między sobą. Nie ustalały się śród szlachty ani teatr, ani sztuki piękne, ani wiedza-literatura. Dalej były warstwy kulturalne raczej wąskie i płytkie; obok Europejczyków bytowali, szczególniej na kresach albo na ubogiem Mazowszu, sarmaci o najniewybredniejszem życiu, a najpłytszej umysłowości. Miasta, bez szlachty i dworów, trzymały się je-

---

w nim przeciwnie paszkwil na Starorusów i słusznie. Przecież Mieleszko gani, że kupił na *tandecie* kijowskiej *godinnik* za trzy kopy groszy, ten się zepsuł, a szalbierz obcy w Wilnie żąda z półtory kopy za naprawę, czyż nie lepszy nasz kogut, który zawsze o północy kukuryka! U kobiet radby widział dawne zapinane z tyłu *kozakiny* i rozporki sznurowane z pluderkami niemieckiemi dla obrony cnoty przed gachem. Doma stroi się on po staremu i nie może się nań napatrzeć pani (t. j. kasztelanowa) Mścisławska (Mieleszko był wpierw kasztelanem mścisławskim). Pomieszał królową Konstancję z starą ochmistrzynią Urszulą; odróżniał od Lachów Niemców, t. j. Włochów, Francuzów, a kończył zapewnieniem, że jego jako najmądrzejszego wysłano na sejm, więc dalej nie wie co mówić i żegna króla i senatorów. Potępił Zygmunta Augusta; on nie godzien miana człowieka, bo nam Wołyń i Podlasie odebrał. Drwiny to niepoważne.

szcze dzielnie, zato wzrosła fatalnie nędza chłopska; wystawne życie szlachty wymagało środków, których dostarczała wieś i folwark na nowo rozkopanych gruntach, trzebież gwałtowna lasów, wypas bydła; stale wzmagały się pańszczyzna i daniny, chłop rzucał niewdzięczne sadyby i uciekał na wschód, na Pobereże i Podole; kaznodzieje, katoliccy zarówno jak różnowiercy, wystawiali w najczarniejszych barwach ucisk i niedolę, ciążące jak jarzmo tatarskie nad chłopami, z których coraz rzadziej wybijały się jednostki (np. Janicjusz).

W nowy wiek wkraczała Polska obciążona szczątkami średniowiecza, między niemi jednostronnym ustrojem stanowym. Jeden stan, szlachecki, zagarnął wszelkie swobody-przywileje, ani myśląc o należytej spłacie obowiązków, pozbywając się ich byle jak; żadnej przeciwwagi istotnej nie stanowił jemu ani król, który się wkońcu zrzekł i dziedzicznego prawa litewskiego, ani senat, ani miasta, co praw politycznych wcale nie miały. Osobista powaga Zygmunta Starego a zręczność i wytrwałość Zygmunta Augusta pokonywały jeszcze trudności, ale energja Batorego budziła już wrzenie jawne, a intrygi Zygmunta III doznały dotkliwego upokorzenia. Coraz cięższe warunki nakładał szlachcic swemu wybrańcowi, ale dbały o własne dochody mało dbał o państwowe, więc skarb bywał ubogi i utrzymywał drobne wojsko stałe, rozległości otwartych granic a zawziętości wroga wcale nieodpowiedne, gdy szlachcic pod pozorem pospolitego ruszenia o własną gotowość wojenną najmniej się starał, stawszy się ziemianinem z rycerza. I miała się szlachta coraz lepiej, państwo coraz gorzej; wołano o reformy, uskuteczniono (acz nie najtrafniej) niejedną, np. sądową, ale inne połowiczne (skarbową i wojskową). Złoty pokój uśpił szlachtę, używającą pełni wolności i dochodów, wolną od podatków, uważającą się za jedyną przedstawicielkę narodu, pomiatającą klasami niższemi, nieufną wobec króla i magnatów.

Inny zabytek średniowieczny, to *studium generale* kra-

kowskie i jego monopol naukowy, gdy nowej nauki u niego niebawem zabrakło. Uprawiała akademja i nadal filozofję arystotelesową i teologję tomistyczną, zaniedbując prawo i medycynę i spadła na poziom nauki miejskiej, dostarczającej Kościołowi alumnów, a miastom pisarzy; szlachta, ceniąca obce, nie swoje, dawno ją omijała, nawiedzała chyba przelotnie i słynna niegdyś szkoła, nie zasilona nowemi środkami, ideami, metodą, mimo ciągłych wołań o reformę, zamiast się rozwijać, sama kostniała, a z nią i nauka w kraju.

Cechą wieku było wyemancypowanie się z pod średniowiecznego wpływu Kościoła. Zaczęło się to rychlej, teraz dokonało; rozstrój moralny kleru, zatargi gorszące z laikami, burza reformacji, nadciągająca od Niemiec, zniweczyły katolicyzm; większość szlachty, mieszczanie przeważnie niemieccy, odstąpili od niego. Ale fala protestantyzmu nie pozostała jednolitą; rozbita na zwalczające się wzajem wyznania, gdy po tryumfach chwilowych trafiła na energiczny odpór, szczególnie na karny i ofiarny zakon jezuitów, powoli opadała i katolicyzm, odnowiony poniekąd w Trydencie, jeszcze w tym samym wieku wracał do dawnej przewagi, chociaż nie miał już nigdy zupełnej jedności wiary przywrócić. Walki wyznaniowe wniosły silny ferment w społeczeństwo, ożywiły nadzwyczaj piśmiennictwo, zdobyły językowi narodowemu pierwszeństwo i wskrzesiły uczucia religijne, które się na początku wieku widocznie miały ku schyłkowi; świadczył o tem wymownie skład episkopatu polskiego, polityków albo światowców raczej niż duchownych.

Bujnie rozrosło się piśmiennictwo łacińskie, wiersze i proza historyczna i dydaktyczna, nadzwyczajnie zaś polskie. Jego postęp był wręcz zadziwiający; gdy w pierwszych dziesiątkach wieku stawiało kroki nieśmiało, nieraz jeszcze na pasku czeskim wodzone, od połowy wieku wiersze i proza religijna i budująca Reja, Trzecieskiego, Krowickiego, Orzechowskiego, Górnickiego, a wkońcu liryka Kochanowskiego i kazania Skargi wzniosły się

tak nad czeską, jak w XIV wieku czeska nad polską; osiągnęły wyżyny estetyczne i stworzyły skarbiec prawdziwy literatury narodowej, wypiastowały formę, wyszlachetniły język. W sztukach pięknych nie stworzyły siły krajowe (oprócz w muzyce) nic uwagi równej godnego; Włosi ozdabiali kraj budowlami i pomnikami, jak dawniej Niemcy.

Silnie oddziaływały wpływy obce; teraz wystawiali się na nie Polacy sami wyjeżdżając tłumnie na całe lata, wchłaniając kulturę odrodzenia włoskiego, zapatrując się na porządki miast niemieckich, zapędzając się do Hiszpanji, Anglji, Szwecji. Zewnętrzne rzeczy łatwo i chętnie naśladowano, przybierano np. ubiór węgierski, konną sztukę włoską, broń wschodnią, ale cech rodzimych się nie pozbawiano i pozostawano sobą, chociaż mieszano frazesy czy słowa łacińskie szczególniej, rzadziej także włoskie w mowę i listy.

Właśnie trzecim przeżytkiem średniowiecznym była przewaga łaciny w życiu publicznem, a nawet prywatnem; kancelarje królewskie, biskupie, magnackie wydawały akty, instrukcje, pozwy, listy w języku obcym, coprawda międzynarodowym i dlatego arcywygodnym, ale to działo się z ubliżeniem dla rodzinnego. Szczególnie szkoła piastowała język «uczony», a jednostronne uwielbienie pism łacińskich kształtowało myśl własną na tę modłę obcą i pojęciami rzymskiemi zabarwiano, a nieraz i zniekształcano stosunki życia spółczesnego, cnotami i hasłami starożytnemi pokrywając pobudki i postępki bynajmniej z niemi niezgodne.

Wpływy polskie same nie przekraczały jeszcze granic państwowych. Ślady dawnej niemczyzny po miastach i wsiach zatarły się niemal zupełnie; nowi Niemcy, Włosi, pierwsi Szkoci nie stanowili gmin czy kolonij zwartych; już tułali się po kraju niechętnie widziani Cygani. Żydzi, osiedli po miastach w swych dzielnicach, już je opuszczali dla ceł, myt, karczem i szli na wieś dla jej ruiny; mieli się dostatnio, kapitaliści, chociaż przepisy

prawne ich ograniczały; Statut Litewski im birety żółte, a żydówkom żółte nakrycia głowy nakazywał.

Coraz wyraźniej stawała się kultura sielską, szlachecką, arystokratyczną; miasta były wyłączone, żadne też nie odegrało roli dawnego Kijowa czy późniejszej Moskwy; nie znano na wsi pracy zbiorowej i coraz rwały się wszelkie poczynania. Zanosiło się na koła literackie w Krakowie za Kallimacha i Celtesa, za Trzecieskiego (ojca), najbardziej zaś skupiło się w Zamościu grono uczonych i literatów, lecz z wyjazdem gościa albo ze śmiercią mecenasa wszystko się rozprzęgało. Było wesołe życie towarzyskie, kolejno się odwiedzano (kolejno nawet wędrowała i uczyła się dziatwa różnowiercza po dworach wiejskich), ale o stałej organizacji literackiej, uczonej czy artystycznej (poza cechami), w rodzaju włoskich i in. akademij, nie było mowy; nawet (trzy) uniwersytety nie złożyły się na nic podobnego; wszystko szło luzem, indywidualnie. Wysyłano młodzież na dwory biskupie, na dwory Tęczyńskich, Kmity, Tarnowskiego, Zamoyskiego i in., ale to służyło tylko za etap przejściowy, nie łączyło stale z dworem. Źle wróżyła o przyszłości kultury ta jej sielskość wyłączna i szlacheckość, z jej życiem coraz wystawniejszem, próżniaczem i lekkomyślnem zarazem. Świat kobiecy tkwił jeszcze przeważnie w średniowiecznem zaciszu domowem i śród trosk gospodarczych; nieliczne żony-Włoszki jeszcze go nie odmieniały i cnoty rodzinne stały wysoko, autorytet rodziców był niewzruszony, tryb życia Zygmunta Augusta i Henryka gorszył, naśladowców nie znalazł.

Na wyżynie materjalnej utrzymała się kultura do połowy XVII wieku; potem uległa obniżeniu przez nieustanne katastrofy i dawnego poziomu już więcej nie osiągła; szlachta ubożała, popadała w coraz większą zawisłość od magnatów, których majątki, wpływy, intrygi olbrzymio wzrastały; w istocie rozstrzygali oni, mimo pozorów demokracji szlacheckiej, mimo przewagi sejmików nad sejmami, coraz zrywanemi, tracącemi więc władzę

prawdziwą na korzyść urojonych paladjów wolności szlacheckiej *(liberum veto,* elekcja, wolność od ceł i podatków). Z każdym lat dziesiątkiem ujawniał się coraz bardziej także zanik kultury umysłowej. Walki wyznaniowe zcichły, tłumne wyjazdy zagraniczne przerzedzały się, zaściankowość brała górę; szlachta czuła przez skórę, że porządki obce wrogie są jej uprzywilejowanemu stanowisku, że każda odmiana mogłaby je naruszyć, że jej najwygodniej z tym dawnym trybem, więc odrzucała świadomie wszelką myśl o naprawie. Ucisk chłopski rósł, miasta upadały, bo czego nieprzyjaciel nie przewiódł, dokonały fatalne wewnętrzne warunki: szlachcic sprowadzał towary zagraniczne, handel i przemysł krajowy niszczały, do czego się żydzi walnie przyczyniali, zagarniając wszelkie zarobki.

Słoneczne niebo kultury XVI-wiecznej nagle się zasępiło. Miejsce wolności sumienia, wybojowanej r. 1573, zajmował rosnący fanatyzm; złożyły się nań wychowanie szkół jezuickich, stronniczość Zygmunta III, wybryki pospólstwa podbechtywanego, fala powrotna ascezy, wojny z schizmą (Moskwą) i lutrem (Szwedem), z których za łaską Niebios i Marji wybrnięto, zdrada różnowierców, witających Karola Gustawa i Rakoczego jako zbawców. Ten fanatyzm zacieśnił cały widnokrąg: niedowierzano obcym księgom, ideom, ludziom; jednostronne, formalistyczne i wyznaniowe wychowanie tępiło myśl niezawisłą; prawowierność starczyła za wiedzę; książka, oprócz ascetycznej, wychodziła z obiegu; literaturę ceniono coraz mniej i literaci, czując swoją zbędność, nie kwapili się do druku, tembardziej, że krytyka duchowna i obywatelska nie znosiła słowa wolnego; czem wdzięczniejsze pole satyrze się odkrywało, tem zawzięciej milczała.

Świat szlachecki izolował się od Europy, od jej życia umysłowego; nauki nie pielęgnował (szkoła dawała jej nędzny surogat); co zagranicą widział, do kraju nie stosował, bo mu z nierządem było wygodniej (nie potrzebował płacić podatków, słu-

żyć w wojsku, troszczyć się o pracę, skoro go chłop żywił); gardził handlem i przemysłem, bawił się znakomicie w sąsiedztwie, pił i polował a trzymał się klamki pańskiej. Ideałem mieszczanina było naśladować szlachtę, a jeśli można, wkraść się w jej szeregi; nad chłopem, jeśli wpadł — co na kresach stale się wiodło, w łapy dzierżawcy czy komisarza, litości nie było; lata 1648 i 1649 wyrównywały tam obrachunki.

Były rokosze; we Francji uśmierzano je toporem kata, u nas ucałowaniem ręki królewskiej; były konfederacje wojska niepłatnego, Zamoyski byłby hersztów powywieszał, teraz się z nimi godzono; odnoszono w ciągu wieku świetne zwycięstwa, ale nie brakło i klęsk haniebnych. Z latami, zamiast wyjaśnienia, zgęszczały się cienie; autorytet, jaki jeszcze nawet Zygmunt III posiadał, zanikł za Jana III zupełnie; na polu nauki i literatury do r. 1640 jeszcze jako tako się trzymano, po r. 1640 Kochanowskiego już nie przedrukowano, a znaczniejsi poeci pisali wyłącznie dla siebie i kilku znajomych. Ascetyki i panegiryki znał już wiek XVI, ale teraz ich liczba i niesmaczność wzrosły potwornie. Życie towarzyskie grubiało; kobiety wycofywały się z posiedzeń, aby nie narażać powagi, którą trzeźwi nadzwyczaj, po rycersku, czcili; to, że szlachta kresowa (egzulanci ze Smoleńska i Podola) wracała do Korony, obniżało raczej obyczajowość; życie rodzinne trwało zawsze jeszcze na niezachwianych podstawach.

Wysoki poziom kultury XVI-wiecznej objawił się teraz dopiero w całej pełni, bo mimo klęsk politycznych i materjalnych, mimo nastającego zubożenia umysłowego urok potęgi, wiedzy, obyczajowości polskiej podbijał dalekie krainy. Że w granicach państwa Ruś szkoły, literaturę, obyczaj wyłącznie na modłę polską kształciła, rozumiało się samo przez się, ale Ruś polska tworzyła tylko pomost, po którym książka, wiedza, obyczaje polskie dostawały się do Rusi moskiewskiej, na dwory carski i bojarskie, nakoniec aż do mieszczaństwa, czytającego powieści pol-

skie w tłumaczeniach; polskie strój, muzyka, malarstwo, gościły i w Kremlu. W Mołdawji więcej, mniej na Multanach towarzyszył dawnemu słowiańskiemu nowy polski wpływ widoczny w literaturze; na Śląsku za wojny trzydziestoletniej wzdychano do spokoju polskiego i tłumaczono Kochanowskiego na niemieckie; w Królewcu nie było winą stanów pruskich, że nie wróciły do Polski; tu osiadali wygnańcy polscy za wiarę, a namiestnikował ostatni Radziwiłł (linji birżańskiej); Lisowczyk roznosił strach imienia polskiego pod Złotą Babę rostowską, nad Ren i Dunaj. W obrębie Polski samej szło polszczenie kraju w coraz szybszem tempie; porządki polskie zaprowadziliby u siebie zbuntowani Kozacy; miasteczka najdalszej Litwy (gdzie łaciny nie znano w praktyce urzędowej, a język polski dawny ruski zastępował), nie różniły się niczem od rdzennie polskich. Szczuplały już granice na korzyść Szwecji i Moskwy, wychodziły z leństwa Prusy i Wołoszczyzna, rosła zewsząd groza, ale niewzruszony skutkiem krótkowidztwa optymizm ją lekceważył.

Punkt ciężkości państwa (a z nią wkońcu i kultury) już się przesunął. Kraków, dogodny dla orjentacji zachodniej, ustąpił zupełnie Warszawie i orjentacji ku Litwie i Rusi; lecz nie przeniosła się do nowej stolicy kultura miejska, mimo pałaców magnackich i rezydencji królewskiej, bo życie wrzało tu w pełni tylko za sesyj sejmowych; po nich miasto pustoszało. Różnice dzielnicowe występowały coraz silniej; podniósł się nieco, już dzięki Warszawie, niski poziom mazowiecki, ale zawsze jeszcze był Mazur chełpliwy, junacki, rubaszny, ubogi, celem pośmiewiska dla Wielko- i Małopolan; Wielkopolanie byli najrządniejsi, ale ich środki były szczupłe — magnaci tylko ci z nich, którzy i na Rusi w starostwa i królewszczyzny opływali; między nimi było sporo wykształconych, nie darmo Leszno Braci Czeskich przyświecało, a Opaleńscy górowali nad innymi. Znaczne rody małopolskie, Lubomirscy, Potoccy, Koniecpolscy i in., a śród nich i rody ruskie Zbaraskich, Ostrogskich i in., olbrzymim ma-

jątkom ruskim zawdzięczali swe stanowisko; ale i śród mniejszej szlachty nie szczuplały schedy na miarę wielkopolską, cóż dopiero mazowiecką z jej szaraczkami; żyła też na wyższej stopie, a miała czas i ochotę do literatury, z której Wielkopolska po Opaleńskich się zupełnie wycofała, gdyż wszyscy celniejsi poeci drugiej połowy wieku to Małopolanie (Podgórzanie i in.). Litwa brała dopiero teraz udział w literaturze; w wieku XVI jej się nie dorachować (chyba śród pisarzy-polemistów teologicznych), teraz dwór birżański skupił grono poetów i literatów, chociaż, co prawda, rzadko który z nich był Litwinem; byli to znowu Małopolanie, co dla wyznania albo dla zarobku z Krakowa (Wodzisławczyk i in.) i Sandomierza się przenosili, chociaż Litwa Koroniarzy przynajmniej na urzędy nie dopuszczała. Ale Wilno, ale akademja wileńska były silne polskością, litewszczyzna i białoruszczyzna kryły się po wsiach, zasilając słownictwo własne wyrazami polskiemi. Żywioł ruski kołatał się jeszcze śród drobnej szlachty, ale i tu ustępował polskiemu. Wiek więc XVII mimo utraty Smoleńska i Kijowa, to wiek największego szerzenia polskości poza granicami; w domu nie zagrażał mu żaden żywioł obcy (Żydów wyjąwszy); język włoski (nierównie mniej francuski) tylko śród wielkich panów był znany, niemiecki u Wielkopolan i w Prusach królewskich; rozpościerał się tem silniej na Śląsku i Pomorzu.

W pokoju XVI-wiecznym naród szlachecki zgnuśniał, znosił cierpliwie nawet napady tatarskie, a uzbrojenie pospolitego ruszenia było jeszcze średniowieczne. Wiek XVII otrząsł szlachtę z gnuśności, zahartowała się w rzemiośle rycerskiem, ale gdy się zpośród wrogów wyrąbała, znowu opuściła ramiona. Charakteru rycerskiego nie utraciła, wprawą do konia i szabli nadal błyszczała, lecz użyć jej już nie zdołała, celów żadnych prócz utrzymania *statu quo* nie wystawiała. W takim nastroju przeszła w wiek XVIII.

Za Sasów upadek moralności publicznej, patrjotyzmu

(mimo gromkich słów), przezorności politycznej był zupełny. Naród szlachecki (mieszczan i ludu nie liczono) pogodził się z utratą niezawisłości, z narzuconą gwarancją wroga, z jawnym nierządem wzamian za beztroskie używanie wczasów i dostatków, za gnuśny pokój, za bezmyślne trwonienie sił i czasu. Orgja przekupstwa rozszalała już za wyboru Augusta II i przeszła w niegorszący nikogo zwyczaj; powaga prawa upadła wobec jawnego gwałtu albo zręcznego matactwa. Magnaci, silni olbrzymiemi dobrami kresowemi z majątków rodowych i królewszczyzn, trzęśli krajem, mając na zawołanie tysiące szabel klientów-służalców. Król był przedmiotem wyzysku, bo na nim wymuszano starostwa i urzędy; sejmy i sejmiki utraciły wszelkie znaczenie; skarb był pusty, a wojsko na śmiech małe i niewprawione do boju.

Nienaruszona moralność rodzinna ratowała wiek zepsowany; niezachwiana powaga rodziny, cześć honoru osobistego i tradycji rycerskiej obowiązywała powszechnie, uśmierzała wybryki temperamentu, godziła zwaśnionych stałem «kochajmy się». Równość i braterstwo panowały w ustach, chociaż im fakty przeczyły, chociaż godziło się z niemi uniżone płaszczenie przed możnymi, a pomiatanie niższymi. W rodzinie panował dawny patrjarchalizm, t. j. bezwzględna władza rodzicielska, pokorna uległość synów i córek; węzły pokrewieństwa choćby najdalszego szanowano starannie i rzadko znalazłby się szlachcic zupełnie opuszczonym, zawsze mógłby się przypytać choćby do herbownego «stryja»; Rzeczpospolita stanowiła niby jedną wielką rodzinę, majątkowo różną, obyczajem i wykształceniem równą.

Poziom umysłowy był nader niski. Program szkół zakonnych zwęził się i skostniał; szkoła wypuszczała łacinników, co o Bożym świecie nic nie wiedzieli, wodzeni na pasku jezuickim, wszelką nową myśl, nie znając jej nawet, jako świętokradzką wyklinali, od książki i literatury odwykli, jedyny kalendarz piastowali i polszczyznę łaciną kaleczyli. Nauki i piśmiennictwo świeciły

pustkami przez całych lat sześćdziesiąt, zato rósł fanatyzm wyznaniowy, praktyki religijne zewnętrzne, ufność w łaskę Niebios. Drukowano śmieci w godnej ich szacie, ascetyki i panegiryki.

Tak było na nizinach, w szerokich masach; wiara płytka, życie nad stan, pijatyka nadmierna, szeroka gościnność i towarzyskość, hołdy kobiecie, pogarda pracy: typowe oznaki kultury arystokratycznej. Ale węzły z Zachodem nie były zerwane; właśnie śród arystokracji szerzyły się, przez wychowanie domowe francuskie, przez wyjazdy zagraniczne, nawet przez związki rodzinne z obcą arystokracją, inne pojęcia, kultura francuska, ogłada europejska. Mroki zalegały niziny, ale początki wolnomularstwa próby francuskiej śród magnatów, ruchliwość Załuskiego na polu wydawniczem i literackiem, reforma stylu i wychowania Konarskiego, który zamiast łacinników obywateli kształcił, a logicznie mówić i myśleć uczył, wieszczyły rychły przewrót umysłowy.

Towarzyszyły tym wieszczbom inne mniej pomyślne oznaki. Właśnie śród arystokracji rozgościła się luźność obyczajowa: więzy małżeńskie pękały dla licznych rozwodów albo dla jawnej niewiary, a najwystawniejszy przepych nadwerężał fortuny; August II dawał z siebie przykład w jednem i drugiem. Przepych ten łudził; kraj był ubogi, wyludniał się i pustoszał; gospodarka pańszczyźniana znędzała chłopa, a nie bogaciła pana; miasta były parodją; niszczyły je mór (np. Wielkopolskę), pożary (Wilno), napady wroga (Lwów od Szweda), ucisk starościński i żydowski, jurydyki szlacheckie i duchowne. Nadciągali koloniści, Niemcy, osiadając na pustkach wiejskich lub po miastach, piastując pierwsi nowy przemysł. Wylew kultury polskiej za granice ustał zupełnie; tylko «wierzchownicy» rosyjscy zamarzyli o przywłaszczeniu przywilejów polskich dla siebie, ale biurokracja niemiecka zniszczyła niewczesne zapędy. Zresztą zażywała Polska coraz gorszej sławy: fanatyzm, nierząd czyniły ją helotem śród narodów, służyła za odstraszający przykład zbyt-

niej wolności; także w kraju wiedzieli coraz liczniejsi, że aby państwo żyło, «wolność» uśmiercić należy, osobliwie niszczycielskie *liberum veto*, które każdą naprawę zgóry uniemożliwiało.

Następne trzydziestolecie starało się o usunięcie nierządu saskiego, miało stworzyć skarb i wojsko, zreformować wychowanie, podnieść miasta, polepszyć warunki ekonomiczne przez uruchomienie fabryk krajowych, ożywić wieś zamarłą, oświecić umysły nauką i piśmiennictwem nowemi, wspierać sztuki, zdobyć je dla narodu, położyć koniec zacofaniu ogólnemu, a wyrwać kraj z nieproszonej, najuciążliwszej opieki obcej. Program był olbrzymi, wymagał nadludzkich wysiłków i dał się tylko częściowo urzeczywistnić, tem bardziej, że nie było się gospodarzem we własnym domu, że czujni stróże obcy najlepsze poczynania z zasady niszczyli, aby nie dopuścić do wzmocnienia sił państwowych i do zerwania pęt niewoli. Nie przeszkadzali tylko temu, co ich widokom nie wadziło, więc na wychowanie, piśmiennictwo, fabryki, handel, przemysł, sztuki piękne i teatr, wyjazdy zagranicę, wolnomularstwo, szerzenie idei francuskich, na to wszystko godzili się wspaniałomyślnie; narzucali gwałtem i równouprawnienie wyznaniowe a nie sprzeciwiali się nawet wprowadzeniu pewnego ładu w policji i administracji, ale wad zasadniczych, jednomyślności w sejmach, *liberum veto*, elekcji, nie pozwolili usuwać i tem udaremniali wydźwignięcie się z toni.

Wrogom ułatwiał działalność brak charakterów w kraju, począwszy od króla samego. Wykształcony, wolny od przesądów i nałogów, pełen chęci najlepszych, zręczny, był słabej woli, próżny i rozrzutny[1] i r. 1764 nie naród, lecz Katarzyna obrała

[1] Fryderyk II, od kiedy został królem, siadł tylko raz w życiu malarzowi na chwilę do portretu (uważając to za niegodną stratę czasu), i to na prośby usilne ulubionej siostry. «Wyskoczki», stolnik litewski czy podrzędna pryncesa niemiecka, nie mogli się dosyć dać portretować w strojach koronacyjnych i zwykłych. Za frazesem ubiegał się zawsze Stanisław August, aby tylko zyskał chwilowe oklaski. Z oszczędnego ojca wyrodził

najlepsze dla swych celów narzędzie. A otaczali go ludzie podobnej marki: rozrzutni, a więc i przedajni, oświeceni, rozpustni, rozbawieni, przebiegli, niewdzięczni, mściwi, obłudni; on był między nimi najmoralniejszy jeszcze, dbał przynajmniej o pozory, a nie znał tej nieszczęsnej dumy, która innych zaślepiała.

Teraz dopiero objawiły się skutki spustoszenia saskiego w głowach i sercach. Słowo ojczyzna, stałe na ustach, straciło zupełnie znaczenie: utożsamiali je jedni z frakcją hetmańską czy jaką inną, drudzy z «wolnością» (t. j. z elekcją i t. d.), jeszcze inni z interesem osobistym, szlachta drobna z wiarą i szła za nią do Baru i konfederacyj; szerokim masom była jakby obojętna i tem tłumaczyła się owa dziwna w oczach obcych obojętność na niesłychany fakt pierwszego rozbioru, wieszczący chyba dalsze. Przekupstwo niemal jawne, jurgielty z kas obcych posłów, rozdrapywanie dóbr narodowych, pensje olbrzymie za same tytuły, przedajność szarż i urzędów, wysługiwanie się obcym agentom były na porządku dziennym u nas jak w całej Europie; przybyło rozluźnienie rodzinne, życie coraz wystawniejsze, trwonienie majątków na wielką skalę; karty i kobiety, stroje i salony, służba i powozy pochłaniały bajeczne sumy i pękały największe majątki; bogacąc obcych. Jawne zepsucie obyczajowe, rozpasanie w Warszawie, która teraz dopiero stała się stolicą istotną i magnesem dla prowincjałów, gorszyło prowincję, gdzie czem dalej od Warszawy, tem czyściej zachował się dawny tryb, skromny stosunkowo, zato serdeczny: jeżdżono kuligami, polowano, sejmikowano. I zatraciła kultura polska wszelki wpływ ościenny; gardził nią Moskal-europejczyk, natrząsał się obcy, chociaż zawsze mu jeszcze imponowały niektóre jej rysy.

Ale nie na tych objawach ujemnych zasadzało się życie

się syn marnotrawny i jeżeli się konwulsyjnie trzymał tronu, to kierował nim wzgląd na długi, które tylko król mógł opłacać z łaski sejmowej i rosyjskiej; myśl o długach uniemożliwiała zgóry wszelkie szlachetniejsze popędy.

polskie; nie brakło rozumnych i światłych, zacnych i uczciwych, począwszy od Zamoyskiego i Czartoryskich, którzy przygotowywali reformy nieodzowne. Jedne odbywały się niemal nagle: szkoła rycerska warszawska i nowe szkoły Komisji Edukacyjnej, wywołane przez niespodziane zniesienie jezuitów, usuwały szkołę i wykształcenie zakonne a zaprowadzały świeckie, obywatelskie, patrjotyczne i wychodzili z tych szkół nowi ludzie, nowy ruch umysłowy, wspierany dzielnie przez literaturę, o wyraźnych cechach dydaktycznych, łączącą kult piękna i dobra, zrywającą z nałogami wiekowemi, z obskurantyzmem, fanatyzmem, serwilizmem, wiążącemi się z pojęciem sarmatyzmu. Skarb i wojsko, policję i administrację przyprowadzono do jakiego takiego ładu, ale najdosadniejszą była odmiana konstytucji, zniesienie owych «wolności», przypuszczenie mieszczaństwa, jeśli nie do spółrządów, to do wielu prerogatyw szlacheckich. Kwestji włościańskiej (dla braku energji i woli), żydowskiej (dla braku czasu) nie poruszono; co najgorsza, nie udało się rozwinąć wszelkich sił narodowych, materjalnych, wojskowych, aby skutecznie odeprzeć gwałt moskiewski i zdradę targowicką; nawet powstanie r. 1794 nie wyczerpało zasobów krajowych i upadło mimo heroicznego wysiłku.

W ciągu wieku wysunęło się Mazowsze z Warszawą, mimo wszelkich antagonizmów prowincjalnych, na niezaprzeczone ognisko narodu; w Warszawie biło najgoręcej jego serce. Prusy Królewskie z ziemią nadnotecką odpadły przy pierwszym rozbiorze; tam rozpościerał się coraz bardziej napływ niemiecki, liczba protestantów Niemców dochodziła do 28%, a w ziemi noteckiej na 789 miejscowości było już 176 całkiem niemieckich, a 142 mieszane; żydów, nie posiadających tysiąca talarów majątku wysiedlał Fryderyk II do Polski (kodeks Zamoyskiego to naśladował), a ze wsi spychał ich do miast. Wielkopolska pustoszała, chłopi wychodzili masowo ze wsi, a na ich miejsce przybywali koloniści niemieccy, protestanci, którym nawet duchowny

właściciel wsi zbór budował; Poznań tak niemczał, że Parendier 1784 opowiadał, iż w ciągu czterech dni nie słyszał polszczyzny na mieście. Dzielnica nie odgrywała już od dawna wybitniejszej roli, teraz tylko Sułkowscy i Ponińscy ją przedstawiali; była wobec innych zawsze bardziej konserwatywną i nie podrywała autorytetów; na Sejmie Wielkim brawował Suchorzewski, poseł kaliski, opinję publiczną, ale Staszyc był raczej klientem Zamoyskiego, niż głosem wielkopolskim, zato Śniadeckimi mogła się szczycić. Małopolska stawiła najliczniejszy poczet działaczy i mówców; ubyło jej ogromnie (Wieliczka!) przez pierwszy rozbiór; (Sieniawą i) Puławami należał do niej Adam Czartoryski, rozmaici Potoccy, Mniszchowie, Małachowscy i in., ale panowie małopolscy byli zarazem magnatami kresowymi (Lubomirscy, Braniccy, Rzewuscy i in.) i trzęśli Wołyniem, Bracławszczyzną, Podolem, zawisłemi zupełnie od ich łaski, chociaż ich majątki kurczyły się to szalonym zbytkiem, to konfiskatami rosyjskiemi. Na Litwie było tak samo z Radziwiłłami, Ogińskimi, Sapiehami i in., ale niemal do 10% mieszkańców liczyło się do (drobnej) szlachty i żyło nadzwyczaj skromnie; z rozbioru rosyjskiego (pierwszego) uciekali chłopi masami, woląc polski czyściec niż rosyjskie piekło, gdzie natychmiast zaprowadzono rosyjskie «porządki», t. j. knutowanie chłopa, gdy skarżył na pana, wysyłkę na Sybir za nieposłuszeństwo, sprzedaż wedle taryfy (niemowlę za dziesięć kopiejek i t. d. aż do 100 rubli za «duszę» męską); królewszczyzny i konfiskowane majątki dostawały się chciwym łupów dygnitarzom rosyjskim. Tu kwitły jeszcze sarmatyzm, gościnność, obfitość prowizji acz niewybrednej, znane specjały litewskie: chołodziec, kołduny i t. d. Białoruś, szczególnie katolicka, polszczała, jej język roił się od polonizmów; mniej polszczała prawosławna, t. j. unicka, którą ukazy Katarzyny II sprawosławiły; ludek litewski (żmudzki np.), dla zupełnie odrębnego języka, nie ulegał polonizacji mimo nabożeństwa dodat-

kowego w polskim przeważnie języku, gdyż duchownych, władających litewszczyzną, bywało mało.

Kultura była dwojaka, jak to stale bywa: sfer niższych i wyższych. Wieś (i drobne mieszczaństwo) nie znała ojczyzny, znała wiarę (Polak, katolik; Niemiec, luter; Moskal, schizmatyk), przywiązanie do ziemi, do gospodarki prymitywnej, zadowalając się najskromniejszym bytem, niechętna panom-pańszczyźniakom, niepewna swego mienia, więc ani oszczędna ani pilna, rozpajana przez panów i żydów; zawsze moralna; temperamentem tylko różnił się prędki, popędliwy chłop polski, więcej od powolnego, flegmatycznego Białorusina (Litwina), mniej od Ukraińca; prozaiczniejszy on, jego uboga epika i wcale niewytworna liryka nie znosiła porównania z ukraińską i litewską, krótkością się wyróżniała; przesądny, ale do mistycyzmu najmniej skłonny, żadnej z siebie nie wydał sekty [1] i do żadnej nie przywrzał, ani do biczowników, ani do heretyków, ani do różnowierców, nawet nie do arjan, którzy winniby go byli nęcić zalecaniem pracy ręcznej i miłości bliźniego, a zaprzeczaniem niewoli chrześcijańskiej, ależ u nas i arjaństwo tylko ziemian i mieszczan zajęło, a nie przypadkiem, na kresach, na Białej Rusi, Podlasiu głównie, się wykluło. Chłop polski mimo zabobonów i przesądów był zawsze najtrzeźwiejszy, o rzeczach wiary ani dysputował, ani rozmyślał,

[1] Z całej przeszłości możnaby tylko dwa przytoczyć obrazki o pseudomistycznym podkładzie; jeden z XIV wieku, o cudotwórcy w górach Świętokrzyskich, co i deszcze sprowadzał i t. p., a drugi o Piotrze Zatorskim z Krakowa i wójcie z Brzezin, Jakóbie Mielsztyńskim, którzy w początkach Zygmunta Starego jako Chrystus i apostołowie wsi obchodzili, «każąc i cuda czyniąc» wedle opowiadania Marcina Bielskiego (z ust ojca), ale Bielski nazywa ich «ziemianami i mieszczanami», nie chłopami, chociaż całkiem po wiejsku występowali; nie spostrzegł się, że to nie cudotwórcy, lecz jedyni nam znani Sowizdrzali polscy oryginalni, godni niemieckiego imiennika, z *lankę* (szatą) dwoistą, z żagwią, którą w płótno włożyli i t. d., skończyli też komicznie.

wierzył szczerze i głęboko, a rzeczy zaziemskie wedle ziemskich kształtował.

Sfery wyższe wypiastowały inną kulturę, znaczącą się coraz wyraźniej począwszy od czternastego wieku. Ta kultura była zachodnią: germańską, romańską, czeską; stanęła o własnej sile już w XV, a wzniosła się najwyżej w XVI wieku; stworzyła w najwybitniejszych swych przedstawicielach ideał-typ własny, od niemieckiego najdalszy, bliższy włoskiemu (bez zapału jednak dla sztuk pięknych, chyba dla słownej), a najbliższy antykowi, jego cnotom i umiarowi. Dalszego wstępu wgórę już nie było; słowiańska opieszałość zadowoliła się zdobytem, t. zn. utrzymać go już nie mogła i rychło poczęła ta kultura zanikać, do czego fatalny zbieg okoliczności, głównie zewnętrznych, walnie się przyczynił. Linja rozwojowa nigdy nie bywała jednostajną, np. w XVI wieku wyemancypował się Polak od duchowieństwa, aby w XVII znowu ku niemu wrócić, do r. 1763 całkiem mu podlegać, a następnie znowu się uwolnić, zupełniej nawet niż w pierwszej połowie XIX wieku. Kultura ta była zupełnie męska, dopiero za króla «Stasia» feminizm ją zabarwił, ale stanowiska, które sobie wtedy kobieta wywalczyła, już nie opuściła i odtąd kroczyła z mężczyzną razem, skora choćby do poświęceń, przykładna żona i matka, obywatelka wzorowa. O cechach arystokratycznych tej kultury była nieraz mowa wyżej. Jej wykwit w naukach i sztukach zawdzięczano studjom domowym, a głównie zagranicznym (uczelniom włoskim przeważnie), podróżom mniej, więcej nierównie książkom-ideom (francuskim od połowy XVIII wieku). Na różnicy między kulturami pańską a chłopską, na sprzeczności obopólnych interesów opierali rozbiorcy rachuby co do «przetworzenia» narodu w masy niemieckie czy rosyjskie; czasem im się udawało, czasem srodze się zawiedli, ale to należy już do XIX wieku.

POLITECHNIKA ŚLĄSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Gliwicach

SPIS TREŚCI TOMU III

CZĘŚĆ PIERWSZA: CZASY SASKIE (1697—1763)

Str.

Rozdział I: PAŃSTWO I KOŚCIÓŁ 3
Tło dziejowe. — Rzeczpospolita szlachecka. — Miasta. — Chłopi. — Żydzi. — Wojsko. — Kościół. — Zakony. — Różnowiercy.

Rozdział II: ŻYCIE RODZINNE I TOWARZYSKIE 61

Rozdział III: ŻYCIE UMYSŁOWE 91
Szkoła. — Nauka. — Literatura. — Teatr. — Literatura polityczna. — Język. — Sztuki piękne. — Muzyka. — Architektura. — Malarstwo.

Rozdział IV: RUŚ I LITWA 141

CZĘŚĆ DRUGA: CZASY STANISŁAWOWSKIE (1764—1795)

Rozdział I: LUDZIE 151
Wstęp. — Tło dziejowe. — Dwa pokolenia. — Król i dwór. — Magnaci i szlachta. — Stany: szlachta, mieszczanie, chłopi. — Żydzi. — Polacy na obczyźnie. — Stosunek do Słowiańszczyzny i Rosji. — Na Sybirze. — Obcy o Polsce i w Polsce.

Rozdział II: PAŃSTWO 227
Reformy. — Sejmy i sejmiki. — Sądownictwo. — Skarb. — Wojsko. — Przemysł i handel.

Rozdział III: ŻYCIE 259
Rodzina; wychowanie; ożenek. — Życie w mieście; Warszawa. — Marnotrawstwo. — Higjena. — Wiara. — Dysydenci. — Wolnomularstwo.

Str.

Rozdział IV: SZKOŁA I NAUKA 287
Szkoła rycerska. — Komisja Edukacji Narodowej. — Organizacja szkół Komisji. — Rozdźwięk między Komisją a społeczeństwem. — Szkoły akademickie i zakony; walka z przesądem obywatelskim. — Czynność Komisji i jej owoce. — Historja. — Ekonomika. — Nauki.

Rozdział V: LITERATURA I SZTUKA 317
Literatura. — Paszkwile. — Publicystyka. — Teatr. — Język. — Sztuki piękne. — Muzyka. — Architektura. Rzeźba. Malarstwo. — Puławy

Rozdział VI: ŻYCIE KRESÓW WSCHODNICH 403
Ruś. — Ukraina i hajdamacy. — Unja i schizma. — Zamknięcie.

Rozdział VII: TYSIĄCLECIE KULTURY POLSKIEJ 421

POLITECHNIKA ŚLĄSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Gliwicach

BG Politechniki Śląskiej w Gliwicach
nr inw.: 11 - 9099
Dyr. 1 8609/3